



JENS HENRIK
JENSEN

OXFEN

Lupus

Tajemnicze zaginięcie.
Przeszłość, która nie daje
o sobie zapomnieć.
Władza, która demoralizuje.

Jens Henrik Jensen

Lupus

Przekład: Edyta Stępkowska

Tytuł oryginału: Lupus (Niels Oxen #4)

Tłumaczenie: Edyta Stępkowska

ISBN: 978-83-283-5813-3

© Jens Henrik Jensen og JP/Politikens Hus A/S København 2018 in agreement with Politiken Literary Agency

Polish edition copyright © 2020 by Helion SA

All rights reserved.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Materiały graficzne na okładce zostały wykorzystane za zgodą Shutterstock Images LLC.

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

http://editio.pl/user/opinie/lupuse_ebook

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

Helion SA

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 231 22 19, 32 230 98 63

e-mail: editio@editio.pl

WWW: <http://editio.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

- [Poleć książkę](#)
- [Kup w wersji papierowej](#)
- [Oceń książkę](#)

- [Księgarnia internetowa](#)
- [Lubię to! » nasza społeczność](#)

Rozdział 1.

Z jego ust buchały chmury oddechu, spocone ciało parowało. Było przenikliwie zimno. Pracował miarowo, spowity niebieskawą mgłą, którą sam wydzielał, a której barwa zmieniała się w zależności od światła bijącego z jego czoła.

Gdy na moment przerwał i się wyprostował, światło z czołówki omiotło poraną zmarszczkami twarz, którą w równych odstępach przecierał rękawem. Potężne, spracowane dłonie odpoczywały na rączce łopaty, a on sam pochylił się teraz nieco do przodu, by ulżyć plecom i uspokoić oddech. Nie był już młody, ale potrafił jeszcze zmusić ciało do ciężkiej fizycznej pracy.

Wokół niego ramię w ramię stały sosny, niczym milczący świadkowie, niezdolni ani słowem ujawnić jego występku. Wkrótce i on stąd zniknie. I więcej nie wróci.

Sporo musiał się namachać łopata, ale na szczęście już prawie skończył. Mróz nie zdążył jeszcze porządnie utwardzić ściółki, więc bez trudu ją odgarnął, zanim zabrał się do kopania. Teraz stał na dnie dołu, którego krawędź sięgała mu niemal bioder. Jeszcze góra pięć minut.

Wziął parę głębokich oddechów, które wywołały silny atak kaszlu. Poprawił czołówkę, bo mu przeszkadzała, i ponownie chwycił trzonek łopaty.

Odrzucał ziemię na zmianę to na prawo, to na lewo, na rozłożone po obu stronach dołu plandeki. Przyniósł je, bo jako człowiek ostrożny starał się nie pozostawiać po sobie więcej śladów, niż to było absolutnie konieczne. Ta sama ostrożność kazała mu kopać aż tak głęboko.

Za dużo się naoglądał w telewizji amerykańskich programów o osiągnięciach współczesnej kryminalistyki. Widział, jak to się kończy, kiedy po wielu latach z ziemi nagle wyłania się kość. Widział, jak dzikie zwierzęta potrafią wyniuchać i wydobyć na powierzchnię ukryte dawno sekrety.

Nie zamierzał pozwolić, by coś takiego przytrafiło się jemu.

Gdy w końcu uznał, że dół jest dość głęboki, wdrapał się na górę i odłożył łopatę. Analizował sytuację, czekając, aż jego oddech znów się uspokoi. Właściwie był tylko jeden sposób, żeby uniknąć przeciągania ciała przez wznoszące się po obu stronach dołu nasypy.

Podszedł do dużego podłużnego tobołka owiniętego w brezent i związanego sznurkiem. Złapał za jeden koniec i pociągnął. Tobolek był ciężki, ale że brezent gładko ślizgał się po ściółce, wkrótce znalazł się przy krawędzi grobu.

Ostrożnie, przez wzgląd na swoje stare i w tej chwili przemęczone nogi, ponownie wszedł do dołu. Złapał worek i pociągnął go z całej siły. Chwilę później było po wszystkim. Nikt nie zrobiłby tego lepiej niż on.

Znów, podpierając się rękoma, wy dostał się z dziury i tym razem poczuł silny ból w kolanie. I cholerne ssanie w dołku. Co tam, przecież zasłużył.

Wyjął papierosa z paczki, zapalił i głęboko zaciągnął się dymem. Chmura, którą wypuścił, była równie gęsta jak jego ciepły oddech. Wspaniałe uczucie po długiej, ciężkiej pracy. Zaciągnął się ponownie. Jeszcze kilka, o wiele za mało, sztachnięć i już był koniec. Zgasił papierosa o podeszwę — i oczywiście schował niedopałek do kieszeni. To by dopiero była głupota zostawiać swoje DNA po tym, jak starannie dopilnował całej reszty.

Przystąpił do ostatniego etapu i zaczął zasypywać dół. Szło bez porównania łatwiej niż kopanie. Za pół godziny będzie się zwijał. I nikt się nie dowie, bo jeśli jest ktoś, kto naprawdę umie dochować tajemnicy, to tym kimś jest on sam.

Z takim skupieniem przyglądał się mężczyźnie, który kopał i kopał, że w końcu zaczęło mu się kręcić w głowie. I przemarzył. Do szpiku kości. Lecz bał się poruszyć. Bał się nawet oddychać.

Stąd ogromna ulga, jaką poczuł, kiedy tamten, uzbrojony w przeszywające mrok złe oko na czole, w końcu zarzucił łopatę na ramię i się oddalił. Chwilę później usłyszał dźwięk

uruchamianego silnika i zobaczył dwa światła, które wyglądały jak od quada.

Odczekał jeszcze kilka minut, zanim się podniósł. Był tak zziębnięty, że ledwie się ruszał. Powoli zbliżył się do małego leśnego prześwitu skąpanego w księżycowej poświacie i wyjął latarkę.

W jej świetle nie było nic widać. Miejsce dokładnie przykryto ściółką, ale jeśli uważnie się przypatrzeć, wśród zwiędłych liści i brązowych igieł można było dostrzec kontur grobu...

Mocno przygryzł wargę. Tyle wiedział: że tam, pod spodem, coś jest. I że nie chce wiedzieć więcej.

Rozdział 2.

Patrzył na dłonie Magnusa. Chłopak wysunął je z niebieskich rękawów zimowej kurtki i splótł przed sobą, łokcie oparł o ogrodzenie wybiegu dla pingwinów.

Były drobne, te dłonie. Smukłe, białe i delikatne, i nieskalane. Zeszłe lato było dopiero ich czternastym i miały przed sobą mnóstwo czasu, aby poznawać życie i zbierać doświadczenia.

Spojrzał na własne. Zrogowaciała skóra pięści naznaczonych rzemiosłem starym jak ludzkość. Wojownik i chłopiec... Stoją jakieś pół metra od siebie i patrzą na figlarne pingwiny.

To przez ten wiatr, który hulał po alejkach kopenhaskiego zoo, wydawało się, że jest tak zimno. W rzeczywistości, jak na luty, było całkiem przyjemnie. Nie pomagał też oczywiście deszcz, który co jakiś czas chłustał z nieba.

Czuł nieprzeparte pragnienie, aby nakryć dłonią splecione ręce Magnusa. Wiedział już, że to byłby błąd, ale tak bardzo pragnął zrobić coś, cokolwiek, co *umocni* więź między nimi. Nawet jeśli z góry wiedział, że to na nic.

W końcu objął go ramieniem i poklepując po plecach, zagadnął:

— Niesamowite zwierzęta, prawda? Prawie jak malutcy ludzie. Pamiętasz, jak się nazywają? To znaczy jaki to gatunek?

Magnus chwilę patrzył przed siebie pustym wzrokiem, po czym pokręcił głową.

— Nie-e...

— Zaczyna się na ha. Hum...?

— Nie wiem.

— Humbo...?

— Nie wiem.

— Humboldta. Pingwiny Humboldta. Żyją w zimnym klimacie Antarktyki. To jedyne pingwiny, które mają różową obwódkę wokół dzioba, dlatego łatwo je rozpoznać. W sumie istnieje dwadzieścia różnych...

— Niels, możemy iść dalej? Jest strasznie zimno. I widzieliśmy je już tyle razy. — Magnus westchnął głęboko, zrobił unik i zgrabnie uwolnił się od dłoni ojca na swoim barku.

Niels...

Jego własne imię było jak soplel wbijany w serce za każdym razem, gdy Magnus je wypowiadał.

Tato... Na początku dzielnie podjął wyzwanie i za każdym razem proponował, aby Magnus tak do niego mówił: tato. Przecież zasadniczo nim właśnie był — jego ojcem. Ale w końcu zrozumiał, że to nie jest coś, o czym może zdecydować za swojego syna. I dał sobie spokój.

Po prawdzie nie miał nawet podstawowych cech rodzica. Znajdował się na rodzicielskiej ziemi niczyjej. Porażającej, jałowej pustyni powstałej z wieloletniej nieobecności. Nie porastało jej żadne, najwątlesze nawet wspólne wspomnienie. Na myśl o tym żołądek mu się zacisnął.

— Okej, chodźmy dalej. Co ty na to, żeby zajrzeć do wilków?

Zaproponował swoich ulubieńców, choć doskonale wiedział, że nawet wilk nie zdoła uratować tego spotkania.

Magnus mechanicznie wzruszył ramionami i wcisnął ręce głębiej w kieszenie. To nie może tak dalej wyglądać. Musi wymyślić coś nowego. Potencjał zoo został wyczerpany, choć miejsce nawet przez moment nie spełniło nadziei, jakie w nim pokładał.

Przypomniał sobie, podobnie jak to robił tyle razy wcześniej, dlaczego przed ich pierwszym spotkaniem doszedł do wniosku, że tu będzie idealnie. Bo będą na świeżym powietrzu, bo będą mogli omijać miejsca najbardziej zatłoczone — i dlatego, że sporo wie o zwierzętach. Trzęsąc się z nerwów, zaklinał w myślach tygrysy, wilki, lemury i wszystkich pozostałych mieszkańców tego skrawka miasta, żeby mu pomogli pomyślnie przejść tę pierwszą próbę w byciu ojcem.

Na próżno. Magnus przez całe trzy godziny nie odezwał się wtedy ani słowem. I czy na pewno, po ośmiu miesiącach, nastąpiła istotna poprawa? Zdarzało im się wprawdzie zamienić parę zdań, ale przez większość czasu Magnus i tak patrzył posępnie przed siebie.

Z przerażeniem myślał o feriach zimowych. To już niedługo. Współpraca z byłą żoną w kwestii relacji z Magnusem właściwie nie istniała. Nie widywali się. Nie rozmawiali poważnie o owocu swojego zauroczenia sprzed wieków. Z rzadka tylko wymieniali informacje przez telefon — krótko, rzeczowo i lodowatym tonem.

Byli wrogami. Na zawsze. Nic nie mogło tego zmienić.

Mimo to obiecał Birgitte, że weźmie do siebie Magnusa na całe ferie, choć to nie była jego kolej. Jak mógłby odmówić tego, o czym marzył od tylu lat? Żeby mieć syna przy sobie...? Będzie musiał się naprawdę postarać i coś wymyślić. W przeciwnym razie w mieszkaniu w Vangede może dojść do prawdziwej katastrofy.

W milczeniu dotarli do wybiegu dla wilków. Stanęli na drewnianym mostku i rozglądali się po imponującym wilczym królestwie.

— Magnus, stawiam hot doga, jeśli pamiętasz łacińską nazwę.

Wyzwanie zostało przyjęte westchnieniem i kolejnym wzruszeniem ramion. Może zmęczyło go to odpytywanie? W sumie na co dzieciakowi ze Skovshoved łacińskie nazwy wszystkich zwierząt, od gnu po sępa?

— Dobra. I tak pójdziemy na hot dogi. A to jest lupus... *Canis lupus*, wilk szary. Niezwykle zwierzę, nie sądzisz?

Magnus mruknął coś pod nosem i spojrzął na zegarek.

— Niels, mógłbym niedługo wrócić do domu? Trochę mnie rozboleła głowa, a do tego mam mnóstwo zadane na jutro.

— Znudziło ci się chodzenie po zoo?

Magnus wzruszył ramionami.

— Lubię zwierzęta. Ale wydaje mi się trochę nudne, że ciągle musimy tu przychodzić... tylko dlatego, że jesteś... — Urwał w pół zdania.

— Że jestem *jaki*? Co chcesz powiedzieć?

— No, chodzi mi o to, że nie jest z tobą najlepiej. I nigdy nie będzie. Nigdy nie będziemy mogli porobić czegoś innego, iść na mecz, bo ty... się boisz.

— Boję się?

— Nie lubisz, kiedy masz wokół siebie za dużo ludzi. Sam to kiedyś powiedziałeś.

Boisz się... Poczłł uderzenie w mostek. Juź podczas jednego z ich pierwszych wspólnych weekendów próbował wyjaśnić Magnusowi swoją sytuację. Wciąż pamiętał, jakie to było trudne. Jak się wtedy wił i jak plątał mu się język, kiedy siedzieli w słońcu na ławce.

„Posłuchaj, kolego, muszę ci coś powiedzieć... Mam pewien problem. Pracuję nad tym, staram się, żeby było lepiej...”

Postanowił, że powie o tym tak otwarcie, jak tylko da się o tym powiedzieć czternastoletniemu dziecku. Że będzie tak szczery, na ile można być szczerym, gdy mówi się o wojnie. Bo wojna nie jest częścią dziecięcego świata.

Bo co do jednego byli z Birgitte zgodni — że szaleństwem byłoby mówić ich synowi cokolwiek ponad to, że był żołnierzem, takim zwyczajnym, jak wszyscy inni żołnierze. W umyśle dziecka nie ma miejsca dla komandosów i rzeczy, w których tacy ludzie się specjalizują.

Wtedy, tam na ławce, próbował przygotować sobie grunt. Starał się wyjaśnić, czym są *traumy*. Że to coś jakby złe wspomnienia czegoś strasznego. Że trudno się ich pozbyć. I są bardzo męczące, bo czasem sprawiają, że człowiek źle się czuje. Na przykład, kiedy się jest w tłumie ludzi, człowiek zaczyna mieć wrażenie, że podchodzą za blisko i trzeba mieć na oku ich wszystkich naraz. I hałas. Nagły huk może człowieka przerazić. Jakby ktoś wyskoczył zza drzwi i krzyknął „bu!”. I jeszcze złe sny, koszmary. I te dziwne przebłyski, które pojawiają się, kiedy się zamknie oczy, nawet w środku dnia, tak zwane *flashbacki*. Krótkie, przelotne obrazy czegoś, co się przeżyło. I po których bywa, że człowiek zastyga nieruchomo bez względu na to, gdzie się znajduje.

Tłumaczył mu, że tak się niestety stało przez to, że pracował jako żołnierz. Przez wiele lat. Nie po to, aby kogoś zabijać. Po to, żeby ludzi chronić. Zrobić dla nich coś dobrego. Ale z tego, co Magnus powiedział przed chwilą...

— Dlaczego mówisz, że tak będzie *zawsze*? Nie powiedziałem tego. Czy powiedziałem? Czy... Magnus, *kto* tak powiedział?

— Nikt... po prostu tak myślę.

Krył swoją matkę. To dobrze, że jest lojalny. Nie po raz pierwszy poczuł wyraźnie, że gdy on toczył boje i próbował przełamywać bariery, przeciwnik po swojej stronie frontu stawiał nowe.

Stojąc tam, na wprost przyczajonego w krzakach samca alfa, poczuł się znokautowany własną bezsilnością. Może ta walka jest zbyt nierówna, aby kiedykolwiek mógł ją wygrać?

— To prawda, mam swoje problemy. Już dawno ci o nich opowiedziałem. Ale problemy można rozwiązywać. Na szczęście. I jestem w trakcie rozwiązywania moich. Któregoś dnia, kiedy się ich pozbędę, będziemy mogli pójść razem na mecz. A na razie ustalmy po prostu, że zrobimy sobie przerwę od zoo. I rozumiem, że wolisz już iść do domu, skoro nie czujesz się najlepiej i musisz odrabiać lekcje.

Słyszał już nieraz tę samą wymówkę, ale skoro chłopak chce wracać do domu, to na co się zda przypominanie, że ich wspólny weekend kończy się dopiero o siedemnastej?

— Możemy najpierw iść na te hot dogi — powiedział Magnus niespodziewanie.

Sumienie go ruszyło czy zwyczajnie zgłodniał? Kochał syna najbardziej na świecie. Dlatego będzie musiał zrobić dziesięć kroków wstecz i na nowo ocenić sytuację. Obmyślić nową strategię. W przeciwnym razie ich krucha relacja może tych ferii nie przetrwać.

Rozdział 3.

Osiedle socjalne Mjølnerparken znajduje się w najgęściej zaludnionej dzielnicy Kopenhagi, Ydre Nørrebro, w kwartale graniczącym od północy z Tagensvej, od południa z Hothers Plads, od wschodu z Midgårdsgade i od zachodu z parkiem, Mimersparken.

Nazwane zostało na cześć *mjølnera*, młota należącego do Thora, superboga numer jeden w nordyckiej mitologii. Cechą charakterystyczną młota było to, że za każdym razem, gdy Thor nim rzucał, samoczynnie wracał do jego dłoni. Podobnie jak administracja osiedla nie była w stanie skutecznie pozbyć się problemów związanych z przestępczością wszelkiego rodzaju.

Mjølnerparken to mniej więcej sześćset mieszkań. W większości trzypokojowych. W jednym z nich tej niedzieli znajdował się jego pochodzący z Libanu trzydziestosześcioletni lokator. Dwa dni wcześniej wrócił do swojego mieszkania po pięciomiesięcznej odsiadce. Tym razem wyjątkowo nie za przemoc kwalifikowaną, ale za paserstwo.

Idris Nassar leżał w łóżku przykryty jedynie prześcieradłem. Wciąż był rozpalony po namiętym seksie z leżącą obok kobietą. Jego imię oznaczało „pełen wigoru” albo „męski” i Idris miał świadomość, że w pełni na nie zasługiwał. Było długo i ogniście. Teraz ona zasnęła. A on, przyjemnie rozluźniony na całym ciele, leżał z rękami założonymi za głowę i patrzył w sufit.

Może powinien wstać? Niedługo przyjdzie Omar. Dzwonił ze trzy godziny temu. Nie widzieli się, odkąd trafił do paczki. I akurat kiedy o nim pomyślał, usłyszał dzwonek do drzwi. Poderwał się i golusieńki poszedł otworzyć. Najpierw jednak spojrzął przez judasza. Tak, to Omar, w białej bluzie z kapturem.

Otworzył tylko, by wpuścić gościa, i od razu wrócił w głąb mieszkania, żeby poszukać bokserek, głośno się przy tym użalając:

— Kurwa, stary... zapomniałeś, że w niedzielę po południu zawsze rucham? Zawsze. Do tego od pięciu miesięcy nie miałem cipki. I nagle mi się tu zwalasz... Pojechało cię?

Idris zaśmiał się głośno i przystanąwszy w progu sypialni, odwrócił się, żeby spojrzeć na Omara i go uściskać. Ale Omar zniknął. Zamiast niego patrzył teraz na dwóch mężczyzn w czarnych kominiarkach z dziurami na oczy i usta oraz w czarnych rękawiczkach.

— *What the fuck!*

Każdy miesiąc w jego wysportowanym ciele napiął się i Idris instynktownie przyskoczył do nich, by wymierzyć potężny prawy sierpowy w szczękę tego, który stał bliżej. Mężczyzna zrobił unik, a Idris w tym samym momencie zamachnął się w tył prawą nogą i kopnął drugiego z półobrotu, aż tamten tyłem zwałił się na podłogę. I wtedy zabawa się skończyła.

Idris Nassar zdążył jeszcze zobaczyć, jak pierwszy z mężczyzn dotyka jego ramienia czarną pałką. A potem siła kilku tysięcy woltów powaliła go na podłogę.

Ten, którego przewrócił kopniakiem, zaraz się poderwał i obaj zabrali się do pracy — pracowali szybko, z wprawą, nie zamieniając między sobą ani słowa.

Jeden przyskoczył do łóżka i elektryczną pałką unieszkodliwił kobietę. Nie zdążyła nawet krzyknąć. Potem plastikowymi paskami zaciskowymi związał jej kostki i nadgarstki, a usta zakleił taśmą.

To samo zrobili z nagą górą mięśni leżącą na podłodze. Następnie obaj musieli wziąć Idrisa pod pachy i zawlec ważące sto trzy kilo ciało na fotel. Libańczyk szybko się zorientował, co się dzieje. W jego szeroko otwartych oczach widać było konsternację i coś jeszcze, uczucie zupełnie dla niego nowe: strach.

Niższy z zamaskowanych mężczyzn wyjął z ukrytej pod kurtką kabury pistolet i sprawnymi ruchami zamontował na lufie tłumik.

Lufę przytknął do prawego kolana Nassara i pociągnął za spust. Potem oddał jeszcze jeden strzał, parę centymetrów poniżej kolana. Ciało Nassara z bólu wygięło się w łuk.

Skrepowany mężczyzna rzucał się na boki, aż kolejny dotyk pałki zakończył jego opór.

Mężczyzna z bronią przytknął lufę do lewego kolana i roztrzaskał je kolejnymi dwoma strzałami.

Na koniec przytknął wylot lufy do napiętego bicepsa Nassara i pociągnął za spust. To samo zrobił z drugim ramieniem. Na nagim ciele pozostały duże krwawe plamy. I czyniły z Nassara kalekę.

Dwaj zamaskowani mężczyźni, którzy przez cały czas nie odezwali się ani słowem, krótko skinęli sobie nawzajem i wycofali się z mieszkania równie szybko, jak się w nim znaleźli.

Omar, człowiek, którego zmusili, aby umówił się z Nassarem, a potem razem z nimi poszedł pod jego drzwi, teoretycznie mógł ostrzec przyjaciela albo wezwać pomoc. To jednak było mało prawdopodobne, skoro ich wspólnik przez cały czas przetrzymywał jednego z synów Omara jako zakładnika.

Chłopaka zamierzali odstawić z powrotem nie wcześniej niż za sześć godzin. To dawało pewność, że urazów Nassara nie będzie można naprawić. Może nawet do tego czasu umrze z utraty krwi. To bez znaczenia. Ich zadanie mimo to zostanie uznane za wykonane.

Rozdział 4.

Od ściany do ściany. Przez wszystkie przechodnie pokoje klitki w Vangede i z powrotem. Niepokój zmuszał go do pozostawiania w ciągłym ruchu, jak te dzikie zwierzęta w zoo, które widzieli wcześniej.

Był niedzielny wieczór. Starał się poprzez ten jałowy ruch wypchnąć ze swojego udręczonego ciała i umysłu kolejny nieudany weekend z Magnusem.

Chodził tak całą wieczność, po wykładzinie, linoleum i parkiecie, ale była to wędrówka równie przygnębiająca, jakby przemierzał kamienną pustynię w Afganistanie.

W końcu usiadł na swoim stałym miejscu na parapecie w salonie. Tylko szyba oddzielała go od zimowej ciemności świata na zewnątrz.

Stał się jak tamta staruszka z mieszkania w bloku naprzeciwko. Ona też, gdy tylko mogła ustać na nogach, kręciła się niespokojnie w swojej fioletowej podomce. Chociaż dzisiaj nie. Dziś w ogóle jej nie widział. I w jej mieszkaniu nie paliło się światło. Może była to jedna z tych rzadkich okazji, gdy rodzina zabrała ją do siebie na niedzielę? Nie miał pojęcia, jak się nazywała fioletowa staruszka. Żadnego z mieszkańców Dalstrøget nie znał z imienia.

Mimo wszystko nie było jeszcze tak źle jak wtedy, gdy mieszkał w piwnicy w północno-zachodniej Kopenhadze. Teraz zdarzało mu się *wychodzić* z mieszkania za dnia. Tyle że niezbyt często. Wciąż najlepiej czuł się nocą. Kiedy na przykład wkładał dres i sznurował buty do biegania, co robił cztery, pięć razy w tygodniu, to zawsze na zewnątrz było ciemno. Wychodził i biegał — nie od ściany do ściany, lecz na świeżym powietrzu robił pętle po co najmniej osiem kilometrów.

Oxen = średnica xπ...

Czy to nie był przypadkiem wzór na jego życie? Może teraz też powinien się przebrać i wyjść pobiegać? Wypocić ten weekend z

ciała i zrobić miejsce nadziei, że następnym razem będzie lepiej? Czy raczej pójść do sypialni, położyć się na ławeczce i poćwiczyć ze sztangą i z ciężkimi hantlami — które wraz z leżącym wprost na podłodze materacem stanowiły jedyne wyposażenie tego pokoju. Bo z całą pewnością inwentarz tego pomieszczenia nie obejmował spokojnego, głębokiego snu.

I tak siedział, bez skarpetek, tylko w dżinsach i podkoszulku. Wolno przesuwiał wzrokiem po swoim prawym ramieniu.

Mięśnie były wyraźnie zarysowane i wiły się w dół, do przedramienia. Potrafił na swojej ławeczce wycisnąć sporo i mógł to robić długo. Bez trudu umiał przebiec dwadzieścia kilometrów. Miał czterdzieści pięć lat i wszystkie mięśnie i ścięgna były zwarte i gotowe do działania na najmniejsze jego skinienie.

Gdy wzrokiem doszedł do dużego palca u stopy, powędrował dalej, na parapet, po ścianie i w górę, na biały sufit. Nie miał żyrandola, z kabla zwisała goła żarówka. Kupił za to w Ikei małą kanapę, stolik i krzesło. Wyszedł z założenia, że nie może co drugi weekend przyjmować u siebie Magnusa w tak spartańskich warunkach, w jakich on sam doskonale potrafił funkcjonować. Z tego samego powodu na ścianie na wprost kanapy zawisał pięćdziesięciopięciocalowy telewizor z płaskim ekranem i w naturalny sposób stał się jedynym punktem przykuwającym uwagę w tej niewielkiej przestrzeni.

W pokoju Magnusa stały łóżko, mała szafa, komoda i biurko. Kupił je, wyszedłszy z założenia, że dzieci zawsze mają coś zadane na poniedziałek i muszą w weekend odrabiać lekcje. Ale Magnus nigdy nie przynosił ze sobą podręczników. Wolał wracać wcześniej do domu i tam odrobić lekcje. Tak mówił. Zawsze.

Zerknął na zegarek. A może po prostu walnąć się na kanapę i pooglądać National Geographic albo Animal Planet? Czy zostać tu, gdzie jest, i poczekać, aż coś ciekawego niespodziewanie wydarzy się po drugiej stronie okna?

Zsunął się z parapetu i na nowo podjął wędrówkę szlakiem zwierzęcia uwięzionego w klatce, kiedy zadzwonił domofon i niemal przyprawił go o zawał.

Dochodziła ósma wieczorem. Była niedziela, na zewnątrz panowała czarna lutowa noc i padał deszcz. Kto to, u licha, mógł być? Przyskoczył do aparatu i wcisnął guzik interkomu.

— Słucham?

Przez chwilę słyszał tylko trzask statyczny, a potem odezwał się niski głos:

— To ja... Mossman.

Wcisnął guzik, by go wpuścić. Usłyszał kroki na klatce i zaczekał w otwartych drzwiach. Po chwili stanął przed nim Mossman, strzepywał z płaszcza krople deszczu. Nic się nie zmienił, odkąd widział go po raz ostatni pół roku temu. Wtedy gdy klocki układanki wreszcie wskoczyły na swoje miejsce i wbrew wszystkiemu rozgromili siatkę Danehofu.

Niegdyś wszechmocny szef Policyjnej Służby Wywiadowczej wciąż z wyglądu przypominał bassetta, po tym jak mocno schudł i skóra na nim zrobiła się za luźna.

— Dobry wieczór, żołnierzu, *my black knight in shining armour*. Mogę wejść?

Uścisk Mossmana również pozostał mocny jak imadło. Olbrzym i anglofil, ubrany w gustowną tweedową marynarkę, przewiesił płaszcz przez ramię i spojrzał na niego pytająco z uśmiechem, który zdawał się sugerować radość z ponownego spotkania.

— Jasne.

Wciąż zaskoczony, odsunął się na bok i zaprosił do środka niespodziewanego gościa. W powietrzu poczuł intensywne *déjà vu*.

Axel Mossman na próżno szukał wieszaka na gołych ścianach przedpokoju i w końcu powiesił płaszcz na klamce.

On z kolei przyglądał mu się ukradkiem. Kiedy spotkał go po raz pierwszy, Mossman był wielki i potężny, i o kilkadziesiąt kilogramów cięższy. Było to na komendzie w Aalborgu, gdzie został doprowadzony na przesłuchanie prosto z lasu, z dzikiej głuszy Rold Skov. Mossman przesłuchał go, a następnie zmusił do udziału w śledztwie w sprawie zabójstwa.

I niczym żaba porwana przez tornado, został wciągnięty w trwający od lat pościg Mossmana za tajną lożą Danehofu.

Nie widzieli się, odkąd razem z Margrethe Franck i siostrzeńcem Mossmana, Christianem Sonnem, wbrew wszystkiemu pokonali owego potężnego, choć niewidzialnego wroga.

Była to zacięta i trwająca lata walka, która jego, Oxena, uczyniła podejrzanym o morderstwo uciekinierem ściganym zarówno przez policję, jak i najemników tajnej siatki władzy. Walka, która wielokrotnie doprowadziła go na skraj życia i która dla niego zakończyła się dokładnie tutaj — na drugim piętrze bloku komunalnego przy Dalstrøget w Vangede, gdzie codzienność do tego stopnia biegła utartym torem, że nawet niezapowiedziana wizyta w niedzielny wieczór stanowiła wielkie wydarzenie.

— Nie mam herbaty. Mam tylko kawę.

— Może być, dzięki. Więc tak się urządziłeś... całkiem przytulnie... żołnierzu.

Uprzejmy komentarz skwitował wzruszeniem ramion.

— Mam przynajmniej dach nad głową.

Przeszli do kuchni, gdzie nalał wody do czajnika elektrycznego, z szafki wyjął dwa kubki i słoik z kawą rozpuszczalną. Wolał, aby to Mossman narzucił tempo ich spotkaniu.

— Jak leci... tak poza tym? Mam nadzieję, że Vangede jest dla ciebie łaskawe, co, żołnierzu?

Mossman jak zwykle po swojemu, nieco egzaltowanie, używał ciężkich słów. Bo niby kiedy cokolwiek było dla niego łaskawe? Dlatego znów wzruszył ramionami.

— Może być.

— To znaczy? Widujesz się w ogóle z Margrethe? — zapytał jakby od niechcienia, ale stary szef wywiadu nigdy nic nie robił od niechcienia. Już się o tym przekonał.

— Nie bardzo... w sumie to wcale. Czasem rozmawiamy przez telefon. Myślę, że ma sporo pracy na nowym stanowisku.

Mossman pokiwał głową, poszedł do salonu i stanął przy oknie. Popatrzył w ciemność.

— *Well*, Vangede... — Zdawało się, że westchnął. Dalej odwrócony do niego plecami, zapytał: — Znasz tu kogoś?

— Nie.

— A od jak dawna tu jesteś?

— Jakieś osiem miesięcy.

— Hm. Już dawno chciałem cię odwiedzić, sprawdzić, co u ciebie słychać. Wybacz, Oxen. Straciłem poczucie czasu.

— Praca w komisji? Komisja Mossmana, tak o was mówią, prawda?

Mossman się zaśmiał.

— Taa. Niektórzy nazywają ją też mauzoleum. Ale tylko w niewielkim stopniu robię to z próżności. Pracy jest od groma i ona pozwala mi uniknąć miana emeryta — z którym przecież nigdy się nie pogodziłem.

Wrócili do salonu. Postawił kubki z kawą na stoliku i zajął krzesło obok kanapy, na której usiadł Mossman.

— Zatem... spróbuję raz jeszcze. Jak leci, żołnierzu? W sensie: jak *życie*?

Czego on się niby spodziewał? Że mu złoży raport z bieżącej sytuacji? Przyłapany z zaskoczenia w samym środku niedzielnej chandry?

— Są dni lepsze i gorsze. Chyba jak u wszystkich?

— Masz jakąś pomoc, chodzisz na terapię?

— Mam regularne spotkania z psycholożką w Wojskowym Ośrodku Weteranów.

— Pomaga ci to jakoś?

— To proces. Ponoć długi. Mógłby być krótszy. Ale przez te lata wszystko się pogłębiło. Sam nie wiem...

— A koszmary?

— Wciąż je mam.

— Żadnej poprawy?

— Przychodzą falami. Zawsze tak było.

— Hm... A twój syn? Widujesz go?

— Co drugi weekend.

— I jak wam idzie?

Zawahał się o ułamek sekundy za długo. Dziewięćdziesiąt dziewięć osób na sto by się nie zorientowało.

— W porządku.

— Nie musisz niczego upiększać, Oxen. Znamy się. To też jest proces, to z twoim dzieciakiem. A praca? Nie pracujesz chyba,

prawda?

— Jeszcze nie. Najpierw mam się wdrożyć w terapię. Chociaż mój opiekun prowadzący twierdzi, że wkrótce powinienem pomyśleć o jakimś szkoleniu, aktywizacji i tym podobnych. Na razie byłem na kursie pisania podań. I napisałem CV.

Mossman zaśmiał się tak, że luźna skóra załopotąła mu pod brodą.

— Chryste. Gdyby tylko wiedzieli, co tak naprawdę potrafisz... gdyby tylko wiedzieli...

Przez krótką chwilę milczeli, po czym Mossman odezwał się z namysłem:

— To może wziąłbyś małą, szybką robótkę, żołnierzu?

— Raczej nie. Muszę być dyspozycyjny, jeśli rynek pracy się o mnie upomni. Chyba tak to działa, prawda?

Głośne „ha” rzucone przez Mossmana w głąb kubka zadudniło głucho.

— Mógłbyś zamiast tego oddać się do dyspozycji mnie. Dasz mi wyjaśnić?

— Mów.

I w końcu dotarli do celu wizyty Mossmana.

— Kiedy dokopaliśmy się do archiwów Danehofu, znaleźliśmy w nich oczywiście mnóstwo ciekawych teczek. Jak wiesz, wszystko trafiło do spalarni. Zniszczenie tych dokumentów było w interesie kraju. Ale część się ostała, że tak powiem...

— Zapomniałeś coś wrzucić do ognia?

Mossman z powagą pokiwał głową.

— Przez nieuwagę coś tam odłożyłem. Parę ciekawych rzeczy do mojego prywatnego archiwum. Przecież to, cośmy tam znaleźli, to była istna puszka Pandory. Co chwila jakieś nieszczęśliwe wypadki i sprawy jawnie kompromitujące naszą demokrację. Przez część tych akt już przebrnąłem. Ale końca nie widać. Tajemnica skrywa kolejną tajemnicę, pod którą kryje się kolejna i tak dalej, i tak dalej. Jak rosyjskie matrioszki. Niekończące się pokłady zgnilizny.

Mossman uniósł brwi i przytrzymał jego wzrok. Najprawdopodobniej za chwilę przejdzie do rzeczy. Odchrząknął i ciągnął dalej:

— W jednym z pudeł natknąłem się na zwiastun kolejnego nieszczęścia — powiedział. — Ale tylko zwiastun. Podkreślam, że oczywiście mogę się mylić, ale chciałbym mimo wszystko poczynić pewne... *wstępne ustalenia*. I tu bardzo byś mi się przydał, żołnierzu. Dlatego chcę cię zapytać, czy nie miałbyś ochoty pojechać na Jutlandię i postarać się dowiedzieć czegoś o właścicielu starego majątku, starszym panu, lat siedemdziesiąt sześć, stanu wolnego. Który najwyraźniej nagle zapadł się pod ziemię. A ja bardzo chętnie bym sobie z tym człowiekiem porozmawiał. Wybrałem się nawet do niego i osobiście zapukałem do jego drzwi, ale go nie było. Zniknął. Może to by była miła odskocznia od twojej... rutyny?

— Gospodarstwo na Jutlandii?

Zadanie wydawało się banalne, ale już wiedział, że nie chce się w to mieszać. Nigdy więcej. Nigdy więcej nie będzie pracował dla Mossmana. Nigdy więcej nie da się wciągnąć w coś, co nie dotyczy jego osobiście — albo Magnusa.

— Tak... Nazywa się Harrildholm. Leży na pustkowiu, na obszarze Harrild Hede w Jutlandii Środkowej. W sumie nie tak daleko tamtego gospodarstwa rybnego przy Brande, gdzie pracowałeś.

Otóż to. To stąd pochodziło wrażenie *déjà vu*, które obudziła w nim wizyta Mossmana. Wtedy, dawno temu, kiedy Mossman niespodziewanie stanął w drzwiach jego skromnej chatki przy stawach hodowlanych, też było ciemno i padał deszcz. Tamta wizyta okazała się zapowiedzią gwałtownego zwrotu w jego życiu, który zmusił go do długiej, niebezpiecznej ucieczki.

Wciąż pogrążony we wspomnieniach, słyszał głos Mossmana:

— Pomyślałem, że może taka konfrontacja z przeszłością przyniesie ci coś dobrego. W bliższej lub dalszej perspektywie. To, co tam się wtedy rozegrało, musiało przecież zostawić w tobie głęboki ślad... Mógłbyś upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Odwiedzić Harrildholm, rozejrzeć się, może podpytać sąsiadów, czy nie wiedzą, gdzie się podział staruszek. A przy okazji, jeśli byś miał ochotę, mógłbyś zajść do tamtego gospodarstwa rybnego. Zrobić sobie taki *walk down memory*

lane? Tylko jeden, góra dwa dni. Oczywiście rozsądnie bym ci zapłacił.

Wrócił na swój parapet. Axel Mossman pożegnał się godzinę temu. Pogoda się zmieniła. Nadciągnął zimny front, który szybko poczuł na bosych stopach.

Deszcz przeszedł w śnieg. Drobne białe kryształki migotały za szybą.

Mossman bez słowa sprzeciwu przyjął jego odmowę. Jeszcze chwilę pogadali o tym i owym, po czym Mossman taktownie wstał, podał rękę, włożył mokry płaszcz i zniknął w mroku klatki schodowej, pozostawivszy po sobie chłód.

To spotkanie było dziwnie nieszkodliwe. I tak bardzo różne od wszystkich innych na przestrzeni ostatnich lat, gdy pojawienie się Mossmana zawsze zwiastowało burzę. Tymczasem teraz siedział w swoim domu i czuł dokładnie to samo co dawniej: że legendarny as wywiadu ma nad nim przewagę. Że olbrzym w tweedzie zawsze będzie o wiele przemyśleń i kroków przed nim. I że gdy Mossman przychodzi w interesach, to jego teczka zawsze ma podwójne dno.

Boże drogi. Gospodarstwo na Jutlandii. Harrild Hede. Siedemdziesięciosześcioletni mężczyzna, który zaginął... Wszystko brzmiało tak cholernie znajomo.

Nagle w mieszkaniu starszej pani z naprzeciwka zapaliło się światło. Białe ściany aż załśniły. Widocznie rodzina odwiozła ją z powrotem.

Teraz w mieszkaniu pojawiła się również jakaś kobieta. Przypominała pracownicę ośrodka opieki. Godzina zresztą też by pasowała. Zapalono więcej świateł. Dziwne... Kobieta spojrzała w górę. Przez krótką chwilę wydawało mu się, że patrzą sobie w oczy, więc wycofał się na kanapę i włączył telewizor.

Włączył program informacyjny. Miał ochotę zajrzeć do świata zewnętrznego, co rzadko mu się zdarzało. Akurat zaczęło się wieczorne wydanie wiadomości. Prezydent Stanów Zjednoczonych wypluł kolejnego tweeta i wprawił świat w

osłupienie. Już miał przełączyć kanał, kiedy prezenterka zmieniła temat.

„...ze Stanów Zjednoczonych wracamy do wiadomości z kraju. Wilk powrócił na Harrild Hede w Jutlandii Środkowej. To tam zaledwie kilka lat temu udokumentowano obecność pierwszego w kraju wilka po ponad dwustu latach nieobecności. Przypomnijmy tamto ujęcie... Oto on. Wilk schwytany w obiektyw fotopułapki przy paśniku na Harrild Hede. Wykonane wówczas nagranie było jedynym, na którym został uwieczniony. Dziś wiemy już, że wilk wrócił w to samo miejsce. Niezwykle nagranie otrzymaliśmy dziś wieczorem od Urzędu Ochrony Środowiska. Wykonano je na terenie wrzosowiska, gdzie we współpracy z Uniwersytetem w Aarhus i miejscowym Muzeum Historii Naturalnej zamontowano szereg fotopułapek. Proszę zobaczyć, jak za moment po lewej stronie pojawi się...”

Zwierzę było widać wyraźnie i całkiem blisko. Stąpając ostrożnie, wchodziło w środek kadru. Wszystko rozgrywało się na leśnej drodze, błotnistej i usianej kałużami. Wilk przez chwilę węszył z nosem przy ziemi, po czym zastygł w bezruchu i oddalił się w stronę lasu charakterystycznym, lekkim truchtem, niemal jakby wyfrunął z telewizora i zniknął pod tapetą.

„Nagranie wykonano niemal trzy tygodnie temu, ale dopiero dziś zdecydowano się je upublicznić. Harrild Hede to jeden z największych dzikich obszarów Jutlandii Środkowej, występują tam zarówno wrzosowiska, jak i rozległe plantacje leśne pochodzące z czasów tuż po drugiej wojnie światowej. Wilk w ciągu doby jest w stanie pokonać odległość do osiemdziesięciu kilometrów, więc niewykluczone, że w tamtej okolicy od dawna nie ma już po nim śladu. A teraz ponownie wracamy do ostatnich doniesień ze świata polityki. Rozpoczęte w ten weekend negocjacje wskazują, że dni mniejszościowego rządu wkrótce mogą się okazać policzone...”

Szybko przełączył. To było ładne nagranie. Gdyby miał wskazać jedno zwierzę, które go fascynuje, byłby to wilk. Wybitny łowca i mistrz przetrwania, *Canis lupus*.

Nie wiedział, jak długo tak siedział, gdy w jego głowie przeplatały się obrazy wilków i Mossmanów. Z zamyślenia

wyrwało go niespokojne niebieskie światło za oknem. Kazało mu wstać z kanapy.

Nie zamierzał się gapić, po prostu nie udało mu się nie zobaczyć dwójki mężczyzn z noszami na kółkach wchodzących do mieszkania naprzeciwko. Naciągnęli na nią białe prześcieradło.

Drobna staruszka w fioletowej podomce wychodziła już wszystkie przydzielone jej kroki. Choć nigdy donikąd nie zaszła.

Rozdział 5.

Lepiej znosił oblężenie przez partyzantów w środku złowrogiej nocy w prowincji Helmand niż pojedynkę w biały dzień ze starszą kobietą siedzącą naprzeciw.

Zerknął na zegarek. Wkrótce połowę seansu z psycholożką będzie miał za sobą. Kobieta była inteligentna i życzliwa, od wielu lat związana z Wojskowym Ośrodkiem Weteranów, gdzie przepracowywała z połamanymi przez doświadczenia byłymi żołnierzami ich traumy.

Był to czas zdawania raportu. Ona, jak zawsze rozluźniona i uważna, przyglądała mu się mądrymi oczami zza szkieł okularów. On jak zawsze spięty niczym sprężyna w potrzasku.

— A powiedz, Niels, co z Siódemką. Coś się zmieniło?

Pytała o serię powracających koszmarów, które go dręczyły w ostatnich latach. Pojawiały się i mijały — wchodziły i wychodziły z jego głowy i zlanego zimnym potem ciała, jak im się podobało. Jedyne obserwacje, jakie poczynił i które mogły się do czegokolwiek przydać, pochodziły z okresu, gdy pracował w gospodarstwie rybnym, przy stawach i karczowaniu lasu. Długie dni wypełnione fizycznie wyczerpującą pracą skutecznie zmniejszały intensywność koszmarów.

Spokój, powtarzalność i intensywny wysiłek fizyczny, jakkolwiek niewystarczające, były jak dotąd jedynymi lekami, które sam mógł sobie zaordynować.

— Siódemka? Nie, raczej nie...

— *Flashbacki?*

— Tak jak ostatnio. Niewiele. Żyję spokojnie. Nie dzieje się nic nowego, co mogłoby wywołać reakcję.

— Porozmawiajmy o twoich zachowaniach unikowych. Czy spróbowałeś podjąć wyzwanie, o którym mówiliśmy? Chodziło o rozpoczęcie sezonu, prawda?

Pokręcił głową. Myśl, że miałby obejrzeć mecz na stadionie Parken, wciąż przyprawiała go o dreszcze.

— Czuję, że to... za wcześnie.

— Niels, zawsze będziesz tak czuł. Tak jak mówiłam ostatnio — to błędne koło. Unikasz czegoś, aby się chronić, ale to unikanie w rzeczywistości sprawia, że twój stan się utrwała — albo wręcz pogarsza.

Psycholożka zamilkła. Patrzyła tylko z surowym uśmiechem belferki. I faktycznie poczuł się, jakby nie odrobił lekcji.

— Od jakiegoś czasu zastanawiam się nad twoją sytuacją i naszymi postępami. Muszę stwierdzić, że nic nie idzie tak, jak zakładałam. Nie poczyniłeś żadnych postępów. A jeśli już, to minimalne w stosunku do czasu, jaki upłynął. To nie jest twoja wina. Po prostu o wiele za długo tkwiłeś w tym bagnie. PTSD to twardy i podstępny przeciwnik. Jestem zmuszona się wycofać — dla twojego dobra.

Popatrzył na nią. I nie potrafił ukryć zaskoczenia. Na moment ogarnęło go dekadencjne poczucie ulgi. Ale zaraz po nim ciarki przeszły mu po plecach.

— Więc nie ma szans, żebym z tego wyszedł?

— Nie, to nie to. Po prostu zbyt długo z tym żyłeś, a ja nie czuję się kompetentna, aby uporać się z tak głębokim problemem. Jednocześnie byłoby z mojej strony oszustwem i błędem kazać ci brnąć głębiej i szukać pomocy u psychiatrów zajmujących się naprawdę ciężkimi i złożonymi przypadkami. Bo ty nie jesteś pacjentem psychiatrycznym, Niels. Jeśli się zgodzisz, chciałabym cię wysłać do pewnego mojego znajomego terapeuty. On się specjalizuje w terapii EMDR.

— EM...?

— ...DR. Od *eye movement desensitization and reprocessing*, odwrażliwianie za pomocą ruchu gałek ocznych. To stosunkowo nowa technika psychoterapeutyczna, która daje znakomite efekty, potwierdzono to w praktyce. Nie zostało naukowo udowodnione, *dlatego* metoda EMDR działa, ale nawet Światowa Organizacja Zdrowia uznała jej skuteczność w leczeniu stresu pourazowego.

— Ruchy gałek ocznych? — Sceptycyzm musiał mieć wypisany na czole. Wielkimi literami.

— Dokładnie. Część terapii polega na tym, że terapeuta prowokuje u pacjenta serie rytmicznych ruchów gałek ocznych, na przykład prosi, by obserwował jego palec, i przesuwa go z prawej do lewej, w dużej liczbie powtórzeń, przez, powiedzmy, pół minuty. W tym czasie pacjent ma przywołać do świadomości swoje negatywne emocje, wspomnienia i myśli związane z traumą. Zostają one wówczas przepracowane — i zastąpione pozytywnymi. To z oczami, nazywane stymulacją bilateralną, to jedynie element tego procesu. Prawdopodobnie wprowadza pacjenta w stan delikatnego transu, dzięki któremu jest bardziej podatny na leczenie. Mówiąc językiem potocznym, chodzi o rozdzielenie przeszłości od terażniejszości. EMDR potrafi zerwać to połączenie.

Milcząco pokiwał głową. Przed oczami miał hipnotyzera, który przesuwa uniesiony w górę palec i wmawia mu, że jest napalonym królikiem.

— Metoda jest konfrontacyjna. Dlatego może mieć gwałtowny przebieg. Sesja trwa od jednej do półtorej godziny. I pacjent musi być wyciszony. Inaczej to doświadczenie może go przerosnąć. Ale ty prowadzisz obecnie spokojny tryb życia.

Znów kiwnął głową. Czyli terapię kognitywną chcą mu zastąpić drażnieniem tematu w połączeniu z przewracaniem gałami — zalecanym przez WHO. *What the fuck...*

— Niels. Nie polecałabym ci tej metody, gdybym nie wierzyła, że to może być coś dla ciebie — dodała poważnym tonem.

Walczył ze sobą. Elementem jego dotychczasowej terapii było rozpoznawanie własnych reakcji. Jednym z jego najsilniejszych objawów była nieufność. Rozpozna, złap — i unieszkodliw. Tak sformułował zlecenie stałe dla samego siebie.

— Brzmi... ciekawie... zdecydowanie ciekawie. Jeśli to właśnie mi polecasz, to... to chciałbym... spróbować.

Psycholożka z zadowoleniem pokiwała głową.

— Dobrze. Dopilnuję, abyś mógł zacząć jak najszybciej. Wprowadzenie do terapii trochę zajmie, a ty będziesz musiał nabrać stuprocentowego zaufania do terapeuty.

— Okej. Mam tylko jedno pytanie.

Kobieta kiwnęła głową.

— Czy to może się przysłużyć — lub zaszkodzić — jeśli na przykład ponownie znajdę się w miejscu, z którym wiążą się jakieś moje gwałtowne przeżycia?

— Chodzi o którąś z twoich misji?

— Nie. Tu, w kraju.

— O jak dawnych przeżyciach mówimy?

— Sprzed półtora roku.

— Myślę, że to nie powinno zrobić różnicy. Twoje traumy są znacznie starsze. Tylko po co miałbyś to robić?

— Żeby... zmierzyć się ze wspomnieniami i z przemyśleniami.

— Śmiało możesz próbować. To raczej nie pomoże ci uporać się ze stresem pourazowym, ale jeśli pomoże w jakikolwiek inny sposób, to świetnie. — Uśmiechnęła się i spojrzała na zegar na ścianie. Za kilka minut będzie mógł odetchnąć z ulgą.

— Czy mogę jeszcze na koniec zapytać cię o coś, tak bardziej prywatnie? Chciałbym po prostu poznać twoje zdanie... Chodzi o mojego syna...

— Oczywiście, Niels.

— Bo wiesz, jeszcze przed zeszłorocznymi wakacjami zacząłem go regularnie widywać. Ale to nie działa. Po prostu nie działa.

Psycholożka uniosła brwi.

— Hm. Myślałam, że idzie świetnie. Tak powiedziałaś, kiedy zapytałam ostatnim razem.

Wzruszył ramionami przepraszająco.

— Skłamałem. Albo może próbowałem zaklinać rzeczywistość. Wybacz. Miałem go właśnie na weekend. Nie umiem z nim rozmawiać. Zbliżyć się do niego. Nie mam pojęcia, co robić.

— Okej. Nie mam specjalizacji z psychologii dziecięcej, ale mam trójkę dzieci. Dwie dziewczyny i chłopaka. Zostałam już nawet babcią. I powiem ci coś, co się sprawdza również w wielu innych dziedzinach życia: im bardziej się starasz, tym większe ryzyko, że ci się nie uda. Może więc za bardzo się starasz?

— Wydaje mi się, że próbuję dać mu czas i przestrzeń. Że próbuję się do niego zbliżyć z najwyższą ostrożnością.

— Co robicie, kiedy jesteście razem?

— Sporo czasu siedzimy u mnie w domu. Czasem idziemy na spacer, do lasu albo do zoo. Raz poszliśmy do wesołego

miasteczka, ale ograniczają nas duże skupiska ludzi.

— Dokładnie tak, jak powiedziałeś: to cię ogranicza. I pogłębia twoją izolację, która moim zdaniem się nasila. Nie pomyślałeś, że być może on się po prostu piekielnie u swojego taty nudzi?

Pokiwał głową. Owszem, pomyślał.

— Od początku wydawało mi się po prostu, że nie powinienem bez przerwy czegoś dla niego wymyślać. Że musimy najpierw na nowo poznać się nawzajem.

— Pojechaliście gdzieś razem, na jakieś krótkie wakacje, albo choć zrobiliście sobie dłuższy wypad gdzieś dalej od miejsca, gdzie mieszkasz?

— Vangede...

— Właśnie, Vangede. Wyjechaliście kiedyś stamtąd?

— Nie, raczej nie.

— Więc może spróbuj. Postaraj się zmienić fizyczne ramy waszych spotkań. Zmienić otoczenie. Zerwać ze schematem, który najwyraźniej się nie sprawdza.

— Czyli co — wakacje?

— Albo coś innego. Kilka dni. Jakakolwiek znacząca zmiana. Z dala od Vangede. Nie twierdzę, że to pomoże, ale być może wywoła w twoim dziecku inną, nową reakcję. Tak naprawdę w was obu.

Była dziesiąta wieczorem. Siedział na swoim stałym miejscu w oknie i ostatni raz układał sobie to wszystko w głowie.

Światło w oknach mieszkania obok rzucało ostre prostokąty w ciemną noc. Okna na wprost były czarne. Były takie od tamtego wieczora, gdy ją wynieśli.

Za to do mieszkania zdążyła wejść rodzina, żeby wynieść jej ziemskie dobra. Przewinął się też dozorca i szereg majstrów. Odmalowali ściany. Zamalowali na biało ostatnie ślady staruszki w fioletowej podomce.

W rękach trzymał komórkę. W głowie kotłowały mu się upiorne wspomnienia, wilki oraz wizje jego samego i Magnusa w nowym otoczeniu... *Samochodowa wyprawa na Jutlandię?*

Wyszukał w kontaktach numer i wybrał. Po chwili usłyszał głęboki głos, którego nie dało się pomylić z żadnym innym:
— Mossman.

Rozdział 6.

Noc była czarna, jakby oblepiona smołą. Tylko dzięki latarce odnajdywał drogę, idąc szlakami dzikich zwierząt, leśnymi i polnymi ścieżkami. W końcu przystanął i się zawahał.

To chyba tu — czy nie?

Było inaczej niż ostatnio, gdy księżyc wszystko oświecał i wskazywał drogę. Dlatego nie był do końca pewien, choć te pola, wrzosowiska i las znał jak własną kieszeń. Omiótł teren latarką. Tak, to ten prześwit między gęsto rosnącymi jodłami. Niewielki skrawek ziemi, który kiedyś wykarczowano, by zrobić miejsce na składowanie drewna.

Wyłączył latarkę, żeby łatwiej mu było ogarnąć wzrokiem otoczenie. Na szczęście nie bał się ciemności. Przeciwnie. Ciemność dawała mu poczucie bezpieczeństwa, jak ciepła kołdra dziecku. Bał się za to wielu innych rzeczy. A najbardziej bał się Głosu...

Nawet teraz, chociaż w pełni ufał otaczającej go ciemności, poczuł w brzuchu lekkie drżenie. To dlatego, że przypomniał sobie, co dokładnie zobaczył tamtej nocy.

Świecące złowrogo oko na środku czoła czarnej postaci, która sapiąc i pocąc się, kopała przejście do Podziemnego Świata, by wrzucić tam swoją tajemnicę i ukryć ją przed światłością oraz zamieszkującymi ją ludźmi.

Ostrożnie zrobił parę kroków w tamtym kierunku i znów włączył latarkę. Wtedy leżał tam, po drugiej stronie polany. Światło latarki przesunęło się po zgniłym pniaku. To było niewielkie zagłębienie, w którym się wtedy schował i skąd obserwował wszystko zza dużego krzaka jeżyn. Zdumiewające, że tak się rozrósł, czerpiąc pożywienie z nielicznych promieni słońca, które docierały na dno lasu.

Wtedy było przenikliwie zimno, o wiele zimniej niż teraz, choć do końca zimy wciąż było daleko. Nadal mogło sypnąć śniegiem albo zmrozić ziemię na kamień.

Poświecił wokół latarką, ocenił rozmieszczenie rosnących po drugiej stronie drzew względem swojej kryjówki i podszedł jeszcze kilka kroków. To było dokładnie tu. Pod jego stopami.

Spojrzał na czubki swoich gumowców, obcasem rozgrzebał lekko ściółkę i zamarł. Dokładnie tu... Jakiś metr, może trochę więcej pod nim leżało to — ciało. Dawniej żywy, oddychający człowiek. Teraz martwy, gnijący i przykryty grubą warstwą ziemi. Dziwne, jak o tym pomyśleć. Tak daleko od kościoła, od równych ścieżek wysypanych drobnym żwirem, bez nagrobka. Otoczony tylko wysokimi jodłami.

Kim był ten człowiek? Mężczyzną czy kobietą? Był młody czy stary? I dlaczego musiało go spotkać to, co go spotkało? Co takiego zrobił? Albo czego nie zrobił?

Trochę się bał, że Głos każe mu kopać, że każe mu kopać tak długo, aż wydobydzie ciało. Musiałby wówczas poświęcić całe dnie na to, by go przewyciężyć, odsunąć od siebie i odzyskać równowagę. Lecz Głos najwyraźniej nie dbał o to ciało. Dlatego mógł tu teraz stać i tylko wspomnienie złego, świecącego oka wwiercało mu się w brzuch.

Od tamtej pory twarz mężczyzny nawiedzała go każdej nocy. Był bowiem pewien, że ją rozpoznaje. Nie wiedział skąd, ale ją znał. Nie udało mu się zbliżyć ani o krok do ustalenia, skąd pochodzi to niedające spokoju przekonanie.

To był starszy mężczyzna, starszy od niego. I machał łopatą z zapamiętaniem, aż para biła z monstrualnego, rozgrzanego ciała.

Przyklęknął i odgarnął na bok warstwę liści, mchu i brązowych igieł. Wbił palce w ziemię, była spulchniona. Bardziej niż powinna. To jednak nie pozwalało nawiązać jakiegokolwiek kontaktu z nieszczęśnikiem uwięzionym pod spodem. Wciąż nie wiedział, czy to mężczyzna, czy kobieta. Może złotowłosa księżniczka, która leży tam i marznie, i czeka, aż ktoś taki jak on, ksiązę, obudzi ją i wydobydzie z Podziemnego Świata...

Nie, raczej nie. Takie historie nazywają się baśnie. Coś takiego mógłby napisać Hans Christian Andersen. A tu nie było nic baśniowego. Jedynie kawałek wykarczowanego lasu z czarnymi, milczącymi jodłami dookoła.

Sam nie wiedział dlaczego. Wiedział tylko, że coś kazało mu tutaj przyjść. Coś w nim samym, co być może chciało się przekonać, że to prawda, to, co wtedy zobaczył. Że to nie był tylko zły sen.

Nie zawsze łatwo rozpoznać, co jest prawdą, a co istnieje jedynie w jego głowie, czasem tak przepełnionej najróżniejszymi myślami, jakby lada chwila miała wybuchnąć.

Pewność... teraz wbił w ziemię wszystkie dziesięć palców i naprawdę to poczuł. Myśli, które nie dawały mu spokoju od tamtej księżycowej nocy, były prawdziwe. To, co przeżył, było prawdziwe. To nie koszmar. Dobrze było mieć pewność. Ona go uspokoiła.

Jedno tylko musiał sobie wbić do głowy: nigdy nikomu nie powiedzieć o tym ani słowa.

Starannie z powrotem zasłonił ziemię ściółką. Wstał i jeszcze chwilę postął, by pożegnać się z nieznajomym. Potem odwrócił się i ruszył w długą drogę powrotną.

Rozdział 7.

Stali przy bagażniku i wkładali gumiaki. Wynajął na ich wycieczkę małego opla. Był poniedziałek, pierwszy dzień tygodniowych ferii zimowych, połowa ludzi wyjechała z kraju, więc drogę przez Zelandię i Fionię w kierunku Brande pokonali szybko i bez przeszkód.

Spora część ich rodaków pewnie już szusowała po ośnieżonych stokach sąsiedniej Norwegii lub Szwecji. Inni w tej chwili gnali po niemieckich autostradach w stronę alpejskich tras w Austrii, ale też we Francji, Włoszech i w Szwajcarii.

A oni z Magnusem stali w czarnym błocie na drodze w środku lasu. Akurat przyszła odwilż, z wysokich drzew i gęstych zarośli na zboczu lasu spadały duże krople. Było pięć stopni powyżej zera.

Ukradkiem obserwował minę Magnusa. Kiedy mu zaprezentował program na ferie zimowe, chłopak głośno zaprotestował. Nie mógł darować swojej matce, że go nie zabrała do Nowego Jorku, w podróż, która była podobno na wpół służbowa, a ją zaproszono jako osobę towarzyszącą, na koszt firmy męża.

Magnus większość drogi przesiedział z nosem w iPadzie, ale zamienili też parę zdań. O nartach i nurkowaniu. Magnus próbował obu — i wolał snorkowanie na Malediwach. Chociaż „trasy w Val Thorens są super”.

Na moment przypomniał sobie, jak sto lat temu on i Birgitte, świeżo zakochani, pojechali autokarem do Szwajcarii, do Zell am See, razem z trzema innymi znajomymi parami. Fryzury na czeskich piłkarzy, turkusowe kombinezony z ortalionu i après-ski z przybijaniem gwoździa do stołu.

Gdyby ktoś wtedy wyjął kryształową kulę i powiedział mu, jak się potoczy jego życie, tarzałby się w śniegu ze śmiechu.

— Ty tu *mieszkałeś*? — Magnus rozglądał się z mocno sceptyczną miną.

Ruchem głowy wskazał na osmalone ruiny, które były jego domem w czasach, gdy pomagał staremu Johannesowi „Rybakowi” Ottesenowi dbać o hodowlę i las.

— Tak, mieszkałem tu.

Magnus już nic nie powiedział.

Poczuł się, jakby go publicznie obnażono. Domyślał się, że samo jego zapewnienie raczej niewiele zdziała wobec zmarszczonych brwi chłopaka, ale i tak spróbował.

— Kiedy tu mieszkałem, to była całkiem przyjemna chatka. Niewielka, ale przytulna, i tylko moja.

Nie mógł mu oczywiście powiedzieć, że za panelami w ścianach ganiały szczury, a dach był dziurawy i groził zawaleniem. Nie mógł też powiedzieć, że w kuchni w pudełku trzymał pisklę wrony.

Gdyby to zrobił, automatycznie wypadłby z bezpiecznych torów normalności. Szybko doszedł do wniosku, że jednak nie ma odwagi pokazać synowi aż tak prawdziwego obrazu samego siebie.

Wtedy Magnus zagadnął niepewnie:

— Mówiłeś, że to gospodarstwo rybne. Ale tu nie ma żadnych ryb.

— Bo stawy są kawałek dalej.

— Czym się tu zajmowałeś?

— Pomagałem przy rybach i w lesie.

— Karmiłeś ryby?

— No. Ryby trzeba karmić. A drzewa trzeba wycinać.

Magnus pokiwał z namysłem głową i ciągnął:

— Co to były za ryby?

— Pstrągi.

— Widziałem kiedyś pstrąga. W Niebieskiej Planecie^[1].

— A tam, poniżej płynie Skjern Å. Słyszałeś o niej?

Magnus pokręcił głową.

— To najobfitsza rzeka w Danii, to znaczy, że płynie w niej najwięcej wody. Tak jak Gudenå jest najdłuższa w kraju. Słyszałeś o niej?

— O rzece Gudenå? Słyszałem. Ale o tej drugiej nie.

— W tej rzece poniżej są łososie. Gdy tu mieszkałem, często chodziłem na ryby, ale nigdy nic nie złapałem.

— Łososie też widziałem w Niebieskiej Planecie.

— To piękna ryba. I walczy jak prawdziwy wojownik, jeśli da się złapać na haczyk.

— Lubię łososia. Często go jemy. Nawet bardzo lubię.

— Może kiedyś nauczę cię łowić ryby? Wtedy będziesz mógł sobie sam jakiegoś złapać.

— Może...

Ot, taka mała rozmowa. Ale dobrze rokująca. Poczuł, jak po ciele rozchodzi mu się przyjemne ciepło. Jak dobrze widzieć, że...

— Niels. Ale po co właściwie tu przyjechaliśmy? Tylko dlatego, że masz tu jakąś pracę do zrobienia?

Bez mrugnięcia okiem przyjął ten nagły cios w brzuch.

— Trochę rozejrzemy. Skoro i tak jesteśmy w okolicy, prawda? No, chodź!

Ruszyli w kierunku spalonych gruzów. Fragmenty ścian i płyty blachy falistej z dachu leżały tak, jak zawaliły się tamtej nocy. A gdzieś tam, pod zgliszczami, znajdowało się wejście do małej piwnicy, z której uciekł wykopanym samodzielnie tunelem.

W tej chwili trudno było to sobie wyobrazić. Choć wszędzie zamontował kamery i nigdy nie opuszczało go poczucie zagrożenia, mimo wszystko to miejsce stanowiło spokojną przystań w chaosie, którym było jego życie.

— I tam mieszkałeś? Kiedy to było?

Znów napotkał sceptyczny wzrok Magnusa.

— Tak. Tam mieszkałem. Niecałe dwa lata temu. To było dobre miejsce do życia. Jak ci mówiłem...

Magnus zmarszczył nos. Możliwe, że właśnie uzyskał potwierdzenie, że jego ojciec to świr.

— To się spaliło, kiedy tam mieszkałeś?

— Nie, nie. Dopiero później.

— Dlaczego?

— Właściwie to nie wiem. Może zrobiło się zwarcie. Instalacja była przestarzała.

Usłyszał alarm. Wyskoczył z łóżka i szarpnięciem otworzył drzwi szafki. Na ustawionych szeregowo monitorach widział, że z każdej strony z poszycia leśnego zakradał się wróg. Migotało osiem z dwunastu lampek ostrzegawczych. Postacie miały na sobie kamizelki kuloodporne i sprzęt noktowizyjny. Były uzbrojone w broń maszynową. Błyskawicznie się ubrał, złapał pistolet i mały plecak — i rzucił się w stronę schodów.

Ale wtedy to nie był flashback, ostre jak brzytwa wspomnienie, które mogło go sparaliżować w środku dnia. To były minuty dzielące życie od śmierci, które znów kazały mu uciekać. Teraz stał po prostu i słyszał dźwięki, a przed oczami miał obrazy — lecz nie wiązało się z nimi poczucie zagrożenia. Może to konkretne „wspomnienie” znalazło już swoje miejsce w jego podświadomości?

— Co za ruina. Dobra, chodźmy. To gdzie te stawy?

— Kawalek dalej, wzdłuż drogi. Ale, Magnus, raczej nie licz, że zobaczysz tam choć jedną rybę.

— Dlaczego nie?

— Właściciel nie żyje. Nie miałyby się kto nimi zajmować.

— Zmarł, kiedy tu byłeś?

— Nie, później. Dowiedziałem się od jednego mojego znajomego. Pochorował się. Był już stary.

Ruszyli kolejnami w stronę małego domu Rybaka i jego stawów. Brama maszynowni wisiała na jednym zawiasie, w dachu brakowało całego pasa blachy. Dalej, po prawej, widział pozostałości wiaty, pod którą schronił się w tamtą pamiętną noc sylwestrową. Wichura musiała wyrwać z korzeniami ogromną jodłę i zwalić ją na kruchą konstrukcję.

Przeszyło go zimno, w nozdrza uderzył zapach owczych odchodów. Tamtej nocy nie wiedział nawet, że jest Nowy Rok, dopóki nie usłyszał fajerwerków w zabudowaniach kawałek dalej.

Magnus pobiegł w stronę małych, rozmieszczonych w rzędach stawów i stanął na brzegu jednego.

Kiedy sam tam dotarł, ostrożnie położył rękę na ramieniu syna.

— Nie widzę żadnego, a ty, Niels?

— Też nie. Pewnie poumieraly albo ktoś je wyłowił i wywiózł na ubój.

— Na ubój? Do rybnej rzeźni?

— Tak się robi, gdy się hoduje ryby na taką skalę.

— Pójdę zobaczyć kawałek dalej.

— Jasne.

Magnus pobiegł. On sam ruszył w stronę pomalowanego na biało domu. Drzwi stały otwarte na oścież, wszystkie szyby w szprosowych oknach były wybite. Przez najbliższe okno zajrzał do środka. Większość sprzętów była zniszczona. Wyglądało to, jakby ktoś kiedyś urządził tu sobie imprezę. Wszędzie walały się puszki po piwie.

Przy wejściu ktoś ustawił cały stos płyt blachy falistej. Wyglądały jak te z dachu maszynowni. Zbliżył się do drzwi, ale na moment się zawahał. Dlaczego? Czy dlatego, że czuł się jak włamywacz? Nie wiedział, czy...

Rozległ się głośny, przeszywający huk.

Instynktownie rzucił się do środka, przywarł płasko do betonowej podłogi w małym przedpokoju, przetoczył się, ukląkł na jedno kolano i ukrył się za ścianą.

► Bravo 16, tu Bravo 24. Ogień z dachu na południu sektora T3M7. Unikaj kontaktu. Czekaj. Użyj tylnych drzwi w strefie lądowania. Odbiór. ◀

► 16, przyjąłem. Bez odbioru. ◀

Na zewnątrz było cicho. Żadnego, najmniejszego nawet dźwięku. Ostrożnie wyjrzał zza muru. Zobaczył Magnusa. Chłopak stał i patrzył na niego zdumiony. W końcu zawołał:

— Hej... co się dzieje? To tylko kamień, co nie? — W ręce trzymał kolejny kamyk, podobny do tego, którym przed chwilą z całej siły rzucił w arkusze blachy. — Niels, czemu tak się boisz?

Wyprostował się i w kilku długich susach przyskoczył do swojego syna. Stanął przed nim i wrzasnął:

— *Tato!* Pojmiesz to wreszcie? *Tato!* Ta-to. To takie cholernie trudne?

Magnus patrzył na niego osłupiały.

— ...i nie, nie boję się, do diabła! Nawet jeśli twoja matka tak uważa. Cokolwiek ona twierdzi, nie boję się i nie jestem szurnięty. Po prostu nie lubię głośnych dźwięków. I nagłego hałasu. Wydaje mi się wtedy, że jestem pod ostrzałem. Wroga! Potrafisz to zrozumieć? Albo że nadciąga atak. Moździerze, rakiety, miny albo zamachowiec samobójca. I czy naprawdę musisz stale mieć tak cholernie skwaszoną minę? Ja się *staram*. Nie rozumiesz tego? *Staram się...* Najlepiej jak umiem. Nie mam... tak bardzo bym chciał...

Zamilkł.

Za późno.

Magnus od dawna na niego nie patrzył, tylko przestępował niespokojnie z nogi na nogę ze wzrokiem wbitym w ziemię. Wyglądał na kompletnie skonsternowanego.

— Magnus. Spójrz na mnie.

Chłopak wciąż wpatrywał się w czubki swoich butów.

— No, popatrz.

Niechętnie podniósł wzrok i popatrzyli sobie w oczy.

— Po prostu tak bardzo bym chciał być kimś więcej niż facetem, którego odwiedzasz w co drugi... no wiesz... staram się, żeby...

Właściwe słowa nie chciały mu przejść przez gardło. Blokowały się tuż przed tym, gdy powinny minąć migdałki i swobodnie opaść na język. I tylko wirowały w jego głowie, przeganiały się nawzajem, jakby poza jego kontrolą grały w gorące krzesła i przez to nie mogły wpaść na swoje właściwe miejsce. A Magnus nadal na niego patrzył, ale nie dlatego, że chciał, lecz dlatego, że mu kazał.

— Przepraszam... przepraszam cię, Magnus. Wybacz, że tak się wściekłem. To dlatego, że się przestraszyłem. I dlatego wyrzuciłem z siebie te wszystkie słowa. Zapomnij o tym. Okej?

Chłopak wzruszył ramionami.

— Nie gniewasz się? — Położył rękę na ramieniu syna.

— Nie, wszystko w porządku.

Magnus cofnął się kawałek i wysunął ramię spod jego dłoni.

— To dobrze. Więcej nie będziemy o tym rozmawiać. Muszę się tylko trochę rozejrzeć. To nie potrwa długo.

— A mogę wrócić do samochodu? Wolę pograć. Już wszystko obejrzałem.

— Okej. Wracaj do iPada. Będę za pięć minut. Samochód jest otwarty. Z tyłu leży koc, gdybyś chciał...

— Nie chcę.

Magnus odwrócił się i ruszył z powrotem w stronę drogi.

On sam ponownie wszedł do niewielkiego przedsionka. Drzwi do pokoju również były otwarte na oścież. Zatem wrócił tu. Miał się z tym wszystkim zmierzyć, bo być może wyniknie z tego coś dobrego. To będzie bolesne, ale może uzdrawiające spotkanie z przeszłością.

Zamiast tego myślał jednak tylko o tym, żeby pobiec za Magnusem, złapać go, podnieść i mocno przytulić. Przycisnął policzek do jego policzka, pogłaskać, zmierzwić mu włosy, poklepać go po plecach — i już nigdy nie postawić z powrotem na ziemię.

Stał w progu jak skamieniały. Nie, nie mógł za nim pójść. Swoim wybuchem odepchnął go od siebie jeszcze bardziej i perspektywa przytulenia oddaliła się o lata świetlne, o ile w ogóle mogła się jeszcze oddalić.

Uderzył pięścią w ścianę przed sobą. Duży płat tynku spadł na podłogę. Zdarł sobie skórę z kłykci, ale nawet tego nie poczuł.

Przesunął wzrokiem po rozpaczliwie smutnej scenerii domu. Dokładnie tam, kilka kroków w głąb tego pokoju, uratował starego właściciela gospodarstwa przed dwoma rumuńskimi bandytami. Zmusił ich do ucieczki, aby kilka minut później przybrać imię i nazwisko jednego z nich. Adriana Dragosa.

I życie potoczyło się dalej, jak to u niego: burzliwie, chaotycznie, kolejne porażki i kolejne ucieczki, a kiedy półżywy otworzył oczy w domu na jednej z wysp szwedzkiego archipelagu, na ustach wciąż miał to samo kłamstwo, a w głowie jasne przekonanie, że wcale nie jest Oxenem, ale Dragosem.

Wdepnął w bagno tamtego przeklętego dnia, gdy postanowił wsiąść do pociągu i razem ze swoim psem zostawić za sobą Kopenhagę, by zaszyć się w Rold Skov, i tkwił w nim do dziś, kiedy znów zamieszkał w Kopenhadze. Koło się domknęło.

Wyjrzał przez pozbawione szyby okno. Daleko na drodze widział plecy Magnusa.

Wyglądało na to, że zepsuł ich wakacje, zanim na dobre się zaczęły.

[1] Największe akwarium w Europie mieszczące się w Kastrup niedaleko Kopenhagi — *przyp. tłum.*

Rozdział 8.

Żółta koparka, kołysząc się na boki, przejechała przez podwórko i zniknęła za starą oborą, tam gdzie stały dwie hale. Rozpadało się na dobre i koparka, wtaczając się na cementową podłogę większej z nich, zostawiała za sobą szerokie ślady błota.

Z szoferki wysiadł niski, krępy mężczyzna w roboczym kombinezonie i puchówce. Obok stał oparty na lasce staruszek. Pomagał mu odpowiednio zaparkować koparkę — całkiem niepotrzebnie — jakby to był boeing 747, którego trzeba naprowadzić na miejsce w hangarze.

— Czołem, Mini. Co za paskudny wieczór. To nie jest... — Atak kaszlu przerwał staruszkowi powitanie. — ...pogoda, żeby wyciągać... z domu porządnych ludzi — dokończył zdyszany, kiedy kaszel ustał.

Mężczyzna w puchówce poklepał go po plecach.

— Z tym kaszlem chyba powinienes już iść do domu opieki, co, Stary Thorze?

Staruszek się zachnął.

— Sam się nadajesz do domu opieki. Chodź, napijemy się po jednym.

Starszy mężczyzna, utykając, szedł w stronę obory. Między halami i wzdłuż jednej ze ścian obory stały trzy furgonetki, dwa samochody osobowe, rower i dwie motorynki.

— O, widzę, że Sztynk też przyjechał — zauważył Mini i głową wskazał czarną toyotę hilux, która stała najdalej. — Jest mi winien odśnieżanie od ostatniego razu.

Przez wisko Sztynka nie brało się znikąd. Brało się z łajna. Sam w pojedynkę rozkręcił swój biznes — odsysanie szlamu i usługi asenizacyjne. I choć czasem bywał nieco zbyt obcesowy — nawet jak na ich standardy — to był w porządku. I zawsze spłacał karciane długi.

Weszli do dawnej obory. Na podłodze po prawej stronie drzwi wił się długi na kilka metrów wąż ogrodowy, a obok kranu leżała

duża szczotka. Jak zawsze spłukali gumowce nad kratką odpływową nieużywanego od lat systemu odprowadzania obornika. Młynarz nie lubił, kiedy mu się wносиło błoto do izby.

Młynarz miał na imię Bjarne i prowadził park maszyn Poppelgården, nazwany tak od otoczonego topolami gospodarstwa, w którym się urodził. Stary Thor był jego ojcem, jak zawsze nadgorliwym i czasem zapominającym, że i gospodarstwo, i topole przekazał już swojemu synowi. Sam zamieszkał w małym domku zajmowanym dawniej przez pracujących w gospodarstwie robotników, kawałek dalej przy asfaltowej drodze. To on kilkadziesiąt lat temu wyeksmitował z obory mleczne krowy w zamian za dotację z Unii Europejskiej na przebranzowienie. Dziś jedynymi żywymi istotami w Poppelgården, poza jego właścicielem, była banda około sześciu kotów, wyżeł szorstkowłosy i polska gosposia, której imienia żaden z nich nie umiał zapamiętać — i żaden nie wiedział, gdzie stało jej łóżko. Bo też nikt nie miał zamiaru wypytywać o takie rzeczy Bjarnego Młynarza.

Mini i Stary Thor ruszyli biegnącym przez środek pomieszczenia chodnikiem do skrzydła, w którym w minionej epoce mieściły się warsztat i stodoła. Tam, na surowej, cementowej podłodze, Młynarz postawił dziwną konstrukcję, budynek w budynku, wystający kawałek na zewnątrz. Obiekt wielkości sporego salonu był zbudowany z listew i płyt gipsowych, z izolacją z wełny szklanej.

W środku stały trzy stoliki z krzesłami, a w najdalszym kącie mały komplet wypoczynkowy, który wyglądał, jakby go przytaszczono z najbliższego wysypiska śmieci. Na jednej ścianie wisiała ogromna flaga. Czarna z czerwonym kółkiem, w którym widniał biały graficzny symbol wilczego pyska — sama kufa i skośne oczy. Na obwodzie kółka widniał napis: „FC Midtjylland, 1999”. Aby nikt nie miał wątpliwości, że tu kibicuje się klubowi z odległego o zaledwie dwadzieścia pięć kilometrów miasta Herning.

Na drugiej ścianie wisiało sześćdziesiąt pięć cali płaskiego ekranu telewizora, a na trzeciej tarcza do darta. Przy drzwiach

stał najważniejszy element wystroju, wokół którego urządzono całą resztę: wielka jak czołg lodówka z podwójnymi drzwiami.

W środku — bogaty wybór niemieckich piw puszkowych. Każdy obsługiwał się sam, według smaku i woltażu. Pieniądze wrzucało się do puszek po herbatnikach, która stała na półce obok lodówki. Resztę też każdy wydawał sobie sam. W Poppelgården wszystko działało na prostych zasadach: samoobsługa i bezwzględne zaufanie do klienteli.

A zaczęło się całkiem niepozornie, przed wieloma laty. Zwykle piwko po pracy w zamkniętym kręgu znajomych, albo może dwa piwka. Potem wzbogacili swoje spotkania o element rozrywkowy — wieczorne mecze piłkarskie, dart i karty, głównie poker.

Dziś Młynarz musiał prosić ludzi, aby zostawiali samochody za zagrodą. Nie przepadał za określeniem „tajna karczma”. Wolał słowo „światlica”. I chyba nikt nie mógłby zakwestionować prawa ciężko pracujących ludzi do piwa w gronie kumpli. Nawet posterunkowy z Nr. Snede, jedyne miasto w całym okręgu policyjnym, które — czego Młynarz wciąż nie przeboleał — zachowało swój posterunek. Tak czy inaczej, na wszelki wypadek lepiej byłoby oczywiście, gdyby stróż prawa o niczym nie wiedzieli.

Kiedy obaj weszli, na chwilę zapadła cisza. Wszyscy podnieśli wzrok. Młynarz siedział przy stoliku najbliżej drzwi. Skinieniem przywitał swojego pracownika i zawołał:

— Co tam, Mini? Późno dziś skończyłeś. Jakież problemy?

— Było sporo krzaczorów do usunięcia.

— A co robiłeś, Mini? — zainteresował się starszy mężczyzna i znad puszek piwa popatrzył na tego w puchówce. Nazywał się Kowal. Bo był kowalem, z tym że już na emeryturze.

— Stawiałem ogrodzenie. Tam, od strony Owczarza — odparł Mini.

— Ogrodzenie?

— Na wilki.

— Wilki?

— No. Pod prądem.

— Ale się porobiło.

— No.

Młynarz pokręcił głową i dodał:

— Owczarz zadzwonił do mnie i powiedział, że dostaniemy za to ogrodenie zwrot z Kopenhagi. Albo przynajmniej dofinansowanie.

Stary wsunął Miniemu puszkę do ręki i Mini zasiadł obok swojego szefa.

— Mało tego — dodał od siebie i wziął łyk piwa. — Owczarz mówi, że odwiedził go nawet konsultant do spraw wilków.

— Konsultant do spraw wilków? Czego to oni nie wymyślą, byle tylko udawać, że mają robotę — mruknął Mleczarz, który od piętnastu lat nie obrócił żadnego sera, ale przynajmniej jeździł ze skrzynką na mleko przy motorynce.

Mini się wyszczerzył.

— To ten konsultant powiedział, żeby część rachunków przesłać do Kopenhawki. Ale też prawda taka, że Owczarz stracił już trochę zwierząt. Gdyby to ode mnie zależało, nafaszerowałyby się sierściucha ołowiem i byłoby po sprawie.

— Stal... ołów wyszedł z użycia — powiedział Kowal.

— Dobra, stal, kurde.

— *Skål!* — Stary Thor podniósł swoją puszkę do toastu i ciężko usiadł na krześle.

— *Stal*, ojciec. On powiedział: *stal*. Jezu, wbiłbyś sobie ten cholerny aparat słuchowy do czaszki. — Młynarz pokręcił głową, a pozostali wymienili porozumiewawcze uśmiechy.

— I mówią, że jest ich więcej — ciągnął Młynarz. — To znaczy wilków. Co najmniej dwa. Więc powinniśmy się przygotować, że urodzą się młode i powstanie wataha. Normalnie jakby coś je ciągnęło do Harrild Hede.

Stary Thor odstawił puszkę i niespodziewanie, z widoczną satysfakcją, przekazał im sensacyjną wiadomość.

— Rozmawiałem z Mathiesenem, który zna gościa, który zna posterunkowego. Okazuje się, że ten stary, którego znaleźli niedawno w Kvindebækken... podobno miał zmasakrowaną twarz. Jakby coś się w nią wgryzło...

Wszyscy przez chwilę w milczeniu trawili tę informację.

— Ale że wilk? — Kowal zmarszczył nos z odrazą.

— A czemu by nie? Dalej nie wiedzą, kim on był, ten facet. Może właśnie dlatego. Bo z twarzy nic nie zostało — zastanawiał się staruszek.

— Jezu, ojciec, dałbyś spokój z tym bajaniem. Teraz wszyscy tylko wilki i wilki — prychnął Młynarz.

— Przecież sam widziałeś w telewizji, nie? Na Harrild Hede, pod naszym nosem. Przecież sobie tego nie wymyśliłem — oburzył się z kolei staruszek.

— Nie mówię, że zmyślasz. I nie twierdzę, że ich tu nie ma. Tylko jakoś nie słyszałem, żeby wilki ganiały i odgryzały ludziom gęby.

Staruszek wzruszył ramionami i pokręcił głową wyraźnie poirytowany. Każdy wiedział, że ojciec i syn często się nie zgadzali w najróżniejszych sprawach, ale nigdy nie kłócili się na poważnie.

Mężczyzna o imponującej posturze zajmujący całą jedną krawędź stolika, przy którym siedział Młynarz niepewnie uniósł palec. To do niego należała druga motorynka. Bo chociaż był lakiernikiem, to nie miał prawa jazdy, odkąd stracił je w wieku osiemnastu lat. Teraz miał czterdzieści trzy.

Relacje mężczyzn należących do tego kręgu rządziły się jasnymi prawami. Opartymi wyłącznie na logice. I tak, gdy ktoś próbował kiedyś wylansować ksywę Tłusta Dupa na Kólkach, określenie się nie przyjęło. Tu nie było miejsca dla uszczypliwości. Każdego nazywano według tego, kim był. Ni mniej, ni więcej.

— Co jest, Gruby? — Młynarz skinął w stronę końca stołu.

Gruby był Grubym. Bo był gruby. I nie mógł przed tym uciec. Przed niczym w ogóle nie mógł uciec, bo był za gruby. Nie było w tym żadnej złośliwości. Przeciwnie — Grubego wszyscy lubili tak bardzo, że dali mu ksywę po uwielbianym przez wszystkich Grubym z serialu *Matador*. Serialowy Gruby był malarzem, więc poniekąd uprawiał pokrewny fach.

— Bo tak tylko chciałem powiedzieć... — zaczął Gruby głosem tak cienkim, że wydawało się niemożliwe, by dobywał się z tak obfitego ciała. — A słyszeliście, że ponoć zaginął ten z Harrildholmu?

— Ten z Kopenhagi?

— Właśnie — pisnął Gruby do swojego sąsiada, który dopiero teraz włączył się do rozmowy. Beton miał sylwetkę kulturysty i nieprzystającą do niej przekrwioną twarz.

Gruby ciągnął dalej:

— Rozmawiałem o tym z listonoszem Olem. Może to tamtego znaleźli w Kvindebækken? Może policja w ogóle nie wie, że on zniknął? Może trzeba by zagadać o tym do posterunkowego? Jak myślicie?

Gruby powiedział, co mu leżało na wątrobie, i oddał sprawę pod obrady Parlamentu Poppelgården.

— Mathiesen w ogóle nie wspominał, żeby ktoś cokolwiek mówił o tym tam z Harrildholmu. — W głosie Starego Thora słychać było lekki zawód.

— Nie dalej jak miesiąc temu przepychałem odpływ u tego z Kopenhagi. Skąd wiadomo, że zniknął? — spytał Sztynk.

Gruby wzruszył ramionami.

— Nie wiem. Może zresztą wcale nie zniknął. Listonosz mówił tylko, że dawno go nie widział. I skrzynka jest zapchana. I ponoć najbliżsi sąsiedzi też go nie widzieli. Trochę dziwne, nie? A potem w strumieniu znajdują trupa. Starszego mężczyznę, z tego, co pisali w gazetach. To by pasowało do tego z Kopenhagi.

Młynarz kręcił głową i zacierał wielkie ręce.

— Gadacie tylko i gadacie. A i tak nikt nic nie wie. Ludzie dzisiaj wyjeżdżają na urlopy na całe tygodnie. Może zresztą zwyczajnie jest w Kopenhadze.

Beton nie wyglądał na przekonanego. W końcu rzucił bez ogródek:

— Gadają, że on ma kasy w trzy dupy, ten z Kopenhagi.

— Też tak słyszałem — przytaknął Kowal.

— Jeśli nawet, to raczej nie inwestuje w dom — mruknął Młynarz.

— Po co w ogóle ktoś by się przeniósł z Kopenhagi tutaj? Dla mnie to dziwne — rozległ się dźwięczny głos Grubego.

— Gadają, że ponoć był jakąś szychą. W ministerstwach... coś z prawem. Sklepikarz z Ejstrupholm zna jednego, który zna jednego...

— Ojciec, dajże już spokój! Zostaw chłopca w spokoju.

Nastała cisza i wszyscy jak na komendę unieśli do ust puszki z piwem.

— A wracając do tego z Owczarzem i ogrodzeniem... — zaczął z namysłem Mini. — Moja żona czytała w gazecie, że w jednej podstawówce pierwszaki miały przyjechać na jednodniową wycieczkę na wrzosowisko i do lasów Nørlund. Ale teraz im ją odwołali. Kurator stwierdził, że nie chce brać odpowiedzialności.

— Za co? — zdziwił się Beton.

— Za dzieci, tępolu. Nie teraz, kiedy w okolicy gania wilk albo i więcej wilków — odparł Mini.

Beton zgniótł pustą puszkę, jakby była z folii aluminiowej, i prychnął:

— Mogli je zabrać do Ulvemose albo Ulvemose Banke^[2], żeby się wylatały. Ot, co!

— Wilki i Kopenhawka — a niedługo jeszcze więcej wilków. Jedni gorsi od drugich — syknął Młynarz. — Każdy wie, że prawdziwy wilk jest tylko jeden — FC Midtjylland. *Skål*. Albo... *stal*.

[2] Gra słów: ulv po duńsku znaczy wilk — *przyp. tłum.*

Rozdział 9.

Leżeli obok siebie na karimatach, każdy z własną lornetką. Obserwowali dużą otwartą przestrzeń pokrytą uschniętymi brązowymi wrzosami, a parę kilometrów dalej odgradzoną linią lasu iglastego.

Na punkt obserwacyjny wybrali niewielkie wzniesienie. Gąbczaste karimaty dawały izolację i zapobiegały przenikaniu zimna od ziemi. Ranek był mroźny. Minus pięć stopni. A oni leżeli i czekali, aż zrobi się jaśniej i będą się mogli lepiej rozejrzeć po Harrild Hede.

— A co, jeśli naprawdę zobaczymy wilka? Jeśli on też nas zauważy, to co...?

— Spokojnie, Magnus. Absolutnie nic się nie stanie. Jeśli tak się zdarzy, że go zobaczymy, to postaraj się w pełni nacieszyć tym widokiem. To przeżycie, którego doznali nieliczni — zobaczyć w Danii wilka w naturze. Młode z pierwszego miotu w Danii, osiem sztuk, sfilmował kiedyś jeden myśliwy. Szczęściarz, co? Wielu ludzi byłoby gotowych sporo zapłacić, żeby coś takiego przeżyć. Wilk jest płochym zwierzęciem i zwykle unika ludzi. Chcesz kakao?

Magnus opuścił lornetkę i skinął głową.

Wyjął z plecaka termos i dwa małe kubki, nalał im obu. Kakao kupili sami i sami musieli je sobie podgrzać w hotelowej kuchni. Nikt z personelu hotelu Dalgas w Brande nie miał ochoty zrywać się na nogi o niehumanitarnej porze, o której wyruszyli na swoje polowanie.

Niełatwo było dobudzić Magnusa. Wczoraj do późna grał na iPadzie i rozmawiał z kolegami na wideoczacie.

Bardzo wyraźnie czuł, że dzieciak nudził się niemiłosiernie w hotelu, gdzie — ku jego bezgranicznemu nastoletniemu rozczarowaniu — nie było ani basenu, ani w ogóle żadnych atrakcji. On sam próbował jednak podejść do tego na luzie i powstrzymał się od rozpaczliwych prób animacji. Za to kiedy

Magnus zagadnął go o piłkę nożną, chętnie podjął temat. Pogadali trochę o klubie, w którym gra Magnus, o ulubionych drużynach, piłkarzach i tak dalej. Kiedyś też interesował się piłką, ale to było w innym życiu.

Kiedy Magnus rozmawiał z kolegami, a potem robił listę rzeczy, które zamierzał kupić w przygranicznych sklepach następnego dnia, przełączał bezmyślnie kanały w telewizorze. Zatrzymał się na jakimś szwedzkim kryminale, choć wcale go nie oglądał.

Rozmyślał o tym, jak bardzo nieprzewidywalne jest życie. Że skończył w Vangede. A teraz był na rekonesansie w Brande, żeby raz jeszcze pójść po swoich śladach. Tylko że tym razem nie walczył o przetrwanie, ale o to, aby poznać własnego syna.

W końcu kazał Magnusowi wyłączyć komputer i położyć się spać.

Sam też przespał spokojnie niemal trzy godziny. Potem obudził się i zobaczył, że znów ucieka, a Johannes „Rybak” Ottesen krwawi z brzucha i ta krew tryska i tryska, aż cały pokój hotelowy tonie we krwi.

Podał kubek Magnusowi.

— Trzymaj. Tylko uważaj, bo gorące. Patrz, jak pojaśniało w ciągu zaledwie kwadransa. Ale by było, gdyby nam się udało...

— Skądś po drugiej stronie otwartej przestrzeni dobiegł huk. Przetoczył się po wrzosowisku i dotarł do nich jakby z pewnym opóźnieniem. Znał ten dźwięk. — Ciii... Patrz!

Przystawił lornetkę do oczu i Magnus szybko zrobił to samo. Parę sekund później z lasu wybiegł duży jeleń i gnał przez łąkę, kierując się prosto na nich. Po chwili zmienił kierunek i zniknął za kępą kosodrzewiny.

— Co to było? Co się stało? — pytał Magnus, wstrzymując oddech.

— Strzał. Ze strzelby.

Chwilę później zobaczyli światła mijania. Wyglądało, jakby samochód gdzieś skręcił, bo światła zniknęły równie nagle, jak się pojawiły.

Przez chwilę widzieli jeszcze czerwone tylne światła, po czym samochód zniknął w mroku lasu.

— To myśliwi, tak?

Przytaknął.

— Tak. A to był jelenź szlachetny. Kawał byka.

— I tak wcześnie polują?

— To był kłusownik. Albo cała grupa.

— Wow, kłusownicy? To tacy myśliwi gangsterzy, nie?

— Dokładnie. Jelenie mają teraz sezon ochronny. Strzelanie do nich jest ściśle zabronione.

— Trafili go? Myślisz, że był ranny?

— Nie sądzę. Wydawał się biec lekko i swobodnie.

— Ale co, jeśli... — Magnus wzruszył ramionami. — Nie możemy go poszukać? Wiemy, dokąd pobiegł.

— Wydaje mi się, że tam, gdzie zniknął, jest niecka. Raczej go nie znajdziemy.

— Ale co, jeśli jednak został... szkoda zwierzęcia. Poszukajmy go, proszę?

Jemu jednak niespecjalnie podobała się myśl, że mogliby się natknąć na uzbrojonych typów spod ciemnej gwiazdy na tym pustkowiu, a już na pewno nie wtedy, gdy jest z Magnusem.

— No, chodź... zjeźdźmy tam i poszukajmy.

— Okej, Magnus... ale odczekajmy jeszcze pięć minut.

— Dlaczego?

— Bo jeśli znajdziemy to zwierzę, to lepiej, żeby miało czas odsapnąć i się uspokoić.

Znów podniósł lornetkę do oczu i przeczesał teren wzdłuż krawędzi lasu. Nigdzie nie dostrzegł najmniejszego ruchu.

— Ale Niels, jeśli go znajdziemy, to co zrobimy?

— Mam przy sobie nóż. Jeśli jest ranny, to oczywiście go dobijemy.

Magnus oddał mu pusty kubek. Oczy miał wielkie jak spodki.

— Dobijemy?

— Tak. Żeby nie cierpiał, prawda?

— A wilki?

— O nich na dziś możemy zapomnieć. Dla nich zrobiło się tu za tłoczno i za głośno.

Po raz ostatni sprawdził linię lasu. Cisza i spokój.

— Dobra, Magnus. Wstajemy.

Rozdział 10.

1 grudnia 1963

Dziewczyna o długich złocistych włosach naciskała na pedały i mocniej naciągnęła na czoło czerwoną czapkę. Było przeraźliwie zimno, ale na szczęście porządnie się ubrała i nie zapomniała o rękawiczkach.

Nadal była oszołomiona imprezą, tańcami, muzyką i śmiechem, jej ciało pracowało niemal bez udziału świadomości, niczym maszyna o dwóch silnych tłokach pchająca rower pod wiatr.

Dwa piwa, które wypila tego wieczoru, przydawały jej ruchom wyjątkowej lekkości i chociaż była trochę zziębnięta, perspektywa długiej drogi do domu w ogóle jej nie zrażała.

Miała za sobą cudowny sobotni wieczór. Z Mortenem niemal nie schodzili z parkietu. Sunshine Boys, którzy grywali w tak znanych miejscach jak Mælkepoppen w Esbjerg i Kolding czy w Fakkegrav Badehotel przy Vejle Fjord, swoimi najnowszymi kawałkami rozbujali niemal całą świetlicę w Fasterholt. A Morten tak świetnie tańczy...

*If everybody had an ocean
across the USA...*

Beach Boys byli fenomenalni, ale chłopaki z Fredericii, którzy grali w Sunshine Boys, też nie wypadli sroce spod ogona.

Spojrzała w górę i poczuła na twarzy krople deszczu. Nieboskłon z półksiężycem i pojedynczymi gwiazdami przesłoniły ciężkie deszczowe chmury.

Dochodziło wpół do drugiej. Pora, o której miała być w domu. Tak w ogóle to nie powinna wracać sama nocą po dorocznym balu bożonarodzeniowym w Fasterholt. Rodzicom powiedziała, że jak zwykle wrócą razem z Sigrid. Ale Sigrid uznała, że to będzie właśnie ta noc, którą spędzi u Frederika. Jako jej najlepsza przyjaciółka oczywiście obiecała ją kryć i zamierzała w domu powiedzieć, że wróciły razem. Frederik miał na czas odstawić Sigrid razem z rowerem swoim samochodem. Jutro

rano nikt się nie zorientuje. To będzie pierwsza niedziela adwentu, czas świątecznego odpoczynku.

I właśnie dlatego, aby zrobić Sigrid ogromną przysługę, jechała teraz do domu sama — a w uszach dźwięczała jej cudowna muzyka z tego wieczoru.

Hey, hey Paula,

I wanna marry you,

Hey, hey, Paula, no one else could ever do...

Anton cały wieczór próbował ją poderwać. Ale on jest taki strasznie poważny — i taki czytany.

Bez przerwy chciał rozmawiać o Johnie F. Kennedym. I zamachu. I różnych teoriach spiskowych w wielkiej polityce.

Minęło osiem dni, odkąd świat stanął na głowie po tym, co się stało w Dallas. Od ostatniego piątku nikt nie mówił o niczym innym. Nawet w domu.

Nagle poczuła ucisk w żołądku. Czy to w porządku, że taki wielki, obiecujący mąż stanu został zamordowany, a jego piękna żona została sama z dziećmi? I czy to w porządku, że nie chce jej się o tym więcej słuchać? Że zwyczajnie już się o tym nasłuchiwała i teraz ma tylko ochotę tańczyć i bawić się w tym świątecznym miesiącu, który się rozpoczął z wybiciem północy?

Za każdym razem, gdy Anton zbyt się rozkręcał, szukała ratunku u Mortena — o ile nie było za późno. Morten nawet się nie zająknął o Kennedym.

Wciąż nuciła w głowie hit Paula i Pauli. *Hey, hey...* Świetny kawałek. Naprawdę świetny. Ale nie aż tak, jak najbardziej wyczekiwany przez wszystkich numer *Sugar Shack* Jimmy'ego Gilmera i The Fireballs. Zresztą całkiem nowy — z października. Wszyscy dosłownie oszaleli, gdy zagrali tę piosenkę.

There's a crazy little shack beyond the tracks

and everybody calls it the sugar shack...

Teraz śpiewała na głos i nie czuła deszczu, który zacinał coraz mocniej. *Sugar Shack* to był ulubiony numer jej i Mortena. Zagrali to aż cztery razy.

Morten tańczył, aż koszulę miał mokrą od potu. Był wulkanem energii i zaraźliwie wesołym młodym mężczyzną. A do tego miał taki śliczny uśmiech...

Nagle dostrzegła białe światło omiatające krajobraz wokół i czarny asfalt przed sobą. Obejrzała się przez ramię. Z tyłu nadjeżdżał samochód.

Może to przez to, że opony były mokre, a może po prostu wcześniej się nie zorientowała, że dynamo trochę jej się przesunęło na przedniej oponie. Chciała mieć pewność, że kierowca za nią będzie widział jej tylne światło, więc lewą nogą, kopniakiem, docisnęła dynamo. Zadziało od razu, bo teraz również przednie światło zapaliło się mocniej.

Jasne światło na polach wokół też zrobiło się wyraźniejsze. Samochód zaraz ją wyminie. Znów się obejrzała. Jednak nie... wyglądało na to, że utrzymywał odstęp.

Dziwne. Instynktownie mocniej nacisnęła na pedały i dynamo głośno zaszurało.

Znów się obejrzała. Światła mijania ją oślepiały. A samochód wciąż jechał tuż za nią...

Najpierw poczuła, jakby coś ją w brzuchu gniotło, ścisnęło, jakby coś w nim drżało. Dopiero po chwili całym ciałem wstrząsnęła eksplozja. I rozpoznała, co to za uczucie.

To był strach.

Rozdział 11.

Żarłoczny żąb czasu nie oszczędził napisu nad furtką. Teraz miał on sens tylko dla kogoś, kto znał już nazwę tego miejsca.

Harrildholm — bo taka nazwa widniała tu kiedyś, wypisana czarnymi literami z ozdobnymi zawijasami — stanowiło rzadko spotykane gospodarstwo wiejskie zamknięte z wszystkich czterech stron. Jego upadek nawet z daleka był jednak tak widoczny, że miało się wrażenie, jakby wszystkie cztery skrzydła w każdej chwili miały legnąć w gruzach i zrównać się z ziemią.

Gospodarstwo leżało w sercu dużego obszaru naturalnego Jutlandii Środkowej, który składał się z Harrild Hede na południu i Nørlund Plantage na północy. Wrzosowisko i las stykały się ze sobą, stanowiąc duży, liczący około trzydziestu kilometrów kwadratowych, praktycznie niezagospodarowany i niezamieszkały obszar dzikiej przyrody na zachód od działu wodnego i pasma wzniesień biegnącego wzdłuż Jutlandii.

Kilka kilometrów na zachód, oddzielony jedynie otwartymi polami, leżał kolejny, trzeci obszar naturalny, zajmujący szesnaście kilometrów kwadratowych Søby Brunkulslejer. W czasie drugiej wojny światowej, gdy brakowało opału, nawet cztery tysiące osób wydobywało tam węgiel brunatny. Dziś o duńskiej gorączce brunatnego złota przypominają wyłobienia, jeziora i surowa roślinność.

Raz jeszcze się rozejrzył. Może również Harrildholm znajdował się wtedy w rozkwicie?

Przekręcił kluczyk i spojrzał pytająco na Magnusa, który siedział obok.

— Idziemy?

Magnus westchnął głęboko i pokiwał głową. Na powrót wszedł w rolę naburmuszonego nastolatka.

Ale rano na wrzosowisku był wyjątkowo ożywiony. Po tym, jak usłyszeli strzał kłusowników, z zapalem ruszył na poszukiwanie jelenia. Na szczęście zwierzę najwyraźniej nie zostało trafione,

bo nie znaleźli po nim najmniejszego śladu. Za to on zobaczył syna w zupełnie nowej odsłonie.

Potem wrócili na śniadanie do hotelu w Brande. I gdy Magnus grał w jakąś hałaśliwą grę piłkarską, on wyszedł na korytarz, żeby zadzwonić i odwołać pierwotną rezerwację, a zamiast tego zarezerwować pokój w Hotelu des Nordens po niemieckiej stronie miasta Kruså. Hotel reklamował się dużym kompleksem kąpielowym i basenem, który wychodził na zewnątrz obiektu i miał podgrzewaną wodę.

Tyle w każdym razie udało mu się dowiedzieć, gdy Magnus spał. Wciąż wracał pamięcią do swojego wybuchu w gospodarstwie Rybaka i to wspomnienie kładło się cieniem na całej ich wyprawie. W kółko analizował to, co się stało. Wiele razy odtwarzał to w głowie. Z perspektywy zarówno własnej, jak i Magnusa.

I za każdym razem dochodził do tego samego wniosku. Że się odsłonił jak jakiś idiota — stary, a głupi. Wściekł się, bo przestraszył się dziecka z kamieniem w dłoni.

Każdy głupi wie, że kamienie są po to, żeby nimi rzucać. Każdy głupi wie, że blaszane płyty aż się proszą, by zrobić z nich tarcze i strzelać do nich kamieniami.

I gdyby na osi czasu własnego życia cofnął się odpowiednio daleko, nie ulegałoby wątpliwości, że w stosunku do swojego syna to on rzucił pierwszy kamień.

„Przepraszam” to za mało. Stąd zmiana na hotel z basenem. Rozpaczliwie pragnął, aby Magnus miał z ich wyprawy choć jedno dobre wspomnienie.

Tymczasem Magnus przyjął wiadomość z lekkim uśmiechem i cichym „fajnie”. I nie kryjąc znudzenia, spytał:

— A tu co konkretnie mamy robić? Szukać jakiegoś człowieka, tak?

Przytaknął skinieniem i wysiedli. Tak w skrócie można było określić ich zadanie. Mossman poprosił go, żeby się zorientował, czy właściciel Harrildholmu nie wrócił. Jeśli tak, to miał mu się przedstawić, przekazać pozdrowienia od Mossmana i podać jego numer telefonu z wyraźnym zaznaczeniem, że Mossman liczy na spotkanie.

A jeśli właściciela wciąż nie będzie, to miał się rozejrzeć i popytać najbliższych sąsiadów.

— Właściciela... nazywa się Poul Hansen. Ma siedemdziesiąt sześć lat. Mamy sprawdzić, czy jest w domu — odparł.

— Dlaczego? Znasz go?

— Nie, ja nie. Po prostu jeden mój dobry znajomy poprosił mnie o przysługę.

Przez bramę z polnych kamieni weszli na dziedziniec, który też był nimi wyłożony, choć przysypany piaskiem. Tu i ówdzie spomiędzy kamieni przebijały pojedyncze trawy i chwasty. Wiosną zapewne chwasty całkowicie zawładną tym terenem.

Stał w miejscu i się rozglądał. Dwa boczne skrzydła miały dach z blachy, skrzydło na wprost było kryte porośniętą mchem strzechą, która nad wejściem niebezpiecznie się zapadła. Główny budynek zaś, postawiony na wysokim podwyższeniu z kamieni budowlanych, był kryty płytami azbestowymi. Do odrapanych drzwi prowadziły szerokie kamienne schody.

Budynki były pomalowane na biało, a okna oraz podwyższenia — na czarno. Kontrast jednak z czasem się zatarł i teraz ściany były pokryte szarobrunatnymi plamami, a tam, gdzie odpadł tynk, widać było spore połacie gołego muru. W wielu oknach brakowało szyb.

— Niezły chlew — ocenił Magnus i zmarszczył nos.

Chłopak stał w miejscu i czubkiem buta grzebał w ziemi. On sam ruszył w kierunku wąskiego przejścia pomiędzy skrzydłem a szczytową ścianą głównego budynku. Ścieżka wyłożona płytkami prowadziła na tyły domu, skąd prawdopodobnie można było wejść do środka przez pomieszczenie gospodarcze.

I rzeczywiście znalazł się przed drzwiami. W dodatku otwartymi. Magnus poszedł za nim i stał tuż za jego plecami.

Pchnął drzwi, aż otwały się na oścież, i nasłuchiwał. W środku ktoś był i brzmiało to, jakby w szale przewracał sprzęty — albo rąbał coś na kawałki. Poul Hansen? Ekipa remontowa? W takim razie gdzie samochód?

Pomachał Magnusowi, żeby poszedł za nim, i weszli do wąskiego korytarza, gdzie leżały porozrzucane najróżniejsze

buty, ale przy samych drzwiach, na brudnej wycieracze, stały duże drewniaki.

— Halo! Jest tu kto?

Zapukał lekko w otwarte drzwi. Nikt nie odpowiedział, ale głośnie szuranie w głębi trwało nieprzerwanie i równie głośno. Ktokolwiek tam był, nie mógł ich usłyszeć.

Następne drzwi też były uchylone i prowadziły do przestronnej kuchni z przetartym linoleum na podłodze. Podwójne drzwi na wprost nich były szeroko otwarte. Zobaczyli w nich mężczyznę w czarnych ogrodniczkach i flanelowej koszuli w kratę, który stał na środku pokoju i właśnie odwracał do góry dnem szufladę biurka. Jej zawartość wysypała się na czubek sporego już stosu przedmiotów, jaki się piętrzył na podłodze.

Mężczyzna był za młody na Poula Hansena. Mógł mieć góra czterdzieści lat. Krępy, miał szerokie plecy i mocny kark. Zobaczył ich dopiero, gdy stanęli na środku kuchni i wbili w niego wyczekujące spojrzenia.

— Przepraszam. Szukamy właściciela, Poula Hansena. A pan co tu robi? — Głową wskazał bałagan na podłodze. Przez krótką chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. Po czym mężczyzna rzucił się do ataku niczym wściekły byk i pochylił lekko głowę, jakby zamierzał go bodnąć.

— Magnus! Pod ścianę!

Zdażył rzucić komendę i odepchnąć Magnusa w bezpieczne miejsce, zanim mężczyzna zamachnął się wściekle prawą ręką i próbował go powalić na podłogę.

Bez trudu uchylił się przed ciosem, tak mocnym, że napastnik stracił równowagę i uderzył w szafę.

Stali teraz twarzą w twarz.

Mężczyzna miał ogoloną głowę i przekrwioną twarz. Poza tym aż sapał z wściekłości. Bez wątpienia był silny. Lecz równie jasne było, że zupełnie nie miał wprawy w tym, czego się właśnie podjął.

— Co tu robisz? Dlaczego tu grzebiesz?

Brak odpowiedzi. Widać było, że mężczyzna szykuje się do ponownego ataku.

Uznał, że nie ma ochoty ryzykować złamania palca czy pogruchotania sobie dłoni.

Dlatego gdy przeciwnik znów ruszył do przodu i zamachnął się prawą ręką, chwycił go za nią, przyskoczył do niego, błyskawicznie się odwrócił i szarpnąwszy go mocno oburącz, przerzucił sobie przez ramię, a jednocześnie wykonał półobrót. Mężczyzna uderzył plecami o podłogę z taką siłą, że szklanki w szafkach zabrzęczały.

Był to jeden z klasycznych rzutów zapaśniczych, po angielsku nazywany poetycko latającą kobyłą. Doskonale się sprawdzał w walce wręcz — pod warunkiem że miało się czas i miejsce. Był nieszkodliwy, lecz skuteczny. Może teraz będą mogli oszczędzić sobie dalszej zabawy.

Rzucił okiem na Magnusa, który siedział na końcu ławy, plecami dociskając się do ściany.

— Co ty na to, żebyśmy dali sobie spokój, zanim zabawa rozkręci się na dobre? Powiedz, co tu robisz i kim jesteś.

Lecz mężczyzna odwrócił się na brzuch i szybko stanął na nogi, po czym wycedził przez zęby:

— Gównu cię to obchodzi! Nakopię ci do dupy, ty...

Nienazwany przeciwnik zrobił się jednak ostrożny i teraz zbliżał się małymi kroczkami. Próbował przybrać postawę, która przypominała pozycję bokerską, z lewą pięścią przy twarzy, a prawą zaciśniętą i gotową do ciosu.

Celowo dał się zepchnąć do ściany przeskakującemu z nogi na nogę mężczyźnie. Sekundę później zauważył, że tamten nieznacznie cofnął prawą pięść. I gdy niewprawnym ruchem wymierzył ją w jego twarz, sparował cios w bok i w tej samej sekwencji kopnął go w kolana podcięciem *ashi barai*, a jednocześnie odepchnął.

Mężczyzna znów z hukiem zwałił się na podłogę. Aby szybciej zakończyć sprawę, uderzył go jeszcze z pięty w brzuch, co skutecznie wypompowało z niego całe powietrze, więc teraz wił się na podłodze, otwierając szeroko usta, niczym ryba wyrzucona na brzeg.

— Magnus, nic ci nie jest?

Chłopak tylko kiwnął głową. Oczy miał wielkie jak spodki, którymi patrzył na niego w osłupieniu.

Sam mógł tylko rozłożyć bezradnie ręce i wskazać na mężczyznę, który leżał zwinięty obok lodówki.

— Ja... musiałem to zrobić...

Magnus znów milcząco skinął głową.

Podszedł do osiłka, który z rozpaczliwym świstem próbował złapać oddech, chwycił go za nadgarstki i podniósł mu ramiona nad głowę, żeby udroźnić płuca. Puścił je dopiero, gdy oddech mężczyzny na dobre się wyrównał. Wtedy rozpiął kieszeń na jego piersi, wyjął z niej portfel i zaczął przeglądać jego zawartość.

Pokonany stopniowo odzyskiwał siły, w końcu usiadł i plecy oparł o szafkę.

— Spróbuję raz jeszcze: dlaczego tu grzebiesz? Szukasz czegoś konkretnego... *Perze Sivgaardzie?* — Pomachał mężczyźnie przed nosem jego własną złotą kartą ubezpieczeniową. W portfelu znalazł tylko tę kartę, zawierającą adres mężczyzny, i całkiem gruby plik banknotów — głównie stukoronowych. — Po raz ostatni: co tu robisz?

— Tylko tędy przechodziłem. Gdy przyszedłem, już tak było. — Tylko tyle zdążył powiedzieć, zanim dostał silnego napadu kaszlu.

— Więc to nie ty zrobiłeś?

— Nie, do cholery. Głuchy jesteś czy jak?

Klęknął na podłodze obok mężczyzny, ale tak, by Magnus nie widział, co robi. Dopiero gdy się upewnił, że jest osłonięty, wbił w szyję mężczyzny kciuk i palec wskazujący, odnalazł pod skórą grube ścięgno i je ścisnął. Mężczyzna zaskowyczał.

— Raz jeszcze... co tu robisz?

— Pierdol się!

Potarł ścięgno między palcami i ścisnął mocniej. Jego ofiara zawyła.

— Już! Dobra... to ja grzebałem w jego rzeczach.

— Dlaczego?

— Mówią, że ma pieniądze. Pełno pieniędzy pochowanych w całym domu.

— I pomyślałeś, że je sobie ukradniesz, tak?

— Tak, tak.

— Więc wszedłeś tu i przewróciłeś wszystko do góry nogami?

— Przecież go nie ma. Mówią, że zaginął. I to jakiś czas temu. To pomyślałem...

— Kim są oni?

— No, wszyscy, ludzie... A jeśli to jego znaleźli w potoku, to przecież i tak wykitował. Do tego cała chata stoi otwarta na oścież — i nikt nic nie wie. A ja mam długi.

— Czekał: kogo znaleźli w potoku? O czym ty mówisz?

— No, ciało... w Kvindebækken... będzie ze dwa tygodnie temu. Nikt nie wie, kto to jest. Ale to musi być on... ten z Kopenhagi, co tu mieszkał.

— Hm. I co, znalazłeś coś?

— Pięćset koron w biurku.

— Chyba powinniśmy je włożyć z powrotem, nie?

— Ta...

Znów otworzył portfel mężczyzny, wyjął banknot pięciusetkoronowy, wstał i rzucił portfel na kolana mężczyzny.

— To sobie zostawię — powiedział, pokazując kartę ubezpieczeniową. — Żebym nie zapomniał, kim jesteś.

Per Sivgaard bez słowa schował portfel do kieszeni koszuli, wstał i patrząc spod byka, burknął:

— Mogę już iść?

— Zaraz. Wierzę ci. Powiedz mi, co wiesz o właścicielu, Poulu Hansenie — tak się chyba nazywa, prawda?

— Tak, Hansen... niewiele. Tylko tyle, że jest z Kopenhagi. Mieszkał tu ze dwa lata. Chociaż z przerwami, jak mówią. No i jeszcze to, że miał pieniądze.

— Wiesz, co robił wcześniej?

— Nie wiem. Niektórzy mówią, że pracował w jakimś ministerstwie, gdzieś na samej górze. Szycha. Ale ja go nawet nie widziałem na oczy. Chociaż nie, widziałem, raz. Ale potem już nigdy.

Ostatni raz zmierzył wzrokiem mężczyznę w czarnych ogrodniczkach. Wierzył, że było tak, jak mówił — że był zwykłym

drobnym złodziejaszkiem, który chciał okraść dom. Możliwe, że w dodatku dom zmarłego.

— Dobra. Spadaj...

Magnus wyszedł ze swojego kąta dopiero, gdy Per Sivgaard zamknął za sobą drzwi kuchenne i usłyszeli stukanie drewniaków na wyłożonej kafelkami ścieżce.

Jego syn stanął nieruchomo na środku kuchni i patrzył na niego wciąż szeroko otwartymi ze zdumienia oczami. A może to było niedowierzanie? Albo pogarda?

— Magnus, na pewno wszystko w porządku?

Chłopak nie odpowiadał.

— Magnus, halo!

— Yyy... wszystko okej. Tylko... — urwał.

— Tylko co?

Magnus nieznacznie pokręcił głową, zamrugnął oczami i chyba w końcu ochłonął.

— Nic... nic takiego... Wow. Nieźle go załatwiłeś.

— Słuchaj, zbierajmy się i ruszajmy do Niemiec. Czy może wolałbyś po tym wszystkim wracać do domu?

— Nie, jedźmy do Niemiec.

— Okej. Tylko najpierw zajrzę do pozostałych skrzydeł. Tym bałaganem zajmę się później. Zostaniesz tu z iPadem czy idziesz ze mną?

— Idę z tobą. Myślisz... to znaczy... Ten, którego szukamy, myślisz, że nie żyje? Że to może być człowiek z potoku, o którym mówił ten facet? Czy może leży gdzieś martwy tutaj, w gospodarstwie?

— Tego nigdy nie można wiedzieć. Chodź, rozejrzemy się.

Rozdział 12.

Długim korytarzem kopenhaskiego Rigshospitalet szli dwaj mężczyźni w średnim wieku, pogrążeni w lekkiej pogawędce, i tylko pilnowali, by usuwać się na bok, gdy ktoś ze szpitalnego personelu mijał ich szybkim krokiem.

Żaden z nich nie myślał o zimowych feriach. Zamiast tego rozmawiali o następnym sezonie urlopowym, Wielkanocy, choć do niej zostało jeszcze mnóstwo czasu, nawet jeśli w tym roku święta przypadają wcześniej.

— Pojedziemy z żoną na działkę — powiedział ten niższy, z lekką nadwagą i zakolami przyprószonymi siwizną. — Piwko, grill, wpadną znajomi i rodzina i jest spory kawał ogródka do przekopania. Tak się zaczyna sezon. Niczego więcej nie chcę — dodał i wskazał na drzwi, gdy znaleźli się pod właściwym numerem.

— Do nas przyjadą dzieci — powiedział drugi, kiedy przystanęli. Był wysoki, lekko zgarbiony, a na głowie pozostał mu tylko wianuszek włosów, jej czubek świecił niczym jajko w gnieździe. — Jak zawsze, cała czwórka ściąga do domu na święta. Poza najstarszym, on wpadnie tylko na obiad.

— To ten, który jest w szkole policyjnej?

— Michael... tak...

— I pomyśleć, że skończy jak my. Ha! Nie próbowałeś go od tego odwieść?

— On to uwielbia. Nigdy przecież nie robiłem nic, żeby go pchać w tym kierunku. To jak? Wchodzimy posłuchać, co ma do powiedzenia ten *dzikus*?

Jego kolega wrzucił ramionami i westchnął.

— Chyba nie mamy wyjścia.

Ostrożnie otworzył drzwi i weszli do środka. Chwilę przyglądali się leżącej w łóżku postaci. Więc to był słynny siejący postrach Idris Nassar. Położyli go w sali jednoosobowej. Nie bez powodu. Gdy leżał zawinięty w bandażę i z kołdrą podciągniętą do połowy

ud, przypominał mumię. Najbardziej jednak rzucało się w oczy to, czego *nie* było — brak zarysu stóp pod kołdrą, sterczących palców. Kołdra leżała dziwnie płasko.

Przed chwilą w swoim gabinecie lekarz profesjonalnym, wyczyszczonym z emocji tonem wyjaśnił, że nie było innego wyjścia, jak amputować obie nogi powyżej kolan. Oba ramiona mumii były dokładnie owinięte bandażami.

Libańczyk wyglądał, jakby spał.

Siwy policjant odchrząknął — dwukrotnie — i mężczyzna na łóżku powoli otworzył oczy.

— Idris Nassar? — spytał policjant.

— A kto niby inny? — syknęła mumia przez zęby.

— Jesteśmy z policji. Wydział dochodzeniowo-śledczy do zwalczania przestępczości przeciwko zdrowiu lub życiu. Nazywam się Hardy Bertelsen, a to mój kolega Viggo Borg. Chcielibyśmy...

— Przeciwko zdrowiu? Kurwa, weźcie ich. Jebany przygłup i jebany młot.

— ...zadać ci kilka pytań w związku z naszym dochodzeniem w sprawie napadu na ciebie. Myślisz, że dasz radę nam pomóc?

— A co to, kurwa, da? I tak macie wszystko w dupie. Pierdolona psiarnia. Szopka, kurwa. Wszystko, kurwa, jeden cyrk.

W stronę policjantów sypały się gromy z czarnych oczu na wpół ukrytych pod opatrunkiem, który zachodził na czoło.

— Możesz sobie myśleć, co chcesz — odezwał się drugi z policjantów. — Ale wykonujemy tylko swoją pracę. I w tej chwili polega ona na tym, żeby cię przepytać. Będiesz współpracował czy mamy sobie pójść?

— Pierdolone mendy... dobra, kurwa, to pytajcie! I spróbujcie poudawać, że macie mózgi.

Idris Nassar przewrócił oczami, szarpnął głową i zacisnął pięści na tyle, na ile był w stanie. Wyglądał jak wiązka dynamitu. Z niezbyt długim lontem.

Zaczął Bertelsen:

— Z tego, co nam wiadomo, napastników było dwóch, zgadza się?

— Brawo.

— Bądź łaskaw ich opisać.

— Jeden miał czarną kominiarkę. A drugi miał czarną kominiarkę. Jebane przygłupy!

— I więcej nie widziałeś?

— Jeden był wyższy od drugiego.

— Coś więcej? Wzrost, budowa, wysportowany, niewysportowany, język, znaki szczególne?

— Obaj wysportowani. Mniej więcej mojego wzrostu.

— A jakiego byłeś wzrostu? — Borg za późno ugryzł się w język.

— Wypierdalaj, kurwa! Obaj wypierdalajcie!

— Nie to chciałem... wybaczone. — Borg zrozumiał swój oczywisty błąd.

Bertelsen spróbował ostudzić atmosferę:

— Nassar, wrzuć na luz. Pomóż nam. Inaczej nic nie zdziałamy. Zastanów się. Przypomnij sobie. Nie śpiesz się. Na pewno nie pamiętasz nic, co mogłoby nam pomóc? Coś charakterystycznego, cokolwiek?

Idris Nassar głośno wypuścił powietrze i wyglądało na to, że rozważa swoje położenie.

— Wiedzieli, co robią — powiedział cicho. — Skurwiele wiedzieli, co robią. Zawodowcy.

— Domyślam się, że stawiałeś opór.

— Wiesz, kurwa, co to jest *pałka elektryczna*?

— Hm. Więc porazili cię prądem, obezwładnili i zrobili to? — Bertelsen skinął w stronę dolnej części ciała nerwowego świadka.

— Jakim językiem się posługiwali? — wtrącił się Borg.

— W ogóle się nie odzywali, z tego, co pamiętam. Omar nic wam nie powiedział?

— Jaki Omar?

— Mój kumpel, Omar. Stał pod drzwiami. Widziałem go przez wizjer. Dlatego otworzyłem. Noż... *kurwa mać*, powiedzcie mi, czy takie z was bezmózgi? Czemu nie zapytaliście Omara?

— Jak dotąd rozmawialiśmy tylko z twoją dziewczyną. I ona nie zdążyła niczego zobaczyć. Spała. Powiedz nam o Omarze.

Borg notował i gdy Nassar skończył, wsunął notes do kieszeni marynarki.

— Zastanawiałeś się sam, jaki mógł być motyw? — spytał Bertelsen.

— Chodzi wam o to, czy jestem na czyjejs jebanej czarnej liście? Nie, kurwa. Chyba nie. Nic o tym nie wiem.

— Pogruchotane nogi, pogruchotane ręce. Widzisz w tym jakąś symbolikę? To mógł być odwet.

— Odwet za co, młocie?

Bertelsen uśmiechnął się cierpliwie.

— Za przemoc. Masz na koncie więcej wyroków za pobicia, niż mogę policzyć na palcach obu rąk — i nóg. W tym kilka dość paskudnych. Nawet bardzo paskudnych. Plus cała reszta. Rzeczy, za które nie zostałeś skazany. Możliwości jest sporo.

Idris Nassar przewrócił oczami.

— Nigdy nie używałem wobec nikogo przemocy. Chyba że ktoś zasłużył. Albo w obronie własnej. Kurwa, pały jebane... marnujecie mój czas!

— Sądy nieco inaczej to widzą — zauważył spokojnie Bertelsen.
— Więc może któraś z twoich ofiar? Zastanów się.

— Sam się zastanów, młocie.

— Cóż, myślę, że na dziś wystarczy. Będziemy w kontakcie. Policjanci wyszli z sali, nie uniósłszy nawet brwi na pożegnanie.

Kiedy po chwili szli w stronę windy, Borg powiedział:

— Jezu, co za psychol.

— Powinni mu zrobić lobotomię.

— No. Piłą łańcuchową...

Rozdział 13.

Zabudowania gospodarcze Harrildholmu wyglądały jak milczący świadkowie spustoszenia, jakiego postęp dokonał w duńskim rolnictwie. Stało w nich mnóstwo maszyn, które po gruntownym wyszorowaniu mogłyby trafić wprost do muzeum.

Znaleźli młockarnię, starą snopowiązałkę, zardzewiałą motykę i dwa pługi. Rozpoznał narzędzia z czasów dzieciństwa, kiedy rodzice co roku wysyłali go latem na zachodnią Jutlandię. Znów poczuł pragnienie, by wziąć Magnusa za rękę i razem przespacerować się historycznym szlakiem wśród pustych boksów. Był jednak dość mądry, by tego nie robić.

Z Harrildholmu kiedyś żyła pewnie cała rodzina. Dziś nikt nie wyżyłby z takiej gospodarki. Właścicielowi, od którego majątek przejął „ten z Kopenhagi”, Poul Hansen, nie chciało się tu nawet sprzątać.

W najgłębszym zakamarku trafili na mocno zdezelowany wóz konny i leżące na stosie sparciłe uprząże. Nigdzie jednak nie było śladu obecnego właściciela. Wszystko pokrywała gruba warstwa kurzu.

Zamknął za nimi drzwi ostatniego z zabudowań i przeszli po przekątnej przez podwórko. Celowo chciał najpierw obejrzeć pozostałe budynki. Zależało mu, aby jak najprędzej zabrać Magnusa z pola walki, gdzie na jego oczach dwukrotnie powalił swojego przeciwnika na podłogę. Teraz przyszła pora przeszukać główny budynek, tak jak obiecał Mossmanowi, zanim będą mogli ruszyć dalej.

- Jak daleko jest stąd do Niemiec?
- Jakies półtorej godziny jazdy.
- I naprawdę będę mógł kupić trzy skrzynki coli?
- Jasne.

Przeszli korytarzem i znów stanęli na wyblakłym linoleum w kuchni.

- Magnus, usiądź sobie gdzieś i pograj.

— A ty co będziesz robił?

— Ja się rozejrzę. To nie potrwa długo.

Dopiero teraz zaczął zapisywać w pamięci szczegóły, które być może ostatecznie pozwolą odtworzyć rozwój wypadków. Krzesła z powrotem ustawił przy stole, na którym stał kubek. Na jego dnie było kółko zaschniętej kawy.

W zlewie znalazł talerze, jeden głęboki i jeden płaski, i trochę sztuczków. Otworzył lodówkę. Była pusta poza pudełkiem margaryny, słoikiem dżemu i dwoma opakowaniami wędlin. Na półce w drzwiach stał nieotwarty karton mleka, dwa tygodnie po dacie przydatności do spożycia.

Wyglądało na to, że Poula Hansena nie było w domu od dłuższego czasu. Tylko dlaczego nie zamknął za sobą tylnych drzwi?

— Skoro tamtemu nie wolno było grzebać w rzeczach tego człowieka, to dlaczego ty to robisz?

— Bo ten, kto mnie poprosił, żebym znalazł tego starszego mężczyznę, to ktoś w rodzaju policjanta. W ich imieniu wolno grzebać.

— A ten, z którym się biłeś, czego chciał?

— Sam słyszałeś. Powiedział, że chciał okraść dom. I akurat mu wierzę.

— To dlaczego go puściłeś?

— Bo oddał pieniądze, które ukradł. Poza tym wiem, kim jest i gdzie mieszka. Powiem o tym mojemu znajomemu policjantowi.

Magnus najwyraźniej uznał jego odpowiedzi za zadowalające i ponownie usiadł na ławie. Już otworzył iPada, kiedy znów na niego spojrział.

— Niels... Ty byś umiał go zabić, prawda? Bez problemu. Samymi rękoma...

— Co? Co ty mówisz?! Oczywiście, że nie. Zabić? W życiu bym nawet nie pomyślał... Nie wiedziałbym zresztą jak. Skąd ci przyszło do głowy coś takiego?

— Po prostu... sam nie wiem.

Jego syn wzruszył ramionami, spuścił wzrok i zniknął w wirtualnym świecie.

On sam wszedł do pokoju, gdzie przed godziną nakrył mężczyznę w ogrodniczkach. Zaskoczyły go słowa Magnusa. Małolatom zdarzało się czasem mówić najdziwniejsze rzeczy. Wyobrażenie, że żołnierze to supermeni, musiało mieć chyba związek z graniem w głupie strzelanki.

Pomieszczenie wyglądało na coś w rodzaju pokoju dziennego. Poza biurkiem, które leżało przewrócone do góry nogami, stał tu regał i — w rogu — mały komplet wypoczynkowy ze staroświeckim telewizorem na statywie.

Stąd kolejne drzwi prowadziły dalej w głąb mieszkania. Otworzył je i zajrzał do pomieszczenia, które zapewne było jadalnią. Teraz stało całkiem puste. Odrapana angielska boazeria na ścianach. Z sufitu zwisała goła żarówka — dokładnie jak u niego w Vangede.

Następne drzwi zawiodły go do jeszcze jednego dużego, pustego pomieszczenia, które również mogło być salonem, stamtąd przeszedł do holu, z którego frontowymi drzwiami można było wyjść na podwórko, a kolejny korytarz prowadził do następnych dwóch pokoi. Pierwszy z nich był sypialnią, z łóżkiem i szafą zajmującą całą ścianę. Łóżko było nieposłane, w nogach leżały kołdra i poduszka. Na szafce nocnej stał staromodny elektryczny budzik i świecił czerwonymi cyframi. Zegar wyprzedzał czas o jakieś piętnaście minut — odwrotnie niż wszystko inne w Harrildholmie.

Prócz budzika na szafce leżało starsze wydanie *Gron gniewu* Steinbecka. Na ścianie wisiała stara fotografia w odcieniach sepii, oprawiona w ramkę. Przedstawiała dwoje dorosłych — prawdopodobnie rodziców — otoczonych wianuszkami czwórki dzieci.

W pokoju panował zaduch. Dotknął dużego kaloryfera. Był tylko lekko nagrany. Mimo to powietrze było lepkie i wilgotne. To tu najprawdopodobniej była sypialnia Poula Hansena. Albo raczej dawna sypialnia.

Wszedł do ostatniego pokoju. Był duży i całkiem pusty, jeśli nie liczyć jasnych zasłon z wielkimi plamami wilgoci.

Zerknął na zegarek. Było już późno. Od dawna powinni być w drodze. Zanim jednak przejrzy papiery rozrzucone w salonie

— do czego na razie nie potrafił się zebrać — musiał jeszcze rozejrzeć się na górze, by mieć pewność, że niczego nie przeoczył.

— Wszystko gra, Magnus? — spytał, przechodząc ponownie przez kuchnię. Syn odpowiedział mu tylko nieobecnym skinieniem.

Schodami w komórce na tyłach domu wszedł na przestronny, otwarty strych. Klepnął starodawny kontakt na ścianie i jarzeniówka najpierw trochę migąła, ale potem zaświeciła ciągłym światłem.

Zobaczył nagie krokwie, listwy i spód dachu. Wycięty z dywanu chodnik prowadził przez podłogę z desek w stronę czegoś, co wyglądało jak podłużny drewniany kontener mieszkalny.

Ten dom pochodził z czasów, gdy wyrażenie „w pełni zagospodarowany strych” na wsi brzmiało jak pleonazm. Dobudówka ciągnęła się przez całą długość skrzydła, aż do ściany szczytowej. Było w niej troje drzwi.

Nacisnął pierwszą drewnianą klamkę i z łatwością pchnął drzwi. W pokoju było ciemno. Po omacku przy drzwiach odnalazł kontakt, ale nie działał. Dostrzegł zarys żarówki wiszącej z sufitu. Zorientował się też, że pokój był pusty, a tapeta w wielu miejscach była zerwana. Poszedł do następnego pokoju — tam było podobnie.

Trzeci, ostatni pokój różnił się od pozostałych. Dotykał zewnętrznej ściany domu i wpadało do niego światło przez okno w szczycie. Wszędzie było mnóstwo pajęczyn. A tapeta, pierwotnie błękitna z kwiatowym wzorem, w wielu miejscach zwisała luźno.

Poza oknem pokój różnił się od pozostałych również tym, że na środku podłogi stał stary koń na biegunach, a pod oknem było biurko.

Ostatni raz przesunął wzrokiem po tajemniczym strychu z dziwnymi pokojami i zszedł na dół. Co, u licha, mogło skłonić siedem-dziesięciosześcioletniego człowieka do przeprowadzki ze stolicy w takie... nic?

Magnus, pochłonięty grą, nawet na niego nie spojrzał, kiedy znów przeszedł przez kuchnię. On z kolei westchnął ciężko na

widok chaosu, który piętrzył się na środku pokoju. Na pierwszy rzut oka pomyślał, że najwięcej miejsca zajmują same szuflady, wyrwane z biurka i opróżnione. Ale wały się tu też jakieś segregatory, dokumenty, listy i Bóg wie co jeszcze...

Zaczął od szuflad, które ustawił w kącie.

Potem segregatory. W sumie cztery. Pierwszy zawierał materiały z Duńskiego Towarzystwa Przyrodniczego. Z korespondencji wynikało, że Poul Hansen był członkiem miejscowego oddziału w Ikast. Pobieźnie przejrzał zawartość teczki, po czym odłożył ją i przeszedł do następnej. W tej były listy i dokumenty, które łączyło ze sobą to, że nadawcą była gmina, w tym przypadku Ikast-Brande, a pierwszy z nich pochodził sprzed jakichś dwóch lat. Były tam rachunki za wodę, pokwitowanie podatku od nieruchomości, faktury za remont, walkę ze szkodnikami i coś o jakiejś szopie, której wciąż nie wpisano do księgi wieczystej.

W trzecim segregatorze były same pisma hobbystyczne, starannie schowane w plastikowych koszulkach. Wśród nich kilka numerów magazynu „Myśliwy” wydawanego przez Duński Związek Łowiecki, z czego wnosił, że Poul Hansen musiał być jego członkiem. Poza tym „Wędkarstwo Sportowe” — periodyk wydawany przez Duński Związek Wędkarski. I tym samym być może znalazł odpowiedź na pytanie, które sobie zadał na strychu.

Jeśli Poul Hansen był zapalonym myśliwym i wędkarzem, to mogło tłumaczyć decyzję o przeprowadzce. Jutlandia Środkowa z jej bujną przyrodą, porośnięta lasami bogatymi w zwierzynę i pocięta małymi rzeczkami, była bodaj najlepszym miejscem w kraju, aby się osiedlić, jeśli się miało ochotę na aktywne spędzanie emerytury ze strzelbą lub z wędką. Tylko... gdzie wobec tego były te wędkę i strzelby?

Ostatni segregator został opatrzony naklejką z napisem „Harrildholm”. Był to zbiór papierów i materiałów, które dotyczyły samego gospodarstwa lub jego przejęcia. Poul Hansen wykupił je na licytacji komorniczej nieco ponad dwa lata temu, od towarzystwa kredytowego. Targu dobił już w pierwszej rundzie, płacąc milion trzysta tysięcy koron.

W segregatorze był również akt własności w plastikowej koszulce i mapa przynależnej do gospodarstwa ziemi. Do tego krótka historia sprzedaży, z której wynikało, że większość ziemi została potem sprzedana i obecnie do Harrildholmu należy jedenaście hektarów, głównie lasu. Cenę aukcyjną musiała podbić ziemia, bo budynki nie miały żadnej wartości.

Odłożył segregator i przyspieszył pracę. Na podłodze luzem leżały inne pisma z gminy, których Hansen widocznie jeszcze nie włożył do segregatora. Był wśród nich list informujący o pikniku organizowanym przez gminny dom kultury w Harrild Hede, nadawcami były Urząd Ochrony Środowiska i gmina.

Po nim otworzył list z urzędu wojewódzkiego. Było to pochodzące sprzed pół roku wezwanie na badanie do szpitala rejonowego w Herning. Dalej był list o umowie dzierżawy kawałka terenu przy granicy działki, przypomnienie o upływie ważności przeglądu samochodu, passata kombi, biuletyn parafii Fasterholt, dwa wyciągi z konta, z których wynikało, że Poul Hansen przynajmniej na jednym koncie miał cztery miesiące temu sto dwanaście tysięcy koron.

Odłożył papiery na bok. Stos rzeczywiście wydawał się duży przez segregatory i szuflady.

Kolejną warstwę stanowiły wycinki z gazet. To, że były stare, widać było od razu, po pożółkłym papierze. Wziął do ręki jeden z nich i rozłożył. Jego umysł wskoczył na najwyższy poziom skupienia tak gwałtownie, że zadudniło mu w skroniach i musiał mrugnąć parę razy, by odzyskać ostrość widzenia.

Artykuł pochodził z „Ekstra Bladet”, a nagłówek brzmiał:

Policjantka zabiła podejrzanego pojedynczym strzałem w głowę.

Dopiero po chwili oderwał wzrok od tego zdania i błyskawicznie omiótł całość:

„Nieznane są powody, dla których stołeczna policja zdecydowała się nie informować o dramatycznym wydarzeniu w Sydhavnen. »Ekstra Bladet« udało się jedynie dowiedzieć, że przed tygodniem młody mężczyzna zginął na miejscu po tym, jak młoda funkcjonariuszka policji otworzyła ogień. Wciąż niewiele wiadomo, ale...”

Szybko czytał dalej. Czy to mogło być o niej? A mogło być o kimś innym? Nie. Raczej nie.

Wyjął z kieszeni telefon, wybrał numer i czekał całą wieczność, aż odbierze. W końcu usłyszał ostry, znajomy głos:

— Margrethe Franck.

Rozdział 14.

Wcisnęła guzik pilota i migotanie świateł z daleka potwierdziło, że drzwi są otwarte a jej dwustudwudziestoosmiokonny twinpower turbo odrzutowiec jest gotów do służby.

Mini cooper w kolorze czerwonego chili z czarnymi pasami wyścigowymi i czarnym dachem świecił nie tylko żarówkami. Lśnił całkiem dosłownie, niczym prawdziwy rubin na tle tanich imitacji stojących na parkingu głównej kwatery Policyjnej Służby Wywiadowczej w Søborgu.

„Nie jesteś godzien” — pomyślała i rzuciła okiem na żalosego forda focusa, którego ktoś po chamsku i w dodatku nierówno zaparkował na chodniku.

Otworzyła drzwi i usiadła w zrobionym na zamówienie fotelu z czarnej skóry. Pociągnęła drzwi i czekała na ten dźwięk. Drzwi prawdziwych samochodów powinny kliknąć przy zamykaniu. Potem ciężko wypuściła powietrze. Było zimno. Tak zimno, że w kabinie widać było jej oddech.

Opuściła osłonę przeciwsłoneczną i pośpiesznie przyjrzała się sobie w lusterku. Ciemne kręgi wokół oczu i skłonność do worków. Do tego fryzura z irokezem, który zrobił się za długi, żeby sterczeć. Wyglądała jak ostatni z ostatnich Mohikanów.

Za dużo pracy, za mało snu. Z powrotem podniosła osłonę, uruchomiła silnik i już miała odruchowo włączyć AC/DC, kiedy powstrzymała się, by jeszcze przez chwilę posłuchać silnika.

Niels Oxen...

W sumie nie powinno się odbierać telefonu, jeśli się nie ma czasu na rozmowę. A ona była już trzy minuty spóźniona na spotkanie, które sama zwołała. A jednak, widząc, że to on, odebrała.

Od razu go przeprosiła i wyjaśniła, że się śpieszy na ważne spotkanie. I że nie może rozmawiać. Oxen nie tracił czasu. Rzucił tylko: „Wyślę ci coś. Zerknij, jak będziesz miała chwilę”.

Cały on. Żadnego pustosłowa. A przecież nie widzieli się szmat czasu. Ostatni raz parę dni przed Bożym Narodzeniem. Myślała o nim, i to często. Ale ostatnie miesiące były dla niej jak bardzo długa przejażdżka rollercoasterem po kalendarzu.

Potem, po spotkaniu, nie znalazła nawet sekundy, żeby przeczytać jego wiadomość, aż w końcu złapała swoją skórzaną kurtkę i niemal wybiegła z biura. Obecnie mocno dało się odczuć, że większość rodziców wyjechała z dziećmi na ferie, a bezdzielnym przecież nigdzie się nie śpieszy. Otóż jej się śpieszyło. Do domu. Do domu, ugotować sobie wreszcie jakieś normalne jedzenie. A potem walnąć się na kanapę i obejrzeć odcinek *Gry o tron*.

Wyjęła telefon z kieszeni. Mogła przeczytać teraz, gdy silnik się rozgrzewał. Dobrze jest odczekać, aż ciepło wniknie w tłoki, zawory i cylindry, zanim się ruszy.

Odwróciła telefon, żeby łatwiej wyświetlić zdjęcie, które przysłał jej Oxen.

Sam nagłówek wystarczył, by szerzej otworzyła oczy: *Policjantka zabiła podejrzanego pojedynczym strzałem w głowę*. Wielkimi literami. Artykuł na dwie strony ze zdjęciami. Przeczytała wytłuszczony wstęp:

„Pościg za podejrzanym samochodem zakończył się strzelaniną w podwórzu magazynu w Sydhavnen. Trzydziestosiemioletni mężczyzna zginął na miejscu od strzału w czoło. Policjantkę z ciężkimi obrażeniami przewieziono do szpitala. Komenda stołeczna przez tydzień ukrywała sprawę i dopiero dziś przed południem wystosuje komunikat”.

Czytała w takim skupieniu, że rozboleły ją oczy. Chociaż wcale nie musiała tego czytać.

To było o niej.

Datę i rok знаła na pamięć. Potrafiłaby podać nawet godzinę, co do minuty — przez sen.

Rozsunęła palce na ekranie, by powiększyć fragment artykułu napisany zwykłą czcionką. Wcisnęła się w fotel i cofnęła o dwanaście lat.

„Wciąż mamy niewiele informacji, lecz »Ekstra Bladet« udało się dowiedzieć, że chodzi o młodą policjantkę, której stan

podobno określa się — lub określano — jako krytyczny. Policjantka, patrolując wraz z kolegą ulice Kopenhagi, zauważyła samochód, który według naszych źródeł był poszukiwany w związku z napadem na placówkę Danske Banku we Frederiksbergu, podczas którego zginął jeden ze strażników banku. Kierowca samochodu, podejrzewany o udział w zabójstwie, miał wjechać na podwórko magazynu w Sydhavnen, skąd nie było drogi ucieczki. Wówczas z dużą prędkością najechał na policjantkę, która zdążyła wcześniej zabić kierującego pojazdem, oddając pojedynczy strzał w czoło”.

Hm. Po prawdzie jej stan nigdy nie był krytyczny, ale być może wszystko wyglądało tak dramatycznie, że dziennikarze sami to sobie dopowiedzieli.

Minęło wiele lat, odkąd ostatni raz go widziała, ale owszem, знаła ten artykuł, i treść, i zdjęcia. Przez jakieś dwa lata po wypadku zbierała wycinki na ten temat. Potem wszystko wyrzuciła.

Tylko dlaczego? Teraz... po takim czasie. Dlaczego trafił akurat na ten artykuł? I gdzie?

Dalej nie czytała, tylko wybrała numer. Odebrał niemal od razu.

— Oxen.

— To ja. Zaraz do ciebie wpadnę.

— Nie ma mnie w domu.

— Nie ma cię?

— Jestem na Jutlandii. To znaczy w Niemczech. W hotelu na południe od granicy.

— Dlaczego?

— Ferie zimowe. Z Magnusem. Właśnie pływa na zewnątrz w basenie z podgrzewaną wodą. Paruje jak na Islandii.

— A ten artykuł?

— Znalazłem go... w jednym starym gospodarstwie w Jutlandii Środkowej. Już ci mówię: to było jakieś dwa tygodnie temu. Nagle wieczorem zjawił się Mossman i chciał...

— Mossman? — Nie miała w zwyczaju przerywać. Po prostu ją to zaskoczyło. — Wybacz, mów dalej.

Oxen dokończył swoje krótkie streszczenie, jakby to była odprawa przed misją. A ona już do końca tylko słuchała uważnie.

Poderwała się na miejscu, gdy ktoś zapukał w szybę. Nie wiedziała, jak długo siedziała, patrząc przed siebie nieobecny wzrokiem. Silnik pracował i w środku już dawno zrobiło się przyjemnie ciepło. Dwumetrowy Pallesen zgiął się wpół, aby zrównać się z nią wzrokiem. Dziwna pozycja sprawiała, że gdy zaglądał do środka, jego oczy były na dole, a usta na górze. Na chodniku stał jego focus.

Wcisnęła guzik i otworzyła okno.

— Co jest?

— Ehm... wybacz, Margrethe, że się wtrącam. Ale wyszłaś już jakiś czas temu, co nie? A dalej tu jesteś. Więc pomyślałem... Wszystko w porządku?

Rozdział 15.

1 grudnia 1963

Światła nagle się przybliżyły. Coraz ostrzej rozjaśniały pobocze i pola, i mokry asfalt. Usłyszała, że silnik z tyłu gwałtownie przyśpieszył, w panice obejrzała się przez ramię i światła ponownie ją oślepiły.

Poszarpane myśli przelatywały przez głowę jak elektryczne impulsy, każdy mięsień miała napięty. Działo się coś strasznego.

Wstała z siodełka, by mocniej naciskać na pedały. Serce chciało jej wyskoczyć z piersi.

Samochód gwałtownie zahamował, wpadł w poślizg i zajechał jej drogę. Przodem uderzył w rower. Wyrzuciło ją w górę, a sekundę później uderzyła o ziemię na poboczu i potoczyła się kawałek.

Obolała podniosła się na kolana — i spojrzała prosto w światła samochodu. Szybko odwróciła głowę. Wstała. Głos w jej głowie ponaglał rozpaczliwie: biegnij!

Ale nogi nie chciały jej słuchać. Nie mogła się ruszyć. Chciała krzyczeć, tak głośno, żeby tato ją usłyszał. Ale żaden dźwięk nie dobywał się z jej ust. Zresztą kto miałby jej pomóc? Była sama. Sama, sama, sama.

Drzwi samochodu się otworzyły.

Kiedy wreszcie zdołała stanąć na nogi i odejść parę kroków w bok, zobaczyła ją — postać wchodzącą w snop światła przed samochodem. Poczowała mocny uścisk na ramieniu i ostry ból w skroni.

Potem światła zniknęły. Wszystko się zaciemniło.

Mężczyzna nieśpiesznie obszedł samochód i otworzył bagażnik. Przez krótką chwilę stał i się namyślał. Musiał to dobrze rozegrać.

W końcu z kieszeni spodni wyjął scyzoryk i odciął długi kawałek sznurka, który trzymał w bagażniku. Pustą drewnianą skrzynkę na piwo przełożył na fotel pasażera.

Dziewczyne, leżącą na drodze przed samochodem, odwrócił na brzuch i ciasno związał jej nadgarstki na plecach. Kiedy ją podnosił, pobrudził sobie rękaw krwią. Rana na skroni od uderzenia kluczem szwedzkim mocno krwawiła.

Z trudem udało mu się dotaszczyć bezwładne ciało do bagażnika. Potem powyginał je tak, żeby się zmieściło, i zamknął klapę.

Kiedy ponownie usiadł za kierownicą, czuł dziwną lekkość. I przyjemne wyczekiwanie.

Rozdział 16.

Piwnica Mossmana wyglądała tak, jak zapamiętał — a jednak inaczej.

Obita płótnem ściana, na której były szef wywiadu za pomocą mapy kraju, kolorowych pinezek i karteczek dzielnie walczył z mroczną koterią Danehofu, teraz była niemal pusta. Wisiała na niej tylko pojedyncza kartka formatu A3. Wyglądało na to, że miała jakiś związek z pracą Mossmana w komisji.

— Witaj w mojej jaskini, żołnierzu. Minęło sporo czasu. Trzymaj. — Axel Mossman nalał kawy do kubka i przysunął mu go po stole. — I jak wam się udała wycieczka z synem na Jutlandię?

Kiwnął tylko głową. Wrócili wczoraj po południu. Magnus w zasadzie przez całą długą drogę od granicy do Kopenhagi nie odezwał się słowem.

Nie dalej jak dwie godziny temu odwiózł go do domu i pomógł wnieść na podjazd skrzynki coli. Syn pożegnał go na chodniku przed domem bez słowa, unosząc tylko drobną dłoń.

Jego wyobrażenie o wspólnej wyprawie okazało się jedną wielką porażką. Wszystko, co robił, mówił i myślał względem Magnusa, było porażką. I najbardziej w tej chwili pragnął spokoju. Usiąść gdzieś w otwartej przestrzeni. Sam. Tymczasem musiał, zgodnie z obietnicą, zdać niby-raport człowiekowi, w którego towarzystwie nigdy nie można było być... spokojnym.

— A Niemcy?

Znów kiwnął głową. W kącie dalej stały szafki z aktami. To tam Mossman ukrył materiały, które nie dawały mu spokoju — i nie mogły ujrzeć światła dziennego. Wielu pewnie miałoby ochotę do nich zajrzeć. On natomiast chciał jak najszybciej stąd wyjść.

— Gdzie się zatrzymaliście? Jeśli wolno spytać.

— W hotelu, zaraz za granicą po niemieckiej stronie, w mieście Kruså.

— Dawno temu byliśmy tam z żoną. Dalej przewalają się tamtędy hordy Duńczyków, wspierając niesprawiedliwy handel przygraniczny i zgarniając Niemcom towary z półek?

— Mniej więcej.

— A wy? Kupiliście to, co chcieliście? Oranzady i... jak to się nazywa... ta czekolada do smarowania?

— Nutella.

— Właśnie. Można by pomyśleć, że w tym kraju niczego innego się nie je.

— Magnus kupił colę i jakieś słodycze. Tak się umówiliśmy. Porozmawiajmy o Harrildholmie.

— Jak zawsze... żołnierz do szpiku kości... No dobrze. Harrildholm. Zaczynaj.

Pokrótce i w porządku chronologicznym opisał mu swoje zetknięcie ze starym, zamkniętym z czterech stron gospodarstwem w stanie upadku, z którego raczej się nie podniesie.

Mossman skrzyżował wielkie dłonie pod brodą. Lekko zmarszczył brwi na wieść o mężczyźnie, który grzebał w papierach Poula Hansena, ale wyraźnie uspokoiła go informacja, że był ubrany w ogrodniczki i chodził w drewniakach.

Opowiadał dalej o tym, jak z Magnusem przeszukali kolejne zabudowania, o tym, jak sam przeszukał dom i strych. Mossman słuchał uważnie i ani razu nie przerwał. Tylko brwi ponownie podjechały mu na czoło, kiedy powiedział o znalezionych niedawno zwłokach w pobliskim potoku.

Historię potwierdziło dwoje najbliższych sąsiadów Hansena, z którymi porozmawiał, zanim wyruszyli do Niemiec. Oboje powiedzieli to samo — wiejska plotka głosi, że policja nie zna tożsamości zmarłego, ale wiadomo, że chodzi o starszego mężczyznę. Tyle napisano podobno nawet w gazecie. W tej samej gazecie ktoś z policji miał stwierdzić, że „nic nie wskazuje na udział osób trzecich”.

Mossman odchrząknął donośnie.

— Czyli obecnie, w świetle dostępnych informacji, nie można wykluczyć, że ciało może należeć do

siedemdziesięciosześcioletniego właściciela Harrildholmu, Poula Hansena?

— Dokładnie. Ale ty masz swoje kontakty. Uznałem, że dla ciebie to będzie pestka zweryfikować tę historię — i poznać tożsamość zmarłego.

Mossman z namysłem pokiwał głową i poprosił go, by mówił dalej.

W sumie powiedział już prawie wszystko, poza informacjami najistotniejszymi, które postanowił podać poza swoim raportem chronologicznym.

— Jest coś jeszcze — zaczął. — Przeszukałem cały pokój i wszystkie wyrzucone na podłogę papiery. I trafiłem na coś wyjątkowo ciekawego...

Mossman spojrzał na niego. To ten moment, w którym zaczną się targować.

— Co takiego?

— Wycinek. Z gazety...

— Jaki?

— A może najpierw wymienimy informacje podstawowe? Dlaczego interesuje cię staruszek w wiejskim domu?

Na twarzy Mossmana pojawił się lekki uśmiech.

— Myślałem, że motywy tego zlecenia cię nie interesują. To właściwie nic wielkiego. W każdym razie nie w tym momencie. Ale... sądzę, że dla sprawy lepiej będzie, jeśli nie będziesz znał szczegółów. Chociaż doceniam twoją dociekliwość, żołnierzu... Zatem: mówisz, że znalazłeś artykuł?

— Tutaj...

Poklepał swoją kurtkę w miejscu, gdzie znajdowała się wewnętrzna kieszeń.

Mossman uśmiechnął się promiennie.

— Mógłbyś sporo zdziałać w mojej branży. Cena?

— Już ją poznałeś.

— Oxen. Tak jak powiedziałem, to w niczym nie pomoże, jeśli...

— Tego nie możesz wiedzieć.

Mossman wzruszył ramionami.

— To tak naprawdę nie jest żadna sprawa — powiedział spokojnie i odłożył okulary na stół. — Nie ma żadnej sprawy,

żadnego śledztwa, nic. Tylko starzec stawiający pierwsze kroki na tropie, którego nikt nie widzi.

— Gdy przeczytasz ten artykuł, zrozumiesz, dlaczego muszę wiedzieć, co się dzieje.

Mossman nie odpowiedział. Odchylił na krześle swój ogromny korpus, potarł twarz wielkimi jak bochny dłońmi, a potem złożył je jak do modlitwy, zasłonił nos i usta, a kciukami ścisnął luźną skórę pod brodą.

Siedział tak w milczeniu przez jakiś czas. On sam czekał spokojnie i powoli rozglądał się po pomieszczeniu.

Mossman się nie śpieszył. Złożone ręce, głębokie zmarszczki na czole i nieruchome spojrzenie tworzyły wokół dawnego szefa wywiadu intensywne pole energetyczne, które zdawało się iskrzyć. To budziło respekt. Ostry jak brzytwa umysł Mossmana musiał budzić respekt. W przeciwnym razie można się było skaleczyć.

I kiedy siedział, czekając, aż stary lis zbierze, przeanalizuje i wyciągnie wnioski ze swoich przemyśleń, ogarnęło go to samo poczucie niższości, którego doświadczał wielokrotnie w bliskości Mossmana. Nie mógł jednak zrobić nic innego, jak grać dalej. I czekać.

— *Well...*

Mossman rozsunął dłonie, by z jego ust mogło paść jego ulubione słowo. Anglofil emeryt uśmiechnął się szeroko i popatrzył mu prosto w oczy, jakby był partnerem w negocjacjach z wywiadem z obcego kraju.

— *...in that case...* Jeszcze kawy, żołnierzu? Musimy się napić kawy, *zanim* zacznę, a gdy już zacznę, niewątpliwie stwierdzisz, że staremu szajba odbiła już do reszty. I niewykluczone, że będziesz miał rację. Bo moja historia to opowieść o cieniu.

Mossman wstał, podszedł do stolika, na którym stał ekspres, i dolał kawy do obu kubków. Wciąż odwrócony plecami zaczął powoli:

— Widzisz, mój drogi żołnierzu. Ten... cień... ma imię. Opowiem ci teraz historię o... Lupusie.

Rozdział 17.

Można się oczywiście spierać o to, ile miejsc musi być zajętych, aby można było uznać skład Parlamentu Poppelgården za kompletny. Bo na przykład w ważne wieczory — te z pokerem albo z Champions League — mogło się ich zebrać nawet dwudziestu, ale wewnętrzny krąg stałych bywalców stanowiło z dziesięć, może dwanaście osób.

Wciąż trwały zimowe ferie, więc ci z nich, którzy mieli dzieci w wieku szkolnym, pojawią się dopiero w przyszłym tygodniu.

Bjarne Młynarz jedną ręką gasił papierosa, a drugą obsługiwał pilota. Chociaż przy stole siedziało czterech kompanów, poniekąd jego gości, właściciel tego przybytku zachowywał się, jakby był u siebie w salonie. Siedział na krześle w pozycji półleżącej, a stopy w samych skarpetkach opierał o kant stołu.

— Hm — mruknął zaniepokojony i upił piwa z puszki.

— Co jest? — spytał Kowal.

— Ten z Ghany miał kontuzję na treningu. Wykluczyli go na dwa albo i trzy miesiące. Niedobrze. Skubany gania jak Usain Bolt.

— I co z tego? Nie trafiłby do bramki, nawet gdyby w niej stał — zauważył Sztynk. Przyprowadził swojego teścia. Peder Szlam — tak się nazywał, bo jako autoryzowany asenizator od zarania dziejów prowadził własną małą firmę. Teraz był na emeryturze, ale gdy mu się nudziło, czasem jeździł na robotę ze Sztynkiem. Czwartym był Gruby.

Młynarz niezrażony dalej czytał wiadomości w telegazecie. Również te, które nie miały związku ze sportem. Lubił być na bieżąco zarówno z tym, co w kraju, jak i na świecie — i z polityką.

— Niech mnie! Teraz grasują u nas już dwa wilki! Samiec i samica. „Wskazują na to nowe badania DNA przeprowadzone przez uznany Instytut Senckenberga we Frankfurcie”, piszą w telegazecie. „Obecność zarówno samca, jak i samicy w okolicach

Harrild Hede potwierdza nasze wcześniejsze przypuszczenia. Niewykluczone zatem, że na wiosnę możemy się spodziewać drugiej duńskiej watahy”, mówi ekspert z Urzędu Środowiska. Dwa? W dodatku para? Rany boskie... — Bjarne Młynarz zapalił papierosa.

— Jak tutaj jechałem jedną z tych dróg szutrowych, to spotkałem grupę tych, co szukają wilczego gówna. Powiedzieli, że znaleźli tego całkiem sporo — powiedział Gruby, który zawsze nieco inaczej odbierał świat przez to, że jeździł motorynką.

— Zbieracze gówna? My z żoną też żeśmy ich spotkali — powiedział Szlam — Nie pojmuję... że też się ludziom chce poświęcać wolny czas na zbieranie gówna.

Sztynk wzruszył tylko ramionami, bo w sumie był w tej samej branży, w pewnym sensie.

— Któregoś dnia będą z tego problemy, i to takie prawdziwe. Nie jakaś zabita owca tu czy tam — stwierdził filozoficznie Kowal.

Przyszedł Stary Thor. Jak zawsze powiesił laskę na gwoździu przy drzwiach i opadł ciężko na krzesło obok Grubego.

— A wy znów o tych wilkach? — spytał.

Gruby przytaknął skinieniem.

— Słyszałem dziś rano, że w Kølkaer znaleźli dwie zagryzione owce. Jest coraz gorzej — powiedział Stary Thor i pokręcił głową.

— Pierdoły opowiadasz, ojciec. Jak zawsze histeryzujesz, aż się słuchać nie da. Teraz każdy głupek będzie ryczał „wilki” za każdym razem, kiedy się znajdzie jakaś padlina na Jutlandii. A to najczęściej bezpańskie psy zagryzają gadzinę. Takie są fakty — poprawił ojca Młynarz.

Beton wszedł akurat w trakcie chwilowej ciszy, jaka zapanowała po tym krótkim śpięciu.

— Jezu, a tobie co się stało? — zaniepokoił się Sztynk. — Biłeś się?

Wszyscy spojrzeli na Betona, który szybko poszedł do lodówki, żeby się obsłużyć, i wrzucił do puszki garść monet. Kiedy usiadł z piwem, wszyscy wciąż patrzyli na niego wyczekująco.

— Kostka brukowa... a raczej cała paleta — westchnął Beton, żeby się jakoś wytłumaczyć z rozciętej brwi.

— I musiałeś walić w nie łbem? — zaśmiał się Młynarz.

— Jeden z chłopaków zrobił nawrotkę wózkiem widłowym akurat, jak się odwróciłem. I rąbnął mnie paletą. Bolało jak szlag.

Teraz pojawił się również Mini i podobnie jak Beton, najpierw skierował kroki ku lodówce i dopiero po chwili usiadł przy jednym ze stolików.

— Oberwałeś? — Mini zerknął na Betona, który odburknął:

— Ja pierdolę: paleta. I już nie chce mi się o tym gadać.

Mini zamilkł. Betona lepiej było nie drażnić. Jak paleta, to paleta, i tyle w temacie.

— Jak ci idzie, Mini? — Młynarz spojrzał na niego pytająco.

— Powoli. Został jeszcze dzień roboty i można robić fundament — odparł swojemu pracodawcy.

— Ostatnio rozmawialiśmy o tym gościu z Harrildholmu — zaczął Stary Thor. — I akurat...

— O tym, co mu odgryzło gębę? Że niby wilk? Rany boskie! — przerwał mu syn.

Stary Thor spokojnie wzruszył ramionami i dokończył:

— Chciałem tylko powiedzieć, że akurat rozmawiałem z listonoszem i on mówi, że widział niedawno jakiś obcy samochód pod Harrildholmem. Z wypożyczalni.

— Może właściciel wpadł na chwilę z Kopenhagi — podsunął Beton.

— Ale przecież on zniknął — zaprotestował Stary Thor.

— Ech... — zachnął się Gruby. — Tego nie wiemy.

— Może leży do góry brzuchem pod piramidami albo w jakimś innym dziwnym miejscu — stwierdził Młynarz.

Stary Thor westchnął głęboko i pokręcił lekko głową.

— No, nie wiem... W dodatku znów zaczęli mówić o kłusownikach. Można by pomyśleć, że coś złego wisi w powietrzu ostatnimi czasy.

— W jakim sensie? — zainteresował się Sztynk i spojrzał na starego.

— Tak w ogóle... coś czyha w powietrzu... Coś... groźnego. Wilki, ciało w potoku, kłusownicy, ten z Harrildholmu, co zniknął, martwe owce — i jeszcze więcej wilków. Jak zły omen... Mówię wam, nadciągają złe czasy.

Rozdział 18.

Mossman wstał i podszedł do szafki stojącej najbliżej drzwi. Wysunął górną szufladę, wyjął z niej teczkę i położył ją na szafce.

— Tu jest wszystko — powiedział i wyciągnął kilka kartek. — Moje własne notatki i przepisane fragmenty dzienników Wolfa-Wittego. Oryginały... schowałem w bezpiecznym miejscu. Posłuchaj tego, żołnierzu.

Mossman zaczął czytać z zapisków lidera Danehofu:

— „Postanowiłem dziś pojechać do Harrildholmu i spróbować odnowić relację z Lupusem. Wiem, że wcześniej miałem wątpliwości co do naszej współpracy. I to ja zerwałem kontakt. Uznałem jednak, że podtrzymanie relacji może być korzystne dla obu stron. Mogliby nam się jeszcze przydać do różnych zadań. Nie wiem tylko, czy Lupus nadal jest zainteresowany”.

— Lupus.

— Tak, Lupus. To ten fragment dziennika naprowadził mnie na trop. Jest tylko jedno miejsce w Danii, które nazywa się Harrildholm — powiedział Mossman. — I właśnie stamtąd wróciłeś.

— Ale... akurat Lupus? Z wszystkich możliwych nazw? W dodatku tam? Dziwne...

— Dlaczego?

— Bo właśnie tam bytuje wilk. Prawdziwy.

— Ach. Wybacz, nie jestem tak obeznany w królestwie zwierząt. O czym konkretnie mówisz?

— Obecnie po Harrild Hede biega co najmniej jeden wilk. To tam po raz pierwszy zrobiono kultowe niemal zdjęcie kamerą leśną, gdy wilk wrócił na teren Danii po dwustu latach nieobecności. Harrild Hede jest prawdziwym wilczym rewirem. I teraz mówisz o jakimś Lupusie. W Harrildholmie. To właśnie uważam za dziwne.

— *Well*. W istocie, osobliwy zbieg okoliczności. Ale jeden Lupus z drugim mają raczej niewiele wspólnego. Wracając do notatki... kiedy na nią trafiłem, zmroziło mnie. I musiałem się wybrać w tę długą podróż do Harrildholmu, by osobiście zapukać do drzwi Poula Hansena. Bo widzisz... ta historia o Lupusie to, jak powiedziałem, opowieść o cieniu.

Mossman wrócił na swoje miejsce przy stole, opadł ciężko na krzesło i siedząc chwilę ze zmarszczonym czołem, najwyraźniej zastanawiał się, w którym miejscu powinna się zacząć jego opowieść. W końcu zdecydowanym tonem oświadczył:

— Musimy się cofnąć o czterdzieści lat. Byłem wtedy w szkole policyjnej. Miałem tam dobrego kumpla, którego ojciec był komendantem w Roskilde. Któregoś razu ten kumpel zaprosił mnie na wielki letni piknik, który jego ojciec urządzał co roku. Mnóstwo policjantów, właściwie to niemal sami policjanci. I sporo szych. Impreza trwała do białego rana. A ja byłem jak ta mucha na ścianie — młody i ciekawski. Wszystko chłonałem jak gąbka. W kuchni podsłuchałem fragment rozmowy czterech komendantów, wśród których był ojciec mojego kolegi. Wcześniej musieli chyba rozmawiać o czymś, co ich wszystkich ogromnie wzburzyło, bo jeden z nich, z komendy w Slagelse, prawie wykrzyczał: „Lupus zrobiłby z tym porządek!”.

Mossman patrzył na zawartość kubka między swoimi dłońmi nieobecny wzrokiem, jakby rzeczywiście cofnął się do czasów młodości. Potem ciągnął dalej:

— Ojciec mojego kolegi chwilę kręcił głową, a potem powiedział coś w stylu: „Świat stanął na głowie”. Że normalnie okrzyk „wilk idzie” był sygnałem do ucieczki. A teraz najwyraźniej należało wilka przywoływać. Trzeci siedzący przy stole mężczyzna zdziwił się: „Więc to prawda z tym Lupusem?”. Wtedy ten ze Slagelse nagle jakby się obudził i gdy mnie dostrzegł, uciszył pozostałych. Ich rozmowa gwałtownie się urwała, więc niczego więcej się nie dowiedziałem. Wtedy po raz pierwszy usłyszałem o Lupusie. Jezu... szmat czasu. Byłem młody i niewinny, prawie. Zresztą sam to znasz. Też przez to przeszedłeś, wczesne lata w szkole policyjnej... piękne czasy, prawda?

Mossman spojrział na niego i pokręcił głową z nostalgią.

— Nie zabawiłem w szkole policyjnej zbyt długo — odparł krótko. — Nie mam stamtąd szczególnie pięknych wspomnień.

— *Well*, ja też pewnie na starość idealizuję dawne czasy. Za to za drugim razem... za drugim razem, gdy się natknąłem na to określenie, zjawisko czy na *Lupus-what-so-ever*, było to na przyjęciu u mojego ówczesnego szefa, jakieś dziesięć lat później. Sześćdziesiąte urodziny w Søvavillonen. Byłem wtedy w wydziale zabójstw komendy stołecznej i równolegle studiowałem prawo. Tamtej zimy w kręgach policyjnych wrzało. Tuż przed świętami w Næstved do dwóch policjantów, którzy zatrzymali podejrzany samochód, otworzono ogień. Obaj zginęli na miejscu. Potem się okazało, że sprawcą był zbiegły więzień. Pod silnym wpływem narkotyków. Fin, tak na marginesie. Wyszedłem na chwilę na powietrze. Zza rogu dobiegła mnie rozmowa dwóch mężczyzn. Jeden powiedział: „Gdyby była sprawiedliwość na tym świecie, kutas dostałby kulkę w łeb”. A drugi odpowiedział mniej więcej tak: „Wiesz, że nic takiego się nie stanie — chyba że włączy się Lupus i rozprawi się z Finem po swojemu”. Potem podeszła do nich jakaś kobieta i im przerwała. Jednego z tych mężczyzn znałem, pracował w prokuraturze. Czyli Lupusa nie znalazłeś, ale może widziałeś inne wilki na jutlandzkim odludziu, co, żołnierzu? — Mossman uśmiechnął się krzywo, jakby zbieżność miejsca bytowania tajemniczego Lupusa i wilków była dowcipem, że boki zrywać.

— Żadnych. A było jakieś trzecie wejście Lupusa?

Mossman spokojnie pokiwał głową.

— Trzecie i ostatnie. To było w czasie moich pierwszych miesięcy na stołku szefa PET. Mój poprzednik zostawił prawdziwy bajzel. W jednym z segregatorów z akcji monitorowania duńskiej lewicy znalazłem małą, luźną kartkę. Widniały na niej tylko data i słowa: Lupus — milion dwieście pięćdziesiąt pięć tysięcy koron. To było jak ponure *déjà vu* dla takiego Czerwonego Kapturka jak ja.

Z twarzy Mossmana nie był w stanie wyczytać nic poza zadumą. A dawny szef wywiadu uśmiechnął się cierpko z własnej pointy.

— Ale chyba jest coś więcej? Nie wierzę, że ktoś taki jak ty przez te wszystkie lata siedział z założonymi rękami.

Mossman wzruszył ramionami niemal przepraszająco.

— Czas, żołnierzu. Czas jest zawsze towarem deficytowym. Im starszy się człowiek robi, tym szybciej przesypuje się piasek w klepsydrze. Ja swój czas poświęciłem na walkę z zagrożeniami, przed którymi stanęliśmy jako społeczeństwo i naród, ekstremizmem i fanatyzmem. Tak można to w dużym uproszczeniu wyjaśnić. Ale rzeczywiście, próbowałem — choć zdecydowanie zbyt mało intensywnie — podążyć tropem Lupusa i sprawdzić, dokąd prowadzi. Zaprowadził mnie jedynie do... cienia.

— Miałeś twarze, nazwiska, zeznania.

— Oczywiście. I na bieżąco sprawdzałem każde z nich. Komendantów z pikniku w Roskilde, gościa z prokuratury i mojego poprzednika. Wszyscy zapadli na zbiorową amnezję. Mój poprzednik zaprzeczył nawet, że to on napisał tamtą notatkę. W najlepszym razie byli w stanie jedynie powtórzyć coś z drugiej, trzeciej albo czwartej ręki. A to za mało.

— Ale co mówili?

Mossman rozłożył ręce.

— W skrócie można chyba powiedzieć, że Lupus to ktoś, kto niepostrzeżenie kładzie własny odważnik na wadze Temidy, gdy jej zdarzy się coś przeoczyć.

— Zemsta?

— I tak, i nie... Może raczej wyrównanie rachunku. Albo działanie zapobiegawcze. Jeśli jesteś w prawdziwych opałach, zawołaj wilka. Zawołaj głośno. Na wszystkie strony świata.

— Jakież konkrety?

Mossman pokręcił głową.

— Właściwie nie. Chociaż były opowieści o tym, jak ktoś mimo wszystko dostał to, na co zasłużył, mimo że w pierwszej rundzie mu się upiekło. Albo został „skazany” na znacznie dłuższą karę... Spotkałem się niedawno z jedynym żyjącym komendantem, który siedział w kuchni na tamtym pikniku. Dziś mieszka w domu opieki. Byłem u niego już drugi raz. Ale dopiero teraz zdecydował się mówić. Opowiedział mi, jak jeden oszust i były

dyrektor banku, który regularnie okradał ludzi, aż jego bank padł w czasie kryzysu finansowego, nagle sam stracił wszystko, co przez lata udało mu się zagarnąć. Skradziono mu ogromną — i nielegalną — gotówkę oraz kosztowną biżuterię jego żony z tajnej skrytki w ich willi przy Hambros Allé w Hellerup. Mówiono, że to była robota Lupusa... Była też historia o jednym Duńczyku w średnim wieku, którego roztrzaskane ciało znaleziono u podnóża klifu w Dolinie Motyli na Rodos. Były to jego pierwsze wakacje po wyjściu z więzienia, gdzie odsiadywał długi wyrok za kierowanie skandynawską siatką pedofilów. Według starego komendanta to też był Lupus. Jakieś dowody? *None.*

— A skąd staruszek wziął te opowieści?

— Gdy go o to spytałem, powiedział coś w stylu „po prostu wiem”. I tyle, więcej nic nie powiedział.

— I rzeczywiście miały miejsce — te zdarzenia, o których mówił?

— To w Dolinie Motyli to prawda. Ale tego z obrabowaniem dyrektora banku nie da się zweryfikować.

— A co się stało z tamtym Finem, który zabił policjantów?

— Ten dla odmiany dożył w paczce spokojnej starości. Umarł parę lat temu. Na zawał.

— Ale tobie to wszystko nie daje spokoju. — Oxen bardziej stwierdził, niż zapytał.

Mossman zmusił się do uśmiechu.

— *Well...* No, nie daje. Czy ten cień istnieje? Czy *Lupus* istnieje? A jeśli tak — to czy trzeba z nim cokolwiek robić? Bo w czym *Lupus* zawinił? W niczym. W każdym razie ja o niczym takim nie wiem. Po prostu co do zasady nie lubię nie wiedzieć. Taki już jestem. Cały swój czas od świtu do nocy zawsze poświęcałem na to, żeby *wiedzieć*. I teraz nagle znów pojawia się *Lupus* — jako bezpośredni ślad wiodący do starego domu na Jutlandii. Więc co robi taki stary pies tropiący jak ja? Zaczyna węszyć. Bo muszę się dowiedzieć.

Patrzył na potężną postać dawnego asa wywiadu. Jak zwykle nie miał pojęcia, czy Mossman nie ukrył czegoś na potem. Najprawdopodobniej tak. Tylko co? I jak duże?

— A teraz w pewnym sensie to się stało kwestią honoru. Czy kiedy przyjdzie na mnie pora, mam zamknąć oczy ze świadomością, że zamykam je również na Lupusa? Nie! Czekaj, jak żabojady nazywają w kolarstwie indywidualną jazdę na czas...? Już wiem: *contre la montre*. Więc Lupus jest moim *contre la montre*, a ja jestem już stary...

— Mówisz, jakbyś stał jedną nogą w grobie.

— Ależ skąd, żołnierzu. W żadnym razie. Tylko piasek stale się przesypuje...

— I gdyby było trzeba... jesteś gotów doprowadzić to do końca?

Mossman wzruszył ramionami.

— Tego nie twierdzę. Przewodzę komisji. Ta praca pochłania cały mój czas. Ona stanowi mój ostatni pomnik. Bo jeśli jeszcze nie wiesz, jestem dość próżny. Więc nie, nie mam czasu pójść na całość. Jeśli Poul Hansen z Harrildholmu rzeczywiście zniknął z powierzchni ziemi, to mój trop jest zimny. A pretorianów nie mam już w swoim królestwie. Nie mam nawet samotnego rycerza, którego mógłbym wysłać na zwiady, prawda?

— Prawda.

— Więc Lupus będzie musiał pozostać Lupusem, w każdym razie dopóki nie przyjdzie ten dzień, gdy już całkiem nie będę wiedział, co ze sobą zrobić. Kolej na ciebie, żołnierzu... Co to za artykuł, który znalazłeś w Harrildholmie?

Dopił kawę, by zyskać na czasie i ocenić, czy nie zdoła wycisnąć z niego więcej. Postanowił spróbować i wypalił prosto z mostu:

— A Poul Hansen? To raczej nie jest zwykły, przypadkowy wieśniak, prawda?

Twarz Mossmana rozpromienił uśmiech.

— Czyli chcesz więcej. W sumie nie jest to żaden skarb, a i tak większość już dostałeś. Oczywiście trochę poszperałem, na tyle, na ile starczyło mi kontaktów. I tak: siedemdziesiąt sześć lat, nieżonaty, dyplom z prawa na Uniwersytecie Kopenhaskim, do tego studia w Yale. Zdolny, same wysokie urzędy, olśniewająca kariera w Ministerstwie Sprawiedliwości, aż do szefa departamentu na początku lat dziewięćdziesiątych. Większość

życia mieszkał w willi w Rungsted, którą jakieś dwa lata temu sprzedał, po tym jak kupił Harrildholm.

— Dość niezwykła zmiana z Rungsted.

— To prawda, ale nie wiem, co nim kierowało. Teraz chyba możemy przejść do twojego artykułu, jak myślisz?

Kiwnął głową, z kieszeni wyjął pożółkły skrawek papieru i podał go Mossmanowi. Ten ostrożnie go rozłożył i na głos przeczytał nagłówek:

— *Policjantka zabiła podejrzanego pojedynczym strzałem w głowę* — i zamilkł. Przesunął wzrokiem po artykule i wrócił do początku. Na koniec spojrzał na niego z uniesionymi brwiami i stwierdził: — To Franck! To musi być Margrethe Franck.

Mossman czytał od nowa i bez przerwy kręcił głową z niedowierzaniem. Kiedy odłożył artykuł, powtórzył:

— To Margrethe Franck. Nie ma wątpliwości, to musi być ona. Prawda?

— Tak to o *niej*.

— Ale... skąd? Dlaczego?

— Ty mi powiedz.

Uważnie studiował spojrzenie Mossmana. Miał wrażenie, jakby na ułamek sekundy w oczach tego człowieka otworzyła się jakaś śluza do samego jądra jego czarnej duszy, a to, co przemknęło przez jego twarz, coś, czego stary lis nie zdołał powstrzymać, było zdumieniem. Ukłuciem szczerego zaskoczenia.

Był pewien, że to widział, choć tylko na mgnienie oka. Spojrzenie, które teraz wwiercało się w niego spod ciężkich powiek, było na powrót nieprzeniknione, jak zawsze, choć może bardziej surowe.

— Na to pytanie nie jestem w stanie ci odpowiedzieć, żołnierzu. Musisz mi uwierzyć, nie mam pojęcia. To jednak na swój zdumiewający sposób ciekawe, że siedemdziesięciosześcioletni Poul Hansen, który całe swoje zawodowe życie spędził w służbie prawa, przeprowadza się na wieś, do rozpadającej się rudery, i w jednej ze swoich szuflad trzyma akurat ten wycinek. Nawet bardzo ciekawe... o to chętnie sam bym go spytał.

— Będzie ciężko, jeśli nie żyje.

— Tak, ciało w potoku... Mówisz, że wieść gminna niesie, że to może być on.

— Może tak, może nie.

— Hm. Właściwie mógłbym znaleźć czas, żeby przynajmniej powęszyc trochę w tamtej okolicy. Albo dyskretnie zagadać do kogo trzeba, żeby po przyjacielsku to dla nas sprawdził. Czyli co

— naprawdę nie mam rycerza?

— Naprawdę.

— Cóż. Ja w każdym razie uruchomię parę kontaktów.

Rozdział 19.

Już miał wbić łopatę, gdy jego ciałem zawładnęła potężna siła. Jak bunt. Jak nagły sygnał do walki.

Trzepał głową, by wytrząsnąć z niej Głos. Łopatę odrzucił daleko w mrok i zaczął szeptać swój stłumiony protest:

— Nie! Nie! Nie! Nie chcę. Dlaczego? Odejdź, idź precz. Zniknij.

Niemal w podskokach zrobił kilka kroków w jedną stronę, potem odwrócił się i znów w podskokach rzucił się w przeciwnym kierunku. Znów nawrócił i znów skakał, tam i z powrotem, jakby fizyczne rozładowanie energii miało wesprzeć jego werbalną obronę.

Po kilku minutach dzikiego tańca i stanowczych protestów padł na kolana na pokrytą uschniętymi igłami ziemię, zgiął się wpół, opuścił głowę do kolan i nakrył ją rękami, by ją ochronić.

Dopiero wtedy poczuł, że powoli, bardzo powoli odzyskuje spokój. Że myśli się rozjaśniają. Udało się. Zwyciężył.

To Głos przygnał go tutaj z łopatą na plecach i kazał wygrzebać tajemnicę grobu. Nie chciał tego. Ani trochę. Ale Głos był silniejszy. Dał się wyciągnąć w noc, ale choć wydawało się, że jego opór jest beznadziejny, podjął walkę — i zwyciężył.

Głos zniknął.

W jego ciele i myślach zapanował błogi spokój. Uniósł ręce i wyprostował się, ale nie wstał z klęczek.

Był tylko dwa metry od niego. Grób. Był dokładnie tam. Złe Oko dokopało się do Podziemnego Świata, żeby na zawsze ukryć swoją zbrodnię. Na myśl o tamtej nocy, kiedy leżał na zimnej ziemi, wstrzymując oddech, i patrzył, jak bestia w gęstej, niebieskawej chmurze własnego oddechu wdzierała się coraz głębiej, ciało przeszył mu lodowaty dreszcz.

Od tamtej nocy Głos nabrał większej siły. Jakby karmił się wspomnieniem Złego Oka.

To była kobieta? Czy mężczyzna? Młoda dziewczyna? Duże dziecko? Z jakiegoś powodu najbardziej przygnębiała go myśl, że to mogła być kobieta.

Skąd mu się to wzięło, ten obrazek — nie umiał powiedzieć. Ale widział go wyraźnie. Piękna kobieta o jasnej skórze i jasnych włosach, cała na czerwono. W czerwonej garsonce, spódnicy i żakiecie. Ale to mógł być też mężczyzna. Jego też widział. Starszy mężczyzna. Siwy i z zakolami.

Powoli wstał. Takie myśli są groźne. To od nich zawsze wszystko się zaczyna, prawda? Od rozmyślań o tym, kto może tam leżeć, pod grubą warstwą ziemi.

Włączył latarkę, wzrokiem odnalazł łopatę i podszedł, żeby ją podnieść. Źle, że tu przyszedł. To już trzeci raz. Za czwartym być może będzie zmuszony wbić łopatę w ziemię.

Nie wolno do tego dopuścić. Miał świadomość, że to jest tajemnica, która go zniszczy, jeśli kiedykolwiek ją odkryje.

Zarzucił sobie łopatę na ramię i ruszył z powrotem do domu, przedzierając się przez nagie, ostre gałęzie.

Miał wrażenie, jakby czas nagle uległ zmianie. Kiedy się cofał w myślach, to, co się stało przy potoku, było jakby ostrzeżeniem przed tym, co miało się stać tu, w lesie. A przecież chciał tylko zebrać żyłki i może parę troci, kiedy niespodziewanie wdepnął w to wszystko. To, co tam zobaczył, było dla niego niezrozumiałe. I niepokojące — mimo że nie do końca wiedział, co to za zamieszanie i czemu ci wszyscy niebiescy ludzie kręcili się przy jego potoku.

Może pora ruszyć z miejsca i opuścić swoją bazę, w której jego głowa znalazła jako taki spokój. Miał wrażenie, że wysoka leśna palisada sosen i świerków przestała być wystarczającą ochroną. Złe Oko wdarło się swoim światłem w głąb jego świata.

Rozdział 20.

Ogon węża połyskiwał w słońcu, które momentami przedzierało się przez chmury nad cieśniną Øresund. Reszta była schowana pod czarną wełnianą czapką, ale wiedział, że wąż wije się wzdłuż całej lewej małżowiny Margrethe Franck — i że jest ze srebra.

Słońce świeciło tak jasno, jak potrafi świecić tylko zimą. Jej twarz wydawała się od tego jeszcze bledsza niż normalnie, niemal kredowobiała, z cienką, lekko fioletową kreską warg.

Mówił tak długo, że poczuł wielką ulgę, kiedy wreszcie skończył i odchylił się na ławce — w oczekiwaniu na jej reakcję. To było jak zdawanie raportu w dowództwie. Miał to we krwi. Wysilek stanowiło jedynie przypominanie sobie wszystkich szczegółów.

A szczegóły mogły być istotne. Powiedział więc o członkostwie Poula Hansena w Duńskim Towarzystwie Przyrodniczym, o związku łowieckim, wędkarzach, brakującym wpisie do księgi, segregatorze z dokumentami nieruchomości i działki, wezwaniu ze szpitala, koncie w Danske Banku ze stu dwunastoma tysiącami koron, samochodzie, któremu skończył się przegląd, wreszcie o swojej wędrówce po pustych pokojach domu i o pokojach na strychu... nawet koń na biegunach mógł mieć znaczenie.

Uznał, że chyba niczego nie pominął.

Zimny wiatr omiatał Kopenhagę, ale ubrali się tak, jak należało się ubrać na długą rozmowę na ławce pod koniec lutego, gdy termometr owszem, wskazywał kilka stopni na plusie, ale przenikliwy wiatr drastycznie obniżał odczuwalną temperaturę.

— Hm... Lupus... Czyli tak naprawdę nie wiadomo, czym konkretnie miałby się zajmować ten Lupus? O ile on czy ona — a może oni — w ogóle istnieje. Żadnych dowodów, a jedynie domysły starego komendanta z domu opieki — rzuciła w przestrzeń, nie patrząc na niego.

— Dokładnie tak. Absolutnie żadnych dowodów. Ale zarówno komendanci na pikniku, jak i ci dwaj, którzy rozmawiali podczas przyjęcia w Søvavillonen, wiedzieli, że istnieje siła wyższa, ktoś albo coś, do kogo lub czego można się odwołać, wezwać na pomoc, aby wymierzył sprawiedliwość poza systemem. Za trzecim razem nazwa pojawia się tylko na skrawku papieru wraz z kwotą miliona dwustu pięćdziesięciu pięciu tysięcy koron.

— U szefa PET... Jasna cholera.

— U poprzednika Mossmana. Wiesz coś o nim?

— Nic a nic. Do tego dawny szef departamentu, który się przeprowadza z Rungsted na kompletne zadupie, tak odcięte od wszystkiego, że opustoszałe zaraz zarośnie na amen. I które, jak by z tego wynikało, stanowi coś w rodzaju skrzynki kontaktowej z tą bestią.

— Lupusem.

— Wilkiem, którego się wzywa na pomoc?

— Być może.

— Taka bajka na opak. I cholernie mocno naciągnięta, nie sądzisz?

— Być może.

— A jednak nie do końca naciągnięta. Absolutnie nie — powiedziała zamyślona i też odchyliła się na ławce.

— Nie. Ani trochę.

— Trzykrotnie. Okej, na przestrzeni wielu lat, ale jednak. Trzykrotnie Mossman natknął się na Lupusa. Plus to, czego nam nie powiedział.

— Jak to Mossman.

— Najgroźniejszy umysł, z jakim się kiedykolwiek zetknęłam, nie przejąłby się Lupusem, gdyby to była miejska legenda.

— Do tego artykuł o tobie. Dlaczego się znalazł w Harrildholmie?

Wzruszyła ramionami i odparła:

— Zagadka... Z drugiej strony on jest — albo był — związany z prawodawstwem, mówię o tym dziadku. Więc może interesował go jakiś aspekt tamtej sprawy, którego nie potrafimy dostrzec? I kiedyś, dawno, dawno temu, uznał, że warto do tego

wrócić. Więc wyrwał z gazety artykuł, który następnie przeleżał kilka lat na dnie szuflady. Wielu ludzi tak robi. Ja też.

— Naprawdę tak myślisz?

Naciągnęła czapkę na uszy i ogon węża zniknął.

— Kurde, ale zimno — mruknęła. — Ech, sama nie wiem, co myśleć.

Przez jakiś czas się nie odzywali i tylko patrzyli na fale i pianę, która kreśliła linie na powierzchni morza. Milczenie przerwał on:

— Mossman nigdy by...

Poczuł serię wibracji w kieszeni koszuli. Dzwonka nie usłyszał. Mimo że musiał w tym celu zdjąć rękawiczki, zdecydował się rozpiąć kurtkę i wsunąć dłoń pod gruby sweter. Telefon wciąż dzwonił, gdy go w końcu wygrzebał.

— Oxen.

— Dzień dobry, żołnierzu. Siedzisz w pieleszach i oglądasz wilki w telewizji? — Mossman zaśmiał się głucho.

— Akurat nie.

— Przeszkadzam?

— Nie-e.

— Dzwonię, bo mam wieści odnośnie do naszej bajki o Lupusie. Posłuchaj tylko...

Kiedy kilka minut później z powrotem chował telefon pod kurtkę, czuł się odrobinę mądrzejszy.

— To był Mossman.

— *Speaking of the devil*. Domyśliłam się — odparła.

— Pamiętasz to o zwłokach w potoku?

Przytaknęła skinieniem.

Niels Oxen wyglądał na głęboko zamyślonego, kiedy siedział obok niej w swojej starej, znoszonej żołnierskiej czapce z daszkiem naciągniętej na czoło, jakby to miało go ochronić przed zimnem.

Chociaż zakładała, że od czasu do czasu ma kontakt ze światem zewnętrznym — przynajmniej wtedy, gdy się widzi z synem — nadal wydawało się, że długie rozmowy są dla niego

ciężką próbą. A może po prostu uważnie dobierał słowa. Tylko te, które coś znaczyły. Rozkazy. Komendy. Słowa, które coś zmieniały.

Prawda zapewne leżała gdzieś pośrodku. Oczywiście, że pamiętała, jak wspomniał o zwłokach w potoku. Które teoretycznie mogły być zwłokami dawnego szefa departamentu.

— No, jasne — potwierdziła. — Kvindebækken, kobiecy potok... śmieszna nazwa. Co z nimi? Czego chciał Mossman?

— To nie on. To nie Poul Hansen. Mossman kazał to sprawdzić.

— Więc kto?

— Nadal N.N.

— Ile to już czasu?

— Zdaje się, że jakieś trzy albo cztery tygodnie.

Więc to jakiś biedak, o którego nikt się nie martwi, i dlatego przez tyle czasu nie zgłoszono zaginięcia.

Oxen siedział i patrzył na morze z nogą założoną na nogę. Na stopach miał traperskie buty i podeszwa jednego trochę odchodziła. Znoszona puchówka była rozcięta na łokciu i równie brudna jak długie kosmyki włosów, które nie były nawet zebrane w kucyk na karku, tylko zwisały smętnie spod czapki. Zarost miał długi i nierówny oraz — zauważyła to po raz pierwszy — przyprószony siwizną.

— Niels... a tak w ogóle to wszystko u ciebie w porządku?

Odwrócił się i spojrzał na nią zaskoczony.

— Ta. Czemu pytasz — akurat teraz?

— Nie wiem... tak po prostu pomyślałam. Spotykasz się z kimś na co dzień? Rozmawiasz z kimś?

— Z Magnusem.

— W co drugi weekend. A poza tym?

Pokręcił głową. Wzrok miał czujny. Wiedziała, że równie czujne są jego umysł i całe jego ciało, dwadzieścia cztery godziny na dobę. Również we śnie.

— A praca? Nie mieli cię wysłać na jakieś *szkolenie*?

Uśmiechnął się krzywo. I wzruszył ramionami, jak tysiąc razy wcześniej.

— Jasne. Praktyki zawodowe. Dla byłego komandosa z PTSD. Szczerze mówiąc, sam nie wiem, na co oni liczą. Że zostaną

kanarem na linii numer siedemnaście? Dobra, ale mówiliśmy o tych zwłokach... Teraz możemy chyba założyć, że dawny szef departamentu jest cały i zdrowy.

— I co w związku z tym?

— Nic. Poza tym, że on jest jedynym, który wie, dlaczego zachował ten artykuł.

Oczywiście, że ten przedziwny fakt niesłychanie pobudzał jej ciekawość. Ostatnią rzeczą, jakiej by się spodziewała, było to, że nagle przyjdzie jej się ponownie zmierzyć z własną przeszłością. A raczej z własnymi dawnymi lękami. Jej własnym koszmarem, ciężką traumą, którą od dawna uważała za przepracowaną i traktowała wyłącznie jako punkt zwrotny, zdarzenie, które pchnęło ją w kręgi służby wywiadowczej.

Wyciągnęła nogę przed siebie, żeby raz jeszcze samą siebie przekonać, że w bucie, na który patrzy, nie ma stopy. Teraz już prawie nie myślała o tym, że jej prawa noga kończy się tuż nad kolaniem. To — oraz kosztowny szwajcarski zegarek Breitling, który dostała od rodziców, kiedy się obudziła po operacji — były jedynymi namacalnymi dowodami, że to naprawdę ona tamtego dnia posłała kulkę w czoło mężczyzny w samochodzie.

W pracy miała dość zadań na kolejnych dziesięć wieczorów i nocy. Uczestniczyła w pracach powołanej w wydziale operacyjnym grupy roboczej, która miała przeanalizować całą jego strukturę i sposoby organizacji działań pod kątem reakcji i skuteczności w nagłych sytuacjach kryzysowych.

W Danii doszło kiedyś do serii strzelanin i rozbojów, które, jak się okazało, były dziełem szaleńca. Obecnie wszyscy byli zgodni, że głównym zagrożeniem są ataki zupełnie innego kalibru — bomby podkładane w miejscach publicznych, zamachy samobójcze i ataki na skupiska ludzi z użyciem ciężarówek i mniejszych pojazdów. Berlin, Sztokholm, Nicea, Londyn, Barcelona, Manchester — i wiele innych miast. Krwią spłynęły miejsca uwieczniane na pocztówkach, jak Westminster Bridge, London Bridge i La Rambla. W *przypadkowych* miejscach na oślep dźgano nożem *przypadkowych* ludzi — przypadkowy los i przypadkowa śmierć. A zabezpieczanie ważnych meczów

piłkarskich oznaczało wpatrywanie się w niebo w obawie przed atakiem dronami.

Podwyższony poziom zagrożenia w niektórych okresach występował tak często jak kac po wódce.

Ich grupa miała dostarczyć wstępne wyniki za niecałe dwa tygodnie. A ona nagle wylądowała na tej ławce, obok swojego żołnierza, którego przecież ogromnie zawiodła. Bo była tak cholernie zalatana. Tak zalatana, że nawet teraz, kiedy tylko podrzuci go z powrotem do Vangede, pojedzie prosto do domu i rzuci się na kanapę z robotą.

Jak niby w tej sytuacji miałyby się odnieść do starego wycinka z gazety? Jak miałyby wcisnąć ten jeden mały skrawek papieru do przeładowanej i od tygodni pracującej na zwiększonych obrotach głowy? Zwłaszcza że i tak nie miała ani ochoty, ani potrzeby konfrontować się z przeszłością.

Per aspera — ad astra... Przez trudy do gwiazd. Te słowa wygrawerowali jej rodzice na odwrocie koperty Breitlinga Colta. Zdecydowanie nie było jej potrzebne wracanie do trudów, które już przeszła.

— I tak już zostanie, Niels. To dla mnie zamknięty rozdział. Do tego mam teraz huk roboty w PET. Jeśli Mossman ma czas brnąć w to dalej i drążyć opowieść o Lupusie, to niech sobie drąży na zdrowie. Ale ja w tym nie będę uczestniczyć. Nie mam na to czasu — ani ochoty.

— Mossman nie wie, czego chce. Z tego, co mówił, jest teraz przytłoczony pracą przewodniczącego komisji.

— Wszyscy są przytłoczeni. Ja też nie wiem, w co ręce włożyć. A ty? Zamierzasz mu pomóc?

Oxen zdecydowanie pokręcił głową i odwrócił się do niej przodem, żeby popatrzeć jej w oczy.

— Nie. Mam własne problemy. Nigdy więcej Mossmana.

Rozdział 21.

1 grudnia 1963

Nogi miała maksymalnie rozsunięte na boki, a kostki unieruchomione. Jej ciało było mocno pochylone w przód i przewieszane przez metalową sztabę biegnącą poziomo na wysokości bioder. Ramiona miała wyciągnięte w przód, a sznur, którym związane nadgarstki, był zaciśnięty i przywiązany do metalowego ringu, żeby nie mogła nimi poruszyć.

Dziewczyna o złotych włosach tkwiła w tej nienaturalnej pozycji już bardzo długo. Miała wrażenie, że całą noc. Na zmianę krzyczała co sił w płucach, płakała, błagała o pomoc, rozpaczliwie szarpała sznury i szlochała zrezygnowana.

Miała opaskę na oczach. Mężczyzna zawiązał ją mocno, jeszcze zanim upchnął dziewczynę w bagażniku. Dlatego nie wiedziała, że stoi tak, rozciągnięta i unieruchomiona, w czymś, co było małą kabiną. Metalowa sztaba była rozwiązaniem zaimprovizowanym, napastnik wsunął ją w pośpiechu po tym, jak brutalnie rzucił nią o twardą, zimną podłogę.

Węch już dawno pomógł jej ustalić, że znajduje się w wiejskim gospodarstwie. Dobrze знаła ten zapach. Z wszystkich sił próbowała cokolwiek usłyszeć, poczuć, dostrzec, ustalić coś, cokolwiek, co mogłoby jej dać nadzieję. Lecz nie znajdowała nic.

Czuła się tak, jakby przez większość czasu strach — i tylko strach — kładł się na niej niczym ciężka, dusząca pierzyna i tłumiał każdą myśl, która mogłaby w jej głowie zakiełkować i na coś jej się przydać.

Wiedziała, co się stanie.

Bo gdyby to się miało nie stać, to nie byłoby powodu, żeby krępować ją w ten sposób.

I przez cały czas myślała intensywnie tylko o tym, że wolałaby umrzeć na miejscu. Ale nie ona będzie mogła o tym zdecydować.

Usłyszała szuranie metalowych drzwi o podłogę. Kiedy ponownie się zamknęły, wyraźnie słyszała stukanie drewniaków.

Coraz bliżej i bliżej. Aż ustało.

Usłyszała jego kaszel. Mężczyzna wciągnął głęboko powietrze nosem i splunął na podłogę. Potem stanął tuż przy niej. Miał głośny, świszczący oddech.

Wydał z siebie stłumiony jęk, kiedy prawą ręką przesunął w górę wewnętrznej strony jej uda, chwycił kant bawełnianych majtek i szarpnął je w dół, zsuwając z pośladków, jednocześnie oburącz rozrywając materiał.

Rozpiął rozporek, stanął tuż za nią i mocno złapał ją za biodra.

Krzyknęła. W głowie huczało. Ale jej bezwładne ciało nie było w stanie upaść.

— Rycz sobie, rycz, dziwko. I tak nikt cię nie słyszy.

Rozdział 22.

Clemmesen, szef jednostki dochodzeniowej, chudy mężczyzna koło sześćdziesiątki, odwrócił się na krześle od monitora, zerwał z nosa okulary i zmęczonym ruchem pozwolił im upaść na biurko. Obiema dłońmi pocierał twarz, stłumił ziewnięcie.

— I jak? — zwrócił się do swoich dwóch podwładnych, którzy siedzieli w fotelach przed nim. Byli nimi Hardy Bertelsen i Viggo Borg, starzy policyjni wyjadacze, i ta rutyna być może po prawdzie przeszkadzała im czasem w pracy.

— Idris Nassar — dodał pośpiesznie. — Powiedzcie, na czym stoimy.

Zaczął Bertelsen. Kiedy ci dwaj pracowali razem, zawsze mówił Bertelsen.

— Idris Nassar leży w Riget. Bez nóg.

— Został napadnięty w swoim domu, tak?

— Zgadza się. Przez dwóch mężczyzn. Działali celowo, z zamiarem uszkodzenia jego nóg — i rąk. Oba kolana zostały przestrelone, przestrelili mu też ramiona. Nieprędko zobaczymy go na ulicy. Jest w ciężkim stanie. A gdy z tego wyjdzie, to najprawdopodobniej na wózku.

— I kogo waszym zdaniem możemy przymknąć za tę przysługę dla społeczeństwa? — Clemmesen patrzył na zmianę to na jednego, to na drugiego.

Bertelsen pozostał przy głosie:

— Nie mamy jeszcze konkretnych podejrzanych. I wygląda na to, że będzie ciężko. To bandzior naprawdę ciężkiej wagi, który wyrządził krzywdę tylu ludziom, że z pół kraju chętnie posłałoby go do ziemi.

— No tak. Był zamieszany chyba we wszystko, nie? Z tego, co pamiętam — przytaknął szef.

— Narkotyki, wymuszenia, paserstwo, przemyt, prostytutka. *You name it*. I oczywiście pobicia. Cały długi ciąg pobić — włączył się Borg.

— Tak, wiem. To groźny psychopata. Nie wiem, czemu już dawno żeśmy go nie odesłali tam, skąd przypełził. Skąd on jest... z Maroka?

— Z Libanu — poprawił go Bertelsen. — Jest Libańczykiem, ale mieszka tu od ośmiu lat. I dwukrotnie skazywano go na deportację, ale deportacja nie może być wykonana.

— Dlaczego?

— Bo w Libanie jego życie rzekomo jest zagrożone. Uważa się za prawdopodobne, że u siebie zostałby skazany na śmierć — a wcześniej może poddany torturom. Dlatego dostał zgodę na *pobyt tolerowany*.

— Ech, *tolerowany*, dobre sobie. A czemu niby mieliby go skazać na śmierć?

— Podobno pomógł Izraelczykom, to znaczy Mossadowi, zlikwidować jednego z liderów libańskiego Hezbollahu. A że my, jak wiadomo, nie skazujemy ludzi na śmierć, to gdzie niby mielibyśmy go wysłać? Do Pipidówki Małej?

— No, nie wiem. Może lepiej do Givskud. Mają tam spore zoo. To by było odpowiednie miejsce dla tego bydlaka. Nassar... — Szef wydziału pokręcił głową znużony, gdy nagle coś mu przyszło do głowy. — Zaraz! A to nie był on wtedy, z tą aktorką... tą z... no, jak to się znów nazywa...? Wiecie, to na Netfliksie o wikingach...

— *Legends of the Vikings* — znów wtrącił się Borg.

— Dokładnie! Od tej, jak jej... no...

— Cindy Johansen. — Borg ponownie sztucznie zasilił pamięć Clemmesena.

— Dokładnie! Cindy!

— Cindy Johansen to gwiazda. W sensie taka prawdziwa. Hollywoodzka — uzupełnił Bertelsen. — I tak, dobrze pamiętasz, to Idris Nassar napadł na nią i jej chłopaka. W środku miasta i na środku skrzyżowania, na H.C. Andersens Boulevard. Bo chłopak Cindy stuknął tył jego nowego samochodu. Po czym Nassar zmienił się we wściekłe zwierzę. Wyskoczył z samochodu, wyszarpnął biedaka z kierownicy, pobił i walił jego głową w drzwi samochodu. Cindy Johansen na próżno próbowała go odciągnąć — a cała masa ludzi gapiała się w

osłupieniu. I nikt nie kiwnął palcem. Ona miała rozcięty łuk brwiowy, kilka ukruszonych zębów i parę innych obrażeń. Jej chłopak doznał ponoć trwałego urazu. Coś w głowie. To było dwa lata temu. I... z tego, co pamiętam, nie są już parą. Ona ma teraz chyba jakiegoś Amerykanina.

— Ile dostał?

Bertelsen zmrużył oczy.

— Sześćdziesiąt dni bezwarunkowego. I to tylko dlatego, że jego lista poprzednich win była taka długa. Wszyscy świadkowie wycofali zeznania, jeden po drugim. I sprawa się rozmyła.

— *Road rage*, tak to się nazywa, kiedy ludzie wpadają w szał za kierownicą — wyjaśnił Borg.

— *Bullshit*. Czemu wszystko musi być zawsze po angielsku? Czemu wszystko, co duńskie, zastępuje się angielszczyzną? Właśnie miałem zebranie. I tam też jeden w kółko bredził o *benchmarkingu*. Aż mnie głowa rozboleła — westchnął Clemmesen.

— Tak w ogóle to ciekawe zjawisko — ciągnął Borg. — Do tego na tyle powszechne, że ono akurat doczekało się również bardziej swojskiej nazwy: agresja drogowa. Według badań dwóch instytucji — Rady Bezpieczeństwa Ruchu Drogowego i Wydziału Transportu Duńskiego Uniwersytetu Technicznego — aż trzydzieści pięć procent Duńczyków w ciągu ostatniego roku padło ofiarą agresji drogowej. Był na przykład kompletnie niedorzeczny incydent z Randers, gdzie pięćdziesięciodwuletni facet, poważny dyrektor finansowy w wielkiej międzynarodowej firmie, stanął na środku skrzyżowania i kłócił się z jakąś kobietą. W końcu walnął jej z bańki, wsiadł do samochodu i odjechał. Wyobrażacie sobie?

— Dyrektor finansowy? — Clemmesen pokręcił głową

— Złapali go? — zainteresował się Bertelsen.

Borg przytaknął.

— Tak. Sąd miejski dał mu czterdzieści dni w zawiasach i sześćdziesiąt godzin prac społecznych. Miał też stary wyrok za napad... No, ale wracając do Cindy Johansen. Potem opisała wszystko w „Politiken”. Że naruszono jej poczucie sprawiedliwości i takie tam. I że społeczeństwo spycha ofiary na

dalszy plan i skupia się tylko na sprawcach. Wywołała tym prawdziwą burzę.

— Tak, teraz, jak o tym mówisz, coś mi się przypomina — mruknął Clemmesen. — Sam minister sprawiedliwości dał komentarz do telewizji. Bo w sumie miała rację.

Bertelsen zdecydował się wrócić do tematu:

— Mimo wszystko przeglądamy z Borgiem całą długą listę ofiar Nassara. I mamy pewną teorię...

— Nie, to strata czasu. Którego nie mamy — przerwał mu Clemmesen. — To mafijne porachunki, rodzaj *zapłaty*. Wszystko na to wskazuje. Mieliśmy takich spraw od groma.

— Ale zaraz. — Bertelsen nie dał się zbyć. — Sposób, w jaki to zrobili. Oni *wiedzieli*, że najpewniej straci nogi. Dobrze się przygotowali. Rozmawialiśmy z biegłym ortopedą. To, co zrobili, można nazwać niemal amputacją przez odstrzał. W rzeźce jest tętnica. Gdyby nie przerwała jej kula, to najprawdopodobniej rozerwałyby ją odłamki kości. Wówczas, jeśli w miarę szybko nie zostanie przywrócone krążenie, dochodzi do trwałego uszkodzenia mięśni i noga jest do niczego. Mówimy o okresie góra sześciu godzin, zależnie od rozległości obrażeń i utraty krwi. Anonimowe wezwanie na numer alarmowy przyszło po nieco ponad sześciu godzinach. Istniało oczywiście ryzyko, że do tego czasu umrze z utraty krwi, ale najwyraźniej sprawcom nie robiło to różnicy. Do tego strzały w ramiona. Poważne uszkodzenie bicepsa. Strzał prosto w kość ramienia, aby kula zaczęła wirować i spowodowała dodatkowe zniszczenia. Koronkowa robota. Ci goście zadbali po prostu, aby najbardziej brutalny zbir, jakiego nosi ziemia, został na zawsze kaleką z ramionami jak spaghetti i na wózku przez większość czasu — albo i na stałe. To odwet. Przemoc za przemoc. Bo cóż innego?

Clemmesen wolno kiwał głową na boki.

— To naprawdę mocno naciągane. Nie macie nic na poparcie swojej teorii. Jest wielu ludzi — i wiele grup interesów — którzy chętnie przykuliby Nassara do wózka. Zarówno po to, żeby mu *odpłacić*, jak i po to, by mieć z nim spokój i swobodę działania. Więc jasne jest, że to kryminalne porachunki. I wiecie co? Tak między nami mówiąc... to bardzo dobrze. Niech się w końcu

sami nawzajem powybijają. Ale oczywiście jako jednostka poważna i odpowiedzialna musimy sprawę zbadać — dokładnie. Nie chcę jednak, żebyście poświęcali na to za dużo czasu, okej? Leżymy we wszystkich tabelkach, wykresach i słupkach. We wszystkich mierzalnych parametrach, jak mówią tam na górze. We wszystkich. Wykrywalność jest żalosna. Policja to nie jest żadna służba ani dobrzy przyjaciele porządnych obywateli. To fabryka. Praca przy taśmie. Byłem wczoraj na zebraniu kierownictwa. I tam prosto w twarz rzucili mi te cholerne procenty. Musicie wiedzieć, że są ludzie, którzy tylko czekają, żeby nam wbić nóż, jeśli się nie wykazemy. Albo zrobić osiemdziesiątą ósmą restrukturyzację. Zapamiętajcie to sobie, koledzy. Dobrze to sobie zapamiętajcie. Pracujemy na taśmie — która się przesuwa. Dzień i noc.

Bertelsen i Borg siedzieli nieruchomo na swoich krzesłach, kiwnęli równocześnie głowami na znak, że się zgadzają. Czuli, że tak będzie, a ta sprawa już ich wymęczyła, zanim na dobre się zaczęła. Właściwie powinien ją dostać któryś z młodzików. Poza tym nie zapomnieli jeszcze, jak ten gnój obrzucił ich bluzgami ze szpitalnego łóżka. Jak ich nazwał przygłupem i młotem.

— Dobra, myślę, że wiemy, co chcesz powiedzieć, prawda, Borg? Damy temu jeszcze ze dwa dni. Żeby dobrze wyglądało. Co ty na to?

— Myślę, że tak będzie najlepiej, Bertelsen. Tylko pamiętajcie, żeby mnie powiadomić, jak zamkniecie sprawę, nie?

Obaj znów równocześnie skinęli głowami, wstali i wyszli bez słowa.

I tak była już pora lunchu.

Rozdział 23.

Przed jej oczami śmignął ekspres w kierunku Fionii i Jutlandii, wywołując taki pęd powietrza, że nawet pancerny mini cooper lekko zachybotał.

Stała przed szlabanem na tak głębokiej prowincji, że wokół nie widziała nic poza lasem i błotnistymi polami. Dzień powoli gasł, a zarośla wzdłuż torów kolejowych rysowały się już tylko jako ciemne pasy.

Minęła po drodze kilka małych domów, a każdy wyglądał jak obraz nędzy i rozpaczy — otoczony przez nędzę i rozpacz. To nie zmieniało się nigdy. Dlaczego im bliżej trakcji kolejowej, tym bardziej pogłębiała się atmosfera beznadziei, a w siłę rósł wszechogarniający syf? Może dlatego, że tu można się było pobudować za grosze. I może nie było się wciśniętym między mury kamienic, ale za to dopchniętym do kolejowych nasypów i w ciągłym hałasie.

Była mniej więcej pośrodku między jeziorem Sorø a Slagelse na zachód. Miała włączony GPS. Na ekranie widziała, że droga będzie się wiała jeszcze kawałek, a potem, aż do celu, jej trasa pobiegnie niemal równolegle z linią kolejową.

Jechała odwiedzić Renégo Jönssona. Nazwisko miał po szwedzkim ojcu. Matka była Dunką. Rodzina stale przenosiła się z jednej na drugą stronę Øresundu, ale sprawiająca problemy latorośl większość okresu dorostania spędziła w Danii.

Z trudem udało jej się wykroić czas na tę przejażdżkę późnym popołudniem. Podczas gdy prace w jej grupie wchodziły w fazę krytyczną i w głównej siedzibie PET panowało ogólne urwanie głowy — ona odwróciła się na pięcie i przyjechała tutaj. Prosto do... niczego.

René Jönsson był inny niż przeciętny Jönsson. Miała tego pełną świadomość. I ta świadomość przyprawiała ją o ciarki. Ale wiedziała, że nie zazna spokoju, dopóki się nie dowie. Tylko

wtedy uwolni się od myśli, które nie pozwalały jej się skupić na pracy i wyciąganiu wniosków.

Szlaban w końcu się podniósł i mocno wcisnęła gaz. Automatyeczna przekładnia miniaka z dużym przyśpieszeniem pociągnęła ją wąską drogą. Do domu Jönssona zostało jakieś półtora kilometra.

Chwilę później była już całkiem blisko. Zwolniła i jadąc wzdłuż nasypu, kierowała się ku czarnej kępie drzew. Dostrzegła mały dom oraz szereg zabudowań i bud rozrzuconych w okolicy torów. Niemal całkiem się ściemniło, ale wciąż rozróżniała kontury wraków samochodów na skrawku trawy przed ścianą szczytową. Kawalek dalej, pod dużą szopą, przy niechlujnie rzuconej stercie drewna, świecił w mroku biały kamper.

W oknach domu paliło się światło. Część dachówek musiała odpaść, bo miejscami dach był przykryty plandeką. Światło paliło się również w budynku, który był właściwie jedynym skrzydłem domu.

Powoli wjechała na zabłocone podwórko — jeśli tym właśnie był placyk pokryty po równo błotem i kostką brukową. Jedynym, co naprawdę ją zaskoczyło, był czarny samochód, który zaśnił w blasku jej przednich świateł — wyglądał na całkiem nowe, duże bmw. Chociaż może nie powinna być aż tak zaskoczona. Sama przeszła długą drogę. Kto wie, może René Jönsson też przeszedł?

Wyjęła pistolet ze schowka, odciągnęła kurek i schowała broń do kieszeni czarnej ramoneski. W końcu wysiadła i włożyła kurtkę. Jeszcze przez chwilę rozglądała się wokół, zanim ruszyła w stronę otwartych drzwi przylegającego do domu budynku gospodarczego. Dobiegała stamtąd głośna muzyka.

Ostrożnie zajrzała do środka. Jakiś mężczyzna pochylał się nad dużym motocyklem, który stał na czymś w rodzaju stołu roboczego pod mocnym światłem jarzeniówki zamocowanej na suficie. Z głośnika dobiegało *Here I Go Again* Whitesnake.

— Halo! — zawołała głośno.

Mężczyzna podniósł wzrok, ale nie ruszył się z miejsca. Radio z dużym dodatkowym głośnikiem stało na parapecie. Wyszarpnęła

wtyczkę z kontaktu i ruszyła nierówną cementową podłogą. Stała za motorem. Był to harley-davidson, naturalnie.

— Nazywam się Margrethe Franck. Szukam Renégo Jönssona.

— A jak go znajdziesz, to co? — spytał mężczyzna i nie czekając na odpowiedź, znów przeniósł uwagę na motocykl. Strąki długich włosów sięgały ramion. Flanelowa koszula w kratę z trudem mieściła napakowany mięśniami korpus. Miał podwinięte rękawy, choć wewnątrz panował przenikliwy mróz.

— Chcę z nim porozmawiać.

— To ja. O czym?

— O twoim bracie, Joakimie.

— Jocke nie żyje — już cholernie długo.

— Wiem. To ja go zastrzeliłam.

Mężczyzna natychmiast odwrócił głowę w jej stronę. Patrzył na nią oczami jak szparki.

— Ty?

— Tak.

— Więc ty jesteś tą jebaną dziwką. A teraz tu przylazłaś?

Potwierdziła skinieniem.

— Jeśli chcesz wiedzieć, bardzo lubiłem Jockego. Czemu pomyślałaś, że cię nie wyrzucę na zbity pysk?

Wzruszyła ramionami.

— Postanowiłam zaryzykować. Pomyślałam, że skoro minęło tyle czasu, to być może mimo wszystko pomożesz mi odpowiedzieć na kilka pytań.

— Jak tak pomyślałaś, to masz nasrane we łbie.

— Słuchaj... — Nim wypowiedziała kolejne zdanie, podciągnęła prawą nogawkę i w ostrym świetle błysnęła metalowa proteza.

— To cena, jaką zapłaciłam. A twój braciszek, którego bardzo lubiłeś, zabiłby mnie, gdybym mu pozwoliła. Więc chyba zgodzisz się, że to była uczciwa rozgrywka, co? Zabij albo zgiń. Ja byłam szybsza. — Ułożyła dwa palce na kształt lufy pistoletu, wycelowała w mężczyznę i szepnęła: — Puf...

René Jönsson trzymał w ręce duży klucz francuski. Przez moment wyglądało, jakby się zastanawiał, czy nie rozłupać nim jej czaszki. Mimo to ciągnęła dalej:

— Widzisz, René, tak naprawdę nie rozumiem tylko jednej rzeczy: dlaczego on chciał mnie zabić. Bo udział w napadzie na bank, w czasie którego człowiek został zastrzelony i zmarł, ale gdzie nikt nie wie, kto dokładnie oddał strzał, to jedno. Za to zabicie gliny to całkiem inny kaliber. Za to płaci się naprawdę dużo. I on o tym wiedział. Więc dlaczego?

— A skąd miałbym wiedzieć?

— Może po prostu wiedział, że i tak jest skończony?

— Uważaj, szmato... i lepiej zabieraj stąd swoją dupę.

— Harley i nowe bmw w wiejskiej chacie. Jesteś na rencie. Po wypadku na motorze. To mało pomysłowe. Chcesz, żebym poprosiła moich kolegów z gospodarczego, żeby zerknęli na twoje zasoby? Czy może zdołam cię przekonać do współpracy?

— Spierdalaj!

— Zastanów się... Gość jest winny napadu na bank — a postanawia rozjechać glinę na służbie. Nie sądzisz, że to bez sensu? Chyba że to rzeczywiście twój brat zabił tamtego strażnika? Tak przecież mówili pozostali.

— Wiele by można powiedzieć o Jockem, ale spluwą kompletnie nie umiał się posługiwać. A zastrzelić kogoś to już, kurwa, na pewno nie.

— Dlaczego nie?

— Nie słyszysz, co mówię?

— Okej. Skoro tak mówisz.

— I kto powiedział, że on w ogóle tam był, co? W banku? Kurwa. Jocke nigdy się w takie rzeczy nie bawił. Nigdy. Był, kurwa, za mądry na takie akcje. Banki są dla *bezmózgów*.

— Zawsze jest ten pierwszy raz...

— Masz nasrane we łbie. I w gębie też — syknął Jönsson.

— Wiesz, kto to jest Sean Struve?

— Nie.

— To on kierował napadem. Dalej za to odsiaduje. I za parę innych rzeczy. Zeznał, że twój brat z nimi był. I że oddał dwa strzały.

— Ja pierdolę, zeznał. I co z tego? Wszyscy łąą.

— Więc nie wierzysz, że Joakim w tym uczestniczył?

— W nic, kurwa, nie wierzę. A teraz zwijaj się, co? Bo inaczej...

— A jeśli powiem: Lupus? Mówi ci to coś?

Jönsson uniósł brwi i spojrzał na nią.

— Lupus?

— Tak, Lupus. Co o tym wiesz?

— Wiem, że mogłoby być fajnie wyruchać kalekę. A potem mogę ci opowiedzieć o Lupusie. Umowa stoi?

— Za milion lat, z boku.

Jönsson zrobił krok w jej stronę i uniósł klucz. Ona zrobiła trzy kroki w tył i wysunęła służbową broń z kieszeni, tylko na tyle, żeby ją zobaczyć.

— Co jest, dziwko, grozisz mi? Spierdalaj, zanim wezwę policję.

— Jesteś tak samo tępą jak twój brat. *Ja* jestem policją. Więc nigdy nie słyszałeś o Lupusie?

— Spierdalaj, mówię. Nie chce mi się tego słuchać. Zostaw mnie i Jockego w spokoju, szmato.

René Jönsson ponownie zwrócił się w stronę motoru i zaczął coś dokręcać.

Wyszła z budynku. Rozejrzała się ostatni raz i wsiadła do samochodu. Było ciemno jak w środku nocy. I daleko do domu.

Rozdział 24.

Gdziekolwiek spojrzał, wszędzie były wilki. Duży album ze zdjęciami leżał otwarty na podłodze. Zdjęcie zajmowało obie strony i przedstawiało samca alfa z Kanady szczerzącego kły.

Kupił album w księgarni. Plus wszystko, co tylko mieli o wilkach. Mieli niewiele, ale i tak uzbierał się całkiem konkretny stos.

Na stoliku stał otwarty laptop. Stał tak, odkąd zmęczyło go grzebanie na mniej lub bardziej naukowych anglojęzycznych stronach, które zajmowały się wilkami gruntownie, opisując wszystkie aspekty ziemskiej egzystencji tego okrytego złą sławą zwierzęcia.

A gdyby spojrzał na ekran telewizora, zobaczyłby watahę, która nadal ścigała stado bizonów w metrowej warstwie śniegu w Yellowstone. Widział ten film niezliczenie wiele razy. Legendarne nagranie, kończące się pojedynkiem pomiędzy padającym z wyczerpania i mocno już słabym bizonem a zakrwawionym wilkiem, który nie daje za wygraną. Wilk nigdy nie daje za wygraną.

Wilk. *Lupus*. Z rodziny psowatych, więc *canis*.

Odchylił się w fotelu i zamknął oczy. Lupus i Mossman. Połączenie determinacji i inteligencji. Połączenie niekoniecznie szczęśliwe.

To się zaczęło wieczorem tamtego dnia, gdy byli z Magnusem w zoo. Na koniec wizyty poszli popatrzeć na wilki. A potem, gdy zapadł zmrok, Mossman zakradł się — albo raczej z impetem wlaź z buciorami — do jego domu i życia. I jakby przywłókł za sobą stado wilków.

Z jednej strony lupus jako gatunek. Z drugiej — Lupus jako ulotny cień, który po raz pierwszy przesunął się Mossmanowi przed oczami jeszcze w młodości, w kuchni komendanta w Roskilde — i w uniesieniu.

W krótkim czasie jego własne ścieżki przecięły się ze ścieżkami obu łopusów. Dokąd prowadziły? I czy to właśnie on, łowca, miał nimi podążyć?

Plus esse quam simultatur, głosiło łacińskie motto Korpusu Łowców. Dosłownie oznaczało: lepiej być niż się wydawać. Apoteoza życia w cieniu — i chyba nie byłoby błędem powiedzieć, że akurat komandosów cechowała wystarczająca wiara we własne umiejętności zawodowe, by nie czuli potrzeby zabiegania o uwagę.

Każdy, kto ma jakiegokolwiek doświadczenie w tym temacie, wie, że na wojnie nie ma miejsca na popisy solowe. Podstawą każdej akcji i każdego sukcesu jest praca zespołowa, duch braterstwa i siła w jedności.

Dokładnie tak jak u wilków.

Nie ma nic zachwycającego w tym, że się kilometr po kilometrze, w zwartym szeregu ściga zdobycz, aż ta opadnie z sił. Po kamieniach, lodzie, w śniegu, błocie, chaszcach i w otwartych przestrzeniach, z nieludzką niemal determinacją, dopóki nie wypełni się zadania.

Łowcy pracowali w grupach ośmioosobowych — tylu żołnierzy stanowiło patrol. Wataha wilków nie była tak ściśle określona, lecz w zasadzie stanowiła rodzinę z parą alfa na czele. Najsilniejsi nadawali tempo.

Wartością nadrzędną była siła. Tylko para alfa miała młode. Najsilniejsi przekazywali swoje geny dalej. Tylko wyjątkowe jednostki przyjmowano do Korpusu Łowców. Tych, których nie złała fizycznie i psychicznie wyczerpująca selekcja. Tych, którzy nie pozwalali sobie na słabość.

Wilk potrafił przemierzyć osiemdziesiąt kilometrów w ciągu doby i w lekkim kłusie utrzymywać tempo ośmiu kilometrów na godzinę przez pół dnia. Łowcy byli w stanie pokonywać duże odległości, niestrudzenie, dzień po dniu. Musieli umieć sforsować nawet najtrudniejszy teren przy każdej pogodzie. Z mnóstwem dodatkowych kilogramów na plecach. Trzeba być silnym, by wytrzymać ból. A jeszcze silniejszym, aby móc oddać z siebie coś swojej watasze.

Osobniki alfa dźwigały najwięcej.

Istniała solidarność.

Przyroda robiła swoje.

Czysta siła, nic więcej.

Bracia w duchu — wilki i Łowcy. Tak po prostu było. I już.

Wiele by dał, aby móc to zobaczyć na żywo. Czy kiedykolwiek będzie mu to dane? Lupus przemierzający truchtem polacie Harrild Hede?

Fuck. Fuck, fuck, fuck... Dostał obsesji na punkcie wilków.

Wyłączył komputer i telewizor. Musiał wyjść na powietrze.

Szybko poszedł do sypialni, żeby się przebrać. Zamierzał zrobić sobie długie wybieganie w mroku i na zimnie, i wyrzucić to wszystko z ciała. Opróżnić głowę, kilometr po kilometrze.

Rozdział 25.

Klaus Trane stał odwrócony plecami. Nagle pochylił się i zanurzył gołe dłonie w cienkiej warstwie śniegu pokrywającej trawnik. Ulepił małą śnieżkę, którą rzucił w górę łagodnym łukiem, żeby owczarek niemiecki mógł podskoczyć i złapać ją zębami.

— Tak jest, Zorro, bardzo ładnie!

Pies ucieszył się z pochwały pana.

Wciąż potrafiła rozpoznać swojego dawnego partnera, nawet jeśli widziała tylko jego plecy. I nawet jeśli nieco wyłysiał. Jego energiczne komendy rzucające psu słyszała, gdy była jeszcze za domem, na odśnieżonym i wyłożonym płytkami podjeździe, na którym zostawiła miniaka.

Kilka stopni mrozu i cienka warstwa sypkiego śniegu... wybitnie niedogodne warunki dla samochodu. Niemal słyszała, jak sól wgryza się w podwozie i wypala dziury w lśniącym czerwonym lakierze.

Przeszła wzdłuż ściany domu i skręciła w dół ścieżką pomiędzy dużymi krzewami, aż stanęła na rogu domu, a przed sobą miała duży ogród. Dom Tranego stał na końcu ślepej uliczki Tudskærvej w Vanløse. W czasach gdy pracowali razem na posterunku w Bellahøj, miał mieszkanie w Brønshøj. Czyli nastąpił progres, Trane dorobił się własnego kąta i się przeprowadził, chociaż niezbyt daleko.

— Cześć, Trane.

Podniosła rękę na powitanie. Mówili sobie po nazwisku — można to nazwać pewną formą czułości. Darzyła dawnego kolegę nadzwyczaj ciepłym uczuciem. Wiele godzin przesiedziała wtedy na szpitalnym korytarzu. Był też drugą osobą na krótkiej liście odwiedzających, z którymi chciała się zobaczyć po tym, jak odjęli jej nogę. Tylko rodzice mieli przed nim pierwszeństwo.

Trane odwrócił się na pięcie.

— Frankie! — W paru długich skokach znalazł się przy niej i uściskał ją tak mocno, że prawie zemdląca. — Kurde, ale dobrze cię widzieć. Taki szmat czasu. A ty nic się nie zmieniłaś.

— Fiu, fiu. Willa, pies po championach i volvo... to chyba więcej czasu, niż mi się zdawało — roześmiała się.

— Witaj w Vanløse. Prawie wszystko się zgadza, tylko volva nie mamy — wciąż nas nie stać. I pies w zasadzie też nie mój. Zorro jest własnością policji. A ja jestem dziś opiekunem psów.

— To ci dopiero. Zorro jest szczęściarzem.

— Dzięki. Uwielbiam tę pracę. Miasto mnie wymęczyło. Poza tym nie wyobrażałem sobie, że miałbym się zestarzeć wśród tej zgnilizny. A psy zawsze lubiłem. Więc od siedmiu lat jestem opiekunem psów dla okręgu policyjnego środkowej i zachodniej Zelandii. Zorro niedawno znalazł cierpiącego na demencję mężczyznę, który zaginął z domu opieki. Żywego... Takie historie nadają wszystkiemu sens, Frankie.

— A dzieci są jeszcze z wami?

— Tylko chłopaki. Lars jest w trzeciej klasie liceum. Henrik uczy się na stolarza. Sandra studiuje w Stanach marketing międzynarodowy, media społecznościowe i takie tam.

— Przyjemnie się tu urządziliście.

Klaus Trane ruchem głowy wskazał żywopłot.

— Tam biegnie ścieżka rowerowa. A kawałek dalej mamy Damhusengen. Mnóstwo przestrzeni i świeżego powietrza, dla Zorro też.

— Ale czarny owczarek? To chyba nietypowe?

— To prawda. Ale nie zaszkodzi czasem być trochę nietypowym. To fantastyczny pies i bardzo trzeźwo myślący. Może wejdziemy do środka?

Pokręciła głową.

— Nie trzeba, nie zabiorę ci dużo czasu. Dzięki, że zgodziłeś się ze mną spotkać. O której musisz być w pracy?

— O jedenastej. Na głównym posterunku w Roskilde. To w takim razie usiądźmy tam, pod daszkiem.

Uśmiechnęła się i skinęła głową. Trane postukał butami w ścianę domu, żeby otrzepać je ze śniegu, i zniknął w drzwiach na tyłach domu.

Było bezwietrznie, na niebie, tam gdzie powinno wisieć poranne słońce, widniały białe plamy. Zamknęła oczy i poczuła na twarzy lekkie ciepło. Deadline zbliżał się wielkimi krokami. Nie powinna siedzieć tu i wystawiać się na słońce. Tuż po dwunastej miała spotkanie. Będą omawiać podsumowanie i ostateczne zalecenia opracowane przez ich grupę. Ale wydarzenia z przeszłości coraz natarczywiej domagały się jej uwagi. Wczorajsze spotkanie z Reném Jönssonem tylko podsycało szal domysłów w jej głowie.

Spiskowa teoria o Lupusie, stary wycinek z gazety na jej temat i starszy człowiek, były szef departamentu, który się zaszył w zrujnowanym wiejskim domu na Jutlandii. Wszystko to było jak wybuchowy koktajl, który co kilka minut od nowa uderzał jej do głowy.

Trane wrócił z dwoma kubkami kawy, po czym usiedli na drewnianej ławce pod ścianą.

— Więc co jest, Frankie? Mówiłaś przez telefon, że chodzi o starą sprawę, to z nogą...

Pokrótkce opowiedziała mu, w czym rzecz — że stary wycinek z gazety pojawił się nagle i nie daje jej spokoju, ale legendę o Lupusie zachowała dla siebie. To był temat większego kalibru, na miarę Mossmana. Nic, czym należałoby w tej chwili zaprzętać sobie głowę. Powiedziała za to o swoich odwiedzinach u Reného Jönssona.

— Znowu bracia Jönsson — stwierdził Trane i spokojnie pokiwał głową. — To prawdziwy oprych, René. Dwa lata temu pojawił się w jednej sprawie u nas w okręgu, ale na koniec musieli go wypuścić. Z tego, co pamiętam, chodziło o narkotyki.

— Ale... jakbyś miał wrócić do tamtej sytuacji w Sydhavnen. Do tego, jak zastrzeliłam Joakima Jönssona. Dostrzegasz w tym coś zastanawiającego? Coś, co po bliższym zastanowieniu wydaje ci się dziwne? Albo podejrzane? Nietypowe? Albo... sama nie wiem.

Trane znad swojego kubka patrzył na Zorro, który ganiał w najniższej części ogrodu.

— Nie, Frankie, chyba nie. Zawsze uważałem, że to było przykre. Cholernie przykre, przez twoją nogę i w ogóle — ale

poza tym również całkiem logiczne. Innego wyjścia nie było. Chociaż z drugiej strony... no tak... na początku nikt przecież nie mógł z całą pewnością stwierdzić, że to Jönsson był winny zabójstwa w czasie napadu na Danske Bank. Nagrania z kamer tego nie potwierdzały. Dopiero kiedyśmy znaleźli tego... jak mu było...

— Seana Struvego.

— Właśnie. Kiedy pięć dni później go zgarnęli — tak myślę, że to było pięć dni, to on zeznał, że Jönsson był z nimi i że to on zastrzelił strażnika. To rozwiało wszelkie wątpliwości. Ale sam często się nad tym zastanawiałem. Głównie dlatego, że uważałem to za cholernie niesprawiedliwe, że musiałaś zapłacić taką cenę. A jak w ogóle sobie radzisz? — Trane wskazał głową na jej prawą nogę.

— W porządku. Nie mam z nią żadnych problemów. Dostosowałam się. Nigdy nie wejdę na Mount Everest, ale po co bym miała? PET to dla mnie odpowiednia półka.

— To dobrze, cieszę się. Kurde, gdybyśmy tylko nie wypatrzyli wtedy tego zasranego peugeota...

— Daj spokój. Tak nie wolno myśleć. Czuję się świetnie i tak naprawdę na co dzień za wiele o tym nie myślę. W pierwszym okresie po wypadku rzeczywiście czułam się, jakbym spadała w ogromną czarną dziurę. Ale się pozbierałam, dostałam nową robotę u Mossmana w PET i od tamtej pory nie miałam potrzeby pogrążyć się dalej we własnym nieszczęściu ani rozmyślać o Jönssonie. Gdybym bez przerwy wracała do przeszłości, nie mogłabym ruszyć z miejsca.

Po chwili z namysłem wyjaśniła bliżej:

— Po prostu... odpuściłam... zostawiłam to tak, jak było. I zawalczyłam o powrót do życia — nowego i innego. Jasne, wiedziałam, że Sean Struve został aresztowany i skazany. To, że wskazał na Jönssona, oczywiście było dobrą wiadomością, ale nawet przed tym ani przez moment sobie nie wyrzucałam, że strzeliłam do gnoja. Wybór był prosty — on albo ja. To, że próbował mnie zabić, uznałam za sygnał, że zginąć musi on. Sean Struve zeznał tylko to, co wszyscy i tak już wiedzieli: że Joakim Jönsson był winny zabójstwa pracownika banku.

— W to raczej nikt nie wątpił. Ci dwaj są po jednych pieniądzach. Szkoda tylko, że wciąż nie możemy przyskrzynić Reného.

— Ma nową beemkę. I harleya.

— No jasne, że ma — westchnął Trane i przywołał do siebie Zorro. Owczarek przybiegł na pierwsze wezwanie i posłusznie położył się u stóp opiekuna.

— Piękne zwierzę, elegancki czarny lakier — skomentowała.

— No ba! A ty dalej masz bzika na punkcie samochodów?

Przytaknęła.

— To się nigdy nie zmieni. Chodź, pokażę ci moją nową zabawkę. Powinnam już wracać do Søborga, a ty też masz robotę. Dzięki za spotkanie.

— A co zamierzasz zrobić z tą sprawą? Mogę ci jakoś pomóc? Pamiętaj, Frankie, że zawsze możesz na mnie liczyć.

Ona jednak wzruszyła tylko ramionami.

— Myślę, że dam sobie z tym spokój. Mam inne rzeczy na głowie.

— Najłatwiej byłoby chyba zapytać byłego szefa departamentu, dlaczego wyciął z gazety akurat ten artykuł.

— Tylko że, jak mówię — zaginął.

— Może się jeszcze znajdzie? Jest wiele możliwości — mógł wyjechać na wakacje, do rodziny albo znajomych, może jest w szpitalu...

— I nie zamknąłby drzwi?

— Ktoś inny mógł się dostać do domu. I zapomnieć za sobą zamknąć.

— Hm. Nie wiem, Trane... z jakiegoś powodu, gdy o tym pomyślę, ciarki mi chodzą po plecach. Dobra, chodź, musisz zobaczyć mój wózek. Prawdziwa torpeda.

Rozdział 26.

2 grudnia 1963

Z trudem przekopała się przez grubą warstwę siana. Na tyle, na ile była w stanie, pomagała sobie związanymi rękami i nogami i wytrwale grzebała, aż siano wirowało wokół niej.

Leżała w pozycji embrionalnej. Była ubrana w bluzkę, ale pod spodem nie miała stanika. Nie miała też swojego eleganckiego sweterka. Ani majtek i wełnianych getrów, które włożyła, zanim wsiadła na rower. Zostawił jej spódnicę, ale ta ani trochę nie grzała.

Zimno przenikało ją do kości. Od dołu, bo twarda podłoga była niczym z lodu. I od góry, gdzie powietrze stało w miejscu i zaciskało się wokół niej. I z boku, gdzie zimno biło od gołej ściany, do której była przykuta. Zimno bezlitośnie wdzierało się nawet do jej głowy, każdą myśl blokowało i zamrażało na kamień.

Opaskę, wcześniej zawiązaną tak mocno, że niemal wciskała jej oczy do głowy, zastąpiło coś w rodzaju kaptura z gęstej tkaniny. Kaptur miał otwór na usta i był związany sznurkiem na szyi. Wzięła głęboki wdech i powoli wypuściła powietrze, kierując je w górę. Kiedy tak robiła, to niemal udawało jej się wypełnić kaptur powietrzem i na krótką chwilę poczuć na twarzy ciepło. Ale potem znów wracało zimno, jeszcze bardziej dotkliwe, bo wzmocnione wilgocią tkaniny.

Spod kaptura wystawały jej długie złote loki. Wplątały się w łańcuch wokół jej szyi. Próbowwała już odepchnąć się z całej siły i zacisnąć go mocniej. Próbowwała też gwałtownym szarpnięciem głowy złamać sobie kark. Ale nie dała rady...

Zimno miało jeden plus: odurzało ją. Częściowo uśmierzało kłujący ból w podbrzuszu i tłumilo ból w głowie. Pozycja embrionalna pomagała wprowadzić się w stan przytępionej zmysłowości i w nim znaleźć schronienie. Pomagała wrócić do pierwotnego wrażenia, że świat jest nowy i bezpieczny, a

jednocześnie otwierała w jej umyśle wąski korytarz, by mogły nim przepływać obrazy i wyobrażenia, w których znajdowała ukojenie.

Tam, w sianie, miała wokół siebie całą swoją rodzinę. Widziała swoich braci, słyszała ich głosy, na policzku czuła szorstki dotyk dłoni ojca. I wreszcie... wreszcie poczuła, jak mama bierze ją w silne ramiona, podnosi i nosem dotyka jej nosa, a potem razem wychodzą.

Obudziła się przestraszona. Nie wiedziała nawet, kiedy zasnęła.

Drzwi stajni otworzyły się z hukiem, jakby ktoś kopnął w nie drewniakiem z metalowym czubem.

Słyszała kroki. Podchodził coraz bliżej, aż stanął na jej wiązce siana. Poczowała dłonie pod swoimi pachami. Podniósł ją i posadził. Zwyczajnie, ani delikatnie, ani brutalnie. Siedziała więc oparta plecami o lodowatą ścianę.

— Trzymaj. Musisz coś zjeść — powiedział mężczyzna.

Świst w jego nosie. Z jakiegoś zakamarka świadomości dobiegała do niej informacja, że już to słyszała. Ten świszczący oddech.

— Będę dla ciebie dobry — powiedział głos. — No, otwórz buzię.

Posłuchała i poczuła, jak w otwór w kapturze wsuwa się łyżka. Coś letniego i lepkiego. Owsianka. Ale nie smakowała jak w domu.

Zjadła wszystko i mężczyzna powiedział:

— Właśnie tak... grzeczna dziewczynka... Myślę, że się zaprzyjaźnimy. Nie chcę ci zrobić krzywdy. Masz, napij się trochę mleka.

Poczowała szklankę dociśniętą do warg i zaczęła pić. Piła łąpczywie. Trochę pociekło jej po brodzie i szyi, ale to nic. Tak strasznie chciało jej się pić.

— Widzisz? Daję ci pić i jeść. Jesteś taka ładna. Możesz chyba zostać moją małą narzeczoną, prawda?

Rozdział 27.

W przedniej szybie ziała wielka dziura. Otaczała ją matowa masa rozbitego w proch szkła, a na masce leżało mnóstwo małych kwadratowych odłamków.

Gdy to zobaczyła, na moment serce jej stanęło. A potem poczuła wściekłość, która z każdą sekundą narastała, aż wybuchła lawiną przekleństw, gdy otworzyła usta.

— Kurwa mać, cholerne gówniarze! Nic już nie można spokojnie zostawić na własnym cholernym podwórku! — wrzeszczała i odgrażała się jeszcze przez kilka sekund — tak długo, jak długo sądziła, że jej samochód padł ofiarą zamieszek, które minionej nocy przetoczyły się przez Kopenhagę.

Zamilkła i zastygła w bezruchu, kiedy przez boczną szybę zajrzała do środka i zobaczyła, że między fotelami coś leżało... kamień. A raczej kostka brukowa owinięta... Nie, to nie było opakowanie, to była wiadomość. Tam coś było napisane.

Chwilę później stała z kamieniem w dłoni. Papier był do niego przyczepiony grubą recepturką. Zdjęła ją, odwinęła go i przeczytała:

„NIE ROZGRZEBUJ PRZESZŁOŚCI — ALBO...”

Tekst był czarny, wytłuszczony i napisany drukowanymi literami.

Stała tylko przez chwilę, raz jeszcze przeczytała wiadomość, spojrzała na rozbityą szybę, z powrotem na kamień i na groźbę zawartą w tych czterech słowach. Potem usiadła na schodach i nie czując zimna, jeden po drugim rozważała w głowie rozmaite scenariusze.

Dopiero po jakimś czasie zadzwoniła do ludzi z Falcka i zamówiła holowanie najcenniejszej pozycji w swoim życiowym inwentarzu — drugiej po Breitlingu — do warsztatu L.T. Fritsena na Amager. Mimo że być może lepiej byłoby wymienić szybę w autoryzowanym warsztacie, wybrała zakład kolegi Oxena z czasów żołnierskich. Wiedziała, że Fritsen będzie delikatny. On

rozumiał, jak szczególna relacja łączy kobietę z jej samochodem. Nie „jakims” samochodem. *Samochodem*. A potem wybrała numer Oxena.

Rozdział 28.

Kamień leżał na stole w jego salonie. Na kartce z wielkimi czarnymi literami. Margrethe Franck siedziała przed nim i miała głębokie zmarszczki na czole.

Właśnie skończyła mu opowiadać o tym dziwnym przeczuciu, które jej kazało wrócić do własnej przeszłości. Najpierw zaprowadziło ją do brata tego człowieka, którego zabiła w Sydhavnen, a potem do dawnego kolegi, z którym była wtedy na patrolu.

I nagle się okazało, że jej działanie wywołało nieoczekiwany efekt w postaci wybitej szyby i groźby, której nie dało się nie zrozumieć.

A to wszystko z powodu poźółkłego artykułu z gazety, który znalazł u byłego wysokiego urzędnika państwowego mieszkającego w rozpadającym się domu w środku jutlandzkiej głuszy. A który sam zapadł się pod ziemię.

— No, dobra... i co teraz? — spytał i uważnie studiował jej minę. Zmrużyła oczy.

— Teraz jestem w dupie, cholernie głębokiej dupie. Nie mam czasu na takie zabawy. Działam w zespole, który za moment ma zdać megawielki projekt. O tym, jak powinniśmy się organizować i działać w sytuacji alarmu najwyższego stopnia. O strukturze. Reagowaniu. O cholernie ważnych rzeczach...

— Czyli... chodzi ci o to, że nie masz czasu *akurat teraz*?

— Właśnie!

— Okej.

— Jak to?

— Nic takiego.

— Niels, do cholery! Mów!

— Bo może powinienem poznać całą tę starą historię. Od początku do końca. Na razie mam tylko suche fakty — ten Jönsson zginął na miejscu, a ty straciłaś nogę. Potrzebowałbym

więcej informacji, jeśli miałbym się zastanowić nad powiazaniami. Ale możemy też poczekać, jeśli...

— Nie, w porządku. Muszę tylko... — Franck zerknęła na zegarek i się skrzywiła. — Muszę tylko najpierw zadzwonić.

Zadzwoniła do PET, poprosiła o połączenie z kim trzeba i powiedziała, że się spóźni. Potem położyła telefon na stoliku obok kamienia, westchnęła głęboko i powiedziała:

— Jestem gotowa. Możesz zaczynać.

— Jak wiele pamiętasz? Jak się dla ciebie zaczął tamten dzień?

— Z tamtego dnia pamiętam *wszystko*. Wszystko. Biorę kanapkę na wynos, kurczak curry z bekonem. Ohydna. Wszystko pływa w dressingu. Jest środa, pierwszy tydzień maja. Słoneczne, bezchmurne niebo. W Bellahøj melduję się przed południem. Mam jechać na patrol z doświadczonym kolegą, Klausem Tranem. Często jeździliśmy razem i zdążyliśmy się zaprzyjaźnić. W ciągu pierwszych kilku godzin nic się nie dzieje, same drobiazgi. Koleś w skórze na motorze bez kasku i starsza pani stuknęła autobus miejski — nic więcej.

— Nie prowadziłaś wtedy żadnego dochodzenia czy śledztwa? Żadnej sprawy w toku?

— Nic a nic. Byłam świeżakiem. Zwykłym wyrobnikiem, jakbyś chciał wiedzieć. Nie miałam żadnych „spraw” ani w nic nie byłam zaangażowana. Widniałam w grafiku, to wszystko.

— Więc patrolujecie ulice. I co dalej?

— Dokładnie o piętnastej czternaście idzie komunikat do wszystkich jednostek. W Danske Banku przy Gammel Kongevej we Frederiksbergu był napad z bronią w rękę. Padły strzały. Jeden mężczyzna został trafiony. W związku z napadem poszukiwane są dwa pojazdy: jasny lub biały volkswagen transporter i srebrne kombi, prawdopodobnie peugeot trzysta siedem. Jeździ takich sporo, gdybyś nie wiedział.

— Gdzie wtedy jesteście?

— W Valby, na Vigerslev Allé. Przed chwilą minęliśmy Vestre Kirkegård. Kiedy stoimy na czerwonym na skrzyżowaniu z Sjælør Boulevard, widzimy srebrną trzystasiódemkę kombi na przeciwległym pasie.

— Jak sama zauważyłaś, jest ich dużo. Dlaczego akurat to?

Odchylił się na kanapie. Margrethe po drugiej stronie stołu siedziała na skraju krzesła i odpowiedziała bez chwili namysłu:

— Najpierw ustawia się do jazdy prosto. Potem nagle wrzuca kierunkowskaz i odbija w prawo w Sjælør Boulevard. Trane siedzi za kółkiem. Rusza za nim, a ja sprawdzam tablice.

— Jedziecie tuż za nim?

— Z początku nie, ale musieliśmy przecież mieć te numery.

— I co dalej?

— Okazuje się, że wóz jest kradziony. Właściciel zgłosił kradzież przed południem. Więc oczywiście puls nam przyspiesza. Trane zwiększa dystans i wpuszcza między nas dwa samochody, ale kierowca peugeota wyraźnie zaczyna się denerwować. Tak jedziemy przez całą Sjælør Boulevard, a na końcu tamten odbija i staje na parkingu pod stacją. Zachowujemy rozsądny dystans i też się zatrzymujemy. Po kilku minutach kombi znów skręca i wjeżdża na Sjælør Boulevard, przejeżdża pod obydwoma mostami i na skrzyżowaniu tnie prosto. Domyślamy się, że próbuje nas zgubić w tej starej dzielnicy szeregowców, ale mu się nie udaje, i wtedy...

— Wsparcie, nie wezwaliście wsparcia?

— Jasne, że tak. To wszystko trwa kilka minut. I lądujemy przy Bådehavnsgrade, gdzie chwilę wcześniej straciliśmy peugeota z oczu. Trane wjeżdża w kilka bocznych ulic, na parę terenów pofabrycznych. Rozdzielamy się, bo w ten sposób tracimy cenny czas. Ja biegnę wzdłuż starego domu i docieram na podwórko. Tam znajduję peugeota. I...

Podniósł rękę, by jej przerwać:

— Czekaj. Teraz dokładnie, krok po kroku. Zaczynaj jeszcze raz, od momentu *zanim* zobaczyłaś samochód.

— Skradam się wzdłuż magazynu z czerwonej cegły. Na rogu przystaję i ostrożnie wyglądam, zanim decyduję się wyjść z ukrycia.

— Jesteś sama. Dlaczego nie wzywasz Tranego i nie czekasz? Powinnaś tak zrobić.

— Zaraz... Wyglądam zza rogu, ale z początku nie widzę samochodu.

Margrethe Franck siada głębiej na krześle, opiera się i odchyła głowę do tyłu. Z zamkniętymi oczami mówi dalej:

— Po lewej jest rampa załadunkowa. Z dachem, który wystaje z muru. Stoi na niej stos palet z jakimś ładunkiem. Rzeczy są zapakowane w białą, przezroczystą folię. Widzę, że część z nich to muszle klozetowe. Przesłaniają mi widok. Dopiero kiedy wchodzę na podwórko i jestem obok palet, zauważam go, samochód. Chcę...

— Nie słyszysz go?

— Nie. Ma wyłączony silnik.

— Dalej.

— Wychodzę z palet i widzę srebrne kombi w najdalszym rogu podwórka. W tym samym momencie włącza się silnik.

— A twój pistolet?

— Wyjmuję go, zanim wchodzę na podwórko. Jestem... — Margrethe nieruchomieje i zaciska powieki. — Niels. Pamiętam, jakby to było wczoraj. Wpadam w konsternację. A może to panika. Udaje mi się tylko przelecieć w myślach różne możliwości. Jestem nieosłonięta, na otwartym terenie. Postanawiam zostać w miejscu i ustawiam się w pozycji do strzału. Pistolet wymierzam prosto w niego.

— Potrafisz coś wyczytać w jego twarzy?

Kręci przecząco głową.

— Nie. W ogóle jej nie widzę. Przednia szyba w słońcu wygląda jak lustro. Chociaż... widzę jakiś ruch, w miejscu, gdzie kończy się słoneczne odbicie. Jakby opuszczał prawe ramię — albo dłoń.

— Broń?

— Nie mam pojęcia. Przez ułamek sekundy wydaje mi się, że to broń. Bo przecież jest uzbrojony.

— I co potem?

— Potem rusza. Powoli, jakby się wahał.

— A ty co robisz?

— Cofam się. On przyśpiesza. Ja cofam się jeszcze trochę. Broń trzymam wciąż wymierzoną w przednią szybę

— I wciąż go nie widzisz?

— Nie. Teraz w całej szybie odbija się cholerne słońce.

— Gdzie teraz stoisz?

- Plecami pod ścianą. Dosłownie.
- Dlaczego nie odskakujesz w bok, za stos palet? Albo na rampę?
- Dobre pytanie. Czuję się, jakbym zastygła w sytuacji, która się rozgrywa. Albo jak sparaliżowana, nie wiem. Ale wiem, że nie wolno mi spuścić go z celu. I wiem, że nie mogę się odwrócić i uciec. Że wtedy całkiem stracę kontrolę.
- I wtedy on napiera?
- Tak... na pełnym gazie, z piskiem opon. A ja... jakbym zamarzła.
- Ale... jak, u licha, udaje ci się go trafić, skoro go nie widzisz?

Słyszy to wyraźnie w jego głosie: że go to zastanawia... I wszystkie jego wcześniejsze pytania też słyszała do znudzenia w trakcie przesłuchań, które przysły potem, kiedy całe zajście i oddanie strzału — strzału, jak się okazało śmiertelnego — stało się przedmiotem wewnętrznego dochodzenia.

W jej uszach zabrzmiało to jak doskonale znany refren: „Jak udało ci się go trafić, skoro go nie widziałaś? Do tego w środek czoła?”.

I w tej chwili jej myśli i przywołany z pamięci widok były wierną kopią tych, które przywoływała tyle razy wcześniej.

— Bo nagle słońce przestaje się odbijać. W połowie podwórka dach nad rampą rzuca cień. I widzę go wyraźnie. Zaciśnięte zęby. Zaciśnięte na kierownicy dłonie. Samochód jest blisko. Udaje mi się oddać strzał — i odskakuję w lewo. Ale nie dość szybko. Noga zostaje uwięziona między maską peugeota a murem. Resztę znasz.

— Nie, właściwie to nie znam — odpowiedział. — Znam tylko fakty. Jesteś ranna. On nie żyje. Co dalej?

No tak, oczywiście miał rację. O tym, co się działo po tym, jak ją przygwoździł do ściany, a zanim się obudziła w szpitalnym łóżku, nie wiedział nic. Bo też było to nieistotne. Wzruszyła ramionami i powiedziała tyle, ile sama wiedziała:

— Tu mam w pamięci dziurę. Tyłem głowy mocno uderzyłam w mur, kiedy mnie docisnął. Do tego miałam głębokie skaleczenia

na jednej ze skroni. Straciłam przytomność, kiedy we mnie uderzył. Pamiętam dopiero dźwięk syren i jak leżę i patrzę w górę na twarz — mężczyzna, ratownik pogotowia. Mówi, że nic mi nie będzie, ale moja noga nie wygląda dobrze. I potem w sumie nic już nie pamiętam.

— Czyli pierwszy na miejscu jest twój partner i to on dzwoni po pomoc?

— Tak. Według raportu Klaus Trane pojawia się tam niemal natychmiast. Słyszy strzał, gdy sam jest po drugiej stronie ulicy. Wszystko jest w raporcie. Włącznie z dokładną godziną. Cała komunikacja z Bellahøj i centralą. W domu mam kopię. Po tym wszystkim ten cały materiał znałam na pamięć. Wyjaśnienia zarówno Tranego, jak i moje. Plus dochodzenie wewnętrzne, które uruchomiono, bo oddałam strzał. Niemal co do litery.

— Ale nie masz już tych dokumentów?

— Nie, Niels, nie mam. Wywaliłam cały cholerny syf. Albo, mówiąc dosłownie, oddałam na makulaturę. Chodziłam wtedy na terapię, leczyłam się z traumy. W końcu musiałam się najzwyczajniej w świecie uwolnić od tego wszystkiego. Odciąć od tego raz na zawsze. Zostawić to za sobą — i *zacząć od nowa*. Nowe życie — z tylko jedną prawdziwą nogą. Wydaje mi się, że to z wywaleniem raportów było po prostu elementem mentalnej higieny. Zresztą znasz to... Wiesz, jak trauma potrafi zżerać człowieka od środka, prawda?

Przytaknął i po swojemu uśmiechnął się krzywo.

— Uznałam, że nie ma sensu dłużej grzebać we własnych bebeczach. Czy mogłam się zachować inaczej? Czy to, co w tamtej sytuacji zrobiłam, było właściwe? Czy cholernie, przejebanie niewłaściwe? Joakim Jönsson nie żył. Zostało potwierdzone, że to on strzelał w banku — przez człowieka, który kierował napadem, kiedy razem z dwójką pozostałych współwinnych został zatrzymany kilka dni później. Sean Struve, tak się nazywał. Z siedmiu milionów dwustu tysięcy koron, które wtedy ukradli, brakowało trzech milionów i trzystu tysięcy. Jönsson miał jakimś sposobem zdążyć je ukryć — albo przekazać w trakcie ucieczki swojemu współnikowi. Te pieniądze — i pościg za nimi — szybko stały się głównym przedmiotem

śledztwa, kiedy strzelaninę w Sydhavnen i napad na bank połączono w jedną sprawę. Kiedy w mieszkaniu siostry Jönssona znaleziono część dowodów — plany banku przy Gammel Kongevej i tym podobne, wszystko ułożyło się w logiczną całość. Jönsson okradł bank i w desperacji był gotów nawet zabić policjantkę, byle tylko uciec. Na sumieniu i tak miał już jedną śmiertelną ofiarę.

— Czyli on wiedział, że strzał, który oddał w banku, był śmiertelny? Wy też wiedzieliście, że tamten człowiek nie żyje?

— Nie. W komunikacie przez radio tego nie powiedzieli. Ale mężczyzna zmarł w karetce, więc wydaje się prawdopodobne, że Jönsson znał konsekwencje swojego działania.

— A te brakujące miliony?

— Z tego, co wiem, nigdy ich nie znaleziono.

Oxen siedział zamyślony z rękoma splecionymi pod brodą i kiwał głową.

— Hm... a gdybym chciał to przeczytać? — spytał.

— To mogę ci od ręki załatwić cały komplet.

— Zrób to.

— Okej.

— Możemy tam pojechać? Teraz albo później?

Nie była pewna, co ma na myśli. Raporty — czy miejsce.

— W sensie... do Sydhavnen? Czy...?

Przytaknęła.

— Na tamto podwórko.

Pokręciła głową.

— Wszystko zostało zrównane z ziemią jakieś dwa, trzy lata później. Po strzelaninie byłam tam tylko raz. Za drugim razem po magazynie nie było śladu. Teraz jakaś firma deweloperska ma tam swoją siedzibę. I nie ma nawet cholernej tablicy upamiętniającej moją zmiażdżoną nogę.

Oxen się uśmiechnął. Ten człowiek nigdy się nie śmiał. Czy kiedykolwiek słyszała, żeby się śmiał? Nie... Fakt, że w ostatnich latach nie miał się za bardzo z czego śmiać, ale mimo wszystko... Z drugiej strony niemal zapomniała, jak wiele dla niej znaczył ten krzywy, ostrożny uśmiech. Który jednak zaraz zniknął, kiedy Oxen zaczął:

— Musiałaś pewnie sporo o tym myśleć — o tym, czy istnieje związek między tym artykułem, który znalazłem, a tym. — Wskazał głową na kamień.

— Jasne. Przez dwanaście lat nigdzie ani słowa na temat tamtej sprawy i nagle dostaję od ciebie ten artykuł. Ale po twojej wiadomości zrobiłam tylko dwie rzeczy. Dwie — nic więcej.

Oxen pokiwał głową i spojrzał jej w oczy.

— Spotkałaś się z Jönssonem i ze swoim dawnym kolegą Klausem Tranem. I któreś z tych spotkań zaowocowało tym, prawda? — Oxen znów skinął w stronę leżącego na stole kamienia.

Takie były fakty. Sama oczywiście wnioskowała podobnie.

— To może być tylko *ten* bydlak Jönsson — odparła. — Trane to jeden z najmiłszych ludzi na ziemi. Oddany ojciec rodziny, szczerzy, kochający i w ogóle wszystko, co tylko można powiedzieć o kimś dobrego.

Oxen siedział z zamyśloną miną. W końcu podsunął:

— Nie można chyba jednak wykluczyć, że istnieje trzecia możliwość, prawda? Że ktoś cię obserwuje — ktoś jeszcze inny. I że to ten ktoś grozi ci w związku z którąś z tych dwóch wizyt.

Wzruszyła ramionami i pokręciła głową z rezygnacją.

— To prawdziwa zagadka. Być może w ogóle niczego nie można wykluczyć. Tylko jaki byłby motyw? Co takiego jest w tej starej historii, że nagle stała się taka groźna? Po tym, jak przez tyle lat był spokój... Nie pojmuję tego, Niels. Naprawdę tego nie pojmuję. Z jednej strony coś we mnie krzyczy, żeby to zostawić, nie poświęcać temu ani chwili z czasu, którego mi brak. A z drugiej — coś krzyczy, że wprost przeciwnie, to jest teraz najważniejsze. Ale mam ten *deadline*, który wyje i miga. Praca naszego zespołu ma dla kierownictwa cholernie wysoki priorytet.

Oxen znów pokiwał głową.

Przypomniała sobie ich pierwsze spotkanie — na komendzie w Aalborgu. Wtedy od tak dawna żył w kompletnej izolacji, najpierw jako nocne zwierzę w północno-zachodniej dzielnicy Kopenhagi, a później w swoim obozowisku w Rold Skov, że

wydawał się niemal niezdolny prowadzić normalną rozmowę. Teraz tak nie było. Choć Niels Oxen nadal ostrożnie wazył słowa.

— Zdobądź te papiery. Rozejrzę się trochę — mruknął zza stolika.

Rozdział 29.

Bestia wciąż leżała w jednoosobowej sali. Może dlatego, że państwo opiekuńcze mimo wszystko ciągle jeszcze wydawało odrobinę kasy na opiekę. Bo który z Bogu ducha winnych pacjentów Królestwa mógłby spać spokojnie w towarzystwie Idrisa Nassara?

Bertelsen otworzył drzwi.

Czekoladowa góra mięsa z szeroką klatą spała w białej szpitalnej pościeli. Bertelsen poczuł zadowolenie, gdy — ponownie — stwierdził brak podudzi i stóp Nassara. Napakowany korpus nadal wyglądał groźnie, ale nie mógł się już na człowieka rzucić, gdyby się człowiek zapędził i powiedział o jedno słowo za dużo. Korpus był bezpiecznie stacjonarny.

Zapukał mocno w otwarte drzwi. O wiele mocniej, niż miał w zwyczaju. To obudziło Nassara. Stanęli na końcu jego łóżka i czekali, aż całkiem się przebudzi i zacznie myśleć. Gdy tak się stało, poszło szybko. Ton już znali.

— Jebany przygłup i jebany młot! Z wydziału groźnych dla życia skurwieli i jebniętych w mózgi chujków.

— Z wydziału zwalczania przestępczości przeciwko zdrowiu lub życiu — głośno i cierpko przerwał mu Bertelsen. — Chcemy się dowiedzieć, czy przypomniałeś sobie coś, co...

— Stul dupę, tłusta świnió! Śpię. Wypierdalać!

— Uznam, że to ma oznaczać brak z twojej strony dalszych informacji pomocnych w wyjaśnieniu sprawy — ciągnął Bertelsen.

— Wyjaśnieniu? Zajebisty żart!

— Przejrzeliśmy długą listę spraw, w których wystąpiłeś w roli głównej. Chcielibyśmy cię zapytać o jedną w szczególności. Tę z Cindy Johansen — odezwał się Borg.

— Cindy — co? — Nassar ostentacyjnie zmarszczył nos.

— Cindy Johansen, duńska aktorka robiąca karierę w Hollywood. Powinieneś ją znać. Pobiliś ją i jej chłopaka na

skrzyżowaniu na H.C. Andersens Boulevard. Dość konkretnie.

Bertelsen syknął pod nosem. Postawa tolerowanego, choć niemożliwego do tolerowania Libańczyka rozpałała w nim najgorsze instynkty. Mocno wcisnął ręce w kieszenie kurtki — być może po to, żeby nie zrobić czegoś nierozważnego.

— A, dziunia z serialu. Było tak od razu, kmioty.

Borg najwyraźniej zauważył, że Bertelsena roznosi, więc przejął pałeczkę.

— Czy po tamtym... incydencie... miałeś jakikolwiek kontakt z Cindy Johansen?

— Nie ruchałem jej, jeśli o to ci chodzi.

Nassar uśmiechnął się niewinnie. Borg głęboko wciągnął powietrze.

— Nie, nie o to mi chodzi. Czy ona w jakikolwiek sposób się z tobą kontaktowała. Pisała do ciebie albo dzwoniła?

— *Nope*. I tak bym nie chciał — nawet jakby ona chciała. W sensie ruchać.

— Czytałeś felieton, który napisała?

— Felieton? Co to, kurwa, jest felieton? Robicie mi test, kurwa, z języka?

Borg cierpliwie pokiwał głową. Bertelsen wciąż kipiał.

— Pobiłeś wtedy jej chłopaka. Franza Rissa. Z nim miałeś jakiś kontakt?

— Nie jestem pedałem, młocie.

— Kontakt nie musi oznaczać kontaktu seksualnego.

— Aha! To można mieć kontakt na inne sposoby? — Idris Nasser zaśmiał się, zadowolony z żartu.

— Z listy twoich wyroków za pobicia można by wnosić, że doskonale zdajesz sobie sprawę z istnienia innych form kontaktu — wysapał Bertelsen.

— Zamknij odbyt!

— Więc żadnych kontaktów z tą parą. A otrzymałeś groźby albo zdarzyły się jakiegokolwiek inne reakcje po incydencie na H.C. Andersens Boulevard? — spytał Borg.

— Tylko od niektórych z moich braci. Wszyscy uważali tak jak ja: że jesteście jebanymi rasistami. Duńczyk nie dostałby wyroku. Kurwa, gość wjechał mi się w nowego merca! I jeszcze

do mnie przyskakiwał. Ja nic nie zrobiłem. Pokazałem mu tylko, jak należy okazywać szacunek bliźnim. Ale nie, kurwa, mnie trzeba docisnąć do ziemi, mieszać, kurwa, z błotem. To jest właśnie rasizm, przygłupie. Weź to sobie wbij do tego pustego łba!

— Jaki rasizm? Dwukrotnie miałeś być deportowany, a jednak pozwolono ci zostać na pobycie tolerowanym. Więc chyba aż tacy straszni nie jesteśmy, co? — Borg spojrzał pytająco na Nassara.

— Wsadźcie se w dupę pobyt tolerowany.

— Więc nie pamiętasz, aby z wszystkich osób, o których wiesz, że w ten czy inny sposób im zaszkodziłeś, ktokolwiek kiedykolwiek kierował pod twoim adresem jakiejkolwiek groźby?

— Borg próbował dokonać niemożliwego: podtrzymać jakąś formę komunikacji.

— *Nikt* nie grozi Idrisowi Nassarowi.

— Słuchaj no, królu Idrisie, my tu naprawdę próbujemy rozwiązać sprawę — wtrącił się Bertelsen, który najwyraźniej odzyskał panowanie nad sobą. — Więc może skończ pierdolić i współpracuj.

— Odpowiadam: nie. Nikt mi nie groził — powiedział Nassar.

Borg odchrząknął i zmienił tor:

— Wielokrotnie byłeś poszukiwany, zwłaszcza za pobicie. I wielokrotnie nie dochodziło nawet do postawienia zarzutów. Wygląda to dość dziwnie. Powiedz mi, tak całkiem szczerze: czy kiedykolwiek groziłeś komuś, żeby trzymał język za zębami? I czy któraś z tych osób mogła stać za napaścią na ciebie?

Idris Nassar po raz pierwszy wyglądał, jakby się zastanawiał. W końcu powoli pokręcił głową.

— *Nope.*

— Jeśli nie jesteś pewien, to powiedz — podpowiedział Borg.

— Nikt. I wiesz co jeszcze, przygłupie? Nigdy, kurwa, nikomu nie groziłem, żeby trzymał ryj na kłódkę. Sprawa wygląda tak, że jebana psiarnia ciągle próbuje mi coś przykleić. Tylko dlatego, że jestem tym, kim jestem. A potem wszystko się rypie, zanim jebany sąd zdąży nawet rzucić na to okiem.

— Okej. Myślę, że na tym skończymy — powiedział Bertelsen z ulgą w głosie.

Borg przytaknął skinieniem.

— I nie przyłażcie tu więcej, i mnie nie budźcie, jebany młocie i jebany przygłupie!

Odwrócili się na piętach i wyszli z sali, odprowadzani nieskładnymi bluzgami Nassara.

Kiedy szli długim korytarzem, Bertelsen odetchnął z ulgą.

— Jezu, Borg, przy tym skurwielu naprawdę mnie nosi.

— Byłeś cały czerwony na gębie. — Borg parsknął śmiechem.

— Kurwa, i gnój ci jeszcze będzie rzucał w twarz cholernym rasizmem. Za grosz wstydu. Ale dobra... teraz przynajmniej możemy z czystym sumieniem zamknąć tę gównianą sprawę, tak jak powiedział Clemmesen. Daliśmy mu szansę — i nie skorzystał.

Borg wzruszył ramionami.

— Sam nie wiem...

— *Czego* nie wiesz, Borg?

— Tak się zastanawiałem... że mój dzieciak będzie w policji...

— Michael.

— No, właśnie. Michael. Nieopierzony i z głową pełną ideałów, wiesz, o co chodzi. I jak ma potem człowiek spojrzeć w lustro? Co rano. Nie powinno być tak, że jego ojciec zrobił coś na odwal się. Coś takiego, że jakby się chłopak dowiedział, to musiałby się za swojego starego wstydzić. A tak będzie, jeśli teraz to zamkniemy. Sam powiedz, nie zastanawia cię, dlaczego akurat nam wcisnęli tego zbuka? Dla mnie to jasne. Oczekują, że skoro jesteśmy starzy, to mamy wszystko w dupie i zrobimy, co nam każą. Że nie będzie nam się chciało stawiać.

— Ale przecież Clemmesen mówił...

— Tak, wiem, co mówił. Ale to nie znaczy, że tak jest słusznie. Jest jasne jak słońce, że to był odwet. I nieważne, że Nassar to największa, najbardziej pojebana kanalia na tej zapomnianej przez Boga planecie — to nie w porządku, że ktoś mu przestrzelił nogi i ręce. Samosąd nie jest w porządku. To my jesteśmy policją. My egzekwujemy prawo i porządek. Inaczej to wszystko pic na wodę, a mój syn marnuje swój czas.

Borg spojrział z boku na swojego kolegę. Twarz Bertelsena wykrzywiła się w dramatycznym grymasie, z którym jego okrągła głowa przypominała zeschnięte jabłko.

— Hm... może masz, kurwa, rację, jebany Borgu — wycedził przez zęby i uśmiechnął się. — To co robimy?

Rozdział 30.

Padał śnieg. Oczy aż go zaboląły od tej jasności, kiedy podniósł roletę, i od razu z powrotem rzucił się na łóżko. Spojrzał na zegarek. Było po dwunastej. Czyżby znów się zbliżał do przestawienia porządku dnia i nocy i z wolna wracał do dawnego, kopenhaskiego trybu życia? Czy to po prostu wina wilków i zakłócenie rutyny, które minie, gdy tylko one znikną z jego życia?

Wczoraj udało mu się wybiegać z ciała i głowy wszystkie rozmyślenia i wątpliwości. Zrobił jakieś piętnaście kilometrów w wieczornym mroku, pobiegł do Bagsværd Sø, okrążył jezioro i wrócił do Vangede.

Kiedy w końcu, po długim, gorącym prysznicu położył się do łóżka, czuł, że ma przed sobą dobrą noc — spokojny sen, niezakłócony żadną myślą. Mylił się. Po jakichś czterech godzinach do jego umysłu zakradł się Krowiarz.

Krowiarza od zawsze uważał za postać najważniejszą z całej Siódemki — serii koszmarów, które od lat nawiedzały go mniej lub bardziej regularnie.

Poza Krowiarzem do Siódemki należała Starowinka z głową — stara Serbka, która zabrała jedną z głów nabitych na pale przy drodze i schowała do siatki na zakupy. Może to był jej syn, którego chciała sprowadzić do domu? Inny koszmar nazwał Rosyjską ruletką. W nim przeżywał ponownie spotkanie z pijanym zbirem z oddziału serbskich partyzantów. Sala gimnastyczna była tytułem kolejnego. Zdarzenie miało miejsce, gdy był jeszcze młodym i stosunkowo niedoświadczonym żołnierzem. W sali gimnastycznej wiejskiej szkoły znalazł grupę niepełnosprawnych rozstrzelonych przez Serbów. Dziewczynka z lalką była dzieckiem stojącym na zgliszczach domu przy drodze z na wpół spaloną lalką Barbie. I jeszcze Łza... serbski gwałciciel, którego osobiście wysłał na tamten świat z czterema kulkami w brzuchu — tam gdzie postrzał boli najbardziej.

Siódmym koszmarem była Kobieta z bombami w oczach. Scena rozegrała się w Afganistanie, gdy ubrana w nikab kobieta o czarnych jak węgle oczach wysadziła się w powietrze pod głównym posterunkiem policji.

Nie potrafił wytłumaczyć, na czym polegała wyjątkowość Krowiarza w tym gronie. Może chodziło o to, że sceneria, w której się pojawiał, była tak nieskończenie przytłaczająca i spowita grozą. Wioska, w której stary Serb wraz ze swoimi krowami wyłonił się z porannej mgły, padła ofiarą czystki etnicznej. Wszystkie domy zostały zrównane z ziemią — poza tymi, w których mieszkali Serbowie. Na ścianach ich domów namalowano krzyż, a w każde z jego czterech pól wpisana była litera „C”, co w cyrylicy było skrótem od słów *Samo sloga Srbina spasava*. Tylko jedność ocali Serbów. Mantra była jak krew baranka na odrzwiach.

Grupa duńskich żołnierzy przyglądała się temu zjawisku, stojąc w kłębach papierosowego dymu.

W koszmarze Krowiarz, mijając go, obnaża w złym uśmiechu zgniłe kikuty zębów, twarz mu się wyostrza, a oczy robią się wąskie i żółte.

Jego przygarbiona postać na zawsze wryła mu się w pamięć. Podobnie jak cztery „C”, które stawały mu przed oczami za każdym razem, gdy natknął się na mur z graffiti.

Koszmary nie pojawiały się w utrwalonej kolejności. Jedne nawiedzały go rzadziej od pozostałych. Choć widok był porażający, rzadko na przykład nawiedzała go Sala gimnastyczna.

Być może konkretne sytuacje — świadomie lub nie — uruchamiały w nim jakiś proces, który sterował kolejnością obrazów Siódemki. W tej chwili jedynym wytłumaczeniem, jakie przychodziło mu do głowy, było to, że jego intensywne zgłębianie tematu wilków wywołało Krowiarza z zimnej mgły.

Miał ciężkie ciało i czuł się zmęczony. Taka była cena za upiorną noc. Obrócił się na bok i nakrył kołdrą.

Kiedy ponownie się obudził, było ciemno. W świetle latarni za oknem swojej sypialni nie widział już płatków śniegu.

Wstał, poszedł do łazienki i ochlapał twarz zimną wodą. Potem, w samych bokserkach, zrobił kilka niespokojnych rund tam i z powrotem w swoim małym mieszkanku, sprawdził, czy w lodówce ma coś, co się nadaje do jedzenia, po czym, z braku lepszego zajęcia, usiadł na kanapie i włączył telewizor. Za kilka minut będą wiadomości. Może kiedy spał, nastąpiła nowa era? Za moment się dowie, kiedy z pudła wyleje się na niego codzienna porcja nieszczęść i katastrof.

Pierwszy materiał był o tym, jak bardzo brakuje lekarzy na dalekiej prowincji, więc w tym czasie poszedł do kuchni, nalał sobie mleka i zrobił kanapkę. Potem prowadzący omawiał reportaż o innowacji w systemie szkół ludowych, więc poszedł do sypialni, włożył koszulkę i znów zasiadł przed telewizorem — gotów przełączyć na National Geographic, Animal Planet albo inny wartościowy kanał.

I wtedy się pojawił. Wilk przebiegł przez jego duży płaski ekran. Wysunął się na sam skraj kanapy.

„Zwierzę na ekranie za moimi plecami to wilk — i proszę, aby państwo teraz uważnie obserwowali prawy górny róg ekranu. Uwaga, uwaga... jest! Tam, w tle, widzą państwo teraz jeszcze jednego wilka. Dopiero drugi raz udało się w Danii uchwycić dwa dorosłe wilki na jednym nagraniu. Nagranie pochodzi sprzed kilku tygodni, lecz dopiero teraz zostało udostępnione. Pochodzi z dużego obszaru dzikiej przyrody wokół Harrild Hede w Jutlandii Środkowej. Instytut Bionauki przy Uniwersytecie w Aarhus niedawno ogłosił, że z dwóch znalezionych w okolicy próbek DNA wynika, że w okolicy występuje zarówno samica, jak i samiec. Oznacza to, że realnie latem możemy się spodziewać drugiego w historii duńskiego miotu tych zwierząt. O to, czy rzeczywiście istnieje taka szansa, pytamy starszego pracownika naukowego Uniwersytetu w Aarhus Maxa Povlsena”.

Kamera zrobiła zbliżenie na siwobrodego mężczyznę stojącego w szczerym polu.

„Dokładnie. Dzięki współpracy z CEwolf, która gromadzi informacje o wszystkich wilkach z Europy Środkowej w jednym wspólnym rejestrze, wiemy już, że samica z Harrild Hede jest córką pary alfa niemieckiej watahy z Göritz-Klepzig. Jej rodzime stado zamieszkuje obszar jakieś dwadzieścia pięć kilometrów na południowy zachód od Berlina, na granicy landów Brandenburgii i Sachsen-Anhalt, i samica pokonała co najmniej pięćset pięćdziesiąt kilometrów, aby dotrzeć tu do nas. Oba wilki tworzą oczywiście parę w celu rozmnażania się. Jeśli nie w tym roku, to w następnym. Nie można jednak wykluczyć, że już wiosną będziemy mieli pięcioro albo sześcioro szceniąt. Natomiast ósemka, której doczekaliśmy się w pierwszej watasze w naszym kraju — tak zwanej watasze Stråsø — zdarza się dość rzadko”.

Na koniec prowadzący w studiu podsumował:

„Zarówno zdjęcia, jak i wszystkie informacje zostały zweryfikowane przez niemiecki Lupus Institut, który monitoruje i bada populację wilków w Niemczech”.

Lupus Institut? Po tej ostatniej wiadomości siedział jak na sprężynach na samym brzeжку kanapy.

Lupus?

Zakręciło mu się w głowie. Może wciąż był niewyspany? Z każdej strony widział lupusy. I nie był w stanie ułożyć jednej składnej myśli. Próbował sobie przypomnieć, jak to się stało, że Lupus Mossmana nagle przerodził się w groźbę wymierzoną w Margrethe z powodu czegoś, co zrobiła przed laty, tymczasem dziennikarz ciągnął dalej:

„Perspektywa jeszcze jednego stada wilków na naszych ziemiach natychmiast wywołała burzliwą reakcję ze strony polityków. Część z nich jest przeciwna obecności wilków, inni są powrotem wilka do Danii zachwyceni. Poznajmy zdania obu stron”.

Na ekranie za plecami prowadzącego pojawiły się dwa małe zdjęcia.

„Zacniemy od Laily Nørby, posłanki z ramienia Duńskiej Partii Ludowej. Jest pani przeciwna bytowaniu wilków na terenie Danii. Dlaczego?”

Kobieta stojąca pod mocno oświetloną wiatą wyglądała na skupioną.

„Jako DF wnosimy o całkowity odstrzał wilka na terenie Danii. Jeśli mamy, jako politycy, poważnie traktować spoczywającą na nas odpowiedzialność, to musimy działać, zanim dojdzie do nieszczęścia. Zanim jakieś dzieci z leśnego przedszkola staną oko w oko z rozwścieczoną samicą chroniącą swoje młode. Gęstość zaludnienia w naszym kraju jest zbyt wysoka, abyśmy mogli żyć obok tych drapieżników. Wilki atakują ponadto również zwierzęta gospodarskie. Nie możemy się temu biernie przyglądać, wilk musi zniknąć”.

Powrót do studia. Prowadzący przedstawił drugą osobę:

„Teraz łączymy się z Mette Sørberg z Listy Jedności. Co pani na to?”

Na ekranie pojawiła się młoda kobieta.

— Uważamy, że należy zachować spokój. *Nie zostało* naukowo potwierdzone, że wilki stają się szczególnie groźne w okresie, gdy mają młode. A odnośnie do argumentu o gęstości zaludnienia — duńskie wilki przywędrowały do nas z obszaru Niemiec o gęstości zaludnienia przewyższającej tę w zachodniej Jutlandii. Faktem jest również, że sprawcami ataków na zwierzęta gospodarskie częściej są bezpańskie psy niż wilki. Ministerstwo Rolnictwa i Żywności chce zezwolić na strzelanie przez rolników do każdego wilka, który znajdzie się w odległości pięćdziesięciu metrów od ogrodzenia. Liberal Alliance postuluje wprowadzanie jeszcze ostrzejszych zasad co do odległości, jaką muszą zachować wilki. Duńska wieś zacznie przypominać Dzikie Zachód, bo do bezpańskich psów, które pojawią się w wyznaczonym obrębie, też przecież powinniśmy strzelać. Myśliwi argumentują, że wilki będą polować na dziką zwierzynę, zaburzając ich populację. Zgoda. Ale ci sami myśliwi wyliczyli, że co roku w czasie żniw w wypadkach ginie dwadzieścia tysięcy sztuk młodych jeleniowatych. Czy w związku z tym zabronimy rolnikom koszenia? Raczej nie, prawda? W tej dyskusji musimy naprawdę wyciszyć emocje i zachować rozwagę. Nic dobrego bowiem nie wyniknie z zaprzeczania faktom i uprawiania polityki opartej na strachu. Naszym zdaniem...”

Tu jednak przerwał jej prowadzący:

„Dziękujemy posłance Mette Søberg.... Widzimy zatem, że w debacie publicznej linia frontu nakreślona jest wyraźnie, a jej ton niejednokrotnie jest bardzo ostry. Witamy teraz Madsa Laumanna, eksperta do spraw wilków z Muzeum Historii Naturalnej w Aarhus. Jak pan sądzi — dlaczego?”

Mężczyzna w zgniłozielonej koszulce wzruszył ramionami.

„Wilk to zwierzę, którego uwielbiamy się bać, w taki czy inny sposób. Lęk przed wilkiem stał się częścią naszej natury. Przez stulecia żyliśmy w jego cieniu i słyszeliśmy o nim najbardziej potworne opowieści. U wielu osób wilk zdaje się wywoływać niemal instynktowną reakcję. Odruch głębokiego przerażenia. Bezpodstawnego — ale jednak”.

Prowadzący podziękował ekspertowi i zwrócił się do kobiety z DF:

„Co pani na to, Lailo Nørby — czy sieje pani strach i grozę?”

Kobieta pokręciła przecząco głową.

„Sama mam dwójkę małych dzieci. Ciekawa jestem, ilu rodziców zgodziłoby się, aby ich dzieci ganiały w lesie, w którym żyją wilki. Albo wystawiło do ogródka niemowlę w wózku, wiedząc, że tuż za płotem czai się wataha. Myślę, że nieprzypadkowo nasze obawy wyśmiewają głównie ludzie z Kopenhagi. Zapewne łatwiej jest kochać wilki, kiedy nie ma się ich pod drzwiami”.

Wyłączył telewizor i się przeciągnął.

Znał już te argumenty. Przeczytał wszystko, co tylko udało mu się znaleźć na temat wilków.

Jeden groteskowy prezydent z jego sztuczkami z *fake newsami* wyznaczył nowe — niewyobrażalnie niskie — standardy w każdej dziedzinie. Nieważne, czy chodziło o wilki, ochronę środowiska, budżet państwa, czy szczury na strychu — zaprzeczanie opiniom ekspertów stało się niemal normą. Lecz skoro tak, to po co w ogóle są ci eksperci? Dlaczego społeczeństwo ma opłacać ich kosztowne i długie studia, skoro potem i tak nikt nie ma ochoty ich słuchać?

Sam też był ekspertem — chyba mógł tak o sobie powiedzieć? Ekspertem w byciu niewidzialnym i działaniu na tyłach wroga.

Również w zabijaniu, w razie konieczności.

Czy dojdzie kiedyś do tego, że łysiejący polityk po wieloletnich i nigdy nieukończonych studiach stanie przed kamerą i będzie negował wiedzę żołnierza elitarnej jednostki?

Czy ten polityk zacznie pouczać innych, jak naprawdę powinni się poruszać na wrogim terenie? Wmawiać im, że wcale nie muszą zbierać własnych odchodów do plastikowych worków i nosić ze sobą aż do bazy? Że wcale nie ma konieczności zabezpieczania nocnego odpoczynku za pomocą odciągów i min Claymore?

Czy może dojść do tego, że każdy absurd znajdzie posłuch i zyska status pełnoprawnej informacji? Że Neil Armstrong swoje kroki na Księżycu stawiał w jednym z hollywoodzkich studiów filmowych, Elvis nie umarł, Holocaust wymyślili Żydzi, a przysmakiem wilków są niemowlęta i żelki lukrecjowe?

Sięgnął po telefon i wybrał numer.

— Margrethe Franck — rzuciła ostro i pośpiesznie. Pomyślał, że może nie zapisała sobie jego numeru i nie widziała, że to on.

— To ja, Niels. Miałaś znaleźć akta swojej starej sprawy i je dla mnie wydrukować?

— Byłam zawałona robotą — dalej jestem. Teraz też jestem w pracy — to aż takie pilne?

— To nie mnie grożono. Tylko tobie.

— Sorry, źle to zabrzmiało. Jasne, poszukam ich, zanim pójde do domu.

— Możesz mi je podrzucić wieczorem.

— Skończę późno, bardzo późno. Może lepiej jutro rano?

— Wolałbym dziś. Wrzuć mi je do skrzynki.

— Czekaj. Brzmisz, jakbyś... Powiedz — coś ci przyszło do głowy? Dlaczego nagle tak ci się z tym śpieszy? Coś się stało?

— Nie. Po prostu pomyślałem, że wrócę do tego domu na Jutlandii, Harrildholmu, gospodarstwa Poula Hansena. Jutro rano.

— Po co?

— Mam po prostu wrażenie, że coś przeoczyłem. Tam musi coś być, jakaś odpowiedź. Coś, co da się powiązać z tobą. Coś, co wskaże jakiś kierunek.

— Okej. Mossman wie?

— Nie.

— Powiesz mu?

— Na razie nie. W każdym razie jutro tam jadę i po prostu chciałbym zabrać ze sobą te akta.

— Jasne. Wydrukuję je dziś wieczorem i wrzucę ci teczkę do skrzynki, tak koło północy. I dzięki, że to robisz. Doceniam, że chcesz pomóc. Udanej podróży i uważaj na siebie.

Rozłączyli się.

Zobaczył, jak para wilków z Harrild Hede biegnie niczym ulotne cienie przez białą ścianę jego salonu.

Samica... w Harrild Hede... Wstał i poszedł spakować sprzęt.

Rozdział 31.

3 grudnia 1963

W dole pleców poczuła na skórze zimny metal, a chwilę później mężczyzna mocnym szarpnięciem rozciął nożem podszewkę spódnicy i rozerwał materiał.

Przed chwilą ponownie ją unieruchomił w tej samej upokarzającej pozycji, od której otwierała się w niej otchłań przerażenia — nogi w szerokim rozkroku, ciało mocno pochylone i zgięte na metalowej sztabie, ręce wyciągnięte w przód i związane w nadgarstkach. Jediną różnicą było, że teraz pod bosymi stopami czuła jakiś materiał, prawdopodobnie dywan.

— Już... jeszcze chwila i będziemy oboje tacy, jak nas stworzono — nadzy. Wtedy będziemy równi. Będziemy tacy sami, prawda?

Ton jego głosu był absurdalnie życzliwy. Nagle poczuła ostrze noża na karku. Mężczyzna przesunął nim i odciął kołnierzyk bluzki, a potem rozciął materiał wzdłuż pleców. Na koniec odciął oba rękawy i odniosła wrażenie, że rzucił materiał na podłogę stajni.

Jego ręce obłapiały jej pośladki, zmacały plecy i z powrotem zeszły w dół, jeszcze niżej, na wewnętrzną stronę ud. Zadrzała.

— Już, już, moja mała... spokojnie... teraz postoiemy tak. Skóra przy skórze. Jesteś taka cudownie miękka, taka delikatna w dotyku. Dobrze nam tak, prawda? Podłożyłem dywan, żeby nam nie było zimno w stopy.

Poczuła, jak kładzie dłonie na jej talii i ociera się o jej nogę. Poczuła jego twardy członek dociśnięty do swojego uda. To natychmiast wywołało gwałtowny ból w podbrzuszu. Wrażenie, że za moment zwymiotuje, a jednocześnie, że nie jest w stanie, sprawiło, że zaczęła rozpaczliwie łapać powietrze.

— Nie mogę... oddychać... — z trudem wydusiła w ciemną tkaninę kaptura, mocno zawiązanego na szyi.

Silne palce wsunęły się w dziurę przy ustach i rozerwały ją szerzej. Wtedy stało się coś, nad czym nie panowała. W odruchu ugryzła jeden z nich. Te palce należały do zła wcielonego. Te palce były częścią człowieka, którego jedynym celem było zadać jej ból. I który już wyrządził jej krzywdę największą.

Udało jej się złapać zębami tylko koniuszek palca, bo mężczyzna zdążył cofnąć ręce.

— Co? Chcesz mnie gryźć? Myślałem, że jesteśmy przyjaciółmi!

Głos grzmiał i wypełniał całe pomieszczenie. Nie była w stanie sklecić żadnej myśli. Wiedziała tylko, że bańka udawanej czułości pękła i teraz rozpęta się piekło. Rejestrowała jego kroki, gdy bosymi stopami przemierzał podłogę. Odnotowała, gdy ustały — i kiedy wróciły z prędkością błyskawicy.

— Dostaniesz, dziwko, to, czego chciałaś. Dostaniesz jak znarowiona kobyła. Batem! Poznasz smak bata, to może spokojniejsz.

Mężczyzna zarechotał i ułamek sekundy później ból przeszył jej lodowate ciało. Z całej siły bił ją po pośladkach. Miała wrażenie, jakby krótki bat rozcinał jej skórę.

Bił całą wieczność. Krzyczała. Tak myślała, że to ona krzyczy — bo nie rozpoznawała tego głosu. Brzmiał jak zwierzęcy wrzask dobiegający skądś z zewnątrz.

W końcu pociemniało jej przed oczami. Wiedziała o tym, bo duża dziura, którą miała na wysokości ust, wpuszczała do środka trochę światła. I to światło powoli gasło.

Nagle przestał. Zdyszany krzyknął:

— Teraz wiesz. Dostałaś nauczkę. I pomyśleć, że chciałem być dla ciebie miły! To teraz będzie na ostro!

Podszedł do niej i mocno złapał ją za biodra.

Znów zrobiło się jasno.

To musiało być światło w niebie. Światło Boże. Czekala już tylko, aż Pan uwolni ją od męki i pozwoli jej umrzeć.

Rozdział 32.

Tym razem przejechał przez bramę i wjechał do środka kapsuły czasu odgródzonej od świata czterema skrzydłami zabudowań. Większym samochodem mogłoby się nie udać, ale wynajęty ford fiesta bez trudu wtoczył się na brukowane podwórko.

Harrildholm zamykał się w sobie. I wystarczyło raz się tu rozejrzeć, aby się zorientować, że czas również zapomniał o tym niegdyś dostatnim gospodarstwie.

Zatrzymał samochód w rogu przy ścianie szczytowej domu. Z zewnątrz niebieski samochód z wypożyczalni Hertz był niewidoczny. Wolał, aby tak było.

Chwilę nie ruszał się z za kierownicy. Termometr w samochodzie pokazywał pięć stopni. Temperatura utrzymywała się na tym poziomie przez całą drogę z jednego końca kraju na drugi. Miał wrażenie, że z wszystkiego unosi się wilgoć. Po przeciwległej stronie podwórka była duża kałuża. Albo niedawno padało, albo to przez odwilż. Nigdzie nie został ani skrawek śniegu.

Wysiadł — i spojrzał w górę. Niebo było zalane betonem. Znał się trochę na pogodzie, bo czasem taka wiedza mogła się okazać krytyczna. Ktoś, kto dużo czasu spędził na świeżym powietrzu, potrafi czytać z nieba i ruchów chmur — i nie ma znaczenia, czy te chmury suną nad Sarajewem, czy Hindukuszem.

Po cichu zamknął drzwi samochodu.

Ani czy chmury są zwartą, nieruchomą powłoką nad starą rudera w Jutlandii Środkowej.

Szare niebo i przenikliwe, wilgotne zimno na większość ludzi działa przygnębiająco, ale on aż kipiał z radości. Już tej nocy albo jutro o świcie będzie tam, gdzie czuł się u siebie.

Po południu znajdzie dogodne miejsce — zanim się ściemni. Potem wróci do swojego punktu obserwacyjnego i pod osłoną nocy zajmie pozycję.

Ruszył w stronę tylnych drzwi. Sprzęt na razie zostawił w samochodzie. Najpierw chciał zrobić szybki obchód i sprawdzić, czy wszystko jest jak należy. Albo czy nie jest...

Czy siedemdziesięciosześcioletni właściciel nie wyskoczy nagle jak Filip z konopi.

Nacisnął klamkę. Drzwi nadal nie były zamknięte na klucz. Idąc korytarzem do kuchni, w głowie odtwarzał szczegóły. Magnus siedział tam, na ławie, oparty plecami o ścianę i obserwował jego walkę z czerwono nosym bandytą w ogrodniczkach. Wciąż miał kartę ubezpieczeniową tamtego człowieka. Książki, segregatory i cała reszta leżała w nieładzie, tak jak je zostawił. Wyglądało na to, że w Harrildholmie nie było żywej duszy, odkąd sam opuścił to miejsce.

Będzie musiał dokładnie przejrzeć ten stos i poszukać w nim jakichś śladów — ale nie teraz. Teraz pójdzie po sprzęt wypełniający po brzegi bagażnik fiesty.

Godzinę później siedział na ławie, a przed nim stał kubek kawy. Kuchnia okazała się idealnym centrum zarządzania. Pod ręką miał otwarty laptop i za pomocą internetu z komórki łączył się ze światem.

Na stole rozłożone były topograficzne mapy okolicy. Zamówił je w Nordyckim Towarzystwie Topograficznym, kiedy tylko pierwszy z wilków zaczął ganiać po ścianach mieszkania w Vangede i pomysł wytropienia go na dobre się w nim zagnieździł. Skala była w sam raz, jeden do dwudziestu pięciu tysięcy. Na mapie doskonale było widać Harrildholm wraz z pozostałymi rozproszonymi gospodarstwami i zabudowaniami.

Mapy będzie się musiał nauczyć na pamięć. Na to poświęci czas w ciągu dnia. Po zmroku skupi się na cierpliwym czekaniu w nadziei, że mu się poszczęści.

Nawet gdyby udało mu się tylko przelotnie zobaczyć wilka, uznałby, że sprawa była warta zachodu. A dwa wilki naraz... Wówczas uznałby misję za w pełni wykonaną, ale to niemal nie do wyobrażenia.

Teczka, którą zgodnie z umową znalazł w swojej skrzynce, leżała w najdalszym rogu stołu. Jak najprędzej będzie musiał się zająć dokładnym przestudiowaniem starej sprawy Margrethe. Ach, tyle było rzeczy do zrobienia w pierwszej kolejności.

Zerknął do pokoju dziennego na stertę papierów na podłodze. Może nawet jeszcze dziś pod wieczór będzie mógł bliżej się im przyjrzeć... Tymczasem odsunął tę myśl od siebie i sprawdził kolejno strony i grupy na Facebooku. Nigdzie nie znalazł nowych wieści o samicy z Harrild. Ale czego się spodziewać — wiadomość o jej istnieniu podano dopiero niedawno, po kilku tygodniach starannych przygotowań.

Przesunął wzrokiem po mapie. Oczywiście nie dysponował żadnymi dokładnymi danymi. Takich informacji nigdy się nie podaje. Nikt nie chciał, żeby okolicę zalała fala wilczej turystyki.

Na chwilę zawiesił wzrok na wąskiej, krętej linii. To był ten potok o dziwnej nazwie Kvindebækken, wpadający do rzeki Holtum. Niebieska kreska w istocie kryła zagadkę. Więc ciało, które znaleziono w potoku, nie było Poulem Hansenem. Wobec tego kim? Tutejsi policjanci niewątpliwie mają trudną łamigłówkę do rozwiązania, ale dla jego zadania było to nieistotne.

Dalej przesunął wzrokiem po mapie, studiując rozmaite symbole i oznaczenia kolorami.

Jego zadanie zapowiadało się na wyjątkowo ciężkie. Był przygotowany na to, że prawdopodobnie nie uda mu się zobaczyć nawet cienia wilka, ale mimo to nie chciał pozbawiać się tej szansy.

Jego myśli znów pobiegły ku Margrethe. Jej poważny wypadek i zabójczy strzał znajdowały się w czerwonej teczce. Kiedy wyjął ją ze skrzynki, przejrzał tylko pośpiesznie pierwsze strony. Resztę przekartkował wyrywkowo. Materiał był obszerny. W niektórych miejscach znajdowały się jedynie streszczenia albo odwołania do całych procedur, które Margrethe najwyraźniej uznała za niewarte drukowania.

Jego staż w policji był krótki, ale wystarczający, aby się przekonać, jak uciążliwe potrafią być takie sprawy powiązane. Oraz że zawsze, ale to zawsze, gdy policjant oddaje strzał,

generuje to stosy papierów — tym bardziej jeśli strzał jest śmiertelny.

Teczka zawierała mnóstwo stenogramów z przesłuchań i zeznań, lecz nie było w niej nic, co by go mogło zainteresować. W końcu ją zamknął, uznawszy, że w lesie będzie miał dość czasu, aby przeczytać wszystko z należytą uwagą.

Tymczasem znów spojrzął na mapę i zaznaczył kilka miejsc długopisem. Wyglądało na to, że w grę wchodziły dwa rodzaje punktów obserwacyjnych. Te w terenie otwartym o szerokim polu widzenia i te na obszarach zalesionych — na przykład droga przecinająca las, gdzie widok będzie ograniczony. Te ostatnie należało wybrać szczególnie starannie. Musiały zapewniać wystarczające pole widzenia, w przeciwnym razie na nic mu się nie przydadzą.

Nie dysponował kilkunastoma ukrytymi kamerami jak nadleśnictwo. Potrafił za to czytać przyrodę i miał nieskończone pokłady cierpliwości.

Cierpliwość była również jego jedynym uzbrojeniem. Plus dwie lornetki — jedna do używania w ciągu dnia i druga do obserwacji nocnych, aparat z silnym teleobiektywem i nóż myśliwski. Pistolet, który chował przed Magnusem na najwyższej półce garderoby w swojej sypialni, zostawił w domu. I wolałby nigdy nie musieć go użyć. Głośne strzały należały do rozdziału jego życia, który, gdy wprowadzał się na Dalstrøget w Vangede, bezpowrotnie za sobą zamknął.

Magnus... Będzie musiał zadzwonić do niego i jakoś mu się wytłumaczyć — i odwołać ich weekend.

Podniósł wzrok znad stołu. Raz jeszcze rozejrzał się wokół. Szafki kuchenne, poplamione jasne zasłony, których nie dało się zaciągnąć, kuchenka gazowa, lodówka z ciemnymi rysami na białej emalii, szuflady pod blatem, w tym jedna bez uchwyty. Jego funkcję pełniła śruba.

W tym właśnie tkwiła różnica — ogromna różnica pomiędzy Vangede a tym miejscem: mieszkania w blokach przy Dalstrøget były zadbane, identyczne i anonimowe, bo każde tak samo pozbawione historii. Teraz, na tę krótką chwilę, wziął w posiadanie Harrildholm i należącą do tego domu kuchnię. Usiadł

na miejscu, które przed nim zajmowało wielu ludzi. Całe pokolenia. A teraz przyszedł on i postawił na stole pudło ze swoimi rzeczami, a do lodówki wstawił jedzenie, które ze sobą przywiózł.

Dopiero w tym momencie sobie uzmysłowił, że wdarł się na czyjeś terytorium. Do tego stopnia przywykł urządzać się w skrajnie różnych warunkach, że automatycznie dopasowywał się do nowych okoliczności. Pustynia czy las, deszcz czy piekące słońce — jemu było wszystko jedno.

A teraz siedział w kuchni jakiegoś mężczyzny — i w dziwny sposób czuł się jak u siebie. Byłoby niezręcznie, gdyby nagle pojawił się właściciel. Choć miał bardzo wyraźne przeczucie, że się nie pojawi. Czy za to pojawi się wilk? Albo jeszcze lepiej — dwa wilki?

Rozdział 33.

4 grudnia 1963

Światło... Otworzyła oczy i ostre światło przeszło jej źrenice, boleśnie wkuło się w miękką tkankę wewnątrz czaszki. Czy to było światło Boże? Czy znalazła się w świecie czystym i łagodnym? Tak... jej modlitwy zostały wysłuchane. Była wolna.

Leżała nieruchomo na posłaniu. Nakryta kocem, brzeg tkaniny czuła na skórze tuż pod nosem. Bo to był koc, prawda? Może była...

Usłyszała huk. Drzwi stajni otworzyły się i zaszurały o cementową podłogę. Nie, nie była u Boga ani u nikogo innego. Koszmar, z którego nie potrafiła się obudzić, trwał.

— Chciałem ci ugotować coś dobrego. Ale nie... do diabła, nie, skoro tak się zachowujesz. Masz, pij!

Szarpnął ją i podniósł do pozycji siedzącej. Najpierw poczuła zimną szyjkę butelki na szyi, zanim mężczyzna przez otwór w kapturze trafił w jej usta. Piła łapczywie. Była rozpalona i spragniona. Ale głodu nie czuła.

Czuła za to straszliwe, rozdzierające serce rozczarowanie. Pomyliła się co do światła. Dochodziło z okna stajni nad jej głową

— I co ja mam z tobą, u licha, począć? Powiedz mi — co, u licha, mam z tobą począć?

Mężczyzna wydawał się wzburzony. Siano zaszeleściło i domyśliła się, że odsunął się nieznacznie.

— Co mam, u licha, począć? — Westchnął ciężko.

Poczuła ulgę, woda złagodziła ból gardła. Ale jednocześnie znów zaczęło wirować jej w głowie. Jej skóra była rozpalona, oczy ją piekły. Gdy wciągała nosem powietrze, czuła chłód stajni, ale wcale nie dawał jej ulgi.

Również czas rozmazał się w jej świadomości. Nie miała pojęcia, jak długo tu była. Pamiętała straszliwy ból, jaki towarzyszył jego opętanym wrzaskom ostatnim razem. Wciąż go

czuła, ten ból, prawda? Czy znów była przywiązana? Czy on znowu to zrobił? Nic już nie wiedziała. Wszystko było takie niewyraźne. Wiedziała tylko, że to światło to nie było to światło, na które czekała.

— Co, u licha, mam zrobić, no, powiedz mi. Co mam zrobić?

Głos męczyzny zniknął. Drzwi zaszurały po podłodze, a potem zrobiło się cicho jak w grobie.

Rozdział 34.

Stać się niewidzialnym było jedną z jego specjalności. W mgnieniu oka potrafił zniknąć na ceglasczerwonej kamiennej pustyni, w czarnym krajobrazie wulkanicznym, tętniącym życiem lesie czy jakimkolwiek innym terenie. Należało być przygotowanym i dobrze poznać otoczenie, by móc zmieniać kolor niczym kameleon.

Odrzucił na bok siatkę maskującą i wyczołgał się na powierzchnię brązowego krajobrazu wrzosowiska. Dochodziła ósma rano i słońce stało wysoko.

Zaczął się jego trzeci dzień na Harrild Hede. Przed twarzą miał chmurę własnego oddechu. Termometr w zegarku wskazywał minus trzy stopnie.

Trzy noce, trzy poranki i żadnej zwierzyny ani kłusowników, jak ostatnim razem, kiedy razem z Magnusem leżeli niecałe osiemdziesiąt metrów od miejsca, które teraz dla siebie wybrał. Najciekawszą obserwacją był jak dotąd lis, który wczoraj, tuż przed świtem, przebiegł dwadzieścia metrów od niego. Odprowadził go wzrokiem przez nocną lornetkę i widział, jak z nosem przy ziemi zwierzę podążyło własnym tropem.

Czas w ciągu dnia poświęcał na zaznajamianie się z tym sporym obszarem. Tej nocy zamierzał zmienić pozycję. W Nørlund Plantage znalazł miejsce, w którym zbiegały się cztery drogi gruntowe i gdzie na zboczu wykarczowano niewielki fragment lasu. Może tam będzie miał więcej szczęścia. Wilk lubił oszczędzać siły i wolał leśne drogi albo koleiny od przedzierania się przez bardziej niedostępne tereny.

Przykleknął, powymował z siatki kępki zwiędłego wrzosu, którymi uzupełnił kamuflaż, i zwinął siatkę i obie karimaty w jeden rulon. Spakował resztę sprzętu do zielonego plecaka i po raz ostatni odwrócił głowę, by spojrzeć na miejsce, w którym nie tak dawno przyczaili się z Magnusem.

To tam, leżąc ramię w ramię ze swoim synem, przez chwilę — o wiele za krótką — poczuł w brzuchu mocne szarpnięcie, które było synonimem sensu życia i oddychania: głęboką więź.

To będzie dziś. Nie ma sensu dłużej tego odkładać. Dziś musi zadzwonić do Magnusa.

Nie obawiał się tego, co miał mu do powiedzenia. Obawiał się reakcji.

Rozdział 35.

Magazynek rewolweru klikał upiornie, obracając się niczym koło fortuny. Przenikliwy śmiech pijanego przywódcy serbskich partyzantów odbijał się echem. Czuł na skroni zimną lufę pistoletu.

Klik...

Poderwał się przerażony, potrząsnął głową i wziął dwa głębokie wdechy.

To nie były Bałkany. To był wiejski dom na Jutlandii.

Otarł pot z czoła i przysunął się w śpiworze do ściany, by oprzeć się o nią plecami. Gdyby się dobrze wyciągnął, czubkami palców u stóp dotknąłby stosu na podłodze. Stosu książek, papierów, listów, segregatorów i czego tam jeszcze, który nadal wznosił się na brudnym szarym dywanie.

Spojrzał na zegarek. Była piętnasta dziesięć. Ponad cztery godziny niezakłóconego snu — nie najgorzej. Mimo to czuł się, jakby przez te całe cztery godziny rzucono nim i potrząsano. I nie była to tylko Rosyjska ruletka — również coś innego, czego teraz nie umiał sobie dokładnie przypomnieć.

Stos, który stanowił dokumentację dobytku Poula Hansena i który wywalił na środek podłogi nierozgarnięty złodziej, kłuł go w oczy. Wiedział, że prędzej czy później będzie musiał dokładnie to wszystko przejrzeć i poszukać śladów. I że będzie musiał przeczytać akta sprawy Margrethe. Czerwona teczka wciąż czekała na stole w kuchni. Tylko że odkąd przyjechał, nie miał ani chwili spokoju.

A konkretnie — nie dawała mu go wilcza gorączka.

Postanowił próbować szczęścia z wilkami jeszcze przez trzy, góra cztery dni. Do tego czasu musiał się jednak na poważnie zabrać do tego, po co właściwie tutaj przyjechał — poznać Lupusa i ewentualne tropy, które prowadziły od niego do Margrethe i mogły tłumaczyć, dlaczego ktoś wybił jej szybę w samochodzie i groził śmiercią.

Rozpiął śpiwór i wstał z legowiska, które składało się z ułożonych obok siebie poduszek zdjętych ze starej kanapy.

Kilka minut później siedział w bokserkach i koszulce na ławie w kuchni i sprawdzał wiadomości o wilkach.

Komórka zawibrowała na blacie. Dźwięk wyłączył, kiedy kładł się spać. Znajomy niski głos w telefonie przywitał się:

— Witaj, Oxen, tu Axel Mossman. Nie przeszkadzam?

— Nie.

— Chciałem tylko zapytać, czy mógłbym na moment zawitać w twoje skromne progi?

— Nie ma mnie w domu.

— To może później? Na przykład wieczorem?

— Wtedy... też mnie nie będzie. — Jego mózg pracował na zwiększonych obrotach, aby uciszyć wilki i przywrócić normalne funkcjonowanie. Nikogo nie znał. Nie miał dokąd wyjechać. A może miał?

— Szwecja... — Jego odpowiedź ucięła przerwę w rozmowie. — Jestem w Szwecji.

— *Well*, zatem musimy to przełożyć. Kiedy wracasz?

— Za cztery dni. Jestem... odwiedziłem tę kobietę, która mnie uratowała. Tę, która mieszka na wyspie. Tessę...

— Tę lekarkę?

— Tak.

— Rozumiem, żołnierzu. Ale jeśli masz chwilę, to być może mógłbym przedłożyć ci swoją sprawę i misję — pod twą łaskawą rozważę?

Mossman momentami wyrażał się tak, że słowa niczym powój snuły się i wiły. Tylko czekać, aż podkreśli dramatyzm i przywoła czarnego rycerza.

— Bo widzisz, sprawa wygląda tak, że potrzebuję mojego oddziału specjalnego, mojej jednoosobowej armii, mojego *black knight*...

Oto i on. W słuchawce już słysząc tętent kopyt i chrzęst lśniącej zbroi.

— *...in shining armour*. Ogromnie bym pragnął, abyś wrócił na Jutlandię, do Harrildholmu. I nie, nie myśl, że mój słuch czy rozum nie dopuścił do mojej świadomości smutnego faktu, że

raz już moja prośba spotkała się z twoją odmową. Mimo to niniejszym ją ponawiam.

— Harrildholm? Nie, dziękuję. Muszę niestety... odmówić. Mam na głowie dość własnych spraw.

— Rozumiem. Ale pojawiło się coś nowego. Arcyciekawego.

Mossman próbował podstępem. Rzucił przynętę i wymusił pytanie:

— Co takiego?

— Pamiętasz ciało w potoku?

— Pamiętam.

— No więc lokalna jednostka w końcu się dowiedziała, kto to był. Rodzina potwierdziła tożsamość

— Okej...

— Znałem tego człowieka...

Rozdział 36.

Niegdysiejszy wszechwładny szef PET zrobił dramatyczną przerwę, aby zbudować napięcie przed finałem. Ten człowiek nie znał umiaru.

— *Well*, w dodatku bez zbytej przesady można powiedzieć, że znałem go bardzo dobrze.

— Kto to?

— Jeden z moich ludzi.

Axel Mossman odchrząknął i dokończył:

— To Troels Monrad. Emerytowany pracownik PET z oddziału w Aarhus. Dawniej związany z siedzibą główną w Søborgu. Sześćdziesiąt osiem lat. Zdolna bestia. Zamknięty w sobie, mocno strzegący prywatności, ale kompetentny. Tak go zapamiętałem. Lubił łowić łososie, tak jak ja. Wiele lat temu był u nas w wydziale operacyjnym. Potem się przeniósł do Aarhus. Chyba stamtąd pochodził. I według moich informacji przeszedł na emeryturę.

— A przyczyna śmierci? Dalej nieznana?

— Otóż nie. Udało mi się — nieoficjalnymi kanałami — zdobyć raport z obdukcji. Zmarł od dziury w czaszce. Zgon nastąpił tam, gdzie go znaleziono. I rzeczywiście, na brzegu strumienia jest głaz, na którym technicy znaleźli resztki krwi, skóry i włosów.

— Czyli poślizgnął się i upadł?

— Tak to w zamyśle sprawcy miało wyglądać, ale rozmiar pęknięcia nie zgadza się z kształtem kamienia. I nie zgadza się również siła, z jaką zadano cios świętej pamięci Monradowi.

— Czyli jednak ciało zostało tam podrzucone?

— Dokładnie tak, żołnierzu. Zginął od silnego uderzenia tępym narzędziem, a następnie został przeniesiony w miejsce znalezienia, gdzie sprawca zainscenizował wiarygodną wersję zdarzeń na potrzeby policji z okręgu Jutlandii Środkowej.

Milczał. Musiał przyznać, że tajemnicza śmierć byłego pracownika PET go zaintrygowała. Choć niekoniecznie musiała

mieć związek z tym, co obecnie zaprzętało jego myśli.

— Może się wybrał na ryby albo na spacer? I został napadnięty? Takie rzeczy się zdarzają.

Mossman tylko się zaśmiał.

— To raczej możemy wykluczyć. Nigdzie nie znaleziono wędek. Monrad miał na sobie buty trekkingowe i ocieplane spodnie. Poza tym sam powinienes wiedzieć, że sezon wędkarski jeszcze się nie zaczął.

— Racja. W takim razie jakie jest twoje zdanie?

— Tak naprawdę nie mam zdania. Nie wyciągam żadnych wniosków. Ale mam, Oxen, jedno małe pytanie. Do ciebie i do siebie: czy to zbieg okoliczności, że dawny pracownik wywiadu zostaje zamordowany w promieniu kilku kilometrów od miejsca na mapie, które — i co do tego mamy pewność — ma lub miało powiązania z organizacją o nazwie Lupus? To miejsce nazywa się Harrildholm. A tym powiązaniem jest Poul Hansen — który zapadł się pod ziemię. Ty mi powiedz, czy to jedno z szalonych zrzędzeń losu — czy coś podejrzanego?

Cisza, która między nimi zapadła, aż dzwoniła w uszach. Mossman coś wyniuchał — jakżeby inaczej.

— Czyli Monrad, który mieszkał w Aarhus, przyjechał w ocieplanych spodniach całą drogę aż w okolice Brande i został zamordowany?

— Dokładnie tak, żołnierzu.

— Dlaczego tyle trwało ustalenie tożsamości?

— W skrócie: bo nikt nie zgłosił zaginięcia.

— A pełna wersja?

— Zgodnie z moimi informacjami Troels Monrad wiele lat temu się rozwiódł. Z byłą żoną miał córkę. Przy rozwodzie najwyraźniej poszło na noże, bo od tamtego czasu kontaktów z byłą nie utrzymywał żadnych, a z córką tylko sporadyczne. Nawet po tym, jak z powrotem przeniósł się do Aarhus.

— Hm. Masz rację. Możliwe, że coś jest na rzeczy. — Nie wiedział, co innego miałby odpowiedzieć. Przecież był w Szwecji — a jednocześnie stał w kuchni Poula Hansena w Harrildholmie i przesuwiał wzrokiem po brudnych szafkach.

— Otóż to... À propos twojego zainteresowania powrotem na nasze ziemie pewnego drapieżnika... Wiedziałaś, że dawniej w Danii o teoriach spiskowych nie mówiono tak jak teraz, sowy w bagnie, tylko wilki w bagnie^[1]? Przeczytałem o tym niedawno w związku z medialnym szumem o możliwym nowym stadzie. Czasami te wilki w bagnie tak zamazują obraz, że nie sposób się z mediów dowiedzieć niczego konkretnego. Zagadką pozostaje, dlaczego wilk z czasem stał się sową^[2]. — Mossman zaśmiał się z własnego żartu.

On sam siedział natomiast na ławie przy kuchennym stole, na którym wciąż leżała rozłożona mapa. I gdy Mossman rozводził się nad genezą ludowego porzekadła, jego wzrok przeskoczył z szarego nieba za oknem wprost na zaznaczone na niebiesko pole na mapie w południowo-zachodnim krańcu wrzosowiska. Teren nosił nazwę Ulvemosen i leżał blisko Ulvemose Top. Wilcze bagno i jego szczyt. Był tam wczoraj po południu. Na północny wschód znajdowało się jeszcze trzecie „wilcze” miejsce, Ulvemose Banke — brzegi wilczego bagna. Przyjrzał mu się uważniej na mapie. Tak, tam też był.

Mossman ciągnął dalej:

— No i co teraz powiesz na moją zagadkę, żołnierzu? Na pewno nie masz ochoty wyskoczyć do Harrildholmu, kiedy wrócisz ze Szwecji?

Wilki w bagnie. Teraz jego własne kłamstwo wydało mu się absurdalne. Bębnił palcami w blat stołu znajdującego się nie gdzie indziej, jak w Harrildholmie.

— Sam nie wiem... — zawiesił głos. Na moment się zawahał. Bo właściwie czemu to miało służyć? Czy nie może się normalnie pokajać, przyznać, że skłamał, i wyciągnąć rękę na zgodę? Po chwili odpowiedział:

— Nie, Mossman. Muszę odmówić. Nie mogę znów dać się wplątać w jakąś aferę. Mam na głowie aż nadto własnych problemów — i syna.

Już wiedział: robił to dla Margrethe. Bo był jej to winien. Mossmanowi zaś nie był winien nic. Chociaż... Tak naprawdę robił to dlatego, że wilki ganiające po ścianach w Vangede nie dawały mu spokoju.

— W porządku, Oxen. Rozumiem. Ja po prostu zawsze sięgam po złoto. Tym razem wygląda na to, że będę musiał się zadowolić czymś gorszym.

— Więc nie odpuścisz?

— Nie ma mowy. Po zidentyfikowaniu Monrada nie mam wątpliwości, że to jest grubsza sprawa. Muszę tylko znaleźć kogoś, kto tam pojedzie. Sam nie mogę ganiać po Jutlandii. Mam za dużo roboty w komisji.

Jeszcze jakiś czas po tym, jak się rozłączył, trzymał telefon w dłoni. Dopiero teraz zobaczył, że Margrethe próbowała się do niego dodzwonić. Dzwoniła dwukrotnie, w odstępie mniej więcej godziny, gdy spał i miał wyłączony dźwięk.

Niech to szlag. Franck zapyta o swoją starą sprawę i w dwie sekundy się zorientuje, że nawet nie otworzył akt. Było mu wstyd. Z drugiej strony musiał jakoś odpowiedzieć na jej telefon. Jeśli ją zignoruje, wyda jej się to dziwne.

Trudno. Będzie musiał odwrócić jej uwagę od czerwonej teczki i skierować ich rozmowę na inny tor. Zyskać na czasie. Już czuł znużenie na myśl o kolejnej długiej rozmowie — a przecież najcięższą z rozmów odłożył na później. Na sam koniec.

Wszedł do salonu i podniósł list leżący na samej górze sterty papierów. Potem wrócił na ławkę w kuchni i przygotował się mentalnie. Margrethe Franck odebrała dopiero, kiedy już miał się rozłączyć. Wydawało się, że rozmawia w biegu — znowu.

— Dzwoniłaś — zaczął.

— Chciałam zapytać, jak idzie. Czy na coś wpadłeś.

Najwyraźniej był to dzień taśmowego wciskania kitu.

— Tak daleko jeszcze nie zaszedłem. Ostatecznie nie pojechałem tamtego ranka. Źle się czułem i zostałem w łóżku z gorączką. — Nie było powodu precyzować, że chodziło o wilczą gorączkę. — Rozmawiałem przed chwilą z Mossmanem — dodał, szybko przechodząc do dywersji. — Wie już, kim był mężczyzna znaleziony w potoku. To jeden z jego dawnych współpracowników z PET. Teraz emerytowany. Niejaki Troels Monrad.

— Co? Z PET?

Teraz należało oczywiście podtrzymać jej zainteresowanie:

— Znałaś go?

— Nie. To znaczy... Nazwisko słyszałam, ale pracował na długo przede mną.

— Został zamordowany.

— Jak?

— Rozłupana czaszka. Tępe narzędzie, duża siła.

— A skąd Mossman...

I tu spokojnie zasypał ją faktami.

— Zabito go gdzie indziej, a potem przeniesiono nad potok i tam porzucono. Jego głową uderzono w stojący przy potoku głaz. Dla niepoznaki. Mossman ma wszystkie raporty. Powinniśmy się sprężyć. Jak powiedziałem, dopiero zacząłem czytać twoje akta, ale jest parę rzeczy, w których potrzebuję twojej pomocy,

— Jasne, mów. — Była wyraźnie zaciekawiona. Chyba mu się udało. I nie będzie musiał kłamać — jeszcze bardziej.

— No więc raz jeszcze przejrzałem te wszystkie dokumenty Poula Hansena: segregatory, korespondencję i tak dalej. Więc teraz...

— Czekał, sorry, że ci przerwę — ucięła Franck. — Po pierwsze: czy Mossman wie, że tam jesteś? I dalej: dlaczego — i dlaczego nie? Po drugie: jakie *realne* znaczenie dla mojej sprawy ma to, że ktoś wyrąbał facetowi dziurę w głowie i wrzucił go do potoku? I czy to w ogóle istotne, że jest byłym pracownikiem PET?

Niełatwo wyprowadzić w pole Margrethe Franck.

— Ad jeden. Nie, Mossman nic nie wie. Nie wiem dlaczego, Margrethe. Mam po prostu... złe przeczucia. Za każdym razem, gdy Mossman staje na mojej drodze, świat wali mi się na głowę. Dlatego chciałbym w tym jeszcze trochę pogrzebać bez niego. Poza tym... To nie dla niego tutaj jestem.

— Dziękuję.

— Ad dwa. Teoretycznie nie jest to istotne dla twojej sprawy. Mamy jedynie wycinek z gazety, związek Lupusa z tym domem, kostkę brukową w twoim samochodzie i groźbę. To, że Monrad pracował kiedyś tam gdzie ty, niczego nie dowodzi. W teorii. W praktyce — budzi podejrzenia. Mossman sam chce w tym pogrzebać. Ja odmówiłem. Ponownie.

Franck westchnęła ciężko. Wyobrażał sobie w tej chwili głębokie zmarszczki na jej czole i okulary do czytania w czarnych oprawkach zsunięte na sam czubek białego nosa.

— Masz rację, Niels. Lepiej trzymajmy Mossmana na dystans. Co to za zadania, które dla mnie masz? Mam nadzieję, że nic przesadnie czasochłonnego. Bo obecnie przydałaby mi się potrójna doba.

— Musimy wiedzieć więcej o Poulu Hansenie. Czy były w jego karierze jakieś zawirowania? Momenty krytyczne? Czy miał wrogów? Ma jeszcze jakąś rodzinę? Musimy po prostu dowiedzieć się więcej. I jest jeszcze to wezwanie na badanie do szpitala w Herning. Jest szansa, aby się dowiedzieć, o co chodziło? — Wyjął list z koperty i podał jej numer ubezpieczenia Hansena.

— W porządku, mogę to zlecić mojemu dawnemu kumpłowi hackerowi — zapewniła. — Coś jeszcze?

— Prywatne konta bankowe?

— Niewykluczone, że to też.

— I chętnie dowiedziałbym się czegoś więcej o tym, co go, u licha, przygnało aż tutaj. Mam dane agenta nieruchomości. Mogłabyś się zająć i tym?

— Postaram się. I?

— Troels Monrad. Znajdź o nim coś więcej. Ja wiem tylko tyle, ile mi streścił Mossman.

— Okej, ale na tym koniec.

— Ja się zajmę... — Myślał tak intensywnie, że w głowie mu trzeszczało. — ...tym gościem, którego przyłapałem tutaj na włamaniu. Tym, z którym się pobiłem. Mam jego adres. Zajrzę do niego dziś wieczorem. Mieszka we wsi niedaleko stąd. On musi wiedzieć coś więcej. I raz jeszcze przejdę się po sąsiadach — o ile można ich tak nazwać przy tych odległościach, o jakich tutaj mówimy.

— Okej, jesteście w kontakcie.

Franck się rozłączyła. Myśl, żeby odwiedzić bucowatego złodzieja w ogrodnickach, dojrzewała w nim od dłuższego czasu i teraz chyba będzie musiał wprowadzić ją w życie. Poza tym naprawdę musi się w końcu zabrać do przeglądania

czerwonej teczki. Ale przede wszystkim musi się zebrać w sobie i wykonać ostatni telefon. Nie wolno mu tego dłużej odkładać.

Raz jeszcze przeszedł się po pustych pokojach, ćwicząc po raz kolejny rozmowę z synem. Próbował sobie wyobrazić odpowiedzi Magnusa i ton jego głosu. Najtrudniej będzie przewyciężyć własny żal i nie doszukiwać się na siłę nieistniejących treści.

Wziął głęboki wdech i wybrał numer.

[1] Por.: ughler i mosen oraz ulve i mosen — *przyp. tłum.*

[2] Według Wikipedii powodem było wytrzebienie populacji wilków na terenie Danii — *przyp. tłum.*

Rozdział 37.

Kiedy zapukał po raz trzeci i nie doczekał się odpowiedzi, nacisnął klamkę i sam sobie otworzył. Z wnętrza domu z czerwonej cegły, w którym mieszkał krzepki złodziej w ogrodniczkach, dochodził jednostajny hałas, ale podjazd i wiata były puste. Swój wypożyczony samochód zostawił przy chodniku.

Wszedł do wąskiego korytarza. Hałas pochodził z odkurzacza. Wszedł do pokoju, w którym jakaś kobieta na klęczkach odkurzała pod kanapą. Zapukał mocno w otwarte drzwi i kobieta się wzdrygnęła. Spojrzała na niego pytająco i jednocześnie wcisnęła guzik, by wyłączyć urządzenie. Następnie z trudem się podniosła.

— Przepraszam, że przeszkadzam. Szukam Pera Sivgaarda — zagadnął.

— Pera nie ma.

— A wie pani może, kiedy będzie?

Kobieta, która była po siedemdziesiątce, pokręciła głową.

— Nigdy nie mówi, kiedy wróci. Zależy, czy dają mecz w telewizji. Ja tam nie wiem takich rzeczy. Nie zna go pan? — Pokręcił głową przecząco. — Widzi pan, a ja tak. Jestem jego matką. I jak widać, dalej mu muszę podcierać tyłek. Nic sam nie zrobi. Ale co począć. Trzeba czasem pomóc. Zwłaszcza teraz, kiedy nie ma już Kate. Znaczący się żony. Widzi pan, zabrała się i poszła. I od tamtej pory w chałupie syf, kiła i mogiła.

— To może przyjdę jutro?

— Tak pewnie będzie najlepiej. Bo z nim nigdy nie wiadomo. Zależy od piłki, jak mówię. Zwłaszcza jeśli grają Wilki.

— Wilki?

Chyba nie zdołał ukryć zdumienia. Wilki? Co to za dziwne miejsce. Były tu wszędzie. W bagnie, na wzgórzu, a teraz jeszcze na boisku.

Kobieta pokręciła głową szczerze zaskoczona jego ignorancją.

— FC Midtjylland. Z Herning, nie? On ma na ich punkcie kompletną szajbę, tych Wilków.

— Ach, w tym sensie.

— Ale mogę mu powiedzieć, że pan był. To znaczy, o ile się z nim zobaczę. Jak się pan nazywa?

Zawahał się na moment. I już samo to, że się zawahał, czy podać swoje prawdziwe imię, przypominało mu o czasach, które za sobą zostawił. Teraz pisał nowy rozdział. Taki, w którym bez obaw mógł się przedstawić.

— Oxen. Niels Oxen.

— Oxen? Jak byk^[3]? — Kobieta chciała się upewnić.

— Tak.

— Dobra, to powiem.

— Dziękuję.

— Nie ma za co. — Kobieta miała już ponownie włączyć odkurzacz stopą, kiedy coś jej przyszło do głowy.

— Chyba że pójdzie pan zapytać w Poppelgården, jeśli to jakaś pilna sprawa.

— Poppelgården?

— Tak. To tam siedzi. U Młynarza w Poppelgården. Bym się zdziwiła, jakby go tam nie było. Chłopy się tam spotykają. Oglądają piłkę, rozprawiają i takie tam. I żłopiają piwo. — Kobieta zmrużyła oczy, by łatwiej się skupić i dodała: — Jak się wyjedzie z miasta na Ejstrupholm to pierwsza droga w lewo i potem druga, znowu w lewo. Przy drodze jest znak. Poppelgården to hala maszyn rolniczych.

Powtórzył jej wskazówki i podziękował. Kobieta skinęła mu na pożegnanie i włączyła odkurzacz.

Jakiś czas siedział w fieście i rozważał sytuację. Świat był jednak dziwny. Człowiek, który się na niego rzucił niczym wściekły byk i próbował zrobić z niego miazgę, nie jest w stanie ogarnąć własnego domu i stara matka musi przychodzić mu sprzątać. Może tamto lanie, jakie mu spuścił, należało mu się bardziej, niż sądził.

Ale teraz... czego jeszcze mógłby się od niego dowiedzieć? Czy nie dość wyczerpująco go wypytał wtedy, kiedy go przygwoździł

do podłogi? Tak trudno mu było jasno myśleć. Tak trudno się skupić.

Magnus pochłaniał całą jego uwagę.

Ich rozmowa wyglądała tak, jak się spodziewał. Rozłączyli się ponad godzinę temu i od tamtej pory jego mózg mełł to bez ustanku.

Najpierw zaboląła go reakcja syna — mimo że się na nią przygotował. Potem próbował sam siebie przekonać, że przecież poszło nieźle — po to tylko, by po chwili znowu zwątpić. I tak w kółko

Przekręcił kluczyk w stacyjce, podjechał kawałek w przód, po czym wycofał się na podjazd, żeby nawrócić. Nie miał zwyczaju wątpić. A teraz wątpił nawet, czy warto pójść za radą starszej pani i pojechać do tego Poppelgården. Może w tej chwili w ogóle nie powinien próbować skupiać się na niczym, bo rozmowa z Magnusem zajmowała w jego głowie za dużo miejsca. Każde słowo odbijało się rykoszetem wewnątrz jego czaszki jak metalowa kulka we flipperze.

Skręcił i zgodnie ze wskazówkami wyjechał z miasta, nadal nie wiedząc, czy dobrze robi.

W porządku, Niels. Naprawdę nic się nie stało.

Takie proste zdanie, a zawierało informację, której tak bardzo się obawiał.

Próbował sobie przypomnieć sposób, w jaki jego syn zaakcentował każde ze słów. Subtelne różnice... Czy *naprawdę* nic się nie stało, czy *nic* się nie stało, a może przede wszystkim: *Niels*? Czy po prostu miał słuchowe omamy?

Wjechał w pierwszą drogę po lewej.

Pomyślał, że jest żałosny. Powtórnie użył tego samego kłamstwa. Powiedział swojemu synowi, że nie ma go w domu i nie może się z nim zobaczyć w następny weekend. Bo jest... w Szwecji. U znajomych.

— To ty masz *znajomych*? W sensie... w Szwecji? — Pierwsza, spontaniczna reakcja Magnusa była trafnym podsumowaniem jego życia.

To była krótka rozmowa, którą rozpoczął od przeciwiczonych wcześniej przeprosin: „Magnus, bardzo cię przepraszam, ale...”.

A kilka sekund później w dociśniętym do ucha telefonie usłyszał tylko: „W porządku, Niels. Naprawdę nic się nie stało”. Liczył na odrobinę, choć cień, rozczarowania w głosie syna. Może jakiś żal, odrobinę złości. Z drugiej strony najbardziej się bał, że chłopak zwyczajnie się ucieszy, że usłyszy w jego głosie radość. No więc nie, radości nie usłyszał — ale może cień ulgi.

Bo jeśli na moment odsunąć na bok nadzieje, jakie sobie robił, to prawda była taka, że Magnus niespecjalnie lubił te weekendy u niego. I tyle w tym temacie. Więc odpowiedź na pytanie, nad którym od godziny łamał sobie głowę, była taka, że reakcja Magnusa znajdowała się gdzieś w połowie skali między obojętnością a ulgą.

I to łamało mu serce.

Znów na moment się zawahał, po czym skręcił w lewo w wąską, ale wyasfaltowaną drogę. Chwilę potem wcisnął hamulec, kiedy na poboczu zobaczył napis „Maszyny rolnicze — Poppelgården”.

Rozmowa z Magnusem chyba poraziła jego centralny układ nerwowy. Bo teraz znów się zawiesił i siedział w samochodzie, próbując zdecydować, czy jechać dalej, czy zajrzeć tam i spytać. Jak na autopilocie wjechał w szutrową drogę dojazdową. A kiedy dotarł do końca alejki obsadzonej topolami i wtoczył się na podwórkę wysypane żwirem, zrozumiał, że to był błąd. Bo może i znajdzie tu Pera Sivgaarda, ale zapewne w towarzystwie innych, którym nic nie było do tego, po co tu przyjechał.

Na podwórku stał tylko jeden samochód, toyota z napędem na cztery koła. Dziwne, jeśli to miało być dla miejscowych popularne miejsce spotkań po pracy. Już miał zawrócić i niepostrzeżenie się ewakuować, kiedy dostrzegł tył pikapa wystający zza jednego z zabudowań. Poppelgården stanowił najwyraźniej cały kompleks hangarów i przybudówek.

Parterowy dom był pomalowany na biało i pokryty czerwoną dachówką, a każdy z pozostałych budynków był inny. Jedno skrzydło również było pomalowane na biało, inne zbudowano z kamienia, trzecie było z czerwonej cegły. Wszystkie kryte blachą. Z tyłu, od strony podwórka, widać było dach dużej hali, a kawałek niżej ledwie widoczny był dach kolejnej.

W porządku, Niels...

Jechał powoli, aż się zatrzymał. Za budynkiem pomalowanym na biało, pod większą halą stały trzy samochody, dwie motorynki i rower. Więc jednak goście zawitali do Poppelgården. Może mimo wszystko mógłby tam wejść, zapytać o Sivgaard i poprosić go o chwilę rozmowy na osobności?

Tamten raczej mu nie odmówi po tym, jak go przyłapał na przetrzepywaniu Harrildholmu.

Wysiadł z samochodu i ruszył wzdłuż budynku wyglądającego na stajnię, by znaleźć wejście. Nigdzie żywej duszy. Ani w dużej, ani w małej hali. Obie były za to pełne maszyn rolniczych i materiałów budowlanych. Dopiero na końcu budynku zobaczył drzwi i po prowadzących do nich śladach na błocie domyślił się, że tam właśnie było wejście do Poppelgården.

Pora odsunąć na bok Magnusa i skupić się na zadaniu. Ostrożnie otworzył drzwi i wszedł do starego budynku oświetlonego tylko pojedynczą żarówką. Stał chwilę i nasłuchiwał. Miał wrażenie, że skądś dobiegają stłumione głosy. Ruszył przed siebie w kierunku kolejnych, nowszych drzwi i znów ostrożnie je otworzył. Głosy stały się wyraźniejsze. Zakradł się jeszcze kawałek i skręcił w prawo w prostopadłe skrzydło.

Nagle ktoś od tyłu położył mu dłoń na prawym ramieniu.

— Hej, ty!

Głos był szorstki. I groźny.

[3] Po duńsku: *oksen* — *przyp. tłum.*

Rozdział 38.

Borg odchrząknął i ponownie spojrzął na zegarek. Jeszcze chwila. Za kilka minut będą mogli zadzwonić, tak jak się umówili. W Stanach na Zachodnim Wybrzeżu będzie wówczas szósta rano *sharp*. I diwa udzieli im audiencji.

— Zamknę, żeby nikt nam nie przeszkodził — stwierdził Bertelsen i przekręcił klucz w drzwiach biura.

Borg przytaknął i powiedział, z zegarkiem uniesionym na wysokość oczu:

— *All right, możesz face me — jeśli chcesz — o szóstej rano. Local time, sharp, please.*

Borg prześledził ostatnie ruchy sekundnika. Chciał, żeby było tak *sharp*, jak o to poprosiła, kiedy ją wczoraj złapał, najwyraźniej w wyjątkowo niedogodnym momencie.

— Teraz — powiedział i dał sygnał Bertelsenowi.

I jakby to były boksy na torze wyścigowym, obaj jednocześnie zasiedli w fotelach przysuniętych do biurka, na którym w gotowości stał iPad Borga. Borg wstukał numer i obaj zastygli ze wzrokiem wbitym w czarny ekran. I wtedy się pokazała.

Borg sam nie wiedział, czego się spodziewał, ale Cindy Johansen w żadnym razie nie wyglądała jak gwiazda filmowa. Ale cóż, one też muszą się czasem wyspać. I wyglądało na to, że duńska aktorka spała naprawdę twardo. Była rozczochrana. Miał spuchnięte oczy i cerę daleką od doskonałości, zwłaszcza na czole. Chyba że wszyscy tak wyglądają, kiedy rozmawiają przez FaceTime i mają kamerę przy nosie?

Pomimo tych niedoskonałości czuł się odrobinę onieśmielony goszczeniem takiej gwiazdy w swoim skromnym biurze. Bertelsen za to tryskał humorem.

— Dzień dobry, Cindy — powiedział hardo.

— Dzień dobry, *sorry 'bout the looks*. Za późno wstałam, więc nie mam dla was za dużo czasu. Jesteśmy w trakcie trzeciego

sezonu i kręcimy na środku pieprzonej pustyni. W czym mogę pomóc duńskiej policji?

Cindy Johansen ustawiła telefon przed sobą, wzięła filiżankę z kawą, upiła trochę i przypaliła papierosa — wszystko jednym, płynnym hollywoodzkim ruchem. Tak się w każdym razie wydawało Borgowi.

W skupieniu zaczęła:

— Prowadzimy śledztwo, które dotyczy niejakiego Idrisa Nassara. Możemy...

— Ten *fucking bastard*! — Z ust Cindy Johansen dobyła się transatlantycka chmura dymu. — Co z nim?

— Został napadnięty w swoim mieszkaniu — przez dwóch zamaskowanych mężczyzn.

— A konkretnie to załatwili go tak, że trzeba mu było amputować obie nogi, ręce ma bezwładne i leży w Riget jak kadłubek — dorzucił Bertelsen ucieszony, że może przekazać dobre wieści.

— *Oh my God, oh my God, oh my God...* — Cindy odłożyła papierosa i obiema dłońmi dramatycznie zasłoniła usta. Potem je odsunęła i bez skrępowania się uśmiechnęła. — Nie mogę niestety powiedzieć, że uważam to za złą wiadomość — przyznała.

— Tak. Znamy oczywiście twoją historię. To dlatego dzwoniemy. — Borg nie rezygnował z formalnego tonu.

— Idris Nassar chyba każdemu kojarzy się z Cindy Johansen — powiedziała aktorka i ponownie zaciągnęła się papierosem.

— Właśnie — przyznał jej rację Borg. — Chciałbym cię spytać, czy kiedykolwiek kontaktowałaś się z Nassarem po incydencie na H.C. Andersens Boulevard.

— Napaści. Chciałaś chyba powiedzieć: po napaści?

Borg i Bertelsen przytaknęli.

— No więc? — powtórzył Borg.

— *Never*. Ale gdybym miała być tak całkiem, ale to całkiem szczerą... to często myślałam o tym, żeby się zakraść jak ninja w środku nocy i zemścić szabłą albo innym groźnym narzędziem. Nie ma chyba bardziej psychotycznego, odrażającego zbira na tym świecie.

— Więc myślałaś o zemście? — podchwycił Bertelsen.

— *Yeah*. Tylko żebyście mnie dobrze zrozumieli. Nie mówimy o *Legends of the Vikings*. Mówimy o prawdziwym świecie. Człowiek czuje się naprawdę straszliwie pokrzywdzony, bezsilny — i boleśnie zawiedziony, kiedy po czymś takim system z pobłażliwością obchodzi się z wielokrotnym zbrodniarzem psychopata, i to z przyzwoleniem społeczeństwa. Czytaliście, co napisałam do „Politiken”?

Znów obaj przytaknęli.

— Tak, oczywiście — powiedział Borg. — Wiele osób czuło dokładnie to samo co ty.

— I wszyscy natychmiast zaczęli rozprawiać o tym, co jako społeczeństwo możemy zrobić dla Nassara i jemu podobnych. A jego ofiary... Franz i ja... Czy ktoś w tej debacie choć przez chwilę pomyślał o nas? To również chciałam wykrzyczeć ludziom w twarz w swoim tekście dla „Politiken”. Że robią ofiarę z bandyty. A o prawdziwych ofiarach zapominają. Kosmiczne odwrócenie proporcji!

Cindy Johansen skrzywiła się i zmrużyła oczy. Jasne było, że tamta sprawa wciąż głęboko w niej siedzi.

— Ale chyba nie chcecie mi powiedzieć, że tam w Kopenhadze uważacie, że mogłam mieć z tym coś wspólnego? — W głosie docierającym zza oceanu zabrzmiał smutek.

— Nie, nie uważamy. Ale chcemy się rozeznać w sytuacji i porozmawiać z centralnymi postaciami — odparł Bertelsen, który najwyraźniej uznał, że hollywoodzki blask nie powinien im przesłaniać zawodowego charakteru tego spotkania, i powrócił do bardziej oficjalnego tonu.

— Twój chłopak... — dodał Borg. — Franz Riis. On jeszcze długo odczuwał skutki, prawda?

Aktorka przytaknęła skinieniem.

— Zgadza się. *I mean...* Nie jesteśmy już razem, ale jedno z drugim nie miało nic do rzeczy. Wciąż od czasu do czasu rozmawiam z Franzem. Doznał trwałego uszczerbku na zdrowiu. Często ma bóle głowy i przedłużające się problemy z koncentracją. Z pamięcią też nie jest tak, jak powinno. Był

maklerem w jednym z dużych towarzystw emerytalnych, ale po tamtym nie był w stanie wrócić do pracy.

— A minęły ponad dwa lata. Wiesz, jaki jest jego stosunek do Idrisa Nassara? — spytał Borg.

— Jest wkurzony, to chyba jasne! Ale sami z nim porozmawiajcie. Nie chcę się wypowiadać za niego.

— On nigdy publicznie nie wypowiedział się na temat... napadu — zauważył Bertelsen.

— Nie. To nie w jego stylu. Zresztą wtedy nie miał na to siły. Dlatego uzgodniliśmy, że to ja wykorzystam swoje nazwisko, aby nagłośnić naszą krzywdę i zapewnić jej większą siłę przebicia.

— A dziś — jesteś w stanie spojrzeć na tamte zdarzenia z dystansem? — spytał Borg.

Cindy Johansen skrzywiła się i z głośnym westchnieniem spojrzała w sufit.

— I tak, i nie. Teraz, kiedy mnie o to pytacie, czuję, jak znów wzbiera we mnie gniew. Że spotkała mnie wielka krzywda. Że moje poczucie sprawiedliwości zostało roztrzaskane na tysiąc kawałków. I po czymś takim niestety w człowieku zostaje pewna pustka. Miałam przecież jak najlepsze zdanie o Danii, wierzyłam w te wszystkie piękne ideały, w to, że jesteśmy państwem prawa — i nagle... to było jak policzek na otrzeźwienie. Nagle wyzbyłam się wszystkich złudzeń, zostałam sama, bez żadnej pomocy. Więc w skrócie mogę powiedzieć, że tak, już tego nie rozpamiętuję. Ale nie jestem taka jak dawniej.

Borg pokiwał z namysłem głową. Nikt z widzów oglądających w telewizji wikińską wojowniczkę by się nie domyślił, że ładna buzia młodej aktorki idzie w parze z niebagatelnym potencjałem intelektualnym. Bo Cindy Johansen przed dwoma laty poruszyła na łamach dużego dziennika bardzo ważny temat i rozpoczęła ogólnokrajową debatę.

— Czyli jesteś zadowolona, że Nassar stracił nogi i w jakimś sensie poniósł karę? — Borg spojrzał na Bertelsena z przyganą. Było to mało eleganckie — i całkiem niepotrzebne.

— Dajcie już spokój! — Aktorka pokręciła głową wyraźnie zniecierpliwiona. — Mam wam to wyryć w kamieniu? Tak! Uważam, że dostał to, na co zasłużył! I nie — nie popieram

samosądu. Trzeba mimo wszystko obstawać przy tym, że jesteśmy cywilizowanym społeczeństwem. Jedni ustanawiają prawa, inni łapią przestępców, a jeszcze inni wymierzają im karę. I osądzać wolno tylko na podstawie dowodów. Gdy zaczniemy myśleć inaczej, staniemy się pieprzoną republiką bananową. — W głosie Cindy Johansen dało się słyszeć lekkie drżenie. Zerknęła w dół — prawdopodobnie na zegarek.

— *Sorry* — powiedziała. — To po prostu dla mnie trochę ciężkie... Macie jeszcze jakieś pytania? Bo muszę już lecieć.

— Nie, to wszystko. I dziękujemy, że poświęciłaś nam czas. Będziemy mogli zadzwonić do ciebie ponownie, gdyby pojawiło się coś nowego? — spytał Borg na koniec.

— Tak, jasne. *All right*. Miłego dnia.

I jak za dotknięciem magicznej różdżki, Cindy Johansen zniknęła.

Bertelsen oburącz odepchnął się od krawędzi biurka i podjechał na fotelu pod ścianę, gdzie przygryzł dolną wargę i się zamyślił.

— Myślisz, że wycisnęliśmy z niej wszystko, co się dało? Że zadaliśmy właściwe pytania? — spojrzał pytająco na Borga, który stukał palcami o blat.

— Hm. Myślę, że tak. Raczej nie mogliśmy się spodziewać niczego innego — ani niczego więcej. Ktoś po obejrzeniu dwóch sezonów *Wikingów* mógłby pomyśleć, że Cindy to raczej *looks* niż *brains* — ale by się pomylił, nie sądzisz?

— Tak. Wydaje się rozsądną babką. I wyglądała na przemęczoną. W tej branży żyje się na maksa.

— Daj spokój. Dopiero co wstała z łóżka. A ty jak wyglądasz o szóstej rano? Chociaż nie, nie mów, chyba nie chcę wiedzieć.

— Gdybym miał gadać przez FaceTime o tej godzinie, pękłaby mi szybka w telefonie — roześmiał się Bertelsen.

— Myślę, że mamy teraz dość jasne pojęcie o tym, co to za osoba i jak myśli — i jakie jest jej stanowisko w tej sprawie. I moim zdaniem, jeśli w ogóle należałoby mieć ją na oku, to tylko dlatego, że byłoby ją stać na wynajęcie ludzi od brudnej roboty — gdyby oczywiście chciała.

— To była raczej wyspecjalizowana jednostka do amputacji.

— Nieważne. Mogłaby sobie pozwolić nawet na najdroższych. Dlatego nie mówię, że mamy o niej całkiem zapomnieć. Ale teraz powinniśmy chyba odwiedzić jej byłego, Franza Rissa, prawda?

Bertelsen przytaknął i dodał z przekąsem:

— Tak. Bo przecież inaczej nie będziesz mógł spojrzeć w lustro.

Rozdział 39.

Gdyby zadziałał instynktownie, chwyciłby ramię mężczyzny i rzucił nim o podłogę. Ale wtedy byłoby pozamiatane. Przychodził przecież w pokojowych zamiarach — chciał tylko o coś zapytać jednego z miejscowych.

Dlatego się pohamował i stał nieruchomo, pozwalając, by nieznajomy zaciskał dłoń na jego ramieniu. Potem bardzo wolno się odwrócił.

Przed sobą miał wysokiego jak tyka młodego mężczyznę w zielonej roboczej kurtce. Mężczyzna patrzył na niego podejrzliwie, ale zabrał rękę.

— Przepraszam, szukam...

— *Ciebie* nie znam. Ktoś ty? — Mężczyzna stał tuż przed nim, przybrał groźną pozę i patrzył mu prosto w oczy. On sam odruchowo zrobił parę kroków w tył. Zachowanie dystansu było kluczowe.

— Nigdy wcześniej tu nie byłem. Podobno znajdę tu Pera Sivgaarda?

— Betona? Kto powiedział, że tu jest?

— Beton?

— Tak się nazywa. Robi prefabrykaty z betonu.

— Jego matka mi powiedziała.

Mężczyzna lekko się uśmiechnął.

— Jego matka? Dobra. Młynarzowi pewnie się nie spodoba, że sam się tu kręcisz. Lepiej chodź ze mną!

Mężczyzna kiwnął ręką, żeby poszedł za nim. Razem przeszli przez wąską bramkę i dalej korytarzem, aż znaleźli się w pomieszczeniu o wysokim sklepieniu i gołych krokwiach. Jego oczom ukazał się niezwykle widok. Dom w domu. Izolowany sześcian ustawiony na przymocowanych do podłogi listwach, jakby z góry uznano, że zagospodarowanie całości jest niemożliwe — pewnie nigdy nie udało się ocieplić takiej przestrzeni. Dochodziły stamtąd głosy. Mężczyzna otworzył na

oścież drzwi znajdujące się w ścianie najbliżej nich i kazał mu wejść do środka.

Rozmowy ucichły. Zapanowała całkowita cisza.

Znów włączył mu się instynkt. Szybko przeskanował otoczenie i wklepał do pamięci dane. W lokalu było siedmiu mężczyzn. Wszyscy siedzieli przy stole najbliżej drzwi. Żadnej widocznej broni.

W najdalszym końcu stołu siedział duży, masywny mężczyzna. Miał ogoloną głowę i był lekko otyły, ale mięśnie pod jego koszulką prężyły się groźnie, a wzrok, jakim go mierzył, był stanowczy. Obok siedział zasuszony staruszek koło osiemdziesiątki, potem wysoki grubas, dwaj goście o przeciętnej budowie ciała — obaj w czerwonych firmowych kurtkach, potem jeden facet niski i krępy, jeden wysoki i kościsty, w średnim wieku — i wreszcie nerwus o szerokich barach, który szukał skarbów w Harrildholmie.

Bezwzględnie złym pomysłem był przyjazd tu, żeby się rozejrzeć. Oczy wszystkich skierowane były na niego.

► 69 tu Alfa 05. Oddział serbskich partyzantów na skrzyżowaniu, wygląda na libację. Rozłączam się. Bez odbioru. ◀

— *Zdrowie! I witajcie. Jestem komendant Milan „The Razorblade”. Kiedyś golarz z bożej łaski z Kiseljaku. Chodźcie do nas i napijcie się niebiańskiej śliwowicy z serbskimi zwycięzcami.*

— *Nie, dzięki. Musimy ruszać dalej, do Smajlovići.*

— *O nie. U mnie nie ma, że nie. Masz, potrzyj moją flaszkę. Myślę, że powinniśmy zagrać. Ty i ja. Nie w rosyjską ruletkę, co to, to nie. To będzie serbska ruletka, ha, ha! Nie jedną, tylko dwiema kulami...*

— Znalazłem go, jak poszedłem się odlać. Mówi, że szuka Betona.

Taśma z dźwiękiem w jego głowie się urwała.

Głos dobiegał z za jego pleców, gdzie wciąż znajdował się ten w zielonej kurtce. Mógł jeszcze zdążyć uciec, jakby co. Ale może da się uratować sytuację?

— Kurwa, zaś ty?! — Ten o przekrwionej twarzy i ksywie Beton, jak się właśnie dowiedział, poderwał się, w dwóch susach przyskoczył do niego i zamachnął się prawą pięścią.

Ważne, aby załatwić to szybko — i oszczędzać ręce. Nie wiedział, ilu przyjdzie kompanowi z odsieczą. Lewym przedramieniem sparował cios, w tym samym ułamku sekundy oburącz szarpnął w dół głowę mężczyzny i uderzył nią w swoje prawe kolano. Osilek z głośnym skowytym stoczył się na podłogę.

Kątem dostrzegł, że ci dwaj w identycznych kurtkach poderwali się od stołu, zanim jeszcze Beton klasnął o cement. Wybił się i podeszwą kopnął pierwszego w splot słoneczny. Przy okazji zdołał ocenić sytuację na tyłach. Ten, z którym przyszedł, odsunął się od drzwi. Wtedy rzucił się na niego ten w kurtce numer dwa i próbował go przytrzymać i ściągnąć do parteru.

Okręcił się i wbił mu łokieć w nerkę. Gdy tamten zaczął się zwijać, poprawił kolaniem w miękkie podbrzusze. Mężczyzna stoczył się na ziemię. Oczy wychodziły mu z orbit i szeroko otwierał usta, bezskutecznie próbując złapać oddech. Miał ponownie obejrzeć się za siebie, kiedy zobaczył, jak jakiś przedmiot leci wprost na jego głowę.

Zdążył się uchylić i zamiast niego oberwał ten w zielonej kurtce, który go przyprowadził. Z głośnym hukiem zwałił się na podłogę. Przyskoczył, żeby go unieszkodliwić ciosem z kolana w mostek, kiedy olbrzym siedzący na końcu stołu z całej siły uderzył w stół otwartą dłonią.

— Hej! Dostyc! Już wystarczy. Pomóżcie im.

Olbrzym podniósł się i wydawał polecenia na stojąco. On sam pozostał w miejscu. Ci trzej, których powalił na cement, już dochodzili do siebie. Betonowi leciała krew z nosa, jeden z pozostałych szybko podszedł do niego z ręcznikiem i pomógł mu usiąść na kanapie.

— Uh... ale jatka... Młynarz, i co teraz? — Otyły mężczyzna w białym kombinezonie spojrział na ogolonego olbrzyma.

— Spokojnie, Gruby, tylko spokojnie.

Czyli to Młynarz, właściciel Poppelgården i wszystkich maszyn, siedział na honorowym miejscu. Nie Milan „The Razorblade”.

— Daj mi jego portfel, Bobcat. O ile ma jakiś.

Rozsunął ramiona i dał się przeszukać temu w zielonym. Tamten przesunął ręką po jego spodniach i kurtce, znalazł portfel i rzucił go Młynarzowi, który zajrzał do środka i wyjął kartę ubezpieczeniową

— Niels Oxen, Dalstrøget, Vangede. I po kiego czorta żeś się tu przypałętał aż z Vangede, co? — Młynarz patrzył mu prosto w oczy.

— Muszę porozmawiać z Perem Sivgaardem — odparł i głową wskazał na kanapę.

— Z Betonem? Wygląda na to, że on nie bardzo ma ochotę na rozmowę z tobą. Powiesz mi, o co ten raban?

— Przyłapałem go niedawno na przetrząsaniu Harrildholmu.

— No, to ładnie. Jesteś z policji?

— Nie.

Olbrzym jakby nieco się uspokoił.

— Harrildholm, by to szlag... o to bym Betona nie podejrzewał. Te, Beton! — zawołał głośno Młynarz. — Czego ja się tu o tobie dowiaduję. Podobno węszyłeś w Harrildholmie?

Odpowiedź była niewyraźna przez zatłakany nos:

— Potrzebuję trochę kasy. Dlatego... ale nic nie wziąłem. Zresztą, kurde, odłożyłem te pięć stów.

— Tak się nie robi! Nikt mi tu nie będzie kradł, do cholery! W każdym razie nie, jeśli chce dalej tu przychodzić. Zrozumiałeś?

Teraz odpowiedział mu tylko charczący dźwięk. Młynarz nadal trzymał w potężnej dłoni jego złotą kartę.

— Oxen, Oxen... Niels Oxen... coś mi to mówi...

Młynarz spojrzał na surowe płyty gipsowe na suficie i zmrużył oczy. Nagle krzyknął:

— No jasne! Powiedz — to ty? Ten komandos, co go szukali za zabójstwo, ale potem oczyścili. Cholera, przecież jest tylko jeden Niels Oxen, nie? To *jesteś* ty.

Przytaknął skinieniem.

— A niech mnie... — Młynarz z respektem pokiwał głową, być może z większym namaszczeniem, niż zdawał sobie sprawę. — Bobcat, oddaj mu portfel.

Mężczyzna podszedł do olbrzyma, wziął od niego portfel i zwrócił jemu.

— Oxen, witaj w Poppelgården. I wybaczone przyjęcie. Proszę, siadaj. Piwo? Jestem Młynarz, Bjarne Młynarz. — Uścisnął wyciągniętą dłoń, odsunął krzesło i usiadł.

— Hej, koledzy! — Młynarz wstał. — Nasz gość to Niels Oxen, dawny komandos. Dostał całą masę orderów za odwagę i jako jedyny w historii dostał takie wyjątkowe odznaczenie. Wyleciało mi z głowy, jak się nazywa...

— Krzyż Waleczności — odpowiedział.

— Właśnie! Krzyż Waleczności. Jeśli mamy w kraju bohatera wojennego, to on nim jest. Przywitajcie się! I okażcie temu człowiekowi trochę szacunku.

Jeden po drugim podeszli do niego, podali mu ręce i się uklonili. Wszyscy poza Betonem, który dalej leżał na kanapie z ręcznikiem na twarzy.

Właściciel przybytku przemówił do swoich podwładnych. A teraz ponownie usiadł.

— Też byłem wtedy na Bałkanach — ciągnął dalej. — Jako szczeniak. Ale nie zrobiłem nic wielkiego. Żadnych bohaterskich wyczynów. Po prostu jeździłem z dostawami. Tylko sześć miesięcy, ale napatrzyłem się, że wystarczy. Ładne to nie było. Powiedz, Oxen, w czym ci mogę pomóc.

— Dostałem za zadanie sprawdzić, gdzie się podziewa Poul Hansen. Upewnić się, czy nic mu nie jest.

— To ten z Harrildholmu, tak?

— Dokładnie. Znasz go?

Młynarz pokręcił głową

— Chyba nikt go nie zna. Przyjechał ze stolicy. I rzadko się pokazywał na wiosce. Taki starszy gość, nie?

— Siedemdziesiąt sześć lat.

— Bóg raczy wiedzieć, co mu odbiło kupować taką ruinę.

Wzruszył ramionami i spojrzał Młynarzowi w oczy.

— Podobno zaginął. Zostawił wszystko, jak było. Nawet drzwi nie zamknął na klucz.

— Niektórzy mówią, że to jego znaleźli w potoku. To znaczy ciało — chyba nawet pisali o tym w gazecie, nie? — zastanawiał się Młynarz.

— Wiem tyle, że ten z Kvindebækken to *nie jest* on.

— Czekał, Oxen... To dla kogo ty pracujesz, skoro mówisz, że dostałeś zadanie, żeby go znaleźć?

— Rodzina, przyjaciele, kontakty... Jest w Kopenhadze sporo ludzi, którzy nie rozumieją, dlaczego zniknął, i się martwią.

— A policja?

— Z tego, co wiem, nie zgłoszono zaginięcia — w każdym razie nie oficjalnie. Każdemu wolno wyjechać — na wakacje albo gdziekolwiek, nie mówiąc o tym nikomu. Ale akurat w tym przypadku to jest niepokojące. Może ktoś z pozostałych coś wie?

Młynarz kiwnął głową i ryknął:

— Hej! Jeśli któryś coś wie o tym z Harrildholmu, to niech gada!

Staruszek, którego zaciekawiony wzrok dostrzegł od pierwszej sekundy, powiedział cicho:

— No przecież mówią, że to jego znaleźli w strumieniu. Być może.

— Jezu, ojciec, zmień baterie! Przecież właśnie było mówione, że to nie on.

Młynarz zrezygnowany pokręcił głową.

— A sąsiedzi — nic nie wiedzą?

— Zapytałem kilku. Nie mają pojęcia.

— Niektórzy mówią, że on się tam właściwie nigdy nie wprowadził, tylko większość czasu mieszkał w Kopenhadze...

— Hm. Trudno powiedzieć. Dom wygląda na zamieszkały, chociaż urządzony po spartańsku.

Młynarz pokiwał głową i myślał dalej.

— Myśliwi. Może oni coś wiedzą? Kowal, ty powinieneś wiedzieć. Kto robi teraz polowania w Harrildholmie?

Starszy mężczyzna, prawdopodobnie już w wieku emerytalnym, spokojnie pokiwał głową.

— Nikt. Kiedy tamten przejął gospodarstwo, zerwał umowę z Therkildsenem i pozostałymi. A raczej nie zgodził się na przedłużenie. Powiedział, że nie chce w swoim lesie myśliwych. Therkildsen nieźle się wkurzył. Tyle wiem.

Młynarz rozłożył ręce.

— To już sam nie wiem, jak ci pomóc. Ale popytam trochę. Mówiłeś, że chcesz gadać z Betonem, nie?

— Zastanawiam się po prostu, skąd wiedział, że będzie mógł po prostu wejść tam i pogrzebać w rzeczach Hansena. On miał ten dom od ponad dwóch lat. Z kimś przecież musiał w tym czasie rozmawiać?

— Beton! Chodź no tu i odpowiedz Oxenowi na pytanie. Tylko bez jaj, rozumiano? — ryknął Młynarz.

Rozdział 40.

Zwalony konar na szczycie zbocza był doskonałą kryjówką na doskonałym terenie i w doskonałych warunkach atmosferycznych. Pozostało czekać, co przyniesie noc.

Dawno minęła północ. Miał swobodny widok na cztery przecinające się w tym miejscu szutrowe drogi skąpane w bladym świetle. Była prawie pełnia. Na czarnym niebie wyraźnie było widać gwiazdy, a na skutej lodem ziemi skrzył się mróz.

Było około dziesięciu stopni poniżej zera, ale niemal żadnego wiatru. Dobrze się ubrał i równie dobrze się czuł. Ciemność, księżyc i nieboskłon dawały jego myślom akurat dość przestrzeni, by mogły płynąć swobodnie.

Nalał sobie kawy z termosu i poczuł na twarzy przyjemne ciepło, kiedy uniósł kubek do ust.

Bijatyka w Poppelgården, w jaką się nieumyślnie wpakował, była ostrzeżeniem, że utrata koncentracji nigdy nie uchodzi bezkarnie. Rozproszenie uwagi prowadzi do błędnej oceny sytuacji. A złe decyzje mogą kosztować życie. Miał to zakodowane.

A mimo to zignorował własne cenne doświadczenie, wchodząc do jaskini Młynarza. Gdyby nie interwencja gospodarza, mogłoby się skończyć naprawdę źle. W dodatku korzyść z akcji była zerowa. Człowiek, którego nazywali Beton — nie dlatego, że tylko to miał pod czaszką, ale dlatego, że pracował w fabryce betonu — nie miał mu nic do powiedzenia. Utrzymywał, że z krążących w okolicy plotek wywnioskował, że właściciel Harrildholmu siedzi na grubej kasie, i próbował się do niej dorwać.

Magnus wyparł wszystkie racjonalne myśli. Rozmowa z synem, jakkolwiek krótka, w kółko brzmiała mu w głowie i pochłaniała go bez reszty. W nieskończoność analizował każdą głoskę, każdy ton i każdy oddech, co doskonale pokazywało, jak dalece potrafi się zapamiętać i stracić poczucie proporcji.

To się musi skończyć. Kochał syna, ale nie da się przejść od nieobecności do bliskości, jeśli się na bieżąco nie pracowało nad odbudowaniem relacji. Zaniedbał to i teraz będzie musiał wykonać tytaniczną pracę, a odzyskanie syna może mu zająć lata. O ile nie okaże się całkiem niemożliwe.

I co — czy to nie była jasna diagnoza sytuacji? Owszem... Może trzeba było właśnie takiej nocy w lesie przy dziesięciostopniowym mrozie, aby odsiać emocje i oczekiwania i dotrzeć do tej jednej czystej myśli?

Jego wzrok spoczął na leśnym skrzyżowaniu. Wielokrotnie zdarzyło mu się iść po własnych śladach. Niedawno wrócił do gospodarstwa rybnego, które było całym światem Rybaka. Był też ponownie w Rold Skov. Posiedział przy grobie Mr. White'a, najwspanialszego psa na świecie. Wyjechał z Kopenhagi — a potem do niej wrócił.

Czy tak już miało być? Czy resztę jego życia miały stanowić pętle, wieczne powroty? Czy będzie musiał powtórzyć całe swoje życie — aby móc sięgnąć po nowe? Czy też jego ścieżka nagle się wyprostuje i poprowadzi go w przód, po horyzont?

Czy będzie musiał fizycznie skonfrontować się z Siódemką — kolejno z każdą z postaci — i zrobić coś, by symbolicznie pogrzebać swoje koszmary? Czy powinien w porannej mgle odszukać Krowiarza, złapać go za poły brudnego kubraka i potrząsając nim, wykrzyknąć mu w twarz: „Przestań, skurwysynu, wwiercać mi się w mózg albo powystrzelam ci to nędzne bydło”?

A Starowinka z głową w siatce? Miałyby ją wziąć pod rękę i odprowadzić do domu, pomóc jej pochować głowę zamordowanego dziecka?

Czy Dziewczynka ze spaloną lalką stoi gdzieś jako dorosła kobieta w zwęglonych ruinach i czeka z oskarżycielskim spojrzeniem, aż on tam wróci i zabierze ją do jakiegoś lepszego świata?

Powinien odszukać miejsce, gdzie stała sala gimnastyczna, po to tylko, by się przekonać, że teraz zbudowano tam supermarket? I może znaleźć regał ze słodyczami dokładnie tam, gdzie uwolnił od cierpienia młodego chłopaka bez nóg,

któremu z dziur w głowie i brzuchu powoli wraz z krwią wyciekało życie po tym, jak Serbowie swoją zabawę w wyścigi kalek zakończyli gradem kul z karabinów?

Powinien znaleźć tamten dom, gdzie jedną po drugiej wpakował kule w brzuch bydlaka z łzą wytatuowaną przy oku, i spytać tych, którzy przeżyli — o ile jacyś przeżyli — co się stało z jego ofiarą, z tą zgwałconą dziewczyną? Czy miała dobre życie, zanim zdecydowała się je sobie odebrać chwilę potem, jak z oddziałem opuścili tamto miejsce?

I jeszcze tamten szef partyzantów... Czy musi po własnych śladach cofać się aż do momentu, w którym po raz pierwszy usłyszał kliknięcie bębena jego rewolweru?

Nastawił uszu.

To mysz. Przebiegła pod warstwą igieł na odległość ręki.

Świat, w którym się teraz znajdował, był inny niż ten, z którego przybył. To, co widział i przeżył, nigdy nie mogłoby się wydarzyć pod tymi gwiazdami.

Nie był tu dlatego, że stary kopenhazanin zniknął bez śladu.

Nie był tu dlatego, że były agent wywiadu został znaleziony martwy w potoku.

Nie był tu dlatego, że w życiu Margrethe Franck ożyły dawne demony.

Był tu dlatego, że świat był teraz inny, łagodny i spokojny, oraz dlatego, że ktoś wybrał dla niego to konkretne miejsce pod zwalonym przez wicher drzewem. Został zaproszony jako gość specjalny na te pół metra kwadratowego, gdzie wszystko było skąpane w dyskretnym, bladym świetle i spotykały się cztery drogi. Wkrótce lekkim, sprężystym truchtem przebiegnie tędy wilk. Nie — dwa wilki.

Wilcza para przedefiluje w księżycowej poświacie. I pozwoli mu — ale tylko jemu — udręczonemu łowcy, obserwować swój romans. Ponieważ są bratnimi duszami i...

Cii.

Najpierw, zanim był w stanie cokolwiek zobaczyć, usłyszał szuranie kamieni. Odruchowo się pochylił. Siedząc zupełnie nieruchomo, patrzył w dół zbocza. Teraz wyraźnie słyszał kroki, ludzkie kroki w porządnym butach o mocnych podeszwach.

Widok po lewej zasłaniały drzewa i krzaki. To stamtąd dochodziło szuranie. Kilka sekund później zobaczył postać. Mężczyzna. Szedł zwawym krokiem, ale lekko zgarbiony. Kiedy chwilę później dotarł do skrzyżowania, bez wahania wybrał drogę wiodącą na północ. Jego sylwetka wkrótce wtopiła się w ciemne tło pni drzew i zniknęła za krzakami.

Wziął ostatni łyk kawy, resztę wylał. Następnie szybko zakradł się w dół wykarczowanego zbocza i poszedł śladem tajemniczego mężczyzny.

Tutaj, na środku pustkowiec i w środku nocy, przy dziesięciostopniowym mrozie, prócz niego nie powinno być nikogo. Dlatego mógł zrobić tylko jedno — pójść za tą niezwykłą nocną istotą.

Włączył w zegarku stoper — minutami również dało się odmierzać odległość.

Szybko odnalazł przed sobą czarną postać. Mężczyzna szedł środkiem drogi. On sam trzymał się trawiastego pobocza, gdzie mógł się poruszać bezdźwięcznie i w każdej chwili paść na ziemię, by się ukryć, gdyby tamten nagle się zatrzymał albo odwrócił. Ale nic takiego nie zrobił.

Postać szła zdecydowanym krokiem. Gałęzie świerków rosnących po obu stronach drogi już dawno się nad nimi zamknęły i częściowo odcięły światło księżyca. Mężczyzna stał się mniej widoczny, ale on w razie potrzeby mógł użyć nocnej lornetki.

Po ośmiu minutach droga dzieliła się na dwie węższe. Mężczyzna trzymał się lewej odnogi. Krajobraz stopniowo się zmieniał. Wysokie ściany drzew się przerzedzały, a blask księżyca nabierał mocy. Po dwunastu minutach droga dochodziła do dużej wykarczowanej polany ze stosem porąbanego drewna na skraju, po jego lewej stronie. Mężczyzna przeciął plac po przekątnej i zniknął wąską ścieżką w gęstych zaroślach wśród pojedynczych drzew.

Dwie minuty później dotarli do fragmentu całkiem już otwartego terenu. Wrzosowisko, bez żadnej innej roślinności, ciągnęło się szerokim pasem do dalszej części lasu, który wznosił się po drugiej stronie.

W połowie tego pasa musiał się rzucić na ziemię, gdy mężczyzna zwolnił kroku i przystanął na ścieżce. Najpierw stał nieruchomo, potem się odwracał to w jedną, to w drugą stronę, rozejrzał się po migoczącym krajobrazie i podniósł głowę do okrągłej tarczy księżyca. Niemal pięć minut trwało, zanim znów ruszył z miejsca.

Warunki do obserwacji jeszcze się pogorszyły, kiedy przeszli fragment gęstego lasu i weszli na wąską dróżkę, a raczej ścieżkę zwierzęcą, która biegła przez poszycie leśne pełne długich sterczących gałęzi i z podłożem z miękkiego mchu. Tu światło nie docierało wcale, a teren stawał się niedostępny.

Podświetlił tarczę zegarka. Po odliczeniu pięciominutowej przerwy na wrzosowisku, droga tutaj zajęła im jakieś dwadzieścia minut. Będzie musiał skrócić dystans, w przeciwnym razie zupełnie zgubi swój obiekt. Ostrożnie przyspieszył, ale wciąż nie widział czarnych pleców. Stanął i przystawił lornetkę do oczu. Na próżno. W gęstych zaroślach nie było widać żadnej żywej istoty. Ciemność wchłonęła tajemniczego mężczyznę.

Pozostało mu trzymać się tej ścieżki i liczyć, że mężczyzna jest gdzieś z przodu. Musiał też jeszcze wzmóc czujność. To mogła być pułapka. Mężczyzna mógł go zauważyć i zacząć się na niego gdzieś w mroku. Wyjął z pochwy nóż i skradał się dalej.

Ścieżka wiła się między drzewami. Czasem znikiała, a on, jako że nie mógł użyć latarki, kuczał i szukał jej po omacku. Stąd wiedział, że wciąż był na tropie. Ciężkie buty mężczyzny zostawiały głębokie ślady w grubym dywanie suchego igliwia.

Kiedy ponownie się zatrzymał, do poprzedniego odczytu mógł dodać sześć minut. I wciąż brak kontaktu z obiektem. Nagle rozległ się głuchy dźwięk. Dobiegał z przodu. Jakby dwa kawałki drewna zderzyły się ze sobą. Szedł dalej, ale zwolnił.

Najpierw teren zaczął się lekko, niemal nieodczuwalnie wznosić. Potem, kawałek dalej, zobaczył plamę światła księżyca na małej polanie otoczonej gęstymi drzewami. I wyłapał zapach. Charakterystyczny ostry zapach dymu drzewnego.

Zatrzymał się na skraju polany, ale widok z tego miejsca był mocno ograniczony. Polana okazała się bowiem nie prześwitem

w leśnym poszyciu, gdzie światło blado odbijało się od mchów, ale kraterem, którego ostre krawędzie wciągały do środka księżycową poświatę. Klęknął i na czworaka zbliżył się do samej krawędzi.

Dziura wyglądała na stary lej krasowy. Głęboki na jakieś cztery metry. Porowata skała pod powierzchnią ziemi w którymś momencie nie wytrzymała i spowodowała zapadnięcie się podłoża. Znał to zjawisko z Rold Skov, gdzie powszechnie występowały osady wapienne. Tam, gdzie skała się wypłukała, ziemia otwierała się gwałtownie niczym wielkie, żarłoczne usta. Mogło być też tak, że w epoce lodowcowej utknął w tym miejscu blok lodu i kiedy stopniał, zostawił ogromną pustą jamę, której sklepienie potem się zawaliło. Może tak właśnie było tutaj?

W zasadzie to obojętne... Skupił się na tym, co naprawdę było warte uwagi. Na tym, co zobaczył na dnie dziury. Tylko co to właściwie było?

Rozdział 41.

Na dole, w zagłębieniu, w świetle księżyca zobaczył podłużną szopę. Była częściowo zarośnięta krzakami, a zza tylnej ściany wystawały pojedyncze chude świerki.

Plac przed nią był zagracony rupieciami. Jakieś wiadra, drewniane skrzynki, dwie starodawne bańki na mleko — o ile dobrze widział, blok do rąbania drewna i stojak do piłowania.

Dom i jego nietypowa lokalizacja same w sobie były intrygujące. Jego ciekawość zaś dodatkowo podkreślało to, że wyraźnie widać było kilka podłużnych szpar. W środku ktoś był. I ten ktoś zapalił światło. Kto to mógł być, jeśli nie tajemniczy mężczyzna, którego śledził od pół godziny?

W środku było również palenisko. Dym, który czuł już od dłuższej chwili, unosił się powoli ze starej rury sterczącej z jednej ze ścian szczytowych.

Ostrożnie zsunął się ze zbocza i trzymając się skraju krateru, zakradał się na tyły domu. Teraz, zarówno z kształtu, jak i z konstrukcji, zorientował się, że był to stary wagon towarowy ustawiony na drewnianych belach.

Przystawił oko do szpary między grubymi deskami ściany wagonu. W jego wąskim polu widzenia znajdował się fragment stołu i plecy w wełnianym swetrze oraz długie włosy sięgające jednego ramienia, które był w stanie dostrzec.

Ostrożnie ruszył wzdłuż tylnej ściany wagonu, minął szczyt i zaszedł od frontu. Drzwi były ciężkie, przesuwne i z masywnym uchwytem.

Chwilę stał nieruchomo i zastanawiał się, jaki powinien być jego następny ruch.

Czy powinien wyostać się stąd niezauważony i wrócić do Harrildholmu, a ewentualnie wrócić tutaj w ciągu dnia? Czy zapukać i przedstawić się jako miłośnik nocnych wędrówek, który natknąwszy się na człowieka o podobnych upodobaniach, zainteresował się, któż to taki? Podjął decyzję w pełni świadom,

że jest ona równie niedorzeczna jak to miejsce na dnie krateru w środku ciemnego lasu. Ale... musiał być przygotowany na każdą ewentualność. Tego się nauczył w Poppelgården.

Zapukał energicznie trzonem noża w grube deski i szarpnął drzwi, nie czekając na odpowiedź. Przesunęły się z trudem, ale wystarczająco, aby zdołał się precyzyjnie z ostrzem noża wciśniętym w lewy rękaw, tak by prawą ręką móc błyskawicznie szarpnąć rękojeść i dobyć broni w razie potrzeby.

Takiej potrzeby nie było.

Mężczyzna siedział wciśnięty w najdalszy kąt wagonu i miał oczy wielkie z przerażenia. Przed sobą, w wyciągniętych rękach, niczym ochronę przed wszelkim złem trzymał stare widły.

Wsunął nóż głęboko w rękaw, by całkiem go schować, i pokazał mężczyźnie nagie dłonie.

— Spokojnie, nie bój się. Nic ci nie zrobię, przysięgam. Nie szukam kłopotów. Przechodziłem tylko i... zobaczyłem twoją chatę.

Mężczyzna ani drgnął. Widły za to dygotały w jego rękach. Chyba byli rówieśnikami. Mężczyzna mógł mieć czterdzieści kilka lat. Twarz o zapadniętych policzkach częściowo zakrywał nieregularny zarost i okalały ją długie, brudne ciemne włosy, przez co mężczyzna wyglądał na starszego. Oczy patrzące na niego spod krzaczastych brwi wciąż bez reszty wypełniał strach.

W pomieszczeniu cuchnęło. Mężczyzna był wychudzony. Sweter i spodnie były na niego o wiele kilogramów za duże. Dłonie, które zaciskał mocno na trzonku wideł, były kościste, a pod długimi paznokciami widać było czarne kreski brudu.

Złagodzenie dramatycznego efektu wywołanego jego wtargnięciem będzie wymagało sporej cierpliwości. Zerknął na stół, na którym stał termos.

— Mogę usiąść?

Mężczyzna nie odpowiedział, tylko nadal patrzył na niego sztywno. Co oczywiście było logiczne. Był w tej dziurze gościem na tyle niespodziewanym, że kubek kawy raczej nie wystarczy, aby przełamać lody. Nie czekając na pozwolenie, usiadł na brzegu łóżka zbitego z desek i przymocowanego do ściany wagonu. Z wszystkich sił starał się wyglądać na rozluźnionego, a

przy tym nie odwracać uwagi od kolców wideł. Mogły być śmiertelną bronią.

— Pewnie się zastanawiasz, co tu robię w środku nocy, prawda? — Zrobił dłuższą przerwę, zanim pociągnął dalej. — Otóż powiem ci co. Wypatrywałem wilków. Bardzo mi zależy, żeby zobaczyć wilka na wolności, wiesz? No więc siedziałem pod zwalonym drzewem, tam gdzie się zbiegają te cztery polne drogi. Jeśli chcesz wiedzieć, to już kilka nocy z rzędu tak siedzę, licząc, że chociaż mi jakiś mignie przed oczami... Siedziałem tak i siedziałem, aż nagle przyszedłeś ty. I pomyślałem: kto to, u licha, jest? Kto się włóczy po lesie o tej godzinie? Postanowiłem za tobą pójść. Tak po prostu... Z ciekawości. Rozumiesz?

Mężczyzna pokiwał głową.

— Jesteś... Duńczykiem?

Mężczyzna znów przytaknął.

— Ja jestem Niels. Niels Oxen. A ty — jak się nazywasz?

Mężczyzna się zawahał. Poruszył wargami, ale żaden dźwięk się z nich nie dobył. Dopiero po chwili, chrapliwym głosem powiedział:

— Tobias.

Poczuł, że przerażony mężczyzna oddycha teraz nieco spokojniej, widział, że odrobinę opuścił widły.

— Może je odłożysz? Boję się, że mógłbym się nadziać na to monstrum. Masz tu może kawę? Mogę się poczęstować?

Podniósł się i ręką wskazał termos, przez cały czas nie spuszczać jednak oczu z mężczyzny. Ten jeszcze bardziej opuścił widły. I przytaknął skinieniem.

Sięgnął po termos i przysunął dwa plastikowe kubki. Nalał do obu kawy i podał mężczyźnie jeden. Ten podziękował skinieniem. Patrząc podejrzliwie, mężczyzna przytrzymał widły kolanami i wziął kubek do ręki. Przez chwilę milczeli.

— Dobra kawa — powiedział i z uznaniem kiwnął głową w stronę mężczyzny.

Znów zapadła długa cisza, ale zupełnie mu to nie przeszkadzało. Był dobry w milczeniu. Poza tym, jeśli miał z tym człowiekiem odbyć jakąkolwiek rozmowę, musiał się do niego zbliżyć powoli i spokojnie.

— Kiedyś, dawno temu, mieszkałem w piwnicy w Kopenhadze... — zaczął powoli i spojrzał, czy jego towarzysz go słucha. Mężczyzna patrzył w głąb kubka, ale chyba słuchał. Więc mówił dalej: — To znaczy to nie było aż tak dawno temu. Tylko takie mam wrażenie. Mieszkałem tam z moim psem, nazywał się Mr. White. Stopniowo przestałem wychodzić. Czekałem, aż będzie ciemno. Wtedy czułem się najlepiej. Wszystko robiłem w nocy, a kiedy robiło się jasno, wracałem do swojej piwnicy. Lubię ciemność. Dla mnie to przyjemność siedzieć w nocy w lesie i wypatrywać wilków... rozumiesz?

Mężczyzna przytaknął skinieniem.

— Ciemność to... mój... przyjaciel — wyjaśnił.

— Mam tak samo. Ciemność jest dobrym przyjacielem. Można na nią liczyć... Więc ty też często włóczysz się po nocy, Tobiasz? Tak samo jak ja?

Mężczyzna znów kiwnął głową.

— Ale w dzień nie?

— W dzień też, ale nie tak dużo.

Znów zamilkł i ukradkiem przyjrzał się swojemu gospodarzowi. Może jednak wcale nie będzie aż tak ciężko. Pustelnik był bardziej rozmowny, niż początkowo się spodziewał.

— Kiedy mieszkałem w tamtej piwnicy, to miałem tak, że nie lubiłem miejsc, gdzie było dużo ludzi. I po prawdzie dalej tak mam — zwierzył się i spojrzał na wynędzniałego długowłosego nieszczęśnika.

— Ja też — przyznał tamten cicho.

— A kiedy kładłem się spać — jeśli próbowałem się przespać w nocy — to zawsze miałem złe sny. One pojawiały się też, gdy spałem w dzień, ale nie aż tak często. Bardzo złe sny.

— Koszmary.

— Właśnie.

— Hm... — Mężczyzna na moment podniósł na niego wzrok, ale szybko z powrotem go spuścił.

— Nie jeden koszmar. Siedem koszmarów. Cały czas. W kółko. One nie zniknęły. Dalej je mam. Czasem myślę, że się do nich przyzwyczaiłem. Że zostaną ze mną do końca życia. A czasem wszystko niszczą. Kotłują się w mojej głowie, aż mam wrażenie,

że ją rozsada. I robię się od nich tak strasznie, tak bardzo zmęczony, bo nigdy nie mogę się wyspać. Może tak po prostu ma być? Za to ciemność pozostaje moim przyjacielem. Ciemność przynosi mojej głowie ukojenie.

— Dobrze to znam! — ożywił się mężczyzna. — Nocą mam w głowie większy spokój. Kiedy chodzę. Po prostu chodzę...

Pokiwał głową i uśmiechnął się do swojego towarzysza w niedoli. Znalazł coś, co ich łączyło. Było jasne co. Boleśnie jasne.

— Więc ty też masz koszmary, Tobiasz?

— Ale to nie są złe sny.

— Więc co?

Mężczyzna się zawahał, w końcu z przekonaniem odpowiedział:

— Głos.

— Jaki głos?

— Taki, który mnie wypycha na zewnątrz.

— Jeden głos czy więcej?

— Jeden. Zawsze tylko ten jeden. Mój własny głos i *ten Głos*.

— I to jest zły głos?

— Tak. Dręczy mnie. Mówi, co mam robić. Mówi rzeczy, które mi się nie podobają. Potrafi mnie zmusić, żebym robił coś, czego wcale nie chcę. Czasem umiem się oprzeć. Ale czasem nie. Czasem miesza mi w głowie. Nocą jest najlepiej. Kiedy idę. Kiedy jestem w ruchu, wtedy jest mi najlepiej.

— Ja byłem żołnierzem. Ty też?

— Nie, żołnierzem nie.

— Więc kim?

— Nigdy nikim nie byłem. Nikim konkretnym.

Pokiwał głową, dopił kawę i spytał:

— Ale coś robiłeś?

— Różne rzeczy, zależy, co mi znaleźli w urzędzie. Przy sortowaniu ubrań z darów albo żeby było ładnie dookoła, w parkach i na skwerkach.

— To przyjemna praca.

— Czasem tak. Zwłaszcza to na zewnątrz.

— Ja mam czterdzieści pięć lat. A ty?

— Czterdzieści dwa.

— Masz rodzinę?

— Nie!

Odpowiedź była zaskakująco stanowcza i ostra. Zareagował samym skinieniem. W te rejony najwyraźniej lepiej się nie zapuszczać. Jakiś czas wagon wypełniało ich milczenie, gdy czekał, aż Tobias ochłonie, po czym zapytał:

— Długo tu mieszkasz?

— Od połowy lata.

— A skąd masz jedzenie?

— Łowię ryby, czasem złapię zająca albo jakiegoś ptaka. Ale czasem też coś kupuję.

— Też lubię łowić ryby. To mnie rozluźnia.

Pustelnik pokiwał głową i zgodził się:

— Głowa ma się dobrze, kiedy łowię.

— A gdzie łowisz?

— W potoku. Pstrągi.

— W Kvindebækken?

— Tak. I w Holtum Å. Ale najłatwiej jest zarzucić w potoku.

— Tak sobie myślę... Kiedy się tak człowiek włóczy po nocy... to sporo może zobaczyć. Tobie też zdarzyło się coś zobaczyć?

Dostrzegł, jak przez oczy mężczyzny przemknął cień, zanim tamten pośpiesznie wbił wzrok w podłogę.

— Nie! Nic nie widziałem. Nigdy w życiu!

— A może widziałeś wilki? Mógłbyś mi coś podpowiedzieć?

— Nie. Ale parę razy słyszałem, jak wyją.

Już miał spróbować zapytać inaczej, ale zmienił zdanie. Teraz lepiej odpuścić, zanim mężczyzna całkiem się zablokuje. Zawsze lepiej jest przerwać za wcześnie niż za późno. Powoli wstał od stołu.

— Okej, Tobias... dzięki za kawę. I za rozmowę. Przyjemnie było pogadać. Będę się zbierał.

Jego gospodarz skinął, ale nic nie powiedział.

— Może mógłbym jeszcze kiedyś wpaść na pogawędkę? — Wyciągnął rękę. — Do zobaczenia.

Tamten się zawahał, ale w milczeniu uściśnął mu dłoń.

Rozdział 42.

6 grudnia 1963

Patrząc, jak asfalt rozwija się przed długim nosem jego nowej scanii vabis L55, kierowca Karl Vraa czuł się jak prawdziwy król szos. I ani trochę mu nie przeszkadzało, że samochód kupił z drugiej ręki. Rocznik 1961, z marca, więc niedługo szwedzka rakietka skończy trzy lata, ale prowadziła się jak marzenie. Bo to było marzenie.

Miał ten wóz niespełna tydzień. Pomimo zimy roboty miał dość — i całe szczęście, bo musiał trochę dorobić, żeby się odkuć. Szwedzka jakoś tania nie była.

Był piątkowy ranek. W trasę wyruszył wcześniej. Dopiero zaczynało świtać. Na pace wioził worki z koksem i brykietem dla klientów spółdzielni rolniczej w Sønder Omme.

Zeszłej zimy mróz trzymał tak długo, że dało się ją porównać tylko z ostrą zimą z przełomu 1939 i 1940 roku. Dlatego w tym roku ludzie poszli po rozum do głowy i zabezpieczali się na długo, zanim zapas opału się wyczerpie. Pojutrze będzie druga niedziela adwentu. Nikt nie chciał marznąć w taki dzień, gdy po sumie cała rodzina powinna się spotkać i posiedzieć trochę na kupie.

Towar odebrał osobiście dziś rano z przystani w Vejle. Brykiet przyszedł statkiem ze Strasłundu w Niemczech, żeby zasiać ciepło w duńskich domach — miejmy nadzieję, że przez cały świąteczny miesiąc.

Dystrybutor ze spółdzielni, któremu trzeba było zrzucić kilka worków w jego małym składziku, zaspany pokiwał z uznaniem głową na widok jego nowej ciężarówki i rytualnie kopnął przednie koło. A potem znów zaczął się rozwodzić nad własną interpretacją sytuacji na świecie po zabójstwie Kennedy'ego. Po tym, jak Jack Ruby zabił Harveya Oswalda, to jakby dolać oliwy do ognia i spiskowe teorie szerzyły się teraz w tempie

błyskawicy, a urzędnik spółdzielni chętnie dzielił się własną wizją.

Tymczasem prezydent Ameryki to jedno. Zwłaszcza bladym świtem. Za to scania vabis to coś zupełnie innego — bardziej konkretnego i bliższego człowiekowi. To była radość — z tego, że można wstać, uruchomić silnik, pojeździć i wrócić do domu.

Spojrzał na rozpiszkę, którą mu dał obeznany w świecie urzędas. Była to kopia zamówienia, na której w kolumnach niebieskimi literami odbitymi przez kalkę wypisane były nazwiska i adresy klientów oraz liczba worków.

Pierwszą osobę z listy znał aż nazbyt dobrze. Była nią starsza kobieta mieszkająca kawałek dalej wąską boczną drogą na wschód od wioski Stakroge. Zamówiła pięć worków brykietu i zawsze trzeba jej było je wnosić do drewnutni aż za domem. Całkiem spory kawałek z nieporęcznymi workami na plecach. I jeszcze potem się schylać, żeby wejść do środka.

Ledwie skręcił w prawo z głównej drogi i ujechał kawałek wąskim paskiem asfaltu, gdy zdjął nogę z gazu, wcisnął podwójne sprzęgło i zmienił bieg na niższy, żeby zahamować.

W rowie po lewej coś leżało. Coś niewyraźnego. Prawie białego. Co u licha...

Powoli ruszył. Dopiero kiedy był całkiem blisko, zorientował się, co to. Człowiek. Bez ubrania. Wyglądał jak szmaciana lalka rzucona na pobocze. To... młoda dziewczyna... naga.

Kierowca poczuł, jak serce zaczyna walić mu w piersi. Zaciągnął ręczny hamulec, otworzył drzwi i wyskoczył z szoferki, nawet nie dotykając stopami schodków. W trzech długich susach znalazł się przy niej.

Złote włosy splecione w kołtun. Czy to nie...? Boże, tak! To ona... ta, co zaginęła. Poznał po tych włosach... miała na imię Agnethe. To Agnethe!

Jej blada skóra była sina i zimna jak lód. Na pośladkach i udach miała długie krwawe ślady.

Próbował wyczuć puls. Najpierw na przegubie, ale opuszki palców miał zrogowaciałe i trudno mu było cokolwiek poczuć. Chciał spróbować na szyi, więc ją odwrócił na plecy. Wtedy cicho jęknęła.

Żyła.

Musiał ją zawieźć do szpitala w Brande, i to w te pędy. Takie wychłodzenie mogło prowadzić do śmierci. Tyle akurat wiedział.

Był silny, bez trudu podniósł ją i zaniósł do samochodu. Działał instynktownie, sam dokładnie nie wiedział, jak wszedł do szoferki i trzymając ją pod pachą, wciągnął dziewczynę do środka, na fotel pasażera. Tam ostrożnie ją ułożył i opatulił wszystkim, co miał pod ręką — starą zimową kurtką i roboczą kufajką, a nawet brudnym ręcznikiem, którym normalnie ocierał pot z twarzy.

W pośpiechu dostrzegł jej białe stopy. Ładne, gładkie, bez ran czy zadrapań. Dziewczyna nie dotarła tu pieszo. Nie uciekła. Została porzucona. Jak śmieć.

Potem szybko usadowił się za kierownicą. Wrzucił bieg, wcisnął gaz do dechy i poczuł, jak scania rusza z miejsca. Wciskanie podwójnego sprzęgła zdawało się trwać wieki, zanim doszedł do najwyższego biegu i ciężarówka na dobre się rozpędziła.

Jego głowa pracowała teraz na równie wysokich obrotach jak silnik. Biedna, biedna kruszyna... Co za *potwór* mógł zrobić coś takiego...

Rozdział 43.

Jak zwierzę w klatce, chodził tam i z powrotem po niemal pustych pokojach wiejskiego domu. Dwukrotnie zaglądał na przestronny strych, zaszedł do samego końca, aż do pokoju przy ścianie szczytowej, i z powrotem na parter, do salonu, gdzie książki, korespondencja i segregatory nadal piętrzyły się na podłodze przy jego śpiworze.

Kuchnia — czy też sztab główny jego operacji, z rozłożoną mapą i otwartym laptopem — była miejscem, do którego stale wracał, zanim wyruszał na kolejny niespokojny obchód.

Miał wrażenie, jakby przeskoczył całą połowę tarczy zegara. Na zewnątrz znów panował mrok. Mrok popołudniowy, jaki zdarza się tylko zimą.

Sam nie wiedział, który to już raz przystanął i wyglądał przez gołe okno. Nisko na niebie wisały ciężkie chmury, więc tej nocy nie zanosilo się na siarczysty mróz. Nie było widać ani księżyca, ani gwiazd. Dla niego miało to znaczenie tylko, gdyby zdecydował się zająć pozycję przy zwałonym drzewie. Ale czy się zdecyduje?

Dopiero przed południem udało mu się zasnąć po nocnej wyprawie, która zaprowadziła go do nieszczęśnika żyjącego w zełmowanym wagonie w dziurze w ziemi.

Spał niespokojnie. Pokazała się cała Siódemka. Nie jako jeden, ciągnący się obraz, lecz jako pozrywane fragmenty, które przeplatały się i przepychały, tworząc niezborny film. Obudził się, gdy coś krzyknął — nie mając pojęcia, co się działo w jego podświadomości. Nic nowego.

Niepokój narastał. Z każdym dniem. A teraz wręcz z każdą godziną. Kuchnia w Harrildholmie stanowiła epicentrum. Czuł to w swojej umęczonej głowie — i każdym zakończeniu nerwowym swojego ciała.

Zatrzymał się przy kuchennym stole, wyjął telefon i po raz trzeci wyszukał numer do swojej psycholog. Tylko po to, by

kolejny raz odrzucić ten pomysł. Bo o ile rozmowy z nią podziałały terapeutycznie, wystarczająco, by odrobinę to wszystko wyciszyć, o tyle on sam, przez swoje wycieczki na Jutlandię i gonitwę za cieniem wilka, na nowo rozpętał piekło w swojej głowie.

Więc nie mógł teraz dzwonić do niej i wylewać żale. Każdy odpowiadał za swoje czyny. Jak sobie pościelił, tak teraz spał.

Usiadł na ławie przy stole. Przesuwał wzrokiem po mapie, próbując odzyskać spokój.

Las, ogromne połacie lasu, duże, brunatne plamy wrzosowisk, czworoboki pól uprawnych, niebieskie nitki cieków wodnych, przerywane kreski bagien i plamy jezior, enklawy zabudowań, wioski, rozproszone domy i gospodarstwa.

Mapy zawsze go fascynowały. Za każdym oznaczeniem, każdym symbolem i poziomicą krył się fragment rzeczywistego krajobrazu, który co prawda został uproszony i sprowadzony do kodu topograficznego, ale bez trudu dawał się rozwinąć i mógł się rozciągać przed oczami obserwatora — albo dzięki potędze wyobraźni, albo zwyczajnie, przez to, że się wyszło w teren.

Został przeszkolony do wydobywania z map ich tajemnic. Do wtapiania się w otoczenie podczas pokonywania kolejnych współrzędnych.

Czworokąt zabudowań był naniesiony czarnym tuszem i opisany małą czcionką: Harrildholm.

Co tu się stało? Gdzie był starszy człowiek, który rządził tym majdanem? Co wciąż mu umykało? Jak sprawić, aby kilkudziesięcioletnie wyobrażenie Mossmana o Lupusie się zmaterializowało i stało czymś więcej niż cieniem i przekazywaną szeptem legendą o wyższej sprawiedliwości?

I czy w ogóle miało sens doszukiwanie się choć ziarna prawdy w opowieściach byłego komendanta, a dziś pensjonariusza domu opieki, jakoby ów Lupus miał swój udział w kradzieży z domu bankiera malwersanta czy śmiertelnym wypadku skazanego za pedofilię turysty w Dolinie Motyli na Rodos?

I jaką tajemnicę kryły tutejsze wrzosowiska? Gdzie dokładnie rozplątano czaszkę emerytowanemu pracownikowi wywiadu i kto to zrobił? I dlaczego?

Gdzie — na obszarze tysięcy hektarów — zadomowiły się wilki, o ile w ogóle miały gdzieś jakiś dom? O ile najzwyczajniej w świecie, wytrwale i bez większego trudu, dosłownie nie wyprowadzały go w pole.

Tej nocy... Gdzie dokładnie na tej mapie wilk zostawi odcisk swojej łapy?

I tej nocy... Gdzie dokładnie zawędruje Tobiasz? Kim on jest? Czy dziwny pustelnik odpowiedział na którekolwiek z jego wielu pytań?

Wielokrotnie już się zbierał, żeby wyjść stąd i wrócić do kryjówki Tobiasza w kraterze w środku lasu. Nieszczęśnik sam stanowił jedną z tajemnic tej mapy i potrzeba było łowcy i blasku księżyca, aby tę tajemnicę odkryć. I jeśli od kilku godzin wyłącznie o tym myślał, ale wciąż się nie zdecydował na te odwiedziny, to tylko dlatego, że miał świadomość, jak łatwo mógłby wszystko zepsuć.

Nie wolno mu było przyspieszać biegu wydarzeń — zjawiać się u Tobiasza zaraz następnej nocy i starać się wykraść mu *jego* tajemnice. Za to jutro... jutro może spróbować. To będzie rozsądna przerwa. Ale dzisiaj — nie.

Oparł się plecami o ścianę. Czy nie tak właśnie tkwił przez całe lata? Zawsze z plecami przy ścianie. Gdziekolwiek na świecie stała owa ściana.

Mógł sięgnąć ręką i dotknąć rogu, w który wcisnął się Magnus, kiedy z szeroko otwartymi oczami patrzył, jak jego ojciec bez trudu rzucił na ziemię obcego, kipiącego z wściekłości przeciwnika. Nie minął nawet tydzień. A jemu wydawało się, że minęły wieki.

W tych kilku dniach wspólnych wakacji z Magnusem widział swoją szansę. Szansę na umocnienie więzi ojca z synem w warunkach polowych i w sytuacji, gdy byli zdani tylko na własne towarzystwo. Naiwna misja doświadczonego przecież i zaprawionego w bojach weterana i komandosa. Od tamtej pory wilki ganiały już bez przerwy i jeden drugiego gryzł w ogon. Znów był w tym miejscu. A Magnus był dalej niż kiedykolwiek.

W porządku, Niels. Naprawdę nic się nie stało.

Wstał i zdecydowanym krokiem wszedł do dużego, pustego pokoju, żeby wyrzucić na podwórko. Stał w ciemności i patrzył w ciemność. Czy tam również ktoś stał i patrzył w jego kierunku? W tej chwili go nie czuł, tego duszącego wrażenia, że ktoś go obserwuje. Lecz podobnie jak wszystkie inne myśli, które bez ustanku go nawiedzały, również ta zapewne wkrótce znów się pojawi.

To pewnie przez ten cały długi ciąg nocy i poranków, gdy nie był w stanie porządnie się wyspać, teraz świadomość płatała mu figle, nie pozwalała myśleć jasno i wyciągać wniosków.

Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów zapragnął zapalić skreta — albo się napić. Wtedy mógłby zatrzymać turbinę w swojej głowie. Poczucie, jak zwalnia i w końcu całkiem staje.

Minęły dwa lata, odkąd po raz ostatni miał w ustach whisky. Była gwiazdzista noc, a on siedział na brzegu rzeki Skjern Å. Na krótko zanim otworzyły się wrota piekieł.

Później, już na wyspie u wybrzeży Szwecji, tamta potrzeba w nim znikła, rozplynęła się w spokojnym życiu blisko przyrody. I jeszcze później, kiedy było po wszystkim, a on zamieszkał w bloku w Vangede. Wrócił do tamtego spokojnego życia. Jego mieszkanie stało się tłem życia tak cichego i niepozornego, że dzwonek roweru dobiegający z ulicy był dla niego jak przelatujący ze świstem granat.

Odwrócił się i poszedł z powrotem do kuchni. Czerwona teczka wciąż leżała na rogu stołu, wciąż właściwie nietknięta. Był zbyt zmęczony. O wiele zbyt zmęczony, żeby się teraz przekopywać przez ważące tonę słowa i rozbudowane zdania.

Przypomniał sobie, jak Margrethe usiadła przed nim i położyła kamień na stole w jego mieszkaniu. I skąd się wziął ten kamień w jej samochodzie? Ano stąd, że w cholernym stosie śmieci na zapleśniałym dywanie tego tutaj salonu natknął się na stary wycinek z gazety.

Znów opadł ciężko na ławę i popatrzył na drzwiczki kuchennych szafek. I dopiero teraz coś mu przyszło do głowy. Dlatego, że wcześniej nie zwrócił na to uwagi? Czy dlatego, że wcześniej próbował nie zwracać na to uwagi?

Przyklęknął i otworzył szafkę pod blatem. Wewnątrz stało mnóstwo butelek. Tyle pamiętał. Już wtedy, podczas pierwszej wizyty, przejrzał ich zawartość, gdy Magnus siedział na ławie i grał. Niektóre pełne, inne napoczęte, jeszcze inne całkiem puste. W żadnym razie jednak nie był to widok, z którego można by wnioskować, że właściciel tego domu ma problem.

Była na przykład butelka octu, poza tym dwie butelki oliwy, olej słonecznikowy i z pestek winogron, sporo pustych butelek z pozólkłymi, ale wciąż czytelnymi odręcznymi etykietami: sok z porzeczki, sok z wiśni i różne inne soki. Po jednej stronie w równym rzędzie stały butelki z napojami gazowanymi. Zapamiętał też butelkę kijafy — słodkiego wina z wiśni, smak dzieciństwa. A w głębi wypatrzył ją...

Wysoka butelka z bezbarwnego szkła, niemal cała oklejona etykietą. Płyn widoczny w szyjce miał bursztynowy kolor, akcyza zachodząca na nakrętkę była nienaruszona. Sięgnął po nią, żeby lepiej jej się przyjrzeć. Kolor złotobrazowy, jak whisky, a na etykiecie nazwa, której nigdy nie słyszał. Postawił butelkę na środku mapy jak latarnię i szybko wyszedł z kuchni na następny obchód, aż po sam strych.

Pierwszy łyk smakował jak szczyny borsuka chorującego na niestrawność. Łyk numer dwa był mniej brutalny. Zresztą smak był kwestią drugorzędną. Jemu zależało wyłącznie na działaniu.

Przez pierwszą godzinę kontrolował tempo, wiedząc, że ten lek działa z opóźnieniem. Teraz upił jedną czwartą. Jego głowa potrzebowała odpoczynku. Jego cały organizm potrzebował stuletniego snu.

Już dawno nie czuł, jak czterdziestoprocentowy alkohol natychmiast przyśpiesza krwiobieg i rusza z kopyta niczym rozpędzony ekspres bez maszynisty.

Myśli nadal kotłowały mu się w głowie, ale teraz potrafił puścić je swobodnie i czekać, aż się wyszumią, a sam wcisnął się w kąt z podciągniętymi nogami i oparł brodę na kolanach.

Sięgnął po butelkę i wziął kolejny łyk. Nie, dwa łyki, zanim odstawił butelkę w najdalszy kraniec stołu.

W całym ciele przyjemnie mu szumiało — od przedramion aż po palce u stóp. Jego głowa meła teraz strzępy myśli, a szalona wirówka wytracała tempo. Myśli, a raczej ich skrawki, traciły ostrość, jakby ktoś obłożył je watą. Ich krawędzie już go nie kaleczyły.

Zamknął oczy, żeby pełniej rozsmakować się w tej łagodności. Może był w tym jakiś wyższy sens, że miał się wyrwać z Vangede i przyjechać aż tutaj?

Bo rzeczywiście znacznie lepiej się czuł tutaj, w tym rozpadającym się domu. Wolał swój śpiwór na zaimprovizowanym posłaniu z poduszek i te spartańskie warunki, gdzie przyroda była na wyciągnięcie ręki, niż wygodną klatkę w Vangede i świadomość, że w podobnych klatkach, ustawionych jedna na drugiej, żyli inni ludzie cieszący się z bliskości stacji kolejki miejskiej, z tego, że po drodze na pociąg można jeszcze zrobić zakupy w supermarkecie i, kto wie, może spotkać kogoś znajomego, bo przecież tam wszyscy wszystkich znali — w ten czy inny sposób.

A jednocześnie nikt nie znał nikogo. Jediną osobą, którą on sam znał, była starsza pani w fioletowej podomce z mieszkania naprzeciwko. Z którą nie zamienił ani słowa. I której nigdy nie widział poza jej mieszkaniem. I która umarła, i została zniesiona ze sceny.

Koniec końców Vangede było dla niego wyłącznie próbą zaspokojenia własnej palącej potrzeby osiągnięcia normalności i przeciętności, które pozwoliłyby mu zbliżyć się do Magnusa. *W porządku, Niels. Naprawdę nic się nie stało.*

Lecz Vangede nie działało.

A teraz siedział na ławie w Harrildholmie. Czy wyrwał się z tamtej normalności przez przypadek, czy też kokon pękł po prostu sam z siebie? I czy zdoła uwić sobie nowy kokon z kłamstwa, w którym się ukryje, kiedy wkrótce wróci na drugie piętro przy Dalstrøget?

Znów otworzył oczy, podniósł butelkę do ust i pozwolił, by kolejna porcja przepłynęła przez przełyk i wskoczyła do pociągu, który ją zabierze do krwiobiegu. Nie miał pojęcia o niczym. I co

z tego? Może kiedyś znajdzie odpowiedzi na te pytania. A może nie.

Odstawił butelkę na stół. Latarnia morska wprost ze Szkocji, stojąca teraz na krawędzi stołu, była na wpół opustoszała. Jej góra wciąż migiała, ostrzegając przed podwodnymi skałami, ale on nie miał żadnego kursu, którego musiałby się trzymać. I w tym momencie po raz pierwszy od bardzo dawna było mu to obojętne.

Spojrzał na poźółkły sufit. Nie tylko siedział w kuchni obcego człowieka, ale również pił jego whisky. I jeśli stary właściciel domu będzie chciał skosztować jej choć trochę, to powinien się pośpieszyć.

Rozejrzał się i poczuł, że oczy go parzą. Czyli musiały się zaszklić.

Wilki biegały po mapie. Czerwona teczka z dokumentacją fatalnego momentu z życia Margrethe Franck leżała teraz nieruchomo po długim odwirowaniu.

Kostki brukowe leciały niczym grad przez przednią szybę całkiem nowego mini coopera, który stał w rogu kuchni. Ale... *What the fuck?* Wszystko miało wyłączony dźwięk. I lekko zwolnione obroty.

W przeciwległym kącie widział króla Poppelgården, Młynarza, zasiadającego na swoim tronie z rękami założonymi na piersi, i czuł na sobie podejrzliwe, rzucane spod byka spojrzenia całej jego świty. Skąd się tu, u licha, nagle wzięli ci wszyscy ludzie w roboczych ubraniach? Ktoś zostawił otwarte drzwi?

Zacisnął powieki. A gdy ponownie je otworzył, mini, kamienie i milczący mężczyźni zniknęli. Każdy mięsień i każdy nerw jego ciała był rozluźniony jak nigdy wcześniej. A głowa płała mu figle.

Z trudem wstał i zaczął kolejny obchód. Najpierw uderzył ramieniem o framugę, zanim dokładniej wymierzył cel i przedarł się przez drzwi. Chwiejnym krokiem przemierzał pokój, kierując się do rzędu okien wychodzących na podwórko. Każdy idiota wiedział, że nie wolno się ustawiać w oświetlonym miejscu w ciemności, chyba że się chciało posłużyć komuś za *tarczę*. Tu, gdzie teraz stał, dochodziło nieco światła z kuchni, a tam na

zewnątrz mógł się oczywiście kryć nieznany wróg i czekać na taką okazję. Wiedział o tym i było mu wszystko jedno. Albo raczej kierowała nim dziecinna buta. Jeśli naprawdę ktoś tam był, to niech sobie strzela. Niech pokaże, że zna się na swojej robocie.

Stał przez chwilę i patrzył na to czarne nic, czując napięcie w każdej komórce ciała — lecz żaden strzał nie padł.

Po powrocie do kuchni stanął na środku podłogi i patrzył na linoleum. Żadnych odłamków szyby samochodowej, żadnych śladów zabłoconych drewniaków... nic, tylko podstępny i zaczepki zmęczonej, ach, jak bardzo zmęczonej głowy. Stłumił ziewnięcie, zacumował na ławie i potarł twarz dłońmi.

Czy był już gotów przespać sto lat — i czy powinien? A może, tylko tak dla pewności... Latarnia morska mignęła. Ostrzeżenie przed rychłym zatonięciem. Sięgnął po nią i wypił kolejny łyk, z czystej pogardy dla własnej słabości. I jeszcze jeden. Oparł się o ścianę i zamknął oczy.

Krótko potem to usłyszał. Dźwięk, który rozpozna każdy żyjący na tej planecie człowiek. Przeciągłe, gardłowe wycie, jeden ton, utrzymujący się tak długo, jakby powietrza w płucach, z których się dobywał, miało wystarczyć jeszcze na wiele godzin. Dźwięk, który już zawsze będzie wpisany w ludzką świadomość i który był w nią wpisany, zanim wstało pierwsze słońce. Dźwięk, którego echo budzi najbardziej pierwotny z lęków.

Wycie wilka.

Natychmiast usiadł wyprostowany. Rozejrzał się, by sprawdzić, czy nie ma wilka w zlewie albo na dachu mini coopera. Lecz kuchnia była pusta.

Nasłuchiwał tak uważnie, jak tylko był w stanie. Wszystko wirowało. Pstryknął palcami, żeby sprawdzić, czy jego organizm potrafi jeszcze odnotowywać i rejestrować dźwięki. Owszem, potrafił. Czy to możliwe, że przysnął i właśnie się obudził?

Ostrożnie wstał, pocłapał na korytarz, otworzył tylne drzwi na oścież i wyszedł w noc. Natychmiast uderzyła go ściana chłodu, ale zimno wydawało mu się dziwnie odległe, a przy tym przyjemne.

Stał, nasłuchując. Żadnego wycia. Niestety. Nigdzie nic nie szeleściło ani nie szurało. Znikąd nie dobiegało nawet najszabsze pohukiwanie sowy. Noc była nieskończenie cicha... Odchylił głowę i zobaczył, że ciężkie chmury się przesunęły i odsłoniły gwiazdy i księżyc. Pewnie dlatego wrócił mróz.

Stał tak i czuł, jak wszystko tam w górze migocze i ciągnie go ku sobie, ku czarnemu sklepieniu. Była w tym jakaś mroczna ironia, że siedział gdzieś na Mlecznej Drodze i opróżniał butelkę whisky. Zakręciło mu się w głowie.

Kiedy znów popatrzył przed siebie, przed oczami nadal miał gwiazdy — chociaż? Czy tam, w krzakach, nie błyszczała para żółtych oczu? Czy naprawdę tu był? Jego bratnia dusza i towarzysz broni — Lupus?

— Hej! Halo! *Little wolfie, come to papa...*

Śmiał się z siebie jak szalony. Głos miał zachrypnięty i bełkotliwy. Zrobił krok i pośliznął się na czymś niewidocznym. Posadzkę pokrywała cienka, przezroczysta warstwa lodu. Poczuł, jak nogi zdumiewająco powoli, niemal jak na zwolnionych obrotach, znikają spod niego na ułamek sekundy, zanim ciało mocno uderzyło o ziemię.

Nie poobijał się. Mimo że tyłem głowy z dużą siłą uderzył w posadzkę. Może ktoś w ostatniej chwili podłożył mu poduszkę? Daleko przed sobą zobaczył, jak butelka whisky roztrzaskuje się na tysiąc odłamków.

Gwiazdy wciąż do niego mrugały. Wszystko mrugało.

Również księżyc, jak wielka buźka. I teraz znowu zawył wilk. Jeden, dwa wilki, nie! Trzy, cztery, pięć sztuk przeskakiwało nad nim, kręciło się w kółko, ganiając własne ogony, aż wbiegły, jeden po drugim, przez otwarte drzwi, do kuchni i przebiegły przez wszystkie pokoje Harrildholmu, by po chwili z prędkością światła znów wybiec, przeskoczyć kolejno nad jego głową i wtopić się w ciemność.

Głęboko w podświadomości coś lekko go trącało, dając do zrozumienia, że to nieodpowiedzialne, że nie może tak zostać: leżeć na plecach w samej koszuli, na posadzce, na mrozie.

Przewrócił się na brzuch i podniósł do klęku podpartego. I wreszcie stanął na nogi. Po dwóch niepewnych krokach znów się

poślizgnął. I musiał zacząć od nowa, zaskoczony i zdezorientowany niczym żółw, który wylądował na skorupie. Uznał, że cały proces jest jednak zbyt skomplikowany, więc po prostu na czworakach dotarł do drzwi.

Kiedy wreszcie przeszedł przez próg i znalazł się w ganku, kopniakiem w tył zamknął za sobą drzwi. Wstanie na nogi nadal było ponad jego siły, więc dalej przesuwiał się na czworakach, mijając stare buty.

Odnotował, że nagle zrobiło się przyjemnie ciepło. Akurat mijał boczną ścianę kotła na olej. Pokusa była zbyt wielka. Przyczołgał się bliżej i zwinął niczym zziębnięty pies na brudnym dywaniku tuż przy kotle.

I zasnął...

Pojawił się Magnus. Jego wspaniały syn zwinnie poruszał się w leśnym gąszczu. Było całkiem cicho. Gruby dywan z igieł tłumił wszystkie dźwięki. Nagle Magnus się zatrzymał. Stał przed ciężkimi drzwiami drewnianej chaty. Nie... nie chaty. Starego wagonu kolejowego.

Magnus kilkakrotnie walnął pięścią w grube deski. Długo trwało, nim drzwi się odsunęły. Trudno powiedzieć, kto je otworzył, bo twarz tego kogoś skrywał cień.

Chociaż nie. Teraz trochę było widać. Z wnętrza wagonu wychylił głowę jakiś mężczyzna.

Był nim... on sam.

Rozdział 44.

Wyjęła telefon z kieszeni skórzanej kurtki i wybrała numer, jednocześnie szybkim krokiem przemierzała zamknięty parking przed główną siedzibą Policyjnej Służby Wywiadowczej w Søborgu. Rzuciłaby się biegiem, gdyby nie cholerna noga, której już nie miała — tak bardzo liczyła się teraz każda sekunda.

To oczywiście typowe, że akurat jej wszystko musiało się zwalić na głowę w najbardziej krytycznym momencie. I równie typowe było to, że zamiast zaprząć do jeszcze bardziej wyętej pracy cały zespół, próbowała ratować sytuację w pojedynkę.

Minęła dwunasta w południe. W pracy była od szóstej rano, żeby zacząć jak najprędzej. Właśnie trwało zebranie specjalnej grupy, która intensywnie pracowała nad dopięciem analizy sposobów organizacji wydziału operacyjnego w sytuacji kryzysowej wywołanej atakiem terrorystycznym. Kolejne zebranie. Gdy już miała nadzieję, że doszli do porozumienia co do wniosków, okazało się, że jednak nie.

Telefon dzwonił i dzwonił, ale nikt nie odbierał. Niech to szlag! Dlaczego Oxen nie odbiera? I czego właściwie szuka na tej Jutlandii? Przerwała połączenie, gdy włączyła się poczta.

Wcisnęła guzik na pilocie i srebrna corsa zamigiała. To był jej wóz zastępczy z warsztatu L.T. Fritsena. Okazuje się, że na nową szybę będzie musiała trochę poczekać. Swojego ukochanego miniaka dostanie dopiero pojutrze.

Usiadła za kierownicą i rzuciła telefon na miejsce pasażera.

Właśnie: Oxen.

Bo wszystko — nawet to, że siedziała teraz w srebrnej corsie — miało związek z tym, że Oxen w jakimś domu na Jutlandii znalazł stary artykuł z gazety. W przeciwnym razie nie musiałaby wywozić miniaka na zsyłkę do warsztatu.

Przez chwilę siedziała nieruchomo z kluczykiem w dłoni. Dla każdego było jasne, że Dania mogła się stać celem ataku terrorystycznego, i to z tych większego kalibru. Zdaniem

niektórych kwestią czasu było, aż dojdzie do szeroko zakrojonego odwetu za karykaturę Proroka. A jeśli nawet tamta sprawa przestała już rozpalać emocje, zawsze można się posłużyć argumentem w postaci udziału Duńczyków w najróżniejszych misjach zagranicznych. Niewątpliwie jako kraj Dania zaczęła nieco zadzierać nosa. Ona sama uważała, że któregoś dnia dostaną srogi rachunek do zapłacenia. Ale jeśli chodzi o sposób, w jaki na zagrożenie powinien reagować wydział operacyjny, oraz zasięg owego zagrożenia — co do tego w obrębie grupy wciąż nie osiągnęli porozumienia. A wyznaczony termin zaprezentowania wyników ich prac nadciągał wielkimi krokami.

Mimo to zamierzała wykraść z napiętego grafiku godzinę, by zająć się własnymi sprawami. I swoją przeszłością, która niespodziewanie i brutalnie wtargnęła w jej teraźniejszość. I która sprawiła, że choć przed chwilą najchętniej sprintem przebiegłaby przez płytę parkingu, to nie była w stanie.

Zabiła człowieka i zapłaciła za to własną nogą. Tak można by podsumować rachunek.

Gówno prawda!

Uderzyła otwartą dłoń w deskę rozdzielczą. Właśnie że nie. To nie tak działa. Bóg nie ma żadnego kajetu, w którym według sprytnie obmyślanej tabelki płaci się daną kończyną za rozmaite przewinienia. Była dumna z tego, że posłała bydlakowi kulkę między oczy i uratowała własne życie. To tylko jakiś żaloszny cień Margrethe Franck stuka ją w plecy i próbuje w niej zasiać inne, niedorzeczne myśli.

Pojedzie teraz do zakładu karnego Vestre Fængsel i zada innemu, żyjącemu jeszcze bydlakowi kilka pytań na temat przeszłości.

Zerknęła na telefon. W sumie mogłaby jeszcze raz spróbować dodzwonić się do Oxena.

Z daleka, z bardzo daleka słyszał irytujący dźwięk. Dopiero kilka sekund po tym, jak ucichł, dotarło do niego, co to było — jego komórka, która natarczywie dzwoniła.

Chwilę trwało, zanim to wszystko ogarnął. Leżał w korytarzu, blisko kotła. Tajemnicą było, dlaczego właśnie tam.

W końcu się podniósł i poszedł do kuchni. Siedział teraz na swoim stałym miejscu na ławie przy stole i dopijał trzecią szklankę wody z solą. Miał straszliwego kaca. Każdy ruch głową powodował, że mózg przeszywał ostry ból — o ile w ogóle miał jakiś mózg. To wcale nie było pewne. Skoro po niemal dwóch latach zdecydował się napić.

I co — pomogło? Ciało miał ociążałe od snu, długiego snu, jakiego nie zaznał od niepamiętnych czasów. Czy whisky zdołała również przepłukać mu głowę? Uspokoić myśli? W tej chwili ból głowy był zbyt silny, aby to ocenić.

Co zapamiętał jako ostatnie? Miał jakieś dziwne, niejasne wspomnienie wilków — wilczych oczu w nocy. I gwiazd. A na koniec Magnusa...

Przesunął dłoń po udreżonej głowie. Palce napotkały guza. Skąd się wziął? Upadł? Albo ktoś go walnął? Nie, to wyglądało na normalnego guza. I było...

Znow zadzwonił telefon. Margrethe. Znowu. Nie czuł się na siłach rozmawiać. Z drugiej strony dlaczego dzwoniła aż dwa razy z rzędu?

Wcisnął klawisz i jęknął:

— Halo.

Już miała się rozłączyć i przekręcić kluczyk, kiedy odebrał.

— Halo.

— Niels?

— Ta...

— To ja, Margrethe.

— Ta.

— Wszystko w porządku?

— Ta.

— Brzmisz... — Głos, który dobiegał z głuszy w środku Jutlandii, był mocno zachrypnięty. — ...jakoś dziwnie. Jakbyś...

— Kac — powiedział i głośno parsknął.

— Kac? Myślałam, że już tego nie używasz.

— Bo nie używam. Tylko znalazłem butelkę whisky... Potrzebowałem wyrzucić to wszystko. Z głowy... I przespać się... Odkąd tu przyjechałem, nie mam spokoju.

— Siódemka?

— Jak zawsze.

— Obudziłam cię teraz?

— Chyba można tak powiedzieć.

— Sorry. Możemy pogadać później. Kiedy poczujesz się lepiej.

— A z czym dzwonisz?

— Niczym, co nie może zaczekać.

Oxen nie brzmiał jak ktoś, z kim można w tej chwili przeprowadzić normalną rozmowę. Ani nawet przekazać mu wiadomości.

— Powiedz po prostu, po co dzwonisz.

Czyżby słyszała w jego głosie rozdrażnienie?

— Słuchaj, mam po uszy roboty. Nie zdążyłam zrobić wszystkiego, o czym rozmawialiśmy, poza jednym. Skontaktowałam się z tym moim znajomym, który umie węszyć w cyberprzestrzeni. No więc to wezwanie na badanie do szpitala... dla Poula Hansena, właściciela domu — pamiętasz?

Oxen mruknął głucho.

— Ten mój kumpel coś znalazł. Poul Hansen jest chory. Śmiertelnie chory. Szpital rejonowy w Herning wydał zaświadczenie o stanie terminalnym.

— A co to takiego? — spytał niepewnym głosem.

— Hansen ma raka. Prostaty. To kwestia czasu. Takie zaświadczenie oznacza, że nie ma żadnej nadziei. Można na ten papier dostać bezpłatne leki, środki uśmierzające ból i tak dalej.

Oxen zaczął kaszleć i parskać, zanim się odezwał.

— Ale... przecież on zaginął. Więc może już umarł i leży teraz w jakimś lesie?

— Raczej nie. Rak nie zabija tak nagle. Ale że zabije, to pewne. I to wkrótce. Niels, mamy do czynienia z człowiekiem, który zniknął, i wie, że jego dni są policzone. Pomyślałam, że powinieneś o tym wiedzieć.

— Hm.

— Jezus, czy ty mnie w ogóle słuchasz?

— Tak, tak!

— Przeczytałaś akta, które ci wydrukowałam?

— Tak...

— I co o tym myślisz?

W telefonie zapadła cisza. Nieco zbyt długa. Postanowiła się z nim nie patyczkować.

— Wiesz, co ja myślę? Myślę, że w ogóle do nich nie zajrzałaś.

Oxen znów zaczął kaszleć.

— Czytałem, czytałem — zapewniał. — Tylko...

— Tylko co? Niels, wiem, że nie przeczytałaś ani słowa. I spoko, nie ma sprawy. To i tak nie był mój pomysł. Tylko dlaczego musiałam tak pilnie ci to drukować i w środku nocy wrzucać do skrzynki? I co konkretnie robisz na tym zadupiu? Bo chyba nie pojechałaś tam siedzieć i gapić się na czubki swoich butów.

— Ja... czytam... Rozpracowuję wszystko... po swojemu.

— Dobra, słuchaj. Może mimo wszystko czas zwrócić się do Mossmana?

— Dlaczego?

— Ja tu u siebie naprawdę nie wiem, w co ręce włożyć. A musimy się chyba dowiedzieć czegoś więcej o staruszku z PET z potoku, o życiorysie Hansena i tak dalej. Tymczasem serio jestem zawałona robotą. Kompletnie.

— Daj mi się chwilę zastanowić nad Mossmanem, okej?

— Dobra, to się zastanawiaj. Ja tymczasem wyrwałam się na godzinę i jadę do Vestre pogadać ze Struvenem.

— Do jakiego Vestre? I co to za Struve?

— Jezus Maria, no, więzienie Vestre, a co innego? Struve, Sean Struve, człowiek, który stał za napadem na bank. Rany boskie, powiedz mi — to była cała butelka?

— Niecała, ale prawie. Okej, *ten* Struve. No, jego pamiętam, jasne.

— Muszę lecieć. Pogadamy potem.

Rzuciła telefon na fotel obok i przekręciła kluczyk. *Po swojemu*. Czy nie tak powiedział? To, że Oxen do tego stopnia potrzebował dać odpocząć głowie, że opróżnił butelkę whisky,

nie było dobrym znakiem. Było w tym miejscu, w Harrildholmie, coś, czego nie potrafiła rozgryźć. Coś złowrogiego.

Rozdział 45.

Ciężkie mury zbudowanego na planie krzyża więzienia Vestre przytłaczały i otoczyły ją z wszystkich stron, kiedy tylko pierwsza brama zamknęła się za jej plecami i pracownik więzienia wprowadził ją na teren zakładu.

Największy areszt w kraju mógł pomieścić do czterystu czterdziestu osób i posiadał wydzielony oddział kobiecy, własny szpital i oddział dla więźniów szczególnie niebezpiecznych, gdzie na ogół trafiali gangsterzy. Wielu przebywało tu jedynie tymczasowo, ale mnóstwo osadzonych odbywało w tym miejscu swoje wyroki i właśnie z kimś takim miała się dziś spotkać.

Kiedy weszła do pokoju przesłuchań, Sean Struve już tam był. Siedział przy stojącym na środku stole i czekał. W aktach sprawy znajdowało się jego zdjęcie wykonane tuż po zatrzymaniu. Od tamtego czasu wkrótce minie trzynaście lat. Rumiany mężczyzna miał teraz pięćdziesiąt sześć lat.

Struvego zatrzymano pięć dni po tym, jak odjęto jej nogę. I dziś wydawało się, że i jemu sporo ubyło. Wtedy był umięśnionym, postawnym bykiem z lekką nadwagą i nalaną twarzą otoczoną gęstą czerwoną czupryną. Obecnie przypominał rodzinę, która za długo leżała na andaluzyjskim parapecie.

To właśnie uderzyło ją w pierwszej chwili — że tak niewiele zostało z Seana Struvego po nieco ponad dekadzie za kratkami.

Przywitali się skinieniem, po czym wyciągnęła rękę i się przedstawiła. Dopiero potem zajęła miejsce na wprost niego.

— Dziękuję, że zgodziłeś się ze mną spotkać — zaczęła.

— Czemu miałbym się nie zgodzić? Nieczęsto ma się gości. W dodatku... kobietę.

— Ale masz rodzinę, prawda?

— Miałem.

— Okej, nie wiedziałam.

Sprawdziła Struvego i wiedziała o nim prawie wszystko. Wiedziała na przykład, że był na tyle głupi, aby wziąć udział w

nieudolnym napadzie na konwój z gotówką w czasie zwolnienia warunkowego. Wolała jednak nie ujawniać się ze swoją wiedzą.

— Poszła w długą po dwóch latach.

— Kiedy trafiłeś za kratki, miałeś córkę.

— Jest w rodzinie zastępczej. Nie widziałem jej od sześciu lat.

Z wewnętrznej kieszeni kurtki wyjęła notes i długopis. Kiedy patrzyła na niego z bliska, Struve wyglądał, jakby był po sześćdziesiątce. Długa kozia broda z siwo-rudych kłaków zdecydowanie go nie odmładzała. Nawet włosy na głowie nie wyglądały już na rude. Nosił je zaczesane do tyłu, ale były zbyt cienkie, aby ukryć łysinę. Uznała, że równie dobrze może zapytać wprost:

— Widziałam twoje zdjęcie w materiałach archiwalnych na policji. Powiedz, Struve — czy ty nie jesteś chory?

Wzruszył ramionami i wzdychając głośno, odparł zmęczonym głosem:

— Chory jak chory... cukrzyca... pieprzona starcza cukrzyca. Od samego wymawiania tego słowa można się pochorować, nie? Życie ucieka. Dzień po dniu. Człowiek kawałek po kawałku przesuwa się na koniec ławki. Rozumiesz?

Kiwnęła tylko głową. Wolała nie odpowiadać. Nie czuła ani krztyny współczucia dla tego człowieka. On najwyraźniej sam sobie współczuł wystarczająco.

— Dostałeś dziesięć lat. Dwanaście lat temu. Ale nadal tu jesteś — powiedziała zarówno po to, aby przejść do rzeczy, jak i po to, żeby uciąć jego uzalanie się nad sobą

— Trochę mi wpadło po drodze. Zrobiłem głupotę na warunkowym zwolnieniu. *Szybka kasa*. A *ja* akurat powinienem był wiedzieć, że czegoś takiego nie ma. Do tego nagle paru debili naopowiadało o różnych sprawach, w które byłem zamieszany wcześniej. Ale za półtora miesiąca wychodzę.

— Wyjdiesz — i co dalej?

— Nie mam pojęcia. Może ty coś dla mnie masz? — Struve uśmiechnął się gorzko.

— Zostałeś poinformowany o celu mojej wizyty, prawda?

Sean Struve przytaknął skinieniem.

— Dalej walcujecie Danske Bank przy Gammel Kongevej, czy tak?

Również skinęła twierdząco.

— Chociaż może nie do końca tak, jak dotąd. Nie interesują mnie pieniądze, które zniknęły. Byłam wtedy młodą funkcjonariuszką. To ja zastrzeliłam Joakima „Jockego” Jönssona.

Twarz Struvego wykrzywił cwany uśmiech.

— Aha... więc to ty. Tak, pamiętam, że to była kobitka. I co — doszłaś w swoim życiu do tego momentu, w którym zaczęło cię gryźć sumienie?

— Absolutnie nie. Wciąż sobie wyrzucam, że nie odstrzeliłam mu łba tych kilka sekund wcześniej.

Struve otworzył szerzej oczy wyraźnie zaskoczony.

— Słuchaj — przeszła do sedna — chcę, żebyś wrócił pamięcią do czasu, gdy planowaliście skok na Gammel Kongevej. Było was czterech. Ty, Iversen, Trolle i Jönsson. Ty byłeś szefem. Dlaczego wybrałeś Jönssona?

Jej rozmówca wzruszył ramionami i patrzył na nią pytająco.

— Tss... to było tak dawno temu... Dlaczego Jocke? Hm. Miał doświadczenie. Dobre referencje. Opanowany, dobrze działał pod presją. Tyle wiedziałem. Z drugiej strony był w połowie Szwedem. Więc powinienem był, kurna, wiedzieć. Można było tego uniknąć.

— To fakt. Gdyby nie zabił strażnika, wszystko wyglądałoby zupełnie inaczej.

— A ja już dawno byłbym na wolności. Cholerny idiota.

— Czyli nie znałeś Joakima? Bo tak mówiłeś podczas przesłuchań. Dlatego się zastanawiam... po co brałeś do spółki kompletnie obcego człowieka?

— Eee. Obcy jak obcy. Trochę go znałem. Tak, jak się zna ludzi, no wiesz, w środowisku. Znasz kogoś, kto zna kogoś. I miałem zaufanie do tych, którzy go polecali.

Odnutowała kilka rzeczy z wyjaśnień Struvego, choć te wydawały jej się chaotyczne. Może dlatego, że minęło tyle czasu?

— I według twoich informacji Joakim Jönsson umiał się posługiwać bronią?

Sean Struve gmerał palcami w długiej brodzie.

— No, tak... chyba tak...

— Chyba? Więc jak — umiał czy nie umiał?

— Mówiono, że umie.

— I dlatego go wzięłeś?

— Można tak powiedzieć. Do skoku na bank trzeba ludzi, którzy potrafią użyć broni — oczywiście tylko w ostateczności.

Pokiwała głową i odnotowała również tę nową informację. Była to odpowiedź, którą sama w zasadzie mu podsunęła.

— Rozmawiałam z jego bratem. On twierdzi, że Joakim był wręcz kompletnie do niczego, jeśli chodzi o strzelanie.

— Hm.

— Mówi również, że nie mógłby nikogo zabić.

— Z tego, co mi wiadomo, z tego brata też jest niezły kawał skurwysyna. Zresztą co innego miałyby powiedzieć: mój najdroższy brat to zwykły morderca?

— Jönsson próbował mnie wtedy rozjechać na podwórku w Sydhavnen. Jego broni nigdy nie znaleziono.

Struve ponownie wzruszył ramionami.

— Aha. I co z tego? Pieniądzy też nie znaleziono. Jakbym właśnie zabił człowieka podczas skoku na bank, to też raczej bym się pozbył kłamki, i to migiem. Może nawet są gdzieś razem — pistolet i kasa.

— Co to był za pistolet?

Struve przewrócił oczami.

— Nie mam pojęcia.

— Co pomyślałeś, kiedy oddał strzał tam, w banku?

— Pomyślałem: „Kurwa, no, to teraz się zacznie”.

— Zdążyliście potem o tym porozmawiać?

— Nie. Natychmiast się rozdzieliliśmy, zaraz za rogiem na Rathsacksvej. Jocke pojechał sam, a ja odjechałem z Trollem. Iversen uciekał pieszo. Gdybym zdążył coś mu powiedzieć, to miałbym mu do powiedzenia naprawdę dużo — i szybko. Co za dureń.

— Podczas śledztwa sprawdzano też tę informację o Jönssonie i strzelaniu. Okazało się, że rzeczywiście nigdy nie został przyskrzyniony za coś, co miałoby związek z bronią. Ani nigdy nie został złapany z bronią przy sobie. Dziwne, nie sądzisz?

— To, że był w połowie Szwedem, nie znaczy jeszcze, że miał nie po kolei w głowie. Nigdy też nie mówiłem, że Jocke był głupi. Tylko że był idiotą.

— A co z Trollem i Iversenem?

— To znaczy?

— Wyszli kilka lat temu. Co robią — wiesz coś o nich?

Nie musiał wiedzieć, że rozmawiała już z Bennym Trollem, który tylko powtórzył swoje mętne wyjaśnienia z przesłuchania. Johna Iversena nie udało jej się znaleźć.

— Ostatnie wieści, jakie mam o Iversenie, to to, że ma jakiś bar pod palmami gdzieś w Pattai. A o Trollem nie wiem nic.

Struve odchylił się na krześle i wyglądał, jakby zaczynał się nudzić.

— Powiedz mi lepiej, paniusiu, dlaczego właściwie zaczynasz grzebać w tym starym bagnie. Skoro, jak mówisz, nie chodzi ci o tamtą kasę...

Teraz ona musiała wzruszyć ramionami.

— W jakimś sensie sama jestem jedną z głównych postaci tej historii, prawda? I parę rzeczy po prostu mi w niej zgrzyta. Jeśli na przykład powiem: Lupus, to co odpowiesz?

— Lupus? — Sean Struve przesunął dłonią w górę i w dół swojej brody. — Hm. Powiem, że to taki liszaj. Choroba, w której układ odpornościowy wariuje i robi człowiekowi kuku. Czy coś w tym stylu. Mój wujek to miał. A czemu?

Zmusiła się do uśmiechu i schowała notes. Niczego się nie dowiedziała, ale przynajmniej mogła sobie wyrobić własne zdanie o słynnym Seanie Struvmem.

Rozdział 46.

Zmierzch przypominał mu, jak bardzo żaloszny był ten dzień, który na szczęście powoli się kończył. Było późne popołudnie, światło bladło, a on z trudem podniósł się po przegranej w nierównej walce ze swoim demonem.

Alkohol zaatakował cały jego organizm niczym jad czarnej mamby. Miał wrażenie, jakby szedł kawałek obok siebie, jako niedokładny i reagujący z opóźnieniem kontur, który nieudolnie próbuje wrócić do własnego ciała.

Zwinne przedzieranie się wśród poskręcanych gałęzi poszycia było dla niego proste jak oddychanie. Tymczasem teraz miał wrażenie, jakby w blasku latarki toczył się na oślep i bez celu.

Prędzej da się pokroić żywcem, niż ponownie sięgnie po ten cudowny lek.

Przy drzwiach za domem znalazł potrzaskane szkło. Czyli w którymś momencie musiał wyjść na zewnątrz z butelką pod pachą. Pewnie upadł i uderzył głową o posadzkę. I wnosząc z brutalności dzisiejszego kaca butelka musiała być już wtedy prawie pusta.

Plan na resztę tego straconego dnia rodził się długo i w bólach, ale teraz wreszcie coś robił. Parł przed siebie niczym parowóz ciągnący ciężkie wagony przez ciemny, gęsty las.

Szedł z plecakiem, którego waga była piórkowa w porównaniu z tym, co nosił na plecach jako komandos, kiedy pokonywał ogromne odległości na wrogim terenie. Ale to było wtedy. Teraz bagaż ciążył mu i przeszkadzał. Niósł w nim najróżniejsze rzeczy zakupione w Brugsenie w Arnborgu. Wrzucał do koszyka wszystko, co jego mętny umysł uznał za przydatne w jakimkolwiek, nawet najmniejszym, stopniu. Potem siedział w samochodzie na parkingu i w napadzie pokacowego głodu z miejsca pożarł dwa hot dogi francuskie, popił colą i dopchał garścią słonych lukrecji.

W plecaku miał między innymi dwie paczki chipsów — kwaśna śmietana z cebulką i barbecue. W sumie to dość żałosne taszczyć ze sobą coś takiego, ale odkrywcy i konkwistadorzy też przywozili różne dary dla tubylców, prawda? Szklane paciorki, lusterka i śmieszne czapki. I rozdawali je hojnie razem z zarazkami.

I on tak samo przedzierał się przez dzicz, aby dotrzeć może nie do plemienia, ale do pustelnika Tobiasa w starym wagonie w kraterze, maleńkim skrawku ukrytej Danii.

Miał nadzieję, że fakt, że nawiązał z nim kontakt dwa wieczory temu, nie skłonił Tobiasa do ucieczki.

Instynkt mu podpowiadał, że samotnik z krateru, choć jasne było, że jest w jakimś stopniu psychicznie zaburzony i może również odrobinę opóźniony w rozwoju, jest mimo wszystko postacią kluczową w takim czy innym sensie. Może w sprawie emerytowanego funkcjonariusza PET zamordowanego gdzieś w tych stronach? A może w sprawie starego szefa departamentu, który się zapadł pod ziemię, zostawiwszy swój dom, Harrildholm, otwarty na oścież? Albo w sprawie hasających po nocach wilków, przyczajonych kłusowników czy chociażby w kontekście barwnej galerii postaci, która się przewinęła przed jego oczami w Poppelgården.

W każdym razie gdzieś na styku widzialnego i niewidzialnego z mroku wyłaniał się Tobias. Był zwierzęciem nocnym — i dlatego był ważny. Tylko ktoś żyjący w mroku mógł zobaczyć mroczne występki.

Już niedaleko. Teren odrobinę się wznosił — poczuł to tak samo jak za pierwszym razem. Wiedział, że za chwilę stanie na zboczu. Tak jak ostatnio, ruszył ścieżką wydeptaną przez zwierzęta, pewien, że to ta właściwa, ale już w pierwszym zagęszczeniu lasu jego umęczona głowa zawiodła i zmarnował kwadrans, idąc w złym kierunku.

Teraz drzewa rosły nieco rzadziej, a przestrzeń między nimi zdominowały jeżyny. Był już naprawdę blisko. Przecisnął się przez długie rzędy ciernistych krzewów i stanął na krawędzi leju krasowego. Tam przykucnął i wyłączył latarkę.

W powietrzu unosił się ostry zapach dymu. Tobiasz wciąż tu był. Napalił w piecu swojego prymitywnego domu, żeby zimna noc nie wdarła się do środka. O ile nie zdarzy się coś nieprzewidzianego — na przykład niezapowiedziany gość — Tobiasz pewnie wyjdzie później powłóczyć się w ciemności, bo to w jakiś sposób zapobiega wdzieraniu się czegoś do jego głowy. Dokładnie tak, jak on sam po nocach biegał swoją utartą trasą, która zaczynała się i kończyła w mieszkaniu przy Dalstrøget.

Zsunął się po luźnym piasku ze zbocza krateru, ostrożnie podszedł do wagonu i zapukał do ciężkich drzwi.

— Hej, Tobiasz. To ja, Niels. Byłem u ciebie przedwczoraj, pamiętasz pewnie. Mogę wejść?

Żadnej odpowiedzi.

Odczekał chwilę, po czym zapukał znowu i spróbował raz jeszcze.

— Tobiasz, to tylko ja, Niels. Wpadłem z wizytą. Przyniosłem trochę jedzenia. I oranżadę. I ciastka. Czekoladę. I czipsy.

Z wewnątrz nadal nie dochodził żaden dźwięk.

— Chcę się tylko z tobą spotkać. Przyniosłem kolację. Pulpety w sosie pomidorowym. Lubisz?

Nagle usłyszał, jak ktoś odsuwa wielką sztabę, i drzwi rozsunęły się odrobinę. W szparze ukazała się twarz Tobiasza okoloną strąkami włosów i sterczącym zarostem.

— Powiedziałeś: pulpety?

— Cześć, Tobiasz. Tak, mam w plecaku pulpety. I dużo innych rzeczy.

Drzwi rozsunęły się szerzej. Tobiasz przyglądał mu się na wpół podejrzliwie i na wpół wyczekująco.

— Wejdz — powiedział w końcu i odsunął się, by wpuścić go do środka. — Pulpety lubię najbardziej.

Postawił plecak pod ścianą szczytową. Pomyśleć, że hasło kryło się na sklepowej półce między fasolką po bretońsku a strogonowem — pulpety w sosie pomidorowym. Tobiasz zamknął za nimi drzwi i szybko wycofał się w najdalszy kąt wagonu.

— Tutaj nikt nigdy nie przychodzi. Dlaczego znów przyszedłeś?
— spytał.

— Tak po prostu, bo miałem ochotę — odparł i usiadł spokojnie tam, gdzie ostatnio.

Przez jakiś czas się nie odzywali. Wiedział, że będzie musiał improwizować — co prawda bez szklanych paciorków, ale przy użyciu góry jedzenia z plecaka. Miał tylko jasne przekonanie, że nie powinien niczego przyśpieszać.

— Pamiętasz, co ci mówiłem? Tak samo jak ty, lubię chodzić po nocy — powiedział po jakimś czasie. — Może później pójde wypatrywać wilków, ale najpierw pomyślałem, że mógłbym cię odwiedzić i przynieść ci parę rzeczy. Dobrze wiem, jak to jest, kiedy się nie ma zbyt wiele.

— Co przyniosłeś?

— Po trochu wszystkiego. Chcesz zobaczyć?

Tobias z zapalem pokiwał głową.

Otworzył więc plecak i wykladał rzeczy na łóżko, jednocześnie mówiąc, co to takiego.

— ...pasta z dorsza, tuńczyk, makrela, parę puszek spaghetti bolognese, strogonow, puszka fasoli, jajka.

Kiedy opróżnił plecak, na łóżku leżała spora góra jedzenia, do tego czekolada, paczka ciastek, dwie ogromne butle coli i dwie paczki czipsów.

— I to wszystko dla mnie? Naprawdę?

Przytaknął milcząco głową.

— Dlaczego?

— Bo pomyślałem, że nie masz.

— I tylko dlatego?

— Tak.

— Dziękuję.

Znów kiwnął głową. I znów siedzieli w milczeniu. Tobias patrzył na stos opakowań i puszek tworzący rzeczywistą piramidę żywieniową.

— Masz tu całkiem ciepło, Tobias. Zamierzasz tu przezimować?

— Tak.

— Nie dziwię się. To przytulne miejsce.

— Tak, przytulne.

Znów nastąpiła długa przerwa w rozmowie. W końcu spojrzał pytająco na swojego gospodarza i zapytał:

— To co na kolację?

Tobias pokiwał tylko głową.

— Pulpety?

Kolejne kiwnięcie.

— Mogę zjeść z tobą?

Tobias przytaknął — ale z wahaniem.

Wygrzebał jedzenie. Dwa słoiki z mięsnymi kulkami w czerwonym sosie. Podał je Tobiasowi.

— Podgrzejesz?

Mężczyzna wstał i chwilę się krzątał przy piecyku gazowym, na którym postawił duży garnek. Żaden z nich się nie odzywał. Po piętnastu minutach Tobias drewnianą łyżką wyłożył jedzenie na dwa plastikowe talerze. Na każdym wyrosła siedmiusetgramowa mięsno-pomidorowa góra. Dobrze, bo zdążył już ponownie zgłodnieć. I suszyło go niemiłosiernie.

— Do tego może cola?

Tobias posłusznie nalał do dwóch plastikowych kubków, które stały na małym chwiejnym stoliku. Nie wyglądały, jakby ktokolwiek je umył w ostatnim czasie, ale nie dbał o to.

Jedli w milczeniu. Rzucił okiem na swojego gospodarza, który energicznie i głośno pałaszował ulubione danie. To, czym nie trafił do ust, zostawało w długiej brodzie. Była to najzwyczajniejsza, najbardziej klasyczna broda. Taka jak u Tango-Bravo, TB, Talib, talibów. Wróg miał wiele ksyw. I zawsze nosił brodę.

— Sam powiedz, ciągle to parszywe wojenne żarcie... a ty, Oxe, nie tęsknisz za prawdziwym wołem? — spytał Spiderman.

Siedzieli w pięciu za głazem na zboczu góry, a Molbo i Klippen przewrócili oczami — na znak, jak bardzo parszywe były ich konserwy.

— Jak wrócimy do domu, to pójdę do Amerykanów i załatwię wam kotlety. Najecie się wołów, aż wam bokiem wyjdą.

W tym momencie z punktu obserwacyjnego przybiegł Lungen, kolejny z ich patrolu, z którym przeprowadzali infiltrację.

— TB się ruszył! Grupa czternastu ludzi idzie w górę doliny. Wszyscy uzbrojeni.

Czerwony kamienisty krajobraz zniknął, kiedy zamrugał oczami. Tobias wciąż bez chwili wytchnienia machał łyżką i trafiał to w usta, to w swoją brodę.

Dalej miał kaca, dalej miał wrażenie, że każda myśl jest nieostra i niekoniecznie powiązana z poprzednią.

Zdobycie zaufania Tobiasa zapowiadało się na misję wyjątkowo ciężką, choć łączyło ich coś, co pozwoliło przełamać pierwsze lody. Nie wiedział, czy mężczyzna był zdiagnozowany. Nie wiedział, czy istnieje jakiś zapalnik, który może go spłoszyć, rozwścieczyć lub otworzyć. Mógł tylko podążać za głosem własnej intuicji i jej tropem ostrożnie próbować zbliżyć się do tego tajemniczego człowieka. Na razie jednak nawet ów głos intuicji brzmiał niewyraźnie, wciąż porażony trucizną szkockiej whisky. Dlatego milczał i jadł pulpety.

Trochę trwało, zanim obaj skończyli spore porcje. Tobias energicznie zdrapał resztki sosu z talerza, wytarł usta rękawem, jednym haustem wypił colę i głośno beknął.

On z kolei oparł się o ścianę wagonu z talerzem nadal spoczywającym na udzie i uśmiechnął się do swojego towarzysza, jednocześnie próbował się skupić na odnalezieniu drogi, którą mógłby do niego dotrzeć. Jakies pytanie — otwarte i niezbyt nachalne — może o jego zamiłowanie do ciemności? Coś, co otworzyłoby słuch i pozwoliłoby słowom popłynąć swobodniej. Lecz w głowie miał pustkę. To nie był dobry dzień na odgrywanie znawcy ludzkich dusz.

— Dziękuję za kolację. — Jego towarzysz niespodziewanie wyszedł mu naprzeciw. Sam tylko kiwnął głową. — Niels... mogę tak na ciebie mówić, prawda?

Znów kiwnął głową.

Po dłuższej chwili Tobias zdecydował się ciągnąć dalej:

— Ty jesteś inny, Niels.

Spojrzał na człowieka z krateru i czekał, aż doda coś jeszcze, ale nic więcej nie powiedział. Zamilkł na dobre.

W końcu sam zdecydował się podjąć temat:

— W jakim sensie inny?

Tobias wzruszył ramionami,

— Pozostali... wszyscy... bez przerwy mówią. O wszystkim. Gadają i gadają. Wiem, dlaczego tak robią. Chcą się ze mną zaprzyjaźnić. Dowiedzieć się, co myślę, zajrzeć do mojej głowy. Dlatego tyle mówią. Psychoterapia...

Niespodziewanie dużo słów padło w jednym ciągu z ust milczącego dotąd samotnika. I ujawniło, że się leczył — w ten czy inny sposób. Z drugiej strony byłoby dziwne, gdyby się nie leczył.

Znów nic nie odpowiedział, tylko pokiwał głową, że rozumie.

— Ale ty, Niels, jesteś całkiem inny. Prawie nic nie mówisz. To... miłe. Lubię ciszę. I lubisz las, tak jak ja. Lubisz ciemność. Też tak jak ja. Jesteśmy... w jakiś sposób... prawie identyczni.

Przytaknął. Jego towarzysz eremita niespodziewanie trafił w sedno.

— To prawda. Lubimy te same rzeczy. Również pulpety. — Tobiasz zaśmiał się i energicznie pokiwał głową. — A gdzie właściwie mieszkałeś wcześniej? I dlaczego chodzisz na terapię? — Uśmiech zamarł na twarzy Tobiasza.

Wykonał fałszywy krok. Za bardzo się pośpieszył. To było głupie pytać o takie konkrety. I całkowicie wbrew jego własnej strategii.

— Mówiłem ci o Głosie. On nie jest dobry. Bez przerwy każe mi się zastanawiać. Mam schizofrenię. Tak to się nazywa, kiedy jest się dwiema osobami w jednej, ale nie chcę o tym rozmawiać. — I przepraszająco uniósł ręce do góry.

— Jasne, rozumiem. To zresztą nie moja sprawa.

— Niels, a może skosztujemy tej czekolady?

Szybko znalazł tabliczkę w spiętrzonej górze na łóżku. Rozpakował ją, przełamał na pół i podał jedną połówkę Tobiaszowi.

— Widzisz? Czekoladę też lubisz. Właśnie o tym mówię. Jesteśmy tacy sami.

Może jednak nie wszystko stracone. Tobiasz z widoczną przyjemnością wgryzał się w czekoladę i mlaskał głośno.

— Może kiedyś powiem ci więcej o Głosie. Nienawidzę go. Ale nie umiem wyrzucić go ze swojej głowy.

Tacy sami... Może nawiedzani przez różne demony, przez jednego albo przez siedem, które jednak nie chciały zniknąć, zawsze wracały, i — tak, obaj musieli się z nimi zmagać. Na moment zobaczył przed oczami, jak Magnus idzie przez las, puka do ciężkich drzwi wagonu i że otwiera mu je on sam. Skąd, u licha, wziął mu się ten obraz? Potrząsnął głową, by o nim zapomnieć.

— Co się stało, Niels?

— Nic takiego.

— Ale nic złego?

— Nie, naprawdę, to nic.

— Widzisz... Już wtedy, kiedy przyszedłeś poprzednio, wiedziałem, że jesteś inny. Od razu wiedziałem, że coś tobą kieruje. Że ktoś cię przysłał. Bo inaczej dlaczego miałbyś się tu nagle pojawić? I teraz jestem całkiem, ale to całkiem pewien. Ty jesteś tym, na którego czekałem.

— Czekales?

— Tak, czekałem. Powiedziałem sobie, że jeśli wrócisz w ciągu dwóch dni, to znaczy, że jesteś tym, na którego czekałem. Tym, którego prosiłem, żeby przyszedł i mi pomógł. I przyszedłeś. Jesteś tu teraz — razem ze mną. Dlatego, Niels, chcę ci powiedzieć pewną tajemnicę. Głęboką tajemnicę, która nie daje mi spokoju.

Popatrzył uważnie na swojego rozmówcę.

— Tajemnicę?

— Tak, Niels, tajemnicę. Wiem, gdzie jest zakopane ciało. Tam, w lesie. Widziałem na własne oczy. Prawdziwe zwłoki...

Rozdział 47.

Dwadzieścia cztery godziny rozpięzchły się szybciej niż praliny przy dobrym filmie w sobotni wieczór. Dwadzieścia cztery to za mało. To zawsze było za mało.

Zerknęła na Breitlinga na swoim nadgarstku. Wizyta w Vestre wraz z dojazdem zajęła godzinę. Było popołudnie i zaczynało się ściemniać. Zamierzała wrócić do Søborga, popracować w biurze parę godzin i zabrać trochę papierów do przejrzenia w domu.

Padało. Szybko znalazła w corsie włącznik wycieraczek, które zaczęły pracować niczym zeszywniałe palce wskazujące. Wycieraczki w mini cooperze z gracją płynęły po szybie. Nie mogła się doczekać, aż odzyska samochód.

W końcu w sznurze aut pojawiła się przerwa, więc wjechała w Vigerslev Allé, aby kilka sekund później skręcić w prawo w Vesterfælledvej.

Sean Struve był wybitnym gangsterem i w jakiś sposób dało się w nim wyczuć, że taki skok na bank to część jego DNA. Spotkała już kilku takich. Pragnęli tylko wielkich pieniędzy i wybierali drogę na skróty, bo dojście do wymarzonej fortuny uczciwą pracą było zbyt czasochłonne i męczące. Uważali, że są za mądrzy, żeby dać się nabrać na mętne gadki o pensjach i emeryturach.

Struve był dupkiem i powoli stawał się starym, schorowanym dupkiem, który sporą część swoich najlepszych lat zmarnował za kratkami, bo był za mądry. A w rzeczywistości był głupi jak but.

Czy spotkanie z nim było stratą czasu? Wcisnęła ponownie włącznik, żeby nieco zwolnić pracę wycieraczek. Zewsząd otaczały ją migoczące w kroplach deszczu światła — samochodów, rowerowych halogenów, tak ostatnio modnych, skuterów i okien domów wzdłuż ulicy. Wszystkie odbijały się w deszczu, który spływał po szybach opla. Nie, jednak nie była to strata czasu.

Mimo wszystko wyniosła z ich rozmowy coś konkretnego. Silne zdumienie, że taki zawodowiec jak on nie wykazał się większą ostrożnością w wyborze Joakima Jönssona do swojego małego zespołu, z którym przeprowadził napad na Gammel Kongevej. Jeśli szukał strzelca, umiejętności strzeleckie powinny być podstawowym kryterium. Do profesjonalnego skoku na bank nie werbuje się krewnych i znajomych królika na podstawie polecenia. Ludzi do takiej roboty wybiera się starannie.

Jak to możliwe, że Sean Struve tak nonszalancko podszedł do kwestii rozpoznania kompetencji Duńczyko-Szweda w tej materii? On był przekonany, że Jönssonowi palec nie drgnąłby na spuście. Tymczasem tępy brat Jönssona twierdził, że tamten nie wiedział nawet, gdzie znajduje się spust.

Spojrzała w lusterko wsteczne i je wyregulowała. Jechał za nią motocykl. Jego światło ją oślepiło, więc szybko z powrotem wbiła wzrok przed siebie. Jak to się nazywało... było na to takie obco brzmiące określenie. Kiedy coś wskazuje w dwóch sprzecznych kierunkach. Już sobie przypominała: *dyskrepancja*. Dyskrepancja aż biła po oczach, gdy chodziło o opinie na temat stosunku Joakima do broni.

I to było dziwne.

I była to dyskrepancja, którą w śledztwie zupełnie pominięto. Nie wspomniano o niej ani słowem. Z drugiej strony trzej pozostali członkowie gangu zeznali, że to Joakim Jönsson oddał śmiertelny strzał, były też nagrania z kamer, które częściowo, ale mimo wszystko jasno, potwierdzały, że Jönsson umiał posługiwać się bronią. I był gotów jej użyć.

Duży ruch na jezdni, mrok i ostre światła atakujące z wszystkich stron wymagały skupienia, a ją wciąż rozpraszały rachityczne wycieraczki. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie stanąć pod Irmą na skrzyżowaniu z Vesterbrogade i nie kupić sobie jakiejś kanapki, żeby ją zjeść przy biurku. Stwierdziła jednak, że szkoda czasu — poza tym teraz lało jak z cebra. Ruszyła więc dalej i wjechała w wąską, jednokierunkową Henrik Ibsens Vej, gdzie jej oczy choć na moment mogły odpocząć od świateł samochodów z naprzeciwka.

Kiedy stanęła na czerwonym na Frederiksberg Allé z zamiarem przejechania prosto w Madvigs Allé, znów znalazła się w środku szczytowego ruchu. I coraz bardziej irytowała ją odkryta dyskrepancja.

Mogła mocniej przycisnąć Seana Struvego. Tyle że z góry wiedziała, że takich jak on niełatwo ruszyć. A wejście z nim w konflikt albo wprowadzenie nieprzyjemnej atmosfery mogło sparaliżować komunikację, zanim się jeszcze na dobre zaczęła.

Być może kryła się w tym jakaś ponura ironia losu, że chwilę później przejechała przez Gammel Kongevej, kilka przecznic od miejsca, w którym Struve i jego ludzie napadli na bank. I zgarnęli siedem milionów dwieście tysięcy koron — zarówno z furgonetki, w której trwał załadunek na tyłach banku, jak i z sejfu, który na czas załadunku był otwarty.

Brakujące z tamtej sumy trzy miliony trzysta tysięcy mogły leżeć teraz bezpiecznie gdzieś w deszczu i czekać na Seana Struvego, który zapewne będzie musiał się podzielić z dwójką swoich współników.

Czy była jeszcze jakakolwiek szansa na ponowne odwiedziny u brata Jönssona? Sposób, w jaki się z nim pożegnała, nie wskazywał w każdym razie, aby mogła liczyć na ciepłe przyjęcie.

Spojrzała w lusterko wsteczne. Kawalek za nią jechał jeden z tych droższych wózków. Prawdopodobnie niemieckiej marki, świecący jak choinka okrągłymi ledowymi światłami pozycyjnymi. Nie dałaby oczywiście oszpecić miniaka czymś takim, ale zdecydowała się na światła ledowe, bo rzeczywiście podczas jazdy po ciemku różnica była ogromna.

Jarmarczne lampki w istocie okazały się być przyklejone do bmw, które odbiło na skrzyżowaniu tuż za Wydziałem Nauk Przyrodniczych, na którym ona pojechała prosto. Zostało już tylko skrzyżowanie z Ågade, zanim wjedzie na estakadę sześciopasmówki Bispeengbuen i będzie mogła przyśpieszyć.

Jeżu, znów czerwone. Trzy pasy w każdym kierunku plus pas do zjazdu — wszystko zapchane, jak płonące morze świateł w strugach deszczu.

Owszem, brat Jönssona był ważny — i był w tej chwili jej jedynym możliwym źródłem informacji. Tylko on mógł rozwiązać

dyskrepancję i uwolnić ją od natrętnych myśli. Albo wprost przeciwnie — jeszcze je podsyć.

Nieprzypadkowo ponownie spojrzała w lusterko. Zawsze miała świetne rozeznanie na drodze. Za nią stał motocykl. Świecił jej w oczy tym samym biało-niebieskim ksenonowym światłem co na Vesterfælledvej. To dość...

Zielone światło.

Ocieężały silnik corsy z automatyczną skrzynią sprawiał, że o przyspieszeniu można było pomarzyć tak jak o tym, że ci okażą miłosierdzie w szpitalnej izbie przyjęć.

Motocykl zrównał się z nią. Siedziały na nim dwie osoby, dwie ciemne postacie. Dwa ciemne kaski. Ten z tyłu odwrócił się w jej stronę.

Zobaczyła uniesioną rękę. Biała dłoń, bez rękawicy, pojawiła się przed zawzięcie pracującymi wycieraczkami.

Odruchowo zsunęła się za kierownicą i wtedy nad jej głową rozległ się głośny huk, a na karku poczuła coś zimnego. Potem kolejne uderzenie i kolejny grad zimnych kryształków spadł jej na kark.

W bębenkach eksplodował jeszcze potężny, bzycający dźwięk gwałtownego przyspieszenia — i błyskawicznie ucichł. Motocykl oddalił się w zawrotnym tempie. Ona wcisnęła hamulec i wyprostowała się w fotelu. W przedniej szybie widniały dwie małe dziury od kul, a cała tafla zmieniła się w gęstą, nieprzejrzystą siatkę pęknięć.

Usłyszała za sobą głośne ponaglenie klaksonu i niemal natychmiast do reprimendy dołączył kolejny. Poirytowani kierowcy przez gęsty deszcz nie mogli widzieć, co się właśnie stało na skrzyżowaniu z Ågade, i z wściekłością przeklinali srebrną corsę, która stanęła jak wryta na ruchliwej drodze.

Wcisnęła światła awaryjne i wszystko wokół zaczęło migać w pulsującym świetle. Potem wytrzepała z włosów odłamki szkła. Część z nich wpadła jej pod bluzkę i kłuła w plecy. Wyjęła telefon i zadzwoniła na sto dwanaście, po czym dokładnie i bardzo wyraźnie wyjaśniła oficerowi dyżurnemu, aby poza swoimi kolegami przysłał na miejsce zdarzenia również lawetę, bo corsa spowodowała potężny komunikacyjny zator.

Potem siedziała za kierownicą i czekała. Czuła się jak na polu minowym — ale wyjście z samochodu byłoby szaleństwem. W tej chwili należało się zastanowić. Co teraz — i co potem. Oszacować, jakie pytania rodzi zaistniała sytuacja. I na które zna odpowiedź. Nie potrzebowała dużo czasu, by dojść do wniosku, że rozwiązaniem był L.T. Fritsen. Wybrała numer jego warsztatu przy Amagerbrogade i w głowie układała sobie instrukcje, których mu udzieli, jednocześnie przesuwając wzrokiem po grubej, poszatkwanej szybie z dwiema dziurami.

To było natychmiastowe wyrównanie rachunków — z płatnością w gotówce. Nie zdążyła nawet oddalić się zbytnio od więzienia Vestre — i Seana Struvego.

Tym razem to nie kamień poleciał w jej szybę.

Teraz poleciały kule.

W końcu usłyszała głos Fritsena.

— Tu Margrethe Franck. Muszę się streszczać, Fritsen. Potrzebuję twojej pomocy, dlatego słuchaj uważnie...

Rozdział 48.

Im dłużej szli, tym ciemność robiła się bielsza. Tobiasz szedł pochylony w przód i ciężko stawiał kroki. Za to jego usta pracowały na szóstym biegu, jakby miały do nadrobienia wiele lat psychoterapii.

Sypał drobny śnieg. Było zimno, ale nie przenikliwie zimno, a ziemia, przysypana cienką warstwą śniegowego pudru, w szczególny sposób odbijała światło księżyca.

Sam księżyc za to był lekko przyćmiony. Choć nawet w połowie nie tak, jak on po wczorajszym. Jego ciało dopiero teraz mościło się z powrotem w swojej powłoce, a głowa na szczęście nie była już wielka jak balon i wypchana watą.

Szli przez pustkowia. Mieli wykopać zwłoki i perspektywa przełomu podziałała na jego opuchnięte szare komórki niczym sole trzeźwiące.

Na ramieniu niósł łopatę Tobiasza. Za sobą zostawili leśną gęstwinię, przeszli przez otwartą przestrzeń wrzosowiska i teraz szli jedną z wielu polnych dróg, które pokrywały ten ogromny teren jak drobna siatka maskująca.

Sam tylko z rzadka dorzucał jakąś krótką odpowiedź do potoku słów, który niespodziewanie wylewał się z Tobiasza. Był przygotowany na wielodniową, wyczerpującą batalię, tymczasem zdobycie zaufania eremity okazało się proste jak pstryknięcie palcami i podgrzanie pulpetów. Wiedział oczywiście, że tak szybki sukces zawdzięcza mentalnej kondycji swojego towarzysza i temu, że najwyraźniej oczekiwał na przybycie tajemniczego wybawcy z pewnością, z jaką czekałby na pociąg.

— Niels, mówiłeś, że zbierałeś butelki. To tak jak ja. Powiedz, dlaczego ktoś taki jak ty, kto był żołnierzem, robił coś takiego.

— Wtedy już nie byłem żołnierzem. I potrzebowałem pieniędzy. Teraz już nie zbieram. A ta twoja terapia — możesz mi coś o niej opowiedzieć?

Tobias rozłożył ręce.

— To nic więcej jak gadanie. Mnóstwo gadania, które zawsze kończy się w tym samym miejscu: w tobie samym.

Odkąd wyszli z wagonu, próbował nie słuchać Tobiasa, bo sam musiał zebrać myśli. Podsumować fakty. Teoretycznie ten, kogo szli wykopać, mógł być kimkolwiek. Był jednak przekonany, że przecucie go nie myli i ciało okaże się być siedemdziesięciosześcioletnim Poulem Hansenem, który dostał wprawdzie oświadczenie o stanie terminalnym, lecz ktoś ubiegł chorobę i go zamordował.

— Ja też chodzę na coś w rodzaju psychoterapii — powiedział i położył rękę na ramieniu Tobiasa. Ten natychmiast się zatrzymał.

— Naprawdę? *Dlaczego?*

Wzruszył ramionami i odparł:

— Bo... mówią, że zdrowo jest rozmawiać... o rzeczach, z którymi człowiekowi trudno się żyje. A mnie trudno się żyje z tym wszystkim, co widziałem i przeżyłem na wojnie.

— Też masz głos, tak jak ja — albo więcej głosów?

— Nie, to nie to... Ja widzę różne rzeczy, kiedy śpię w nocy. Czasem też w dzień. Ale nocą jest najgorzej. Dobra, Tobias. Chodźmy dalej. Daleko jeszcze?

— Z dziesięć minut.

Szli dalej polną drogą, która stopniowo zmieniała się w śnieżnobiałą rzekę wcinającą się między ciemne świerki, których korony niemal stykały się po obu jej stronach.

— A gdy nie przebywasz w swoim wagonie, to gdzie mieszkasz?

— W różnych miejscach. W wynajętych pokojach, ośrodkach pomocy, mieszkaniach przejściowych, mieszkaniach dzielonych, tego typu miejscach.

— I mówisz, że się leczyłeś.

— I to nie raz. W szpitalu też. Ale teraz człowieka wypisują, ledwie się zdąży wejść na oddział. Mówią, że brakuje łóżek. I że za dużo kosztujemy. Nikt nie chce płacić za tych, którzy mają być na *psychiatrii*, jak to nazywają. A ty, Niels, byłeś na *psychiatrii*?

Pokręcił głową.

— Nie, nie byłem.

Zastanawiał się, czy nie powinien zadzwonić do Margrethe i powiedzieć jej, że za dziesięć minut wbije łopatę w grób Poula Hansena. I że mają w związku z tym do czynienia z dwoma niewyjaśnionymi zabójstwami — starego właściciela ziemskiego i emerytowanego funkcjonariusza PET z potoku. Postanowił nie dzwonić. Teoretycznie mogli z ziemi wyjąć kogokolwiek.

— Tobias, powiedz, znasz Harrildholm?

— To gospodarstwo?

— Tak.

— Jasne, że znam.

— A mężczyznę, który tam mieszka — znasz?

— No nie, ale wiem, jak wygląda.

— Chciałem go odwiedzić, ale zniknął. Może to jego ciało zakopano?

Tobias znów zatrzymał się i spojrzał na niego wielkimi oczami.

— Tak myślisz? Dlaczego?

— Bo, jak powiedziałem, zniknął. Zwyczajnie przepadł. A tylne drzwi jego domu były otwarte.

Tobias wyglądał, jakby się wahał. W końcu zebrał się na odwagę i spytał:

— To dlatego mieszkasz w tym domu? Żeby go znaleźć? To twoja rodzina? Albo przyjaciel?

Zdziwił się i spojrzał pytająco na swojego towarzysza, który szczerze go zaskoczył.

— Skąd wiesz, że mieszkam w Harrildholmie?

— Bo... — Tobias był wyraźnie zmieszany i bał się dokończyć.

— Śmiało, mnie chyba możesz powiedzieć, prawda?

— No, dobrze. Widziałem cię. Wiele razy. Wieczorami.

— Więc czasem podczas swoich wędrówek zachodziłeś do gospodarstwa?

Tobias ochoczo przytaknął.

— Wczoraj wieczorem też cię widziałem. W oknie w pokoju. Ale z daleka. Chwilę stałem i się przyglądałem. A ty tylko chodziłeś w kółko, prawda?

Więc nie tylko włóczył się po nocy bez celu. Był też podglądaczem. Gdyby został dłużej, załapałby się również na jego pijackie salto z butelką pod drzwiami.

— Ale wczoraj wieczorem nie podszedłeś blisko?

Tobias pokręcił przecząco głową.

— A zdarza ci się czasem podejść bliżej, tak że możesz zajrzeć do środka?

— Nie! Nigdy!

Pośpieszne i żarliwe zaprzeczenie dowodziło niezbitcie, że owszem, zaglądał. Spróbował nieco złagodzić jego wzburzenie i nawiązać nic porozumienia. Zaczął niepewnie:

— Jak mieszkałem w Kopenhadze, to wydawało mi się nawet, że miło jest czasem popatrzeć, jak żyją inni ludzie. Jak odpoczywają wieczorem na kanapie, oglądają telewizję i takie tam. Lubilem czasem popatrzeć na to, czego sam nie miałem. Czego nie mam... — sprostował.

— Hm. No, może czasem też mi się wydaje, że to przyjemne. Ale tutaj nie mieszka za dużo ludzi. A ja nie jestem wścibski. Ja tylko pilnuję, co się dzieje, rozumiesz?

— Jasne. I dobrze, że ktoś ma na wszystko oko — zapewnił go i mimo wszystko był zaskoczony. Czuł przecież, że jest obserwowany. Że ktoś stał w ciemności pod domem i go obserwował. I okazało się, że to była prawda. Że to Tobias, który kręcił się po okolicy, żyjąc we własnym świecie — i zaglądał do świata innych. Być może z tęsknotą. Znał to z własnego doświadczenia. Nie zaglądanie ludziom do okien, ale to uczucie, gdy światła w oknach obcych ludzi w pełni uświadamiają człowiekowi, że stoi poza nawiasem, sam pośród mroku.

Spojrzał z boku na Tobiasa, który ciężkim krokiem ruszył przed siebie. Teraz przynajmniej zweryfikował — i poznał przyczynę towarzyszącego mu wrażenia, że jest obserwowany. I odrobinę mu ulżyło. To nic groźnego. Tylko pustelnik z dziury w ziemi.

— I nigdy nie widziałeś w Harrildholmie nic dziwnego albo tajemniczego?

— Nie. Parę razy widziałem właściciela. Jak siedział w kuchni albo przy biurku w pokoju obok.

— A może miał czasem gości?

— Nie-e. Zawsze był sam. Czasami siedział do późnej nocy. Zaraz będziemy na miejscu — dodał Tobias. Odbił z drogi i ruszył po śladach kół znikających między gęstymi świerkami.

Przestało sypać. Korony drzew były tak duże i gęste, że tu nie było ani śladu bieli, tylko mrok. Nawet w dzień musiał tu panować półmrok, bo czuł pod stopami, że podłoże składa się głównie z mchów, które wraz ze zwiędłym igliwem tworzyły miękki, sprężysty dywan.

Odtąd szli w milczeniu. Słowotok Tobiasa się wyczerpał. A może po prostu, w miarę jak zbliżali się do celu, jego myśli pochłaniało to, co miało się wydarzyć.

Szlak wyznaczony koleinami zakręcał łagodnym łukiem i teren zaczął się wznosić. Mieli za sobą godzinę marszu i czuł się teraz, jakby byli na końcu świata.

Tobias przyśpieszył. Przed nimi nagle błysnął biały splacheć śniegu. Koleiny kończyły się na niewielkiej polanie, której blask księżycyca przydawał mistycyzmu.

— To tu. W tym miejscu — powiedział Tobias, kiedy stanęli na jej skraju.

Jeszcze chwilę stał i się rozglądał, po czym ruszył w stronę zarośli po drugiej stronie, odwrócił się, znów powstał chwilę i ruszył w kierunku przeciwnym, jakieś dwadzieścia metrów do najbliższego większego drzewa po swojej lewej. Oszacował odległość od pni drzew, zrobił kilka kroków w przód i obcasem zaznaczył na podłożu dokładną lokalizację.

— To tu, Niels.

— Na pewno? — Włączył latarkę i przesunął snopem światła po nagich pniach i ciężkich, zielonych iglastych gałęziach.

Tobias pokiwał głową.

— Poświecisz mi, gdy będę kopał?

— Wolałbym nie. — Tobias odsunął się w popłochu, gdy tylko zobaczył, jak zdejmuje łopatę z ramienia i wbija ją w ziemię.

— Czyli tutaj?

— Dokładnie. Zawsze zwracam uwagę na takie rzeczy.

— A ty w którym miejscu byłeś tamtej nocy? — spytał.

— Tam, za krzakami. Zobaczyłem światła kawałek za koleinami i od razu się schowałem. To był quad. Czterokołowy motocykl.

Wiesz, co to jest, Niels?

— Jasne. I mówisz, że przyjechał quadem?

— Uhm. Zdjął zwłoki z maszyny i przyciągnął tutaj. Potem zaczął kopać dokładnie tu, gdzie stoisz. To było najbardziej złe, świecące oko, jakie kiedykolwiek widziałem po nocy.

— Złe oko?

— Najczystsze zło. Ten mężczyzna był jak upiór, który dokopywał się do wnętrza ziemi. Może to jest jego królestwo, jednookiego upiora?

— Ale oko? Yyy, chyba nie wiem do końca, co...

— Czołówka, Niels. To oczywiście była tylko czołówka, ale dla mnie wyglądała jak oko. Więc możesz sobie wyobrazić, jaki byłem przerażony, prawda?

Przytaknął, odłożył latarkę i zaczął rozgrzebywać grubą warstwę igieł. W ostatnich dniach nie było silnych mrozów, więc w wielu miejscach bez trudu mógł wbić łopatę w ziemię. To istotny szczegół. Bo ziemia była spulchniona tylko na określonym obszarze — gdy próbował kawałek dalej, ostrze łopaty napotykało zdecydowanie większy opór.

Zaczął kopać, kiedy mniej więcej zorientował się w wielkości i umiejscowieniu pola. Trochę to zajmie. Nie wiedział, jak głęboko będzie musiał kopać. Na początek skupił się na niewielkim kwadracie o boku długości pół metra. Szło sprawnie. Wybierał ziemię łopata za łopatą i odrzucał na kopczyk po swojej lewej.

Ani przez moment nie zwątpił w opowieść Tobiasa. To nie były majaki. Scena, której był świadkiem, zbyt mocno nim wstrząsnęła, aby mogła być wytworem chorej wyobraźni. Wstrząsnęła nim do tego stopnia, że ze swoich dwóch głosów — prawdziwego i tego, który go nęka — stworzył własną wizję, zapowiedź, że przyjdzie ktoś, przed kim będzie mógł ulżyć sumieniu i kto wybawi go z kabały, w którą przypadkiem się wplątał.

I ten ktoś właśnie przekopywał się do Chin.

Podświetlił wyświetlacz w zegarku. Była dopiero za dziesięć ósma. Ile czasu mu to zajmie? I czy spod ziemi wyłoni się Poul Hansen?

Utrzymywał dobre tempo, od którego szybko pot zrosił mu czoło. Dół był głęboki na jakieś pół metra, a ostrze łopaty wciąż nie trafiło na nic niezwykłego. Spojrzał na Tobiasa, który w skupieniu i uważnie przyglądał się jego pracy z bezpiecznej odległości. Raczej nie mógł dostrzec zwątpienia w jego spojrzeniu, ale mimo to zapewnił:

— Ono tam jest, Niels. Musisz tylko kopać głębiej.

Ustawił latarkę, by lepiej widzieć, i kopał dalej, powiększając obszar prac, aby łatwiej mu było pogłębić otwór. Tych kilka stopni na minusie nie dawało wystarczającej ochłody przy ciężkiej pracy. Teraz pot niemal z niego tryskał, ale kopał dalej, nieprzerwanie.

Był na głębokości mniej więcej metra, kiedy nagle się zatrzymał. Łopata natrafiła pod warstwą ziemi na coś miękkiego. Rozgrzebał nieco to miejsce, po czym wziął latarkę i poświecił. Wyraźnie widać było fragment ciemnozielonej plandeki, takiej plecionej z plastikowych nitek, które za parę groszy można kupić w każdym sklepie budowlanym.

W końcu trafił na zwłoki.

Rozdział 49.

7 grudnia 1963

Zapach czystego lnu był pierwszym, co przedarło się do jej świadomości. Cienką strużką wnikał do jej nozdrzy jak posłaniec niosący wiadomość: jesteś w dobrym i bezpiecznym miejscu.

Nie otwierała oczu, tylko dalej, coraz intensywniej, chłoneła otoczenie. Len to była pościel. Sztywna w miejscach, gdzie jej krawędź dotykała skóry — na ramionach, przy szyi, wokół kostek i na stopach. Było jej ciepło, ale nie za ciepło. Miętko, ale nie za miętko. Było cicho, ale w tle słychać było jakiś hałas. Słaby — jak przejeżdżającego w oddali samochodu.

Gdzie była?

Z mozołem zaczęła uruchamiać świadomość. Gdy obudziła się na tyle, że wszystko zaczęło do niej wracać narastającą falą, która na koniec uderzyła w nią z całą straszliwą mocą, w głowie utknęło jej jedno wyraźne wspomnienie — że pragnęła śmierci.

Czy to właśnie się stało? Czy w królestwie zmarłych przygotowano dla niej łóżko ze świeżą pościelą?

Z bardzo bliska dobiegło ją chrząknięcie i natychmiast otworzyła oczy. Szybko omiotła wzrokiem twarz wokół łóżka, a potem raz jeszcze, dużo wolniej. Zatrzymywała wzrok na każdym z członków swojej rodziny.

Wszyscy byli w odświętnych ubraniach.

I wszyscy płakali — z wyjątkiem taty. Jego twarz była nieruchoma, jak wykuta w skale. Tylko drzenie zaciśniętej szczęki zdradzało, że żyje.

Rodzina... najukochańsi ludzie. Gwałtowne emocje zacisnęły jej gardło i z trudem łapała powietrze.

Zamknęła powieki i czuła, jak zbiera się pod nimi ciepły płyn. Łzy popłynęły po policzkach i dalej, na szyję.

— Dziecko... Boże drogi, dziecko...

Poczuła, jak czyjaś chłodna dłoń ujmuje jej rękę i głaszcze ją delikatnie. To była dłoń mamy. Dłoń, którą zawsze rozpozna.

Zbliżyli się do jej łóżka i ostrożnie dotykali białej pościeli, czule głaskali tkaninę, odszukując pod spodem kontury jej ciała.

Ogromny, palący wstyd nie pozwalał jej ponownie otworzyć oczu. Upokorzenie, upodlenie, zasysające ją od środka poczucie, że jest brudna, zbrukana. Że nie jest godna leżeć w tej czystej, delikatnej pościeli.

Starszy lekarz szedł korytarzem niemal bezdźwięcznie w swoich białych drewniakach. Na korytarzu było pusto, jak to w sobotę. Sobota w szpitalu to dzień jak każdy inny, jednak spokojniejszy. Za to wczorajszy ranek był koszmar. Bardzo daleki od wyobrażeń o tym, jak powinien się zaczynać dzień w miesiącu świątecznym — spokojnie i w przyjemnej atmosferze wyczekiwania.

Siedział teraz z kawą i kanapką z serem w swoim kantorku i słuchał w radiu wiadomości o dwunastej. Głową niemal dotykał odbiornika, bo słuch już miał nie ten co kiedyś.

Pogrążył się w rozmyślaniach. Zastanawiał się, co też porabiają jego żona i dwójka dorosłych dzieci, które z własnymi pociechami zjechały do domu na pierwszy prawdziwie świąteczny weekend. Rano w drodze do pracy mijał dzieci idące do szkoły. W soboty mają skrócone lekcje, więc niedługo i one będą mogły zacząć świętować. Jego wnuczki były jeszcze za małe. Najstarsza pójdzie do szkoły po wakacjach.

Myślał właściwie w kółko o tym samym. Któregoś dnia Laura i Helga będą miały tyle lat co dziewczyna, którą przywieziono wczoraj. Jak strasznie muszą cierpieć jej rodzice?

Sam też był roztrzęsiony. W całym ciele czuł nieustanny niepokój. Na niczym się dziś nie umiał skupić.

Ostrożnie pchnął drzwi do jednoosobowej sali na końcu korytarza i przystanął w nich na chwilę.

Leżącą w łóżku dziewczynę widział z tej odległości niewyraźnie. Złote włosy na białej poduszce okalające twarz o ładnych, regularnych rysach. Jej rodzina, której dopiero dziś pozwolono na odwiedziny, stała blisko łóżka. Wszyscy mieli

pochylone głowy i albo trzymali dziewczynę za ręce, albo kładli dłonie na kołdrze.

Wszyscy milczeli. W pokoju panowała absolutna cisza.

Nikt nie dostrzegł jego obecności. Powoli się wycofał i dyskretnie zamknął za sobą drzwi.

Wczoraj osobiście przyjął dziewczynę na oddział. Przywiózł ją kierowca ciężarówki. Wniósł ją w silnych ramionach głównymi drzwiami. Znalazł ją w rowie, ledwo żywą i z poważnymi obrażeniami. Wieloma, bardzo wieloma obrażeniami.

To była ta biedna dziewczyna, która zaginęła po świątecznym balu w Fasterholt.

Jeden z policjantów komendy miejskiej wpadł zaalarmowany już po kilku minutach, zanim on sam zdołał choćby pomyśleć, żeby zadzwonić na policję. Okazało się, że żona policjanta była pielęgniarką i miała akurat dyżur.

Do obdukcji musieli wezwać biegłego z zakresu medycyny sądowej, ale ten nie odbierał telefonu. Wysłano policjanta pod adres lekarza, ale okazało się, że nikogo nie ma w domu. Sąsiad powiedział, że dzień wcześniej cała rodzina wyjechała na północ Jutlandii na złote gody rodziców lekarza.

Można by pomyśleć, że przewidziano taką sytuację i istniał jakiś grafik dyżurów, ale okazało się, że nie. Dlatego sam musiał zbadać poszkodowaną. Od zewnątrz i wewnątrz.

Miała ślady pobicia. Na twarzy też, ale najwięcej na ciele. Na plecach, pośladkach, udach i w okolicy sromu. Giętką witką, różgą, biczem lub czymś podobnym.

Badanie ginekologiczne milcząco wykrzyczało resztę prawdy. Okrutnej i nieludzko brutalnej prawdy o tym, co człowiek zrobił drugiemu człowiekowi...

Gdy tylko dziewczyna doszła do siebie, a jej stan się ustabilizował, pozwolił śledczym z nią porozmawiać, bo siłą rzeczy czas odgrywał ważną rolę. Zastrzegł jednak, aby rozmowa była możliwie najkrótsza. Dwaj detektywi, stanowiący całą dochodzeniówkę komendy w Brande, stawili się w komplecie — czyli Kaspersen, szef, i jego współpracownik, młody Hagemann.

Dziewczyna nie była w stanie udzielić im żadnych spójnych informacji, nie podsunęła żadnego tropu, od którego mogliby zacząć. Tylko dlatego pozwolił im przyjść ponownie dzisiaj. Ale dopiero po tym, jak rodzina się z nią zobaczy. I gdy dziewczyna jeszcze trochę odpocznie.

Był lekarzem od trzydziestu siedmiu lat. A mimo to od wczoraj nie potrafił się otrząsnąć. Lodowaty strach, jaki zmroził go wczorajszego poranka, pomimo niespokojnie przespanej nocy wciąż nie odpuszczał.

Wrócił do siebie i próbował mentalnie przygotować się do rozmowy z rodzicami, która nastąpi, kiedy pielęgniarka zapuka do sali dziewczyny i powie, że muszą kończyć odwiedziny. Czyli wkrótce.

Rozdział 50.

Ciekawość Tobiasa wygrała z jego strachem, lecz nawet mimo to zbliżył się do rozkopanego grobu tylko na kilka kroków — i wciąż nie chciał potrzymać latarki.

Po obu stronach dołu wyrastały nasypy wykopanej ziemi. Za chwilę usunie ostatnią łopatę ziemi i w pełni odsłoni zwiniętą jak dywan plandekę znajdującą się na głębokości mniej więcej metra.

Przerwał i rękawem otarł pot z czoła. Był to pot poalkoholowy, pożyteczny, bo jeśli zostały mu w ciele jeszcze jakieś resztki trucizny, to teraz pozbył się ich ciężką pracą.

Machnął łopatą jeszcze parę razy, a resztę ziemi odgarnął rękoma. Już miał się schylić, żeby wyjąć plandekę na powierzchnię, kiedy o czymś sobie przypomniał. Jako niedoszły absolwent szkoły policyjnej powinien był o tym pomyśleć już na samym początku, jako o czymś oczywistym.

Zdjęcia.

Należało zrobić zdjęcia i udokumentować to, co właśnie zrobił.

Nawet jeśli tego, co właśnie zrobił, absolutnie robić nie należało — zamiast tego należało niezwłocznie powiadomić lokalną komendę o tym, co usłyszał od naocznego świadka, i przekazać policji dokładne instrukcje, jak odnaleźć to miejsce.

Wyszedł z dziury i wyjął telefon. Zdjęcia z miejsca znalezienia zwłok były obowiązkowe. Nawet jeśli złamał prawo, osobiście machając łopatą, zdjęcia i tak mogą stanowić rodzaj materiału dowodowego, który może mu się przydać, jeśli sytuacja będzie tego wymagała.

Oddalił się na kilka kroków i wykonał serię zdjęć rozkopanego grobu, z każdej strony, z fleszem. Na koniec zrobił kilka selfie potwierdzających, że to on, Niels Oxen, wy dostał zwłoki z ziemi.

— Niels, po co to robisz?

— Żeby móc pokazać, jak to wygląda — i że to ja kopałem.

Znów wskoczył do dołu, telefon schował do kieszeni, pochylił się nad pakunkiem i szarpnął. Z trudem wydobył go na powierzchnię i przepchnął przez jeden z usypanych przez siebie wałów. Teraz Tobias niepewnie podszedł bliżej. Nie spuszczał oczu z zielonego rulonu.

On sam trącił pakunek czubkiem buta. Ciało było dobrze zapakowane. Długo musiał rozwijać zieloną plandekę. Czuł, że coś się nie zgadza. Proporcje. Wreszcie plandeka się skończyła i zobaczyli, co w niej było.

To nie był człowiek.

To był... wilk.

Smutny widok. I okrutna zbrodnia. Ale tyle dobrze, że to nie ludzkie życie zostało gwałtownie przerwane.

— *Wow* — wyrwało się zdumionemu Tobiasowi, który teraz podszedł całkiem blisko. — Byłem pewien, że to człowiek.

Sam wzruszył ramionami i pocieszył go:

— Tamtej nocy nie mogłeś tego wiedzieć, nawet jeśli świecił księżyc. Zobacz, zginął od strzału ze strzelby. Kula weszła tutaj.

— Kucnął i wskazał otwór wlotowy za tylną lewą nogą zwierzęcia. Futro wokół niej było posklejane krwią. W świetle latarki obejrzał dokładnie piękne, martwe zwierzę, w którym człowiek od zawsze widział bestię.

— To samica. Zaledwie druga dorosła samica na terenie Danii — wyjaśnił.

— Nie będzie młodych wilków na Harrild Hede — powiedział Tobias, głównie do samego siebie.

— Nie tym razem.

Wstał. Czuł wściekłość. Oczywiście było, że wilk został zastrzelony przed upublicznieniem nagrań z kamer leśnych. Czas, który spędził na obserwacjach w terenie, był czasem straconym. Nigdy nie zobaczy wilczej pary w środku nocy. Do tańca trzeba dwojga. A w tych lasach wilk był tylko jeden.

Był wściekły również dlatego, że po całej ciężkiej pracy wciąż tkwił w punkcie wyjścia. Nie chodziło o to, że chciał znaleźć martwego człowieka. On to po prostu wziął za pewnik — i był niemal pewien, że wykopie Poula Hansena, a tym samym pomoże śledztwu ruszyć z miejsca.

Tymczasem każde machnięcie łopata zbliżało go do... niczego. Śmiertelnie chory właściciel Harrildholmu był wciąż tak samo zaginiony jak przedtem. A przecucie, które mu podpowiadało, że Tobias coś wie, okazało się zarazem słuszne i kompletnie nietrafione.

— Ten sprawca — opowiedz mi jeszcze, jak wyglądał.

— Był stary — to znaczy miał mnóstwo zmarszczek na twarzy. Ciężko dyszał i co chwilę musiał przerywać. Nie tak jak ty, Niels. I palił papierosy.

— Rozpoznałbyś go?

Tobias przytaknął.

— Myślę, że tak.

— To draństwo strzelać do wilka. I poważne przestępstwo. Tobias, niewykluczone, że kiedyś się na niego natkniesz. Jeśli tak się stanie, to nic mu nie mów.

Przez chwilę w milczeniu patrzyli na wilka u swoich stóp.

— Co teraz zrobimy, Niels? — Tobias rozłożył bezradnie ręce.

Po krótkim namyśle odparł:

— Zawiniemy go w plandekę, wrzucimy do dołu i z powrotem zakopujemy.

Nie mógł sobie teraz pozwolić na zgłaszanie na policji historii, którą media podchwyciłyby w sekundę i rozdmuchały do niemożliwości. Wciąż miał na głowie zadanie do wykonania. I teraz będzie mógł się nim zająć nierozprasany przez wilki ganiające tuż pod powierzchnią świadomości.

Dobrze, że nie zadzwonił do Margrethe, by jej ogłosić, że idzie wykopać Poula Hansena z leśnej ściółki. Lepiej, żeby nie wiedziała o nękającej go wilczej gorączce i dzisiejszym fiasku.

Przyjechał na Jutlandię, aby się dowiedzieć, jakie gniazdo nieświadomie poruszyła, i dlatego przywłókł ze sobą akta jej dawnej sprawy, które kazał jej wrzucić sobie do skrzynki późnym wieczorem, bo tak mu się śpieszyło.

Najwyższa pora na poważnie się nimi zająć.

— Niels?

— Hm...?

— Nigdy mi nie powiedziałaś, dlaczego przyjechałeś do tego człowieka z gospodarstwa. To twoja rodzina albo znajomy?

— To jest... Dostałem takie zlecenie, żeby go odnaleźć. Muszę go zapytać o parę rzeczy, jeśli uda mi się go znaleźć.

— On ma quada.

— Hansen?

— Tak.

— W gospodarstwie go nie ma. Myślisz, że to mógł być on — że to on zastrzelił wilka i przywiózł go tutaj?

— Nie, to nie był on. Quad tego tutaj miał inne światła. Białoniebieskawe. Ten z Harrildholmu miał normalne światła, prawie żółte. Sam widziałem, przy potoku.

— Przy potoku?

— Kvindebækken, tak się nazywa.

— Chcesz powiedzieć, że widziałeś właściciela Harrildholmu na quadzie w pobliżu Kvindebækken?

— Tak. Dlaczego tak cię to dziwi?

— Kiedy to było?

— Bo ja wiem... Jakies trzy tygodnie temu. Wczesnie rano. Zarzuciłem na pstrągi i poszedłem sprawdzić, czy coś się złapało. Było jeszcze ciemno.

— I co on tam robił, ze swoim quadem?

— Nie wiem. Poszedł dalej w dół potoku, poniżej miejsca, gdzie łowię. Tam nie można łowić, więc się schowałem. Ale go rozpoznałem. Quada też, jest czerwony. Widziałem go wcześniej parę razy. Tutaj dużo ludzi ma quady.

— I nie widziałeś przy potoku nic podejrzanego? Nic nie znalazłeś?

— Nie. Ale powiedz, Niels, co miałbym znaleźć?

Wzruszył ramionami. Raczej nie było sensu tłumaczyć Tobiasowi, że przy potoku znaleziono ciało — kolejne ciało, tym razem niewątpliwie ludzkie.

Rozdział 51.

Ceną za zadzwonienie na sto dwanaście oraz odholowanie samochodu i samej siebie ze strefy zagrożenia na ruchliwym skrzyżowaniu były oczywiście pytania — cały grad pytań. Nie mogło być inaczej, skoro jej samochód stał na środku skrzyżowania stołecznej arterii z dwiema dziurami po kulach w przedniej szybie.

Uzbroiła się w cierpliwość i nie miała wątpliwości, że ta zostanie wystawiona na próbę. Jej koledzy z posterunku w Bellahøj robili dokładnie to, co do nich należało — brali ją w krzyżowy ogień pytań.

Już dawno udzieliła wyjaśnień do raportu dwóm funkcjonariuszom, którzy pojawili się na miejscu jako pierwsi i przywieźli ją ze sobą na posterunek. Wyjaśnień, które jej koledzy kwestionowali i traktowali z właściwym swojej profesji sceptycyzmem.

Sytuacja dla wszystkich była jasna, choć pokryta cienkim werniksem uprzejmości i procedur. Dwaj zwyczajni goście z policyjnej klasy robotniczej kontra przemądrzała pańcia z policyjnej arystokracji. Osobiście nie była zwolenniczką rozdziału Policyjnej Służby Wywiadowczej od pozostałych służb. Ale ten rozdział istniał — zarówno w praktyce, jak i mentalności.

PET strzelała hasłami wielkiego kalibru, typu „bezpieczeństwo narodowe”. Inne służby musiały się zadowolić wypisywaniem mandatów, ściganiem szantażystów, morderców, oszustów, sprzątnięciem bagna związanego z narkotykami i całego syfu, z jakiego składa się codzienność po ciemnej stronie życia.

Musieli się gimnastykować, by realizować sztywne cele, osiągać ładnie wyglądające statystyki, i wszystko to dokumentować absurdalną ilością papierów, jakby policja była fabryką konserw, a przestępczość towarem pakowanym w puszki. Efekt tej pracy w postaci rocznego bonusu zgarniali natomiast komendanci, rozliczani na podstawie wyników.

Dlatego *absolutnie* jej nie dziwiło, że dwaj policjanci w mundurach śpieszyli się powoli po tym, jak im powiedziała, gdzie pracuje. I że do znudzenia wałkowali tę samą historię. Była to cena, którą potrafiła zaakceptować i która nie umniejszała w żaden sposób szacunku, jakim darzyła swoich kolegów i ich ciężką pracę. Co nie przeszkadzało jej przeklinać ich w duszy i po stokroć wysyłać do piekła.

Siedziała teraz w małym pomieszczeniu o gołych ścianach. Spojrzała na zegarek. Minęło już kilka godzin, odkąd kątem oka dostrzegła, jak pasażer na motocyklu unosi dłoń, i instynktownie uchyliła się przed kulą, której się nie spodziewała.

Gdyby nie tamten odruch, nie siedziałyby tu z kubkiem wystygłej kawy, tylko leżała pod białym prześcieradłem, jeszcze bardziej wystygła niż ta kawa.

Tylko że teraz naprawdę nie miała czasu siedzieć tu i gapić się w ścianę. Została wciągnięta w jakieś tajemnicze porachunki z cieniami z własnej przeszłości — a za kilka dni upływał termin prezentacji wyników prac jej zespołu o sposobach reagowania wydziału operacyjnego w sytuacjach zagrożenia.

Oczywiście, że jej pierwsze wyjaśnienie złożone na miejscu było niewystarczające. Padła ofiarą przestępstwa, które mimo wszystko nie zdarzało się co dzień. Nawet jeśli wiele się zmieniło i gangsterzy coraz częściej rozwiązywali swoje problemy na ulicach Kopenhagi, dziurawiąc kulami sielankowy obraz krainy rowerzystów, z wesołym miasteczkiem tuż przy ratuszu, zamieszkałej przez bijących rekordy szczęśliwości ludzi, non stop z zaangażowaniem oddających się słodkiemu *hygge*.

W końcu przyszedł komisarz. Przedstawił się i z uśmiechem podał jej rękę, po czym lekceważąc ryzyko wrzodów i niestrawności, podszedł do termosu z kawą. Jego ludzie oczywiście wprowadzili go w temat, ale mimo to powiedział:

— Niezły syf, co? Chciałbym usłyszeć wszystko od ciebie. Możemy jeszcze raz dokładnie to omówić? Przyjechałaś z centrum — skąd dokładnie?

I dokładnie dlatego tak bardzo była wdzięczna za dobre serce mechanika samochodowego L.T. Fritsena. Dawny kolega z wojska Nielsa Oxena zgodził się potwierdzić jej wersję. Może

nawet już to zrobił przed którymś z policjantów. Bo nikt nie powinien wiedzieć, że odwiedziła Seana Struvego w Vestre.

— Oddałam samochód do warsztatu przy Amagerbrogade. Ktoś rzucił kamieniem w szybę... Corsa jest samochodem zastępczym. Mój własny miałam odebrać dzisiaj. Chociaż musieliśmy się źle zrozumieć z mechanikiem, bo okazało się, że wóz jednak nie był gotowy. Więc zwijam się i wracam, przez most Sjællandsbro i dalej, przez centrum do Søborga, żeby jeszcze popracować. Leje jak z cebra. Jest ciemno. Nie zauważam nic niezwykłego aż do skrzyżowania Bülowsvej-Ågade. Tam obok mnie podjeżdża motocykl. Siedzą na nim dwie osoby. Obie ubrane na czarno i w czarnych kaskach. Widzę, jak ta z tyłu podnosi rękę i pokazuje na mnie — tak mi się wydaje — i odruchowo się schylam. Bam. Bam. Potem dzwonię na sto dwanaście i kawaleria przybywa z odsieczą.

— Hm. I nic ci nie przychodzi do głowy?

Pokręciła głową.

— Nawet jeśli nie możesz powiedzieć, nad czym aktualnie pracujesz, to jesteś pewna, że to nie jest coś, co przynajmniej w teorii mogłoby sprowokować taką reakcję? Sprawić, że ktoś mógłby chcieć cię zabić?

— Dobrze się nad tym zastanowiłam. I nie — jednoznacznie, zdecydowanie nie.

— To raczej mało prawdopodobne, że dwójka świrów na motorze jeździ po mieście i strzela do przypadkowej srebrnej corsy. Więc gdzieś musi być pies pogrzebany. Zastanów się, Franck, dokładnie się zastanów.

— Już się zastanowiłam. I odpowiedziałam.

— Okej, skoro tak mówisz. A w przeszłości?

— To znaczy?

— Mamy w systemie, że dwanaście lat temu byłaś zamieszana w paskudną sprawę w Sydhavnen. Strzeliłaś i zabiłaś człowieka podejrzanego o zabójstwo podczas napadu na bank, a w każdym razie o udział w napadzie. Może to zemsta?

Komisarz Pedersen umieścił lotkę w oku byka, nie wiedząc nawet, że w ogóle trafił w tarczę.

— Jak sam powiedziałaś, to było dwanaście lat temu. Od tamtej pory nikt się o tym nie zająknął. Więc jeśli to zemsta, to czemu dopiero teraz? Nie, to zbyt naciągane — orzekła stanowczo.

— Może były inne istotne sprawy, którymi się zajmowałaś w przeszłości?

— Zajmowałam się wieloma. Ale żadna nie usprawiedliwiałaby konieczności pilnego przeprowadzenia mnie przez Styks. — Pedersen wyglądał jakby się zamyślił. — Styks, rzeka na granicy królestwa umarłych — dodała dla pewności.

— Tak, tak. — Komisarz tylko przytaknął i zdecydowanym ruchem wstał z miejsca. — U nas to wszystko. Resztę musisz załatwić u siebie w Søborgu. Rozmawiałem z twoim szefem. Ustaliliśmy, że dam ci ochronę na dziś wieczór i postawię dwóch ludzi pod twoim adresem. Jutro rano on przejmie pałeczkę.

Nie wiedziała, co myśleć. To jej poważnie krzyżowało plany, z drugiej strony było nieuchronne. Sama zareagowałaby podobnie, gdyby to była jej działka.

— Świetnie — powiedziała i spróbowała wyglądać na usatysfakcjonowaną.

Rozdział 52.

Nadal nie potrafił wyzbyć się wrażenia, że jest obserwowany, nawet po tym, jak Tobias przyznał się, że lubił z ukrycia zaglądać ludziom do okien — i że zachodził też do Harrildholmu.

Próbował się skupić, wyrobić sobie ogląd na sytuację — a potem poszukać nowych sposobów oceny dostępnych faktów. W tym celu robił kilka niespokojnych rundek po pustych pokojach, a kiedy w pewnej chwili przystanął pod jednym z okien wychodzących na podwórko i próbował przeniknąć wzrokiem czarną jak smoła noc, to wciąż mu się wydawało, że gdzieś tam są oczy, które go obserwują.

Ten wieczór nie przyniósł nic poza rozczarowaniem. Widok wilka zawiniętego w najzwyczajszą plandekę głęboko go poruszył. W tamtej chwili jego oczom ukazały się nie zwłoki zwierzęcia, ale martwego towarzysza broni. Zobaczył smutny koniec marzenia o parze wilków tańczącej wśród nocy.

Dłużej nie był w stanie ignorować wewnętrznego niepokoju. Wyszedł na zewnątrz i ruszył do stajni, by stawić czoła oczom w ciemności, których nie widział, a które tylko czuł. I które w dodatku, w niejasnych wizjach zrodzonych w tyle jego udręczonej głowy, należały do wilków, przyczajonych i wyczekujących na odpowiedni moment, by jednym susem tylnymi drzwiami wdrzeć się do domu i biegać po pustych pokojach. Szukając tam Bóg wie czego.

Warning, wolf overload.

To prawda, jego mózg od dawna był przeciążony wilkami. Dwie godziny temu pożegnał jednego z nich. Teraz pora przegonić pozostałe. Wówczas ten dzień mimo wszystko nie będzie do reszty stracony. Czasem trzeba dojść do końca drogi — aby ten koniec zobaczyć.

Gdzieś w tych ruinach okazałego wiejskiego gospodarstwa były szpary. Trzeba tylko znaleźć te właściwe i przytknąć do nich oko, aby ukazało się coś zupełnie innego, niż się można było

spodziewać. Aby ukazała się odpowiedź. I to właśnie — skoro romantyczne wyobrażenia o tańczących wilkach legły w gruzach — było prawdziwym powodem, dla którego znajdował się obecnie w Harrildholmie: poszukiwanie odpowiedzi.

Kilkukrotnie wcisnął staroświecki kontakt na ścianie — na próżno. W oborze nie było światła. Wnętrze oświetlił sobie silnym snopem latarki.

Wyglądało na to, że w całym wschodnim skrzydle nie ma prądu. Albo żarówki się przepaliły, albo wysiadły korki, albo instalacja przestała działać. Mimo to chciał od razu zrobić wstępną inspekcję, chociażby tylko po to, by zrobić cokolwiek. Obiecał sobie, że później, w świetle dnia, sprawdzi każdą deskę i zajrzy pod każdy kamień — jeśli będzie trzeba, rozłoży ten dom na czynniki pierwsze, aby znaleźć odpowiedź.

Budynki gospodarcze obszedł wcześniej tylko raz, kiedy razem z Magnusem pobieżnie obejrzelni gospodarstwo. Wtedy stwierdził jedynie, że wyglądało jak skansen z szopami pełnymi rupieci i starych maszyn rolniczych.

Teraz snop światła również pokazywał mu zabytki, ale tu musiało być coś jeszcze. Coś, co wtedy przeoczył. Tobias powiedział, że Poul Hansen miał quada. Pojazd najwyraźniej zniknął bez śladu.

Powoli ruszył chodnikiem biegnącym przez środek pomieszczenia. Po obu stronach nadal były boksy dla zwierząt — albo wspomnienie po boksach. Zardzewiałe pręty i kawałki spróchniałego drewna wystające ze ścian. Przez jakieś dwieście lat trzymano tu krowy. Gdyby wtedy ktoś przewidział chorą rzeczywistość, w której uczciwemu rolnikowi nie będzie się opłacało produkować uczciwego mleka, to ludzie pukaliby się w czoło. A gdyby dorzucił szaloną przepowiednię, że powstanie rodzaj europejskiej federacji, której rząd będzie płacił gotówką każdemu, kto zechce swoje krowy z obory wyeksmitować, to już na bank wylądowałby w psychiatryku.

Stał na środku i próbował sobie wyobrazić życie, ciepło i zapachy, które musiały wypełniać tę przestrzeń. W sumie wystarczyło, by sobie przypomniał wakacje u wujka na wsi. To było...

Przestraszył się, gdy głośny dzwonek telefonu przeszył ciszę. Źle reagował na nagłe dźwięki, a ciągle zapominał ustawić wibracje. To była Margrethe. Więc go uprzedziła.

— Niels, chciałam ci tylko przekazać najnowsze wieści. Ale będę się streszczać. Jestem na posterunku w Bellahøj i czekam, aż mnie odwiozą do domu. Facet jadący na motorze jako pasażer próbował mnie zabić na skrzyżowaniu, kiedy wracałam do Søborga po widzeniu z Seanem Struvernem. Dwa strzały z bliskiej odległości. Ledwo zdążyłam się uchylić. Więc teraz dostałam dwóch ochroniarzy.

— Próbowali cię zabić?! Ale jak...

— Słuchaj. Nie mam pojęcia. Poza tym, że to musi mieć związek ze Struvernem. Tylko jak? Jak udało mu się to załatwić tak szybko? Musieli na mnie czekać pod więzieniem. Pozostaje pytanie — dlaczego?

— Złożyłaś zeznania — prawdziwe?

— Mam dziwne przeczucia co do tego wszystkiego. Nic nie powiedziałam.

Nim zdążył coś odpowiedzieć, rzuciła krótko:

— Muszę lecieć. — I się rozłączyła. Pewnie pojawili się jej koledzy, którzy odtąd będą mieli na nią oko.

Westchnął ciężko i usiadł na krawędzi starej taczki. Potem pochylił się w przód, oparł łokcie na kolanach i oświetlił latarką czubki swoich butów. W końcu ją wyłączył i próbował się skupić, siedząc w absolutnej ciemności.

Uliczna strzelanina na kopenhaskim skrzyżowaniu, dwa strzały wymierzone w Margrethe Franck... To wszystko zmienia. Wiadomość z pogrózkami wrzucona przez przednią szybę samochodu była poważnym ostrzeżeniem. Ale strzały... które, jak należy się domyślać, oddano, by zabić...?

I dlaczego? Dlaczego? Dlaczego?

Nie wydawał z siebie ani dźwięku, siedział tylko pochylony w przód, czołem dotykał kolan. Pozwolił, aby ciemność pochłonęła go całkowicie, gdy pod powiekami próbował zobaczyć porządek chronologiczny i jego konsekwencje.

Gdyby wyobrazić sobie *drogę*, jaką przemierzyła Margrethe Franck, jako wykropkowaną linię sięgającą jej przeszłości... To

gdyby przeszła ją całą, dotarłaby do miejsca, w którym stała dwanaście lat temu. Do przypadkowego podwórka na tyłach magazynu w Sydhavnen, gdzie za chwilę zabije człowieka, a sama straci nogę.

W tej chwili dopiero szła wykropkowaną linią. Ktoś obserwował ją z ukrycia. Może nieświadomie uruchomiła jakiś alarm i zwróciła na siebie uwagę tego kogoś? Jakby się potknęła o jeden z tych śmiertelnie groźnych drucianych odciągów, z którymi się zetknął podczas misji, przede wszystkim w Afganistanie.

Franck szarpnęła pierwszą linkę, kiedy pojechała się spotkać z bratem Jönssona. Zdetonowała wówczas nie bombę z zabójczymi gwoździami i śrubami, lecz ostrzeżenie w postaci rozbitej szyby ukochanego mini coopera.

Druga linka była rozciągnięta przy wejściu do więzienia Vestre i strzegła bandyty, Seana Struvego. Tym razem Franck podeszła na tyle blisko, że wróg uznał, że ostrzeżenie to za mało i należy ją usunąć.

Gdzieś w głębi gospodarstwa — może w innym skrzydle? — rozległ się jakiś dźwięk. Wsłuchał się uważnie. Nie był to dźwięk metaliczny ani głuchy — jeśli już, to raczej ostry. Jakby belka nośna skrzypnęła pod ciężarem. Drewno pracowało, zwłaszcza tak zmęczone jak to, które próbowało jeszcze chwilę utrzymać w pionie Harrildholm. Albo jakby kot coś przewrócił. W okolicy widział ich sporo. Albo kuna. Albo różowe słonie.

Przestał o tym myśleć. Wrócił na wykropkowaną linię wiodącą od obecnego życia Margrethe Franck do jej przeszłości.

Pieniądze z Gammel Kongevej. W zajętej przez policję gotówce brakowało trzech milionów trzystu tysięcy koron. Policja nigdy nie wpadła na ich trop, a Stuve i jego wspólnicy twierdzili, że Jönsson gdzieś je ukrył — wbrew wcześniejszym ustaleniom.

Tyle zapamiętał. Może ktoś, kto dotąd stał w cieniu, poczuł, że ziemia zaczyna płonąć, a Franck jest o krok od odkrycia, gdzie schowany jest łup?

A może to po prostu wyrównanie rachunków? W bracie Jönssona obudziła się uśpiona żądza zemsty, gdy zabójczyni jego brata pojawiła się bez zapowiedzi i zadała mu kilka zbyt bezpośrednich pytań? Nie. To mało prawdopodobne. Pragnienia

zemsty nie da się uśpić. I ono nie słabnie, a rośnie z czasem. Minęło dwanaście lat. Gdyby brat Jönssona chciał wziąć odwet, zrobiłby to już dawno.

To było coś innego, coś znacznie większego, co zostało uruchomione, kiedy wysłał Franck wycinek z gazety. Ktoś chował się w cieniu, ktoś, kto miał dużo do stracenia. Cienie Lupusa, których niejasne kontury Mossman zobaczył w młodości podczas zakrapianego pikniku policyjnego latem w Roskilde... I z którymi zetknął się ponownie wiele lat później na przyjęciu urodzinowym w Søpavillonen. Cienie, na których istnienie wskazywała jedynie poszlaka w postaci kawałka papieru z wielomilionową kwotą, znalezionego luzem wśród rzeczy pozostałych po byłym szefie PET.

Cienie, które według mieszkającego w domu starców komendanta strzegły równowagi sił albo naprawiały dawne błędy. Lupus miał okraść byłego dyrektora banku z fortuny, którą tamten sobie przywłaszczył. Lupus zaczął się na człowieka stojącego za pedofilską siatką i zepchnął go ze skały w Dolinie Motyli na Rodos.

Może to wszystko bujda. A może nie.

Miał mrowiące przeczucie, że Lupus wychodzi z cienia i staje się czymś namacalnym.

Nadal polował na wilka. Tylko wilk zmienił postać.

Wstał, ponownie włączył latarkę i wolnym krokiem ruszył dalej wzdłuż obory. Na razie postanowił zadowolić się tym, że w końcu z oddechu zaczął mu się wyłaniać niewyraźny, ale jednak, zarys sytuacji.

Wrażenie podróży w czasie wzmagała otaczająca go ciemność, z której wąski snop ostrego światła latarki wyłaniał fragmenty sprzętów pokryte grubą na palec warstwą kurzu.

Wszędzie były pajęczyny. Zasłaniały okna, zwisały luźno strzępami lub ciasno, rozpięte niczym sieci między kępkami słomy sterczącymi spomiędzy desek w suficie. Poczł cieką siatkę na czole i uszach, odgarnął ją i przeszedł do południowego skrzydła.

Tam mieściła się stodoła. Otwarta przestrzeń z eksponatami muzealnymi pod ścianą zewnętrzną. Z poprzedniego obchodu z

Magnusem zapamiętał młockarnię i snopowiązałkę.

Na ścianie nie znalazł kontaktu. Poświecił latarką wokoło i w górę. Dopiero teraz zwrócił na to uwagę. Dach był widocznie tak zniszczony, że ktoś bardzo dawno temu zdecydował się go wzmocnić. W poprzek krokwi, tam gdzie musiały być łąty, do jętek i wyżej, aż po kalenicę, przybito deski. Dziwnie to wyglądało, ale, jak widać, skutecznie wzmocniało nadwątloną konstrukcję.

Opuścił snop światła na cementową podłogę i spokojnie ruszył do przeciwległej ściany. Obok młockarni znalazł to, co powinien był znaleźć już za pierwszym razem, i uzmysłowił sobie, że tamten wstępny obchód był jednak zbyt pobieżny. Myślał wówczas tylko o tym, że zabrał Magnusa na wycieczkę, która od samego początku wydawała się porażką, i o niedawnej bójce w kuchni.

Nie był w pełni skupiony na powierzonym sobie zadaniu. W przeciwnym razie zauważyłby zaschnięte resztki błota na podłodze. Skierował latarkę na szeroką bramę znajdującą się w ścianie szczytowej. To były ślady opon. Quad Poula Hansena stał zwykle obok młockarni. Tobias się nie pomylił.

Przeszedł dalej i wszedł pod podtrzymywaną starymi belkami antresolę w rogu, na której składowano siano. Wóz stał pewnie na zewnątrz, a parobek widłami ładował siano prosto na stryszek. W tak dużym gospodarstwie jak Harrildholm pracowała pewnie gromada pomocników.

Z trudem rozsunął podwójne drzwi i bokiem przecisnął się do kolejnego pomieszczenia. Tam był kontakt, ale nie było światła. Wokół piętrzyły się rupiecie. Stare drewniane skrzynki wyglądały jak po owocach. A w rogu trup silnika od traktora, którego również nie zauważył, kiedy był tu z Magnusem. Dalej, w głębi, stał wóz konny, na hakach wbitych w ścianę wisiała splątana uprząż. Pod ścianą leżały dwie opony do traktora. Ich też wtedy nie zauważył, podobnie jak drabiny opartej o ścianę przy przejściu do następnego pomieszczenia.

Może w tamtej innej epoce trzymano tu konie? Poszedł dalej, do ostatniego skrzydła. Mijając drabinę, przesunął palcem po jednym ze szczebli. Niemal niezakurzony... Pobudzona kora

mózgowa odnotowała ten fakt, ale nie wiedział jeszcze, co z nim zrobić.

W ostatnim skrzydle musiał być chlew. Poznał po dużych boksach odgradzonych drewnianymi ściankami i długim cementowym korycie biegnącym wzdłuż chodnika. Tak samo było u sąsiada wujka. Boksy otwierało się, unosząc do góry drewniane zasuwę. Trudno powiedzieć, czy świnie były pierwszymi, czy ostatnimi, które ze zwieszonymi ryjami opuściły swój dom. Wszystko tu wyglądało na jednakowo zniszczone, zakurzone i oblepione skamieniałym, kilkudziesięcioletnim brudem.

W kolejnym pomieszczeniu znajdowała się wozownia, czyli dawny garaż. I tu kontakt działał. Świetlówka najpierw z cichym trzaskiem migąła, ale w końcu się uspokoiła.

Zapamiętał pług i brony, ale kompletnie nie zwrócił uwagi na to, że mieścił się tu również warsztat. Wtedy zależało mu, aby jak najszybciej uwinąć się z pracą i podjąć rozpaczliwą próbę uratowania ferii syna poprzez radykalne podniesienie ich standardu o hotel z basenem. Chciał chyba w ten sposób przeprosić chłopaka za to, że ma ojca idiotę.

Tym razem wszystko zbadał dokładnie. Na ścianie, pod którą stał stół roboczy, wisiała tablica z zardzewiałymi narzędziami, ale młotek leżący na stole był wyraźnie nowszy. Również śrubokręty, gwoździe i śrubki nie wyglądały na pochodzące z innej epoki. Na ścianie wisiało jeszcze duże radio tranzystorowe z wbudowanym odtwarzaczem kasetowym, zamknięte w kapsule czasu utkanej przez pająki.

Przeciwległy koniec stołu był uprzątnięty. Ktoś musiał go przetrzeć szmatką albo rękawem, bo nie pokrywały go zaskapy kurzu. Widać było ślady palców, a w zasięgu ręki leżały całkiem nowe obcęgi. Poul Hansen musiał nad czymś pracować miesiąc, dwa może trzy miesiące temu — albo dawniej, trudno powiedzieć. Był to w każdym razie jakiś znak życia.

Uznał, że górne oświetlenie jest jednak zbyt słabe. Włączył latarkę i poświecił wokół. Potem kucnął i omiół snopem światła podłogę. Zamigotały drobinki miedzi, a na podłodze pod stołem

wypatrzył odcięte końcówki przewodów w izolacji jasnoniebieskiej, brązowej i w żółto-zielone paski.

Poszedł dalej, do ostatniego pomieszczenia, które pełniło funkcję czegoś w rodzaju spiżarni. Stał tam stół ze staroświecką zasłonką z przodu. Gdy ją odsunął, na półkach znalazł przeróżne pudełka, butelki i słoiki. Niektóre wyglądały na słoiki z powidłami. Inne zawierały nieokreśloną czarną maź. W rogu stała zamrażarka skrzyniowa. Podniósł wieko i w nozdrza uderzył go silny odór. Na dnie stała woda, zabarwiona na czerwono od rdzy. Na wieszaku obok wisiały stare, połamane narzędzia ogrodowe.

Po drodze do wyjścia zajrzał jeszcze do starej szafki przy drzwiach. Okazało się, że to skrzynka elektryczna z przekaźnikami, bezpiecznikami i licznikami. Wszystko z czasów współczesnych, bo zamiast starodawnego czarnego bakelitu dominował jasnoszary plastik.

Poświecił latarką, żeby sprawdzić korki. Żadnego nie wybiło. Czyli prąd działał w całym Harrildholmie, tylko widocznie przepaliły się żarówki.

Wyszedł na zewnątrz i w ciemności skierował się z powrotem na tyły domu. Stał przed drzwiami pomieszczenia gospodarczego i przez chwilę zastanawiał się, czy nie powinien raczej wejść do środka i zabrać się od razu do przeglądania starych akt Margrethe. Dłużej nie mógł tego odkładać. Czerwona teczka była jego następnym zadaniem. Przyjrzeć się krytycznie każdemu zawartemu w niej słowu. Ale to za chwilę, teraz musi jeszcze...

Oddalił się od drzwi i stanął na środku podwórka. Gdyby się cofnął w czasie wystarczająco daleko, tu, na środku, stałby gnojownik. Okna pokoju były z tego miejsca widoczne jak na dłoni. Kiedy krążył po oświetlonym pokoju, każdy mógł go zobaczyć. Tobias stał zatem ukryty w cieniu bramy, jak widz w teatrze.

Nie mógł się wyzbyć wrażenia, że on sam znajduje się w tej chwili pod czymś czujnym okiem. Powoli obracał się wokół własnej osi, ale nic podejrzanego nie zwróciło jego uwagi.

To mogło oznaczać tylko jedno — musiał coś przeoczyć. I każdy, kto przeszedł szkolenie w Korpusie Łowców, wiedział, że w tej sytuacji również tylko jedno można było zrobić: zacząć od początku.

Kiedy ponownie wszedł do ciemnej obory, nie przemierzał pomieszczenia środkiem, lecz bokiem, przy ścianie. Latarkę zaś kierował bardziej w górę niż w dół. Najpierw przeszedł wzdłuż lewej, potem wzdłuż prawej ściany.

Okazało się, że niedziałające oświetlenie składało się z trzech opravek — jednej z żarówką i dwóch pustych. Innych kontaktów nie znalazł, za to na koniec z tyłu jednego ze słupów nośnych zauważył gniazdko. Tkwiła w nim wtyczka z grubym czarnym kablem, który zniknął w szparze między deskami stropu. A skoro wszystkie korki i przełącznik były w porządku, to w kablu musiał płynąć prąd.

Na tyle dokładnie, na ile pozwalało mu światło latarki, obejrzał strop, ale wciąż nie znajdował na nim niczego poza imponującą okładziną z pajęczyn.

W stodole powtórzył procedurę z obory. Na samej górze były jarzeniówka i dwie oprawki z żarówkami na łątach. Obie żarówki były przepalone. Ponownie zwrócił uwagę na deski, które zasłaniały przerwy między łątami, i stwierdził, że cała stodoła była chyba w najgorszym stanie z wszystkich pomieszczeń.

Poświecił po ścianach i z tyłu jętki. Nad snopowiązałką zauważył kolejne gniazdko, tym razem puste. Była w tym jakaś niekonsekwencja, żeby pilnować korków, skoro i tak nie wymieniało się żarówek. I jeszcze te kawałki kabli pod stołem roboczym w warsztacie. Poszedł dalej wzdłuż ściany i dotarł pod stryszek na siano.

Tam, w rogu, zaczął odrywać belki, słupy i wsporniki, żeby sprawdzić, czy coś za nimi jest. Było. Wystarczyło, że oderwał najdłuższe deski, aby w rogu pokazał się czarny kabel, który prowadził w górę, na stryszek. Jego wtyczka tkwiła w kontakcie przy podłodze, w kącie, w którym stał.

Raz jeszcze poświecił wokół. Odnalazł drabinę stojącą obok gniazdko na ścianie zewnętrznej. Zakładał, że właśnie po to tu

była. Przystawił ją do krawędzi antresoli i sprawdził ostrożnie, czy go utrzyma. Kilka sekund później wspiął się na strych.

Leżały tam małe, porozrzucane kępki siana i słomy, wyglądały, jakby najłżejszy dotyk mógł je zmienić w chmurę pyłu. Ostrożnie sprawdził, czy utrzymają go również deski podłogi. Zaskrzypiały, ale wydawały się mocne. Powoli poszedł wzdłuż kabla przecinającego strych po przekątnej.

Kabel dochodził do krawędzi strychu i piął się po belce do otworu z pomalowanymi na czarno drzwiczkami. Przesunął latarkę po krokwiach.

Zatem miał rację. Mrok w Harrildholmie miał oczy.

Na końcu kabla znajdowała się kamera.

Natychmiast wyłączył latarkę, aby nie wzbudzać podejrzeń tego, kto mógł w tej chwili oglądać obraz z kamery w jakimś sekretnym miejscu na Ziemi.

Obiektyw kamery znajdował się przy szerokiej szparze, którą powiększono poprzez odłamanie kawałka deski. Ktokolwiek zamontował tu tę kamerę, mógł dzięki niej podglądać wąską polną drogę biegnącą do bramy wjazdowej Harrildholmu.

Akurat na kamerach znał się świetnie. Sam, kiedy mieszkał w gospodarstwie rybnym, rozmieścił w lesie wokół swojej chatki cały system monitoringu.

Sprzęt, który właśnie oglądał, był doskonałej jakości. Mógł dostarczać wyraźny obraz ludzi i zwierząt odwiedzających gospodarstwo zarówno w dzień, jak i w nocy. Był bezprzewodowy i sterowany czujnikiem ruchu. Zapewne gdzieś na niezliczonych kilometrach kwadratowych tego domu znajdował się twardy dysk rejestrujący każdą sekwencję, w której cokolwiek się poruszyło.

Więc na tym polegał ostatni projekt, jaki wykonano w warsztacie — zamontowanie nieznannej liczby kamer. Ale kto był jego twórcą? Zaginiony Poul Hansen? I w jakim celu?

Znów przez chwilę zastanawiał się, czy nie zadzwonić do Franck i nie powiedzieć jej, że w końcu — przynajmniej w jakimś stopniu — okazał się godny pokładanej w nim wiary i poczynił nieznaczny postęp. Ale nie. To zły pomysł. Franck znajduje się obecnie pod ciasnym kloszem policyjnej ochrony i może nie być

w stanie swobodnie rozmawiać. Z tym będzie musiał poczekać. Nagle okazało się, że czeka go sporo pracy, zanim będzie mógł się położyć.

Będzie musiał przy tym zachować najwyższą ostrożność i nie zdradzić się przed ukrytymi kamerami z tym, że je wytropił. Kabel w stajni też musiał prowadzić do kamery, której jeszcze nie zlokalizował. I niech tak na razie zostanie. Teraz najważniejsze to znaleźć dysk. To on jest kluczem do tajemnic Harrildholmu.

Mógł zrobić tylko jedno: iść dalej tym samym tropem. Twardy dysk potrzebuje zasilania...

Zszedł ze strychu i przeszedł do następnego pomieszczenia. Zlokalizował tylko jedno gniazdko, przy ścianie obok drzwi stajni. Było puste.

Wolno przesuwając światłem latarki tam i z powrotem. Po podłodze, po suficie, po sprzętach, skrzynkach na owoce, wraku silnika, wozie konnym, oponach traktora i gratach spowitych pajęczynami, kurzem i brudem.

Chwilę trwało, nim się zorientował, jak to wygląda. Jeden ze słupów nośnych został wzmocniony dodatkowym słupem. Niby nic dziwnego — a jednak. Bo wzmocniony słup nie był w stanie gorszym od pozostałych.

Kucnął i palcami odgarnął słomę i kurz. Pod spodem na cementowej podłodze zobaczył poszarpany ślad po ostrzu piły, a pod nim maleńkie ślady świeżych wiórów. Dodatkowy słup został przymocowany niedawno. Przylegał do oryginalnego słupa, ale dałby głowę, że uprzednio go wydrążono, by ukryć w nim gniazdko i kabel, który zniknął między deskami sklepienia. Ktokolwiek to był, tu zadał sobie sporo trudu.

Przyjrzał się sklepieniu. Innej możliwości nie było, chociaż zadanie utrudniała warstwa poprzecznych listew przybitych dla utrzymania konstrukcji w jednym kawałku. Był jednak pewien, że gdzieś pod spodem musi być schowek.

Zadanie przypominało trafienie jednomasztowca w grze w statki.

Obecność drabiny i fakt, że nie była pokryta stuletnią warstwą kurzu, skłoniły go do sprawdzenia wszystkich miejsc, w których

można było przystawić drabinę, bo nie były zasłonięte gratami. Za każdym razem próbował wypchnąć deski i za każdym razem na próżno.

Dopiero po wielu próbach, gdy posuwał się systematycznie w jednym kierunku i sprawdzał miejsce w miejsce, dotarł do rogu, w którym stał wóz. Po lewej brakowało obu kół i osie opierały się na ceglach. Pozostałe dwa koła były drewniane z metalowymi obręczami, przednie nieco mniejsze od tylnego. Do wozu można było zaprząć tylko jednego konia. Z przodu i z tyłu były szerokie ławy do siedzenia. Ostrożnie sprawdził, czy są dość mocne, zanim postawił nogę na schodku. Musiał się schylić, żeby nie uderzyć głową w sufit.

Tu ponownie oparł dłonie o deski i nacisnął. Za drugim razem puściło.

Pod jego naciskiem otworzyła się podłużna szpara szeroka na cztery deski. Wspiął się na wóz i stanął na ławce woźnicy zawalonej starymi workami z sianem i teraz udało mu się całkiem otworzyć ukrytą w suficie klapę. Otwór był na tyle duży, że mógł do niego wsunąć cały tułów.

Nie potrzebował latarki. Twardy dysk miał w zasięgu ręki. Leżał na małym kawałku płyty pilśniowej. Na dyskretnym wyświetlaczu świeciły jasnoniebieskie cyfry. Na dysku stał minimonitor, prawdopodobnie służący tylko do regulowania pozycji kamer.

Monitor był podzielony na sześć pól — sześć kamer. Przyglądał im się w skupieniu.

Na świecącym w ciemności monitorze dokładnie było widać, gdzie na terenie Harrildholmu rozmieszczone były kamery. Poza tą, którą już znalazł — na strychu na siano — tak jak podejrzewał, była jeszcze kamera w stajni, skierowana na chodnik biegnący środkiem pomieszczenia. Pozostałe cztery kamery były dla niego zaskoczeniem: jedna obejmowała podwórko aż do głównego wejścia do domu. Drugą zamontowano w dawnym chlewie, kolejną skierowano na wyłożony płytkami chodnik i tylne drzwi domu. Wreszcie ostatnia, która zdumiała go najbardziej, bo bardzo wyraźnie pokazywała stół kuchenny z jego wilczą mapą terenu i pozwalała

zerknąć do pomieszczenia przylegającego do kuchni, gdzie na podłodze nadal leżał stos papierów. Nie miał pojęcia, gdzie znajduje się kamera, ale perspektywa wskazywała na miejsce gdzieś nad szafkami.

Wrócił do obrazu z kamery numer pięć, obejmującej tylne wejście do domu. Obraz wydawał się padać pod nienaturalnie stromym kątem, więc kamera musiała być zamontowana na dużej wysokości. Na przednim panelu znalazł przyciski ze strzałkami. Czyli można było przewijać w przód i w tył, według życzenia. Na krótką chwilę niemal uległ pokusie.

Zapis z kamery mógłby mu pokazać, co dokładnie robił, kiedy w pijackim amoku wyszedł na zewnątrz. To mogłoby być ciekawe... Uznał jednak, że to zbyt ryzykowne. Mógłby zaalarmować tego, kto być może obserwował obraz z kamer.

Powinien teraz wrócić do domu i dokładnie rozważyć swój następny krok. Czy może w jakiś sposób wykorzystać to, że wie o istnieniu kamer? Czy powinien od razu przystąpić do działania i sprawdzić zawartość twardego dysku? I dowiedzieć się — o ile to możliwe — z jakiego numeru telefonu jest obsługiwany? Nie miał wątpliwości, że dostęp do dysku jest możliwy właśnie z numeru telefonu komórkowego. I gdyby miał ten numer, miałby również jego właściciela. Będzie musiał to wszystko dokładnie omówić z Franck, kiedy zadzwoni do niej jutro w godzinach pracy.

Przez to wszystko czuł satysfakcję, i to wielką, z tego, jaki obrót przybrał ten dzień. Był gotów spisać go na straty, tymczasem przyniósł prawdziwy przełom.

Znalazł klucz do tajemnicy Harrildholmu.

Zgiął kolana i ostrożnie zamknął klapę nad swoją głową.

Zdążył jeszcze kątem oka dostrzec ciemną postać, zanim padł cios. Silny i precyzyjnie wymierzony w głowę.

Rozdział 53.

Pierwszą, niejasną obserwacją, jakiej dokonał po przebudzeniu, było to, że nie może się ruszyć. Ani rękami, ani nogami. Leżał w nienaturalnej pozycji na czymś twardym, a kiedy wciągnął powietrze, siano połaskotało go w nos.

Długo trwało, zanim się domyślił, co się stało.

Ktoś wyczekał na odpowiedni moment. Nawet się nie zorientował, z której strony padł cios. Leżał tam, gdzie upadł — na starym wozie konnym.

Fakt, że nie mógł się swobodnie poruszać, wynikał stąd, że nadgarstki i kostki miał mocno związane starymi sztywnymi rzemieniami. W ciemności nie widział tego dokładnie, ale z metalowych elementów, które wyczuwał, domyślił się, że był to fragment starej uprzęży. Pewnie którejś z tych wiszących na ścianie albo walających się po podłodze.

Ten, kto go ogłuszył tak doskonale wymierzonym ciosem, nie zadał sobie trudu, aby związać mu nogi z rękoma. Nie związał mu nawet rąk na plecach, co było ze strony tego kogoś wielkim błędem, zaniedbaniem albo działaniem w pełni świadomym.

Podciągnął nogi w górę i pracując metodycznie czterema wolnymi palcami rozsuptał jeden z rzemieni wokół kostek. Potem, po jakimś kwadransie intensywnej pracy, rozwiązał ostatni z rzemieni, odwinął go i uklęknął. Palcami natrafił na gładki plastik. Wymacał znany, podłużny i wąski kształt latarki, która leżała na dnie wozu, tam, gdzie ją upuścił. Podniósł ją i usiadł na ławce woźnicy.

Siedział tak przez chwilę, trzymając latarkę oburącz, i zbierał siły. W końcu ją włączył. Wciąż działała, w jej świetle zobaczył gąszcz skórzanych rzemieni wokół swoich nadgarstków i pnących się wyżej, na przedramiona. Z tym nie pójdzie tak łatwo. Poświecił w górę. Nad głową miał czarną dziurę. Jego tajemniczy przeciwnik nie marnował czasu na zamykanie klapy.

Przez chwilę zastanowił się nad swoim położeniem, po czym wstał, wspiął się na siedzenie woźnicy i przytrzymując się dla równowagi związanymi rękoma, wsunął górną część ciała do dziury. Poświecił latarką. Właściwie tylko po to, by potwierdzić swoje przypuszczenia — twardy dysk zniknął. Na podłodze została po nim płyta pilśniowa.

Zaklął głośno. Był tak blisko. I znów jest tak daleko.

Powoli zgramolił się z wozu i na zdrętwiałych nogach przeszedł przez chlew do warsztatu. Tam poświecił wokół i się rozejrzał. Znalazł brzeszczot, wsunął go w imadło i mocno dokręcił.

Zaczął przesuwac rzemieniami po ostrzu, szybko i precyzyjnie. Wkrótce przeciął pierwszą warstwę rzemieni i od razu poczuł, jak rozluźnia się sztywny ucisk na nadgarstkach i przedramionach. Resztę zdjął już samodzielnie i krew ponownie zaczęła dopływać do zdrętwiałych kończyn.

Cios padł z tyłu po prawej stronie głowy. Wyczuł w tym miejscu rozcięcie i na palcach zostało mu trochę krwi. To drugi raz w ciągu doby. Za pierwszym razem sam się uderzył, gdy poślizgnął się na płytkach przy drzwiach. Może powinien chodzić w kasku... Na stałe.

Przydałby się zimny okład, choć niewykluczone, że i tak już za późno.

Gdy zmierzał do tylnych drzwi domu, przystanął na moment i obejrzał się za siebie. Gdyby od razu zdecydował się odtworzyć nagranie z twardego dysku, wiedziałby, co się, u licha, wydarzyło, kiedy był zamroczony alkoholem. Spojrzał w górę. Na pierwszy rzut oka najbardziej prawdopodobna wydawała się tylko jedna lokalizacja kamery — stary karmnik na ścianie szczytowej w budynku stajni.

Worek z mrożonym groszkiem musiał z mozołem odkuwać z lodowca wypełniającego mały zamrażalnik starej lodówki. Teraz był przytknięty do tyłu jego głowy, przytrzymany opatrunkiem z ręcznika kuchennego.

Znów siedział przy kuchennym stole. Zwinął już mapę z oznaczeniami i punktami obserwacyjnymi, które na nią naniósł. Kamery, która zaglądała mu przez ramię, kiedy siedział w tym samym miejscu trawiony wilczą gorączką, nie udało mu się

znaleźć. Wydawało mu się to dziwne, z drugiej strony niewykluczone, że jego przeciwnik miał dość czasu, aby ją rozmontować i zabrać ze sobą. Zresztą teraz to nieważne. Bez twardego dysku nie ma monitoringu.

Gdyby tylko zdążył dokładniej zbadać ten sprzęt i być może znaleźć spis numerów telefonów, mógłby odtrąbić prawdziwy przełom. A tak miał tylko dudniący ból głowy.

Zerknął na zegar kuchenny. Minęła północ. Miał przed sobą jeszcze wiele godzin, które mógł spożytkować na pracę. Był pewien, że tej nocy i tak nie zmruży oka. Nie po tak dramatycznym wieczorze.

Otworzył czerwoną teczkę z dwunastoletnią sprawą Margrethe Franck. Obok położył blok A4 i długopis. To była najwyższa pora.

Akta liczyły ponad sto pięćdziesiąt stron, i to po tym, jak Margrethe pominęła część dokumentów, a zostawiła jedynie podsumowania. Tym razem nie będzie kartkowania ani pobieżnego przeglądania. Począwszy od pierwszej strony, wczytywał się w tekst powoli i dokładnie.

Strona po stronie brnął przez akta. Robił notatki, zatrzymywał się od czasu do czasu i cofał do początku paragrafu. Starał się nakreślić w głowie przebieg śledztwa. Zobaczyć prelude do tamtego sądowego popołudnia — zarówno dla Franck, jak i Joakima Jönssona.

Kiedy był mniej więcej w jednej trzeciej, zrobił sobie przerwę i przejrzał własne notatki. Scenografia była minimalistyczna: podwórko w Sydhavnen. Obsada równie skromna: młoda policjantka Margrethe Franck, jej doświadczony partner z patrolu Klaus Trane i pospolity bandyta, pół Duńczyk, pół Szwed Joakim Jönsson, który miał na koncie kilka wyroków za pomniejsze przestępstwa i działał w różnych branżach, zawsze nielegalnych.

Poza trójką głównych bohaterów w wydarzeniu uczestniczyły trzy postacie drugoplanowe — gangsterzy: Sean Struve, John Iversen i Benny Trolle, którzy wraz z Joakimem Jönssonem obrabowali placówkę Danske Banku przy Gammel Kongevej.

Na stole rozłożył w szeregu kopie zdjęć pochodzących z dokumentacji kryminalistycznej z miejsca zdarzenia. Po raz

pierwszy zobaczył roztrzaskany samochód, którego użyto do ucieczki, wciśnięty w ścianę domu. Myśl, że właśnie tam, pomiędzy maską samochodu a ścianą utknęła noga Margrethe, właściwie nie wywołała w nim żadnych emocji, bardziej doprowadziła do logicznej konstatacji, że człowiek znajdujący się na linii ognia ryzykuje kalectwo albo śmierć. Tak po prostu jest.

Było też zdjęcie Joakima Jönssona z głową nienaturalnie wygiętą i opartą o kierownicę. Otwarte usta. Otwarte oczy. I otwór w czole jako świadectwo precyzyjnie oddanego przez Franck strzału.

Znów zajrzał do swoich notatek i zaznaczył kółkiem słowo „broń”. Margrethe powiedziała, że broni, z której strzelano w banku, nigdy nie znaleziono. Wyjaśnienie, że Jönsson skutecznie pozbył się jej w trakcie ucieczki, brzmiało wiarygodnie. Każdy wolałby uniknąć zatrzymania z narzędziem zbrodni przy sobie.

A jednak.

Człowiek uciekający przed policyjną obławą, świadomy, że może napotkać przeszkody, chciałby chyba móc w ostateczności ostrzelać pościg, aby otworzyć sobie drogę do wolności, czyż nie? Jönsson pokazał w banku, że nie zawahałby się użyć broni. Dlaczego więc nie zdecydował się mieć jej pod ręką?

Margrethe na dole kartki napisała odwołanie. Przekartkował dalej. Odwołanie dotyczyło stenogramów z przesłuchań pozostałych trzech bandytów. Wszyscy potwierdzali, że Jönssona wzięli ze sobą w charakterze strzelca albo *shootera*, jak to ujęli.

Tym bardziej dziwi, że miałyby się pozbyć pistoletu... Ponownie zakreślił kółkiem słowo „broń”.

Przeszedł do wydruku zeznań złożonych przez dwóch funkcjonariuszy, którzy jako pierwsi zjawili się na miejscu zdarzenia. Ich relacje były w pełni jednobrzmiące: na tyłach magazynu w Sydhavnen zastali swojego kolegę Klausea Tranego (K.T.) klęczącego przy koleżance Margrethe Franck (M.F.), która znajdowała się w ciężkim stanie po tym, jak uderzyła w nią maska samochodu. Odkoczywszy w bok, uniknęła zakleszczenia, ale doznała poważnych obrażeń i leżała na

asfalcie pod ścianą domu. Była nieprzytomna i miała zmiażdżoną nogę.

„Kiedy dotarliśmy na miejsce, K.T. sprawiał wrażenie, jakby był w stanie szoku. Jego zachowanie było nieracjonalne i chaotyczne. Wstał i chodził w kółko, przeklinając i krzykiem domagał się karetki”, mówił jeden z policjantów.

„K.T. postąpił prawidłowo, przekręcając kluczyk w poszukiwanym pojeździe i układając swoją koleżankę w pozycji bocznej ustalonej. Mimo to sprawiał wrażenie, jakby stracił głowę. Jakby nie był w stanie jasno myśleć. Kręcił się w kółko i przeklinał, i wołał na karetkę. Był mocno zaniepokojony stanem M.F.”, zeznał drugi.

Czytał dalej relacje obu policjantów.

„Poradziłem K.T., aby wrócił z nami na posterunek. Nie chciał o tym słyszeć. Powiedział — wzburzonym tonem — że sam odstawi swój radiowóz do garażu, zanim na komendzie uruchomione zostaną wymagane w takich sytuacjach procedury. Jego gwałtowną reakcją uznałem za zrozumiałą, zważywszy na to, co właśnie przeżył. Adrenalina tak szybko nie odpuszcza”.

Drugi policjant powiedział: „Stan K.T. zdecydowanie się poprawił po tym, jak przyjechała karetka i M.F. szybko przewieziono do szpitala. Wówczas już spokojnym głosem zapewnił, że nic mu nie jest. Sam odjechał radiowozem z miejsca zdarzenia i stanowczo odmówił, gdy jeden z kolegów zapytał, czy chce, aby sprowadzić na komendę psychologa”.

Hm. Wydawało się, że Klaus Trane rzeczywiście był głęboko wstrząśnięty tym, co się stało. Z drugiej strony krótki czas, jaki spędził w szkole policyjnej, wystarczył, aby mu uświadomić, że policjant, jak każdy człowiek, jest istotą w pełni odrębną i różną od pozostałych. Można oczywiście odpowiednio przeszkolić funkcjonariuszy, ale pod presją albo w sytuacjach stresowych zawsze będą reagowali w sposób indywidualny. Z komandosami było podobnie. Tyle że komandosami mieli z natury bardziej stabilną konstrukcję psychiczną. Dobierano ich według ostrzejszych kryteriów i szkolono w sposób z gruntu inny niż policjantów.

Nic dziwnego, że Trane był w szoku. Franck opisała go jako człowieka łagodnego i szlachetnego, co zdawała się potwierdzać jego głęboka troska o jej zdrowie.

Jak dotąd wszystko się zgadzało.

W zeznaniach samego Tranego też nie znalazł niczego, co mogłoby temu przeczyć. Starszy funkcjonariusz przyznał, że był w szoku — choć kilkakrotnie podkreślił, że w pierwszych minutach po przybyciu na miejsce zdarzenia zachował się prawidłowo: przekręcił kluczyk, by wyłączyć silnik samochodu, i zrobił dla Margrethe Franck wszystko, co mógł.

„Tylko cholernie szkoda, że nie trzymała się procedury i nie zaczęła na mnie, zamiast pchać się tam w pojedynkę”, powiedział między innymi.

Przypomniawszy sobie, jak Franck mu to tłumaczyła, kiedy siedzieli w jego mieszkaniu w Vangede przed kilkoma dniami: że w chwili, gdy wchodziła na podwórko, widok przesłaniał jej stos palet i nie widziała samochodu.

Przerzucił kartki i wyjął jej własne zeznanie złożone jeszcze w szpitalu. Szybko odszukał fragment, w którym opisuje, jak samochód pojawił się znikąd, z rykiem silnika, a ona znalazła się w potrzasku, z plecami przy murze.

M.F.: „Gdy tylko zobaczyłam samochód, wiedziałam, że nie zdążę odskoczyć”.

Przesłuchujący: „Czyli nie widziałaś samochodu — ale dlaczego nie słyszałaś silnika?”

M.F.: „Nie wiem... nie mam pojęcia. Może panował hałas. Tam są różne firmy. Z podwórka nie słyszałam silnika. Inaczej przecież bym zaczęła na Tranego”.

Przesłuchujący: „Chciałbym teraz, żebyś mi powoli i szczegółowo opisała moment, w którym zauważyłaś samochód, okej?”

M.F.: „W przedniej szybie odbija się słońce, więc niewiele widzę. Ale po lewej widzę jakiś ruch, dłoń, która unosi się, a po chwili opada”.

Przesłuchujący: „Dłoń trzyma jakiś przedmiot? Co to jest?”

M.F.: „Tego nie widzę. Ale dociera do mnie, że to może być broń. Wiem, że w banku oddano strzał. Samochód gwałtownie

przyśpiesza. Jedzie prosto na mnie. Koła się ślizgają. Nie uda mi się uciec. Jeśli pobiegnę, zmiażdży mnie. Decyduję się zostać na miejscu i oddać strzał — licząc, że zdążę odskoczyć w ostatniej chwili. Nie zdążam”.

Więcej Margrethe Franck nie pamiętała.

Uważnie obejrzał kilka innych zdjęć. Układały się w pełny obraz sceny na tyłach magazynu: rampa, mur, palety, światło i cienie. Wszystko tak, jak mu opisała Margrethe.

Zrobił kilka notatek, spojrzął na zegar ścienny i uznał, że ten dzień był wystarczająco długi i ciężki. Pragnął już tylko kilku godzin nieprzerwanego snu — niczego więcej.

Rozdział 54.

Borg czuł się nieswojo w designerskim fotelu. Miał wrażenie, że mebel jest za sztywny i zbyt udziwniony — oraz o wiele za drogi — aby jego na wskroś przeciętny korpus mógł się w nim wygodnie rozsiaść.

Bo też był prostym facetem, dinozaurem swojej branży i najchętniej nadal przedstawiałby się jako detektyw Borg, gdyby nie to, że kogoś takiego jak detektyw już dawno nie było. Funkcje rozmyły się we mgle, która spowiła cały krajobraz „firmy” po wielkiej reformie policji. Niektórzy nazwali to piątą duńską epoką lodowcową.

Nawet jego partner, Bertelsen, raptus i człowiek o zdecydowanie grubszej skórze, wiercił się niespokojnie na wymyślnym meblu.

Po nieskończeniu długim, w odczuciu Borga, czasie pojawił się Franz Riis, niosąc tacę z zapowiedzianymi trzema filiżankami kawy. Mężczyzna był niegdyś chłopakiem aktorki Cindy Johansen i z miejsca zaproponował, aby zaczęli spotkanie od filiżanki dobrej kawy — z naciskiem na *dobrej*. Obaj przytaknęli nieświadomi, ile czasu potrzeba, aby kawę uczynić dobrą.

Były makler rozstawił filiżanki na lśniącym szklanym blacie ławy i usiadł.

Znajdowali się w eleganckim śnieżnobiałym apartamentowcu z widokiem na morze w Havneholmen. Ściany przeszklone od podłogi po sufit były w tym miejscu równie oczywiste jak zamiłowanie do minimalizmu.

Borga zdumiewało, jak można się czuć przytulnie w otoczeniu wyłącznie prostych linii i surowych materiałów. Aby żyć w tak minimalistycznej scenerii, człowiek sam musiałby się zredukować i stać się tak minimalnym, że właściwie niemal zniknąć...

— Dziękuję — powiedział, wskazując ruchem głowy filiżankę, i próbował wyłączyć w głowie ten dziwny mechanizm, który od

pierwszej chwili niczym odkurzacz przemysłowy z fascynacją chłonał minimalizm całej tej okolicy.

— Bardzo tu... przyjemnie — skomplementował Bertelsen i z miną znawcy skosztował kawy.

— To prawda. Lubię Havneholmen — zgodził się Franz Riis. — Nad morzem, ale jednocześnie czuć tętno miasta. To również moje miejsce pracy. Urządziłem tu sobie biuro.

— Więc pan pracuje? — zdziwił się Borg i przyjrzał się uważnie wypachnionemu mężczyźnie odzianemu w czerń.

— Tak, trochę... Mam wykształcenie ekonomiczne. Pracowałem w ubezpieczeniach emerytalnych, instytucjach finansowych i spółkach inwestycyjnych. Mam naprawdę szerokie doświadczenie. Do tego akcje — od zawsze pracowałem w akcjach. Zostałem więc osobistym doradcą wąskiej grupy klientów, którzy mi ufają. Zarządzam ich portfelami inwestycyjnymi, ale również udzielam zwykłych porad finansowych.

— Z naszej wcześniejszej rozmowy z pana była partnerką odnieśliśmy wrażenie, że utracił pan zdolność do pracy — wtrącił się Bertelsen.

— I tak, i nie. Pracuję tylko kilka godzin dziennie. I mam sporo dni wolnych. Wszystko w zależności od tego... — Franz Riis postukał się palcem wskazującym w skroń.

— Więc wciąż odczuwa pan dolegliwości — domyślił się Borg.

— Ból głowy pojawia się i mija. Mam wrażenie, że luki w pamięci krótkotrwałej również nieco złagodniały w ostatnim półroczu, chociaż z tym wciąż nie jest najlepiej. Mam też problemy z utrzymaniem koncentracji przez dłuższy czas. To dlatego praca zdalna, którą mogę wykonywać, kiedy akurat jestem w stanie i dla ograniczonej liczby klientów, jest dla mnie optymalna.

Borgowi przemknęło przez myśl, że nieźle musi się zarabiać w tym fachu, skoro gościa stać, żeby siedzieć w takim miejscu i pracować w zależności od kondycji.

Możliwe, że Franz Riis wyczytał tę myśl w jego oczach, bo po chwili dodał gwoli wyjaśnienia:

— Nie jest to co prawda praca w pełnym wymiarze godzin, ale na wynagrodzenie nie mogę narzekać. Moje honorarium często stanowi prowizja od zysku, czyli przysłowiowy kawałek tortu. Staram się więc dbać, aby tort był wystarczająco duży — dodał z uśmiechem młody rekin finansjery.

— Hm, rozumiem. Zatem, przejdźmy do rzeczy. — Bertelsen odchrząknął i odstawił filiżankę. — Jak mówiłem przez telefon... Powodem, dla którego chcieliśmy z panem porozmawiać, jest Idris Nassar. Pracujemy nad sprawą, która go dotyczy.

Franz Riis pokiwał w milczeniu głową, a na jego sympatycznej twarzy pojawił się pełen napięcia uśmiech.

— Gdyby nie Idris Nassar, jak obecnie wyglądałoby pana życie? — Bertelsen zaczął od pytania otwartego. Lub wprowadzającego.

— Nie będę kłamał. Muszę przyznać, że sam dźwięk jego imienia wytrąca mnie z równowagi — powiedział Riis i przesunął się na krawędź kanapy. — Ten psychopata całkowicie zrujnował mi życie. I to w jednej chwili. Często o tym myślę... Gdybyśmy nie skręcili w przekłętą H.C. Andersens Boulevard. Gdybyśmy pojechali inną drogą. Albo pojawili się tam dwie minuty później, a nie tuż za tym obłąkanym bydlakiem.

— Utrzymuje pan kontakt z Cindy Johansen, prawda? — Borg również przesunął się w przód niewygodnego siedziska.

Franz Riis rozłożył ręce.

— Nie... nie bardzo. Nasze drogi się rozeszły. To również zniszczył Nassar. Oboje nie mogliśmy się otrząsnąć... ani fizycznie, ani psychicznie. Nie potrafiliśmy ruszyć z miejsca, rozpamiętywaliśmy to w kółko. To nas zżerało od środka. Staliśmy się wyłącznie dwiema ofiarami, nikim więcej, a pod koniec żadne z nas nie pamiętało już, dlaczego się pokochaliśmy. Nie wiem, czy potraficie to zrozumieć. Z nas dwojga ja ucierpiałem w ataku bardziej. Problemy z głową odebrały mi siły, całą chęć do życia. Miewałem gwałtowne spadki nastroju. Uznałem, że moje życie się skończyło. Myślę, że Cindy tego nie udźwignęła. I nie winię jej za to.

— A dziś... — Borg, szukając odpowiednich słów, pokręcił nieporadnie głową i wzruszył ramionami. Liczył, że Franz Riis

domyśli się, o co chce zapytać.

— Dziś jestem singlem, jeśli o to panu chodzi. I myślę, że powoli oswajam się ze swoim nowym życiem. Nie mam innego wyjścia, bo zdaniem lekarzy dawnego życia nie odzyskam nigdy.

— Cindy opisała wówczas waszą sytuację w gazecie... Jej tekst wywołał w mediach sporą burzę — przypomniał Bertelsen.

— To prawda. Powstał całkiem zgrabny felieton dla „Politiken”, wyważony, ale stanowczy. Cindy to nie tylko ładna blondynka i dzielna wojowniczką w lśniącej zbroi. Bo nie wiem, czy ją oglądacie w *Legends of the Vikings*. Na Netfliksie.

Obaj przytaknęli, choć nie całkiem zgodnie z prawdą.

— Chodzi mi o to, że... To bystra dziewczyna. Nikomu nie pozwoli wodzić się za nos. To w ogóle fantastyczna kobieta, pod każdym względem — dodał Franz Riis.

— Więc zgadza się pan ze stanowiskiem, jakie przedstawiła w „Politiken”? — Bertelsen chciał uzyskać konkretną odpowiedź.

— W stu procentach. Wcześniej wielokrotnie o tym dyskutowaliśmy. Wiedzieliśmy, że gdy pod tekstem pojawi się jej nazwisko, to media rzucą się na niego jak sępy na świeże mięso. I tak też się stało. Całkowicie popieram tezę, którą przedstawiła. Dla mnie punktem centralnym jej artykułu była dyskusja o pozycji ofiary. O tym, w jak minimalnym stopniu uwaga społeczeństwa koncentruje się na prawdziwej ofierze. Przestępcy natychmiast oferuje się rozmaite narzędzia korekcyjne, programy rehabilitacji i tego typu rzeczy. Albo śmieszne hasła w stylu *zarządzanie gniewem*. Tymczasem prawdziwa ofiara, choć też jest człowiekiem z krwi i kości... nie budzi najmniejszego zainteresowania. Mnie nikt nigdy nie zaproponował żadnych technik zarządzania czymkolwiek.

Borg nie skomentował gorzkiej konstatacji Riisa, lecz zapytał, ściśle trzymając się planu:

— A jak przyjął pan wyrok dla Idrisa Nassara? Sześćdziesiąt dni...

Franz Riis z rezygnacją pokręcił głową.

— Myślę, że zarówno Cindy, jak i ja najchętniej widzielibyśmy go przykutego na długie lata do ściany z kulą u nogi. Nie dlatego, abym w swojej naiwności wierzył w skuteczność

surowych kar. Ale dlatego, że jako społeczeństwo potrzebujemy jasno określonych zasad gry. Obecnie zbyt tanio wycenia się roztrzaskanie komuś głowy czy pobicie do nieprzytomności. A coś takiego potrafi zniszczyć człowiekowi życie. Czy kara odzwierciedla wyrządzoną szkodę? Nie, absolutnie nie. I każdy ponosi konsekwencje nadmiernego pobłażania. Również sprawca. Gdyby Idris Nassar dostał wtedy dłuższy wyrok, może nie musielibyście się ponownie nim zajmować.

Borg spojrział na Bertelsena. Riis właściwie przyszedł im w sukurs. Pora, aby włączył się Bertelsen.

— Tym razem to Idris Nassar jest *ofiarą*. Ktoś ukarał go w sposób wybitnie okrutny. Przebywa obecnie w szpitalu, po amputacji obu nóg i z rękoma uszkodzonymi w stopniu, który nie pozwoli mu skrzywdzić nawet muchy.

Tym samym dotarli do momentu kulminacyjnego, w którym obaj intensywnie wpatrywali się w reakcję Riisa. Ekspert od rynku akcji i zarządzania portfelami tylko nieznacznie zmrużył oczy. To wszystko.

— Chcecie powiedzieć, że kolejny atak Nassara obrócił się przeciw niemu? Myślałem, że...

Bertelsen przerwał mu i kręcąc głową, wyjaśnił:

— Nie. Prowadzimy śledztwo w sprawie przestępstwa przeciwko niemu. Jego rola w tej sprawie jest nieznana również jemu samemu.

Franz Riis odchylił się na kanapie, skrzyżował ręce na piersi i nieznacznie pokiwał głową. Po chwili spokojnym, wyważonym głosem stwierdził:

— Rozumiem. Czyli podejrzewacie mnie panowie o zorganizowanie czegoś na kształt wendety. Bo mam motyw. Czy to dlatego rozmawiamy?

Borg uspokajająco uniósł otwarte dłonie i zapewnił Riisa:

— Nie. Rozmawiamy z każdym, kto miał bliski kontakt z Idrisem Nassarem. W tym momencie nie mamy żadnych podejrzanych. To zdecydowanie za wcześnie.

Bertelsen przekręcił kluczyk w służbowym samochodzie. Przed chwilą pożegnali się z Franzem Riisem. Ofiarą przestępstwa samowystarczalną w stopniu większym niż mnóstwo innych ludzi, którzy doświadczyli podobnej traumy. I mieszkającą pod zdecydowanie bardziej eleganckim adresem. Wrzucił wsteczny bieg i spojrzał w bok na swojego wieloletniego partnera.

— I co ty na to, Borg?

— Moim zdaniem z jego reakcji nie dało się wyczytać absolutnie nic. Ani za ani przeciw. Ten człowiek od lat analizuje rynek. Przy nas zmienił tylko przedmiot analizy. A ty, jak myślisz?

— Ma wszelkie powody. I nadal żywi uczucia do swojej byłej. To widać wyraźnie.

— Hm. Może ją kocha, a może po prostu darzy wielkim szacunkiem — zauważył Borg.

— Tak czy inaczej, wciąż o niej myśli. Gdybym ja zaliczył Cindy Johansen, pewnie też nieprędko bym się pogodził ze stratą. Pomyśl, taki kąsek przeszedł gościowi koło nosa...

— Dobra, ale on to nie ty.

— Dlatego powiedziałem: gdybym.

— Pieprzenie. To jest facet na poziomie. Dokładnie opisał, jak szkody psychiczne i fizyczne z czasem stały się niemożliwe do przeskoczenia. Jak mur, który stopniowo między nimi wzrastał. Ja to potrafię zrozumieć.

— Jezu, Borg... A ty jak zawsze taki cholernie uczuciowy. Miękką pipą...

Borg roześmiał się i zapiął pas.

— Dobra. To co teraz? — Bertelsen wrócił do tematu.

— Zgodnie z poleceniem z góry oficjalnie zamykamy sprawę, ale w wolnym czasie przyjrzymy się finansom Riisa. I idziemy dalej z naszą listą nazwisk.

— Żebyś mógł spojrzeć w lustro i powiedzieć synkowi: tatuś był kiedyś wspaniałym gliną... — parsknął Bertelsen.

Rozdział 55.

Młynarz siedział na ławie przy jednym ze stolików w obskurnej sali klubowej w Poppelgården. Przed sobą miał pojemnik na lunch wielkości małego pudełka na buty. Obok siedział mężczyzna, którego wcześniej nie widział.

— Witaj, Oxen! Siadaj. Jeśli jesteś głodny, to idź do lodówki i poczęstuj się — zachęcił go Młynarz i znacząco uniósł puszkę piwa pochodzącą raczej z któregoś z przygranicznych sklepów niż lokalnego browaru. Najwyraźniej było to hasło, jakim bywalcy Poppelgården rozpoczynali biesiadę.

— Nie, dzięki — odparł i dosiadł się do pozostałej dwójki.

— To może kawy?

— Chętnie, dzięki.

— Orle, nie masz tam może kawy? — Siedzący obok Młynarza mężczyzna spojrzał znad rozłożonego egzemplarza „Ekstra Bladet” i pokiwał przytakująco głową.

— To skocz i przynieś kubek dla naszego przyjaciela, co? Wróciliśmy z Orlem na obiad do domu. I tak musieliśmy wymienić parę części — wyjaśnił Młynarz.

Właściciel przedsiębiorstwa wielobranżowego Poppelgården zadzwonił do niego niespełna godzinę temu, kiedy siedział przy kuchennym stole w Harrildholmie i próbował podsumować chaotyczne wydarzenia minionej doby.

Niewiele spał, ale też nie przypominał sobie, aby miał tej nocy spotkać kogoś z Siódemki. Mimo to obudził się po zaledwie trzech godzinach i natychmiast młyn w jego głowie przyspieszył.

Pod powiekami przesuwwały się sceny z wilkami zakopanymi głęboko w leśnej ściółce, niewidzialne kamery monitoringu błyskające w ciemności, świecące cyfry na twardym dysku, przewody elektryczne znikające w ścianach i podłogach, stara uprząż owinięta wokół niego i krępująca mu ruchy.

Wypił dziś już kilka kaw, kiedy siedział nad starą sprawą Franck. Mimo to łatwiej mu było się skupić nocą. Teraz wszystko

go rozpraszało. Każdy element układanki próbował uchwycić i umieścić w odpowiednim miejscu, jakby układał na stole skomplikowane puzzle.

Zadzwoił do niej, ale dopiero o dziewiątej, kiedy wiedział, że jest w pracy i nie ma w pobliżu swoich kolegów pełniących rolę ochroniarzy. A i tak nie był do końca pewien, czy rzeczywiście mogła swobodnie rozmawiać. Gdy chciał jej opowiedzieć o niepokojących zajściach minionej doby i omówić sprawę monitoringu, przerwała mu, mówiąc, że się śpieszy, że ma huk roboty i właśnie idzie na ważne spotkanie swojej grupy roboczej.

Nie potrafił ocenić, czy była oschła, czy po prostu potwornie zestresowana.

Pomocnik Młynarza postawił przed nim kubek. Podziękował skinieniem. Młynarz zadzwonił dokładnie w chwili, gdy się poddał, zamknął teczkę Franck i postanowił pójść do stajni, by w świetle dnia przekonać się, że to wszystko naprawdę się wydarzyło.

Przez telefon Młynarz powiedział tylko, że być może ma coś, co mu się może przydać, ale lepiej, jeśli porozmawiają osobiście.

— Rany, wciąż nie mogę uwierzyć, że taki gość jak ty ot tak siedzi tu, w Poppelgården. Komandos. I to najlepszy z najlepszych. To dla mnie zaszczyt, prawdziwy zaszczyt — powiedział Młynarz i wsunął do ust kromkę z pasztetem.

Nic nie odpowiedział. Młynarz popił piwem i mówił dalej:

— Ta. Poczytałem trochę w internecie. O tamtej starej sprawie. Niektóre rzeczy pamiętałem dość dobrze. O innych zapomniałem. Ścigali cię po całym kraju. Jak mordercę... co nie? Powinni się wstydzić. Ale nie, ani słowa skruchy. Powiedzieć ci coś? Zawsze marzyłem, żeby zostać komandosem. Zrobić coś, nie tylko siedzieć na dupie tu, gdzie się urodziłem, jak mój ojciec i jego ojciec. Ale nigdy nic nie zrobiłem w tym kierunku. A teraz jest za późno. Tacy jak ty poradzą sobie wszędzie, co nie? W środku lasu albo na pustyni. Dla was to bez znaczenia, co nie?

Wzruszył tylko ramionami. I tak stracił już nadzieję, że Młynarz powie mu coś ważnego. Gdyby ten człowiek posiadał jakiegokolwiek istotne informacje, powiedziałby od razu, zamiast uzewnętrzniać się ze swoją fascynacją jego fachem. Nie tylko

jego pociągał tajemniczy i niedostępny świat komandosów w bordowych beretach i o jajach ze stali.

— Wiem, że nie lubicie o tym mówić, ale może jednak... powiedz, Oxen, brałeś udział w tropieniu Bin Ladena w jaskiniach, tam, w górach? — Młynarz patrzył na niego intensywnie i wyczekująco.

— Chodzi ci o Tora Bora?

— Właśnie! Tora Bora. W Afganistanie. Byłeś tam?

Przytaknął skinieniem.

— Ożeż... to musiało być coś.

Wzruszył ramionami i napił się kawy.

— Było zimno, wszędzie pełno kurzu.

Młynarz najwyraźniej uznał jego odpowiedź za zbyt lakoniczną, bo pokiwał głową i zrobił rozczarowaną minę.

— I nawet się do niego nie zbliżyliście tam, w górach, co?

— Nie. Nie widzieliśmy go.

— Ale twoi amerykańscy koledzy, Navy Seals, oni dali mu popalić. W końcu.

Pokiwał głową. Jeśli Młynarz nie przejdzie do rzeczy, zanim w jego kubku pokaże się dno, przerwie mu i zapyta wprost, po co go tu ściągnął.

— Powiem ci, Oxen, że nic tak mnie nie trzepnęło jak to, kiedy runęły wieże. Akurat kładłem u sąsiada rury pod kanalizację i jak tylko o tym usłyszałem, pogałem do domu, żeby obejrzeć w telewizji. Byłem tam. W Stanach. Dwa razy. Raz, kiedy wieże stały, i potem, na Ground Zero. To naprawdę... zjebane. Może dopiero jak się tam było, człowiek jest w stanie to pojąć. A ty byłeś?

Pokręcił przecząco głową. Dobrze wiedzieć, że Młynarza interesuje nie tylko futbol i szmuglowane piwo. W sumie ciekawa postać.

— Czytałem też o twoich medalach. Naprawdę imponujące. Zwłaszcza Krzyż Waleczności. Ale chyba nie chodzisz z nim wszędzie, co nie? Na szyi czy coś?

Uśmiechnął się i pokręcił głową.

— Trzymam go w szufladzie w domu.

— Szkoda. Fajnie by było obejrzeć. W końcu nikt prócz ciebie go nie ma. I kto wie, możliwe, że jeszcze z kilkadziesiąt lat minie, zanim ktoś znów go dostanie. A może nikt, nigdy... No, ale dobra. Nie będę cię dłużej zanudzał. Słuchaj. Bo ostatnio pytałeś o właściciela Harrildholmu. I mnie akurat naprawdę zależy, żeby ci pomóc. Tyle że Harrildholm stoi trochę na uboczu. Dlatego nikt nic nie wie. Ale trochę popytałem. I wygląda na to, że najwięcej może wiedzieć staruszek, który nazywa się Ivar Hyldtoft. Jego dom nie stoi w najbliższym sąsiedztwie Harrildholmu. Staruszek z żoną mieszkają kawałek drogi stamtąd. Czekaj, narysuję ci... — Młynarz wyjął z przedniej kieszeni ogrodniczków kartkę i długopis. Rysował na niej kreski, objaśniając, co oznaczają. — Ivar Hyldtoft mieszka w domu, w którym się urodził. Zawsze tam mieszkał. Ma ponad siedemdziesiąt pięć lat. I jeśli jest ktoś, kto zna tę okolice, Harrildholm i nowego właściciela, to właśnie on. Jest jeszcze Herdis Krohn. Ona mieszka mniej więcej tu. — Młynarz zaznaczył miejsce krzyżykiem i ciągnął: — Ją za to znają tutaj wszyscy. Była niedawno w gazecie. Twierdziła, że w swoim ogródku stanęła twarzą w twarz z wilkiem. To się wilk musiał przestraszyć — zachichotał Młynarz. — No, z drugiej strony ona mówi też, że widziała Boga. Ogólnie jest trochę dziwna. Ale mieszka tu od wielu lat. I może coś wiedzieć. Popytam jeszcze w moich rodzinnych stronach.

Drzwi powoli się otworzyły. Do środka wszedł o lasce stary ojciec Młynarza i z ciężkim westchnieniem opadł na najbliższe krzesło.

— Ojciec, gadamy akurat o Harrildholmie.

Stary pokiwał głową i poprawił na głowie brudny kaszkiet.

— Ale ty, chociaż mieszkasz tu całe życie, chyba niewiele wiesz o tym domu, co nie?

— O Harrildholmie? — Staruszek pokręcił głową. — Odkąd pamiętam, ludzie nie mają do tego majątku szczęścia. Przez ostatnich kilkadziesiąt lat miał chyba z pięciu, sześciu albo i siedmiu właścicieli. I większość została stamtąd wywalona. Jakby ktoś rzucił klątwę na te mury — powiedział cienkim głosem ojciec Młynarza.

Dopił kawę. Czyli tak wyglądała pomoc Młynarza. Niewiele, chociaż kiedy sam podczas pierwszej wizyty wypytywał sąsiadów — głównie po to, by spełnić prośbę Mossmana — to pod te dwa adresy akurat nie trafił. Więc skoro znów tu był i ktoś szczerze próbował mu pomóc, to równie dobrze mógł sprawdzić te dwa nowe tropy.

— Wspomniałeś o wilkach. Widziałeś sam jakiegoś? — spytał.

Młynarz pokręcił głową.

— Nie. W ogóle niespecjalnie mnie obchodzi ta cała histeria z wilkami. Z drugiej strony ja nie poluję, jak większość w tych stronach.

— Wilki potrafią czasem przysparzać problemy. Myślisz, że ktoś mógłby jakiegoś odstrzelić, gdyby się na niego natknął?

Młynarz popatrzył na niego podejrzliwie.

— A czemu pytasz?

Wzruszył ramionami.

— Tak tylko, z ciekawości. Lubię przyrodę.

— Jesteś jednym z miłośników wilków? — Młynarz zachichotał.

— Czy jestem miłośnikiem, to nie wiem. Ale fascynują mnie, jako zwierzęta.

— Zatem, odpowiadając na twoje pytanie: jeśli wnosić z tego, co ludzie gadają, to powiem ci, że moim zdaniem istnieje takie, jak to się mówi — *milczące przyzwolenie*. W sensie, że gdy się nagle na jakiegoś natkniesz, to nikt nie będzie rozpaczał, jeśli go sprzątniesz. I myślę, że nikt nie słyszałby żadnego strzału.

— Hm... Wczesnym rankiem na wrzosowisku widziałem kłusowników i słyszałem, jak strzelali. To tutaj normalne?

— Kłusownicy? Kłusownicy są tutaj, odkąd pamiętam. Odkąd ktokolwiek pamięta. Polują na jelenie. A oni ciebie widzieli? Nie, co ja gadam, głupie pytanie. Oczywiście, że nie widzieli komandosa. — Młynarz przepaszająco rozłożył ręce.

Pozostało jedno, ostatnie pytanie, zanim będzie mógł wrócić do Harrildholmu i zagłębić się w akta Margrethe.

— A znasz takiego gościa, outsidera, który mieszka chyba gdzieś w lesie? Raz zdarzyło mi się go spotkać. Ma na imię Tobias.

— Gościa, co mieszka w lesie? Zimą? Jakiś Tobiasz? Nie, Oxen, w życiu o nim nie słyszałem.

Rozdział 56.

10 lutego 1964

Na twardych krzesłach siedziało nieruchomo dwoje ludzi w średnim wieku. W dużym, niemal pustym pomieszczeniu wydawali się malutcy. Czekali już pół godziny. Wstrzymując oddech.

Żadne z nich nie zdjęło płaszcza. Było zimno — na zewnątrz i w środku. Przyjechali o wiele za wcześnie i najpierw krążyli bez ładu po tym dziwnym mieście w mieście. Parkiem przespacerowali się w dół, na brzeg Małego Bełtu, i z powrotem. Zimno przenikało do szpiku kości. Albo to miejsce.

Kobieta kurczowo ścisnęła szorstką dłoń męża. Nie wypuszczała jej od chwili, gdy ich tu wprowadzono i poproszono, by usiedli.

On drugą, wolną ręką kartkował gazetę, która leżała na półce przy drzwiach. Czytał na niby.

Gdzieś tam, w Kopenhadze, wciąż wrzało po tym, jak zgoła miesiąc temu rada miasta przyjęła ustawę o zakazie palenia w tramwajach i autobusach, tam gdzie nie dało się wyznaczyć odrębnych stref dla palaczy i niepalących. W Ameryce też poruszenie. Długowłosi Anglicy z młodzieżowego zespołu The Beatles po raz pierwszy wystąpili w tamtejszej telewizji — w czymś, co się nazywało *The Ed Sullivan Show*. Program obejrzało ponad siedemdziesiąt trzy miliony ludzi. Gazeta z zachwytem ogłosiła nowy rekord.

Mężczyzny to nie obchodziło, ani dym papierosowy, ani długowłosi grajkowie. W ogóle nic go nie obchodziło, *poza...*

Kobieta omiatała wszystko niewidzącym wzrokiem, ale najwięcej czasu przesiedziała z głową odwróconą lekko w stronę dużych okien.

Kiedyś, gdy wreszcie przyjdzie wiosna, drzewa przesłonią widok. Teraz, pozbawione liści, pozwalały jej spokojnie patrzeć

na wysoki budynek z żółtej cegły po drugiej stronie. Tam mieścił się oddział męski.

Oni siedzieli w skrzydle kobiecym szpitala psychiatrycznego w Middlefart. Bestialstwo, które stało się udziałem ich dziecka, odcisnęło swoje piętno. Zbyt wielki był to ciężar dla wrażliwej dziewczyny. Choć więzi w ich rodzinie były mocne i każdy wspierał ją z wszystkich sił, musieli przyznać, że nie potrafili jej pomóc i potrzebne jest leczenie.

Dlatego tu byli.

Ich mała córeczka, która wcale nie była już taka mała, została przyjęta na oddział szpitala psychiatrycznego na Fionii, bo chorowała jej dusza. Bo zniszczył ją jakiś okrutny, nieludzki bydlak, który wciąż był na wolności.

Wzdrygnęła się. Być może na myśl o potwornościach, które spotkały jej dziecko. Nawiedzały ją niemal każdej nocy. Również jej męża. Leżeli w swoim małżeńskim łóżu, w milczeniu, ramię w ramię. Prawie tak, jak to robili przez tyle lat. Prawie — bo nic nie było już takie samo.

Oboje się wzdrygnęli, kiedy w końcu otworzyły się podwójne drzwi. Najpierw wyszedł do nich gruby lekarz prowadzący — z nim przywitali się już wcześniej. Po chwili dołączyła do nich pielęgniarka i trzymając dłoń na kościstych plecach, wprowadziła do pomieszczenia drobną postać. Postać była blada, zgarbiona i ubrana na biało.

— Ach, Boże, dziecko kochane — wyrwało się kobiecie, która wstała i przerażona zasłoniła usta dłonią.

Wolna dłoń jej męża zacisnęła się w pięść tak mocno, że kłykcie pobielwały.

Kobieta spojrzała dla pewności na lekarza, który skinął głową. Wówczas niemal podbiegła do dziewczyny i przycisnęła ją do siebie. Jej mąż podszedł do nich i objął je obie ramionami. Długo tak stali, obejmując się w trójkę. W końcu kobieta poluzniła uścisk. Ujęła w dłonie kruchą bladą twarz i spojrzała głęboko, bardzo głęboko w piękne oczy swojego dziecka. W oczy, które dawniej były tak pełne blasku, a teraz zmieniły się w puste czarne doły.

— Dobry Boże, Agnethe, co się stało z twoimi włosami? — Krótkie złote włosy sterczały na wszystkie strony. Po chwili niechlujne kosmyki rozmyły się jednak w jej oczach i mogła tylko ponownie przytulić córkę do piersi i głaskać jej szczupłą szyję.

Ojciec odsunął się na dwa kroki. Wydmuchał nos w chusteczkę i rękawem płaszcza wytarł oczy.

Lekarz chrząknął i powiedział klinicznym tonem:

— Proszę, usiądźmy. — Nie okazując cienia emocji, dał przykład i zajął miejsce na końcu długiego stołu. Jedną ręką otworzył teczkę z kartoteką pacjentki, a drugą wyjął okulary z przedniej kieszeni kitla. Zaczekał, aż wszyscy usiądą. Rodzice po jednej stronie, a pielęgniarka i dziewczyna — po drugiej.

— Agnethe, może sama powiesz rodzicom, skąd taka fryzura?

Dziewczyna wzruszyła ramionami i z wzrokiem wbitym w blat stołu odparła:

— Ja... yyy... po prostu nie chciałam... nie chciałam już mieć starych włosów.

— Rozumiem — skomentował lekarz i uśmiechnął się. — Często obserwujemy taką reakcję. Jest to rodzaj buntu przeciw sobie samemu. Pragnienie, aby się zdystansować, stać kimś innym. Zmiana wyglądu jest fizycznym symbolem tego pragnienia. Rozumieją państwo?

Mężczyzna i kobieta przytaknęli równocześnie.

— I... cóż, nie możemy obwiniać Agnethe, że tego pragnie — ciągnął lekarz. — Ze swojej strony mogę tylko najmocniej przeprosić w imieniu oddziału, że państwa córka uzyskała dostęp do nożyczek. Doszło do złamania naszego regulaminu i zapewniam, że to się więcej nie powtórzy. Na początek zajrzyjmy jednak do kartoteki, aby mieli państwo jasność sytuacji.

Lekarz poprawił okulary na nosie i pogrzebał w papierach.

— Diagnoza brzmi: *choroba afektywna psychogeniczna*. Czyli psychoza wywołana traumą fizyczną. Innymi słowy, mamy do czynienia z ciężką, chorobową reakcją psychiczną. Wywołaną oczywiście sytuacją zagrożenia życia i agresją, jakiej doświadczyła państwa córka. Te doświadczenia obecnie całkowicie wypełniają jej przestrzeń mentalną, podsuwając jej bez ustanku, w dzień i w nocy, obrazy i myśli związane z traumą

i uniemożliwiając nawet chwilowe oderwanie się od niej. Rozumieją państwo?

Małżeństwo znów pokiwało zgodnie głowami.

— Jeśli chodzi o rokowania... Cóż. Moje doświadczenie wskazuje, że ta reakcja z czasem słabnie, choć ów czas może być długi. Co się zaś tyczy farmakologii, to pacjentom z tej grupy podajemy neuroleptyki, środki uspokajające. Zaczęliśmy od chloropromazyny, leku dobrze nam znanego. Mam już jednak dość jasne wyobrażenie o kierunku, w którym powinniśmy pójść w dalszej perspektywie, jeśli chodzi o leczenie farmakologiczne. Obserwuję u Agnethe symptomy, które pozwalają przypuszczać, że dobrze zareaguje na środek stosunkowo nowy, stosowany od zaledwie pięciu lat. Produkuje go duńska firma Lundbeck, a lek nazywa się Truxal. Na cześć naszego słynnego iluzjonisty, Truxy — może go państwo znają?

Oboje znów symultanicznie potwierdzili skinieniem, ale poza tym żadne z nich nie poruszyło się od początku tej rozmowy.

— Nie oznacza to jednak, że Truxal działa jak czary. — Lekarz posłał im wymuszony uśmiech. — Powiem tylko, że jest to lek, którego skuteczność nie przestaje mnie zdumiewać, i tu, u nas, mamy z nim same dobre doświadczenia. Jestem pewien, że również Agnethe przyniesie ulgę.

Lekarz spojrzął na nich znad okularów, jakby chciał się upewnić, czy do rodziców dziewczyny na pewno dotarła owa względnie optymistyczna wizja dalszego leczenia.

— Do tego oczywiście dochodzi psychoterapia i... cóż, spokój, który panuje w naszej placówce, również pozytywnie wpływa na... umysł. Jeśli jednak chodzi o możliwość zabrania Agnethe do domu, chociażby na weekend, to niestety muszę państwa rozczarować. Na tym etapie byłoby to przedwczesne. W tej chwili musimy przede wszystkim ustawić jej leki i dobrze ją poznać. Dlatego z wizytami w domu się wstrzymajmy. To tyle. Czy mają państwo jakieś pytania?

Lekarz zerknął na zegarek. Kobieta niepewnie podniosła palec. Lekarz uśmiechnął się i skinął głową

— Bo tak... — zaczęła cicho. — Trochę tu pospacerowaliśmy... Przeszliśmy się nad wodę i z powrotem... I po drodze nie dało

się nie zauważyć kaplicy z cmentarzem. Czy wiele osób...

Lekarz pokiwał głową na znak, że nie musi kończyć.

— Niektórzy — podkreślam: niektórzy — rzeczywiście *nigdy* stąd nie wychodzą. To prawda. Na szczęście wielu udaje nam się doprowadzić do stanu, w którym mogą funkcjonować poza murami naszego szpitala. Czasem trwa to krócej, czasem dłużej, ale mimo wszystko... Ostatecznie wracają do domów w stanie zdecydowanie lepszym, niż do nas przyjechali. I jestem przekonany, że państwa córka należy właśnie do tej kategorii pacjentów. Jeśli mają państwo jeszcze jakieś wątpliwości, to słucham.

Oboje popatrzyli po sobie i lekko pokręcili głowami.

— W takim razie zostawiam państwa z Agnethe. Domyślam się, że nie mogą się państwo doczekać tego spotkania. — Lekarz podał każdemu z nich rękę, zamienił kilka słów z pielęgniarką i wyszedł.

Matka, ojciec i córka patrzyli po sobie, szukając najważniejszych słów.

— Ach, Boże — westchnęła w końcu matka i wyciągnęła rękę na stole z dłońmi odwróconymi wnętrzem do góry. Jej córka z wahaniem nakryła je własnymi dłońmi. I tak, trzymając swoje dziecko za ręce, ciągnęła dalej ściszone głosem: — Chłopcy kazali cię pozdrowić. Pomyśleliśmy z tatą, że ten pierwszy raz lepiej będzie, jeśli przyjedziemy sami. Ale następnym razem... przyjedziemy wszyscy. W ogóle wszyscy bardzo cię pozdrawiają, skarbie. Wszyscy stale o tobie myślą.

Rozdział 57.

Jego uwaga zaczynała się rozpraszać, dokładnie tak jak światło dnia za brudnymi oknami domu. Na stole przed nim stała ósma — czy dziewiąta? — filiżanka kawy i sam nie wiedział już, ile godzin przesiedział, przerabiając grubą teczkę Margrethe Franck i wszystkie zawiłości jej starej sprawy.

Miał wrażenie, że ze swoim rosnącym spożyciem kawy wpadł w kolejną spiralę, kolejne błędne koło, które — to również wiedział z autopsji — trudno mu będzie przerwać. Jedna kawa płynnie przechodziła w drugą, w miarę jak coraz bardziej pochłaniały go rozmyślenia o wilkach — tych prawdziwych i tych w owczej skórze — i w miarę jak coraz więcej wysiłku kosztowało go skupienie się na historii Franck oraz poszukiwanie w niej tego, co niewidzialne.

I oczywiście im bardziej był zmęczony i senny, tym więcej wlewał w siebie kawy i tym trudniej było mu się wyciszyć, skupić na pracy. Przypomniawszy sobie, że jedna z najstarszych duńskich marek kawy nosi nazwę Cirkel Kaffe. Potarł oczy i z irytacją odsunął od siebie filiżankę. Kawa Błędne Koło...

Parsknął pod nosem i podrapał się po głowie. I znów potarł twarz dłońmi. Czerwonateczka stanowiła wyzwanie. Przeczytał już całość — a niektóre fragmenty czytał wielokrotnie, jeśli uważał, że są ku temu powody. Bo zdecydowanie były.

Do pracy usiadł zaraz po tym, jak wrócił od dwójki sąsiadów, których wskazał mu Młynarz.

Herdis Krohn, która widziała zarówno wilka, jak i Boga, w chaotycznym, pogmatwanym słowotoku zdążyła mu przedstawić całą masę teorii na temat zniknięcia Poula Hansena, zanim zdołał jej przerwać, pożegnać się i podziękować za pomoc. Z kolei państwo Hyldtoftowie byli uprzejmi, lecz zdecydowanie mniej rozmowni. Oni dla odmiany nie mieli żadnego pomysłu, gdzie może się podziewać właściciel Harrildholmu.

Metodycznie, od strony pierwszej do ostatniej, przerobił cały zebrany w sprawie materiał. Czytał, rozważał i robił notatki. Konsekwentnie i w skupieniu, przerywanym jedynie na kolejne rytualne kawy — i na próby dodzwonienia się na komórkę Franck.

Nie odebrała żadnego z jego połączeń. Po raz pierwszy zadzwonił po drodze z Poppelgården, a potem próbował jeszcze cztery razy. Może jednak źle zinterpretował jej ton. Może naprawdę była zła albo o coś wkurzona — może o to, że tyle dni zajęło mu zabranie się do jej sprawy?

Spojrzał na swój telefon. Spróbować raz jeszcze? Nie. Ona już wie, że się do niej dobijał. Będzie musiał poczekać, aż oddzwoni, kiedy będzie miała czas.

Kartkował w przód i w tył ostatnie strony dokumentacji. Strategia, jaką zastosował, polegała na tym, aby od razu, już przy pierwszym czytaniu docierać do sedna. Metoda, której się nauczył i którą kierował się zawsze — również w terenie w fazie przygotowań do akcji. Łowca zawsze dążył do sedna. Żadnych zbędnych słów czy jałowych dyskusji — samo czyste skupienie.

Efekt leżał po jego lewej — trzy listy: tematy, które trzeba zgłębiać dalej, uporządkowane według ważności, najważniejsze pytania otwarte dotyczące zagadnień zawartych w materiale wraz z zagadnieniami pobocznymi oraz spis tematów drugorzędnych, które jednak wymagają wyjaśnienia.

Sporządził także rodzaj osi czasu i zaznaczył na niej wydarzenia, które składały się na pełny obraz sytuacji bieżącej — od momentu, w którym znalazł stary artykuł z gazety, poprzez opowieści Mossmana o Lupusie zasłyszane na pikniku policyjnym w Roskilde i przyjęciu urodzinowym w Søpavillonen, aż po najnowsze zaistniałe okoliczności, jak próba zabójstwa Margrethe i odkrycie przez niego monitoringu na Harrildholmie. Na wykresie wzdłuż i wszerz widniały kółka, krzyżyki i strzałki. Większość odnotowanych zdarzeń i tak dodatkowo trafiła na którąś z jego list, ale — również z doświadczenia — wiedział, że ich graficzne przedstawienie zwiększało ogląd całości i ułatwiało umieszczenie poszczególnych wydarzeń w szerszym kontekście.

Ziewnął. Następnie wstał i przespacerował się po pustych pokojach. Zatrzymał się w dużym salonie przy oknach, w tym samym miejscu co zawsze, i spojrział w ciemność na zewnątrz. Gdzieś tam znajdowały się kamery, przez które ktoś go obserwował. Nie wiedział dokładnie gdzie. Gdy stwierdził, że kamera w kuchni najprawdopodobniej została zdemontowana, zarzucił pomysł odnalezienia pozostałych. Szkoda mu było na to czasu, a poza tym, gdy zniknął twardy dysk, mózg całej instalacji, kamery przestały być istotne.

Któregoś wieczoru w ciemności ukrył się Tobias i też go podglądał. Właściwie nie mógł mieć pewności, czy nie podgląda go również teraz — chociaż wątpił w to po tym, jak pocziwy pustelnik przyznał się do swojego występku.

Wrażenie, że jest obserwowany, zniknęło, za to powróciło całkiem inne wrażenie. Teraz w formie przefiltrowanej i skoncentrowanej, wrażenie, które narastało i umacniało się z każdym przeczytanym wersem starego dramatu z udziałem Margrethe Franck.

Coś w tym wszystkim bardzo, ale to bardzo nie pasowało. Zarówno wtedy, gdy straciła nogę, jak i teraz. Toczyła się tu rozgrywka, w której ludzkie życie nie miało żadnej wartości. Ale wciąż nie widział rozgrywających. Nie dostrzegał żadnego motywu ani logiki.

Wydawało mu się, że coś wyczuł — coś jednocześnie bardzo namacalnego i niesłychanie ulotnego, jakby dopiero miało się zmaterializować. I to wrażenie przyprawiało go o dreszcze.

Czy teraz, gdy tak wyraźnie, jakby ktoś wrzucił mu kostki lodu pod koszulę, czuł, że wszystko zmierza do straszliwej kulminacji, przyszedł właściwy moment, aby wykonać ten telefon? Czy to jest ta ostateczność, która wymaga sięgnięcia po koło ratunkowe w postaci eksperta, który nie ma sobie równych? Czy sytuacja dojrzała do tego, aby zadzwonić do Axela Mossmana i przyznać się, że jest nędznym łgarzem, który pilnie potrzebuje pomocy?

Jeszcze kilka dni temu sam odmówił Mossmanowi pomocy i skłamał — co prawda w amoku wilczej gorączki — że jest na szwedzkiej wyspie. I co — ma teraz stanąć i miętosząc w rękach

czapkę, pokornie prosić o wybaczenie oraz pomocną dłoń i umysł?

Twardy orzech do zgryzienia. Mossman miał informacje o Lupusie. Mossman miał informacje o emerytowanym współpracowniku PET znalezionym w Kvindebækken. I Mossman najprawdopodobniej wiedział więcej, niż mu zdradził. Zawsze tak było. W tym sensie nic się nie zmieniło — Mossman był zawsze na końcu łańcucha pokarmowego.

On natomiast wziął na siebie proste zadanie przyjścia z pomocą Margrethe Franck. Dlatego, że ją lubił. Lubiał w sposób, którego sam przed sobą nigdy nie określił, bo zawsze, gdy temat zamajaczył mu w głowie, instynktownie i w popłochu go tłumiał. Ale również dlatego, że najzwyczajniej w świecie był jej winien przysługę — albo całą masę przysług.

Trudno. Jeśli trzeba przełknąć gorzką pigułkę upokorzenia i zadzwonić do Mossmana, to niech tak będzie. Nawet jeśli nie może skonsultować tego z Margrethe. Tu chodzi o jej bezpieczeństwo — i nic innego.

Odwrócił się na pięcie, skierował prosto do kuchni, wziął do ręki telefon i wybrał numer.

Już po pierwszym sygnale usłyszał walenie do tylnych drzwi i poderwał się przerażony. Gwałtowna reakcja na nagły hałas w ciemności. Jak zawsze. Przerwał połączenie z Mossmanem i stał, wstrzymując oddech. Po chwili znów usłyszał głośnie walenie i wyobraził sobie, jak stare drewno futryny rozpada się na wióry. Kimkolwiek był jego późny gość, to przynajmniej nie można mu było zarzucić, że się skradał.

Wziął swój nóż i schował go sobie z tyłu za paskiem, po czym bezszelestnie wyszedł na korytarz. Gwałtownie szarpnął drzwi i przed oczami zobaczył potężną pięść, zawieszoną niczym kołatka, która już miała uderzyć i rozbić drzwi w drobny mak.

Oniemiały gapił się na okrągłą twarz przynależącą do dłoni.

— Dobry wieczór, żołnierzu.

Na zmizerowanej twarzy basseta jaśniał szeroki uśmiech. Dopiero co wybrał numer olbrzyma z PET, a ten już stał pod jego drzwiami. Nie minęło więcej niż trzydzieści sekund.

Szok to w tym wypadku za słabe określenie.

Mossman tymczasem patrzył na niego rozbawiony i w końcu wybuchnął śmiechem.

— Oto jestem, panie, dzin z lampy. Zadzwońeś pod mój numer. — Mossman bez skrępowania zanosił się śmiechem i podstawił mu pod nos swój telefon.

A jemu myśli pędziły przez głowę jak obłąkana sfora. Wszystkie gnane tym samym palącym okrzykiem: *dłaczego* Mossman tu był? I *dłaczego teraz*? Dlatego był w stanie tylko skinąć wielkiej postaci stojącej na progu i otworzyć drzwi na oścież.

— Wejdz — mruknął i wciąż próbował złapać choć jedną myśl za ogon.

— *Well*, uprzejmie dziękuję. Może załapię się również na filiżankę kawy? Dżiny też miewają potrzeby śmiertelników.

Kawy? Znow to samo przedziwne uczucie. Jego organizm był na wyczerpaniu.

— Kawy? Tak, jasne — odpowiedział mechanicznym głosem i w końcu otrząsnął się z pierwszego szoku na widok Mossmana. — Wiesz, gdzie iść, prawda? Kuchnia jest tu, zaraz.

Axel Mossman precyzyjnie przesuwał swój kanciasty, ale wciąż szeroki korpus przez wąskie przejście, powiesił kurtkę na oparciu krzesła i usiadł przy kuchennym stole. Jego wzrok natychmiast spoczął na teczce ze sprawą Margrethe Franck i notatkach, które zajmowały sporą część stołu. Pokiwał głową i zamruczał z aprobatą, ale powstrzymał się od komentarza.

Chwilę później postawił przed Mossmanem kubek kawy i sam usiadł na ławie z własnym — nie wiedział już którym — kubkiem. Pierwszy łyk wypili w milczeniu. Natychmiast ogarnęło go znajome wrażenie, które zawsze dawało o sobie znać w towarzystwie byłego szefa wywiadu — wrażenie, że nieuchronnie startuje ze *słabszej* pozycji. A zaraz po nim niepewność, czy to jest spotkanie przy kawie dwójki przyjaciół, czy...

Jednocześnie pod powiekami wyświetlały mu się przebliski z bardzo niedawnej przeszłości.

— Myślałem, że jesteś w Szwecji — zaczął Mossman i przyglądał mu się badawczo. Już się nie uśmiechał ani nie śmiał.

Wzruszył ramionami. Przed oczami miał ostre jak brzytwa migawki, w których Mossman przedzierał się pośród błyskawic i grzmotów przez błoto i strugi deszczu do jego skromnej chatki w starym gospodarstwie Rybaka. Znajdującego się w prostej linii nie dalej niż dziesięć kilometrów stąd.

— W Szwecji? — Grał na zwłokę, żeby nie dać po sobie poznać, że jest teraz w zupełnie innym miejscu i czasie.

— Tak. W Szwecji. Chyba że coś źle zrozumiałem.

— Hm. Wybacz — powiedział wciąż nieobecny tonem. — Kłamałem. Nie byłem wtedy gotowy... — Teraz przed oczami miał scenę, w której otworzył przed Mossmanem drzwi swojego dawnego domu, dokładnie tak, jak przed chwilą otworzył przed nim drzwi Harrildholmu, i jak na tle szalejącej burzy zobaczył potężną sylwetkę Mossmana. Na oślep i bezskutecznie szukał analogii. W słowach i myślach. — Chodzi mi o to, że nie byłem gotów przyjąć twojego zlecenia — doprecyzował. — Dlatego uciekłem się do kłamstwa. O Szwecji.

Mossman siorbnął i basem rzucił:

— *No harm done*. W takim razie czego tu szukasz, skoro nie chciałeś drążyć sprawy?

Wzruszył ramionami. Najprościej było trzymać się prawdy.

— Wilków.

— Wilków?

— Chciałem być bliżej wilków. Spróbować je wytropić. Zobaczyć na wolności.

— Ty i twoje Animal Planet. — Mossman z pobłażaniem pokręcił głową.

— Wilk na terenie Danii. Chciałem go zobaczyć na własne oczy. Być przy tym. Ale oczywiście... chciałem też przyjrzeć się bliżej sprawie Franck. Twoja kolej — *po co tu przyjechałeś?* Czego szukasz?

Mossman zrobił zaskoczoną minę.

— Margrethe do mnie zadzwoniła. Wczoraj. Zapytała, czy nie mógłbym tu zajrzeć. Nie powiedziała ci?

— Nie.

Sfora gnała na łeb, na szyję. Gdy niemal doganiał któryś ogon, ten znów mu się wymykał.

— W sumie nie byłem pewien, czy ci powiedziała — przyznał Mossman.

— A dlaczego jej na tym zależało? Żebyś tu przyjechał?

— Powiedziała, że się martwi... o ciebie. Że ma wrażenie, jakbyś był... niestabilny.

— Niestabilny? Ja? Tak się składa, że dziś próbowałem się do niej dodzwonić, i to nie raz. Ale nie odbiera. Ani nie oddzwania.

— Powiedziała też, że wyrabia w tej chwili dwieście procent normy.

I właśnie wtedy, gdy akurat miał się przyznać, że ta niezapowiedziana wizyta jest mu właściwie na rękę, że sam zamierzał do niego zadzwonić i poprosić, aby przyszedł z odsieczą, nagle złapał za ogon jedną z tych rozpędzonych myśli. No przecież! To o to chodziło!

I być może powinien od razu ujawnić swoje podejrzenia, wyłożyć kawę na ławę, aby Mossman mógł się do nich odnieść. Ale się nie odważył.

Nagle zrozumiał, jak to możliwe, że Mossman stał tuż za drzwiami w tej samej chwili, w której do niego zadzwonił. Kamery, dysk, cały monitoring w Harrildholmie.

To wszystko było dziełem Mossmana.

Rozdział 58.

W ostatnim ułamku sekundy powstrzymał się przed rzuceniem swojego podejrzenia prosto w obwieszoną fałdami skóry twarz Mossmana.

Byłoby to bowiem wielką nieostrożnością. Zabawić się z mistrzem można, jedynie grając według ustalonych przez niego reguł — trzymaj karty przy orderach. Nie było najmniejszego powodu mówić Mossmanowi, że jest jego głównym podejrzanym w sprawie monitoringu w Harrildholmie.

— Ech, żołnierzu, i pomyśleć, że kiedyś byłeś moim *black knight in shining armour*... Pamiętasz to jeszcze? Rycerzem, którego nikt nigdy nie widział. Poróżniliśmy się. A myślałem, że zawarliśmy pokój. I teraz — co?

Zamiłowanie do patosu nie osłabło u Mossmana ani trochę po tym, jak wbrew swojej woli rozstał się z posadą szefa PET. Odziany w tweed olbrzym patrzył teraz na niego surowym wzrokiem spod ciężkich zasłon powiek. A po chwili dodał niemal szeptem: — Bo teraz widzę w twoich oczach coś, co przypomina... nieufność. Dlaczego, żołnierzu?

Wzruszył ramionami. Na moment uwierzył naiwnie, że potrafi grać w grę Mossmana. Tymczasem Goliat anglofil czytał w nim jak w otwartej książce.

— Nie wiem, do czego zmierzasz.

— Zresztą nieważne. Zapomnij o tym. Tak czy inaczej, przyjechałem tu i pytanie brzmi, czy mam się zabierać z powrotem. Powiedzieć Margrethe, że wyrzuciłeś mnie za drzwi? Czy może spróbujemy — ty i ja — rozwiązać to nietypowe zadanie, które ci powierzyłem, w nadziei, że chodzi o zupełnie niewinną misję dotyczącą starszego człowieka w zapuszczonym wiejskim domu na Jutlandii?

Zaklął w duszy i z wszystkich sił próbował się opanować. Jak zawsze, gdy chciał się postawić Mossmanowi, boleśnie obrywał

po nosie. I nieważne było nawet, czy stawiał mu się na głos, czy tylko w myślach.

Jeszcze przed chwilą był gotów zdemaskować Mossmana i rzucić mu w twarz jego ukrytymi kamerami. Tymczasem w jednej chwili sytuacja się odwróciła i teraz to Mossman jemu postawił ultimatum.

Westchnął ciężko i szukał odpowiedzi na suficie, na pożółkłych płytach gipsowych pstrzonych przez dziesięciolecia muszym łajnem. Może naprawdę był paranoikiem, przesadnie podejrzliwym wobec wszystkiego i wszystkich? Franck kiedyś mu to wygarnęła. Ta podejrzliwość, brak zdolności zaufania innym, była znanym elementem jego spisu pourazowych dolegliwości. Terapia poznawcza polegała między innymi na rozpoznaniu tego uczucia, przepracowaniu sposobu, w jaki na nie reaguje, i zmianie tego sposobu. Zatem proszę: siedzi właśnie przed człowiekiem, wobec którego czuje nieufność aż do szpiku kości. Bo nieufność jest wpisana w jego naturę. Oraz dlatego, że nieufność wobec tego człowieka jest w pełni uzasadniona.

— Dobrze się zastanów, żołnierzu. — Axel Mossman wciąż patrzył na niego ponuro.

Nie był pewien, co powinien teraz zrobić.

— Słuchaj, Mossman. Nie chodzi o to, że jestem nieufny. W każdym razie nie bardziej, niż byłbym wobec każdego, kto zabiłby mojego psa i najlepszego przyjaciela. Rozumiesz?

Mossman z powagą pokiwał głową, lecz nic nie powiedział.

— Poza tym, jak sam przecież widziałeś, to *ja* zadzwoniłem do *ciebie*. A wiesz dlaczego? Bo chciałem cię prosić o pomoc.

Mossman znów tylko pokiwał głową.

— I ostatnia sprawa... Nie jestem twoim rycerzem. I nigdy nie będę. Rozumiesz?

Luźna skóra pod brodą Mossmana rozkołysała się, gdy kolejny raz pokiwał głową. A potem na jego twarzy zamajaczył słaby uśmiech.

— No, teraz cię poznaję, żołnierzu. Od razu jestem spokojniejszy. A te wilki — co z nimi? — Mossman zmienił ton na pojednawczy.

— Nic. Nie wypatrzyłem żadnego.

Nie chciał mówić o martwej samicy zakopanej w lesie. Mossman by tego nie zrozumiał.

— Ale o ile cię znam, pewno siedziałeś w lesie całymi godzinami. Co ty masz z tym przeklętym stworzeniem — potrafisz mi to wyjaśnić?

Zdecydowanie nie potrafił.

— Nie wiem. Czuję do niego respekt.

— A co dokładnie budzi w tobie respekt?

— Przejrzysta organizacja, siła wspólnoty, wytrwałość, upór. — Wzruszył ramionami. Nie było sensu rozwijać tematu. Mossman wolno kiwał głową.

— Jak to stado, którego sam kiedyś byłeś częścią. Korpus Łowców.

I znów legenda wywiadu trafiła w punkt. Jakby w potężnej czaszce miał ukryty laser i w ułamku sekundy potrafił nim namierzać konkluzje w głowie rozmówcy.

— Sytuacja nieco się rozwinęła, odkąd mnie poprosiłeś, żebym tu zajrzał i popytał o Poula Hansena — powiedział, zmieniając temat.

— Zgadza się, żołnierzu. Uważam, że tożsamość zwłok znalezionych w strumieniu jest alarmująca. Troels Monrad pracował w firmie przez wiele lat. To dlatego chciałem, żebyś to ty się tym zajął. Ale... na naszej drodze stanął wilk, *so to speak*.

— Chodzi nie tylko o Monrada. Rozumiem, że nie słyszałeś, co się stało Franck. Wczoraj wieczorem próbowano ją zabić. Strzały z przejeżdżającego obok motocyklu.

Potężne ciało się wzdrygnęło. Mossman zacisnął powieki, a na jego czole pojawiły się głębokie zmarszczki. Czyli mimo wszystko dało się czasem wyczytać coś z jego twarzy.

— Próbowali ją zabić?

— Na skrzyżowaniu w Kopenhadze. Dwa strzały. Z bliskiej odległości. Teraz ma obstawę. Kilka dni wcześniej dostała też pogróżki. Ktoś wrzucił jej przez przednią szybę kostkę brukową owiniętą w kartkę. Napisano na niej: „Nie rozgrzebuj przeszłości albo...”. To było tuż po jej spotkaniu ze starszym bratem człowieka, którego zastrzeliła wtedy na podwórzu w Sydhavnen.

Nazywał się Joakim Jönsson. Jego ojciec był Szwedem. Z kolei wczorajszy atak miał miejsce, kiedy wracała z więzienia Vestre. Widziała się tam z niejakim Seanem Struvem. To on zorganizował skok na bank, w którym miał uczestniczyć Jönsson.

— Zatem ktoś uznał, że wpadła na trop.

— Najwyraźniej.

— Więc gdzie ona jest teraz?

— Zakładam, że w pracy. Jak mówiłem — nie odbiera telefonu. Ale jest coś jeszcze... — Przytrzymał wzrok Mossmana. Zdecydował się zaryzykować. Tylko będzie musiał teraz uważnie wypatrywać jakiegokolwiek, najmniejszej choćby zmiany. Z namysłem dokończył: — Otóż... okazuje się, że cały ten dom jest monitorowany. Ktoś rozmieścił wokół gospodarstwa sześć ukrytych kamer. Jedną tutaj, w kuchni. Pozostałe na zewnątrz.

Mossman znów zamknął oczy i jakiegokolwiek odbicie jego czarnej duszy zniknęło pod ciężkimi powiekami.

— Hm...

— Znalazłem jedną z tych kamer i twardy dysk. I po kilku sekundach ktoś przyskoczył od tyłu i mnie ogłuszył. Obudziłem się związany starą uprzężą, na wozie w stajni.

— *I'll be damned*. A Poul Hansen?

— Ani śladu. Wiemy natomiast, że jest śmiertelnie chory. Ma zaświadczenie o stanie terminalnym. Rak prostaty.

— Czyli wyrok śmierci... Jakies ramy czasowe?

— Nie. Ale zaświadczenie oznacza, że już go nie leczą. Równie dobrze może już nie żyć. I to może być prawdziwy powód, dlaczego drzwi były otwarte, a on przepadł.

— Nikt nie wychodzi tylnymi drzwiami prosto do nieba z powodu raka. Nowotwór to nie atak, to proces. I po co ten monitoring? Mówisz, że jest sześć kamer. Skąd...

— Zdążyłem znaleźć mały monitor. Stał na strychu razem z twardym dyskiem. Było na nim sześć kanałów, zatem sześć kamer.

— W tym tutaj, w kuchni?

— Musiała być ukryta w przewodzie wentylacyjnym. Już jej nie ma. Nie pomyślałem, żeby akurat tam szukać.

— Możesz mnie oprowadzić? Chciałbym sobie wyrobić wyobrażenie o całej sytuacji — spytał Mossman.

— Teraz?

— Czemu nie? Wygląda na to, że nie mamy czasu do stracenia, nie sądzisz? Kiedy wysłałem cię tu po raz pierwszy, absolutnie nie uważałem tej sprawy za nagłą. Nie widziałem potrzeby rzucania wszystkiego i zajmowania się zniknięciem Poula Hansena. Również fakt, że ktoś wrzucił do potoku ciało Monrada, niekoniecznie spędzał mi sen z powiek. Ale teraz... skoro ktoś próbuje zabić Margrethe, to naprawdę musimy działać szybko. Chodźmy.

Kiedy latarką omiół ciemną oborę, a następnie zatrzymał snop światła na belce, wzdłuż której wcześniej biegł kabel i zniknął między deskami na strychu, wiedział dokładnie, jak to musiało wyglądać.

Kabel zniknął. Ergo — kamera, której lokalizacji nie znał — również zniknęła, jak tamta w kuchni. Reszta była do przewidzenia: nieuchronnie wychodził na głupka.

— Kabel szedł tędy — wyjaśnił Mossmanowi. — Kamera pokazywała całe przejście przez środek, aż do drzwi.

Mossman pokiwał głową, a on zaprowadził go dalej do stodoły.

— Hansen miał quada. Trzymał go tutaj — powiedział i poświecił latarką puste miejsce. — Nie wiadomo, gdzie się podział.

— Podobnie jak właściciel — mruknął Mossman. — Może zatankował do pełna i pojechał w siną dal, aby umrzeć w spokoju.

Skierował latarkę na twarz Mossmana. Widniał na niej smutny uśmiech.

— Hansen był widziany na swoim quadzie któregoś dnia wczesnym rankiem przy potoku — powiedział, nie odsuwając latarki od twarzy Mossmana.

— Chcesz powiedzieć, że widziano go w miejscu, w którym podrzucano zwłoki Monrada?

— Tak. Mniej więcej.

— I skąd, do ciężkiej cholery, masz takie informacje? *Pardon my french.*

— Spotkałem w lesie pewnego człowieka. Mieszka tam. W starym wagonie w ogromnym leju krasowym. Dużo się kręci po tej okolicy. Zna tu każdy kamień. Przemierza kilometry lasu i wrzosowisk. W nocy. Tylko w nocy. Ma na imię Tobias i był w psychiatryku z powodu jakichś swoich problemów. Przyszedł nad Kvindebækken wczesnym rankiem sprawdzić haczyki, bo zarzucił na pstrągi. Wtedy zobaczył Hansena, jak się oddalał od potoku na swoim quadzie.

Mossman westchnął ciężko i z powątpiewaniem pokręcił głową.

— Człowiek żyjący w dziurze w ziemi w środku lasu jest ogniwem łączącym naszego zaginionego z miejscem znalezienia zwłok. Czy się przesłyszałem?

— Nie przesłyszałeś się. I ja mu wierzę.

Zsunął snop światła z twarzy Mossmana i oświetlił ściany stodoły, a potem dach — belki, jętki i wzmocnione deskami krokwie.

— Nietypowa konstrukcja stropu — zauważył Mossman. — Chodzi mi o te krokwie zamknięte deskami.

— Wydaje mi się, że to ma w jakiś sposób usztywnić tę ruinę — odparł i skierował latarkę na otwarty stryszek na siano i klapę, za którą znalazł kamerę. — Tam, na górze, znalazłem pierwszą kamerę. Czekał, sprawdzę. — Drabina stała tak, jak ją zostawił. Wspiął się na antresolę i od razu zauważył, że kabel na suficie zniknął. Po kilku sekundach mógł potwierdzić, że zniknęła również kamera — ta skierowana na drogę dojazdową. — Tej też nie ma — powiedział, kiedy zszedł z powrotem.

— Czyli upadłeś na tym wozie, a kiedy się ocknąłeś, byłeś związany jak świniak starą uprzężą, tak? — powiedział Mossman, kiedy chwilę później znaleźli się w drugiej części tego skrzydła.

Czy mu się wydawało, czy wyłapał ironię w jego głosie? Poświecił Mossmanowi w twarz. Głównie, żeby go wkurzyć.

— Skrytka w suficie jest tam. Stałem na ławce woźnicy, a górną połowę ciała miałem na strychu. Monitor i dysk leżały tam na

piłśniowej płycie. Kiedy zszedłem, ktoś mnie uderzył i straciłem przytomność — wyjaśnił.

— A teraz cały majdan zniknął. Wszystkie ślady zostały zatarte. Jakby to był tylko *sen*... — Mossman zagwizdał i nie próbował nawet ukryć niedowierzania.

— Nie waż się nawet tego pomyśleć. A jeśli już tak myślisz, to lepiej się stąd zabieraj! — rzucił wściekle. I znów o mały włos nie rzucił Mossmanowi w twarz swoim oskarżeniem, że to on założył monitoring. Tę akurat myśl naprawdę lepiej było zachować dla siebie.

— Spokojnie, żołnierzu. Zastanawiam się po prostu, czemu to wszystko ma służyć. Nawet przez moment nie pomyślałem, że mnie wkręcasz. *Po co* miałbyś to robić? — Mossman jak zawsze odwrócił kota ogonem i nawet na koniec lekko się zdziwił, że został posądzony o sceptycyzm. — Słuchaj, Oxen. Może zostawmy już te komnaty i usiądźmy w kuchni. Widziałem, że spisałeś swoje przemyślenia odnośnie do starej sprawy Margrethe. Sam nigdy nie miałem okazji — ani powodu — żeby się z nią zapoznać. Chętnie posłucham, do czego doszedłeś. Musimy obrać jakiś kierunek. I to szybko.

Kiedy po chwili zamknęli za sobą drzwi stajni i doszli do tylnych drzwi domu, odłamki szkła zamigotały w świetle jego latarki. Na jednym z nich widniała etykieta. Odwrócona przodem do góry.

— Wygląda to, jakby ktoś fiknął kozła z butelką szkockiej pod pachą — zaśmiał się Mossman.

Zdecydował się tego nie skomentować. Kolejny ostry jak skalpel wniosek.

Gdy ponownie znaleźli się w kuchni, Mossman usadowił się na tym samym skrzypiącym krześle. Wielkimi palcami bębnił niecierpliwie w blat stołu, słuchając, jak telefon dzwoni w nieskończoność. Franck nie odbierała. W końcu najwyraźniej włączyła się poczta.

— Tu Mossman. Dotarłem do Harrildholmu i właśnie zaczynamy z Oxenem ciekawą rozmowę. Zadzwoń, proszę, jak będziesz mogła.

Ustalili, że lepiej będzie, jeśli Mossman spróbuje zadzwonić ze swojego numeru. Do niego prędzej oddzwoni — gdy będzie mogła. Był kwadrans po siódmej, więc pewnie nadal siedzi w Søborgu. Może nawet mają jakieś ważne zebranie, żeby wyrobić się ze wszystkim w terminie.

— Oxen. Sydhavnen wydarzyło się dawno temu. Możesz to pokrótce streścić i odświeżyć mi pamięć?

Kiwnął głową i zaczął:

— Dokładnie dwanaście lat temu. Młoda Margrethe Franck jest na patrolu z bardziej doświadczonym Klausem Tranem, kiedy przez radio idzie komunikat: doszło do napadu na bank...

Streszczał starą historię, pomijając zbędne detale. A ponieważ napad na Danske Bank przy Gammel Kongevej był nierozdzielnie powiązany ze sprawą Margrethe Franck, o nim też pokrótce opowiedział.

— *Well*, dziękuję. Teraz mam nieco większą jasność — powiedział Mossman, który ani razu mu nie przerwał. — Zatem bierzmy się do roboty. Jakie pułapki i przeoczenia wytropił nasz łowca?

— To właściwie drobiazgi, w większości błahe i pewnie bez znaczenia — zastrzegł i poklepał dłonią kartki z notatkami. — Moim najpoważniejszym zarzutem jest to, że nikt najwyraźniej nie zadał sobie trudu, aby przyrzeć się danym telekomunikacyjnym. Margrethe Franck stoi na wprost człowieka, Joakima Jönssona, który — wszystko na to wskazuje — zastrzelił pracownika banku. A mimo to nie ma żadnych załączników z informacjami z masztów nadawczych. Nie pobrano danych ani z najbliższego masztu, ani z masztów, z którymi komórka Jönssona mogła się łączyć na domniemanej trasie ucieczki.

— Możliwe, że te informacje znajdują się w materiałach z samego napadu.

— Po części tak. Ale w teczce Margrethe powinny się znaleźć dane z masztu najbliższej Sydhavnen. One powinny zostać powiązane z jej sprawą.

— Sam powiedziałaś, że na miejscu zdarzenia nie znaleziono komórki. Ani broni.

— Tylko dlatego, że nie znaleźli komórki na tamtym podwórku, nie powinni byli rezygnować z pozyskania danych z najbliższego masztu. Podobnie jak to, że nie znaleźli broni, nie powinno ich zniechęcić do jej poszukiwania. I rzeczywiście nie zniechęciło. Przeczესali cały teren wzdłuż trasy, jaką pokonał z Gammel Kongevej, aby sprawdzić, czy nie wyrzucił pistoletu po drodze. Więc dlaczego nie wzięli danych z najbliższego masztu?

Mossman wzruszył ramionami.

— A teraz one przepadły. Operatorzy mają obowiązek przechowywać je przez pięć lat — dodał.

— No dobrze. Ale nawet gdybyś mógł je dostać, to do czego by ci się one przydały?

— Do porównania z pozostałymi danymi telefonicznymi ze śledztwa w sprawie napadu. Żeby sprawdzić, czy jakiś numer zalogował się ponownie w Sydhavnen.

— A jeśli tak, to co?

Axel Mossman był w swoim żywiole. To było po nim widać. Krótka, zwięzła analiza faktów i dociekanie.

— Wówczas wiedziałbym, że złodziej i gangster Jönsson kontaktował się ze światem, zanim zdecydował się rozjechać Margrethe Franck.

— A co to za różnica? Co z tego, że na przykład zadzwonił do kumpli albo kogokolwiek, kto miałby odebrać, i powiedział: „Cześć, tu Joakim. Jestem w potrzasku, spróbuję się wywinąć. Rozjadę glinę — trudno, co będzie, to będzie. I tak zgniję w więzieniu”? I dopiero wcisnął gaz do dechy?

— No nie... nie tak to widzę.

Mossman popatrzył na niego z uniesionymi brwiami i lekkim uśmiechem.

— Czyżby? Więc jak, żołnierzu?

— Po pierwsze: Franck mówi, że widziała, jak Jönsson za kierownicą miał uniesioną rękę, zanim ruszył. W szybie odbijało się światło, ale tę dłoń widziała. Nie wiedziała, czy trzymał w niej pistolet, czy coś innego. To *nie był* pistolet. Moim zdaniem to była komórka. Po drugie: Jönsson kilka sekund wcześniej otrzymał jasny rozkaz, aby spróbować rozjechać Franck. Po trzecie: od kogo?

— Hm... Hm, hm, hm... — W dobiegającym z głębi ciała Mossmana mruczeniu wyraźnie tętniło zadowolenie.

— Po czwarte: *kto* następnie zabrał komórkę z wraku samochodu tam na podwórku? Bo ktoś to zrobił.

Mossman energicznie pokiwał głową.

— Brawo, Oxen. Naprawdę przeczytałeś te akta. Ciekawe, co by z ciebie było, gdybyś wtedy nie rzucił szkoły policyjnej i nie został łowcą.

Wzruszył tylko ramionami. Zanim ktokolwiek zdołałby się o tym przekonać, stałby się kulą u nogi. To jedyne, co można powiedzieć z całą pewnością. Zresztą nieważne. Został łowcą. I zawsze będzie łowcą

— To nie wszystko. Takich niejasności jest więcej. Znacznie więcej... Jestem o tym przekonany.

— To znaczy?

Palcem postukał w akta sprawy Margrethe.

— Całe założenie tamtego postępowania... To wszystko od samego początku było wielkim nieporozumieniem. Mówiłem ci o zrabowanych trzech milionach trzystu tysiącach, których nigdy nie znaleziono, prawda?

Mossman przytaknął.

— Poszukiwanie tych pieniędzy całkowicie przesłoniło resztę. Dociekania, czy Jönsson zdążył ukryć pieniądze albo przekazać jakiemuś nieznanemu współnikowi, zanim doszło do sytuacji w Sydhavnen. Albo czy Sean Struve i pozostali sami gdzieś je schowali, zanim zostali wytropieni i zatrzymani.

— Cóż, nie jest to pierwszy przypadek, gdy zaginiona część skarbu sprawia, że ludzie tracą głowę. Policji trudno się wówczas skupić na tym, co istotne.

— Sean Struve wkrótce po aresztowaniu przyznał, że czwartym uczestnikiem napadu był Jönsson. Podobnie zeznali dwaj jego współnicy. Czekał, przeczytam ci trzy krótkie fragmenty z ich przesłuchania.

W swoich notatkach odszukał wyłapane z akt treści.

— No więc, zgodnie ze stenogramem, Struve zeznał między innymi: „Jocke był naszym *shooterem*. Zawsze trzeba mieć w ekipie kogoś, kto umie posługiwać się bronią. Jak o to nie

zadbasz, to jesteś cholernym amatorem”. — Spojrzał na Mossmana i ciągnął dalej: — A tu mamy fragment przesłuchania drugiego z członków gangu, Johna Iversena. „Jönsson był z nami jako *shooter*. Żaden z nas, pozostałych, nie był szczególnie dobry w te klocki. *Shooter* do napadu jest niezbędny”. A tak mówi trzeci, ostatni ze sprawców, Benny Trolle: „Nawet go nie znałem, wiem tylko, że jego stary był Szwedem... Struve mówił, że wybrał go, żeby był naszym *shooterem*, na wypadek gdyby coś poszło nie tak. Trzeba mieć w ekipie człowieka, który umie strzelać. Inaczej jest się nieprzygotowanym”.

Znów spojrzał na Mossmana.

— Tak, słucham cię, Oxen. Słucham i się zastanawiam. Do czego zmierzasz?

— To tylko trzy krótkie fragmenty z długich stenogramów. A jednak brzmią dziwnie jednakowo, nie sądzisz? Wszyscy trzej wskazali Joakima Jönssona jako *shootera*. *Shootera*. Dwanaście lat temu... Czy ktoś tak by wtedy powiedział? Nie wydaje mi się. Może dziś, w slangu graczy komputerowych. Chociaż i tak nie wiem. *Shooter* wskazuje bardziej na masowego mordercę, aktywnego strzelca. Ktoś, kto strzela do nauczycieli i uczniów w szkole — na wzór amerykański — jest nazywany *shooterem*, prawda? Wiem, że roi się u nas od anglicyzmów, ale w tym przypadku mam jednak wątpliwości, czy tylko o to chodzi. Wszyscy trzej, każdy w nieco inny sposób, mówią to samo: Jocke, pół-Szwed, był naszym *shooterem*. I równie jednogłośnie mówią, że kogoś takiego trzeba mieć w ekipie.

— Uważasz, że uzgodnili zeznania?

— Tak. Tak uważam. Przeciwiczyli swoje zeznania, na wypadek gdyby coś poszło nie tak.

— Żeby odwrócić winę od któregoś z nich — tego, który naprawdę oddał śmiertelny strzał w banku?

— Nie... Wcale nie. Oni to przeciwiczyli... — Powoli unosił kubek do ust, czując na sobie baczne spojrzenie Mossmana. Przez to wszystko kawa im ostygła, ale nawet zimna była świetnym pretekstem, aby przeciągnąć tę chwilę. Chwilę, w której choć raz to on kontrolował sytuację. A Mossman mógł tylko siedzieć napięty jak sprężyna i próbować się domyślić

puenty z intensywnością widoczną w każdej chytrej zmarszczce na jego twarzy.

Dopił kawę i odstawił kubek, zanim podjął wątek:

— ...aby ukryć fakt, że Joakim Jönsson wcale *nie uczestniczył* w tamtym napadzie.

Mossman zacisnął usta w cienką kreskę.

— Czyli czwarty sprawca jest na wolności. I ma trzy miliony trzysta tysięcy koron. Jest to niewątpliwie spektakularna teoria. Ale oparta wyłącznie na domysłach.

— To prawda, nie mam żadnych dowodów. Ale Franck zaskoczyły liczne zapewnienia, jakoby Jönsson w ogóle nie interesował się bronią palną. To samo usłyszała od jego brata. A mimo to jego kumple z gangu twierdzą, że był z nimi właśnie jako ekspert od broni. Sean Struve, z którym Margrethe dopiero co się spotkała w więzieniu Vestre, podtrzymuje swoje zeznanie w tej kwestii. I właśnie na tej niezgodności — niesłuchanie istotnej niezgodności — opieram swoją interpretację zdarzeń.

— A jak ona ocenia twoją wersję?

— Nie miałem jeszcze okazji z nią porozmawiać. Cały dzień nie odbiera telefonu.

— Ale czy ona sama nigdy nie próbowała uważniej przyjrzeć się własnej sprawie? Nigdy nic jej nie zaniepokoiło?

— Wydaje mi się, że przyjęła strategię — zwłaszcza po tym z nogą — żeby nie rozpamiętywać tego, co się stało. Nie oglądać się za siebie. Inskrypcja na jej zegarku, *per aspera ad astra*, stała się jej mottem.

Przez krótką chwilę milczeli, każdy pogrążony we własnych rozmyślaniach.

— Czyli duńsko-szwedzki rewolwerowiec to postać fikcyjna — podsumował Mossman, prawdopodobnie bardziej do siebie niż do niego.

— Dokładnie. Chyba że mówimy o rewolwerowcu, który nie wie, którym końcem wylatuje kula.

— Dziwne. Bardzo dziwne...

— Najpierw w oczy rzucił mi się brak danych telekomunikacyjnych — zaczął swoją opowieść o tym, jak doszedł do swojej konkluzji. — Gdzie się podziały dane z

masztów nadawczych? Nawet dwanaście lat temu każdy raczkujący bandyta wiedział, że trzeba trzymać łapy z dala od swojej komórki. A w razie potrzeby używać telefonu na kartę. Więc to oczywiste, że w trakcie akcji Struve i jego ludzie nie korzystali z telefonów. Jönsson też o tym wiedział. Nigdy by nie zrobił czegoś tak głupiego. Skoro Jönsson mimo wszystko rozmawiał przez telefon na podwórku w Sydhavnen, to znaczy, że *nie* brał udziału w napadzie. I dlatego twierdzę, że coś tu bardzo nie gra. Może ktoś do niego zadzwonił? Tego się już nie dowiemy.

— Więc kto twoim zdaniem zabrał telefon?

— Ktoś, kto był na miejscu.

— W sensie — funkcjonariusz?

— A kto inny?

— Jako pierwszy na miejscu był partner Margrethe... — Mossman przygryzł mięsistą dolną wargę.

— Jemu Margrethe ufa bezgranicznie. Zaraz po nim pojawiła się cała armia ludzi, policjantów, kryminalistów.

— Faktem jest, że nikomu nie wolno ufać bezgranicznie. Chociaż tobie akurat nie trzeba tego tłumaczyć. — Mossman na chwilę zamilkł, pozwalając, by jego uwaga wybrzmiała. Po czym dodał: — Podsumujmy twoją teorię... Mamy do czynienia z przypadkową zbieżnością dwóch odrębnych wydarzeń: napadu na Danske Bank i jakichś porachunków pół-Szweda Jönssona, o których nic nie wiemy. Oraz zbieżność samochodów...

— Dania to kraj srebrnych samochodów. Na ulicach roi się od peugeotów trzysta siedem kombi. I wiele z nich jest do siebie podobnych. Więc statystycznie taka zbieżność jest możliwa.

— *Well...* Czyli gdy trzej złodzieje ukrywają się w swojej norze, dowiadują się o tym, co zaszło w Sydhavnen. I wymyślają historię, której wszyscy ściśle będą się trzymać. Historię o *shooterze* Joakimie „Jockem” Jönssonie. Ta historia odwraca uwagę śledczych od czwartego z nich, który zgodnie z umową oddzielił się od nich tuż po napadzie — z częścią łupu. Rzeczywiście, można powiedzieć, że to bardzo dogodny zbieg okoliczności.

— Życie jest pełne zbiegów okoliczności. Swego czasu gang z Blekingegade wpadł przez zwykły wypadek samochodowy. Jönsson niespodziewanie stał się dla bandy Struvego użytecznym idiotą. Wyłącznie dzięki temu, że zginął — w odpowiednim momencie — i nie mógł zaprotestować.

— Sprawę z Sydhavnen trzymano w tajemnicy przez siedem dni, prawda? — Mossman przeszył go ostrym jak brzytwa wzrokiem.

— Prawda.

— Struvego i jego kumpli aresztowano po pięciu dniach od napadu. Skąd się dowiedzieli o Jönssonie i sytuacji w Sydhavnen? Nie mogli o tym wiedzieć. Chyba że... — Mossman urwał w połowie zdania.

Sam je za niego dokończył:

— ...chyba że Struve dostał cynk.

— Kret?

— Innej możliwości nie ma.

— Jeśli twoja teoria ma jakikolwiek związek z prawdą... to wchodzimy na bardzo kruchy lód. Wiesz o tym, prawda?

Przytaknął. Oczywiście, że nikomu nie spodoba się jego wersja.

— Gdzieś tam są ludzie, którzy uważają, że Franck również weszła na kruchy lód, prawda?

— Najwyraźniej... — Mossman potarł twarz dłońmi i pokiwał głową. Wyglądał na zmęczonego. Lecz kiedy po chwili spojrzął na niego, wzrok znów miał ostry. — Tylko zastanawia mnie jedno. Co, u licha, mógł robić na tamtym podwórku Joakim Jönsson — dlaczego się zdecydował na tak desperacki krok?

— Nie wiem. Tego nie wiem. — Spojrzął na zegarek. To się robiło dziwne, że wciąż nie oddzwaniała. Mossman wyłapał jego zaniepokojenie.

— Myślisz o Margrethe? Widzę, że się martwisz. Mogę spróbować inną drogą, chociaż obecnie nie mam już takich znajomości w Søborgu. Wiesz może, jak się nazywa jej bezpośredni przełożony?

— Nie mam pojęcia.

— W takim razie uderzę bezpośrednio do góry.

Zostawił Mossmana, by mógł w spokoju obdzwonić kogo trzeba, i ruszył utartym szlakiem do dużego salonu. Stał przy oknie i postawił kubek na parapecie. To do niej niepodobne — tak się obrazić i milczeć.

Kiedy stał i Bóg wie który raz patrzył w ciemność, na podwórko zaczęły spadać pierwsze rzadkie płatki śniegu. Nie topniały przy zetknięciu z podłożem. Sądził, że temperatura utrzyma się na poziomie jednego albo dwóch stopni na plusie, ale nie. Pomyślał o Tobiasie, który być może zaczął właśnie swoją wielogodzinną wędrówkę. Bez względu na to, co przyniosą następne dni, ani na to, kiedy uzna, że już wystarczy i wróci do Vangede — na pewno najpierw będzie musiał się pożegnać z Tobiasem.

Gdy wrócił do kuchni, Mossman z poważną miną rozmawiał, ale już kończył:

— Okej, jesteśmy w kontakcie. Franck mówiła, że się do mnie wybiera, więc po prostu na nią zaczekam. Jeśli się nie pojawi, dam ci znać. Na razie.

Spojrzał pytająco na Mossmana, a ten wzruszył ramionami.

— Niewinne kłamstwo. Ale słuchaj — okazuje się, że doszło do lekkiego zamieszania z ochroną Margrethe. Rozmawiałem z jej szefem i dwójką innych ludzi z Søborga. Miała im powiedzieć, kiedy będzie chciała jechać do domu. Tymczasem... najwyraźniej wyszła bez słowa. Dlatego powiedziałem, że byliśmy umówieni i pewnie jest w drodze. Może i słabe wytłumaczenie, ale wydaje mi się, że moje nazwisko wciąż jeszcze ma tam jakąś siłę przebicia, więc uwierzyli.

— Czyli *nie* zaalarmowałeś nikogo?

— Zaalarmować? Oszalałeś?

— Mossman. Puściłeś ją samopas dwadzieścia cztery godziny po tym, jak ktoś próbował ją zabić.

— Przeciwnie. Zapewniłem jej bezpieczeństwo. Skoro postanowiła się wymknąć — bez informowania swoich ochroniarzy — to znaczy, że ma ku temu powód.

— Ale istnieje ryzyko...

— Odczekamy godzinę — i ani sekundy dłużej. Zbieraj się, jedziemy!

— Dokąd?

— Na wschód. W stronę Kopenhagi.

Rozdział 59.

Chuda, blada dziewczynka w sukience z białego tiulu wyglądała na ogromnej scenie jak płatek śniegu. Taka krucha, taka łagodna, tak bardzo niepozorna — a jaki głos!

Britain's Got Talent zajmował na liście hitów Bertelsena pozycję lidera. Ex aequo z *Champions League* — w każdym razie do ćwierćfinałów. Siedział wygodnie rozparty w fotelu z filiżanką kawy w zasięgu ręki. Na zewnątrz był mróz, ale kaloryfer w pokoju pracował pełną parą. Mimo to doświadczonego, zahartowanego w bojach — i wkrótce emerytowanego — funkcjonariusza i śledczego przeszły ciarki.

Ta piosenka. Jasnym, czystym i anielsko dźwięcznym głosem dziewczyna śpiewała do Simona Cowella, który otworzył usta, a oczy miał wielkie jak spodki.

— O rety, to jest klasa — rzucił w stronę swojej małżonki, która w ten przytulny wieczór dzieliła swoją uwagę między kryminał na swoich kolanach i utalentowaną piosenkarkę. Nie podzielała entuzjazmu męża, ale akurat przy tym utworze musiała odłożyć książkę.

— Dobry Boże — westchnęła.

W ogromnym studiu panowała absolutna cisza, a zebrana publiczność zastygła zelektryzowana niezwykłym wykonaniem. Za moment, gdy dziewczyna skończy występ, hukną owacje. W salonie Bertelsenów również było cicho. Bertelsen jak zaczarowany patrzył na śpiewający płatek śniegu.

Wtedy zadudniły gromko elektryczne organy dzwonka do drzwi, którego nigdy, ale to nigdy nie powinni byli kupować.

— Aaa! Nie teraz! — Bertelsen płaską dłonią uderzył w podłokietnik fotela. Jego żona wstała z ociąganiem. Po chwili weszła do salonu, prowadząc ze sobą mężczyznę z reklamówką.

— Dobry wieczór, Bertelsen. O, nie wiedziałem, że lubisz takie rozrywki — powiedział i wskazał głową na telewizor.

— Borg? Co tu robisz, u diabła? — rzucił Bertelsen i nie czekając na odpowiedź, pomachał mu ręką, żeby się powstrzymał. — Czekaj chwilę. Muszę to zobaczyć do końca. Siadaj — zaprosił kolegę.

Choć pracowali ze sobą nieraz i byli partnerami — na tyle, na ile można było być partnerami po restrukturyzacji policji, która nie wspierała już pracy w parach — to nigdy jeszcze nie spotkali się ze sobą prywatnie. Borg po cichu usiadł w fotelu po drugiej stronie stołu i też zaczął oglądać.

You can go all the way, Emily. And I mean: ALL the way... Simon Cowell pochylił głowę w geście poważania, kiedy ucichły gromkie brawa. Bertelsen ściszył głos w telewizorze.

— No, witaj. Co jest? — spytał i skierował całą uwagę na swojego kolegę.

Borg wyjął z reklamówki segregator i położył na stole.

— Pogrzebałem jeszcze trochę i znalazłem więcej na Idrisa Nassara. Również rzeczy, w których nie występuje w głównej roli. Wszystko uporządkowałem, wydrukowałem i zebrałem. Prosto i przejrzyste. Kompletna lista wszystkich jego występów — albo domniemanych występów.

— Ale po co?

— Tak po prostu pomyślałem... Ciebie czeka teraz pewnie parę tygodni babrania się ze strzelaniną gangów, a mnie kazali się przyjrzeć serii rozbojów w sklepach nocnych. Więc tak tylko, żebyśmy nie zapomnieli o Nassarze... I naszej umowie...

— Ty i twoje lustro!

Borg uśmiechnął się i przytaknął.

— Borg. Jesteś bardziej uparty niż zwykle. A Idris Nassar to sukinyś groszy niż cała reszta. Więc co tu się, u licha, dzieje — tak naprawdę?

Bertelsen oczywiście od razu wyniuchał, że coś jest na rzeczy. Jego kolega mógł mu przecież dać ten segregator przy dowolnej okazji, gdy się spotkają na komendzie. I absolutnie nikomu nie wydałoby się to podejrzane. Nachodząc go po pracy w domowym zaciszu, Borg w delikatny, acz jednoznaczny sposób dawał mu do zrozumienia, że ta sprawa powinna i musi zostać potraktowana priorytetowo.

Żona Bertelsena spojrzała na małżonka z dezaprobatą. Nie lubiła, gdy przeklinał. Zwłaszcza przy kimś tak kulturalnym jak Borg.

Borg wzruszył ramionami.

— Próbowałem ci już wyjaśnić, jakie mam odczucia względem tej sprawy. I one z każdym dniem się nasilają. Przyznaję, Bertelsen, że zaczynam mieć lekką obsesję. Im bardziej wszyscy nalegają, żebyśmy zamknęli sprawę, tym bardziej mam ochotę nie odpuszczać. Właśnie teraz, gdy z racji stażu pokusa, żeby pójść po linii najmniejszego oporu i zadbać o własną wygodę, jest największa, powinniśmy się spiąć i obstawać przy swoim — ty i ja. Bertelsen, ja nie jestem spolegliwym staruszkim. I nie pozwolę nikomu tak się traktować.

Żona Bertelsena pokiwała głową z powagą. Borg był jej ideałem mężczyzny. Porządny i o silnym kręgosłupie moralnym. Jej mąż zresztą też taki był. Tylko jemu czasem trzeba było pomóc to dostrzec.

— Tak, wiem, Borg. Kurde, jasne, masz rację. Obiecuję, że to przeczytam — mruknął Bertelsen. — Czego się napijesz? Piwa? Kawy?

— Nie, dzięki. Niczego — odparł Borg. — Może w takim razie umówimy się, jak do tego podejść od strony praktycznej.

— Spoko. Ale jedno mogę ci powiedzieć od razu — nie zamierzam poświęcać każdego z moich cennych wieczorów temu podłemu kadłubkowi — zastrzegł Bertelsen i jakby dla podkreślenia swojej puenty podkręcił dźwięk w telewizorze w środku ballady śpiewanej aksamitnym tenorem.

Rozdział 60.

Z każdym przejechanym kilometrem przed oczami miał coraz bardziej brutalne wizje tego, co mogło spotkać Margrethe. Jechali od dwóch godzin i został im już tylko kawałek. Wkrótce poznają prawdę.

Ostatni odcinek przebyli w milczeniu. Odkąd wyruszyli, samochód zmienił się w mobilne centrum dowodzenia Axela Mossmana, który przesiadł się na miejsce pasażera po tym, jak odstawili jego wynajęty samochód do oddziału Hertza w Vejle.

Przez ten czas byłemu szefowi PET udało się działać całkiem sporo. Przede wszystkim zdobył dostęp do danych pozwalających zlokalizować komórkę Margrethe Franck. Nieoficjalny dostęp, trzeba uczciwie powiedzieć.

Dlatego jechali teraz pod konkretny adres. Jej komórka znajdowała się jakieś dziesięć kilometrów na wschód od Slagelse. Według mapy najbliższa miejscowość do Frederikslund — mała kępka domów i gospodarstw tuż przy linii kolejowej przecinającej Danię w poprzek.

Mossman błyskawicznie dowiedział się również, kto jest zameldowany pod owym adresem. I że tym kimś jest René Jönsson, brat Joakima Jönssona, którego Margrethe zabiła dwanaście lat temu.

Po tej informacji wizje w jego głowie absolutnie nie złagodniały.

Franck już raz odwiedziła starszego z braci Jönssonów. A teraz uznała najwyraźniej, że musi się z nim spotkać ponownie — i to tak pilnie, że pomimo urwania głowy i wiszącego nad nią terminu wymknęła się swoim ochroniarzom i bez słowa wyjechała z Søborga. Dlaczego? Może wcale nie postanowiła wyjechać, lecz została do tego zmuszona...

W czasie gdy Mossman prowadził swój nieprzerwany ciąg rozmów — złożył między innymi zapytanie do ówczesnego prowadzącego śledztwo w sprawie brakujących danych z masztu

nadawczego przy Sydhavnen — on prowadził volvo Mossmana najszybciej jak się dało. Gnany niepewnością o to, jak wiele — czy jak niewiele — czasu im zostało. Każda stracona sekunda mogła w teorii oznaczać utratę życia.

Na autostradzie naprawdę ruszyli z kopyta. Temperatura oscylowała w okolicach zera, ale nawierzchnia była posypana solą i dało się sporo nadgonić. Za to ten ostatni odcinek, gdy kluczyli pomniejszych drogami, ciągnął się niemiłosiernie.

Mossman wyjął coś ze schowka. Wąski pasek asfaltu wymagał od niego całkowitej koncentracji, więc tylko zerknął w tamtą stronę. Mossman trzymał w dłoni pistolet. Heckler & Koch, USP Compact. Najczęściej wybierany model, gdy chodziło o uzbrojenie policji w tym kraju. Taki sam miał w domu, w szafie, na najwyższej półce.

— *Damned...* — Mossman zaklął, kiedy otworzył magazynek. — W ogóle się nie znam na tych rzeczach.

— Szczerze mówiąc, nie wiedziałem nawet, że masz broń.

— Ja też do końca nie wiem, po co mi to. Ale mam pozwolenie. Każdy, kto siedział na moim stołku, może je dostać. Tylko... będzie lepiej dla nas obu, jeśli ty go przejmiesz, żołnierzu.

Mossman zaczął śledzić położenie samochodu na wbudowanym monitorze i udzielił mu kilku wskazówek. Sam wcześniej obejrzał zdjęcia satelitarne na Google Maps i zorientował się w terenie.

— Za chwilę będziemy na miejscu. Dwa kilometry. Zarośla, o których rozmawialiśmy, będą po twojej prawej, jakieś dwieście metrów przed domem. Zaraz za zakrętem.

Pokiwał głową. Już ustalili, jak to rozegrają. Dwie minuty później zwolnił i akurat gdy wyłączył światła samochodu, daleko przed sobą dostrzegli światła w oknach domu.

Jego wzrok szybko przyzwyczył się do ciemności. Z wyłączonymi światłami wolno podjechał bliżej. Droga łagodnie zakręcała i po chwili z jednej strony wyrósł gęsty żywopłot, w mroku wyglądający jak ściana. Skręcił w boczną drogę i zatrzymał samochód. Wprawnym ruchem załadował i zatrzasnął magazynek. Potem skinęli sobie nawzajem głowami i wysiedli. Znaleźli się w terenie. Teraz on dowodził.

— Pamiętaj — pod żadnym pozorem mnie nie wyprzedzaj. To ja mam ogień. Ja wyznaczam tempo. Trzymaj się stale za mną. Zanim cokolwiek zrobisz — zapytaj. Jasne?

Mossman, który zdecydowanie lepiej czuł się uzbrojony w latarkę, posłusznie kiwnął głową.

Szybko przeszli wzdłuż żywopłotu. Ciągnął się prostopadle do torów kolejowych i wcinał na jakieś dwieście metrów w otwarte pole. Zamierzali zbliżyć się do domu Renégo Jönssona od tyłu. Od przodu dom stał zbyt blisko szosy, którą przyjechali, więc ta droga była wykluczona. Światło, które widzieli wcześniej, paliło się nie w jednym, lecz wielu oknach — w dużym oknie, najprawdopodobniej w ścianie szczytowej, oraz szeregu małych okien w skrzydle gospodarczym.

Przyśpieszyli. To był łatwy teren. Lekki mróz wystarczył, aby ziemia na obsianym oziminą polu zrobiła się twarda.

— Tędy — rozkazał i pomachał Mossmanowi, aby przedarł się za nim przez niskie krzaki pomiędzy dwoma iglakami.

Zbliżali się do tylnej ściany domu po skosie, nie spuszczać oczu z oświetlonych okien.

Wreszcie mogli się przykleić do pobielonej wapnem ściany, teraz już nie tak białej. Dał Mossmanowi znać, że tu przystaną. Mossman był zdyszany. Musieli chwilę odczekać, żeby olbrzym wyrównał oddech. On sam wyjął pistolet i odciągnął kurek.

Chwilę potem głową dał Mossmanowi sygnał i ruszyli ostrożnie wzdłuż tylnej ściany domu. Pierwsze okna, które minęli, były ciemne, ale w dwóch następnych, kawałek dalej, paliło się światło. Powoli wychylił głowę i zajrzał do pierwszego z nich. Był to mały pokój. W nim kanapa, dwa krzesła, mały stolik, a na ścianie od strony podwórka ogromny telewizor. W pokoju panował bałagan. Na stole, wśród puszek po piwie, wały się kolorowe czasopisma. Do tego popielniczka, z której pety wysypywały się po bokach. Na podłodze leżały porozrzucone ubrania, w rogu kanapy — zmięta kołdra. Ale żadnego ruchu.

Minęli następne okno i obeszlili ścianę szczytową. Otwarty odcinek od strony drogi był zagracony labiryntem prowizorycznych bud i przypadkowo rozrzuconych wraków samochodów. Kawałek dalej w ciemności lśniła biała przyczepa

kempingowa. Kiedy podeszli bliżej, zobaczyli dwa zaparkowane przed domem samochody. Duże, ciemne bmw i mały volkswagen up. W skrzydle gospodarczym w większości okien paliło się światło. Będą musieli tam podejść i zajrzeć, ale przejście po skosie przez otwarte podwórko było zbyt ryzykowne, dlatego postanowił, że wrócą naokoło tą samą drogą.

Pierwsze okna znajdowały się w czymś w rodzaju schowka wypełnionego starymi gratami. Okna od trzeciego aż do końca skrzydła przynależały do jednego dużego pomieszczenia.

Zauważył to od razu i uniósł ostrzegawczo rękę, dając znać Mossmanowi, aby się zatrzymał.

Pomieszczenie przypominało warsztat. Były tam stół roboczy i tablica z narzędziami. Na środku podłogi leżały przewrócone skrzynki i inny sprzęt, a zza nich wystawały dwie ubrane w skórzane buty nogi.

Zakradł się do następnego okna, skąd zobaczył koło i fragment wygiętej w łuk kierownicy motoru. Oraz czyjeś ramię. Tak czy inaczej, stali pod złym kątem, aby mieć pełny ogląd sytuacji. Postali jeszcze chwilę, ale wciąż nie dostrzegli najmniejszego nawet ruchu.

Ręką dał Mossmanowi znak i obeszli skrzydło naokoło, by znaleźć się przy nim od frontu i podwórka. Na tylnej szybie volkswagena widniała naklejka Europcaru. Drzwi pomieszczenia były uchylone. Trzymając pistolet oburącz, kopnął w nie i wskoczył do środka. Minął człowieka leżącego na podłodze, aby najpierw się upewnić, że nikt się nie ukrywa w rupieciarni przy ścianie szczytowej.

Potem wrócił. Mężczyzna leżał na środku podłogi. Miał na wpół otwarte usta i wysunięty język. Puste oczy były wbite w sufit. Na nim leżał lśniący harley davidson z dwoma potężnymi cylindrami. Czerwony metalik na baku i błotnikach, reszta w chromie. Na pokrywie silnika napis „Low Rider”.

Mężczyzna przygnieciony swoim amerykańskim marzeniem miał na sobie flanelową koszulę w kratę, skórzaną kamizelkę i brudne dżinsy. Miał również długą, potarganą brodę i tłuste włosy.

Przyklęknął i posłuchał, czy oddycha. Nie oddychał. Dotknął jego szyi, by wyczuć puls. Nic. Mężczyzna był martwy jak kamień. Motocykl musiał na niego spaść z czegoś w rodzaju rampy.

— Czyżby pan Jönsson? — mruknął Mossman.

— Zapewne. Zostań tu. Pójdę zabezpieczyć resztę domu.

Zostawił Mossmana w skrzydle gospodarczym, żeby sprawdzić pozostałe zabudowania. Często w takich sytuacjach popełniano klasyczny błąd — skupiano całą uwagę w jednym miejscu, zamiast osłonić sobie tyły. W kuchni na parapecie znalazł portfel, a w nim prawo jazdy. Mężczyzna na zdjęciu był nieco młodszą i bardziej schludną wersją Reného Jönssona.

Trzymając pistolet w wyprostowanych rękach, przeszukał kolejno pozostałe pomieszczenia. Potem wszedł na piętro. Dom był pusty. Ani śladu Franck. Wrócił do Mossmana, który stał tam, gdzie poprzednio, i przyglądał się leżącym na podłodze zwłokom.

— Znalazłem prawo jazdy — powiedział. — To *jest* Jönsson.

— *Low Rider*, w rzeczy samej. Bardzo *low*, na poziomie podłogi w drodze do piekła. Czy nie tam ma zabukowaną kwaterę ten cały popieprzony klan? — Mossman w zamyśleniu klasnął językiem o podniebienie.

— W środku ani śladu Margrethe. Ale wóz z wypożyczalni przed domem musi być jej.

Mossman wcisnął coś w swoim telefonie i chwilę później z podłogi dobiegł ich głośny dzwonek.

— Jest tu w każdym razie jej telefon — zauważył Mossman.

Sam kiwnął głową i uklęknął obok zmiażdżonego korpusu, nasłuchując, skąd dobiega sygnał. Po chwili wsunął dłoń pod pachę zmarłego i wyjął telefon, który leżał ukryty pod kamizelką. Na wyświetlaczu pokazywał się komunikat o połączeniu od Axela Mossmana.

Wstał i wpatrywał się w telefon Franck, który poza samochodem przed domem stanowił jedyny namacalny znak, że tu była.

— Lepsze to niż znaleźć ją martwą. Tylko o co tu chodzi? Gdzie ona może być? — Spojrzał pytająco na dawnego giganta

wywiadu.

— Dokładnie to samo w tej chwili chodzi mi po głowie, żołnierzu. Gdyby ci, którzy sprofanowali to srebrne cacko, przewracając je na naszego przyjaciela, mieli równie nieczne zamiary względem Margrethe, leżałaby tu obok niego. Chyba że zależało im na tym, aby nigdy nie została znaleziona. Jakiś sens musi się w tym kryć — i musi istnieć powód, dla którego zniknęła.

— Trzeba wszcząć alarm.

— To jasne. Obiecałem przecież. Zadzwonię za chwilę. Wyjmij kartę z jej telefonu, dopóki o tym pamiętam. Nie chcemy chyba ściągać tutaj nikogo z PET czy pospolitej policji, prawda?

— Więc nie zamierzasz nikogo powiadamiać?

— Nie, Oxen. *My* nie zamierzamy nikogo powiadamiać. Wciąż nie mamy nawet bladego pojęcia, o co tutaj chodzi. I Margrethe uważała — albo uważa — podobnie. Dlatego to, że ona tu była, zachowamy dla siebie. W ogóle, gdyby ktoś pytał, to nie wiemy, gdzie była i co robiła. Okej?

— Ale czekając, aż cokolwiek się wyjaśni, musimy jakoś działać. Może sprawcy się odezwą?

— Jeśli już, to odezwą się do PET. A wówczas i tak się o tym nie dowiemy. Możliwe, że to zwykłe porwanie dla okupu, ale czuję w kościach, że chodzi o coś innego.

— Tak czy inaczej, nie możemy siedzieć z założonymi rękami. Musimy pójść po jej śladach i spróbować się czegoś dowiedzieć.

Mossman uśmiechnął się i pokiwał głową.

— Ciebie, żołnierzu, nie sposób posądzić o siedzenie z założonymi rękami. Oczywiście, że musimy szukać dalej. Uważam, że jutro z samego rana powinniśmy odwiedzić dawnego partnera Margrethe, Klause Tranego.

— Jutro rano pewnie będzie w pracy. Jeśli wyruszymy od razu, możemy być u niego przed północą. *Musimy* to zrobić jeszcze dzisiaj. Nie wolno nam czekać do jutra. Liczy się każda sekunda.

Mossman z namysłem pokiwał głową.

— *Well*, Oxen. Zatem niech będzie dziś.

Rozdział 61.

Respekt i groza. Tak chyba trzeba nazwać to, co błysnęło w oczach starszego aspiranta Klause Tranego, gdy tuż przed północą otworzył drzwi swojego domu w Vanløse i na progu ujrzął żywą legendę, człowieka, który przez całą wieczność sprawował w Policyjnej Służbie Wywiadowczej władzę absolutną, samego Axela Mossmana.

Oczywiste było, że Klaus Trane nie mógł odmówić, gdy o spotkanie poprosiła go postać tak wyjątkowa — mimo że było późno, a on o nieludzko wczesnej porze zaczynał pracę jako treser psów policyjnych dla okręgu Zelandii Środkowej i Zachodniej.

Trane zaprowadził ich do kuchni i poprosił, aby usiedli przy stojącym w rogu stole.

— Oxen — to ty jesteś tym... komandosem? Tym, którego poszukiwano... za zabójstwo? — Popatrzył na niego pytająco.

Potwierdził, kiwając głową. Uniesione brwi i lekkie skinienie Tranego zinterpretował jako wyraz zaskoczenia.

— Jestem przyjacielem Margrethe — dodał.

Mossman przez telefon wyjaśnił pokrótce, że sprawa, z którą do niego przychodzą, ma związek z Margrethe Franck, jego dawną partnerką i koleżanką z posterunku. Z kolei Trane potwierdził, że Margrethe niedawno go odwiedziła. Reszty mieli się dowiedzieć teraz.

— Otóż to — zaczął Mossman. — Widzisz, Trane, właśnie jej szukamy. Szukamy bardzo dyskretnie. Przypuszczamy, że mogło ją spotkać coś złego.

— Coś złego? — Klaus Trane podniósł na nich czujny wzrok.

Mossman celowo grał na zwłokę i nie odpowiedział. Te dodatkowe sekundy były mu potrzebne, aby wy badać reakcję Tranego.

— Powiedziałaś, że cię odwiedziła. Mówiła, z jakiego powodu? — spytał po chwili.

— Chciała porozmawiać o tamtej sytuacji — o Sydhavnen. Wyglądała na zmartwioną. Mówiła coś o znalezionym wycinku z gazety z tamtego okresu. Wyciętym artykule o tym, że śmiertelnie postrzeliła podejrzanego w podwórzu w Sydhavnen. Byliśmy wtedy razem na patrolu, te dwanaście lat temu. I...

Mossman uniósł wielką dłoń, aby mu przerwać. Trane natychmiast zamilkł.

— Tamtą historię znamy dobrze — powiedział Mossman — więc możesz ją pominąć.

Trane przytaknął.

— Okej. No więc chodziło o wycinek z gazety. Znaleziono go w jakimś gospodarstwie gdzieś na Jutlandii. Właścicielem domu był starszy człowiek, który był kiedyś szefem departamentu w Ministerstwie Sprawiedliwości. Margrethe łamała sobie głowę, co to może oznaczać. Myślę, że była *zaintrygowana* tym znaleziskiem — że nagle tamtą starą historię ktoś wyciągnął na światło dzienne. Tak mi się przynajmniej wydaje.

— A do ciebie przyjechała w jakim celu? — Mossman przytrzymał wzrok Tranego.

Nie widział sensu, aby się wtrącać, skoro siedział obok śledczego najwyższej próby — człowieka, który bez względu na to, czy występował w charakterze księcia ciemności, czy anioła światła — potrafił każdego przemaglować tak, że na końcu człowiek nie wiedział, jak ma na imię.

Trane wzruszył ramionami i odparł:

— Po części chciała powspominać dawne dzieje — byliśmy bliskimi przyjaciółmi. A po części, żeby mnie spytać o Sydhavnen. Czy przez te dwanaście lat, które minęły, nie wpadłem na coś dziwnego. Czy nie ma czegoś, nad czym się na przykład do dziś zastanawiam.

— I jest takie coś? Coś, nad czym się zastanawiasz?

Treser psów pokręcił przecząco głową.

— Nie... Tak jak zresztą mówiliśmy, gdy tu była... Po tym, jak zatrzymano Seana Struvego, a Joakim Jönsson został zidentyfikowany jako sprawca zabójstwa w banku, wszystko się wyjaśniło. Margrethe powiedziała, że ona sama świadomie postanowiła nie grzebać dalej w tamtej sprawie. Przez to, co się

stało z jej nogą. Uznała, że dla samej siebie musi zamknąć ten rozdział.

— I to wszystko? — dociekał Mossman.

— Tak. Siedzieliśmy po prostu w ogrodzie, a psu dałem się wybiegać... Nie, czekaj! Rzeczywiście, było coś jeszcze. Teraz sobie przypominam, że Margrethe mówiła jeszcze, że niedawno odwiedziła starszego brata Joakima Jönssona, Reného. Cwaniak z grubą kasą. Znam go, mieszka w moim okręgu policyjnym. Narkotyki i tego typu rzeczy. Margrethe zadała mu tylko parę pytań na temat młodszego brata. Podobno kazał jej się wynosić. To wszystko.

— Czyli jednak wygrzebała Jönssona.

— To nic trudnego. Wystarczy wpisać w naszą wyszukiwarkę „René Jönsson”, a pojawi się cała lista danych. Ale poza tym o niczym więcej nie rozmawialiśmy. Trochę o dawnych czasach... A, i pokazała mi swojego mini coopera. Margrethe zawsze miała fioła na punkcie samochodów.

Mossman spokojnie pokiwał głową i lekko się uśmiechnął. Niezawodny znak, że teraz staje się groźny. Ale Klaus Trane tego nie wiedział.

— Znalazłeś pistolet Jönssona w jego samochodzie? — spytał Mossman głosem łagodnym i ściszym, ale wzrok miał nieustępliwy.

— Nie! *Nikt* go nie znalazł. — Trane wyraźnie poczuł się urażony.

— *Well*, ale znalazłeś jego telefon. Komu go oddałeś?

— Co? Nie znalazłem żadnego telefonu. Tam nie *było* żadnego telefonu. Ani broni. Możecie sobie sami przeczytać w aktach. — Trane pokręcił głową.

— Przeczytaliśmy — ciągnął Mossman tym samym spokojnym tonem. — I z rozmaitych przesłuchań wynika między innymi, że gdy na miejscu pojawili się pierwsi wezwani funkcjonariusze, sprawiałeś wrażenie niemal sparaliżowanego. Dlaczego? Chyba nie tak łatwo wytrącić cię z równowagi, prawda?

Klaus Trane westchnął ciężko i tylko kręcił głową zrezygnowany. Zupełnie mu się nie podobał obrót, jaki przybrało to dziwne spotkanie o północy.

— Z całym szacunkiem, ale... naprawdę pytasz: *dłaczego?* Może dlatego, że po dotarciu na miejsce znalazłem swoją dobrą koleżankę, Margrethe, zmiażdżoną przez samochód. A za kierownicą siedział gość z kulką w czole. Halo — czy to wytrąciło mnie z równowagi? Tak, do diabła. Cholernie mnie wytrąciło! — Trane aż się trząsał z wściekłości.

— Trzeba ci oddać, że według raportów zrobiłeś wszystko, co należało — powiedział Mossman pojednawczo.

Trane nie odpowiedział.

— Ostatnia sprawa. — Mossman po chwili podjął kolejny wątek. — W raportach stoi, że kilku twoich kolegów proponowało, że odwiozą cię do domu, ale uparłeś się, że sam odstawisz samochód na komendę i pójdziesz na odprawę. Dlaczego nie pojechałeś do domu, skoro byłeś w takim szoku? Ktoś inny mógł za ciebie odwieźć radiowóz do garażu.

Trane wzruszył ramionami.

— To było dwanaście lat temu. Nie pamiętam, o czym wtedy myślałem. Może o tym, że to mój obowiązek odstawić wóz i od razu oddać się do dyspozycji komisji dyscyplinarnej. Jak sam doskonale wiesz, w takich wypadkach rusza cała biurokratyczna machina. A ja miałem być centralną postacią wewnętrznego dochodzenia.

— Więc odwiozłeś samochód, zostawiłeś kluczyki i przygotowałeś się na przejście cyklonu?

— Uważam, że postąpiłem słusznie.

Mossman ziewnął i potarł twarz dłońmi. Czyli zrobiło się naprawdę groźnie.

— Czy ktokolwiek zasugerował ci, że w samochodzie mógłbyś znaleźć część zrabowanych pieniędzy?

Trane otworzył szerzej oczy.

— Nie! W życiu!

— Nigdzie nie przeczytałem, że twój radiowóz został przeszukany. Z perspektywy czasu nie uważasz, że należało to zrobić? Byś mógł uniknąć takich podejrzeń?

— Bredzisz, Mossman! Niech was szlag! Jakim prawem nachodzicie mnie w środku nocy i oskarżacie o Bóg wie co! To nie w porządku. A odpowiadając na twoje insynuacje: o tym, że

brakuje części łupu, zaczęło się mówić dopiero po tym, jak pięć dni później zatrzymano Struvego i pozostałych. Miałbym szukać w Sydhavnen czegoś, o czym w tamtym momencie nikt nie wiedział, że istnieje? O to mnie oskarżasz?

— Milionowy łup, ścigaliście złodzieja, Jönsson mógł mieć w bagażniku nawet całą sumę... Chyba nie zaszkodziło sprawdzić?

— Wybaczcie, ale jutro wcześniej wstaję do pracy. Żegnaj was, panowie! — Klaus Trane wstał od stołu. Jego głos wyraźnie drżał.

— Oczywiście. To i tak już wszystko, o co chcieliśmy zapytać, prawda, Oxen? Pięknie dziękujemy, że zgodziłeś się z nami spotkać, Trane. Zostawiam ci wizytówkę, na wypadek gdyby przyszło ci do głowy coś, o czym chciałbyś mi powiedzieć. — Mossman położył wizytówkę na stole, uśmiechnął się i wyciągnął rękę. Trane zawahał się, ale ją uścisnął. Może przypomniał sobie, że ma okazję uścisnąć dłoń legendy?

Sam również podał Tranemu rękę, ale nic nie powiedział. Tamten odprowadził ich do drzwi i głośno je za nimi zatrzasnął.

Ledwie usiadł za kierownicą volva Mossmana, kiedy zawołał:

— Kurczę! Zostawiłem rękawiczki... Czekaaj, wrócę tam.

Mossman kiwnął głową i zapiął pas, którego, nawet odchudzony, musiał wyszarpnąć spory kawałek, żeby sięgnąć klamrą zamka.

Zadzwoił do drzwi, które otworzyły się niemal natychmiast. Stał w nich wyraźnie zirytowany Trane.

— Wybacz, zapomniałem rękawiczek — powiedział.

— Rękawiczek? Chyba nie miałeś...

Wepchnął się do przedpokoju i obcasem buta lekko domknął drzwi. Jednym szybkim krokiem obszedł Tranego od tyłu, lewym przedramieniem odchylił mu głowę do tyłu, a prawą ręką błyskawicznie wyjął nóż i przycisnął go Tranemu do gardła.

— Kurwa, co jest... — wycharczał kolega Margrethe.

— Zamknij dziób i słuchaj. Franck cię lubi. Ufa ci. Ale ja wiem, że kłamiesz. Tam, w Sydhavnen, zdarzyło się coś, o czym nam nie mówisz. Jej grozi śmiertelne niebezpieczeństwo. Zginie, jeśli wkrótce jej nie znajdziemy. Dlatego dobrze się zastanów. Masz wizytówkę Mossmana. Użyj jej, jeśli potrafisz zaufać komuś

takiemu jak on. A jeśli nie potrafisz, to zadzwoń do mnie. Tu masz mój numer.

Przełożył nóż do drugiej ręki, z kieszeni kurtki wyjął długopis i na białej tapecie na wysokości oczu Tranego zapisał swój numer.

— Zadzwoń, Trane. Obojętnie o której. Rozstrzygnij to we własnym sumieniu. Margrethe straciła nogę. Czy ma stracić również życie? Przez ciebie? Przez to, że coś ukrywasz? Bo wiesz, że jeśli do tego dojdzie, to po ciebie przyjdę. I też będę miał nóż. Mossman to człowiek cywilizowany. Ja taki nie jestem. Zapamiętaj to sobie...

Rozluźnił uchwyt i wyszedł, cicho zamknąwszy za sobą drzwi. Gdy ponownie usiadł za kierownicą, Mossman spojrzał na niego.

— Nie miałeś rękawiczek, żołnierzu.

— Rzeczywiście. Musiałem chyba... coś pokręcić — powiedział i odpalił silnik.

Rozdział 62.

W nozdrza uderzyła ją piwniczna woń. Ale nie wilgotna, lecz sucha. Specyficzny zapach surowego cementu — i surowego ciepła. Jak z odkręconego maksymalnie kaloryfera albo odsłoniętej rury grzewczej, albo czegoś w rodzaju kotłowni.

Czuła suchość w gardle i nosie. Była otumaniona i dziwnie obojętna wobec faktu, że obudziła się i pomyślała: „piwnica”, zamiast obudzić się pod ciepłą kołdrą i pomyśleć: „wody”.

Dopiero po chwili myśli powoli zaczęły się układać w jej głowie. Nic nie widziała. W pierwszej chwili pomyślała, że jest ciemno, ale teraz wyraźnie czuła, że ma przepaskę na oczach. Lekko uciskała.

W końcu udało jej się wyprodukować dość śliny, aby jej usta i kubki smakowe zaczęły działać. W pomieszczeniu było tak ciepło, że uczucie suchości było logiczne. Tylko że czuła w ustach posmak czegoś jeszcze...

Środków nasennych?

Została dokądś przewieziona — wbrew swojej woli. Spróbowała usiąść, ale nie mogła. Ręce miała związane z tyłu. Przesunęła palcami po sztywnym materiale. Opaska zaciskowa. Cienki żąbkowany kawałek plastiku, na który nie było sposobu. Dwie pętle, jedna wokół lewej, druga wokół prawej dłoni, przełożone jedna przez drugą. Wystarczyło zacisnąć i gotowe. Mogła szarpać do woli.

Nogi też nie chciały jej słuchać. Były związane w kostkach, ale nie wiedziała czym. Ściśle rzecz biorąc, jedyna noga nie chciała jej słuchać, ale choć druga była protezą, i tak myślała o nich jak o naturalnej parze, dwuczęściowym zestawie, takim samym jak inne zestawy, w które wyposażony jest człowiek: ręce, uszy, oczy...

Leżała na boku na pikowanej kołdrze. Z nosem wciśniętym w tkaninę. Nie pachniała niczym. Jej głowa pracowała na najwyższych obrotach, próbując prześledzić bieg zdarzeń i

ustalić obecne położenie. Pozrywane sceny stopniowo zaczęły się układać w całość i nabierać sensu.

Pojechała do Reného Jönssona. Tak jak za pierwszym razem, znalazła go w warsztacie, gdzie dokręcał coś w swoim harleyu. I tak jak za pierwszym razem, był chamski i wrogo nastawiony. Pytanie: dlaczego znów do niego pojechała?

Już wiedziała. Chodziło o jego brata, Joakima. I o to wielkie, niedające jej spokoju pytanie: czy Joakim znał się na broni, czy nie? René odpowiedział, że nie, już za pierwszym razem. Albo w każdym razie zasugerował odpowiedź. Tym razem chciała się dowiedzieć na pewno. Potrzebowała ostatecznego potwierdzenia, że żaden przeciętnie inteligentny bandyta nie wpadłby na tak niedorzeczny pomysł, aby zwerbować Joakima Jönssona do swojej bandy w charakterze eksperta od broni i zimnego rewolwerowca.

To było sedno sprawy. Po to tam pojechała. Oraz po to, by zapytać, czy Joakim w jakikolwiek sposób chociażby napomknął bratu o planowanym skoku. I uzyskać jednoznaczną odpowiedź, czy nazwa Lupus cokolwiek mu mówi.

Ze starszym z braci Jönssonów zdążyła porozmawiać jakieś pięć minut, zanim rozpętało się piekło. Tyle jednak wystarczyło, aby na swój opryskliwy sposób powtórzył wcześniejsze oświadczenie w sposób niepozostawiający wątpliwości. Jocke nie miał bladego pojęcia o strzelaniu. Umiał się bić i stosować nieczyste zagrania. Umiał się posługiwać nożem, kastetem zresztą też. Ale o broni palnej nie wiedział nic.

A potem nikt nie pojawił się — dwaj faceci ubrani na czarno, w kominiarkach z otworami na oczy i usta. Zanim zdążyła zareagować i wyjąć pistolet, zobaczyła, że obaj trzymają w rękach tasery. Paralizatory, które na odległość mogły wymierzać elektryczne sierpowe, zdolne powalić każdego.

René Jönsson został rażony tuż przed nią. Widziała, jak pada niczym szmaciana lalka u stóp swojego lśniącego rumaka. Nic więcej nie pamiętała. Ale żyła, co było o tyle zaskakujące, że gdy ostatnim razem widziała dwóch ubranych na czarno mężczyzn na motorze, to jeden z nich próbował dokonać na niej egzekucji.

Całkowicie straciła poczucie czasu. Zegarek! W panice zmacała palcami nadgarstek. Zniknął. Ktoś zabrał jej ukochanego Breitlinga.

Ten skurwiel, który go zabrał, drogo za to zapłaci, kiedy ona go dorwie. I nie — nie *jeśli* go dorwie. Przetrząśnie cały cholerny wszechświat i nie spocznie, dopóki jej Breitling Colt nie wróci na lewy nadgarstek.

Usłyszała kroki na skrzypiących schodach. Potem ktoś mocno pchnął drzwi.

Rozdział 63.

Mossman przesiadł się na miejsce pasażera i bez słowa komentarza wręczył mu kluczyki, gdy przyjechał po niego pod blok w Vangede o ósmej trzydzieści. Szybko przywykł, że ma szofera, jak w dawnych czasach, gdy zasiadał na tronie służby wywiadowczej.

Wjechali właśnie na parking przy więzieniu Vestre z zamiarem podjęcia kolejnej próby prześledzenia, co się stało z Margrethe Franck, podczas gdy w PET i pozostałych służbach policyjnych zapewne wrzało po tym, jak do wszystkich dotarło, że zaginęła.

Był zmęczony. Tak bardzo, że działał już tylko napędzany neurotyczną energią, która lada chwila się wyczerpie, i wówczas padnie, wypompowany do reszty. Ale teraz wciąż w nim buzowała.

Miał za sobą dziwną noc we własnym mieszkaniu. Po ścianach nie biegały wilki, jak wtedy, gdy pełen nadziei zatrzasnął za sobą drzwi, aby wyruszyć do Harrildholmu. Było bardzo cicho. Tak cicho, że słyszał, jak Magnus głosem zbuntowanego nastolatka neguje każdą propozycję.

Przyszło mu do głowy, że następnym razem, gdy się zobaczą, mogliby się wybrać na miłą przechadzkę do zoo. Bo właśnie tego mieli nie robić. Odkąd nieudolnie próbował zrealizować marzenie o wspólnej wyprawie ojca i syna, stał się bogatszy o kolejne gorzkie doświadczenie. To nie było tak dawno temu, a jednak czuł się o wiele starszy niż tamtego dnia, gdy wyruszyli. Może aby dotrzeć do tego chłopaka, potrzeba było jakichś specjalnych zdolności, których on nie posiadał? Magnus był chłopcem, który...

— Oxen, idziemy? Coś się stało?

Pokręcił głową, aby się otrząsnąć. Może jednak jego nadludzka energia już się wyczerpała. Rano celowo nie wypił kawy. Może powinien był.

— Nie, nic.

— To co — idziemy? — Mossman rozpiął pas i położył rękę na klamce samochodu.

— Zaczekaj... Pomyślałem, że może będzie lepiej, jeśli pójdę sam.

— Dlaczego? — Mossman był zaskoczony.

— Sean Struve to jedna z naszych nielicznych szans. I w zasadzie największa. Nie stać nas na to, żeby ją zmarnować.

— I twoim zdaniem to właśnie się stanie, jeśli pójdziemy we dwóch? Zmarnujemy szansę?

Wzruszył ramionami, a dłonie nadal trzymał na kierownicy.

— Pewności nie ma, ale mam dość jasne przekonanie, że tacy jak Struve mają wrodzoną niechęć do takich jak ty. Zawsze istnieje ryzyko, że nie będzie chciał mówić. Ale możemy spróbować choć częściowo je wyeliminować.

Mossman zmarszczył czoło i wbił wzrok przed siebie. W końcu pokiwał głową.

— *Well*, niech ci będzie, żołnierzu. Zrobimy, jak mówisz. Zaczekam w samochodzie. Tylko nie zapomnij rękawiczek.

— Myślałem, że będzie was dwóch? — zdziwił się Sean Struve, kiedy podał mu rękę i się przedstawił. Zmizerowany rudo-siwy gangster odchylił się na krześle z lekko naburmuszoną miną.

— Ten drugi nie mógł przyjść.

— Tym drugim miał być Axel Mossman, były szef PET. Właściwie tylko dlatego zgodziłem się z wami spotkać. Tylko dlatego. — Struve naprawdę wydawał się rozczarowany.

— Przykro mi. — W myślach pogratulował sobie intuicji.

— Powiedziałeś, że nazywasz się Oksen? Jak wół? To powiedz, czym zwierzęciem pociągowym jesteś, co? — Struve uśmiechnął się dumny z własnego dowcipu.

— Przez iks. Niczym.

— Ale jesteś gliną?

— Też nie. Nigdzie nie pracuję. Jestem... na emeryturze.

— Na emeryturze? Dobrze! Emerytowany — kto?

— Komandos.

Sean Struve wyprostował się i przysunął bliżej. Zagwizdał z podziwem i nagle wyglądał na zainteresowanego.

— Korpus Łowców? Szacun. Odwalacie dobrą robotę. Czekać... Oxen, Oxen... Chyba coś mi się kojarzy. — Struve spojrzał w sufit. — No przecież! To ciebie gliny ścigały po całym kraju. Byłeś podejrzany o zabójstwo, nie? *Oblawa na Oxena*. Tutaj człowiek nie ma za wiele do roboty poza czytaniem gazet i oglądaniem telewizji. Ty jesteś ten od medali. I od tego krzyża, co go nikt inny nie dostał. Czekać, jak on się nazywa...

— Krzyż Waleczności.

Struve znów przeciągle zagwizdał.

— *Wow*, człowieku. To naprawdę ty...

Struve raz jeszcze wyciągnął do niego rękę, jakby chciał wymienić ich pierwszy uścisk dłoni na nowy, lepszy.

— Jeden z moich najlepszych ziomków był na Bałkanach. Z tego, co pamiętam, ty też.

Przytaknął skinieniem. Przez chwilę myślał, że nic z tego, ale wyglądało na to, że Struve będzie skłonny porozmawiać. Jego nazwisko i burza medialna sprzed paru lat najwyraźniej otwierały przed nim wiele bardzo różnych drzwi.

— Po powrocie mój kumpel się posypał. W sensie w głowie, wiesz jak? Wiadomo, od tych iluścianastu lat go nie widziałem, ale myślałem, że w końcu z tego wyszedł. Ale nie, wyskoczył z siódmego piętra. Pozwolili mi iść na pogrzeb. To było w zeszłym roku... Powiedz, czemu tu jesteś. I czemu facet taki jak ty zadaje się z kimś takim jak Mossman?

— Przyjaźnię się z kobietą, która była u ciebie niedawno. Margrethe Franck.

— *Ouh là là*, z laseczką z PET. *Cool bitch*, nie ma co. To twoja kobieta? — Struve pogłaskał się wymownie po koziej brodzie.

— Przyjaźnimy się. Blisko.

— Ta, przyjaźnicie. Spoko, a ja jestem angielską królową.

— Jestem tu, bo ona nagle zniknęła. To również bliska znajoma Mossmana. Więc spotykam się z tobą całkiem prywatnie. W policji nikt nie wie, że tu jestem. Do rzeczy — powiedz mi, Struve, dlaczego nasłałeś na nią tych dwóch na motorze, kiedy

od ciebie wyszła. Dlaczego odwiedziny w Vestre miały ją kosztować życie? Bo za nic tego nie umiem pojąć.

Cała postać podstarzałego bandyty zmieniała się w znak zapytania.

— O czym ty mówisz? Ja nic nie wiem.

— Mówię o dwóch zbirach, którzy podziurawili jej samochód jak sito, próbując ją zabić tuż po tym, jak stąd wyszła. Po co to było?

Struve pokręcił głową.

— Szczęsz pod niewłaściwy mur, łowco. Nikogo za nią nie wysłałem — po co miałbym to robić? A nawet gdybym miał po co, to jak to sobie wyobrażasz — myślisz, że mam pod ręką oprychów na każde skinienie? To by było zajebiste... Ale to tak nie działa. Po tych wszystkich latach tutaj jestem na ulicy nikim. Zwykłym, starym, zmęczonym kryminalistą z cukrzycą. Więc niby jak?

Przytrzymał spojrzenie żółtawych oczu Struvego.

— Więc to *nie* byłeś ty?

— Brawo.

— Jest coś jeszcze, czego nie do końca rozumiem — zaczął, zmieniając temat. — Wtedy w Danske Banku przy Gammel Kongevej... czy Joakim Jönsson był z wami, aby zabezpieczać plecy na wypadek strzelaniny?

— Jezu, i ty o tym? Ta twoja pani też się o to pytała. Tak, był naszym *shooterem*.

— Łżesz jak pies, Struve. Wiesz, gdzie jest reszta kasy?

Struve wzruszył ramionami.

— Nie... Półszwedzki gnojek musiał ją gdzieś ukryć. Ale bardzo bym chciał wiedzieć gdzie.

— Struve, dobrze się zastanów. Jak myślisz, co się stanie, kiedy stąd wyjdiesz? Nie boisz się, że natychmiast zlecą się te wszystkie sępy? Bo możesz być pewien, że czają się wszędzie i tylko czekają, aż ty, Trolle albo Iversen naprowadzicie ich na trop. I kiedy już wykopiecie swój skarb, wszyscy trzej zginiecie. Głupio tak siedzieć tu i gnić po to tylko, żeby zaraz po wyjściu na wolność dostać kulkę. To kompletnie bez sensu. Nie bądź głupi. Wybierz inteligentne rozwiązanie. Wybierz prawdę i

przekaż ludziom prawdziwą wiadomość — że Joakim Jönsson w ogóle nie brał udziału w napadzie.

Sean Struve ponownie osunął się na krzesło, ale nic nie powiedział. Te słowa wyraźnie go uderzyły. Prosto w splot słoneczny. Nie pozostawało nic innego, jak poprawić mocnym sierpowym:

— A kim są sępy, to wiesz doskonale. To wszyscy ci, którzy uważają, że jesteś im coś winien. Ci, którzy domagają się sprawiedliwości. Jeśli ktoś wie, gdzie jest ukryta wielka fortuna, to niestety musi się nią podzielić — albo umrzeć. Więc radzę ci, Struve, dobrze się zastanów. Ja nie jestem jakimś tam pierwszym lepszym gliną. Ja szukam prawdy — jako osoba prywatna, jako łowca i jako emeryt. I walczę o życie swojej przyjaciółki. Walczę z niesprawiedliwością. Obaj na tym skorzystamy, jeśli mi powiesz prawdę o napadzie przy Gammel Kongevej. Ty nie będziesz musiał stale oglądać się za siebie, a ja będę mógł mieć nadzieję, że znajdę tych, którzy odpowiadają za próbę zabójstwa Franck i za jej zniknięcie. Dlatego mówię ci, Struve, wykaż się rozważą.

Chudy rabuś, na którego wyglądzie cukrzyca odcisnęła się bardzo wyraźnie, wstał i zaczął chodzić po pokoju tam i z powrotem, aż przystanął pod oknem, przez które spomiędzy krat widać było świat na zewnątrz. Stał tak dłuższą chwilę i przeczesywał palcami rzadką brodę.

— Hm... Jeśli ktokolwiek może wiedzieć, jak ważne jest zabezpieczenie sobie pleców, to chyba komandos, jak ty. Tylko jak w praktyce miałbyś mi je zapewnić, co, byku?

Nie dał tego po sobie znać, ale czuł, że jest już blisko. Najprawdopodobniej potrzebował jeszcze kilku dobrze wyważonych słów, aby Sean Struve wszystko mu powiedział.

Nie śpieszył się. Po prawdzie nie obmyślił nawet planu działania, bo nie wiedział, jak potoczy się ich rozmowa.

— Sępy muszą się dowiedzieć. Poznać całą historię. Axel Mossman wciąż jest postacią znaną i poważaną. Zna masę dziennikarzy, którzy jedzą mu z ręki. Ty z kolei jesteś jedynym, poza twoimi współnikami, który wie, jak było naprawdę. Więc sam zdecydujesz, jaki będzie nagłówek.

Struve zrobił jeszcze dwie rundki po pokoju, zanim zatrzymał się przy stole i usiadł ponownie.

— Słuchaj, Oxen. Lubię cię i podoba mi się, że jesteś łowcą, facetem z jajami. Takim jak ty faktycznie mógłbym chcieć pomóc. Tym bardziej że niczym już nie ryzykuję. Przynajmniej jeśli chodzi o tę gotówkę...

Popatrzył na Struvego pytająco i cierpliwie wyczekał, aż ten weźmie rozbieg przed ostatnimi metrami. I w końcu to powiedział, bez wahania:

— Masz rację. Jönssona nie było w Danske Banku. W ogóle nie znam frajera. Po prostu pojawił się w odpowiednim momencie, niemal jak na zawołanie. Albo jakby Bóg nam go zesłał, jeśli ktoś w niego wierzy.

— Więc wiedzieliście, że został zastrzelony na podwórku w Syddhavnen?

Sean Struve pokiwał głową z namysłem i pogłaskał się po brodzie.

— Ta. Moja żona zadzwoniła i nam o tym powiedziała.

— Ale jak? Prasa o niczym nie wiedziała. Policja przez siedem dni wszystko ukrywała. Was zatrzymano pięć dni po napadzie. Więc skąd — skąd wiedzieliście o strzelaninie w Sydhavnen?

— Tak jak mówię, od mojej żony. Używaliśmy oczywiście bezpiecznych komórek, więc się z nami skontaktowała i powiedziała, że przyszedł do niej człowiek w okularach przeciwsłonecznych i czapce z daszkiem nasuniętej na czoło. W szczegółach opowiedział, co się stało w Sydhavnen. Co więcej, on sam powiedział, że jeśli będzie mogła się ze mną skontaktować, to najsprytniejszym posunięciem, w razie gdybyśmy zostali złapani, będzie zeznać, że Joakim Jönsson brał udział w napadzie. I podrzucić plany jego siostrze w Malmö. Nawet podał nam adres.

— Czyli dostaliście normalny cynk, żeby wykorzystać Jönssona, aby czwartemu z was, temu, który strzelał w banku, umożliwić ucieczkę?

Struve przytaknął.

On sam ciągnął dalej:

— To kto w takim razie strzelał?

Struve spojrział w sufit i mlasnął językiem, jakby po raz ostatni naprędce się zastanawiał, czy na pewno postępuje słusznie.

— Struve, wahasz się. Boisz się tego człowieka?

Struve pokręcił głową.

— Nie, to nie to. Mówiłem już, że tu nie ma żadnego ryzyka. Ten czwarty nie żyje. Wykitował na raka kilka miesięcy temu w więzieniu w Zagrzebiu.

— W Zagrzebiu?

— Nazywał się Dalibor Horvat i był Chorwatem, a przy tym zdrowo pojebanym sukinsynem. Nigdy nie powinienem był go werbować. To było głupie brać go akurat do tamtej roboty. Ale znałem go od lat i wiedziałem, że jest zimny jak dupa Eskimosa. Dobrze było mieć kogoś takiego, na wypadek gdyby zrobiło się gorąco. Ustaliliśmy, że kasą podzielimy się po równo i że rozsądnie będzie, jeśli jeden z nas ucieknie inną drogą z częścią łupu. To, że wyszło tego akurat trzy miliony trzysta, było kwestią przypadku. Liczyliśmy przecież, że spotkamy się później i podzielimy całość na cztery równe części.

— Czyli Chorwat miał inną trasę ucieczki?

— Tak. I w przeciwieństwie do nas udało mu się wrócić do domu. Dosłownie — do Chorwacji. W dodatku z kasą. Choć wszyscy trzej już siedzieliśmy, nasz wywiad działał i o wszystkim nas informował. Również o tym, że debil dał się złapać przy okazji innej roboty tam, u siebie. I wylądował w więzieniu w Zagrzebiu.

— A pieniądze?

— Nie mam pojęcia. Pewnie przepuścił. Na co? Tego już się nie dowiemy. Zatem, łowco, jak widzisz, sępy tracą swój czas.

— O ile mówisz prawdę, to tak... tylko że one tego nie wiedzą.

— Mówię prawdę. Sam widzisz, człowieku. Mam cukrzycę. Ledwie żyję. Chcę tylko stąd wyjść i mieć święty spokój. Pójść na pstrągi, walnąć parę piw i patrzeć, jak słońce też wschodzi, jak mawiał Hemingway.

— Więc dlaczego nie powiedziałeś tego wcześniej?

— Hm. Dalibor wykitował nie tak całkiem dawno temu. A teoretycznie mógł dalej mieć tę kasę... nie?

— Ale Margrethe Franck mogłeś powiedzieć, kiedy u ciebie była.

— Nie lubię ich zapachu, glin. No, sorry, tak po prostu mam. I nie pomyślałem o tym, żeby powiadomić sępy — i zabezpieczyć sobie plecy. Poza tym, może trochę naiwnie, myślę sobie, że jak się do mnie zwraca taki wspaniały żołnierz, najwybitniejszy wojownik w Królestwie Danii, no, to coś musi być na rzeczy.

Przez chwilę przyglądali się sobie w milczeniu. Jego przełom stał się faktem. Dwunastoletnia sprawa została rozebrana na czynniki pierwsze i nagle wszystko zaczęło mieć sens.

— Udało ci się potem dowiedzieć, kim była ta uczynna osoba, która dała twojej żonie cynk o Jönssonie?

Struve się skrzywił.

— Nad tym akurat zastanawiałem się wielokrotnie. Są tutaj dwie kwestie: po pierwsze, ten ktoś musiał coś z tego mieć. Nikt nie wyświadcza komuś przysługi, jeśli nie dostaje nic w zamian. I po drugie, ten ktoś o wszystkim wiedział. Skąd? Albo stąd, że był z policji, albo dlatego, że śledził Jönssona — z jakiegoś powodu. A jego korzyść zapewne tkwiła w tym, że śledztwo poszło w zupełnie innym kierunku po tym, jak w zeznaniach wskazaliśmy na Jönssona jako uczestnika napadu. I winnego zabójstwa. Jak mówią Niemcy: *keine Hexerei — nur Behändigkeit*^[1].

[1] Żadne czary-mary, tylko czysty spryt — *przyp. tłum.*

Rozdział 64.

25 kwietnia 1964

Dziewczyna i jej najstarszy brat uszli spory kawałek polną drogą. Teraz usiedli przy rowie i wystawili twarze do słońca. To ona zaproponowała, żeby się przespacerowali. I to ona poprosiła, żeby usiedli.

Jej włosy jeszcze bardziej pojaśniały od słońca. Minie wiele miesięcy, zanim odrosną takie jak dawniej. Miała na sobie ładną białą sukienkę. Nikt za to nie wiedział, jak wielki mrok panował w jej głowie.

Lecz o tym, że jej myśli są mroczne — wiedzieli. Modlili się, aby z czasem słońce dotarło i tam, aby rozjaśniło jej myśli i przywróciło do życia ich ukochaną Agnethe. Aby choć na chwilę odsłoniło jej dawną, pogodną naturę.

Po raz drugi przyjechała na przepustkę z Middelfart. Brat był u niej w szpitalu trzy razy. I to było straszne. Tu, w słońcu, w okolicy, w której oboje dorastali, było znacznie lepiej. Tu można było żywić choć cień nadziei.

Zdawali sobie sprawę, że to będzie ciężka droga. Że nic nie było, jak dawniej. I że nie wróci tamten czas *sprzed*. Dało się to odczytać w wielu rzeczach. W poważnych spojrzeniach, w tym, że nikt nie miał ochoty się śmiać. Ojciec zamknął się w sobie. Nie miał już siły poświęcać uwagi światu zewnętrznemu.

Na przykład ostatnio, gdy przy kolacji słuchali wiadomości w radiu. Świat się kończył. W nocy nieznanymi sprawcami odpiłowali głowę pomnikowi Małej Syrenki przy kopenhaskim deptaku Langelinie.

Nie sposób sobie niemal wyobrazić większego bestialstwa. A jednak. No, naprawdę...

I dawniej ojciec wałnąłby pięścią w stół, był bojownikiem o wolność, jak reszta rodziny. Wymachiwałby pięściami i odgrażałby się zwyrodnialcom. Teraz tylko pokręcił głową i westchnął.

Jego siostra odwróciła się do niego i położyła mu dłoń na ramieniu.

— Chciałabym ci o czymś powiedzieć...

Wyglądała tak, jak wygląda cały czas od tamtego dnia — poważna twarz i oczy bez cienia uśmiechu. Kiwnął głową na znak, że może być z nim szczerą.

— To wróciło do mnie nagle dziewięć dni temu. Jak przebłysk albo może eksplozja, która rozsadziła mi mózg i zostawiła przed oczami jeden obraz. I od tamtego czasu, od dziewięciu dni, zastanawiam się, czy powinnam to komuś powiedzieć. Czy po prostu zapomnieć. Ale nie umiem zapomnieć. — Zamilkła i zerwała mlecze. Powąchała, jakby chciała sprawdzić, czy mleczko dalej pachną tak, jak pachniały. Niezbyt intensywnie, ale jednak pachniały — życiem. Siedziała dalej, obracając łądzkę między palcami.

— Wtedy... w stajni... coś widziałam...

Znów zamilkła.

Nie ponaglał jej. Potrzebowała czasu. Potrzebowała czasu na wszystko.

— Stałam związana... miałam worek na głowie... pochylona w przód. Nie mogłam oddychać... Była dziura na usta. Rozerwał ją szerzej. Kiedy to robił, ugryzłam go. I nagle mogłam wyjrzeć. Popatrzeć w dół... Na podłogę. Widziałam jego stopy, kiedy...

Przez chwilę z trudem łapała oddech. Ale uspokoiła się i mówiła dalej:

— Był boso. Duży palec u jednej nogi miał... dziwny. O połowę krótszy. Wciąż mam go przed oczami. Bez przerwy. Jakby kikut. Taki... nierówny. Wyglądał, jakby był zmiażdżony. Zgnieciony. Złamany.

Znów zaczęła sapać i coraz szybciej obracała kwiatek w dłoni. Po czym dodała cicho:

— Ale to, że byłam związana... O tym powiedziałam. Policji... i lekarzom. Dużo nie pamiętam... w ogóle. Ten widok palca u nogi rozbłysnął mi w głowie jak skrawek pamięci, który wrócił do mnie i z hukiem opadł na właściwe miejsce. Siedziałam na ławce w parku, miałam zamknięte oczy... Zaczęłam się trząść na

całym ciele. Po lewej... Duży palec u lewej stopy. Z tyłu, za
mną...

Rozdział 65.

Kiedy tuż po czwartej nad ranem zadzwonił telefon, przez krótką chwilę miał nadzieję, że to Margrethe. Numer nieznany. Wczoraj jeszcze długo po północy siedział na swoim parapecie i rozmyślał. Starał się dostrzec nowe kierunki, w jakich mogliby podążać po kolejnym długim dniu, który minął bez najmniejszego znaku życia od niej.

Dzwonił jej dawny partner z patrolu, Klaus Trane. Dlatego teraz siedział w taksówce jadącej na parking pod stacją Kildedal w Måløv, gdzie mieli się spotkać. Za chwilę będzie na miejscu.

Mossman większość dnia spędził w siedzibie PET w Søborgu na spotkaniu z nowym szefem wydziału operacyjnego. W PET wrzało, wszyscy pracowali na najwyższych obrotach, szukając zaginionej funkcjonariuszki. To dzięki informacjom od operatora sieci, z której korzystała, dokładnie prześledzili jej trasę. Te same dane naprowadziły ich na trop Renégo Jönssona i jego zwłok pod harleyem. Ale wciąż ani śladu Margrethe.

Mossman nie pisnął ani słowa. Ani o tym, że już dawno przeszukali tamto miejsce, ani że od początku wiedział, że Margrethe zabrała się do rozgrzebywania własnej przeszłości. Miał natomiast oczy i uszy otwarte, na wypadek gdyby pojawiły się nowe informacje. Na razie jednak nic takiego nie wypłynęło.

On z kolei resztę dnia poświęcił na szukanie tych samych informacji, ale na podstawie listy połączeń z jej telefonu, a po południu dostał się do jej mieszkania, wiedząc, że ludzie z PET najprawdopodobniej już dawno je przeszukali.

Gdyby miał ocenić dotychczasowe efekty pracy ich duetu, to obiektywnie działali całkiem sporo. Wyznanie Struvego rzuciło nowe światło na sprawę z Sydhavnen — zresztą na skok na bank przy Gammel Kongevej również. Ale nie zbliżyło ich ani o krok do Margrethe.

Wieczorem Mossman przyjechał do niego do Vangede i zdali sobie nawzajem raporty. Człowiek, który tyle lat przepracował w

policji, a potem na stanowisku szefa wywiadu, tak podsumował sytuację z Franck i porywaczami: „Albo jeszcze się nie odezwali, bo nie są gotowi się ujawnić, nie są na razie odpowiednio zorganizowani, nie mają wszystkiego, co im potrzebne — albo dlatego, że wcale nie zamierzają się odezwać. Bo wypełnili już swoje zadanie”.

I ta konkluzja zawierała, być może w równych częściach, nadzieję i rozpacz.

— Jesteśmy na miejscu — powiedział taksówkarz i zwolnił na rondzie.

Może Trane zdoła zmienić ten rozkład sił na korzyść nadziei?

Zapłacił i wysiadł. Dochodziła szósta rano. Samochody podjeżdżały na parking ciąglym strumieniem przecinających mrok od przodu białym blaskiem świateł mijania i ognistoczerwonym z tyłu. Stał na otwartym placu i było mu przenikliwie zimno. Minus cztery stopnie i wiatr przeszywający do szpiku kości. Wiele samochodów stało z włączonymi silnikami. Ludzie dojeżdżający do pracy i czekający na kolegów, których podwozili, albo ci, którzy woleli poczekać na swój pociąg w samochodzie, zamiast szczerkać zębami na peronie.

Samochód Tranego wypatrzył na przeciwległym krańcu parkingu. Srebrne suzuki z napędem na cztery koła stało z włączonymi światłami i silnikiem. Kiedy podszedł bliżej, z tyłu samochodem gwałtownie zatrzęsło i dostrzegł zarys klatki dla psa. Owczarek Tranego ujadał jak szalony, dopóki treser nie wydał komendy, aby zamilkł. Trane otworzył okno.

— Wsiadaj, Oxen. Zorro jest w porządku. Musi cię tylko obwąchać.

Wsiadł do samochodu. Wewnątrz było ciepło, a z głośników płynął lekki poranny pop. Trane miał podwinięte rękawy koszuli. Wcisnął guzik i wyłączył radio. Potem odwrócił się do niego i spojrzał mu w oczy.

— Wybrałem to miejsce, żeby mieć oko, czy ktoś mnie nie śledzi. Odkąd byliście u mnie z Mossmanem, stale oglądam się za siebie. I w kółko o tym myślę. W końcu podjąłem decyzję... Sumienie nie dałoby mi spokoju, gdyby przez moje milczenie

Margrethe miała zginąć. Po prostu nie mógłbym z czymś takim żyć.

Trane urwał na moment i zmniejszył ogrzewanie. Potem ciągnął dalej:

— Moja żona myśli, że pojechałem do pracy, ale zadzwoniłem i powiedziałem, że jestem chory. Jak, u licha, miałbym się skupić na robocie, skoro od dwóch nocy nie zmrużyłem oka? Tego, co ci teraz powiem, nie powiedziałem nikomu. Nawet żonie. I cholernie się denerwuję, rozumiesz?

Przytaknął spokojnie. Człowiek za kierownicą wyglądał jak wrak. Chyba nie przesadzał, gdy mówił, że od dwóch nocy nie śpi. Zatem było ich dwóch.

— Cofam się o dwanaście lat, okej? Zajeżdżam na tyły magazynu, na to przekłete podwórko w Sydhavnen. I widzę Margrethe zmiażdżoną pod maską srebrnego kombi rozbitego na ścianie budynku. Za kierownicą martwy mężczyzna. Proszę o pomoc, natychmiast. I zajmuję się Margrethe. Widzę, że z nogą nie jest dobrze. W trakcie dzwoni mój telefon. Odbieram. Nie wiem dlaczego, ale odbieram. Męski głos. Wie, jak się nazywam. Mówi, że jeśli nie zrobię tego, co mi każe, i to natychmiast, to moja rodzina zapłaci wysoką cenę... — Trane zamilkł. Wyglądał, jakby pamiętał każde słowo, jakby nie musiał nawet szukać w pamięci. Potarł dłońmi o uda, jakby spocily się na samo wspomnienie. Potem, już spokojniej, dokończył:

— Głos w telefonie kazał mi pokrótce opisać sytuację. Potem kazał mi podejść do srebrnego samochodu i otworzyć bagażnik. Zrobiłem to. Pod tylną czarną klapą, którą można składać albo rozkładać, żeby zrobić więcej miejsca, znajduję... dziewczynkę. Siedmio- albo ośmioletnią. Jest odurzona. Ręce i nogi ma związane plastikowymi paskami zaciskowymi. Obok niej leży tornister. Potem szybko przechodzę do przodu i zabieram telefon mężczyzny za kierownicą, tak jak mi kazano. Może dlatego, kiedy przyjechali pozostali, sprawiaam wrażenie bardziej roztrzęsionego. I zdenerwowanego. I dezorientowanego. I dlatego upieram się, żeby osobiście odstawić samochód na komendę. Zostałem do tego zmuszony! Bo zanim odstawię wóz, muszę zrobić coś jeszcze. Resztę instrukcji mam dostać później,

esemesem. W wiadomości jest napisane, że gdy tylko to dziecko się obudzi, mam je odstawić pod wskazany adres przy Richelieus Allé w Hellerup. Mam dziewczynkę wysadzić w pobliżu jej miejsca zamieszkania, ale tak, żeby nikt nie widział. Stamtąd sama trafi do domu. Tak robię. W wiadomości stoi również, że kartę SIM z telefonu Jönssona mam spalić i wyrzucić. Tak robię. Karta ląduje w jeziorze Damhussøen. A dziewczynka... Na tornistrze znajduję jej nazwisko: Lissa Bille-Damberg.

Klaus Trane rozłożył ręce.

To wszystko. Dawna sprawa przybrała nowy obrót. Absolutnie nieprzewidywalny, szalony obrót.

— Czyli odwiozłeś do domu porwane dziecko. To chyba dobrze?

— Chodziło o moją rodzinę. Nie mogłem tego nie zrobić. Resztę znasz. Margrethe straciła nogę, ale przeszła do PET. Ja nie byłem w stanie pracować dalej w tym samym miejscu, skrywając tak wielką... tajemnicę. Dlatego zostałem treserem w Roskilde.

— I potem już nigdy nie słyszałeś o tamtej sprawie?

Trane pokręcił głową

— A tamta dziewczynka? Jej rodzina?

— Wszystko sprawdziłem. Nie umiałem się powstrzymać. Dzwoniono oczywiście z telefonu na kartę. Dziewczynka pochodzi z rodziny, do której należy spółka Damberg Ingredients, producent dodatków do żywności, konserwantów i tego typu rzeczy dla branży spożywczej. Ojciec dziewczynki, Arne Bille-Damberg, był wówczas dyrektorem administracyjnym i jest nim do teraz.

— Wygląda na to, że wtedy w Sydhavnen wdepnęliście w prawdziwe gniazdo żmij, co? — Spojrzał na zmęczoną twarz policjanta. — Oboje, ty i Margrethe. I poniekąd również Jönsson — pośmiertnie.

Trane pokiwał głową i postukał palcami w kierownicę.

— Dokładnie. Ślady niemal same się zacierały. Kilka dni później Jönsson został ogłoszony czwartym członkiem gangu. A to z dziewczynką... nigdy się nie wydarzyło. Ona ma dziś dwadzieścia lat. Wczoraj wieczorem znalazłem ją w internecie. Studiuje w Copenhagen Business School i udziela się na wielu

frontach — od wioślarstwa aż po rozkręcanie małych przedsięwzięć. Jest też fotomodelką. Na pewno czeka ją wspaniała przyszłość. Ciekawe, czy coś pamięta.

— Można by ją spytać — ją albo rodziców?

— Nie sądzę, że to coś da. Będziesz musiał mi uwierzyć na słowo.

— Wierzę ci, Trane. Wiem, że tego nie wymyśliłeś. Masz jakieś podejrzenia, kto mógł za tym stać? Ktoś, kto być może w ostatniej chwili zmienił zdanie?

Trane rozłożył ręce i pokręcił głową.

— Nie, ale musiał mieć kontakty w policji. Inaczej skąd by wiedział, że ma zadzwonić właśnie do mnie? Może to ktoś, kto na bieżąco nadzorował cały przebieg porwania — albo był kimś w rodzaju zaplecza. Nie wiem, naprawdę... I jeśli mam być szczerzy... wszystko to wyparłem z pamięci. Po prostu musiałem, musiałem to od siebie odsunąć, żeby móc ruszyć z miejsca. Pod koniec niemal sam zacząłem mieć wątpliwości — może to tylko mi się uroiło? Ale nie, to była prawda. Lissa Bille-Damberg leżała w bagażniku samochodu Jönssona, mała dziewczynka z tornistrem.

— Trane... Zdecydowałeś się zadzwonić do mnie, a nie do Mossmana... — Psi treser pokiwał głową w milczeniu. — Niech tak zostanie. Na razie nie chcę mu o niczym mówić. I ty też mu nie mów. Daj mi trochę czasu, okej?

— Okej, Oxen. Tylko boję się jednego. Że sprowadzę niebezpieczeństwo na swoją rodzinę. Mam teraz trójkę dzieci. Prawie odchowanych.

Wzruszył ramionami i spróbował go uspokoić. Choć jego obawy niekoniecznie były bezpodstawne.

— Na razie tylko ja znam tę historię. Dam ci znać, jeśli stwierdzę, że znów może ci coś grozić. Ale myślę, że w pewien sposób historia z dziewczynką to zamknięty temat. Nie wiesz nic poza tym, że rodzina Bille-Dambergów oficjalnie wszystkiemu zaprzecza. Ich córka *nigdy* nie została porwana. A co teraz?

— Teraz jadę do Furesøen i spędzę cały dzień na powietrzu razem z Zorro. Potem wrócimy do domu i też będziemy udawali, że nic się nie stało.

Rozdział 66.

Znajdowali się w punkcie wyjścia. Było coś złowieszczonego w tych słowach. Punkt wyjścia był miejscem, w którym jedna wielkość zderzała się z drugą — twardą, niemożliwą do sforsowania. Jak klucz szwedzki z betonową podłogą.

„Jesteśmy w punkcie wyjścia, żołnierzu”. Tak brzmiał jedyny komentarz Mossmana po tym, jak się wtoczył po schodach do jego mieszkania w Vangede.

Teraz siedzieli w salonie. Mossman zdążył rzucić na stół stos kartek, kiedy zadzwonił jego telefon. Rozmowa trwała długo i w jej trakcie Mossman wielokrotnie posyłał mu przeproszające spojrzenia. To było coś związanego z pracą w komisji. O zalecanych kierunkach działania i o czymś, co należało chyba tłumaczyć jako niezadowolenie członków komisji.

— Wybacz. To w złym stylu włączyć komuś do domu, żeby potem odbierać telefon i gadać w nieskończoność — wytłumaczył się Mossman, gdy w końcu się rozłączył. — No, ale co począć — dodał i potarł twarz dłońmi — jeśli się ma w zespole historyków, badaczy, policjantów, profesorów, islamologów, etnologów i wszelkiej maści ekspertów i trzeba ich zagonić do roboty w określonych ramach i warunkach. To nie może się udać. Przecież każdy z nich to dar bogów i nawet najbardziej niewinne pytanie jest śmiertelnym afrontem dla tych wrażliwców i podawaniem w wątpliwość ich kompetencji — westchnął dawny szef wywiadu.

Akurat kompletnie go nie interesowało, z czym Mossman musi się użerać w swojej komisji, o której powołanie sam żarliwie zabiegał, licząc, że stanie się jego spuścizną.

— Powiedziałeś: punkt wyjścia?

— Żołnierzu, każdego potrafisz przywołać do pionu. Tak, zgadza się — jesteśmy w punkcie wyjścia. Po niemal całym dniu w Søborgu stwierdzam, że oni nic nie mają. I nie mam cienia podejrzeń, że cokolwiek przede mną ukrywają. Jak może sam

zdażyłeś się zorientować, mam świetne relacje z nowym szefem, Karstenem Salomonsenem. Oni naprawdę wciąż nie mają pojęcia, kto może przetrzymywać Margrethe. Ani po co. Ani gdzie ona może teraz być. O ile oczywiście jeszcze żyje. Jest to punkt wyjścia i ślepy zaułek w jednym.

— A tamten atak, goście na motorze?

— Są na nagraniach z kamer drogowych. Fałszywe tablice. Nic, czego można by się uchwycić.

— Powiedziałeś im o wizycie Margrethe w Vestre?

— Gdybym im powiedział, że była u Struvego, to dowiedzieliby się, że i ty u niego byłeś. I że wierzymy temu bandycie. Po co miałbym to mówić?

— A o Lupusie powiedziałeś?

— A gdzie jest Lupus w tym całym... zamieszaniu? Szukałem Lupusa, a zamiast tego dokopałem się do przeszłości Margrethe. Czy to ma związek? Czy nie ma żadnego? Lupus to cienie. W tej chwili w żaden sposób jej się nie przysłużymy, jeśli włączymy je do sprawy. Obecnie musimy się trzymać konkretów.

— A Harrildholm? I stary artykuł z gazety?

— To to *samo*... Harrildholm i artykuł przynależą do sprawy Lupusa. Ty i ja musimy oczywiście podążyć tym tropem, zamiast siedzieć i czekać. Ale nie wolno nam wskazywać tego kierunku policji ani PET. Wierz mi, gdybym sądził, że to może w jakikolwiek sposób pomóc sprawie, to o wszystkim bym powiedział. Ale jestem przekonany, że w tej chwili tylko przesłoniłibyśmy im obraz sytuacji i skierowalibyśmy śledztwo na niewłaściwe tory, i stracilibyśmy cenny czas. Musimy zadbać, aby wszystkie wysiłki koncentrowały się na odnalezieniu Margrethe — i tylko na tym.

— Więc nikt *nic* nie wie?

Mossman pokręcił wielką głową basseta.

— Ani PET, ani policja. Mają jedynie jakieś ślady opon, trochę odcisków butów i dalekich sąsiadów, którzy widzieli światła samochodowe. Nic!

— A co oni o tym myślą? Jest w takich sytuacjach jakiś schemat — w sensie w porwaniach?

— Albo — spójrzmy prawdzie w oczy, Oxen: zabójstwach. Dziś nie wiemy więcej, niż wiedzieliśmy wczoraj. Jeśli chodzi o porwania, to takie sprawy nie leżą w kompetencjach PET. Mądre głowy, z którymi rozmawiałem, twierdzą, że wkrótce powinny się pojawić żądania, góra w ciągu następnych dwóch dni. I raczej nie będzie chodziło o pieniądze. Nikt przy zdrowych zmysłach nie próbowałby wymuszać kasy od urzędnika państwowego. Jeśli się chce porwaniem dojść do majątku, należy szukać w innych kręgach. Podobnie zresztą jeśli się chce wzbogacić poprzez ciężką pracę — dodał pod nosem.

— Zatem jeśli nie pieniądze, to co?

— Obstawiam coś w rodzaju przysługi.

Po raz kolejny porzucił marzenia o stworzeniu bezkofeinowej wersji samego siebie i poszedł do kuchni zrobić kawę. Potrzebował na moment zostać sam, aby podjąć ostateczną decyzję. I ów moment dał sobie właśnie w kuchni.

Czy powinien powiedzieć o dziecku w bagażniku? Czy ta sensacyjna, choć mocno przestarzała informacja pomoże im, czy bardziej zaszkodzi i sprowadzi ich własne śledztwo na niewłaściwe tory?

Woda się zagotowała. Zalał nią granulki kawy rozpuszczalnej, które natychmiast rozpuściły się i zmieniły w ciemny napój. Jak za pomocą czarów. Z jednej substancji — twardego, suchego materiału — w inną, płynną. Podobnie jak z faktów — we właściwych rękach, na przykład kogoś takiego jak Mossman z jego wybitnym potencjałem szarych komórek — można było uformować nowe fakty, w których nikt nie dopatrzyłby się nawet śladów oryginalnego zestawu informacji.

Musiał samego siebie upomnieć, że Axel Mossman pojawił się w Harrildholmie zaraz po tym, jak ujawnił monitoring i został ogłuszony. Bez względu na to, jaki mógł mieć motyw, w tej akurat sprawie był zmuszony uznać starego mistrza wywiadu za głównego podejrzanego. Nie wolno mu było zapomnieć, że jeśli chce grać według zasad Mossmana, to musi mieć rękawy i nogawki wypchane asami, bo inaczej przegra. A najprawdopodobniej przegra tak czy inaczej.

Postanowił zrobić tak, jak Mossman: milczeć, dopóki nie będzie miał pewności, że zdradzenie prawdy nie zaszkodzi sprawie Margrethe.

— Trzymaj — postawił kubek przed Mossmanem i z powrotem usiadł na kanapie. — Tak się zastanawiam... Wciąż nie udało nam się ustalić wielu faktów. Margrethe nie zdążyła na przykład do końca sprawdzić Poula Hansena, jego życiorysu, relacji i tak dalej. Podobnie z Troelsem Monradem. Nie wiemy nic poza tym, co sam znalazłeś. Myślę, że czekając na rozwój wypadków, powinniśmy bliżej przyjrzeć się Monradowi. Jak dotąd odstawiliśmy go na boczny tor — albo kompletnie zignorowaliśmy — w całej sprawie. Tymczasem został zamordowany i porzucony w potoku niedaleko Harrildholmu. I jak mówiłem, człowiek mieszkający w wagonie widział przy tym potoku Hansena.

— Żebyś wiedział, żołnierzu. Tym dokładnie musimy się teraz zająć. Przyniosłem wstępne materiały ze śledztwa w sprawie Monrada.

Mossman postukał palcem wskazującym w jeden ze stosów papierów leżących na stole. Oczywiście, że Mossman już o tym pomyślał. Oczywiście, że to on był jak zwykle kilka kroków w tyle.

— Sprawa Monrada? I tu jest wszystko, cały materiał?

— Oczywiście.

— Ale jak ci się udało...

— No wiesz, umie się człowiek jeszcze poruszać w tym dziwnym gąszczu procedur i układów — zaśmiał się Mossman.

— Chodzi o przysługi, Oxen. O debet i kredyt. Był kiedyś taki amerykański dramaturg, Wilson Mizner. I on powiedział mądrą rzecz: „Bądź miły dla tych, których spotykasz po drodze na szczyt. Spotkasz ich ponownie, gdy będziesz schodzić w dół”. Proste, a jakie życiowe. W kręgach policyjnych wciąż jeszcze jest mnóstwo ludzi, którzy są mi winni przysługę albo dwie. Jeden z nich siedzi w Holstebro, głównej siedzibie policji okręgu Jutlandii Środkowej i Zachodniej. I on był tak miły, że przesłał mi to wszystko. Wydrukowałem u siebie.

— I co — znalazłeś coś?

— Nie zdążyłem przeczytać ani słowa. Jak mówiłem — za dużo czasu spędzam, opatrując zranione ego rozmaitych akademików. A co się tyczy Margrethe, to pomyślałem, że może powinniśmy się przegrupować w czasie, gdy czekamy i łasimy się do PET. Chyba że tobie udało się w tym chaosie zobaczyć nowe możliwości...

Pokręcił głową i Mossman rozdzielił stos na dwie części.

— To dla ciebie, a to dla mnie. Zerknijmy, co tam porabiają Jutlandczycy. A potem przedyskutujemy ich działania.

Rozdział 67.

Sekretarka, która rządziła niepodzielnie w klasycznej, starodawnej recepcji, zniknęła za drzwiami biura swojego szefa z bardzo surową miną. Najwyraźniej nieczęsto się zdarzało, że ktoś przychodził prosto z ulicy i żądał spotkania z prezesem.

Główna siedziba Damberg Ingredients A/S mieściła się w Ballerup i składała się w równych częściach z betonu, ze stali i szkła. Postanowił spróbować szczęścia wczesnym rankiem, choć prawdopodobieństwo, że dyrektora koncernu nie zastanie w biurze, było całkiem spore. Gdyby jednak zadzwonił wcześniej, spotkałby się z odmową. Spod drzwi zdecydowanie trudniej było go przegonić, choć sekretarka bardzo by tego chciała.

— To ważne, bardzo ważne — tymi słowami pokrótce opisał, z czym przychodzi.

W przeszklonej ścianie recepcji widział własne odbicie. Flanelowa koszula w czerwoną kratę, biały T-shirt pod spodem, niebieskie dżinsy z dziurą na kolanie, jasnobrązowe zamszowe buty na traktorach i półdługie włosy zebrane w kilkucentymetrową kitkę na karku. Do tego kilkudniowy zarost. Może to jego stylizacja nie wzbudziła zaufania tej kobiety, na co dzień pewnie otoczonej drogimi garniturami?

Wstąpił tu po drodze do Aarhus. W schowku miał swojego Hecklera & Kocha. I pełny magazynek. Nie dlatego, że zamierzał do kogokolwiek strzelać. Nie dawało mu po prostu spokoju przeczucie, że Aarhus może mu się pokazać z nieco innej strony, niż by na to wskazywała jego sława Miasta Uśmiechu.

Ustalili, że on pojedzie sprawdzić kilka informacji o zamordowanym Troelsie Monradzie, a Mossman zostanie na miejscu, żeby z bliska monitorować postępy śledztwa PET w sprawie zaginięcia Margrethe.

O tym, że stał teraz w recepcji biurowca w Ballerup, wiedział tylko on sam. Ta wizyta była częścią jego własnego, równoległego śledztwa. Musiał sprawdzić historię starego

koszmaru Tranego, nawet jeśli wszystko wskazywało na to, że Bille-Damberg nie zdecyduje się zweryfikować sprawy tak delikatnej jak porwanie jego córeczki.

Sekretarka wróciła i mierząc go wzrokiem od góry do dołu, powiedziała, że może wejść — na pięć minut. I ani sekundy dłużej.

Wysoki mężczyzna w jasnoniebieskiej koszuli stał przy biurku z podnoszonym blatem, jego uwagę bez reszty pochłaniał monitor komputera. Podniósł wzrok, gdy tylko usłyszał, że wszedł niezapowiedziany gość.

— Dzień dobry. Sekretarka powiedziała, że to coś pilnego.

— Nazywam się Niels Oxen — przedstawił się i wyciągnął rękę.

— To prawda, sprawa jest pilna. Przejdę od razu do rzeczy. Chciałbym pana zapytać o pewną środę w maju, dwanaście lat temu. Dokładnie chodzi o trzeciego maja.

Arne Bille-Damberg przyglądał mu się podejrzliwie.

— Środa trzeci maja?

— To był ten dzień, w którym pańska córka nie wróciła ze szkoły. A w każdym razie nie wróciła o normalnej porze.

Widział to w spojrzeniu tego mężczyzny — czarne cienie, które przemykały w panice przez jego głowę, wywołując nieprzyjemne wspomnienia i flashbacki oraz wyrzut hormonu stresu.

Dyrektor wzruszył ramionami.

— Nie wiem, o czym pan mówi — powiedział opanowanym głosem. — Czy to wszystko? Bo jestem bardzo zajęty... A w ogóle kim pan jest? Czym się pan zajmuje — bo tego mi pan nie powiedział.

— Przychodzę jako osoba prywatna. Byłem w Korpusie Łowców. Jestem...

— Zaraz, zaraz, Oxen... Czy to nie pan...?

Pokiwał głową i uciął w zarodku stary refren.

— Tak, to ja. I wiem wszystko o tamtym dniu, trzeciego maja. Wiem to, co zapewne powiedziała również pańska córka — że przywiózł ją policyjny radiowóz, a policjant wysadził ją niedaleko waszego ówczesnego domu przy Richelieus Allé. Poważne przestępstwo, które nie rozwinęło się w przestępstwo. Dziwne, prawda?

— Proszę posłuchać. Naprawdę nie mam czasu. — Arne Bille-Damberg rozłożył ręce.

— To pan niech będzie łaskaw wysłuchać mnie. Ktoś mi bliski jest obecnie w poważnych tarapatach w związku z tamtą starą sprawą. Ten ktoś pracuje dla PET i służby obecnie szukają tej osoby w całym kraju. Jeśli pan potwierdzi moje informacje o trzecim maja, to może pan nam bardzo pomóc. Nie muszę mieć niczego na piśmie. Nie musi pan nawet nic mówić, wystarczy mi skinienie głową. Zatem czy moje informacje są prawdziwe?

— Nie. W ogóle nie przypominam sobie takiej sytuacji. Pan się myli.

— Jest pan pewien?

— Jestem pewien. A teraz proszę wybaczyć, muszę wracać do pracy.

Dyrektor i współwłaściciel wielkiego koncernu ponownie wbił wzrok w ekran komputera.

On sam odwrócił się na pięcie i ruszył do drzwi. Nim jednak wyszedł, przystanął, odwrócił się do niego przodem i cichym głosem powiedział:

— Rozumiem. To jednak oznacza, że będę musiał się spotkać z pańską córką i spytać, czy ona coś pamięta. Studiuje w Copenhagen Business School, prawda? Jeśli tam jej nie znajdę, to zawsze mogę popytać w klubie wioślarskim.

Wyszedł z biura i zamknął za sobą drzwi.

— I jak, zmieściłem się w czasie? — rzucił sekretarce po drodze. Nie odpowiedziała.

Kiedy kilka minut później szedł przez parking do małego, wynajętego forda, wybiegła za nim.

— Proszę zaczekać! Niech pan wraca. Dyrektor chce z panem porozmawiać.

Kiedy ponownie wszedł do jego biura, Arne Bille-Damberg nadal stał przy biurku, ale tym razem ze wzrokiem utkwionym w drzwiach.

— Proszę mi wybaczyć... — zaczął. — Znam kogoś, kto zna kogoś z PET, kto właśnie potwierdził, że trwają poszukiwania —

choć utajnione — niejakiej Margrethe Franck. Czy to o nią chodzi?

Przytaknął.

— Oxen... Bardzo mi ulżyło, kiedy oficjalnie oczyszczono pana z zarzutów. To smutne, kiedy się widzi, jak bohaterowie są obrzucani błotem. To niestety ulubione zajęcie mediów. Wynosić na piedestały. I z nich strącać. Co do tamtej środy... Ma pan moje skinienie.

— Dziękuję.

— Ale nigdy nie powtórzę tego oficjalnie.

— Rozumiem. Czy ktoś się z państwem kontaktował, zanim Lissa wróciła do domu?

— Byłem w pracy, kiedy dostałem esemes, że została porwana. I że mam natychmiast wracać do domu i czekać na telefon, a w tym czasie zastanowić się, ile maksymalnie mogę od ręki wypłacić z banku. I ostrzeżenie, że jeśli się skontaktuję z policją, to zabiją Lissę.

— A potem Lissa wróciła?

— Oboje z żoną przyjechaliśmy do domu. Normalnie mieliśmy nianię, która zawsze czekała na Lissę po szkole. Byliśmy zrozpaczeni. Odchodziliśmy od zmysłów. I nagle nasza mała dziewczynka wchodzi spokojnie do domu z tornistrem na plecach i mówi „cześć”.

— Mogę zapytać, czy były jakieś tropy? Jakikolwiek kontakt z policją? Coś, co wam później przyszło do głowy?

Bille-Damberg stanowczo zaprzeczył.

— Nic. Nic nie zrobiliśmy. Nie mieliśmy odwagi. Od tamtego dnia do szkoły odwoził ją ochroniarz. I przywoził z powrotem.

— Dziękuję. To wszystko, czego chciałem się dowiedzieć.

Rozdział 68.

Wątek poboczny numer dwa na drodze do Aarhus nazywał się Jesper Kvist. Był wicekomisarzem policji i posterunkowym w Slagelse, podlegającym pod okręg policyjny Zelandii Południowej i Lolland-Falster.

Istniał bardzo konkretny powód, dla którego należało odwiedzić szefa posterunku w Slagelse — mianowicie według dokumentów to on był odpowiedzialny za śledztwo sprzed dwunastu lat w sprawie strzału, jaki padł w Sydhavnen.

Za moment się z nim zobaczy. Może złapie go jeszcze przed przerwą obiadową? Skręcił w Næstvedvej, kiedy w radiu usłyszał dzingiel południowego wydania wiadomości. Spiker zapowiedział kilka najważniejszych wydarzeń dnia akurat, gdy po jego prawej pokazał się budynek posterunku. Duży sześcian z bladożółtej cegły za kępą niskich pozbawionych liści drzew i żywopłotem otaczającym półkolem niewielki parking. Spiker mówił niskim głosem. Jednym tchem wymienił Koreę Północną, rosnące czynsze, trujące ftalany w dziecięcych zabawkach i wymieranie pszczoł w Danii... Już miał wyłączyć.

„Na koniec przedstawimy nowy raport, z którego wynika niezbiecie, że w naszym kraju zginęły bez śladu co najmniej cztery wilki. Zaczynamy jednak od Korei Północnej...”

Skręcił w Antvorskov Allé, wolno przejechał ostatnie metry i skręcił na parking. Posterunkowy będzie musiał jednak poczekać do końca wiadomości.

On *wiedział*, że nie co najmniej cztery, ale co najmniej pięć wilków zginęło. I wiedział, gdzie znajdował się wilk numer pięć. Poczł wyrzuty sumienia. Powinien był powiadomić władze. Zamiast z powrotem wrzucać zwierzę do dołu. A wcześniej snuł tyle poetyckich refleksji, jak to jego i wilki łączy braterstwo dusz. Łowca i wilk. Jasne.

Nie, stop... Powstrzymał dalsze wyrzuty. Podjął wtedy racjonalną decyzję — nie mógł zwracać na siebie uwagi. Był

dawnym komandosem. Widział więcej śmierci i zniszczenia niż większość ludzi. Był przy odkrywaniu masowych grobów. Pełnych ludzi, dzieci i dorosłych. Nie zwierząt. Istotą, którą wykopał — i zakopał ponownie — był wilk. Wilk to zwierzę. Działał w terenie i kierował się logiką.

Siedział w milczeniu i jednym uchem słuchał o tym, że świat to niebezpieczne miejsce do życia. Człowieka może zabić pocisk raketowy albo podwyżka czynszu, a dzieci mogą się pochorować, bo banda idiotów wpychała w plastikowe zabawki substancje zmiękczające. A na koniec nie można już nawet opowiadać tym maluchom o kwiatkach i pszczołkach, bo pszczołki giną w chmurach pestycydów...

O wilkach nie wspominając.

„Nowy kompleksowy raport sporządzony we współpracy Instytutu Bionauki Uniwersytetu w Aarhus i tamtejszego Muzeum Historii Naturalnej stwierdza, że co najmniej cztery wilki w naszym kraju zniknęły bez śladu. Od dwa tysiące dwunastego roku do Danii przywędrowało co najmniej osiem osobników. Siedem z nich zostało zidentyfikowanych na podstawie DNA z niemieckich rejestrów. Badacze informują, że ponadto namierzono jednego lub więcej osobników, które nie znajdują się w rejestrze. Stąd wiemy, że co najmniej osiem wilków przywędrowało na teren naszego kraju. Obecnie badacze potrafią wskazać miejsce bytowania tylko czterech z nich. Oznacza to, że brakuje co najmniej czterech zwierząt. O to, dlaczego jest to niepokojące, zapytaliśmy Hansa Rosleva, eksperta do spraw wilków z Uniwersytetu w Aarhus.

— Wiemy, że cztery osobniki, których nie potrafimy namierzyć, nie wróciły na teren Niemiec. Nie zostały również zgłoszone jako martwe zwierzęta na drogach. Osobniki zniknęły co najmniej półtora roku temu, a wcześniej co najmniej raz na siedem miesięcy natrafialiśmy na ich ślady. Stąd wniosek, że zwierzęta są martwe i znajdują się na terenie Danii. Były to osobniki młode i silne. U nas w kraju, gdzie te zwierzęta praktycznie nie mają konkurencji ze strony innych wilków, powinniśmy odnotowywać przeżywalność na poziomie

dziewięćdziesięciu procent rocznie. Dlatego tak dziwi fakt, że aż cztery wilki zniknęły bez śladu.

— Czy tę niespodziewanie wysoką śmiertelność należy tłumaczyć tym, że zwierzęta zostały zastrzelone?”

Badacz chwilę się zastanawiał, zanim odpowiedział na to proste — a przy tym niewygodne — pytanie.

„— Tego... nie możemy wykluczyć. Wiemy z informacji od naszych zagranicznych kolegów, że nielegalne polowania na wilki występują właściwie wszędzie, gdzie pojawiają się te zwierzęta. Dlatego... cóż, nie możemy oczywiście wykluczyć, że podobny problem występuje również w Danii.

— Dziękuję. Rozmawialiśmy z Hansem Roslevem. Dodajmy jeszcze, że wilk jest objęty ochroną zgodnie z dyrektywą unijną. Jego odstrzał jest zagrożony karą do dwóch lat więzienia. A teraz prognoza pogody dla...”

Wyłączył radio.

To, co usłyszał, nie zagłuszyło wyrzutów sumienia. I jak na ironię, dźwigając ten wyrzut, będzie musiał za moment wejść na terytorium stróżów prawa. Wysiadł z samochodu i przygotował się mentalnie.

Podobnie jak wcześniej z dyrektorem Damberg Ingredients, postanowił nie uprzedzać rozmówcy o swojej wizycie i nie umawiał się przez telefon. I tym razem przyplacił to godziną czekania na korytarzu, aż wicekomisarz wyjdzie z zebrania.

— Niels Oxen? — Brwi Jespera Kvista podjechały na czoło, kiedy przedstawił mu się w drzwiach do jego biura. — Wiem doskonale, kim pan jest.

Zabawne, jak bardzo jego nazwisko wryło się ludziom w pamięć po tym, jak policja szukała go po całym kraju. Była to obława, której rozmiarów nigdy do końca sobie nie uświadomił, bo zapoznał się tylko z częścią tego, co przedstawiano w mediach. Gdyby się nazywał Jensen albo nosił inne arcyduńskie nazwisko, nikt by nie unosił brwi i nie marszczył czoła.

— W czym mogę panu pomóc? — spytał posterunkowy ostrym tonem i widać było, że zastanawia się, czy od razu nie spławić niespodziewanego gościa.

— Chcę tylko porozmawiać. Dwie minuty. O pewnej starej sprawie.

— O starej sprawie? — Wicekomisarz zastanowił się chwilę, po czym zdecydował: — Niech pan wejdzie, ale mam tylko chwilę. Za moment znów muszę wyjść.

Kiedy drzwi się za nimi zamknęły, zdecydował się bez owijania w bawełnę zdradzić gospodarzowi tego przybytku, co go do niego sprowadza.

— Wiem, że Axel Mossman, były szef PET, dzwonił do pana wczoraj wieczorem, żeby...

— Axel Mossman? Nie... — natychmiast zaprotestował komisarz.

Takiej reakcji się nie spodziewał. Zbity z tropu, naprędce próbował zrozumieć, co się dzieje. Mossman jeszcze w samochodzie, gdy wracali z Jutlandii, powiedział, że zadzwonił do Kvista, żeby zapytać o dane z masztu nadawczego.

— Nie bardzo rozumiem. Czyli *nie* rozmawiał pan z Mossmanem?

— Nie rozmawiałem. Ale proszę mi powiedzieć, o co chodzi — jak powiedziałem, mam dwie minuty... — Zagoniony wicekomisarz oczywiście nie dotarłby tak wysoko w hierarchii gdyby nie potrafił skutecznie przechodzić do sedna.

— Dwanaście lat temu prowadził pan śledztwo. W Sydhavnen pewna funkcjonariuszka, Margrethe Franck, śmiertelnie postrzeliła domniemanego uczestnika napadu na bank.

— Zgadza się. Ta osoba jest w tej chwili poszukiwana we wszystkich okręgach policyjnych. Czy to o to chodzi?

— Niewykluczone, że istnieje związek z tamtą starą sprawą. Mossman i ja jesteśmy jej... dobrymi znajomymi.

— Coś panu poradzę, panie Oxen. Niech pan to zostawi policji. To samo należało zrobić również wtedy. Powinien pan być się zgłosić na policję i pozwolić nam wyjaśnić sprawę, zamiast wodzić za nos wszystkie służby w kraju. Obawiam się, że w moich oczach nie nabił pan sobie żadnych punktów. Ani swoimi orderami, ani wyborami, jakich pan dokonał.

Przytrzymał zabiegane spojrzenie posterunkowego i przez chwilę zastanawiał się, czy nie powinien powiedzieć czegoś na

swoją obronę. Uznał, że nie warto. Ten człowiek przecież nie miał o niczym pojęcia.

— Nie zależy mi na nabijaniu sobie punktów, chcę tylko spytać o jedno: dlaczego nie pozyskał pan danych z masztu nadawczego w Sydhavnen?

Policjant zaczął zbierać jakieś dokumenty ze swojego biurka.

— Dane z masztu? Nie wiem, o czym pan mówi. Jestem pewien, że je dostaliśmy. Nie do pomyślenia byłoby, aby tego zaniechać. Ale, jak sam pan mówi, minęło sporo czasu. Tak z marszu nie jestem w stanie złożyć panu raportu. Ani nie mam ochoty. Bez względu na to, co porabiacie, pan i pański koleżka Mossman. A teraz naprawdę muszę już lecieć. Nasz czas się skończył.

— Więc pan twierdzi, że te informacje musiały się znaleźć w materiałach. Ale ja przeczytałem akta od deski do deski. I nie ma w nich danych z masztu.

— Kto z nas jest policjantem — pan czy ja? Mogę się mylić, ale wydaje mi się, że jednak ja. A teraz proszę sobie wytropić drzwi. I stąd wyjść, panie komandosie. Nikomu nie wolno przychodzić tu z ulicy i mnie przesłuchiwać. Zrozumiano?

Rozdział 69.

Centrum Aarhus wyglądało nieco chaotycznie, jak jeden wielki plac budowy. Dość szybko porzucił nadzieję, że znajdzie miejsce przy Jægergårdsgade albo w którejś z bocznych ulic, więc zostawił samochód na podziemnym parkingu galerii handlowej Bruuns.

Przez jakiś czas nie ruszał się zza kierownicy i z zamkniętymi oczami próbował się skupić przed ostatnim zadaniem, jakie go czekało tego dnia.

Znajdował się teraz jakby w innym świecie, tak bardzo rollercoaster ostatnich dni różnił się od jego spokojnej codzienności w Vangede czy kontemplacyjnej ciszy w pustych pokojach Harrildholmu. Wymęczyły go te wszystkie rozmowy i spotkania. A już wcześniej czuł się zmęczony. Najpierw dyrektor Bille-Damberg, potem wicekomisarz w Slagelse, a przed godziną widział się z byłą żoną Troelsa Monrada w jej szeregowcu w Tilst na przedmieściach Aarhus.

Teraz miał przejść krótki odcinek do Jægergårdsgade, gdzie mieszkała córka emerytowanego pracownika PET. Jeśli sądzić po nazwisku, Gry Monrad była niezamężna. Ale to za chwilę. Teraz musiał posiedzieć z zamkniętymi oczami, dać odpocząć głowie i przygotować się mentalnie.

Pierwsze, co zrobił, kiedy dotarł do Aarhus, to sprawdził mieszkanie zamordowanego Monrada. Osiedle niskich bloków Lille Ravensbjerg w Viby było schludne i anonimowe, podobnie jak jego własny przyczółek w Vangede. Monrad wynajmował dwupokojowe mieszkanie. W drzwiach nie było taśmy policyjnej, a wytrych, przywieziony specjalnie w tym celu, szybko poradził sobie z zamkiem.

Miał przy sobie kopię materiałów ze śledztwa. Porównał informacje z nich, sporządził kilka krótkich notatek, podkreślił niektóre fakty. Policja Jutlandii Środkowej i Zachodniej oczywiście przeszukała mieszkanie Monrada — i nie znalazła

niczego niezwykłego. Dlatego musiał spróbować osobiście. Mossman też tak uważał.

Gdyby nie czytał ich raportu, podobnie jak policjanci z Holstebro, zdziwiłby się, że choć znalazł gniazdko do kabla LAN, a na blacie widniały cztery odcisnięte kółka, to nigdzie nie było laptopa.

Liczące bez mała sześćdziesiąt metrów kwadratowych mieszkanie było ładne i zadbane. Zawartość szafy w sypialni potwierdzała to, co Mossman zapamiętał o dawnym koledze — Monrad był zapalonym wędkarzem. W szafie stały wędkarki w różnych rozmiarach i kolorach. Do tego aż trzy szuflady piór, puchu, wełny i najróżniejszych dziwnych materiałów. Doskonale wiedział, do czego Monrad ich używał. Sam też lubił wiązać muchy.

Poza tym w oczy rzuciła mu się tylko jedna rzecz, którą policjanci uwzględnili w spisie inwentarza, ale której nie poświęcili szczególnej uwagi: otóż w szufladzie biurka, wśród informacji i powiadomień od rozmaitych instytucji, funduszu emerytalnego, banku, dentysty, klubu wędkarskiego i innych, leżały wyciągi z dwóch dużych firm bukmacherskich, Bet365 i Unibet, oraz spory stos kuponów loterii duńskiej i europejskiej.

Regał z książkami w niewielkim salonie aż się ugiął. Wypełniały go cegły klasyki literatury pięknej oraz biografie, od Churchilla po Mandelę. Na jednej półce leżał stos magazynów o motocyklach i wędkarstwie. Zarówno tych eleganckich, na kredowym papierze, jak i drukowanych domowym sposobem gazetek klubowych. Ryby — zwłaszcza łosoś i pstrąg, i motocykle — zwłaszcza triumph. Wszystko to w jakiś sposób miało sens.

Po cichu zamknął za sobą drzwi. Nie wyniósł z tej wizyty nic poza niejasnym wrażeniem, że mieszkanie Troelsa Monrada było zbyt porządne i czyste jak na samotnego starszego mężczyznę, który całe życie przepracował w policji. Do czego na przykład sześćdziesięcioośmioletniemu facetowi była potrzebna duża biała tablica na ścianie salonu — wytarta tak, że wyglądała na bielszą od bieli?

Z rozmowy z byłą żoną wyniósł jeszcze mniej. Ale należało się z nią spotkać. Śledczy z Holstebro rozmawiali z nią tylko przez telefon.

Dość szybko nabrał przekonania, że to zimny trop. Nie utrzymywała z Monradem żadnych relacji. Rozwiedli się niemal dwadzieścia lat temu i od tamtej pory właściwie nie mieli ze sobą do czynienia. W pierwszych latach, owszem, zdarzało im się spotykać, ale tylko w związku z córką. Troels Monrad pojawiał się na przykład na urodzinach Gry.

Kontakt urwał się zupełnie, kiedy wyjechał do Kopenhagi, gdzie pracował najpierw w policji w Hillerød, a potem przez pewien czas pod rządami Mossmana w głównej siedzibie PET w Søborgu, zanim przeniósł się z powrotem do Aarhus, do tutejszego oddziału służby wywiadowczej, gdzie został aż do emerytury.

Jedyne sporadyczne kontakty byłych małżonków do samego końca odbywały się za pośrednictwem córki, z którą relacje Monrad najwyraźniej próbował odbudować na stare lata. To z nią miał się spotkać za moment. Ta rozmowa była ostatnim punktem na jego liście zadań. Potem zamelduje się w hotelu Cabinn, gdzie zarezerwował pokój.

Rzuci się na łóżko w swojej mikroizdebce, podsumuje wyniki i zmobilizuje wszystkie mentalne zasoby, jakie mu jeszcze zostały, aby dostrzec w tym obrazie luki — i kto wie, może w nich ukaże mu się Margrethe?

Otworzył oczy, wyjął kluczyk ze stacyjki i nastawił się na kolejną rozmowę o zjawie, Troelsie Monradzie.

— Ja palę. A ty?

Pokręcił głową na pytanie Gry Monrad rzucone zaledwie kilka minut po tym, jak zamknął za sobą drzwi samochodu.

Śledczy z Holstebro również ograniczyli się do rozmowy telefonicznej z Gry Monrad. Może z braku czasu, a może z innego powodu. On sam uważał, że takie rozmowy mają sens wyłącznie twarzą w twarz.

— Oxen? Niels Oxen? — Upewniła się, kiedy usiadła przy kuchennym stole i zapaliła papierosa. — Widziałam coś w telewizji... To nie ciebie szukali w całym kraju...?

— Tak, to byłem ja — przerwał jej i kiwnął krótko głową, aby zamknąć temat.

— *Fuuuck* — podsumowała i wypuściła w górę chmurę dymu. — A teraz pomagasz PET?

Znów kiwnął głową. Tak przedstawił przez telefon swoją rolę. Że pomaga im wyjaśnić okoliczności śmierci jej ojca.

— Czasem się zastanawiam, co sobie myślą inni ludzie — zadumała się lekko. — Wydaje mi się, że ich zdaniem praca dla PET jest niesamowicie ciekawa, a ci, którzy tam pracują, też muszą być fascynujący. Tymczasem pod wieloma względami to jest straszny syf.

Córka Monrada sama podjęła ten temat. Może chciała to z siebie wyrzucić? Na drzwiach mieszkania na trzecim piętrze przy Jægergårdsgade widniało tylko jej nazwisko. Miała trzydzieści siedem lat.

— W jakim sensie?

— W takim, że człowiek babrze się w brudach, biedny, nieszczęśliwy — i żałosny.

— Szczerze mówiąc, moje wrażenie jest nieco...

— Uważam, że żałosne było to, gdy nas zostawił po śmierci Kristoffera. Że nas zawiódł i...

— Kim był Kristoffer?

— Moim starszym bratem. Zmarł w wieku dwudziestu dwóch lat po zażyciu trefnych tabletek.

— Byłem dziś u twojej matki. Nawet o tym nie wspomniała.

— Bo dla niej to zamknięty rozdział.

Gry Monrad zgasiła papierosa i od razu zapaliła następnego.

— Mój brat zadawał się z nieodpowiednimi ludźmi, ale ojciec starał się go naprostować. Dzieci policjantów też mają prawo zejść na złą drogę, prawda?

Przytaknął.

— Więc jak mówię, tato próbował wyrwać go z tamtego towarzystwa, ale w jedną sobotę i tak doszło do tragedii. Kristoffer musiał kupić trefny towar od kogoś z bydlaków,

którzy rządzą w tym mieście. Umarł na środku chodnika. Półtora roku później rodzice się rozwiedli. Ja miałam wtedy dwadzieścia lat i mieszkałam w centrum z dwiema koleżankami. Ojciec wyprowadził się do Kopenhagi i dostał tam pracę. Z czasem niemal całkiem zniknął z mojego życia. A z mamą nie rozmawiał wcale. Ona trzy lata później znalazła sobie nowego faceta. Dalej z nim jest. Gość jest w porządku. Poznałeś go?

Pokręcił głową.

Gry Monrad zaciągnęła się głęboko, potem wolno wypuściła dym i ciągnęła dalej swoją krótką opowieść:

— Ale kiedy mówię, że był biedny i żałosny, to chodzi mi głównie o to, że nigdy nie potrafił ani nie chciał wytrwać. Wytrwać w naszej rodzinie — nawet pomimo tego, co się stało z Kristofferem. To przecież nie była jego wina. Tymczasem on wybrał drogę najprostszą: ucieczkę. A potem wrócił, sądząc, że może sobie ot tak z powrotem wejść w moje życie i znów stać się dla mnie ojcem. To było żałosne. I bezczelne. Z drugiej strony... to ojciec. Ojca ma się tylko jednego, prawda? Dlatego godziłam się z nim spotykać od wielkiego dzwonu. Chyba było mi go trochę żal. Nigdy nie znalazł sobie nowej kobiety. Myślę, że bez reszty pochłonęła go praca. Poza pracą chyba już tylko czekał, aż któregoś dnia jego życie się skończy. I czekałby w samotności, gdyby nie moje skromne wysiłki. Uważam, że... że to było zmarnowane życie. Wiesz, o co mi chodzi?

Wiedział aż nazbyt dobrze. Pomiedzy Monradem a własną historią dostrzegał paralele tak wyraźne, jakby je wyrysowano białą farbą na świeżym asfalcie.

— A wiesz, jak twój ojciec spędzał wolny czas?

Gry Monrad wzruszyła ramionami.

— Hm. Nie pił, jak inni nieszczęśnicy, których się spotyka. Pracuję w opiece społecznej, to trochę się naoglądałam... Nigdy też nie wspominał o żadnych znajomych czy kumplach z dawnych czasów. Sprawiał wrażenie bardzo zamkniętego. I to też moim zdaniem było smutne. Że przez całe życie nie potrafił zdobyć i utrzymać jakichkolwiek przyjaciół.

— Łowił ryby, prawda?

— Tak. To się dobrze komponowało z jego samotniczym życiem.

— Wiesz, gdzie łowił? W morzu, rzekach czy jeziorach?

— W rzekach. I zawsze na muchę. Tyle akurat wiem. Wyjeżdżał też za granicę na łososie w tych latach, kiedy nie było go w moim życiu, jeśli można to tak nazwać. Był członkiem jakiegoś klubu wędkarskiego.

— Klubu Wędkarskiego Aarhus. A lubił piłkę albo zakłady?

— Nie. Chociaż... nie, w sumie to nie wiem. Dlaczego?

— Tak mi przyszło do głowy. Policja znalazła w jego mieszkaniu trochę kuponów z lotto.

— Aha. Słuchaj... Kto mógł go zabić? Macie jakiegokolwiek podejrzenia?

Pokręcił głową.

— Nie. Ale wszystko trzeba sprawdzić. Zwłaszcza to, co ma związek z jego pracą. Czy ojciec kiedykolwiek wspominał o jakichś sytuacjach czy ludziach z czasów PET albo policji? Albo może próbował ci o czymś takim powiedzieć? Zastanów się.

Gry Monrad zapaliła trzeciego papierosa i pokręciła głową.

— Ten, który dzwonił z komisariatu w Holstebro, też o to pytał. Ale odpowiedź nadal brzmi: nie. Nigdy nie opowiadał o tym, co robił. Z drugiej strony... widywaliśmy się naprawdę rzadko. Po tym, jak z powrotem sprowadził się do Aarhus, dwa, może trzy razy w roku.

— Nigdy go nie pytałaś, czym sobie wypełnia czas?

Wzruszyła ramionami.

— Wiem, że dużo czytał. I oglądał sporo telewizji. Do tego te ryby. I... no tak. Chodził na cmentarz. Co tydzień. Żeby uprzątnąć grób albo położyć kwiatek. W zeszłe święta już nie zdążył. Mama za to chodzi tam tylko raz w roku. W jego urodziny. Tak to już jest. Z czasem niektóre rzeczy trzeba sobie odpuścić. Inaczej nie da się ruszyć z miejsca.

— W aktach wyczytałem, że twój ojciec nie miał samochodu, tylko motocykl. W dodatku starego triumpha. To było jego hobby?

— Wiem, że miał stary motor. Ale czy to było hobby, tego nie wiem.

— Tak mi przyszło do głowy... Czy twój ojciec nie dał ci kiedyś czegoś na przechowanie? Nie wiem — książki, pudełka, teczki?

Gry Monrad pokręciła głową.

— Jedyne, co mi dał, to poczucie utraty. I pod koniec ze dwa nieudane prezenty urodzinowe. A teraz... teraz już za późno. Tak wiele powinnam mu była powiedzieć, ale stale to odkładałam.

Na moment zaszkliły jej się oczy. Ostatecznie rozproszyła wspomnienie. Wstał, podziękował za rozmowę i obiecał, że się odezwie, jeśli wyjdzie coś nowego, ją poprosił o to samo. Na kartce zapisał swój numer i zostawił na kuchennym stole.

Rozdział 70.

25 czerwca 1964

Los chciał, że to młodszy brat ją znalazł. Kołysała się swobodnie metr nad podłogą.

Biała letnia sukienka świeciła w ciemnej stodole. Do środka przenikał tylko pasek wieczornego słońca i tańczył na jej złotych włosach.

Wakacje dopiero się zaczęły. A jego anioł stróż właśnie go opuszczał. Unosił się w górę, wracał do domu.

Długo stał, nie mogąc oderwać od niej wzroku. W końcu się otrząsnął, odwrócił i pobiegł najszybciej jak umiał.

W niemym przerażeniu stali w drzwiach, a obraz wypalał się w ich duszach. Serca waliły im tak, jakby próbowały rozerwać ich na kawałki.

Sznur był przerzucony przez belkę nad ich głowami i przywiązany do metalowej obręczy w ścianie. Ojciec wydał kilka krótkich rozkazów i wspólnie szybko rozwiązali węzeł. Najstarszy syn przygotował się, aby opuścić ją na ziemię.

Kolana ojca drżały, kiedy stanął na środku podłogi i poczuł ciężar martwego ciała córki, które powoli opuszczono w jego ramiona. Sznur był jasny, mocny i całkiem nowy. Wyprodukowany w Skjern Reberbane. Sam go kupił dwa tygodnie temu. Poruszyła go ta myśl. Gdyby tego nie zrobił... To na nic. Było tyle innych sznurów.

Wszyscy podeszli i otoczyli ich oboje kołem. Cała jego rodzina. Pomogli mu zdjąć pętlę. Zostawiła ślad na delikatnej szyi. Miał pustkę w głowie, ciało przejęło dowodzenie. Wysuwając jedną nogę przed drugą, powoli stawiał najcięższe kroki, do jakich zdolny jest człowiek.

Trwało to wieczność, zanim ze swoim małym orszakiem stanął w pokoju i ostrożnie położył ją na kanapie. Poprawił jej złote włosy. Jej twarz nie wydała mu się spokojna. Ale spokój w końcu został jej dany...

Kiedy ten dzień się skończy, Agnethe już nie wróci. W tej chwili wydawało się nie do pomyślenia, że cokolwiek wróci i że istnieje jeszcze jakaś przyszłość. W tej chwili powinny się zatrzymać wszystkie zegary świata.

Ich mała dziewczynka odeszła.

Rozdział 71.

Jego myśli mąciły nieustannie dwa ponure scenariusze. W pierwszym Margrethe została zamordowana. I albo jej ciało porzucono w jakimś przypadkowym miejscu, gdzie kiedyś ktoś się na nie natknie, albo starannie je ukryto. A w drugim scenariuszu Margrethe żyła i wołała o pomoc.

Ale on niczego nie słyszał... ani nie widział. Był najbardziej głuchym, ślepy i bezużytecznym przyjacielem, na jakiego mogła liczyć w swojej desperacji.

W małym pokoju hotelowym, który był bardziej skrzynką do spania niż prawdziwym pokojem, nie dało się zrobić zbyt wielu niespokojnych kroków. Rzucił się więc na łóżko i próbował podsumować efekty dzisiejszych spotkań. Lecz gdy tylko zdawało mu się, że ma początek układanki, zjawiała się Margrethe i rozrzucała klocki.

Pierwszy ciąg faktów dotyczył Lissy Bille-Damberg. Dziecka, które dwanaście lat temu padło ofiarą bodajże najkrótszego porwania w historii. Sprawcy zmienili plany pięć po dwunastej. Albo coś im te plany pokrzyżowało. On w każdym razie dostał od ojca to, na czym mu zależało: potwierdzenie.

Drugi ciąg faktów był krótki. Wicekomisarz Jesper Kvist nawet nie zaszczylił go rozmową i wyrzucił go sprzed swojego oblicza niczym władca absolutny starożytnego imperium. Mimo wszystko czegoś się dowiedział — mianowicie, że Mossman jednak nie zwrócił się do Kvista z pytaniem o dane z masztu nadawczego. Czyli Mossman skłamał. Co samo w sobie nie było szokującą konstatacją.

Trzecim i ostatnim wątkiem, któremu poświęcił ten długi dzień, był Troels Monrad. Grzebał w swoich notatkach, gdy Margrethe Franck wołała o pomoc z jakiegoś ukrytego zakamarka wszechświata.

W trwającej sześćdziesiąt osiem lat historii życia Troelsa Monrada na powierzchnię wyłaniały się cztery tematy, które

należało zgłębić.

Pierwszy: jego zamiłowanie do zakładów i loterii. Które być może należałoby nazwać uzależnieniem od hazardu. Z informacji uzyskanych przez policję wynikało, że Monrad w ostatnich latach regularnie wypłacał ze swojego konta spore sumy. Przed śmiercią Monrada jego rachunek bankowy wyglądał jak cień samego siebie. Większość pieniędzy trafiała na jego konta u dwóch zagranicznych bukmacherów, ale również dwa największe kasyna w mieście czerpały zyski z regularnych wizyt emerytowanego funkcjonariusza wywiadu.

Drugi: jego zainteresowanie motorami. W Danii, jeśli tylko dwie osoby interesowały się tym samym, to natychmiast zakładały klub albo stowarzyszenie. Monrad należał do lokalnego klubu triumpfa oraz organizacji o zasięgu krajowym, Triumph MC Owners Club Denmark. Niewykluczone, że w tych kręgach znajdzie się ktoś, kto znał skrytego Monrada.

Trzeci: jego zainteresowanie wędkarstwem. Dokładnie tak jak z motocyklem: ktoś z tego grona może mieć o Monradzie jakieś przydatne informacje.

Czwarty: historia o zmarłym synu, którą opowiedziała mu córka kilka godzin temu. Coś takiego potrafi zdeterminować resztę życia.

Najbardziej był skłonny przypuszczać, że idąc tropem Monrada, natrafi w końcu na wiedzę albo nawet motywy, które rzucą światło na to, w co się wpakował Troels Monrad i co być może miało związek z Harrildholmem.

Położył sobie na piersi stos papierów i uznał, że dość czekania. Wybrał numer Mossmana.

— Oxen. Byłeś następny na mojej liście — powiedział Mossman.

— Jak wygląda sytuacja?

— Nie lubię, kiedy w sprawie nie ma żadnego ruchu.

— Czyli nic nowego?

— Nic.

— Najmniejszego śladu?

— Nie.

— Więc co konkretnie robi policja?

— Błądzi w ciemności.

— A ty?

— Tak samo.

— Więc co teraz? Może już pora powiedzieć policji, w co się wpakowała Margrethe?

— W tej chwili rozważam wszystko. Daj mi się z tym przespać.

Mossman rzeczywiście wydawał się przygnębiony i zrezygnowany. Słyszał to w jego głosie. Żadnego „żołnierzu”, żadnych anglofilskich wtrąceń, żadnych teatralnych metafor czy wyważonych odpowiedzi. Zaledwie kilka sylab. Krótko i chłodno.

— Ale czas ucieka...

— Daruj sobie oczywistości, Oxen. A ty co masz?

Historię porwania i swoją wizytę w Slagelse pominął. Gorzko się przekonał, że gdy się grało w tę samą grę co Mossman, w którymś momencie może dojść do twardych negocjacji. Jeśli nie będzie miał z czym do nich przystąpić, to straci miejsce przy stole.

Wyczerpująco natomiast streścił to, co było celem jego wizyty w Aarhus: Troels Monrad i jego życie.

— Chętnie bym się zapoznał ze sprawą śmierci jego syna i powiązań z narkotykami. Masz kogoś w tutejszej policji, kto jest ci winien przysługę?

— A myślisz, że jest tam czego szukać?

— Ja już nic nie myślę. Jestem natomiast w stanie sobie wyobrazić, że ta osobista tragedia ukształtowała dalsze losy Monrada. Dlatego chcę o niej poczytać.

— Jak uważasz. Tak jak mówiłem, każdy jest mi coś winien. Zorientuję się, co mogę zrobić. Wstrzymaj się z wyjazdem z Aarhus, dopóki nie porozmawiamy.

— Okej. A Margrethe?

— Jak powiedziałem — daj mi się z tym przespać.

Pożegnał się i rozłączył. I chyba nigdy jeszcze olbrzym ze służby wywiadowczej nie wydał mu się tak bezsilny. Rano coś będzie *musiało* się wydarzyć.

Niespecjalnie znał się na motocyklach. Wiedział za to sporo o wędkarstwie, więc wybór był prosty. Szybko znalazł stronę Stowarzyszenia Wędkarzy w Aarhus i zaczął klikać w zakładki.

Luty siłą rzeczy nie był okresem szczególnej aktywności członków stowarzyszenia. Większość gatunków była w okresie ochronnym. Ale poza łowieniem można się było zająć wieloma innymi rzeczami. Na przykład wziąć udział w wieczorkach z wiązaniem much, na które zapraszano rozmaitych ekspertów w tej dziedzinie. Monrad sam wiązał muchy. Zanotował w głowie, że muchy mogły być przepustką.

Przez następną godzinę grzebał w witrynie stowarzyszenia i zaglądał we wszystkie zakamarki, od map łowisk aż po raporty połowowe. Leżał na łóżku i czytał sekcję, w której członkowie opisywali własne wyprawy wędkarskie, gdy wstrzymał oddech.

Przeczytał ostatni fragment raz jeszcze. I jeszcze. To mógł być przypadek, ale coś mu mówiło, że trafił na cenną wskazówkę. To trzeba będzie sprawdzić natychmiast. Usiadł na łóżku i zaczął szukać numeru telefonu tego człowieka. Nazywał się Hugo Bindsløv. Najwyraźniej jako jedyny w Aarhus.

Chwilę później usłyszał w telefonie męski głos. Przedstawił się jako policjant pracujący nad sprawą śmierci członka klubu wędkarskiego Troelsa Monrada.

— Znał go pan?

— Nie. Nie znałem.

— Sześćdziesiąt osiem lat, średniego wzrostu, siwa broda, półtęsy, w okularach. Mieszkał w Viby.

— Nic mi to nie mówi. A powinienem go znać?

— Należał do tego samego stowarzyszenia co pan, więc pomyślałem, że...

— Większość z nas nie zna się nawzajem.

— Miał motocykl, starego triumpha.

Na drugim końcu linii zapadła cisza.

— Hm, motocykl? A wie pan, że teraz, jak pan o tym wspomniał... po prostu nie pamiętałem, jak się nazywał. Ale rzeczywiście, widziałem go kilka razy na imprezach stowarzyszenia. I raz nawet z nim rozmawiałem. To było przy ostatniej okazji — na wieczorze wiązania much z gościem ze Szkocji. Tylko nie wiem za bardzo, jak mógłbym panu pomóc. Nie wiedziałem nawet, że umarł.

— Przeglądałem właśnie stronę stowarzyszenia. W październiku opisał pan wyprawę wędkarską do swojej rodzinnej chaty przy rzece Holtum, niedaleko starego młyna, Harrild Mølle, w którym dziś mieści się centrum edukacji przyrodniczej. Napisał pan: „Wieczorami raczyliśmy się świeżo wędzonymi pstrągami i whisky w starej, maleńkiej chatce, która stoi ukryta przed światem na skraju doliny rzeki. Odziedziczyliśmy ją po moim wuju. Co najmniej dwa razy w roku jeździmy nad Holtum i zawsze przy tej okazji ciepło o nim myślimy...”. Monrad został znaleziony w potoku niedaleko tego miejsca. Interesuje mnie ta chata.

— Ach tak... rozumiem. Chata po wuju... Ależ tak! Właśnie o niej rozmawialiśmy wtedy przy wiązaniu much. Monrad powiedział, że często tam łowi, w Jutlandii Środkowej. I pytał mnie o tę chatę.

— I powiedział mu pan, gdzie się znajduje?

— Tak.

— To teraz proszę mi powoli i dokładnie wytłumaczyć, jak do niej dotrzeć.

— Oczywiście. Jeśli ktoś nie wie, że ona tam jest, to nigdy jej nie znajdzie. Mogę panu wysłać fragment mapy z Google i zaznaczyć miejsce krzyżykiem. Bo widzi pan, jej nie widać z powietrza. I potem napiszę, jak znaleźć właściwą ścieżkę w terenie.

— Bardzo dziękuję, będę wdzięczny. Może pan to zrobić od razu?

Szybko włożył skarpetki i buty, pozbierał swój skromny dobytek z pokoju, schował z powrotem do plecaka raport ze śledztwa i zatrzasnął za sobą drzwi.

Młoda kobieta w recepcji popatrzyła na niego zaskoczona. To u niej się meldował kilka godzin temu.

— To była *naprawdę* krótka wizyta — skwitowała z uśmiechem.

— Coś mi wyskoczyło. Muszę jechać.

Kiedy chwilę później usiadł za kółkiem wynajętego samochodu, telefon cichym kłaśnięciem oznajmił, że ktoś przysłał zdjęcie.

Spojrzał na zegarek. Za godzinę może tam być — w chacie leżącej w prostej linii zaledwie kilka kilometrów od Harrildholmu.

Rozdział 72.

Szutrowa droga skręcała w prawo. Odbił w lewo, w polną drogę, która biegła wzdłuż żywopłotu i dalej, stopniowo zanikając i zmieniając się w ślady kół biegnące przez niewielką plantację iglaków.

Było mokro, brudno, ślady kół wypełniało spulchnione błoto. I coraz trudniej było mu się zorientować, dokąd jedzie, bo drogę oświetlały wyłącznie jego własne światła mijania. Samochód — kolejna fiesta — ślizgał się i co chwila wydawało się, że zaraz ugrzęźnie w błocie. Za każdym razem udawało mu się jednak odbić kierownicą i wyrównać trasę na tylko trochę twardszej ziemi na skraju i tym sposobem wciąż posuwał się do przodu.

Świerki i sosny rosły tuż przy śladach kół i w tym gąszczu niełatwo było rozpoznać wskazówki, które dostał w wiadomości. Ciemność wokół niego była nieprzenikniona.

Dopiero w ostatniej chwili zauważył nowe ślady kół w niewielkim prześwicie lasu. Ostrożnie skręcił w lewo i podążył nowym kursem. Te ślady, w przeciwieństwie do poprzednich, nie wyglądały, jakby przewożono tędy ciężkie drewniane bale. Były przysypane i prawie nieprzejezdne.

Zaczął już mieć wątpliwości, czy dobrze skręcił, kiedy hen, daleko jego światła trafiły na szyby w oknach, które odbiły światło w ciemności. Powoli wtoczył się na wykarczowaną polankę, na której stała niepozorna, pomalowana na czarno drewniana chata z dachem pokrytym smołą. Przy ścianie najbliższej niego stał motocykl. Światła jego samochodu oświetlały go wystarczająco, aby mógł stwierdzić ponad wszelką wątpliwość, że był to stary triumph.

Dotarł na miejsce, w którym były pracownik wywiadu Troels Monrad najprawdopodobniej urządził sobie tajne centrum dowodzenia.

Wyjął latarkę, którą kupił na stacji benzynowej i wysiadł z samochodu. W sytuacji takiej jak ta wszystko stanowiło część

rutyny wypracowanej przez nieskończoną liczbę powtórzeń. Dlatego nawet go nie kusilo, aby od razu wejść do środka. Było oczywiste, że najpierw należało sprawdzić otoczenie. Tam, gdzie zdobywał swoje zawodowe szlify, zaniechanie tego mogło kosztować życie.

Przesunął snop latarki po motocyklu. Wyglądał na zaniedbany. I gdyby to była najukochańsza zabawka Monrada, to raczej nie jeździłby nim przez cały rok. Bardziej na miejscu byłoby tu określenie: motocykl użytkowy.

Chatka była mała, jakieś pięć metrów na trzy. Obszedł ją dookoła, świecąc w górę i w dół. W dłuższej ścianie były dwa okna, zasłony w obu były zaciągnięte. Chwilę postął z tyłu po drugiej stronie chaty, zanim wszedł między pnie drzew i ruszył kawałek w głąb lasu. Po kilku metrach las gwałtownie się otwierał i na niebie ukazały się gwiazdy.

Poświecił latarką w dół. Stał dosłownie na skraju doliny rzeki. Jej krawędź była tak ostra, jakby ktoś wykopał ją łopata. Niżej zmieniała się w piaszczyste zbocze, a jeszcze niżej porastały ją wysokie trawy i pojedyncze krzaki.

Na samym dole płynęła wąska rzeka Holtum, połyskując słabo w bladym świetle księżyca.

Stał tak jeszcze chwilę, nasłuchując, czy z któregoś z krańców świata nie woła do niego Margrethe. Jedyne hałas pochodził z dwóch samochodów, które przejeżdżały akurat wiejską drogą po drugiej stronie rzeki. Cichy szum opon zimowych i mocne światła mijania przecinały mrok.

Teren był zabezpieczony.

Wrócił na polanę i wszedł do chaty. Poświecił wokół latarką, aż trafił na lampę naftową obok pudełka zapalek. Zapalił lampę i postawił ją na małym stoliku pod ścianą. Przy nim stały dwa krzesła. Pod drugą ścianą stało piętrowe łóżko z mocnych bali. Na dolnym leżał śpiwór. Obok mały blat kuchenny z umywalką, ale bez kranu, i z palnikiem gazowym podłączonym gumowym węzłem do stojącej poniżej butli.

Przy ścianie szczytowej stał stary piecyk, rura do odprowadzania spalin wychodziła bezpośrednio przez dach. Na podłodze leżały dwa worki z brykietem, które można było kupić

na każdej stacji benzynowej. Koczowanie w zaanektowanej chacie musiało być dla Monrada dość chłodną zabawą.

Sprawdził jeszcze dwie szuflady niewielkiej komody i podniósł oba materace. Nic nie znalazł. W chacie nie było ani śladu laptopa. Co nieuchronnie doprowadziło go do konkluzji, że ktoś odwiedził mieszkanie Monrada jeszcze przed policją. Ktoś posprzątał i odkurzył jego dom z informacji.

Na stoliku leżały luźne kartki A4, blok do notowania, mały podręczny notes i cztery ciasno zwinięte kulki papieru. Usiadł na jednym z krzeseł. Troels Monrad pracował nad jakimś tekstem. Zaczął czytać z kartki, która leżała na wierzchu. Była to wersja, którą autor zdecydował się przyjąć jako ostateczną:

„Droga Bodil Nyhuus! Niniejszym przesyłam pierwszy raport — jak obiecałem podczas naszego spotkania. Reprezentuję starą szkołę. Dlatego raport jest odręczny i zostanie doręczony osobiście. Wiem z doświadczenia, że poczta elektroniczna bardzo łatwo trafia w niepowołane ręce. Przez ostatnie dni obserwowałem pewne gospodarstwo w Jutlandii Środkowej. Nazywa się Harrildholm. Właścicielem jest były szef departamentu w Ministerstwie Sprawiedliwości, Poul Hansen, lat siedemdziesiąt sześć. To o nim opowiadałem Ci podczas naszego spotkania jako jednym z moich głównych podejrzanych należących do organizacji Lupus. Drugim jest jego brat, dawny komendant między innymi w Hillerød i Lyngby, Esben Hansen, lat siedemdziesiąt osiem. Poniżej znajdziesz w punktach zapis moich obserwacji, doba po dobie”.

Brat? Komendantem?

Już z tych kilku linijek wynikało, jak nieudolni i nieuważni byli w swoim zbieraniu informacji o właścicielu Harrildholmu. O bracie w ogóle nie wiedzieli. Może przez to, że Hansen to jedno z najbardziej popularnych nazwisk w kraju, a może dlatego, że mieli — a raczej Margrethe miała, bo to ona sprawdzała Poula Hansena — myśli zajęte czymś innym. Również Mossman jakoś nie trafił na postać nieco starszego brata.

Czytał dalej:

„Doba pierwsza: Wygląda na to, że Poul Hansen od dłuższego czasu nie opuszcza domu. Według relacji sąsiadów często

wyjeżdża. Ma mieszkanie przy Rymsgade, które zamierzam sprawdzić jak najszybciej, dopóki on sam przebywa tutaj. Żadnych gości w ciągu dnia. Poul Hansen przeszedł się po zabudowaniach — tam i z powrotem, dwukrotnie w ciągu dnia. Wieczór spędził przy biurku. Obserwację zakończono o dwudziestej drugiej”.

Monrad napisał jeszcze „Doba druga”, ale nic więcej. Otworzył blok. Znalazł w nim kilka odnotowanych godzin i punkty, które Monrad chciał najwyraźniej sprawdzić dokładniej: krąg przyjaciół, rodzina, koledzy, finanse, majątek. Potem zaczął rozwijać zmięty papier. Poczł dreszcz emocji, kiedy przeczytał:

„Doba druga: Poula Hansena nie było od późnego ranka. Skorzystałem z okazji i dostałem się do domu. Wśród papierów znalazłem list z tutejszego szpitala rejonowego. Poul Hansen dostał wezwanie na badania. (Sprawdzić: może choruje?) Później zaobserwowałem wizytę zupełnie niespodziewanego gościa — mojego dawnego szefa z Policyjnej Służby Wywiadowczej i byłego szefa całego PET Axela Mossmana. Zapukał do drzwi, a gdy nikt mu nie otworzył, pokręcił się trochę po obejściu i po kwadransie odjechał. To, że go tu zobaczyłem, budzi we mnie głęboki niepokój — ale i daje sporo do myślenia”.

Cały tekst był przekreślony i najwyraźniej miał być zniszczony, skoro kartka była zmięta, i to tak ciasno. Następna kulka papieru zawierała kilka arcyciekawych linijek czegoś w rodzaju notatek Monrada do siebie samego.

„Pamiętaj — zawrzyj pisemną umowę o amnestii!!! Szkic: do wiadomości, data, miejsce itp. Treść: »Ja, szefowa Niezależnego Organu Odwoławczego od Działań Policji, Bodil Nyhuus, niniejszym udzielam Troelsowi Monradowi, dawnemu pracownikowi PET, amnestii w przedmiotowej sprawie oraz gwarancji, że nigdy i w żadnych okolicznościach nie może on zostać pociągnięty do odpowiedzialności karnej«. Przypomnienie: sprawdź sformułowanie. Nie może istnieć jakakolwiek luka prawna pozwalająca mnie ukarać”.

Trzecia kulka papieru kryła rozważania na temat honorarium. „Płatność za każdy raport? Czy za cały pakiet? Pomyśl! Kwota:

dwa miliony koron”.

Kwota była przekreślona i zastąpiona trzema milionami. „Pamiętaj — płatność gotówką. Cena za niska/wysoka?”

Czwarta, ostatnia kulka zmieniała wewnętrzny monolog Monrada w bardziej dostępną wiedzę: „Axel Mossman! Sprawdzić dokładnie. Sprawdzić powiązania z komendantem policji i szefem departamentu, wspólne działania? Albo: poczekaj na wyniki. Wyklucz Mossmana z raportów do czasu uzyskania ostatecznej pewności co do uczestnictwa w Lupusie. Potwierdzenie znacznie podniesie wartość raportu. Pomyśl o nowej cenie!”.

Siedział i patrzył w jeden punkt na ścianie, którego w zasadzie nie widział. Axel Mossman? Czy chodziło o tę jedną wizytę, o której mu powiedział — czy też był w Harrildholmie wielokrotnie?

I trop Lupusa, na który, jak się okazuje, wpadł doświadczony pracownik PET Troels Monrad... Czy to możliwe, by prowadził do samego Mossmana, tak jak przypuszczał Monrad? Czy też Monrad kompletnie mijał się z prawdą?

W tej chwili nie ma szans tego rozstrzygnąć. Wiedział jednak, że kiedy ktoś zabłądzi, to często kręci się w kółko. Czyli kończy w punkcie wyjścia.

Jego własnym punktem wyjścia natomiast był Axel Mossman, który go poprosił, aby „zajrzał” do Harrildholmu i popytał o starego właściciela, jakby to była najbardziej niewinna prośba na świecie.

Czy to oznaczało, że zatoczył wielki łuk, który kończył się właśnie tutaj? I u którego Mossmana się kończył — u księcia ciemności? Czy anioła światła?

Zgasił lampę, ale nie włączył latarki. Wolał poczekać, aż oczy przyzwyczają się do mroku. Za chwilę będzie musiał przejechać zabłoconymi koleinami tych kilka kilometrów do swojej dawnej kwatery w Harrildholmie. Tam spróbuje się przespać.

Wiele rzeczy wciąż pozostawało niejasnych, ale trzy fakty właśnie wyłoniły się z ciemności:

Po pierwsze, Troels Monrad próbował zidentyfikować Lupusa — dokładnie tak jak Mossman, twierdził, że próbuje. Motywem

Monrada były pieniądze, choć on sam nie był pewien, jakiego rzędu kwota wchodziła w grę.

Po drugie, wspólnikiem Troelsa Monrada — a w każdym razie osobą, z którą zawarł wstępną umowę — była sama dyrektor Organu Odwoławczego od Działań Policji. Kobieta o nazwisku Bodil Nyhuus.

Jednostka została utworzona już po tym, jak zakończył własną krótką karierę policyjnego rekruta. Wiedział tylko, że miała na celu wyjaśnianie spraw wewnętrznych. Więc mówiąc w skrócie, byli to policjanci, którzy prowadzili postępowania w sprawach z udziałem innych policjantów. Podobne jednostki istniały w wielu krajach, a ich działalność ogólnie nazywano *postępowaniem wewnętrznym*. Ta konstatacja zaprowadziła go bezpośrednio do ostatniej konkluzji.

Po trzecie, Troels Monrad mówił o amnestii. Zatem w którymś momencie swojej aktywnej działalności w policji lub PET Monrad musiał zrobić coś niezgodnego z prawem, co wpędziło go w takie kłopoty, że był zmuszony uzyskać obietnicę ulgowego potraktowania. Z pomiętych kartek Monrada trudno było wywnioskować, czy posiadał już ustne zobowiązanie dyrektor w tej sprawie, czy dopiero zamierzał go zażądać.

Rozdział 73.

Raj utracony. Taka go nasza refleksja, kiedy przystanął na chodniku przed pancernym wejściem głównym do ogrodzonej siatką głównej kwatery Policijnej Służby Wywiadowczej, gdzie wśród korzeni drzewa wiedzy wiły się węże.

Oświetlone były tylko nieliczne okna dużego kompleksu budynków z żółtej cegły, w którym przesiedział tyle lat, próbując bezpiecznie przeprowadzić Danię przez burzliwe i mroczne czasy, jakie nastąpiły po jedenastym września 2001 roku.

Spędził w tych murach niezliczoną liczbę godzin. Nigdy nie rozdzielał czasu pracy od czasu wolnego. Nigdy nie pomyślał o tym, że trzydzieści siedem godzin, będące normą w pozostałych obszarach rynku pracy, jemu kończyły się już na początku tygodnia.

W tych murach znajdowało się dzieło jego życia. A teraz on stał na zewnątrz. I nie mógł już wjechać na parking ani wejść do budynku tylnym wejściem, które dla niego było tym najbardziej oczywistym.

Spojrzał na zegarek. Było za dwadzieścia pięć pierwsza. Samochód zostawił przy jednym z prywatnych domów po drugiej stronie Klausdalsbrovej.

Wcisnął guzik domofonu, przedstawił się i został wpuszczony przez wysoką bramkę obrotową ze stalowymi prętami do służby z siatkowego ogrodzenia.

Czuł się jak niemile widziany były patriarcha, który nie chce się pogodzić z utratą pozycji. Przeszedł tych kilka metrów wykafelkowanego chodnika i na moment przystanął, zanim drzwi się rozsunęły i wpuściły go do przypominającego silos holu. I tam przynajmniej na moment poczuł, jakby pojednał się z rodziną.

Dyskomfort, który odczuwał, zawdzięczał żonie. Gdy wczoraj, chwilę po tym, jak się położyli, opowiedział jej o tym spotkaniu,

stwierdziła: „Czy nie pora już, abyś odpuścił i dał porządzić innym?” i pokręciła głową z dezaprobatą.

— Dobry wieczór, panie Mossman.

— Dobry wieczór — uklonił się i uśmiechnął. Nie znał mężczyzny, który wpuścił go do sanktuarium o tak niedorzecznej porze, ale fakt, że ten człowiek znał jego nazwisko, rozpałił na moment ogień, który żarzył się w jego sercu.

— Proszę za mną — zaproponował mężczyzna.

Już miał powiedzieć, że doskonale zna drogę, ale dał sobie spokój. Skoro przyszedł bez zaproszenia i tak bardzo poza godzinami urzędowania, to powinien przynajmniej przestrzegać procedur.

Kilka minut później zatrzymali się pod jednym z pokoi na samej górze. Mężczyzna zniknął za drzwiami, a po chwili wrócił i zaprosił go do środka słowami:

— Salomonsen pana oczekuje.

Obecny szef PET siedział za biurkiem z nosem w jakichś papierach. Na jego widok poderwał się gwałtownie.

— Mossman. Dobry wieczór — skinął głową i wyciągnął rękę zza biurka.

— Salomonsen... — Mossman też się uklonił, uściśnął wyciągniętą dłoń i dodał: — Raczej dobranoc. Dziękuję, że zgodziłeś się ze mną spotkać o tak... nietypowej porze.

— Oczywiście, siadaj.

Liczący sobie czterdzieści kilka wiosen Karsten Salomonsen mógłby wyglądać, jakby przed chwilą wyskoczył z łóżka i nikt nie miałby mu tego za złe. Ale nie. Szef PET prezentował się nienagannie w białej koszuli i granatowym garniturze, a jego przyjazne oczy krótkowidza bacznie przyglądały się gościowi zza grubych szkieł w okrągłych oprawkach.

— Pora być może nie jest najdogodniejsza, ale z drugiej strony... Tacy jak my nigdy nie śpią, prawda? Napijesz się whisky? — Karsten puścił oko.

— Dzięki, chętnie.

To spotkanie było w istocie nocną nasiadówką dwóch starych wiarusów. I niech go szlag, jeśli tego nie uwielbiał.

Dopiero gdy nalał bursztynowy płyn do dwóch szklanek i wręczył mu jedną, Salomonsen spytał:

— Zatem... co mogę dla ciebie zrobić?

Oparł sobie szklanke na udzie i odczekał z odpowiedzią dokładnie tyle, ile było potrzeba, by pokazać, że to, co zamierza powiedzieć, zostało w najwyższym stopniu przemyślane i jest warte czekania.

— *Well*, Salomonsen, przyszedłem dobić z tobą targu...

Rozdział 74.

Przeszedł przez zabłocone podwórko Harrildholmu i wszedł do domu tylnymi drzwiami, które przed wyjazdem zamknął, jakby był u siebie, a klucz włożył pod kamień przy podmurówce.

W korytarzu wciąż panował ten sam zaduch. Wszedł do kuchni i zrobił obchód po pokojach. Nie dostrzegł żadnych oznak, aby ktoś był tu od jego wyjazdu.

Usiadł przy kuchennym stole. Było grubo po północy. O wiele za późno, aby dzwonić do Gry Monrad i pytać ją, czy jej ojciec kiedykolwiek występował w charakterze podejrzanego lub oskarżonego albo czy prowadzono przeciw niemu jakiegokolwiek postępowanie. Albo czy zdarzyło mu się kiedyś powiedzieć coś, co mogłoby wskazywać na wyrzuty sumienia — coś, co wydało jej się zastanawiające.

Stale wchodził i wychodził z małych światów rozmaitych ludzi i choć do pełnego obrazu sytuacji wciąż wiele mu brakowało, to czegoś się z tych wizyt dowiadywał. Człowiek, przy którego stole siedział w tej chwili, zniknął bez śladu już jakiś czas temu.

W chacie ukrytej wśród gęstych świerków siedział przy innym stole i poznawał tajemnice sześćdziesięcioośmioletniego dawnego oficera wywiadu, który przy lampie naftowej przelewał na papier swoje rozważania nad liczbą zer, zastanawiając się, ile powinien ich dodać do swojej nagrody. I który zamiast milionów otrzymał śmiertelny cios w głowę.

Czy to dlatego, że Monrad za bardzo zbliżył się do odkrycia prawdy? Czy wkraczając na teren Harrildholmu, nieświadomie wszedł w strefę zagrożenia?

Odchylił się na ławie i potarł twarz dłońmi. Gdyby tylko mógł się przespać, choć kilka godzin. Jego głowa rozpaczliwie potrzebowała odpoczynku.

Chwilę później położył się na podłodze obok sterty papierów i przedmiotów należących do prawowitego właściciela tego domu. Czyli Poul Hansen miał brata, który dawniej był

komendantem. To istotna informacja w kontekście tropu Lupusa. Zwłaszcza że Mossman po raz pierwszy zetknął się z Lupusem pewnego letniego wieczoru, gdy lekko wstawieni komendanci powiedzieli o kilka słów za wiele podczas gorącej dyskusji w kuchni jednego z nich.

Mogło istnieć jeszcze wiele tego typu faktów, o których nie miał pojęcia. Dobry Boże, przecież jeszcze kilka dni temu bez reszty pochłaniało go tropienie w ciemności prawdziwych, żyjących dziko wilków.

Margrethe Franck miała pełne prawo zarzucać mu opieszałość.

Wyjął telefon i otworzył galerię, w której poza zdjęciami Magnusa znajdowało się tylko jedno zdjęcie — selfie zrobione przez Margrethe razem z nim na plaży w Svanemølle. Siedzieli, jedząc lody, zaraz po jego spotkaniu w urzędzie gminy, na którym zdecydował się zamieszkać w Vangede.

Przyjrzał się bliżej ich zdjęciu. Franck obejmowała go ramieniem. Uśmiechała się, a na górnej wardze miała odrobinę lodów. W jej oczach były blask, życie i apetyt na więcej. Teraz być może już nie żyła. Tak jak Monrad. Może za bardzo zbliżyła się do czegoś, o czym sama nie wiedziała, czym było. Kiedy on jak ten głupek leżał w trawie i gapił się w ciemność.

To, że zniknęła, było jego winą. Nie dość dobrze jej pilnował. Dał się rozproszyć. Tak jak wtedy na Bałkanach, gdy nie zdołał uratować Bossego. W zasadzie mogliby mu dać drugie tyle medali za to, co zawałił.

Bo tak właśnie było. Zawiódł Margrethe. Zawiódł Magnusa. Zawiódł samego siebie. Był porażką i zasłużył, aby do końca życia nie móc zmrużyć oka. I tylko wlewać w siebie czarną kawę aż po samo gardło. Coś przywołało go do rzeczywistości. Głośny, ostry dźwięk. Czy nie? Bo teraz go nie słyszał. Więc może mu się przyśnił?

Potoczył się po podłodze, sięgnął po pistolet i odciągnął kurek. Podświetlił zegarek. Była trzecia jedenaście. Wtedy znów to usłyszał. Ostre uderzenie. Kamień albo metal o szkło. Wielokrotne pukanie. Ależ tak... ktoś z uporem pukał w okno kuchenne.

Zakradał się do drzwi, trzymając pistolet oburącz. Dostrzegł bladą twarz otoczoną włosami i brodą. Wyglądała jak... Albo raczej to *był* Tobias. Samotnik z jaru w środku lasu. Stał na zewnątrz z nosem przyciśniętym do szyby. Wyszedł więc na środek podłogi i pomachał mu, aby wszedł do środka tylnymi drzwiami. Szybko schował broń pod poduszkę.

— Niels! W końcu cię zastałem! — Gdy otworzył drzwi, Tobias stał na progu zziębnięty i wyraźnie zaaferowany.

— Cześć, Tobias. Jest środek nocy. Wyszedłeś się przejść?

— Zachodziłem tu wiele razy, ale cię nie było. Niels! Muszę ci coś powiedzieć. Coś ważnego. Ten człowiek, do którego należy ten dom... widziałem go dwa dni temu.

— Poula Hansena?

— Właśnie, jego, tak... — Tobias przytaknął żarliwie.

— Gdzie?

— Drugi dom na górze przy tej dużej szutrowej drodze. Dom pobielony z czerwoną dachówką. Na skrzynce jest napisane „Hyldtoft”.

— Hyldtoft. I mówisz, że Poul Hansen tam był?

— Tak, tak, Niels. Był tam. Widziałem go raz nocą. Roleta w salonie była zaciągnięta, ale nie do końca. Widziałem go całkiem wyraźnie.

— Podeszedłeś i zajrzałeś przez okno?

Tobias bez mrugnięcia pokiwał głową.

— I w środku zobaczyłeś jego? Jesteś absolutnie pewien?

— Tak, tak!

— A on ciebie nie widział?

— Nie, nie.

— Mówiłeś o tym komuś?

— Nie, Niels. Komu miałbym mówić? Ale wiedziałem, że dla ciebie to jest bardzo ważna wiadomość. Bo przecież go szukasz. A ja chcę ci pomóc. Dlatego tu zachodziłem, żeby sprawdzić, czy wróciłeś. Tak strasznie liczyłem, że niedługo przyjedziesz.

Rozdział 75.

Najbardziej uderzyło ją to, że wszystko odbywało się w sposób tak cywilizowany, profesjonalny i w niemal zupełnym milczeniu. Jej porywacze burzyli stereotypowe wyobrażenia o chamskich troglodytach porywających ludzi dla pieniędzy.

— Wstań, proszę.

Tuż po tym poleceniu poczuła parę silnych ramion, które od tyłu pomogły jej stanąć na nogi. Nieco chwiejnie. Prawa noga była zdrętwiała, bo od porwania cały czas leżała albo siedziała. Z tym że siedzieć pozwolili jej dopiero jakieś dwie doby temu. Z rękoma przywiązanymi do rury i plecami opartymi o ścianę.

Przez cały czas miała zawiązane oczy i już dawno straciła poczucie czasu. Nie wiedziała, od jak dawna ją przetrzymują, ale obstawiała, że jakieś trzy, cztery doby.

Stojący za jej plecami mężczyzna pozwolił jej postać jeszcze chwilę i potupać w miejscu, aby przywrócić krążenie. Potem położył jej dłoń na ramieniu i delikatnie pchnął ją w przód.

— Idziemy. Powoli. Poprowadzę cię.

Głos był ściszony i zupełnie pozbawiony cech charakterystycznych. W powietrzu unosił się słaby zapach wody po goleniu.

Skręcili w lewo, a potem w prawo.

— Schody w górę — powiedział głos.

Policzyła stopnie — dwanaście. Po chwili przeszli przez kolejne drzwi i poczuła wiatr na twarzy.

— Mój zegarek... oddaj mi zegarek — wycedziła przez zęby.

— Milcz.

— Chcę mój cholerny zegarek! Ten sukinsyn, który go ukradł, zapłaci za niego krwią.

Dłoń na jej plecach pchnęła ją być może nieco bardziej stanowczo, ale wyglądało na to, że poza tym mężczyzna nie zamierza dać się sprowokować. Słyszała pod butami chrzęszczenie żwiru. Potem dźwięk ciężkich przesuwanych

drzwi. Chwilę później kazano jej wejść na stopień. Czyjaś dłoń umieściła jej lewą stopę na krawędzi, a mężczyzna z tyłu pomógł jej utrzymać równowagę i wepchnął ją na górę. Znalazła się na pace samochodu dostawczego.

— Siadaj.

Posłusznie usiadła na podłodze przyczepy i oparła się plecami o ścianę. Siedziała na poduszce. Słyszała, że jeden ze strażników również usiadł, zanim drzwi ponownie się zamknęły. Chwilę potem uruchomiono silnik i samochód ruszył.

Więc ją przenoszą. Zgodnie z najlepszą praktyką branży kidnaperskiej przenoszą ofiarę, aby zmniejszyć ryzyko namierzenia. Czy to właśnie się dzieje?

Bo gdyby chcieli ją zabić, zrobiliby to już dawno.

Przeszkadzała jej opaska na oczach. O ile brak nogi był bez znaczenia, o tyle utrata wzroku sprawiała, że naprawdę czuła się kaleką. Nie potrafiła wybadać sytuacji. Wyczuć swoich strażników. Zastanowić się, czy stawiać opór, czy raczej planować ucieczkę.

Nie była w stanie zrobić nic.

Rozdział 76.

Krzaki jeżyn szarpały go i kaleczyły. Czuł, jak ciernie przebijają tkaninę spodni i wbijają się w uda, ale nie mógł sobie pozwolić na zwolnienie tempa. Musiał jak najprędzej znaleźć się z tyłu małego wiejskiego domu na skraju lasu.

Miał trzy minuty. Zsynchronizował zegarek z zegarkiem Tobiasa, który spóźniał się o ponad półtorej godziny. Na ostatnim odcinku skradał się ostrożnie w stronę dwóch małych szop stojących za domem, przy samym lesie. W jednej była drewnutnia, a drugą po dach wypełniały narzędzia ogrodnicze.

Pomiędzy nimi a tylną ścianą domu był tylko trawnik. Przestudiował każdy szczegół terenu. Było tak, jak się spodziewał. Widział tylne drzwi niewielkiej przybudówki, w której mieściła się pewnie część gospodarcza. To tędy powinien dostać się do środka, jeśli chce zaskoczyć znajdujących się tam ludzi. Dwa okna po lewej stronie drzwi, pięć okien po prawej. Wszystkie ze szprosami. Powyżej poddasze. Strych należało zabezpieczyć w pierwszej kolejności. Potem parter. A na końcu ewentualną piwnicę.

To były jego trzy priorytety.

Spojrzał na szybko zmieniające się cyfry sekundnika. Tobias, który obiecał mu pomoc, powinien mieć już za sobą ostatni fragment szutrowej drogi, stanąć zaraz przed frontowymi drzwiami i zapukać. Zapyta o drogę do najbliższej asfaltowej szosy i o to, jak dostać się nią do jakiegoś miejsca, z którego odchodzą autobusy do Ikast, i dalej — jak można stamtąd dotrzeć do Silkeborga.

Tobias się denerwował, mimo że omówili wszystko wiele razy przy porannej kawie i kilku kromkach starego chleba, od którego odkroił pleśń. Wciąż jednak nie mógł mieć pewności, czy Tobias zdoła podtrzymać rozmowę dłużej niż pięć minut.

Mossman dzwonił jeszcze przed ósmą. Wciąż nic nowego o Margrethe. Żadnego sygnału od porywaczy, żadnych żądań pod

adresem PET. Mossman z nietypowym dla siebie pesymizmem w głosie przełknął gorzką pigułkę i przekazał ekipie z Søborga, że Margrethe była w trakcie rozpracowywania swojej starej sprawy z Sydhavnen.

Mossman chciał wiedzieć, czy miał coś jeszcze do zrobienia w Aarhus i dokąd zamierza ruszyć dalej. Zadbął również, aby sprawa zmarłego z powodu przedawkowania narkotyków syna Monrada czekała na niego w dyżurce komendy Policji Okręgu Jutlandii Wschodniej z adnotacją: „Dla N. Oxena”.

Całe szczęście, że nie da się pobrać na komórkę wykrywacza kłamstw. Popełnił bowiem drobne cofnięcie się w czasoprzestrzeni i na pytanie Mossmana odpowiedział, że zastanawia się nad powrotem do Harrildholmu. Potem zadzwonił do jedynej osoby w Aarhus, którą znał i której ufał, siostrzeńca Mossmana Christiana Sonnego. Ten obiecał odebrać z komendy materiały sprawy Kristoffera Monrada i je przejrzeć.

Już niewiele zostało. Znów w skupieniu śledził zmieniające się cyfry na swoim zegarku. Minutę po pełnej przebiegł po skosie przez trawnik i docisnął się plecami do ściany domu.

Musiał przyjąć, że w domu znajduje się troje starszych ludzi — dwaj mężczyźni i kobieta. I że z racji wieku nie stanowią fizycznego zagrożenia. Mogli się tam jednak znajdować także inni, znacznie groźniejsi przeciwnicy. Oraz broń. A wiek osoby, która trzyma pistolet, jest bez znaczenia.

Sam wyjął swój z kieszeni kurtki i ostrożnie chwycił za kolbę. Drzwi nie były zamknięte na klucz. Otworzył je, wsunął się do środka i od razu stanął przed kolejnymi drzwiami. Te były uchylone. Starsza kobieta, pani Hyldtoft, stała odwrócona plecami i robiła coś przy kuchennym stole. Ponownie schował broń do kieszeni i zamiast niego wyjął nóż. Zakradł się do niej, złapał ją od tyłu i zasłonił dłonią usta.

— Bądź cicho, a nic ci nie zrobię — wyszeptał jej wprost do ucha, nóż trzymał na wysokości jej oczu. — Otwórz usta — dodał.

Zrobiła, co kazał, i wtedy wepchnął jej do ust jeden z gałganków, które miał w kieszeni. Skrawek starej koszuli, którą znalazł w obejściu i potargał na trzy części. Knebel był na tyle

duży, że niełatwo jej będzie go wypluć. Potem związał jej ręce na plecach plastikowymi paskami zaciskowymi i to samo zrobił z kostkami.

— Teraz się połóż. — Podparłszy ją ramieniem, pomógł staruszce położyć się na podłodze.

Potem kucnął, nasłuchując. Słyszał głosy Tobiasa i Ivara Hyldtofta. Ten ostatni próbował tłumaczyć, gdzie znajduje się wiata, spod której odchodzą autobusy do Ikast. Przy drzwiach do kuchni zobaczył wąskie schody prowadzące na górę.

Ostrożnie zakradł się na poddasze. Jeden ze stopni skrzypnął, ale liczył, że dźwięk nie dotarł aż do holu. Trzymając pistolet oburącz, szybko przeszukał pierwszy pokój, do którego drzwi były otwarte. W środku stały szafa, komoda i łóżko, które było posłane. Może dla tajemniczego lokatora starszego małżeństwa?

Dalej był fragment otwartej przestrzeni strychu, a pod przeciwległym szczytem jeszcze jeden pokój. Nacisnął klamkę i otworzył drzwi. W środku wałały się tylko stare kartony i rupiecie.

Ponownie zszedł na dół i sprawdził salon, sypialnię i dodatkowy pokój, używany najwyraźniej jako coś w rodzaju biura. Ani śladu Poula Hansena. Czyżby ptaszek wyfrunął?

Czas powoli się kończył. Bezszelestnie zakradł się przez wykładzinę do przedpokoju, złapał Ivara Hyldtofta za usta, zakneblował go i unieruchomił plastikowymi paskami tak jak jego żonę. Na koniec położył go ostrożnie na chodniku w przedpokoju i poinformował, że jeśli będzie leżał cicho i spokojnie, to nic mu się nie stanie.

— Tobias, możesz go przypilnować?

Jego partner w występku pokiwał głową. Miał szeroko otwarte oczy i widoczną w nich determinację.

Pozostała tylko jedna, ostatnia możliwość: piwnica albo inna część obejścia, w której Poul Hansen mógł się ukryć, kiedy tylko usłyszał dzwonek do drzwi.

Możliwości było niewiele. Zgodnie z logiką zaczął od tylnego wejścia i pomieszczenia gospodarczego. Ale nie znalazł tam żadnej kłapy — ani widocznej, ani ukrytej. Potem kuchnia, w której na małym kolorowym dywaniku leżała pani Hyldtoft.

Czubkiem buta odsunął na bok jego róg. I znalazł je — wejście do piwnicy.

Delikatnie odsunął staruszkę razem z dywanem. Kłapa była kwadratem o boku liczącym góra sześćdziesiąt centymetrów. Najprawdopodobniej prowadziła do małej, staroświeckiej spizarki. Na wsi u jego wujka, gdzie jako dzieciak spędzał wszystkie letnie wakacje, też była taka piwnica ze spizarką. Tyle że tam wejście znajdowało się w pomieszczeniu gospodarczym. Chwycił metalowy ring spoczywający w zagłębieniu kłapy i ostrożnie ją podniósł.

— Halo, ty tam, wyjdź! Powoli. I z rękoma wyciągniętymi do góry, żebym je widział!

Kucał przy kłapie i czekał. Nie zamierzał zaglądać do środka — i dać sobie odstrzelić głowę strzelbą myśliwską.

Chwilę później powtórzył:

— Poul Hansen, daj spokój i wyjdź. Nazywam się Niels Oxen. Szukałem cię. Nie zrobię ci nic złego. Chcę tylko porozmawiać.

Z dołu nie dochodził najmniejszy głos. Był to problem, z jakim zetknął się wielokrotnie: małe, podziemne pomieszczenia służące za kryjówkę albo przejście do rozbudowanych podziemnych kompleksów tuneli i pokoi. Zasada postępowania zawsze była taka sama: nigdy nie schodzić na dół.

Granat hukowy w zupełności by wystarczył do oczyszczenia tak niewielkiego pomieszczenia. Nie był groźny dla życia, za to pozwalał obezwładnić wroga poprzez dezorientację oraz silny wstrząs wywołany błyskiem i hukem o mocy ponad stu siedemdziesięciu decybeli. Tu jednak nie miał granatu. Miał tylko pistolet, nóż i cierpliwość, dość mocno już nadwerężoną.

— Dobra. Jeśli nie wyjdiesz, będę musiał strzelać w dół na oślep. I wtedy niemal na pewno oberwiesz. Więc daj już spokój i wyjdź. Chcę tylko z tobą porozmawiać, nic więcej. Wyciągnij rękę, żebym je widział. I wyjdź.

Po kilku chwilach z dołu dobiegło go szuranie. A po nim słowa:

— Wychodzę.

Zobaczył dwie płaskie dłonie uniesione nad głową, której nie dostrzegł w mroku nawet wtedy, gdy odrobinę się pochylił, aby ostrożnie zajrzeć do środka.

— Najpierw zapal światło, jeśli jest tam kontakt.

Po chwili zapaliło się światło. I wolno, krok za krokiem, starszy człowiek wszedł po schodkach na górę. Potem usiadł na podłodze i rozglądał się wokół nerwowym, rozbieganym wzrokiem.

— Załóż, proszę, dłonie za plecami. — Plastikowym paskiem związał mu nadgarstki. — Jest tam ktoś jeszcze?

— Nie.

Ostrożnie zszedł do połowy schodów, trzymając broń w wyprostowanych rękach, i upewnił się, że mężczyzna mówił prawdę. Potem przeciął pasek krępujący kostki pani Hyldtoft. Ostrożnie pomógł jej wstać i zaprowadził oboje do salonu, gdzie posadził ich na kanapie. Na koniec przyprowadził pana Hyldtofta z przedpokoju i usadził go w fotelu.

Miał ich wszystkich. Troje ludzi, z wyglądu dobijających osiemdziesiątki, z rękoma związanymi na plecach. Spojrzał wprost na mężczyznę z piwnicy.

— Poul Hansen to *ty*?

Mężczyzna przytaknął. Jego cienkie siwe włosy były w nieładzie, a z oczu, które patrzyły na niego zza brązowych plastikowych oprawek, wзираł strach.

— Tak. To ja.

— Masz jakiś dokument?

— W portfelu. W tylnej kieszeni. — I nie czekając na polecenie, wstał, żeby łatwiej było wyjąć portfel. Zgodnie ze zdjęciem w prawie jazdy mężczyzna mówił prawdę.

Były szef departamentu w Ministerstwie Sprawiedliwości nie wyglądał, jakby kiedykolwiek sprawował wysoki urząd w ważnej instytucji. Miał na sobie ciemne sztruksowe spodnie, wymiętą jasnoniebieską koszulę i dzierganą szarą kamizelkę, pozaciąganą w wielu miejscach. Odłożył na stół portfel Poula Hansena.

— W porządku. Możesz usiąść. Szukam cię od dłuższego czasu. A raczej... szuka cię wielu ludzi. Tobias, możesz ich przypilnować przez minutę albo dwie?

Tobias pokiwał głową i ze skrzyżowanymi na piersi rękoma zasiadł na końcu stołu o blacie z pomarańczowych płytek

ceramicznych. On sam wrócił do kuchni i zszedł do oświetlonej piwnicy.

Pomieszczenie było bardzo małe, a wszystkie ściany były zastawione szafkami i półkami. Głównie pustymi, ale gdzieś tam stały pojedyncze konserwy oraz cała kolekcja słoików różnych kształtów i rozmiarów, w większości z zawartością, i kilka butelek soku.

Na środku podłogi stało pudło. W nim mały monitor, który rozpoznał od razu, oraz kilka kamer splątanych gąszczem kabli. Na dnie leżało czarne pudełko — twardy dysk.

Poczuł ulgę. Okazało się — raz jeszcze — że był przesadnie podejrzliwy. To *nie* Mossman zainstalował monitoring w Harrildholmie. Zrobił to sam właściciel, dawny szef departamentu, który siedział teraz na górze w salonie.

Wziął ze sobą pudło. Niezwykle interesujące będzie obejrzeć, co też nagrało się na twardym dysku.

Rozdział 77.

Opalona starsza kobieta, wyglądająca na jakieś osiemdziesiąt lat, rozłożyła ręce.

— Proszę tędy, panie Mossman.

Żwawym krokiem poprowadziła go przez kolejne pokoje imponującego dworku w stylu klasycystycznym, aż weszli do dużego salonu wychodzącego na ogród. Otworzyła drzwi dużej przeszklonej ściany.

— Jest w szklarni. Zawsze tam przesiaduje, kiedy jest słońce — powiedziała i skinęła w stronę rogu dużego ogrodu.

Podziękował i przeciął po skosie duży trawnik, na którym nocny przymrozek zostawił twardą powłokę. Teraz też było poniżej zera. Słońce stało nisko i raziło w oczy.

Szklarnia lśniła niczym ogromny pryzmat pośród zadbanego ogrodu, chyba największego w Gammel Holte. Blask odbitych w szkłe promieni oślepiał go kompletnie i musiał przystawić sobie dłoń do czoła, aby w ogóle cokolwiek widzieć. Dopiero wtedy na środku szklarni zobaczył fotel ogrodowy i mężczyznę, który w nim siedział, trzymając nogi na pufie.

To był Esben Hansen, lat siedemdziesiąt osiem, dawny komendant między innymi w Lyngby i Hillerød. Postać wpływowa i poważana, bo w jego czasach ktoś o takiej pozycji w hierarchii policyjnej w oczach lokalnej społeczności był kimś na miarę cesarza. Esben Hansen był również bratem Poula Hansena, byłego szefa departamentu w Ministerstwie Sprawiedliwości i właściciela podupadającego majątku, Harrildholmu.

Zapukał ostrożnie w szklane drzwi, bojąc się, że je roztrzaska swoją wielką dłonią. Celowo przychodził niezapowiedziany.

Stary komendant, który siedział przykryty kocem, odwrócił się i spojrzał na niego zaskoczony.

— Pan Mossman? To ci dopiero. Cyklop z PET. Witaj, młodzieńcze. Czemu zawdzięczam ten zaszczyt?

— Dzień dobry, panie komendancie. W moim fachu zasadniczo wymogiem jest posiadanie więcej niż jednego oka. Najlepiej trzech — ostatnie z tyłu, żebym widział, co się dzieje za moimi plecami. Przyszedłem zadać panu kilka pytań.

Wielokrotnie spotykał się z Esbenem Hansenem przy rozmaitych okazjach, ale chyba nigdy jeszcze nie zdarzyło mu się z nim rozmawiać. Nie miał jednak wątpliwości, że ten człowiek był przedstawicielem starej szkoły, w której komendant policji cieszył się nieograniczoną autonomią. On sam zasadniczo nie miał żadnych powodów, aby tego człowieka lubić — czy nie lubić. Fakt, że rozwalony jak basza staruszek żartobliwie zasugerował, że jest jednookim potworem wskazywał, że podchodzi do niego z pewnym sceptycyzmem. A nazwanie go młodzieńcem mimo jego wieku emerytalnego było prowokacją — albo próbą błyskawicznego ustanowienia między nimi czegoś w rodzaju hierarchii.

— Nie usiądzie pan?

Esben Hansen wskazał głową drugi fotel na środku nasłonecznionego placyku.

Zamiast tego usiadł na drugim pufie i odwrócił się tak, aby patrzeć dawnemu komendantowi w oczy.

— *Well*, panie Hansen, pozwolę sobie od razu przejść do rzeczy... Jestem przekonany, że stoi pan lub stał na czele organizacji, która funkcjonuje pod nazwą Lupus. Radzę, aby przywołał pan swoją sforę do nogi — i natychmiast kazał uwolnić Margrethe Franck.

Miał nadzieję, że frontalnym atakiem wywoła szok u siedzącego przed nim człowieka. Wolałby podejść do sprawy inaczej, ale skoro wciąż nie mieli żadnego sygnału od Margrethe ani jej porywaczy, był zmuszony rzucić karty na stół i trzymać kciuki, że zadziała.

Hansen powoli wyprostował się na swoim fotelu i zdjął nogi z pufa. Na łańcuszku na szyi wisiały okulary, które teraz starannie nałożył. Dopiero wtedy zawiesił wzrok na Mossmanie i odparł:

— Lupus? Co też pan wygaduje? Coś się panu roi o jakichś wilkach? Że niby organizacja? I jeszcze ja miałbym jej przewodzić. Czytałem w „Berlingske”, że ostatnio postawili pana

na czele jakiejś komisji. Może była to jednak nieco pochopna decyzja ze strony ministra.

Były komendant spokojnie pokręcił głową. W porządku. Czyli nie tak łatwo było go przestraszyć.

— Widzi pan... sprawa stała się dla mnie osobista. Margrethe Franck była moją prawą ręką w Søborgu. Jeśli choć włos spadnie jej z głowy, pana obarczę odpowiedzialnością.

— Od zawsze uważałem, że jest pan — nie tylko fizycznie — zbyt nadęty, aby pracować w policji, panie Mossman. Te brednie umacniają mnie tylko w tym przekonaniu. I czym niby miałyby się zajmować ta wyimaginowana organizacja, Lupus?

— Samosądem.

— Dobry Boże... *ja* i samosąd?

— Dokładnie. Lupus jest komórką działającą w obrębie policji, którą tworzą przekonani o swojej nieomylności śledczy. Tacy jak pan, panie Hansen.

— Poświęciłem policji całe swoje życie. I cieszę się nieposzlakowaną opinią. A teraz proszę mi dać spokój. To wszystko, z czym pan przyszedł?

Esben Hansen przyglądał mu się zmrużonymi oczami. Czyli był zły, ale niestety potrafił się kontrolować.

Wstał ze swojego pufa.

— Tak, to wszystko. Powtarzam: niech ją pan wypuści. I niech pan to zrobi natychmiast. W przeciwnym razie zadbam, aby w piekle rozpalono wszystkie piece i przyszykowano je dla pana i pańskich żalosnych sługusów. Zrozumiał pan?

— Mossman, niech mnie pan nie straszy piekłem, bo pańska jurysdykcja nie sięga dalej niż pański żywopłot. Żegnam.

Nim zamknął za sobą drzwi szklarni, huknął donośnie:

— Wszystkie piece, *dammit!*

Rozdział 78.

Monitor i twardy dysk stały na środku stołu kuchennego w Harrildholmie. On sam siedział i w skupieniu przewijał listonoszy i innych nieszkodliwych statystów, jak chociażby lisa, który nocami węszył przy bramie do gospodarstwa.

Nie zapowiadało się, aby miał brnąć przez niezliczone godziny nagrań, bo kamery były uruchamiane przez czujniki ruchu, więc na twardym dysku zapisała się tylko faktyczna aktywność w ich obrębie.

Właściciel Harrildholmu wrócił razem z nim i całym sprzętem. Nadal nie odbyli tej wielkiej, wyjaśniającej wszystko rozmowy. Wolał z nią poczekać, aż zdobędzie dość wiedzy, aby zadać właściwe pytania. A to będzie możliwe dopiero, gdy przejrzy wszystkie nagrania.

Poul Hansen leżał w tej chwili we własnym łóżku w swoim małym pokoju. Nie był już związany z tyłu. Zamiast tego skrępował mu ręce z przodu, aby staruszek mógł się wygodnie położyć i odpocząć. Potem się okaże, co z nim należy zrobić.

„Mam swoje powody” — było w zasadzie jedynym, co powiedział, kiedy pokrótce wypytał go jeszcze tam, na kanapie państwa Hyldtoftów. Pytał oczywiście o to, dlaczego postanowił zniknąć i opuścić Harrildholm.

Wcisnął guzik, którym przewinął kawałek do tyłu, i odtworzył nagranie w normalnym tempie. Teraz zrobiło się ciekawie.

Jakaś postać przemykała obok bramy, trzymając się lekko na uboczu i chowając przy jednym ze skrzydeł, zanim zniknęła z pola widzenia kamery. Była noc. Godzina pierwsza dwadzieścia trzy, jak podawało nagranie sekwencji. Nagranie wyglądało tak, jak zwykle wyglądają nagrania wykonane nocą w podczerwieni — trochę niewyraźne i czarno-białe.

Raz jeszcze przewinął sekwencję do początku, tak dla pewności. Wyraźnie było widać, że to mężczyzna, a chwilę przed

tym, zanim wyszedł poza zasięg kamery, widać było całkiem dobrze jego profil. To był Troels Monrad...

Szesnaście minut później inna kamera, skierowana na podwórko, ponownie złapała dawnego pracownika PET. Tym razem widać było tylko jasną postać, która skradała się wzdłuż wschodniego skrzydła i dalej, wzdłuż ściany domu, zatrzymując się przy kolejnych oknach.

Po kilku chwilach postać weszła w pole widzenia kolejnej kamery, tej przy tylnych drzwiach — i obraz stał się ostry. Monrad węszył, i to starannie. Przystanął na chwilę przy drzwiach na tyłach domu. Po czym skradał się dalej i zniknął za rogiem domu.

Dziesięć minut później znów się pojawił — w stajni. Szedł przez środek, kierując światło latarki w dół, a twarz prosto do kamery, która była umieszczona nad drzwiami.

Wyglądało na to, że Troels Monrad dokonał pełnej inspekcji Harrildholmu, a kiedy na monitorze ukazały się jego plecy, oddalał się w kierunku małej chatki nad rzeką, uzyskawszy nową pożywkę dla swoich marzeń o bogactwie.

Przewinał listonosza i Poula Hansena, który wsiadł do swojego samochodu i odjechał z podwórka — obaj nagrani wyraźnie i w kolorze. I znów zwolnił. Dwie doby później na twardym dysku ponownie zapisało się niecodzienne zdarzenie.

Było tuż po północy. Warto odnotować, że były szef departamentu odjechał spod swojego domu późnym popołudniem i do tej pory nie wrócił. Najpierw widać było plecy postaci, która się skradała wzdłuż jednego ze skrzydeł. Potem po sylwetce można było rozpoznać Monrada, który, jak widać, uznał, że jedna wizyta to za mało. Może wiedział, że właściciela nie ma? Trudno było...

Zadzwoił jego telefon. Wzdragał się za każdym razem, kiedy słyszał dzwonek. Jakieś wieści o Margrethe? Nowa nadzieja — czy ostateczny cios...? Ale na wyświetlaczu nie pokazało się nazwisko Mossmana. Nie bardzo miał teraz na to czas, ale tego połączenia nie mógł odrzucić.

— Oxen.

— To ja, Sonne. Słuchaj...

Już po głosie zorientował się, że siostrzeniec Mossmana znalazł coś ciekawego. Sonne mówił dalej:

— Tak jak prosiłeś, przejrzałem na szybko te akta. Sprawę zgonu Kristoffera Monrada po przedawkowaniu. Potem porównałem ją ze sprawą diler, który w niej występował jako podejrzany o to, że sprzedał te trefne tabletki ekstazy. I którego ostatecznie za to nie przymknięto. Przez brak jednoznacznych dowodów winy. Diler nazywał się Danny Holst. Półtora roku później znaleziono go w piwnicy przy Sejrøgade. Martwego na amen — zmarł z przedawkowania, wziął końską dawkę. Ale miał też ślady pobicia, na całym ciele. Złamane żebra, zmiażdżone palce, złamany nos. Regularne tortury.

— A co na to obdukcja?

— Wykazała, że bezpośrednią przyczyną śmierci był narkotyk. Ekstazy. Żaden z doznanych urazów nie mógł zabić sukinsyna.

— I mówisz, że był w piwnicy?

— Tak. Na dywanie w otwartej piwnicy wśród rupieci i gratów.

— A śledztwo coś wykazało?

— Po kilku miesiącach je zamknęli. Brak istotnych tropów. Żadnych śladów technicznych. Żadnego DNA. W takim środowisku nietrudno mieć wrogów. Ale należy podkreślić, że chłopaki odwaliły tutaj kawał solidnej policyjnej roboty. Sami wpadli na powiązanie tej sprawy ze śmiercią Kristoffera Monrada i jego ojcem, aspirantem Troelsem Monradem. Jego też sprawdzili. Mniej więcej w tym samym czasie, w którym doszło do zgonu, był w pracy, tutaj, w mieście na komendzie. To było jego alibi. Żelazne.

— Dzięki, Sonne. Naprawdę wielkie dzięki za pomoc. Muszę kończyć, ale zajrzę niedługo do Aarhus. Wtedy spokojnie usiądziemy i...

— Nie ma sprawy, Oxen. Powiedz mi tylko... czy coś się stało?

— Nie. Wszystko w porządku. Jesteśmy w kontakcie.

Rozłączył się. I dołożył kolejny klocek do układanki. Więc to dlatego Troels Monrad mówił o amnestii i uzyskaniu gwarancji od szefowej komisji dyscyplinarnej, że nie będzie przedmiotem wewnętrznego dochodzenia.

Albo osobiście uczestniczył w pobiciu dilerka, a potem wepchnął w niego śmiertelną dawkę narkotyku, albo — co było bardziej prawdopodobne — zabójstwa dokonano za wiedzą i zgodą Monrada po tym, jak bezpośrednio zwrócił się do Lupusa z prośbą o interwencję.

Jakąkolwiek rolę Monrad odegrał w tamtej sprawie, musiał mieć świadomość, jak potężny miecz zawiesza sobie nad głową, próbując za grube miliony sprzedać Lupusa Niezależnemu Organowi Odwoławczemu od Działania Policji.

Wyglądało na to, że ten miecz jednak rozplątał czaszkę Monrada.

Wcisnął *play* i po kilku minutach dowiedział się, w jakich okolicznościach emerytowany oficer wywiadu spotkał się ze swoim przeznaczeniem.

Wstał i poszedł do pokoju, w którym Poul Hansen leżał na łóżku. Wyglądał, jakby drzemał. Trącił go palcem i staruszek natychmiast otworzył oczy.

— Dowiedziałeś się, że ktoś cię obserwuje. Pozwoliłeś, aby zobaczył, jak odjeżdżasz, ale zostawiłeś samochód w pobliżu i wróciłeś pieszo. Około północy zacząłeś się na niego i zaatakowałeś, kiedy otwierał tylne drzwi twojego domu. Uderzyłeś go w głowę metalową rurką — nie wiem, być może nie sądziłeś, że może od tego umrzeć. Tak czy inaczej, nagle masz u siebie zwłoki. Ułożyłeś je na quadzie i pod osłoną nocy zawiozłeś do Kvindebækken, gdzie rzuciłeś je obok dużego głazu, uprzednio uderzywszy o niego głową zmarłego. Potem zamknąłeś oczy i pomodliłeś się w duszy, aby wszyscy uwierzyli, że to był wypadek. Tak zabiłeś Troelsa Monrada. Zgadza się?

Były szef departamentu wzruszył ramionami, jakby nie wiedział, co odpowiedzieć.

— Mam, jak pan być może wie... yyy, jak się pan nazywa?

— Oxen. Niels Oxen.

— Właśnie. Mam wykształcenie prawnicze. Więc czego pan ode mnie oczekuje, panie Oxen? Że leżąc tu ze związanymi rękoma, przyznam się do czegokolwiek na niby?

Formalny ton w pierwszej chwili go zaskoczył, ale w sumie to oczywiste, że starszy pan z imponującą ścieżką kariery za sobą

nie będzie na ty ze swoim pochodzącym z ludu oprawcą.

— Niech się pan zastanowi... Niech pan pomyśli o tym, że gdy skończę oglądać nagrania, odbędziemy poważną rozmowę. Która zasadniczo będzie dotyczyła Lupusa. Dlatego proszę już teraz rozważyć, czy nie woli pan wyłożyć karty na stół.

Wrócił do kuchni i pracował dalej. Po scenie, w której starszy mąż stanu wali na odlew intruza metalową rurką z wprawą pałkarza zaliczającego *home run* — oraz gwarantującą mu oskarżenie o nieumyślne zabójstwo — na nagraniach znów pojawiła się spokojna codzienność Harrildholmu. Oraz nagranie samego Poula Hansena instalującego kamerę w kuchni i ją testującego.

Ostatni raz właściciela gospodarstwa widać, jak wsiada do swojego samochodu — i znika.

Kolejna postać, która pojawia się na nagraniach, jest mu doskonale znana. Zarówno volvo, jak i twarz zostały uchwycone kamerą przy bramie, a kiedy widział, jak duża sylwetka przechodzi przez podwórkę, mimowolnie pomyślał, że na scenę wkroczyła najważniejsza postać dramatu. Axel Mossman spokojnie szedł przez zabłocony brukowany plac i zapukał — najpierw do drzwi frontowych, a potem tylnych. Po jakimś czasie — i spojrzawszy kilkukrotnie do środka przez okna — dawny szef PET odjechał z niczym.

Przewinął dalej. Pomyślał, że teraz następnym dramatycznym zwrotem akcji będzie jego walka z krewkim pijakiem z Poppelgården, Betonem. Ale nie... Przesunął się na krawędź ławy i w najwyższym skupieniu obserwował scenę kompletnie nieoczekiwaną.

Na podwórku znów pojawił się duży korpus Mossmana. Sprawdził datę nagrania. Był środek dnia, trochę po południu. Zaledwie dwa dni przed tym, jak on sam przyjechał tu z Magnusem.

Mossman znów zapukał najpierw od frontu, a potem do tylnych drzwi. Później chwycił klamkę, drzwi się otworzyły i Mossman wszedł do korytarza.

Potem widać jego potężny kark morświna, kiedy wszedł do kuchni.

— Halo, jest tu ktoś? — zawołał, głównie aby się upewnić, że nikogo nie ma. Mossman się rozejrzył, otworzył drzwi lodówki i zajrzał do kilku szafek kuchennych. Potem szerokim przejściem wszedł do salonu.

W tym momencie zatrzymał nagranie i położył się na blacie stołu. Teraz mógł oglądać scenę pod mniej więcej takim samym kątem, pod jakim została nagrana. Widział bałagan na podłodze oraz własne legowisko ze śpiworem i z ułożonymi poduszkami zdjętymi z kanapy. Kiedy wszedł tam Mossman, w pokoju panował jeszcze porządek. Wcisnął *play*.

Olbrzym trochę się rozglądał po pokoju, który zdawał się być również biurem. Swoje wstępne przeszukanie Mossman zakończył przy biurku, gdzie sprawdził wszystkie szuflady. I wtedy stało się coś zupełnie niezwykłego.

Z wewnętrznej kieszeni marynarki Mossman wyjął foliową koszulkę z kawałkiem pożółkłego papieru. Położył ją na biurku i ostrożnie wyjął z niej papier.

To nie był zwykły kawałek papieru...

To był stary wycinek z gazety.

Mossman włożył go do jednej z szuflad, raz jeszcze się rozejrzył, obracając ogromne ciało wokół własnej osi, po czym minął kuchnię i zamknąwszy za sobą tylne drzwi, znalazł się w polu widzenia zamontowanej tam kamery.

Kiedy wychodził tylnymi drzwiami, Mossman na moment spojrzął prosto w obiektyw i lekko się uśmiechnął. Może na myśl o własnej wielkości?

I to nie był anioł światła. Ten, który w najwyższej dyskrecji opuszczał Harrildholm, był zdecydowanie księciem ciemności.

Akurat teraz, kiedy już wiedział, że to nie Mossman zamontował monitoring w Harrildholmie, i wyzbył się swoich podejrzeń co do jego roli, ten w jednej chwili postawił się w samym centrum tych podejrzeń. Z premedytacją podrzucił artykuł do szuflady dawnego szefa departamentu. Chciał, aby znalazł go on— użyteczny idiota, stuknięty weteran wojenny.

Mossman rzucił mu przynętę, a on ją połknął, nie mrugnawszy okiem.

Zatrzymał nagranie i pogрузzył się w domysłach. Miał wrażenie, że teraz wszystko jeszcze bardziej się pogmatwało — a postać Margrethe całkiem się rozmasała.

Musiał dokończyć to zadanie i sprawdzić, czy na twardym dysku nie kryją się jeszcze jakieś niespodzianki. Następna ciekawa sekwencja również pochodziła z kamery w kuchni i przylegającego do niej salonu. Robotnik o wiele mówiącej ksywie Beton wszedł do środka i przetrząsał pokój w poszukiwaniu gotówki. Potem wszedł on razem z Magnusem.

Przyglądał się synowi, który, wciśnięty w kąt ławy, z przerażeniem oglądał swojego ojca z wprawą obojętnością przyłapanego na gorącym uczynku mięśniaka.

Wiedział, co było dalej, dlatego przewinął i wszedł w obszar mu nieznany.

Było ciemno.

Z tylnych drzwi wytoczył się mężczyzna z butelką w ręce. Zrobił kilka chwiejnych kroków po wyłożonym płytkami chodniku, stanął i zadarł do góry głowę, by spojrzeć w czarne niebo. Kilka sekund później nogi się pod nim rozjechały — upadł na plecy jak zwalone drzewo i rąbnął głową o posadzkę.

Aha. Czyli tak dorobił się guza z tyłu głowy. Od niekontrolowanego salta niczym napruty Bambi na lodzie.

Po kilku minutach pozbierał się, wstał, znów upadł i na czworakach oddalił się w stronę drzwi.

Na pozostałych nagraniach nie znalazł nic ciekawego. Były to sekwencje z dni, w których bawił się przy stole kuchennym w tropiciela wilków. Teraz map już nie było. A wilki zmieniły swój charakter.

Wziął nóż i wrócił do pokoju, w którym zostawił Poula Hansena. Zastał go tak jak poprzednio — leżącego z zamkniętymi oczami.

— Pobudka...

Dawny urzędnik powoli usiadł na łóżku, a on rozciął plastikowy pasek krępujący mu dłonie.

— Niech pan idzie ze mną. Zrobiłem kawę. Za chwilę zaczniemy naszą rozmowę. Mam nadzieję, że zechce pan

współpracować — ostrzegł i podniósł nóż na wysokość oczu staruszka.

Rozdział 79.

Ostatnia ławka na peronie szóstym dworca głównego była miejscem, w którym mieli się spotkać i pokrótce omówić sytuację. Obaj byli już po pracy, a jako pierwszy na ławce usiadł Bertelsen. Na ławce i na mrozie. W stojącym przy peronie pociągu, wygodnie i w ciepłe, rozsiadali się wracający do domów mieszkańcy Jutlandii i Fionii oraz inni, którzy po prostu jechali na zachód.

Chwilę potem dosiadł się do niego Borg.

— Pomyślałem, że tak będzie lepiej — wytłumaczył. — Żeby nie musiał cię nachodzić w domu i przerywać ci *X Factora*.

— Oglądam *Britain's Got Talent*. O czym dobrze wiesz. Nic związanego z Danią. U nas już dawno nie ma żadnych talentów.

— Ale ty się jakoś ostałeś.

— Już niedługo. Odmrażam sobie tyłek od tej roboty. Może zdechnę na płuca. Nienawidzę marca. Nic, tylko śnieg z deszczem albo deszcz i pizgawica. A potem znowu śnieg z deszczem. Dobra, Borg, mów, o co chodzi.

— Musimy przyspieszyć. Zdążyłeś sprawdzić tych, których miałeś na liście?

— Tak. Całą trójkę.

— I co?

Bertelsen wzruszył ramionami, postawił kołnierz i potarł dłonie.

— I nic. Moim zdaniem zimny trop. Pierwszy to chłopak, który spędził rok w fotelu dentystycznym po spotkaniu z Nassarem pod jakąś dyskoteką. Pracuje jako sprzedawca w sklepie z ciuchami. Nie ma kasy, żeby sobie kupić tego rodzaju odwet. Do tego biedak nabawił się panicznego strachu przed dentystą. Numer dwa to ten gość z Café Overdrevet. Ktoś go popchnął i przypadkiem wylał Nassarowi piwo na spodnie.

— W raporcie stało chyba „nowe spodnie”?

— Właśnie... Można więc zrozumieć, dlaczego Nassar wysłał go na ostry dyżur ze złamanym nosem i z rozciętą wargą — ukradłszy mu wcześniej dwa tysiące w gotówce. „Na czyszczenie spodni”, napisali. Facet aż się gotował ze wściekłości — i być może trochę ze wstydu — i z radością zobaczyłby, jak ktoś miażdży Nassarowi kończyny, tyle że jest recepcjonistą w Hotelu d’Angleterre, więc uważa się za osobę zbyt kulturalną, by uciekać się do przemocy. A poza tym pewnie też nie byłoby go stać. Ostatni to facet w średnim wieku, ten od firmowej wigilii. Był pijany w sztok i nawet nie poczuł, jak Nassar przetrącił mu szczękę i złamał trzy żebra. Do dziś miewa ostre bóle głowy. Oskarżenie wycofano, bo świadkowie nagle niczego nie pamiętali. Gość jest rewidentem. Nie ma w sobie żądzы zemsty. Traktuje to jak ciężką lekcję, by się nie upijać na firmowych imprezach. A ty?

— Chcesz szczegóły czy suche fakty?

— Na tym mrozie — fakty, i to w najwyższym skrócie.

— Zatem inżynier — nie. Kucharz — nie. Bankier — nie. Prezes... słabe być może. Ten ma przynajmniej wystarczające środki.

— Przypomnij mi, co to za jeden.

— Poprosił Nassara, żeby przestał go popychać w wyjątkowo zatłoczonym irlandzkim pubie. Nassar był w złym nastroju, bo Juventus przegrał.

Bertelsen przysunął do ust zwinięte w tutkę dłonie i chuchał w nie przez chwilę.

— Czekaj. Bo sporo czasu poświęcamy na tę zabawę. A ja ciągle tracę z oczu szlachetny cel, jaki nam przyświeca. Możesz mi przypomnieć? Ty, Borg, i twój cholerny spokój sumienia. A ja jestem pewien, że Nassar marzy, żeby nas posłać do stu diabłów. Może nawet leży teraz w Riget z dwiema szmacianymi lalkami jebanego przygłupa i jebanego młota i wbija w nie szpilki. Czemu tego nie zostawimy, skoro i tak zrobiliśmy więcej, niż było trzeba?

Borg pocierał dłońmi. Nie chodziło nawet o temperaturę, raczej ten cholerny wiatr, to on sprawiał, że było tak przenikliwie zimno.

— Bertelsen, proszę cię. Kiedyś byłeś *fighterem*. Musimy się po prostu cofnąć w czasie — i poszerzyć nieco pole. Obiecuję ci, że jeśli jeszcze trochę wytrzymasz, to wezmę od ciebie obie sprawy, które tak się ślimaczą. Tę z Odense i tę z Aarhus.

Bertelsen odburknął coś niewyraźnie, ale Borg wiedział, że to oznacza zgodę.

— I wiesz co jeszcze myślę? Myślę, że powinniśmy w ogóle zacząć od początku. Wrócić do Cindy i jej byłego chłopaka. I raz jeszcze zacząć od nich. Mój nos najbardziej nie jest pewien właśnie jego. Głównie jego.

— A od kiedy zaczęliśmy podążać za radami twojej kichawy? — Bertelsen prychnął, a po chwili zakaszłał.

— Możesz mu się przyjrzeć bliżej? Sprawdzić jego finanse, tę jego małą firmę i klientów? I kontakty. Musimy się dowiedzieć czegoś więcej. I jeśli po tym, jak obaj skończymy, dalej nic nie znajdziemy, to odpuścimy sobie Nassara. Obiecuję, okej?

Bertelsen przytaknął.

— Wszystko, co pozwoli ci patrzeć w lustro. Mówię tylko, że to jest dość czasochłonne.

Rozdział 80.

Kiedy emerytowany szef departamentu skulił się na swoim krześle przy kuchennym stole, sprawiał wrażenie drobnego i kruchego ze swoją chudą, żylastą sylwetką. Tłuste, cienkie włosy i równie niechlujny strój nadawały mu wygląd pisklęcia, które wypadło z gniazda — choć w dość zaawansowanym już wieku. Gdy się jednak odezwał, od razu było słychać, że umysł ma ostry i precyzyjny.

Wciąż rozmasowywał sobie nadgarstki, choć plastikowej obręczy nie zacisnął mu zbyt mocno.

— Proszę, pańska kawa. — Postawił przed Poulem Hansenem parujący kubek.

— Proponuje mi pan kawę — w moim własnym domu. Mam być wdzięczny?

— Niech pan sam zdecyduje. Zaczynajmy.

Staruszek pogroził mu przed twarzą wykrzywionym palcem.

— A może mógłby pan zadbać, panie Oxen, o to, aby rzucić nieco światła na okoliczności naszej rozmowy. Kogo pan reprezentuje? Jest pan tajnym oprychem z Søborga? Czy pospolitym bandytą? I jak będzie się przedstawiać sytuacja, jeśli moja postawa będzie nieprzychylna?

Wzruszył ramionami i zastanowił się nad odpowiedzią. Kogo reprezentował? I jak się tutaj znalazł?

— Reprezentuję... samego siebie. W tej chwili chcę się dowiedzieć prawdy o organizacji nazywającej siebie Lupusem, aby za jej pośrednictwem odnaleźć trop bliskiej mi osoby, która zaginęła.

— A ja myślałem, że być może ma pan jakiś związek z dawnym szefem wywiadu policyjnego Axelem Mossmanem. Bo on tu był, kiedy pan również przebywał... w *moim* domu.

— Zgadza się. Początkowo to Axel Mossman poprosił mnie, abym tu przyjechał i pana odszukał. Teraz mam jednak wrażenie, że obraz sytuacji nieco się rozmył.

— A to dlaczego?

— Ponieważ trudno jest odróżnić przyjaciela od wroga.

— A pan do której należy kategorii?

— Ja jestem poza kategorią.

— I jakie mam opcje?

— Jeśli zdoła mnie pan naprowadzić na ślad tej osoby, możemy zawrzeć układ. W przeciwnym razie będzie pan musiał wytłumaczyć policji, dlaczego był pan zmuszony rozłupać czaszkę Monradowi, zawieźć jego ciało nad potok i tam porzucić. Tak w ogóle, gdzie jest quad? Zwykle stał chyba w skrzydle gospodarczym?

— Sprzedałem.

— A samochód?

— U mechanika w Brande. Ma mi dać odpowiedź, czy chce go kupić. Ale niech mi pan powie... — Hansen zmrużył oczy, zanim dokończył. — Mówił pan o kimś, kto *zaginął*. Kimś bliskim. Kto to taki?

— Nazywa się Margrethe Fanck. Pracuje dla PET.

— Hm... Więc to *kobieta*... Cóż, zaczął pan od mocnych oskarżeń, panie Oxen. Rozumiem, że jest pan w posiadaniu równie mocnych dowodów. Tak na marginesie: nie planowałem zabijać tego durnia Monrada, ale przyszedł tu węszyć w środku nocy. Ja... — Poul Hansen, zamiast dokończyć zdanie, wziął łyk kawy. Wyglądał, jakby myślał o tym, co zamierzał powiedzieć, była dla niego wyczerpująca. W końcu westchnął i dokończył: — Widzi pan... ja już zdecydowałem się współpracować. Może wcześniej czy później musiało do tego dojść? Może to dobrze, że teraz zostałem do tego zmuszony — akurat dziś. Mam panu do opowiedzenia bardzo długą historię, panie Oxen. To będzie historia mojego życia. To będzie również historia powstania tego, co słusznie nazywa pan *Lupusem*.

Miał wrażenie, że dla starszego człowieka siedzącego na wprost niego jest to chwila w jakiś sposób podniosła. Były szef departamentu wstał, poprawił koszulę i naciągnął znoszoną kamizelkę. Potem oparł jedną dłoń na blacie stołu i zastygł, jakby się nad czymś zastanawiał. Wreszcie powiedział:

— Po chwili namysłu sądzę, że najprościej będzie, jeśli zacznę moją historię od pokazania panu czegoś. Niech pan będzie uprzejmy pójść za mną do mojego pokoju.

Przytaknął i spytał:

— Najpierw jednak muszę się dowiedzieć... Czy wiedział pan — czy Lupus wiedział — o Troelsie Monradzie? O jego synu?

Poul Hansen zbył go machnięciem ręką.

— Cierpliwości. O Monradzie opowiem, gdy przyjdzie na to pora w chronologii zdarzeń. A teraz chodźmy.

Kiedy znaleźli się w sypialni pana domu, staruszek zdjął ze ściany oprawioną w ramkę fotografię i usiadł na krawędzi łóżka.

— Proszę, niech pan też usiądzie.

Posłusznie usiadł obok Hansena. Starszemu mężczyźnie lekko drżały ręce, kiedy podniósł zdjęcie w kolorach sepii. Odchrząknął i zaczął:

— Widzi pan, Harrildholm to mój dom rodzinny. Tu się urodziłem...

Tego zupełnie się nie spodziewał. Gdyby oni, a w szczególności Margrethe, nie mieli na głowie tysiąca innych palących spraw, być może któreś z nich dokopałoby się do tej informacji. Dom rodzinny? Ta wiadomość była prawdziwą bombą, ale w swoim komentarzu ograniczył się do krótkiego „hm”.

Głos Hansena tymczasem nagle stał się zachrypnięty.

— ...a to jest... moja... rodzina.

Przesuwał drżącym palcem po szybce.

— To mój tato, Helge. To mama, Kamma. Młodszy brat, Henning, i starszy — Esben. A to ja.

Palec zatrzymał się na ładnej dziewczynie zajmującej centralne miejsce na zdjęciu.

Staruszek głęboko westchnął.

— A to moja śliczna, cudowna siostra Agnethe... Ach... Moja opowieść, panie Oxen, zaczyna się w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym trzecim. Dokładnie trzydziestego listopada. Tamtego wieczora Agnethe pojechała rowerem na bal świąteczny w świetlicy w Fasterholt. Po balu też miała wracać rowerem. Boże drogi, wszyscy tak wtedy robili. Ale Agnethe... tamtego wieczoru... nie wróciła do domu...

Rozdział 81.

Nie urodziła się w pobliżu morza, ale niewykluczone, że wkrótce blisko morza umrze. Zorientowała się od razu, gdy po długiej podróży na pace wozu dostawczego wyprowadzono ją na powietrze: znajdowali się blisko morza. Zapach soli i wodorostów uderzył ją w nozdrza i miała wrażenie, że skądś dobiegają również histeryczne wrzaski mew.

Szacowała, że jechali około dwóch godzin. Ale licząc od kiedy? Po tym, jak dwaj zamaskowani mężczyźni obezwładnili ją w domu starszego Jönssona, była nieprzytomna do czasu, gdy ocknęła się w tamtym pierwszym miejscu, w piwnicy. Mogli ją przewozić w różne inne miejsca — albo nigdzie. Tak czy inaczej, teraz była dwie godziny jazdy od tamtego miejsca. Nie zapominajmy przy tym, że Dania ma ponad siedem tysięcy kilometrów linii brzegowej i z każdego miejsca kraju jest do morza maksymalnie pięćdziesiąt kilometrów. Innymi słowy, roztrząsanie, gdzie się mogła teraz znajdować, było bezcelowe.

Siedziała na krześle w chłodnym pomieszczeniu i docierały do niej rozmaite odgłosy. Odległe dźwięki zamykanych i otwieranych drzwi, dźwięk uruchamianego silnika samochodu, który po chwili się oddalił. Wciąż miała ręce związane plastikowymi paskami i przepaskę na oczach. Ktoś otworzył drzwi.

— Wstań.

Wciąż byli oszczędni w słowach.

— Naprzód.

Dłoń zacisnęła się mocno na jej ramieniu i wyprowadzono ją na zewnątrz. Żwir... Czuła szuranie pod stopami. To samo czuła, kiedy jakieś pół godziny albo godzinę temu wprowadzono ją do środka i posadzono na krześle. Zatem podwórko... nad morzem.

Bliżej nie była w stanie tego określić. Wiatr w jednej chwili przestał smagać jej twarz, kiedy weszła do innego pomieszczenia.

— Nie ruszaj się!

Poczuła na karku czyjeś palce i po chwili, jak za sprawą czarów, opaska zniknęła z jej oczu. Choć w pomieszczeniu panował półmrok, miała wrażenie, jakby eksplozja światła wypaliła jej oczy. Gdy po chwili zaczęła normalnie widzieć, zobaczyła nagą białą ścianę i łóżko.

— Siadaj — rozkazał męski głos z za jej pleców.

Podeszła do łóżka i usiadła na jego skraju. Mężczyzna kucnął przed nią, chwycił ją za kostki i zbliżył je do siebie. W tej samej sekundzie wyrwała mu prawą nogę i z całej siły wbiła twarde obcas ciężkiego buta w jego głowę. Mężczyzna zachwiał się i upadł w tył, ale jej cios niestety tylko go skaleczył i zanim w ogóle zdążyła wstać — ze skrępowanymi z tyłu rękoma — on zdążył się podnieść i ją unieruchomić.

Reakcją na jej obronę był mocny sierpowy, od którego zadzwoniło jej w uchu.

— Głupia cipa... — Mocno przytrzymał jej kostki — tę prawdziwą i tę sztuczną — i związał je paskami zaciskowymi. Potem wyszedł.

Łóżko było oczywistym podniesieniem standardu. Pokój, w którym stało, był mały, miał puste i białe ściany. W tej na wprost łóżka było małe okno, ale z zasłoniętą roletą. W suficie paliła się pojedyncza lampa.

Wciąż nie umiała rozstrzygnąć, czy przeniesienie budziło w niej nadzieję, czy wprost przeciwnie. Porywacze najwyraźniej uznali, że opłaca im się ją przenosić w to nowe miejsce — tyle wiedziała. I musiała założyć, że podobnie jak we wszystkich porwaniach, uruchomiono jakąś formę komunikacji. Sprawcy musieli wystąpić z żądaniami. Ale jakie mogli mieć żądania? Żeby Święty Mikołaj na południowej półkuli zaczął chodzić w zielonym peniuarze? Dajcie spokój. I do kogo mieliby je skierować? Do PET?

Jej mózg pracował na najwyższych obrotach, ale wciąż nie potrafiła wyodrębnić jednego, konkretnego elementu i stwierdzić: tak, to musi być sedno sprawy. To jest ta zakazana wiedza. Za którą muszę zapłacić...

Miała jednak przeczucie, co mogło stanowić sens całej operacji. Że na ów sens składały się jej dociekania na temat własnej przeszłości — na temat wypadku w Sydhavnen, zabójstwa Joakima Jönssona, skoku na bank i Seana Struvego.

Kiedy wyobraziła sobie przebytą drogę jako powierzchnię wylaną mokrym cementem, to wyraźnie widziała, jak odwróciła się do siebie plecami i oddalając się od swojej terażniejszości, podążała w stronę lat, które minęły. Jej ślady były wyraźne i mocno się odznaczały od połyskującej powierzchni. Trop, jaki zostawiała, biegł chaotycznym zygzakiem, zataczał koła i wielokrotnie się przecinał. I po raz drugi trafiał do domu starszego Jönssona przy torach, gdzie się urywał.

A teraz była tutaj. Nad morzem. I nie miała pojęcia dlaczego.

Zwykle porwania mają dwa możliwe zakończenia. Albo negocjacje kończą się powodzeniem i zakładnik zostaje uwolniony. Albo kończą się fiaskiem i...

Umrzeć blisko morza wcale nie było krzepiące. Poza tym nie była jeszcze gotowa — w sensie: ani trochę, kurwa, nie była gotowa, by opuszczać ten padół. Tamten kopniak z obcasa był czystym odruchem. Następnym razem będzie musiała działać bardziej przemyślanie, jeśli ma się stąd wydostać.

Per aspera ad astra... Musi sięgnąć dalej, jeśli ma dotknąć gwiazd. I musi odzyskać zegarek. Za wszelką cenę. Jeśli będzie trzeba urwać jaja temu, który go ukradł, i użyć ich jako bolasów^[1] do unieszkodliwienia napierającego wroga — to tak właśnie robi.

Umrze ze swoim zegarkiem na ręce. I basta.

[1] [Broń myśliwska miotana](#), złożona z dwóch lub więcej kul, używana przez Inuitów i [Indian Ameryki Południowej](#) do ogłuszania poprzez uderzenie kulami, pętania [kończyn](#) lub duszenia w wyniku owinięcia cięgnem. Źródło: Wikipedia — *przyp. tłum.*

Rozdział 82.

Staruszek przemierzał wschodnie skrzydło swojego domu, zgarbiony i ciężkim krokiem, lecz z naturalną godnością, jakby szedł korytarzem ministerstwa, w którym dawniej pracował.

— Proszę za mną, panie Oxen. Wolałbym dokończyć swoją historię tam, w stodole.

Staruszek po pewnym czasie przerwał opowieść, zdecydowanym ruchem wstał z łóżka, włożył wyświechtaną parkę i pomachał mu, żeby wyszli tylnymi drzwiami.

Znajdowali się teraz w wysoko sklepionej stodole. W środku panował półmrok i chłód. Poul Hansen stanął na środku betonowej podłogi.

— Odkąd wykupiłem gospodarstwo, wiele razy przystawałem w tym miejscu — powiedział cicho i wolno, jakby się zastanawiał, ważył kolejne słowa. Potem ciągnął dalej:

— Opowiadałem panu, że Agnethe przyjeżdżała do domu na przepustki ze szpitala psychiatrycznego w Middelfart. Ostatni raz przyjechała w letnie wakacje. Znalazł ją mój brat. Wisiała na sznurze o tu, na tej belce. — Hansen wskazał najbliższą poprzeczną jętkę. — Kołysała się tuż nad ziemią w białej letniej sukience, jak anioł. Wciąż pamiętam wszystko tak dokładnie, jakby to się stało przed minutą. Serce, które waliło jak szalone, przerażenie, które w każdej chwili gotowe było rozsadzić mnie od środka, i widok, który zatrzymał czas w miejscu i nie pozwalał mi się ruszyć. Wszyscy, całą rodziną, staliśmy tu jak skamieniali. Aż w końcu... nagle nasze ciała znów mogły się poruszać. Mój starszy brat rozwiązał sznur, który Agnethe przywiązała do obręczy w ścianie, a ojciec stanął, żeby ją złapać. Potem zaniósł ją do domu i położył na kanapie. Po pogrzebie mój ojciec jak w amoku zabijał wszystko deskami. Zasłonił wszystkie szpary od tamtej jętki aż po kalenicę. Nie chciał, aby ktokolwiek ponownie przerzucił sznur przez którąś z belek...

— A ja myślałem, że to wzmocnienie dachu — powiedział i zamyślony pokiwał głową. Przed oczami stanęła mu piękna złotowłosa dziewczyna ze zdjęcia.

Poul Hansen mówił dalej. Teraz niemal szeptem:

— W nas wszystkich coś wtedy pękło. Młodszy brat, Henning, nigdy się z tego otrząsnął. To nie był zbyt silny chłopak. Był delikatną, młodą duszą. A Agnethe była dla niego wszystkim. Ubóstwiał ją. Łączyła ich szczególna więź. Ona się nim opiekowała, chroniła go przed wszystkimi i wszystkim. Następnej zimy mój młodszy brat utonął. Załamano się pod nim lód na bagnach. Doskonale wiedział, że jest cienki i go nie utrzyma. Znaleźliśmy go po śladach na śniegu...

Poul Hansen zamilkł.

On sam z kolei szukał jakichś słów, które byłyby w tej sytuacji odpowiednie, lecz żadnych nie znajdował. I wtedy sobie uświadomił, że ten niegdyś potężny mąż stanu nie tyle opowiadał historię *jemu*, ile samemu sobie.

W końcu staruszek sam przerwał ciszę, która wypełniła ogromne pomieszczenie.

— Ciężko o tym opowiadać komuś obcemu. Trudno oddać to, co się wtedy czuło, dziś wszystko brzmi tak banalnie. Tworzyliśmy coś, co można było nazwać zgodną, wesołą i szczęśliwą rodziną, zanim nie stało się to z Agnethe. Wtedy ktoś zaciągnął roletę i zasłonił słońce. Pamiętam to, jakby nad Harrildholmem zapanował zmierzch i nigdy już nie odpuścił. Zresztą kto wie? Może nasza rodzina mogłaby z czasem otrząsnąć się po tej stracie. Prowadzić dalej coś na kształt zwykłego życia. Ale po tym, jak Henning utopił się w bagnie, wiedziałem już, że to nie możliwe. Że zrzucono na nasze barki ciężar zbyt wielki. Mój ojciec był twardym, dzielnym bojownikiem ruchu oporu. Walczył z Niemcami jak wielu innych mężczyzn z jego rodziny. I umysł miał równie mocny jak ciało. Silny, odważny człowiek, którego ukształtowały silny ród i wiara w siebie. I on zaczął zapadać się w sobie. Z każdym dniem gasł coraz bardziej, aż stał się cieniem wspaniałego mężczyzny, jakim był dawniej. Pił. Najpierw w ukryciu, potem już otwarcie. Zawsze w milczeniu, zawsze sam. Mój brat i ja często

musieliśmy go zabierać stąd, ze stodoły... Ojciec swój ból skierował do wewnątrz. Matka podobnie. Tyle że ona nie miała jego siły, była słabsza psychicznie. Majątek poszedł pod młotek, a my przenieśliśmy się do Ejstrupholmu. Trzy lata po samobójczej śmierci Agnethe moja mama odebrała sobie życie. Powiesiła się na rajstopach na haku okna szpitala psychiatrycznego w Hviding. Ojcu niecałe dwa lata dłużej zajęło zapicie się na śmierć. Znalaziono go siedzącego na klozecie we własnej łazience. A musiałyby pan go widzieć w czasach świetności... Musiałyby pan widzieć, jaką byliśmy rodziną, musiałyby pan z nami posiedzieć, pośmiać się... Wtedy by pan zrozumiał...

Pokiwał głową.

— Myślę, że i bez tego rozumiem.

— Wie pan, bardzo się staram usłyszeć tamten śmiech, ale nie potrafię. Harrildholm to jedyne miejsce na ziemi, do którego czuję się przywiązany. A jednocześnie... Przebywanie tutaj jest tak bardzo bolesne. Teraz jednak wróciłem — jako stary człowiek. I ten ból to coś, co muszę przeżyć, abym sam mógł umrzeć.

Poul Hansen rozłożył szeroko ręce, jakby zapraszał do siebie udrękę.

Umrzeć? Staruszek wspomniał o swojej śmierci. Przez krótką chwilę zastanawiał się, czy to jest ten moment, w którym powinien się wtrącić do opowieści i zapytać o jego chorobę. Ostatecznie uznał, że lepiej nie. Może temat sam się pojawi. Zamiast tego powiedział tylko jedno słowo:

— Lupus?

— Oczywiście, powoli zbliżamy się do Lupusa. Musiałem jednak przedstawić panu pełny obraz, by łatwiej było panu to zrozumieć, panie Oxen. Otóż... Dość szybko stało się dla nas jasne, że lokalna policja nie ma odpowiednich kwalifikacji, aby podjąć się wyjaśnienia zbrodni na naszej Agnethe. Posterunek w Brande w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym roku podciągnięto pod komendę policji w Vejle, czyli niby wskoczyliśmy o oczko wyżej w hierarchii. Ale słyszał pan we współczesnej historii Danii, aby jakiegokolwiek połączenie dwóch jednostek oznaczało

zwiększenie zasobów? Ja też nie. Nawet w ministerstwach mówi się obecnie o efekcie synergii. A to, mówiąc wprost, oznacza cięcia.

Dawny szef departamentu westchnął głęboko i na moment zamilkł. Swoją opowieść kontynuował po kolejnym westchnieniu:

— Samą obsadę, owszem, powiększono. Pojawiło się aż czterech młodszych aspirantów i trzech aspirantów, do tego wydział kryminalny zwiększono z jednego do dwóch śledczych. I to w takim małym miasteczku wielkości Brande, wyobraża pan sobie? Ale niestety, panował kompletny chaos. W śledztwie popełniono mnóstwo podstawowych błędów. I chociaż mówimy o roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym trzecim, który pod względem procedur policyjnych był jak epoka kamienia łupanego w porównaniu z tym, co mamy dzisiaj, to nie tłumaczy, jak beznadziejne i kulawe było to śledztwo. Poszukiwanie sprawcy ograniczono — akurat całkiem rozsądnie — do naszej okolicy. Choć można by się spierać, czy nie należało zwiększyć promienia obszaru, skoro wiadomo było, że moja siostra została tamtej nocy zabrana z drogi samochodem. Nie wiadomo, jak daleko ten bydlak ją wywiózł, zanim przystąpił do kaźni. Agnethe oślepiły przednie światła samochodu sprawcy, więc nie mogła naprowadzić policji na jego trop. Jej rower był mocno zadrapany, ale nie znaleziono na nim śladów lakieru pojazdu. Śledczy jak opętani szukali więc samochodów z rysami. Dobry Boże, ile tego było. I cała masa wygiętych zderzaków, niektóre nawet solidne. Stan Agnethe nigdy nie poprawił się na tyle, aby mogła pomóc. Może wyparła ze świadomości wszystkie szczegóły? Może jej psychika próbowała się w ten sposób bronić? Poprzez wymazanie wszystkiego?

— I znaleziono jakichś podejrzanych?

— Tak. Z czasem uzbierało się ich sporo. Jeden, który pośpiesznie oddał do lakierowania przedni prawy błotnik. U innego zderzak miał lekkie wgniecenie. Jeszcze inny miał wcześniejszy wyrok za napastowanie dziewcząt. Parobek, u którego w pokoju w majątku, gdzie pracował, znaleziono szufladę pełną biustonoszy i majtek — ale nic z tego nie należało

do Agnethe. To były strzały na oślep i wszystkie niecelne. W pewnym momencie podejrzenie padło na zięcia przewodniczącego rady parafii. Podobno dwukrotnie zdarzyło mu się podjechać po zmroku samochodem do młodych kobiet i składać im dwuznaczne propozycje. Ale... Widzi pan... W tamtych czasach policja mocno trzymała z wpływowymi kręgami w lokalnej społeczności. Takim jak oni nie należało zadawać niewygodnych pytań. A już na pewno nie tym, którzy w tej lokalnej hierarchii stali najwyżej. Nagle zniknął samochód tego zięcia — którego, nawiasem mówiąc, nigdy nie sprawdzono. Zeznania świadków o najróżniejszych istotnych obserwacjach i dziwnym zachowaniu różnych mężczyzn z tej niewielkiej społeczności nie zostały nigdy zarejestrowane, zebrane ani sprawdzone. Jednym słowem: farsa. A w oczach mojej rodziny żalotne działania policji były policzkiem wymierzonym w Agnethe i jej pamięć. Wszystko zmieniło się podczas przedostatniej wizyty Agnethe w Harrildholmie. I teraz przechodzę do Lupusa... Chwileczkę, może usiądziemy? Nogi mnie bołą.

Poul Hansen odsunął leżącą w kącie plandekę i wyjął spod niej dwie stare skrzynki po piwie. Ustawił je na środku podłogi i usiedli. Nie na wprost, lecz obok siebie. Bezpośrednio pod tamtą belką. Wtedy mówił dalej:

— Moja siostra poszła na spacer razem z naszym najstarszym bratem. To od niego wiem, jak było. Siedzieli w rowie i rwali mleczkę, kiedy Agnethe powiedziała nagle coś, co nim wstrząsnęło. Powiedziała, że jakiś czas temu nagle coś sobie przypomniała o nim... o tym bydlaku. W przebłysku pamięci bardzo wyraźnie zobaczyła, że tamten człowiek miał uszkodzony lewy paluch. Brakowało jego połowy i kikut wyglądał jak mała grudka, a nie zwykły palec. Widziała to, bo był boso za którymś razem, kiedy...

Staruszek odchrząknął i zamilkł na moment, jakby wciąż, po tylu latach, sama myśl o tym ścisnęła go za gardło.

— No więc lewy paluch, poważnie uszkodzony, jak po jakimś wypadku — dokończył. — W tym obaj, mój brat i ja, dostrześliśmy szansę. Lecz nikomu o niej nie powiedzieliśmy.

Byliśmy już wtedy młodymi, dorosłymi ludźmi i potrafiliśmy przewidzieć dalszy ciąg. Gdybyśmy przekazali policji tak ważną informację, to znając nieudolność śledczych, nowy szczegół szybko wyszedłby na jaw, a wieść o nim wyprzedziłaby ich opieszale działania. Innymi słowy, wspólnie z bratem uznaliśmy, że bezzasadne będzie podawać policji na tacy tak cenny trop tylko po to, by zobaczyć, jak oni go marnują. W tej sytuacji najbardziej oczywiste na świecie było, abyśmy zaczęli własne śledztwo, prawda? Zaczęliśmy się już na dobre rozkręcać, kiedy Agnethe postanowiła nas opuścić. Tamtej nocy poprzysięgliśmy sobie, że nie spoczniemy, dopóki nie znajdziemy tego bydlaka i nie pomścimy siostry. A gdy nasz młodszy brat zdecydował się pójść za swoim aniołem... Cóż, to jeszcze wzmogło nasz zapał i zmotywowało do wytężonej pracy. Bo to tamten był winien, że straciliśmy ich oboje. Wiedzieliśmy, że go znajdziemy. Choćbyśmy mieli na to poświęcić całe życie.

— I co — znaleźliście? Człowieka z paluchem?

Poul Hansen siedział na skrzynce pochylony, z łokciami wspartymi na udach. Przez większą część opowieści siedział właśnie tak, ze wzrokiem wbitym w podłogę. Światło dnia powoli znikало w jedynym oknie, wkrótce pogrążyć się w całkowitej ciemności.

— Tak... znaleźliśmy go. Ale zajęło nam to sześć lat. Łatwo nie było. W żadnym razie... W tamtym czasie nie istniały elektroniczne archiwa czy kartoteki pacjentów, do których przetrząśnięcia moglibyśmy wynająć hackera, by ułatwić sobie zadanie. O nie. My musieliśmy odwiedzać małe, lokalne lecznice, a tych było mnóstwo. Dziś wszystkie pozamykano, jak wszystko inne, co uznano za zbyt małe — szkoły, sklepiki, piekarnie i tak dalej. Zostaliśmy, jako naród, ograbieni z poczucia więzi, bliskości i siły wspólnoty. Jak ten zły rolnik, co pozbawił swoją ziemię wszystkich substancji odżywczych i została mu jałowa gleba. Tym właśnie jest teraz Dania, tak to widzę... Z moim bratem, Esbenem, postawiliśmy sobie ambitny cel: dostać się do kartotek i archiwów, do tych wszystkich ciemnych piwnic szpitali, gdzie trzymano papierowe kopie dokumentów. Jednocześnie musieliśmy się kształcić. Musieliśmy

choć spróbować zbudować sobie jakieś dorosłe życie i je kontynuować, mimo że obaj czuliśmy, że to prawie niemożliwe. I także tu złożyliśmy sobie nawzajem przysięgę — że będziemy się doskonalić. Że będziemy pracować, aby zmienić system, który tak boleśnie nas zawiódł, kiedy najbardziej był nam potrzebny. Postanowiliśmy, że się podzielimy. Esben był silniejszy fizycznie i działał bardziej zdecydowanie niż ja. Dlatego on poszedł do policji. Potem zresztą też skończył studia prawnicze, aby móc awansować w hierarchii. Ale zaczynał od zera, stopnia, który oficjalnie nazywano policjantem stażystą, we wrześniu tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego piątego roku. Pan ma chyba dość lat, aby wiedzieć, kim był Palle Sørensen, prawda?

Oxen skinął głową i rzucił „oczywiście”. To nazwisko zapisało się w pamięci wielu pokoleń.

Poul Hansen westchnął głęboko i ciągnął dalej:

— No właśnie. Palle Sørensen, który w piątkową noc osiemnastego września sześćdziesiątego piątego roku śmiertelnie postrzelił czterech nieuzbrojonych policjantów. A w poniedziałek mój brat zaczynał pracę w korpusie. Wtedy był jeszcze w szkole policyjnej przy Artillerivej na Amager. Po kursie wstępnym zaczął pracę na trzecim posterunku przy Store Kongensgade. Doskonale to pamiętam. Budynek był ruiną. Mój Boże, zwyczajny barak. Dzisiejsi rekruci zemdleliby na sam widok... A propos Sørensen, wiedział pan, że to tamta strzelanina sprawiła, że duńscy policjanci zaczęli nosić broń palną na służbie?

— I że zmieniono procedurę, według której dokonywano zatrzymania pojazdu. Już nie od przodu, ale od tyłu. Aby policjant miał czas na reakcję.

— No, proszę. A skąd pan...?

— Byłem w szkole policyjnej. Ale jej nie skończyłem.

— I czym się pan obecnie zajmuje, jeśli wolno mi spytać?

— Niczym specjalnym. Jestem bezrobotny. Dawniej byłem komandosem.

— Ach tak... Zatem należy pan do elity.

Wzruszył ramionami i szybko ponownie skierował ich rozmowę na historię starszą niż jego własna:

— Wtedy, kiedy działał Palle Sørensen, a policja nie nosiła jeszcze broni, to były inne czasy. Zupełnie inne czasy.

— Ma pan całkowitą słuszność. Inne, ale nie pozbawione brutalności. Wtedy, osiemnastego września, wszyscy, jako naród, straciliśmy część swojej niewinności. A resztę straciliśmy oczywiście już dawno temu. Pamiętam, jak biskup Kopenhagi podczas mszy żałobnej w intencji tamtych czterech chłopców powiedział: „Nie sądziliśmy, że zło jest aż tak bardzo złe”. Ale my... mój brat i ja — i cała nasza rodzina — my wszyscy doskonale wiedzieliśmy, jak bardzo złe może być zło. Nic to. Proszę mi wybaczyć tę dygresję. Wracając do rzeczy: podobnie jak brat, ja też musiałem zdobyć wykształcenie. A jako że zawsze byłem mołem książkowym, dwa lata później zacząłem studiować prawo na Uniwersytecie Kopenhaskim. I przez cały czas jednocześnie węszyliśmy, poświęcając naszemu śledztwu każdą wolną od nauki chwilę.

— Naprawdę chodziliście od szpitala do szpitala?

Staruszek przytaknął ze wzrokiem wbitym w czarną podłogę.

— Naprawdę. To była mrówcza praca. Wówczas wszystkie dane pacjentów były przecież przechowywane na miejscu. Nie istniały żadne krajowe rejestry. W okolicy, którą wstępnie uznaliśmy za realny obszar, gdzie mógł mieszkać sprawca, było aż dziesięć szpitali. Była to, ogólnie mówiąc, środkowa Jutlandia, ale włącznie z wybrzeżem, zarówno od wschodu, jak i zachodu. Z drugiej strony... Tego urazu mógł doznać gdziekolwiek w kraju, więc nasza metoda nie była stuprocentowo pewna. Musieliśmy się jednak trzymać naszego żdźbła nadziei, więc wytrwale drążyliśmy. Proszę pamiętać, że w tamtych czasach Duńczycy byli mało mobilni. Zaczęliśmy metodycznie, za punkt wyjścia obraliśmy najbliższą okolicę. Nasz szpital w Brande zamknięto w sześćdziesiątym czwartym, a kartoteki przeniesiono do głównego szpitala gminnego w Vejle. Tam jednak niczego nie znaleźliśmy. Sposób działania modyfikowaliśmy w zależności od miejsca — i naszych możliwości. Najpierw robiliśmy rekonesans. Badaliśmy lokalizację placówki, jej pracowników, logistykę — czyli miejsce przechowywania kartotek, zarówno nowych, jak i starych. Na tej podstawie układaliśmy plan. Czasem udawałem

studenta medycyny z Uniwersytetu Kopenhaskiego. Pisałem właśnie pracę semestralną bazującą na statystykach i dlatego chciałem przejrzeć wasze kartoteki. Nie. Nie wszystkie, tylko te spełniające kryteria zagadnienia, które badam, z dziedziny ortopedii. Mój brat, jak wspominałem, był ode mnie bardziej przebojowy i bezpośredni. I nieźle radził sobie z kobietami. Trzykrotnie udawało mu się zbałamucić panie zajmujące się szpitalnymi archiwami. Jego strategia była prosta: najpierw zaczynał się z którąś spotykać — albo przynajmniej sugerował, że coś może z tego być. Potem opowiadał jej zawołowaną wersję prawdziwej historii i wówczas dziewczyna sama pomagała mu dostać się do archiwum. Z trzecią, ostatnią zwerbowaną do pomocy sekretarką nawet się ożenił — i wciąż są razem.

— A pan... Pan się nie ożenił?

Hansen w milczeniu pokręcił głową.

— Nie... Gdy stąd odejdę, odejdę w samotności.

— Ale znaleźliście go, sprawcę?

— To był czwartek rano, ósmego maja sześćdziesiątego dziewiątego roku. To ja trafiłem na właściwą kartotekę, gdy siedziałem w piwnicy pod szpitalem w Ringkøbing, udając studenta medycyny. Byłem uzbrojony w fałszywe rekomendacje prawdziwych profesorów i list mojego promotora, który wyrażał nadzieję, że jego student zostanie na prowincji dobrze przyjęty. Urazy palucha zdarzały się niezwykle rzadko, lecz aby je znaleźć, i tak trzeba było przejrzeć cały ogromny materiał. Kiedy go znalazłem, nie miałem cienia wątpliwości, że to on. Bydlak nazywał się Ejnar Schou. Przywieziono go do szpitala w Ringkøbing pod koniec lata w pięćdziesiątym dziewiątym. Pracował wtedy jako pomocnik w majątku w Hee. Podczas przygotowywania sprzętu do jesiennej orki spadł mu na nogę ogromny lemiesz. Na lewą nogę. I odciął mu mniej więcej połowę palucha. Lekarze amputowali mu resztę, zostawiając sam kikut. Kiedy dziesięć lat po wypadku odnaleźliśmy Ejnara Schou, wrócił w swoje rodzinne strony i przejął gospodarstwo po rodzicach. Dom leżał w Karstofcie — w prostej linii nieco ponad dziesięć kilometrów od FASTERHOLT, gdzie Agnethe bawiła

się na świątecznym balu. Mieszkał sam, ale kilka razy w tygodniu przychodziła do niego gospoia. Kolejne miesiące poświęciliśmy na gruntowne prześwietlenie tego człowieka. Włamaliśmy się na przykład do jego domu i przetrząsnęliśmy go od piwnicy po strych. Gdy skończyliśmy, ja, prawnik, byłem gotów wydać wyrok, a mój brat, policjant — go wyegzekwować. Rozumie pan, panie Oxen — władza sądownicza i wykonawcza skupione w naszym braterskim kolektywie.

— Jak zyskaliście pewność?

— Najpierw samo otoczenie. Gospodarstwo z bydłem, z zagrodami, dokładnie tak, jak to opisywała Agnethe. Podała policji najbardziej podstawowe informacje. Potem fakt, że Ejnar Schou zmienił samochód w środku grudnia. Jak się zdawało, całkiem niespodziewanie, bo jego starej simce podobno niczego nie brakowało. I całkiem zapomniał, kim był kupiec, gdy go potem o to spytaliśmy. Do tego doszła szpicruta, którą znaleźliśmy na miejscu. Agnethe miała mnóstwo podłużnych śladów po razach zadanych najprawdopodobniej batem albo trzcinką. W samym domu znaleźliśmy to, co kiedyś nazywano treściami obscenicznymi, czyli zdjęcia i teksty o charakterze pornograficznym. W szufladzie trzymał damskie majtki, a w głębi — dobrze schowany stanik. Należał do Agnethe... Był charakterystyczny, z małą różową kokardką. I do tego dodajmy brak lewego palucha — statystycznie patrząc, bardzo rzadki uraz. Wszystko to były istotne poszlaki. W stopniu zdecydowanie wystarczającym. Mieliśmy go. W końcu.

— I co zrobiliście?

Poul Hansen odpowiadał wyczerpująco, długimi, spójnymi zdaniami, jakby ciemność, która teraz całkowicie wypełniła wnętrze stajni, zachęcała go do zwierzeń temu obcemu, który w dramatycznych okolicznościach wyciągnął go z piwnicy małego domku przy drodze kawałek wyżej. A Oxen wyraźnie przeczuwał, co zaraz usłyszy.

— Zaplanowaliśmy naszą zemstę w najdrobniejszych szczegółach. Zostaliśmy tylko ja i mój brat. Reszta naszej szczęśliwej rodziny z Harrildholmu nie żyła. Mój ojciec tego nie doczekał. Umarł jako ostatni, półtora roku wcześniej. Do akcji

przystąpiliśmy w marcu, w czwartek późnym wieczorem, w strugach deszczu i wichurze. Chcieliśmy powetować sobie wszystko, co utraciliśmy. Wrzeszczał jak zarzynany świniak, kiedy się na niego rzuciliśmy w jego salonie. Do dziś pamiętam ten krzyk przerażenia. Za każdym razem, gdy przywołuję go z pamięci, od wewnątrz wypełnia mnie ciepło i spokój. Wywlekliśmy go na podwórko i przygotowaliśmy...

Rozdział 83.

Były szef departamentu poszurał lekko obcasem po podłodze, jakby przeszłość wciąż tam była, tuż pod warstwą cementu. Myślami cofnął się daleko w czasie. Nawet w ciemności, nie widząc twarzy Hansena, wyczuwał, że jest to moment kulminacyjny, chwila niezwykle intensywna.

A opowieść toczyła się dalej:

— Do najbliższego gospodarstwa był spory kawałek, więc nie przeszkadzały nam jego krzyki, kiedy go ciągnęliśmy przez podwórko do stodoły. Było dla nas oczywiste, że właśnie tam musi się to odbyć. Ręce związaliśmy mu jeszcze w domu, a na miejscu związaliśmy mu też nogi. Potem posadziliśmy go na ławie oskarżonych na środku pomieszczenia. Ławą była bańka na mleko. Trząśł się jak przerażony kundel. Stałem przed nim i odczytałem akt oskarżenia. On wówczas mimowolnie oddał mocz — być może uświadomił sobie, że dogoniła go jego przeszłość. Kiedy spytałem, czy przyznaje się do winy, wrzasnął „nie” i spadł z bańki. Wił się na podłodze. Posadziliśmy go z powrotem i przedstawiłem zebrany materiał dowodowy. Samochód sprzedał pod wpływem impulsu i nie pamięta komu, jak wspomniałem. Powiedział, że sprzedał go, bo chciał sobie kupić większy. Szpicruta została w stajni po koniu, którego trzymała w niej córka sąsiadów. Obsceniczne materiały kupił kiedyś od jednego obwoźnego sprzedawcy, z którym zaczął rozmawiać — i pić piwo — w zajeździe Hoven Kro. Twierdził jednak, że wcale do nich nie zaglądał. Nie potrafił w sposób wiarygodny wyjaśnić obecności majtek w swojej szufladzie. Mówił tylko, że lubi je sobie czasem nakładać. Stanik znalazł w rowie. Powiedział, że zabrał go, bo był taki ładny. Wtedy mój brat uderzył go tak mocno, że znów spadł na podłogę. A kiedy zdjęliśmy mu spodnie i mój brat przyłożył mu nóż do krocza, wrzasnął i się przyznał. Treść przyznania przygotowaliśmy wcześniej. Pamiętam każde słowo. Jest w mojej pamięci wyryte

na zawsze: „Ja, Ejnar Schou, niniejszym przyznaję, że dopuściłem się zbrodni na Agnethe Hansen w okresie od pierwszego do szóstego grudnia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego trzeciego roku. Okryłem się hańbą i uznałem, że muszę sam wymierzyć sobie karę i ponieść ofiarę największą, jaką może ponieść człowiek. Znam jej smutne losy. I znam już mój własny. Nie zasługuję na to, by żyć dalej. Przepraszam”. Podpisał kartkę, którą mu podsunęliśmy. Potem postawiliśmy go na dwóch skrzynkach, które ustawiliśmy na podłodze. Przerzuciliśmy linę przez poprzeczną belkę. I nawet kiedy nakładałem mu pętlę na szyję, patrzył na mnie wielkimi oczami, jakby wciąż nie wiedział, co się właśnie stało. Że został namierzony. Że w końcu go znaleźliśmy. Odczytałem mu wyrok — wyrok śmierci — i mój brat wykopał mu skrzynki spod nóg. Potem wróciliśmy pod Harrildholm i długo siedzieliśmy w samochodzie, milcząc i patrząc przed siebie w ciemność. Nie znaleźliśmy nowych właścicieli. Pojechaliśmy jeszcze na cmentarz złożyć kwiaty na rodzinnym grobie. A na koniec wróciliśmy do Kopenhagi.

— A Lupus?

— To był Lupus, panie Oxen. To był jego *początek*.

— Lupus... wilk — dlaczego?

— W dzieciństwie często bawiliśmy się tu, w okolicy, wszyscy czworo, razem z Agnethe. Ganialiśmy po Ulvemosen, Ulvemose Top albo Ulvemose Banke. Wyobrażaliśmy sobie wtedy, że gdzieś tam w lesie muszą być wilki. Jak w dawnych czasach.

— Ale wilków tam nie było. Aż do teraz.

— Racja. Nie wiem, może jest w tym jakiś symbol. Wróciłem do domu, w którym się urodziłem, poświęciwszy całe życie służbie Lupusowi, i wilk również wrócił do Harrild Hede. Myśli pan, że należy się w tym doszukiwać głębszego znaczenia? Bo przyznam, że osobiście podoba mi się ta myśl.

Oxen wzruszył ramionami.

— To nie ja powinienem odpowiedzieć na to pytanie. Zresztą jeden z wilków nie żyje. Został zastrzelony...

Staruszek wyprostował się i próbował w ciemności nawiązać z nim kontakt wzrokowy.

— Co pan mówi? Skąd pan to wie?

— Dostałem wskazówkę. Sam go wykopałem. W środku lasu.

— To robota szatana. Strzelanie do wilków jest u nas surowo wzbronione. Surowo! Bardzo szanuję te zwierzęta. Znaleziono winnego?

— Nie. Próbowałem przez jakiś czas wypatrzeć tu wilka. Na próżno.

— Więc może jest w tym więcej symboliki, niż mogło się wydawać. Widzi pan... Ja umieram, panie Oxen.

— Jak to?

— Mam raka prostaty. Na razie jakoś się trzymam, ale to się może drastycznie zmienić. Zaniechano dalszego leczenia. Dostałem zaświadczenie ze szpitala w Herning. Powiedziałem, że wróciłem do domu, by umrzeć. I taka jest prawda. Wróciłem do Harrildholmu, żeby pojednać się z własnym życiem. Tyle że miałem nadzieję, że będę miał na to nieco więcej dni. Zaświadczenie wystawiono niedawno. Lupus — i martwy wilk... Nasze ślady się przecinają.

— Niech mi pan opowie więcej o Lupusie.

— Lupus się rozrósł i stał czymś w rodzaju ideologii, że się tak wyrażę. Poglądem na życie, w którym odwołujemy się do wyższego porządku i uważamy, że uzasadnione jest wspieranie owego porządku, w razie gdyby sprawiedliwość nie została wymierzona tak, jak społeczeństwo na to zasługuje. Razem z bratem dorośliśmy, zrobiliśmy kariery, lecz w tyle głowy stale mieliśmy świadomość, że nasze życie ukształtowało to, co spotkało Agnethe — a potem resztę naszej rodziny. Lupus stał się czymś większym i lepiej zorganizowanym, aby oddawać sprawiedliwość tym, którzy słusznie się jej domagają. Albo podejmować działania prewencyjne. Zapobiegać dalszym zbrodniom. Lupus połączył w sobie kompetencje dwóch z trzech władz w trójpodziale władzy. Wykonywał i osądzał. Nie jak popadnie, lecz po starannych rozważaniach.

— Również zabijał?

— Sporadycznie.

— Na przykład dilera narkotyków?

— Tak, to mogłoby się zdarzyć. Gdyby znalazły się ku temu wystarczająco mocne powody.

— Obrabowanie dyrektora upadłego banku?

— Nie.

— Zabójstwo skazanego na pedofilię w Dolinie Motyli na Rodos?

— Tak. Działanie prewencyjne.

— Porwania? Nawet dzieci?

— To nie miało związku z wyrokiem i karą. To był czysty... biznes. Ale tak, od czasu do czasu byliśmy zmuszeni uciekać się do nietypowych dla nas rozwiązań, aby finansować naszą działalność — nad czym ubolewamy.

— Lissa Bille-Damberg?

— Tak. Choć w tym przypadku zostaliśmy ukarani za swoją pychę.

— Czy Joakim Jönsson dla was pracował? Korzystaliście z jego usług?

— Tak. Od czasu do czasu pracował dla nas jako ktoś w rodzaju pracownika kontraktowego. Pomagał nam w rzeczach, do których naszym zdaniem się nadawał. I których nikt inny nie zechciałby dotykać.

— Czym jeszcze zajmował się Lupus? Rabunki?

— Za naszych czasów tylko trzy.

— Co jeszcze?

— Dawniej zdarzało nam się wykonywać usługi dla Policyjnej Służby Wywiadowczej. Staliśmy się podwykonawcami, aby finansować nasz cel statutowy, że tak powiem, czyli stanie na straży sprawiedliwości. I tak, jeśli na przykład PET nie chciała sobie brudzić rąk, mogła wynająć Lupusa. Za z góry ustaloną cenę. Podobnie jak my wynajmowaliśmy Jönssona, kiedy to nie chcieliśmy brudzić rąk.

— A jakiego rodzaju zadania wykonywaliście dla PET?

— Och, wie pan, tyle się wtedy działo. Zwłaszcza podczas zimnej wojny prowadzonych było mnóstwo operacji, których zwykły człowiek nie byłby sobie w stanie nawet wyobrazić. Robiliśmy wtedy wszystko, od włamań po obserwacje, śledzenie i nielegalny podsłuch. Przeważnie najróżniejszych ugrupowań

lewicowych. A w dawnych czasach było ich bez liku. I z tego były dobre pieniądze.

— Pieniądze, które były wam potrzebne do czego?

— Jak mówiłem — do działań w służbie sprawiedliwości. Prowadziliśmy i wciąż prowadzimy własne działania. A ich planowanie i realizacja sporo kosztują. Głównie dlatego, że hojnie płacimy naszym ludziom za ryzyko, jakie podejmują.

— I kim oni są, ci ludzie?

— To ci wszyscy, którzy należą do naszego kręgu. Funkcjonariusze policji, którzy zajęli zdecydowane stanowisko.

Przez jakiś czas milczeli w ciemności. Czuł się dziwnie — a jednocześnie wydawało mu się logiczne, że prawda wyszła na jaw właśnie w tym miejscu. Tak bardzo przesiąkniętym tragedią.

— Dlaczego pan mi to wszystko opowiedział akurat teraz? I dlaczego ukrywał się pan u sąsiadów, a u siebie zamontował monitoring?

— Pan, panie Oxen, nie jest jeszcze dość stary, aby myśleć o swoim spotkaniu ze Stwórcą. A może się mylę? Otóż ja, siłą rzeczy, dużo o tym myślę. Nie wiem wszak, ile mi zostało dni, tygodni czy może nawet miesięcy. Zastanawiałem się nad tym od dawna. Być może sprowokowała mnie do nich emerytura i postępujący wiek. Bilans życia — tak to chyba można nazwać. Czy odpowiednio wykorzystałem swój czas tu, na ziemi? Czy nie powinienem był jednak przeciwstawić się temu, co było dla mnie prawdą niepodważalną: że te wszystkie tragedie ukształtowały mnie, uczyniły tym, kim jestem? Czy nie powinienem był się zbuntować i spożytkować swoje życie na coś innego, lepszego? Bo kimże ja jestem, by osądzać innych? Nie jestem uosobieniem sprawiedliwości, skoro sam siebie postawiłem ponad sprawiedliwością rozumianą tak, jak wspólnie, jako społeczeństwo demokratyczne, zdecydowaliśmy się ją rozumieć. W dodatku postawiłem siebie poza systemem jako wysoki urzędnik ministerstwa, które zajmowało się tworzeniem prawa w tymże systemie. Stałem się przestępcą. I jak każdy przestępca, zostanę pociągnięty do odpowiedzialności, kiedy przyjdzie mój czas. To, że nastąpi to już wkrótce, tylko mi pomogło zobaczyć wszystko jaśniej i wyraźniej. Jestem

zmuszony odciąć się od Lupusa. Muszę odbyć swoją pokutę, panie Oxen. Inaczej nie dostanę tego, czego pragnę najbardziej — spokojnej śmierci.

— I na czym polega to jasne spojrzenie i ta pokuta? Co mają do tego ukrywanie się i monitoring? Może mi pan to wyjaśnić?

— Pokutą jest to, że zdecydowałem się ujawnić istnienie Lupusa i jego działalność. Z moralnego punktu widzenia nie mogłem postąpić inaczej. Wydaje mi się, że mój brat domyślił się, co zamierzam. Dlatego chce mnie zabić. Przysłał Monrada, żeby wykonał brudną robotę. Monrad miał wobec Lupusa dług po tym, jak zlikwidowaliśmy dilerę winnego śmierci jego syna. Mój brat zażądał spłaty długu.

— Więc bratobójstwo.

— Widzi pan, ja przez całe życie nie widziałem najmniejszego powodu, aby wierzyć w Boga. Ale teraz... Czuję się, jakbym wkroczył w nowy obszar życia. Ten najbliżej krawędzi. Nie chciałem z tego robić pojedyńku w skali biblijnej, chociaż... Kain chciał zabić Abla za to, że Bóg przyjął ofiarę Abla, a odrzucił tę od Kaina.

Turbina w jego głowie zaczęła przyśpieszać i wyrzucać najróżniejsze skrawki myśli, które się w niej zrodziły od chwili, gdy po raz pierwszy pojawił się w Harrildholmie. Niektóre z tych skrawków łączyły się ze sobą w większe elementy, które teraz trafiały na właściwe miejsca. Inne wciąż tylko fruwały chaotycznie.

— Dlaczego pan zniknął? I nadal jest mi pan winien odpowiedź na pytanie o monitoring.

Widział, że Hansen kiwa głową i usłyszał cichy pomruk.

— Dobrze, już nie będę odbiegał od tematu... Swoje zniknięcie upozorowałem z obawy, że zostanę zlikwidowany, zanim dobije mnie rak. A potrzebowałem jeszcze trochę czasu. Monitoring służył tylko temu, abym widział, kiedy nadciągnie wróg — i pod jaką postacią. Czy będzie to sam Kain? A może wyśle posłańca? Jednego czy więcej? Ukryłem się u Hyldtoftów, bo Ivar był moim dobrym kolegą ze szkoły. Wydało mi się to rozsądne, że im bliżej Harrildholmu się ukryję, tym bardziej będę bezpieczny.

— Poza Monradem kamery uchwyciły również dawnego szefa PET Axela Mossmana. Dlaczego?

— Oczywiście wiem, kim jest Mossman. Ale o to, czego tu szukał i czy wpadł na trop Lupusa, musi pan zapytać jego. Ja nie znam odpowiedzi.

— Wróćmy teraz do mojej znajomej, która zaginęła — Margrethe Franck.

— Z PET, prawda?

— Tak. Po wysłuchaniu pańskiej opowieści wydaje mi się, że to pański brat ją przetrzymuje. Ona odegrała ważną rolę — jakkolwiek nieświadomie — we fiasku, jakim się zakończyło porwanie Lissy Bille-Damberg. To ona zabiła Jönssona w Sydhavnen. Zna pan jakieś miejsce, w którym pana brat może ją przetrzymywać? Jakiś letni domek, wakacyjny apartament, łódź, dodatkowe lokum, cokolwiek? Albo dobrzy znajomi, którzy dysponują czymś odpowiednim? Proszę się dobrze zastanowić. Jeśli mi pan pomoże znaleźć Margrethe Franck, to być może będziemy mogli zawrzeć rodzaj dżentelmeńskiej umowy odnośnie do Monrada. Proszę pomyśleć...

I rzeczywiście staruszek długo się namyślał, bardzo długo. W końcu odpowiedział:

— Esben jest właścicielem opuszczonego gospodarstwa w Värmlandzie w Szwecji. Poza tym w rodzinie jego żony jest dom letniskowy w Vejerst na zachodnim wybrzeżu Jutlandii. I jeszcze mieszkanie własnościowe w Nørrebro, które kupili dla swojego syna. On po studiach się wyprowadził, a oni je zatrzymali. Ale z tego, co wiem, wynajmują to mieszkanie. A co do znajomych... Hm... Kojarzę pewne małżeństwo, które ma domek w Rørvig. To wszystko, co mi w tej chwili przychodzi do głowy.

Wyciągnął z kieszeni telefon, który w ciemnej stajni zaświecił jak prom kosmiczny na orbicie. Wybrał numer Mossmana.

— Mówi Oxen. Musimy pilnie sprawdzić kilka adresów — niemal krzyczał. — Możliwe, że Margrethe przetrzymuje brat Poula Hansena, były komendant Esben Hansen. Chodzi o dom na odludziu w Szwecji, domek letniskowy na zachodnim wybrzeżu Jutlandii i...

— Czekaj, Oxen, czekaj — zdecydowany ton, jakim Mossman mu przerwał, wydawał się nie na miejscu. Właśnie byli bliżej odnalezienia Margrethe niż kiedykolwiek.

— Czekaj?! Jakie, kurwa, czekaj?

Mossman dokończył spokojnie:

— Miejsca, o których mówisz, i te, które zapewne chciałeś wymienić, już dawno zostały sprawdzone. W żadnym nie ma najmniejszych śladów Margrethe.

— Ale skąd, u licha, wiedziałeś...?

Rozdział 84.

Front monumentalnego budynku dworca w Aarhus z dwiema kolumnami po lewej robił wrażenie i zdecydowanie wart był, aby mieścić również urząd centralny — nawet jeśli ten znajdował się na prowincji. Na granitowym nadprożu pod reliefem z symbolem królewskiej korony widniał napis „Poczta i Telegraf”.

— O tak, stare, dobre czasy — westchnął z nostalgią Mossman i przystanął z odchyloną w tył głową tuż przed schodami. — Najpierw była królewska służba pocztowa i służba telegraficzna. Potem się połączyli, a teraz — szkoda gadać, roznosimy listy razem ze Szwedami. O ile jeszcze są jakieś listy do roznoszenia.

Mossman pokręcił głową i pchnął ciężkie drewniane drzwi, jednocześnie ruchem głowy wskazując tabliczkę na ścianie.

— A teraz mieści się tu jeszcze inna służba. Niektórzy z naszych kolegów pewnie nazwaliby ją służbą szatana.

Weszli schodami do recepcji, skąd sekretarka zaprowadziła ich do biura Bodil Nyhuus, dokładnie o dziesiątej trzydzieści.

Szefowa Niezależnego Organu Odwoławczego od Działania Policji, która nadzorowała dochodzenia w skargach lub sprawach dyscyplinarnych przeciwko policjantom, siedziała za nowoczesnym biurkiem. Nie wstała, tylko popatrzyła na nich znad okularów i przywitała ich chłodnym skinieniem głowy.

— Witaj, Mossman. Oraz...?

— Oxen — przedstawił się.

— Witajcie w Aarhus, panowie. Zaznaczę od razu, aby nie było zaskoczenia — mam dla was dokładnie pół godziny.

Instynktownie ją polubił. Od razu przechodziła do sedna i wyrażała się precyzyjnie. Jeśli sprawiała wrażenie nieco zirytowanej, to pewnie dlatego, że Mossman, gdy prosił ją o spotkanie, nie chciał zdradzić powodu. Albo raczej żądał spotkania. To zrozumiałe, że szefowa izby dyscyplinarnej nie przepadała za tego typu niejasnymi sytuacjami. Ale nikt nie

mógł sobie pozwolić, aby odmówić Mossmanowi. Nawet Bodil Nyhuus.

— Zatem w czym mogę wam pomóc, skoro nie uznałeś za stosowne zdradzić mi tego wcześniej? — zwróciła się do Mossmana.

— Wybacz. Uważałem, że łatwiej będzie to zrobić osobiście — odparł.

Zerknął z boku na starego wygę z PET. Jego odpowiedź oczywiście miała ukryć fakt, że Mossman nie chciał, aby szefowa mogła przygotować sobie odpowiedzi na ich pytania, do których zresztą natychmiast przeszedł.

— Przyjechaliśmy, żeby cię spytać o człowieka należącego niegdyś do mojej... parafii. Troelsa Monrada. Mówi ci coś jego nazwisko?

Szefowa również była w swoim fachu mistrzynią i w jej spojrzeniu nie było najmniejszego śladu zaskoczenia.

— Troels Monrad? Tak... mówi mi to coś. Dlaczego? Poproszę o pytania w formie mniej zakodowanej.

Mossman uśmiechnął się i mruknął coś pod nosem, ale się zgodził.

— Oczywiście. Po pierwsze: *skąd* go znasz? Po drugie: *dla*czego go znasz? Po trzecie: *kiedy* widziałaś się z nim po raz ostatni?

Bodil Nyhuus pokiwała głową z uznaniem.

— Ad jeden. Wszedł do mojego biura po raz pierwszy jakieś pół roku temu, przedstawił się i nalegał na rozmowę ze mną. Czekał na krześle bite półtorej godziny, aż byłam wolna. Drugi i ostatni raz był tu mniej więcej trzy miesiące temu. Ad dwa. Troels Monrad z marszu złożył wyjątkowo rozwlekłe zeznanie na temat organizacji działającej w szeregach policji, komórki o nazwie Lupus. Miała się zajmować egzekwowaniem alternatywnej formy sprawiedliwości. Innymi słowy, Lupus zajmował się samosądem. Działalnością, którą znamy z potwierdzonych i budzących grozę opowieści z wielu miejsc na Ziemi — na przykład z odrażających działań bojówek reżimu wojskowego w czasie wojny w Argentynie, brutalnych działań policji w brazylijskich fawelach albo, by dać przykład z naszego podwórka, z działalności tak zwanej Ligi Baseballowej

stworzonej na początku lat osiemdziesiątych przez naszych szwedzkich kolegów w Norrmalm w Sztokholmie. Kopnęłabym go w dupę i zabroniłabym zawracać mi głowę, gdyby jego opowieść nie była tak dalece szczegółowa. A także bardzo osobista. Dlatego kazałam swoim ludziom uważnie mu się przyjrzeć. Okazuje się, że pod pewnymi względami Monrad to postać podejrzana. Gra za dużo w stosunku do swoich dochodów. Żyje w odosobnieniu. Widuje się tylko z córką, i to sporadycznie. Do tego ta przeszłość. Zweryfikowałam jego relację. Miał syna, który zmarł z przedawkowania narkotyków. Później zmarł diler, który był winien śmierci chłopaka. Zmarł w brutalnych i podejrzanych okolicznościach. Monrad wyznał, że był zaangażowany w śmierć dilera. Diler został znaleziony w piwnicy w centrum Aarhus, pobity i martwy z przedawkowania. Zatem w historii Monrada było ziarno prawdy. To ustaliliśmy ponad wszelką wątpliwość. Ad trzy. Jak powiedziałam, po raz ostatni widziałam go około trzech miesięcy temu. A teraz moja kolej. Zdradź mi, Mossman, po co ta cała tajemnica. Dlaczego przychodzisz mnie przesłuchiwać, i to tu, w moim biurze? O co tu chodzi?

Bodil Nyhuus piorunowała Mossmana wzrokiem, ale jego ogromne ciało zdawało się przyjmować elektryczne ładunki niezauważenie.

— Dlatego, że Troels Monrad nie żyje.

Bodil Nyhuus nieznacznie zmrużyła oczy.

— Jak?

Mossman pokrótce przedstawił jej okoliczności zabójstwa. Tych dwoje rozmawiało ze sobą jak równy z równym, dlatego postanowił na razie nie zabierać głosu.

— W zeszłym tygodniu byłam w Kanadzie. Mam tam rodzinę. O niczym nie słyszałam — odparła, kiedy Mossman skończył mówić. — Ale oczywiście nie muszę być informowana o każdym zgonie w Danii. Zamierzacie sprawdzić związek między zabójstwem a jego teorią o Lupusie?

Mossman wzruszył ramionami.

— Ja, jak wiesz, jestem na emeryturze. Ale prowadzone jest szerokie śledztwo.

— I możesz mi przypomnieć, w którym momencie pojawiło się moje nazwisko? — chciała wiedzieć szefowa komórki dyscyplinarnej policji.

— Znaleźliśmy plik luźnych zapisków Monrada. Widniejesz tam na czymś w rodzaju wstępnej wersji umowy. Monrad miał pozostać bezkarny i otrzymać górę pieniędzy w zamian za podstawienie ci Lupusa. Dużą górę pieniędzy.

— Tak myślałam — skwitowała Nyhuus. — To było właściwie do przewidzenia.

— W tej chwili jednak jest coś, co dla nas liczy się bardziej niż wszystko inne. Otóż nasza koleżanka mogła zostać porwana przez Lupusa. Dlatego chcę cię prosić, abyś teraz dobrze się zastanowiła. Czy Monrad w którymkolwiek momencie wspomniał o jakimś miejscu, przyczółku albo czymś w rodzaju centrum dowodzenia Lupusa? Innymi słowy, czy mógł podsunąć ci jakąś wskazówkę, która mogłaby nas naprowadzić na trop naszej koleżanki?

Bodil Nyhuus nie potrzebowała ani sekundy na zastanowienie.

— Nie. Nie mam bladego pojęcia, gdzie Lupus ma swoją norę. Ani gdzie mogła zostać ukryta wasza koleżanka. Przykro mi. I co teraz, Mossman? Ja bez Monrada nie mogę nawet wszcząć dochodzenia. Pytanie, co ty zamierzasz zrobić w związku z Lupusem. Co zamierza zrobić Salomonsen i PET?

— Wybacz, ale w tej chwili muszę pozostawić twoje pytania bez odpowiedzi. Jak dotąd mamy być może niejasny zarys Lupusa, ale nic poza tym. To raczej cień niż coś, co da się udowodnić. Pozostaje nam kopać dalej, licząc, że ów cień zacznie przybierać bardziej namacalne formy. Cóż, nie będziemy ci zabierać więcej twojego cennego czasu.

— Daj znać, jeśli będę mogła w czymś pomóc. Albo przejąć sprawę. — Bodil Nyhuus wstała i podała im rękę.

Rozdział 85.

Wiatr był tak silny, że fale pokazywały zęby nawet tu, w zatoce wcinającej się w głąb lądu. Spod królestwa Bodil Nyhuus odjechali każdy swoim samochodem. Teraz siedzieli w samochodzie Mossmana na parkingu przy plaży Moesgård Strand na południe od Aarhus. Z miejsca, w którym zaparkowali, mogli patrzeć na morze.

Miał przecucie, które Mossman najprawdopodobniej podzielał. Że przyszedł czas na ostateczną rozgrywkę.

Pora rozegrać to rozdanie. Teraz Mossman przystępował do *gry* na poważnie. Teraz miało się okazać, czy posiada dość wiedzy, by utrzymać swoją pozycję przy boku tego budzącego grozę umysłu, który zawsze miał co najmniej jeden ukryty cel — i całą masę innych, ledwie widocznych.

— Popatrz, żołnierzu. Tam, po lewej, musi być zasmarkany nos Djurslandu, a kawałek dalej zatoka Kalø. Trochę wyżej po prawej widać czubek Samsø. A dużo, dużo dalej, między tamtymi dwoma punktami, jest Mierzeja Zelandzka, z której wypłynąłem promem wczesnym rankiem. Z daleka wszystko się zlewa i trudno rozróżnić, gdzie jedno się zaczyna, a drugie kończy i ile zostało w tyle. Tak samo jak w tym dziwnym świecie, w którym żyję, Oxen. Wieczna pogoń za konturami. A ty — potrafisz zobaczyć Lupusa jasno i wyraźnie?

— Wiedziałeś, że były szef departamentu miał brata, który był kiedyś komendantem. Esben Hansen — dlaczego mi o nim nie powiedziałaś?

Mossman wzruszył ramionami pod tweedową marynarką.

— Uważałem, że to odwróci twoją uwagę od właściwego zadania: odnalezienia Poula Hansena. I nie miałem żadnych dowodów na to, by Esben czy Poul byli bezpośrednio zaangażowani w działania Lupusa. Tylko domysły.

— Harrildholm jest ich domem rodzinnym.

Mossman odwrócił się gwałtownie.

— *Naprawdę?*

— Wczoraj wieczorem, kiedy zadzwoniłem do ciebie z tamtej stodoły, powiedziałem ci tylko ułamek historii. Poul Hansen powiedział mi o wiele, wiele więcej.

— Zatem mów, żołnierzu. Oświeć mnie.

— Możemy się wymienić.

— Och, znów to samo, prawda? *Quid pro quo*. Czego chcesz?

— Wiesz, skąd się wziął ten stary wycinek z gazety? I czy istnieje związek pomiędzy nim a Lupusem?

— Dlaczego nie spytałeś samego Hansena?

— Pytam ciebie.

— Staruszek musiał chyba mieć to u siebie przez te wszystkie lata. I skoro on jest częścią Lupusa, to niewykluczone, że istnieje związek z Sydhavnen. Związek, którego nie znamy.

— Spójrz na mnie, chcę zobaczyć twój nos.

Mossman znów się odwrócił i spojrzał na niego zdumiony.

— Mój nos?

— Wydłuża się.

Mossman z wielkim trudem się uśmiechnął i mruknął pod nosem jak niedźwiedź.

— Mossman, twój nos rośnie za każdym razem, gdy kłamiesz. Jak u Pinokia. Spróbuję raz jeszcze: skąd się wziął ten artykuł?

Mossman rozłożył ręce poirytowany.

— *Dammit, Oxen*. Skąd, u licha, mam to wiedzieć?

Odchylił się w fotelu i przytrzymał wzrok Mossmana, jednocześnie bębniąc palcami o własne udo. Zwlekał, aż napięcie między nimi stało się niczym naciągnięta cięciwa łuku. W końcu wypuścił strzałę.

— Stąd... że sam go tam podłożyłeś.

Dawny olbrzym z PET westchnął z taką mocą, z jaką wieloryb wypuszcza fontannę z otworu na swoich plecach. Potem pokręcił głową, aż girlandy skóry pod brodą rozkołysały się od zatoki Kalø aż po północny czubek Samsø.

— W porządku... *Touché*. Niech ci będzie. Skoro nie może być inaczej.

— Dlaczego?

— Dlatego, że w mojej naturze leży zawsze chcieć tego, co *najlepsze*. A najlepsi to Margrethe Franck i ty. Nikt inny.

— A skoro nie mam już psa, którego mógłbyś powiesić...

— A ty znów o tym samym. To było w interesie kraju, Oxen. Czułem po prostu, że tym razem nie masz ochoty mi pomóc. Więc gdy zgodziłeś się przynajmniej zajrzeć do Poula Hansena w czasie wakacji z Magnusem, dostrzegłem w tym swoją szansę. Nikłą, jednak dość dużą, aby spróbować przepchnąć wielbłąda przez igielne ucho — z użyciem małego podstępu. Teraz moja kolej: dlaczego nie powiedziałaś mi od razu, że znalazłeś kryjówkę Monrada?

— Wtedy myślałem, że to ty założyłeś monitoring w Harrildholmie. Uznałem, że nie powinienem się z tobą dzielić wszystkim, skoro ty nie dzieliłeś się wszystkim ze mną. Po tym, jak przejrzałem twardego dyska, wiedziałem, że to ty, z najwyższą dyskrecją, podłożyłeś ten artykuł. Ale wciąż nie wiedziałem po co. A wczoraj wieczorem w stodole dostałem całą historię Lupusa. Lupus to dzieło obu braci. Dzieło ich życia, można powiedzieć. Lepiej dobrze posłuchaj...

Kiedy chwilę później skończył streszczać Mossmanowi historię Harrildholmu i wszystkich tragedii, jakie się w nim rozegrały, Mossman ścisnął kierownicę tak mocno, że kłykcie mu zbieleły.

— A kiedy wreszcie go namierzyli, idąc tropem uciętego lewego palucha, zrobili z nim to, co się stało z ich siostrą. Powiesili go w jego własnej stodole. Ale Lupus żył dalej i rósł.

— Więc to byli oni, bracia Hansenowie.

— I to im nieświadomie naraziła się Margrethe, kiedy zaczęła analizować szczegóły własnego wypadku z Sydhavnen. Bo Lupus ukrywał wówczas coś w bagażniku Joakima Jönssona. I *nigdy* byś nie zgadł, co to było.

Mossman mruknął uradowany i odpowiedział:

— Małą dziewczynkę, Lissę Bille-Damberg.

— *Co?* — Jego podniesiony głos zadudnił w samochodzie. Serce mu zamarło i potrzebowało długiego rozbiegu, aby ponownie zacząć bić. — Skąd, u licha, to wiesz?! — Złapał się na tym, że kolejny już raz krzyczy na Mossmana.

— Wprawdzie się nie przedstawiłem, ale to ja zadzwoniłem do kolegi Margrethe, Klause Tranego. W zasadzie przystawiłem mu pistolet do głowy i kazałem wyjąć to dziecko i przełożyć do bagażnika jego radiowozu.

— Więc i ty jesteś w Lupusie?

— Nie, to nie tak... Zmusiłem go też, żeby odstawił dziewczynkę z powrotem do domu. Sprawilem, że *odstało* się coś, co się stało. Oxen, na tym polega moja rola. Wtrącam się, odczyniam i podtrzymuję iluzje.

Milczał przez chwilę i przesunął wzrok z Mossmana na morze, na jego bezkres i na dziurę pomiędzy lądami, w której mogło ono zniknąć. Turbina w jego głowie z ogłuszającym świstem przyspieszyła, a spojrzenie wróciło na plażę Moesgård.

— Dlaczego?

— Bo złe rzeczy nie powinny się przytrafiać małym dzieciom. Dlatego, żołnierzu.

— I dlaczego jeszcze?

— Bo tak było najlepiej dla wszystkich.

— Swoją interwencją pośrednio ochroniłeś Lupusa.

— Zgadza się. Ukryłem coś, czego nikt tak naprawdę nie miał ochoty zobaczyć.

— Ale skąd wiedziałeś?

— Tamtego dnia miałem spotkanie u nas, w Søborgu. A zaraz po nim niespodziewanie zostałem wezwany na kolejne spotkanie. Gdy wróciłem do siebie do biura, znalazłem wiadomość. Kogoś musiało ruszyć sumienie. Typowy *whistleblower*. W wiadomości było napisane, że niejaki Joakim Jönsson w takim a takim samochodzie o takich a takich tablicach o ustalonej godzinie porwie spod szkoły córkę Billego-Damberga. Było tam też napisane, że akcję przeprowadza Lupus. Przez to dodatkowe spotkanie wiadomość dostałem za późno. Operacja była w toku. Pognałem do mojego szefa operacyjnego i wspólnie szybko ustaliliśmy, jak wygląda sytuacja. Sytuacja tymczasem zrobiła się lekko dramatyczna, bo Trane i Franck ścigali podejrzanego srebrnego peugeota o numerach dokładnie takich jak te „moje”. Wtedy interweniowałem.

— Czyli przez te wszystkie lata znałeś całą historię wypadku Margrethe? I ukrywałeś ją przed nią?!

Mossman wolno pokiwał głową.

— Tak, żołnierzu. Przecież sam byłem częścią tej historii. A zresztą co to za różnica? Prawda nie pozwoliłaby Margrethe odzyskać nogi.

— Kurwa mać!

— Oxen. Spójrz na to z szerszej perspektywy. To, że duńscy policjanci są uczciwi, nieprzekupni i nieskalani, to iluzja, którą należy pielęgnować i podtrzymywać.

— Skłamałeś i pozwoliłeś przestępcom uniknąć kary.

— *Dammit!* — Mossman walnął swoją niedźwiedzią łapą w kierownicę, aż nadwozie się zakołysało. — W demokracji nie chodzi o szczerłość! W demokracji chodzi o poczucie bezpieczeństwa. Każdy Duńczyk chce, żeby go ukołysać do snu, otulić ciepłą kołdrą po samą szyję i zgasić lampkę przy łóżku. I ja właśnie to robiłem. Trzymałem straż dwadzieścia cztery godziny na dobę przez trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku. Byłem wartownikiem, sternikiem i kanonierem. Nikt mnie nie widział, ale byłem tam i czuwałem. I — czuwam nadal.

— I skorzystałeś z okazji, że tego samego dnia trafił się napad na Gammel Kongevej.

— Nie dość, że w ostatniej chwili udało mi się wkroczyć do akcji i zwrócić dziecko rodzicom, to jeszcze musiałem posprzątać bajzel, jaki zostawił po sobie Lupus w Sydhavnen. Więc tak, dostrzegłem tę możliwość. Napad na Danske Bank był podpisany nazwiskiem Struvego, aż razіło w oczy. Mieliśmy zdjęcia z monitoringu w banku i choć był zamaskowany, to i tak widziałem od razu, że to może być on. Poza tym nagle zniknął. Żona powiedziała szefowi operacyjnemu, którego do niej wysłałem, że Struve wyjechał na wakacje z paroma ziomkami. Mój człowiek dokładnie jej wyjaśnił, co może zaproponować Struvementu, gdyby jednak przypadkiem się na niego natknęła: że w razie gdyby policja ich namierzyła, może zapewnić temu, który strzelał, wolną drogę ucieczki, jeśli postąpi mądrze i skorzysta z szansy, jaka się nadarzyła. Struve postąpił mądrze i skorzystał. Z pomocą przyjaciół — i zgodnie z moimi

instrukcjami — podrzucił plany banku do mieszkania siostry Jönssona w Szwecji. I tym sposobem stworzyłem nową iluzję...

— Że to Jönsson strzelał przy Gammel Kongevej.

— Właśnie. A Lupus przepadł — bez śladu. Trzeba było tylko wygrzebać z materiałów dane z masztu nadawczego — zarówno w formie papierowej, jak i elektronicznej. One musiały zniknąć, aby nikt się nie dowiedział, że z jakiegoś numeru zadzwoniono do komisarza Tranego w czasie, gdy w Sydhavnen rozpętało się piekło. Sprawca nie żyje — sprawa zamknięta. Nikt nie będzie się specjalnie trząsł nad wyjaśnioną sprawą. I nikt się już więcej nie przejmował nieistotnymi danymi od operatorów.

— To dlatego skłamałeś wtedy w samochodzie. Wcale nie dzwoniłeś zapytać o te dane człowieka, który wtedy prowadził śledztwo. Tej kwestii akurat wolałeś nie poruszać. Wiem, bo z nim rozmawiałem. Z ówczesnym szefem dochodzenia, Kvistem.

— A widzisz... Odwaliłeś kawał solidnej, rzetelnej roboty, Oxen. Ale rzeczywiście. Mówiąc szczerze, uważam, że przeszłość ma się najlepiej tam, gdzie jest — w przeszłości.

Axel Mossman nie wydawał się jednak do końca zadowolony ze swojego wkładu w tamtą sprawę.

— Lupus przysłał ci zatem list dziękczynny?

— Myślę, że członkowie Lupusa przecierali ze zdumienia swe małe oczęta. Bo jak często ktoś nieoczekiwanie przychodzi ci z pomocą, kiedy akurat siedzisz po uszy w gównie? W samochodzie Jönssona policja powinna była znaleźć dziewczynkę z tornistrem. A tu *nagle* dziewczynka zniknęła, a Jönsson w jednej chwili z pacholka Lupusa stał się członkiem gangu Struvego.

— Jesteś prawdziwym diabłem.

— *Well, soldier*. Wszystko, jak wiadomo, zależy od tego, czyimi oczami się patrzy. Zgasilem lampkę nocną duńskiemu narodowi, naciągnąłem mu kołdrę i pogłaskałem go po policzku na dobranoc.

Duży frachtowiec wyłonił się z zatoki Aarhus i wywołał potężną, spóźnioną reakcję, gdy fale gwałtownie potoczyły się od dzioba i uderzyły w brzeg. W starej sprawie Margrethe Franck z Sydhavnen dziób przeciął tafłę wody już dwanaście lat

temu, lecz fale dobijały do brzegu dopiero teraz. Człowiek, który wówczas uspokoił morze, teraz zmienił zdanie.

— I po tych wszystkich staraniach, aby posprzątać po Lupusie, teraz chcesz ich zdemaskować? Dlaczego, Mossman? Dlaczego wysłałeś mnie do Harrildholmu? Tego wciąż nie rozumiem.

— Do końca nie wiedziałem, kim jest Lupus. I tak jak pozostali, którzy słyszeli o tej organizacji, chyba nie do końca chciałem to wiedzieć. To był łut szczęścia. Harrildholm pojawił się w materiałach z archiwum Danehofu. To były moje drzwi. Mam obowiązek wymazać tę plamę na honorze korpusu.

— Lupus pracował dla PET. Zdarzyło ci się korzystać z jego usług?

— Nie, Oxen. I podkreślam to z całą mocą — nie! Nigdy. Ale wielu z moich poprzedników, owszem. Trzeba pamiętać, że to były czasy Związku Radzieckiego i nieustannej, wszechogarniającej i miażdżącej groźby wojny atomowej. W tamtych czasach słów „imperializm” i „walka klasowa” używano zamiennie. Czasy, w których frakcji, stowarzyszeń, związków i ugrupowań lewicowych było tyle, ile liter w duńskim alfabecie: DKP, VS, SAP, KAP, KAK, KFML — sam znajdziesz jeszcze więcej. I w tym całym tyglu mieszały się trockiści, maoiści, leniniści i marksiści, niektórzy bardziej fanatyczni od innych. Niech żyje rewolucja... — Mossman wypuścił głośno powietrze przez nos i pokręcił wielką głową, zanim ponownie podjął wątek. — Potem pojawiły się: Wspólny Kierunek, ruch Tvind, Czerwona Szkoła Ludowa^[2] i cała reszta na wpół sekciarskich ruchów i organizacji, którym należało patrzeć na ręce. Nie wspominając o tych, które miały bardziej zawężone spektrum zainteresowań, jak Komitet Nikaraguański, Grupa Ekwadorska, najróżniejsze zrzeszenia propalestyńskie i antyapartheidowskie i wiele, wiele innych. Ech, to były czasy, Oxen. W Policyjnej Służbie Wywiadowczej brakowało rąk i uszu do roboty. Więc się je wynajmowało. Również od wilków z Lupusa.

Kiwał głową, słuchając tych wszystkich skrótowców i nazw. Słyszał je w dzieciństwie. Wszystko się zgadzało. Od dawna widział w tamtym krajobrazie cień Mossmana.

— I teraz boisz się, co mogą znaleźć twoi ludzie z komisji Mossmana. Ci wszyscy twoi akademicy, twoi historycy... Boisz się, do czego mogą się dokopać w archiwach. Zarówno tego o podsłuchach prowadzonych przez Lupusa, jak i prostego faktu, że PET wykorzystywała przestępców w policyjnych mundurach jako siłę roboczą. I stąd ta zmiana.

Mossman uśmiechnął się cierpko i pokiwał głową z uznaniem. On natomiast ciągnął dalej, w pełnym skupieniu:

— Po tym, jak cię wysłuchałem, jestem skłonny uznać, że starasz się wymazać wszelkie ślady Lupusa dlatego, że te ślady nieuchronnie prowadzą do ciebie samego i niekonwencjonalnej procedury, jaką przeprowadziłeś w Sydhavnen.

Mossman znów pokiwał głową.

— *My black knight in shining armour...* Och, przyjacielu, kiedy spotkałem cię po raz pierwszy, na posterunku w Aalborgu, już wtedy wiedziałem, że możesz się stać nieodzownym narzędziem. Przyznaję jednak, że wówczas myślałem przede wszystkim o twojej kondycji fizycznej, samodyscyplinie i wytrzymałości komandosa. Nie doceniłem cię, i to rażąco. Dosadnie mi to uzmysłowiły nasze wspólnie spędzone lata. Zwłaszcza teraz uświadamiam to sobie z całą mocą... I cieszę się. Jesteś wybitnym wywiadowcą, a co się tyczy inteligencji i intuicji, jesteś jedyny w swoim rodzaju, Nielsie Oxenie. Cóż... Gdybyśmy wciąż znajdowali się w czasach mojej świetności i gdybyś ty był... w nieco innym położeniu, razem moglibyśmy się stać niezwyciężeni. *Invincible*. A tak musimy się zadowolić tymi krótkimi przerywnikami od czasu do czasu, kiedy próbujemy się wzajemnie wybadać.

Już miał mu powiedzieć, żeby szedł się gonić, ale akurat zerknął w prawe lusterko. Ze wzgórza w ich stronę jechał motocykl. Zbliżał się ze sporą prędkością do tego krańca parkingu, w którym stali. Plac w tym miejscu się zaokrąglął, a oni zaparkowali pod drzewem obok czarnego budynku sklepiku, zamkniętego o tej porze roku.

— Słuchaj uważnie! Jeśli powiem „kryj się”, natychmiast pochyl głowę. Jasne?

Mossman spojrział na niego pytająco.

— Jasne?

Mossman skinął głową

Sam wyjął z kieszeni kurtki pistolet i odciągnął kurek. Motocykl był teraz góra czterdzieści metrów od nich. Odwrócił się na swoim miejscu i wbił wzrok w zbliżający się pojazd. Kierowca miał czarny kask z przyciemnianym wizjerem i czarny skórzany kombinezon.

Przygotował się na to, co wydawało się nieuniknione. I wtedy motor gwałtownie zwolnił i podjechał do nich całkiem spokojnie, po czym zahamował.

Mossman siedział obok niego w fotelu kierowcy i widać było, że jest spięty. On z kolei wycelował pistolet w mężczyznę na motorze, który najwyraźniej to widział, bo wolnymi, przesadnymi ruchami wypuścił kierownicę, wyprostował się i zdjął rękawice.

Jednym palcem ostrożnie zapukał w ich boczną szybę. Mossman guzikiem ją opuścił.

— Axel Mossman? — usłyszeli z wnętrza kasku.

— *Speaking* — mruknął Mossman.

Motocyklista uniósł w górę otwarte dłonie, po czym rozpiął suwak jednej z kieszeni i nienaturalnie wolnym ruchem wyjął z niej telefon komórkowy. Wybrał numer, włączył tryb głośnomówiący i przez okno podał telefon Mossmanowi.

— Proszę. Jest rozmowa.

Mossman z wyraźną nieufnością wziął telefon, który niemal zniknął w jego dużej dłoni.

— Tu Mossman!

— Witaj, Axelu Mossmanie. — W głośniku zabrzmiał neutralny męski głos. — Posłuchaj uważnie. Przekażę ci teraz instrukcje, które musisz wykonać, jeśli chcesz zobaczyć swoją dawną pracownicę Margrethe Franck żywą...

[2] Wspólny Kierunek (duń. *Fælles Kurs Klubben*) — partia lewicowa działająca w latach 1986 – 2001. Ruch Tvind (duń. *Skolesamvirket Tvind*) — stowarzyszenie prywatnych szkół, firm i organizacji pozarządowych założone około 1970 roku jako ośrodek edukacji alternatywnej dla młodzieży z problemami w miejscowości Tvind, od której organizacja wzięła swoją nazwę.

Przez niektórych byłych uczniów i pracowników jest opisywana jako sekta polityczna. W 2013 roku znaczna część starszych członków zarządu organizacji została skazana zaocznie za unikanie podatków i malwersacje i trafiła na listę poszukiwanych przez Interpol. Czerwona Szkoła Ludowa (duń. *Den Røde Højskole*) — szkoła ludowa założona w 1971 roku w Svendborgu jako szkoła ludowa o profilu „socjalistycznym”. W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych stała się przedmiotem zainteresowania PET przez swoje kontakty z blokiem wschodnim i działającym w Danii wywrotowym ruchem squatterskim BZ. Źródło: Wikipedia — *przyp. tłum.*

Rozdział 86.

Młody mężczyzna siedział z nienaturalnie wykręconą głową, z brody zwisała mu nitka śliny. Był przypięty do wózka inwalidzkiego.

Pracownik domu opieki Stefanshjemmet wskazał na niego głową i powiedział:

— To jest właśnie Lukas Lewander. Ale... raczej nic nie wyniesie pan ze swojej wizyty. Jak pan widzi, jego stan jest... *wegetatywny*.

Viggo Borg z wydziału do spraw przestępczości przeciwko zdrowiu lub życiu komendy stołecznej spojrział na chłopaka i poczuł, jak silna obręcz ściska mu serce.

Przejechał z Kopenhagi taki szmat drogi, licząc, że będzie mógł porozmawiać z Lukaszem Lewanderem. W aktach było napisane, że mężczyzna doznał trwałego uszkodzenia mózgu po tym, jak został napadnięty tamtej nocy w Aalborgu na niesławnej Jomfru Ane Gade. Ale że owo uszkodzenie było tak rozległe, tego Borg w nich nie wyczytał. Ten biedak raczej nie był w stanie docenić eleganckich wnętrz, w jakich przebywał, przystrzyżonych trawników i zapierającego dech w piersiach widoku na zatokę Aarhus, która połyskiwała po drugiej stronie Strandvejen.

Lukas Lewander znajdował się na liście niewinnych ludzi, na których drodze stanął Idris Nassar.

Jego sprawa była wyjątkowa, bo sprawca wykazał się szczególną brutalnością. W akcie oskarżenia napisane było między innymi, że skakał po głowie ofiary. Oto z jaką gwałtownością Idris Nassar rzucił się na swoją ofiarę w centrum miasta, w którym przebywał z wizytą u swojego kuzyna.

Pod pewnymi względami przypominało to inne sprawy przeciwko Nassarowi, bo i tutaj nagle zniknęli wszyscy świadkowie tej makabry. Zniknęli nie z powierzchni ziemi, tylko nagle zaczęli mieć wątpliwości, co właściwie widzieli tamtej nocy. Przestali mieć pewność, kto co zrobił. Gdy przyszło co do

czego i sprawa miała trafić na wokandę, zostało z niej tyle, co kot napłakał, i prokurator złożył broń.

Według początkowych zeznań świadków Idris Nassar przed jedną z dyskotek polizał po uchu dziewczynę Lukasa Lewandera. Nie jeden raz. Nie dwa razy. Trzy razy. Pomimo powtarzanych nawoływań, aby przestał to robić. Trzymał dziewczynę w żelaznym uścisku i raz po raz wpychał jej język do ucha. Lukas nie widział innego wyjścia, jak tylko postawić się obłąkanej, nabuzowanej adrenaliną górze mięśni.

Szczupły chłopak został powalony na ziemię jednym ciosem. A potem doszło do kaźni. Idris Nassar, niczym w transie, skopał leżącego na ziemi mężczyznę do nieprzytomności, a potem wielokrotnie naskoczył na jego głowę — obiema nogami.

Lecz sprawa się posypała. Podobnie jak Lukas.

Borg, zachowując stosowny dystans, przyglądał się młodemu mężczyźnie, który zanim się natknął na Nassara, był pełnym życia chłopakiem, z nadzieją patrzącym w przyszłość — własną i swojej dziewczyny.

A teraz siedział tutaj. Ze śliną kapiącą z brody. I rozproszonym wzrokiem, miotającym się po niezbadanym świecie.

Borg po cichu westchnął głęboko. Lukas był człowiekiem, którego można by określić tym tragicznie smutnym słowem „warzywo”, ale przecież on nie miał, do cholery, nic wspólnego z warzywem. Tam, w środku, był kiedyś prawdziwy, żyjący człowiek... Więc co w tej metaforze robiły cholerne ogórki, pomidory i kapusta?

Borg poczuł, jak wzbiera w nim gniew.

Zebrał się na odwagę i podszedł do siedzącego na wózku chłopaka. Stanął przed nim i delikatnie przesunął dłonią po skołtunionych włosach. Raz. I jeszcze raz.

Nie wiedział, czy Lukas Lewander to poczuł, ale był zmuszony to zrobić. Miał nadzieję, że jednak poczuł. Powiedział „przepraszam” w imieniu całej policji i pogłaskał go po policzku.

— Halo! — Ostrzegawczy ton głosu przywrócił Borga do rzeczywistości. Kobieta, na oko po pięćdziesiątce, szła ku niemu zdecydowanym krokiem i z surową miną. — A kimże pan jest, jeśli wolno spytać? — spytała bez ogródek i władcym gestem

położyła mu dłoń na ramieniu. Spomiędzy warg Lukasa wciąż wypływała ślina.

— Nazywam się Borg. Jestem śledczym z komendy stołecznej — odparł, przywołując na ratunek cały autorytet swojej profesji.

— I co pan tu robi? — Kobieta trzymała w potrzasku jego gałki oczne.

— Przyjechałem porozmawiać z nim... z Lukaszem Lewanderem — odparł, teraz tonem obronnym. — A pani kim jest, jeśli mogę wiedzieć?

— Jego matką!

Borg spojrział na własną dłoń, która przed chwilą dotykała włosów młodego mężczyzny, jakby się w nią oparzył.

— Proszę mi wybaczyć, dałem się ponieść emocjom. Nie mam oczywiście żadnego prawa... Jest mi bardzo... przykro. Więc pani jest Bodil Lewander? Nie umiałem pani odnaleźć, dlatego myślałem, że spróbuję tutaj.

— Tak. I nie. Rozwiodłam się. Nie nazywam się już Lewander. Teraz jestem Nyhuus.

— Bodil Nyhuus?

— Tak.

— To rzadkie nazwisko, prawda? Jak *ta* Nyhuus, która szefuje Niezależnemu Organowi Odwoławczemu od Działań Policji?

— Znów: tak. Z komendy stołecznej? W jakiej sprawie?

— Prowadzę śledztwo w sprawie dotyczącej Idrisa Nassara.

— Aha. I komu teraz złamał życie?

— Hm. Nikomu. Tak się składa, że to on leży w Rigshospitalet. Amputowali mu obie nogi. To znaczy — lekarze. Nie dało się ich uratować. Ci, którzy go napadli, pogruchotali mu również ręce. Nigdy nie odzyska w nich pełnej sprawności.

— I? Czego pan oczekuje? Współczucia?

— Nie, oczywiście, że nie. W żadnym razie. Przyjechałem tu, aby porozmawiać z kolejną osobą na liście ofiar Nassara, z pani synem.

— Cóż. Trochę się pan spóźnił, można by rzec. Minęło pięć lat. Akt oskarżenia się posypał...

— Tak, jestem tego świadom. Przyjechałem, żeby spojrzeć na sprawę z innej perspektywy. I to akurat byłem w stanie zrobić

już od pierwszej chwili. — Nieświadomie wskazał głową na mężczyznę na wózku inwalidzkim. Ten gest był głupi i cyniczny. Bardzo daleki od myśli, które kłębiły się w jego obolałej głowie.

— Otóż to. Zatem jak pan widzi... nie ma potrzeby dłużej się tu kręcić.

Rozdział 87.

Stał się pośrednikiem, który miał dostarczyć Abła Kainowi. I w zamian dostać Margrethe. Stare, będące na wyczerpaniu życie w zamian za życie znacznie młodsze. Była w tym jakaś logika.

— Panie Mossman, myśli pan, że wkrótce dojedziemy?

Mógł tylko wzruszyć ramionami i odpowiedzieć głosowi, który dobiegał z tylnego siedzenia:

— Jako że miejsce docelowe jest mi znane równie słabo jak panu, obawiam się, że nie mogę odpowiedzieć na to pytanie. Możemy tylko czekać na rozkazy.

Minęły dwie doby, odkąd razem z Oxenem siedział w swoim samochodzie przy plaży Moesgård. Dwie doby, odkąd człowiek na motocyklu podał mu telefon, w którym usłyszał instrukcję: „Masz czterdzieści osiem godzin na znalezienie Poula Hansena — i dostarczenie go nam”.

Znalezienie staruszka nie było trudne, ponieważ wiedzieli, gdzie się ukrywał. I choć teoretycznie nie mogli mieć pewności, kto czeka na drugim końcu, nie mógł to być nikt inny, jak tylko Esben, chcący wyeliminować brata i ryzyko, jakie stanowił.

Było to starcie dwóch braci w wieku siedemdziesięciu ośmiu i siedemdziesięciu sześciu lat. Potwierdzenie tego, co zaobserwował w trakcie własnego, długiego życia: że żal i poczucie krzywdy nie mają daty ważności. Nie ma żadnego kodeksu moralnego, który mógłby położyć im kres. Członkowie rodzin zdradzali się i członkowie rodzin się mordowali. Tak było od zawsze. Wiek jest tylko pieczętką z datą, żadnym znakiem jakości, żadną gwarancją zdrowego rozsądku.

Stary, umierający emerytowany szef departamentu siedział na tylnej kanapie jego samochodu, z plastikowymi zaciskami na nadgarstkach. Mieli za sobą długą przeprawę, w czasie której razem z Oxenem musieli wrócić na Jutlandię, odebrać Poula Hansena z domu przy polnej drodze i sprowadzić go z powrotem do Harrildholmu, gdzie sam bał się przebywać.

Staruszek był przeciwny wymianie, do której miało dojść w nieznanym miejscu i o nieznanym czasie w ciągu tego dnia. Widać było, że cała rozmowa mocno go wzburzyła. „Mam się wystawić na pewną śmierć? Nigdy. I dlaczego, jeśli wolno wiedzieć?”

Więc mu wyjaśnili, że on, jego dzienniki i wszystko, co kiedykolwiek mógł zapisać na temat Lupusa, musi być częścią wymiany. W przeciwnym razie nie dostaną Margrethe Franck.

Z początku odmówił.

Wtedy osobiście bez ogródek przedstawił staruszkowi brutalną prawdę. „Po pierwsze, w tej sytuacji nie może pan sobie pozwolić na targowanie się. A po drugie, pozwolę sobie panu przypomnieć, że jest pan umierający, panie Hansen...”

Takie postawienie sprawy wywołało w oczach siedemdziesięciosześcioletka cień zwątpienia. Do tego Oxen wzmacniał efekt jego wypowiedzi własną, iście Oxenowską logiką: „Jeśli się pan nie zgodzi, to pana zmuszę. I cały proces nie stanie się przez to mniej nieprzyjemny”.

Ponieważ na piśmie nigdy nie pojawiła się żadna wzmianka o umowach czy działaniach Lupusa na przestrzeni lat, nigdy nie powstały żadne archiwa ani żaden rachunek bankowy — ani w kraju, ani za granicą, Poul Hansen zamierzał własnym długim, osobistym zeznaniem wywiązać się z ciężaru dowodu, oczyścić sumienie i ujawnić przed światem, że policja miała w samym środku własnych struktur konia trojańskiego — a w jego wnętrzu krył się wilk. A raczej dwa wilki — bracia Lupus z Harrildholmu.

Poul Hansen jak dotąd zapisał swoimi wspomnieniami dwie grube księgi formatu A4. Chociaż wspomnienia to niefortunne określenie, które mogłoby sugerować, że w jego opowieści o Lupusie znajdują się rozdziały pogodne i wesołe.

Staruszek ostatecznie uległ dopiero, gdy zawarli kompromis: wszystkie strony jego ręcznie zapisanego zeznania zostały sfotografowane. A karta pamięci aparatu zdeponowana w zabezpieczonej kopercie u jego adwokata. Jeśli w ciągu siedmiu dni osobiście nie pojawi się w kancelarii adwokata,

koperta zostanie przekazana redakcji porannego dziennika „Jyllands-Posten” z listem, który sam napisał.

I być może przez to, że Hansen ze swoim świadectwem o stanie terminalnym i tak stał na krawędzi życia, gdy ostatecznie dobili targu, sprawiał wrażenie, jakby opanował go wyjątkowy spokój. „Może właśnie takie zakończenie będzie najszlachetniejsze”, stwierdził i nawet lekko się uśmiechnął.

Teraz siedział na tylnym siedzeniu. Nie na skraju, lecz wygodnie, oparty plecami — choć mimo wszystko niespokojny. Ręce miał związane tylko na wypadek, gdyby nagle zmienił zdanie i spróbował czegoś głupiego.

Zadzwoiła komórka, która cały czas leżała w zasięgu jego ręki. Natychmiast odebrał:

— Mossman.

Męski głos spokojnie i dokładnie wyjaśnił, co ma teraz zrobić.

— Powtórz, co powiedziałem — powiedział mężczyzna.

Gdy powtórzył, nieznajomy mężczyzna się rozłączył. Zerknął we wsteczne lustro. Nikt za nimi nie jechał. Ale może wcześniej minęli jakiś samochód, z którego ktoś sprawdzał, jak daleko zajechali?

— To byli oni? — spytał cicho Hansen.

Potwierdził skinieniem.

— I co teraz? Co panu powiedzieli? — Poul Hansen wydawał się zdenerwowany na myśl o spotkaniu twarzą w twarz z bratem.

— Mamy się zatrzymać przy kościele w Humble na Langeland.

— To wszystko?

— Tak.

Powiedział mu prawdę. W tej chwili wiedział tylko tyle, że gdzieś, wiele kilometrów za nimi, Niels Oxen powinien być na stanowisku. Dawny łowca śledził ich samochód za pośrednictwem nie jednego, a trzech lokalizatorów GPS. Były okrągłe, nie większe od pięciokoronówki i prawie tak samo płaskie. Były to urządzenia typu *data puller*, wysyłające swoją pozycję w trybie ciągłym.

Jedno z nich wsunął pod swój nowy zegarek. Był to kosztowny chronometr wyposażony w masę zaawansowanych funkcji, jak

kompas, wysokościomierz i barometr. Wciąż nie potrafił się przyzwyczaić do jego solidnej budowy i sporych rozmiarów. Ale za to nikt nie byłby w stanie wypatrzeć metalowego krążka między zegarkiem a nadgarstkiem. Drugi lokalizator miał w obcasie jednego buta, a trzeci był wciśnięty pod tapicerkę tylnego siedzenia.

Oxen stanowczo odrzucił pomysł, aby w wymianie uczestniczył ktokolwiek z zewnątrz. Nie chciał, aby ktoś obcy, komu nie ufa, go osłaniał. A przede wszystkim nie dopuszczał myśli, że życie Margrethe Franck miałyby spoczywać w cudzych rękach.

— *Well*, jedno chcę panu powiedzieć, zanim dojedziemy na miejsce, bo nikt nie wie, co tam się stanie: Niels Oxen wyczerpująco opowiedział mi całą długą, tragiczną historię pańskiej rodziny. Wywarła na mnie duże wrażenie. Te nieszczęścia, rozpacz, rozpad więzi... Ma się wrażenie, jakby mury Harrildholmu zapadały się w ziemię od ciężaru nieszczęścia, którego były świadkiem. Ogromnie panu współczuję.

— Dziękuję, panie Mossman. Znalazłem już spokój.

— Czy pański brat wie, że znajduje się pan w stanie terminalnym?

— Wie, że mam raka i że prognozy nie są dobre. Ale o tym, o czym pan mówi, nie wie... Co zamierza pan zrobić w sprawie Lupusa?

Usłyszawszy pytanie staruszka, westchnął ciężko zza kierownicy.

— Jeślibym dostał zgodę pańskiego brata na rozwiązanie organizacji, to prawdopodobnie nic.

— A jeśli pan nie dostanie? Trudno będzie cokolwiek udowodnić. Jak mówiłem, nie istnieją żadne ślady elektroniczne. Żadnych wpłat czy wypłat gotówki, brudnych pieniędzy, nieistniejących środków. Nigdy żadnych pokwitowań czy faktur. Wyłącznie umowy ustne.

— Domyślam się, że na przestrzeni lat obroty były znaczne.

— W niektórych latach spore, w innych niewielkie. Tak się składa, że część naszych najlepiej płatnych zadań wykonaliśmy dla PET. Pańscy poprzednicy nie byli skąpi.

— Podszuchy? Lewica?

— Dokładnie. Całkiem dobra płaca za stosunkowo łatwą pracę, obciążoną niewielkim ryzykiem.

— Lecz gdy stopniały lody zimnej wojny, to źródło wyschło.

— Zasadniczo tak. Ale pojawiły się inne. Zresztą sam pan wie.

— Danehof?

— W rzeczy samej. Sporo zleceń dostaliśmy od Danehofu. Oni płacili jeszcze lepiej niż PET, ale naszą filozofią od zawsze było w pierwszej kolejności wypłacać solidne honoraria ludziom z naszego kręgu, odpowiednio do podejmowanego przez nich ryzyka. Ostatnia umowa, w której zawarciu uczestniczyłem, dotyczyła podjęcia — po wieloletnim rozważaniu — drastycznych kroków względem psychotycznego zbira, który wielokrotnie dopuszczał się przemocy. Trzech naszych ludzi opracowało szczegółowy plan, a dwójka zajęła się jego realizacją.

— Został zlikwidowany?

— Nie. To było działanie prewencyjne, aby nie był już w stanie skrzywdzić nikogo więcej. Każdy z policjantów otrzymał dwieście pięćdziesiąt tysięcy koron na lewo. Panie Mossman, dwieście pięćdziesiąt tysięcy koron to dużo, naprawdę dużo pieniędzy dla szeregowego policjanta w dzisiejszej Danii. Rozumie pan zatem, że odpowiednio duże kwoty muszą również do nas napływać. Na przestrzeni lat przekazaliśmy też sporo anonimowych darowizn na rzecz budowy ośrodków pomocy dla ofiar gwałtów, doradztwa i innych inicjatyw pomagających zgwałconym kobietom.

— I gdzie jest przechowywana ta cała niezabezpieczona przed inflacją gotówka?

— Mój brat ma jedno miejsce, w którym pleśń nie ma do niej dostępu. Myśli pan, że on mnie zabije?

Wzruszył ramionami. Nie była to kwestia, której poświęcał szczególnie dużo zasobów myślowych. Szczerze mówiąc, było mu to obojętne.

— Ma pan swoje zabezpieczenie zdeponowane u adwokata, prawda? Więc to byłaby z jego strony głupota.

— Możliwe, że zależy mu wyłącznie na zemście. A resztę ma gdzieś.

— Pan i pański brat zawsze trzymaliście się razem, prawda? Wspólnie przetrwaliście rozpad waszej rodziny. Czy myślę, że on pana zabije? Nie. Myślę raczej, że będzie chciał z panem *poważnie* porozmawiać. Przekonać pana, aby się pan nie ujawniał.

Poul Hansen zamilkł. Może wcale nie był aż tak przekonany o słuszności swoich racji, aby nie dać się przekabacić własnemu bratu.

Ciekawe, ile drogi im jeszcze zostało do tego Humble. I co się stanie, gdy tam dotrą.

Palcem odsunął mankiet koszuli i zerknął na nowy zegarek. Był spory, ale na jego szerokim przegubie wcale na taki nie wyglądał.

Teraz dostrzegł przed sobą wodę. Dojeżdżali do Siø Sundbroen. Długa, równa asfaltowa droga, która po prostu ciągnęła się nad wodą. Tak to z daleka wyglądało. Zostawili za sobą Tåsinge i wjechali między stalowoszare fale, którym od silnego wiatru robiły się białe grzywy. Szosa się nie wznosiła. Najpierw most biegł tamą, a gdy ta się skończyła, pasek asfaltu podtrzymywały niskie filary. Gdy za oknami przesunął się płaski krajobraz wyspy Siø, znów pomyślał o miejscu, do którego zmierzali. Jechali w najgłębszy zakamarek kraju. W krótkim czasie z wyspy na wyspę, metodą żabiego skoku. Z Fionii na Tåsinge, potem na maleńką Siø i za moment wjadą na trzeci tego dnia most.

Langelandsbroen wznosił się przed nimi i jechali teraz w stronę szarego horyzontu widocznego nad dwoma charakterystycznymi łukami na środku mostu. Po prawej leżało Rudkøbing, przyklejone do wybrzeża. Zdążył tylko rzucić okiem na mały port, w którym przeważały czerwone drewniane domki wyglądające jak letniskowe, zanim znów wjechali na ląd.

Napięcie rosło z każdą sekundą. Jechali dokładnie na południe. Po piętnastu minutach byli na miejscu. Przez ten czas żaden z nich nie odezwał się ani słowem. Kiedy zobaczył dwie pomalowane na biało drewniane wieżyczki po obu stronach drogi, serce zaczęło mu bić szybciej. Wyglądały jak dwa fragmenty niskiej palisady z nazwą miasteczka i powiewającą małą duńską flagą i stanowiły bramę powitalną dla przybyszów

ze świata. *Humble...* W języku, który tak bardzo cenił, można by zapewne powiedzieć, że ową bramą miasteczko wita gości z pokorą adekwatną do swojej nazwy.

On sam również był pokorny — był pokornym sługą wyższej sprawy. I wkrótce się dowie, dokąd go ta służba doprowadziła. Zaraz za sztyldem skręcił w lewo i pojechał prosto pod kościół. Położony był niezwykle malowniczo, na wzniesieniu wśród rozległych, obsianych oziminą pól. Cmentarz znajdował się na półkach na zboczu, jak w krajach południowych.

Zdjął nogę z gazu i pozwolił, by samochód sam wolno pokonał ostatni fragment drogi. Aby w *Humble* spotkać się z Najwyższym, należało od głównej bramy z czerwonymi furtkami z kutego żelaza pokonać wyjątkowo strome, wysypane żwirem ostatnie metry do drzwi świątyni.

Teraz go widział. Czarny wóz dostawczy stał bokiem na małym parkingu przy drodze kawałek dalej. Sam stanął za nim — zgodnie z instrukcją.

Z czarnego samochodu wysiadł mężczyzna w słonecznych okularach i czapce z daszkiem zasłaniającym twarz. Może właśnie teraz mają dokonać wymiany? W przyczepie czekała Margrethe. Ona wysiądzie — a Poul Hansen zajmie jej miejsce. Chyba niemożliwe, żeby poszło tak gładko.

Mężczyzna kazał im obu wysiąść i obejść razem z nim samochód, którego boczne drzwi były otwarte. Tam czekał kolejny ubrany w czarną marynarkę człowiek i ich przeszukał. Potem zostali kolejno — najpierw Poul Hansen, a potem on — przeskanowani detektorem fal radiowych. Rejestrator na lewym nadgarstku został wykryty natychmiast. Mężczyzna przesunął jego zegarek i od razu zauważył okrągły nadajnik GPS.

— Jest... Bingo. — Mężczyzna w kominiarce podał koledze nadajnik razem z detektorem.

— Muszę się naradzić z szefem. — Ten w ciemnych okularach zniknął z tyłu samochodu.

Chwilę później z drugiej strony samochodu rozległo się:

— Do środka z nimi, jedziemy!

Porywacze pomogli Poulowi Hansenowi wspiąć się na pakę i kazali im obu usiąść na dwóch rozłożonych na podłodze

dywanikach, a plecami oprzeć się o szoferkę. Z trudem wykonał polecenie. Było mu wybitnie niewygodnie.

— Zdradź mi: jak długo mamy podróżować w takich warunkach? — spytał.

Mężczyzna w okularach machnął ręką i uspokoił go:

— Bez obaw. Nie za długo. — Po czym zasunął drzwi z głośnym hukiem i przekręcił klucz.

Siedzieli w ciemności. Samochód ruszył, zawrócił i znów jechał pod górę — w stronę głównej szosy.

Czuł się spokojny i było mu lekko na sercu. Stare, dobre myślenie: po co szukać dalej, skoro już znaleźliśmy, zadziałało tak, jak przewidział. Dzięki temu w bucie wciąż miał czynną linię życia, na której końcu był Oxen.

Rozdział 88.

Niecały kilometr skradał się wąską ścieżką meandrującą przez las. Szedł samym brzegiem żółtego klifu, który miejscami wznosił się na jakieś dziesięć metrów. Między skałą a falami, które, miotane silnym wiatrem, niestrudzenie rozbijały się o brzeg, był tylko wąski pasek kamienistej plaży.

To w tym miejscu morze wdzierało się w ląd, gdy w cieśninie Langeland panował sztorm. Co chwilę, w miejscach, gdzie woda podmyła klif, natykał się na drzewa powalone koroną do dołu, ich pnie leżały na brzegu jak żołnierze polegli na froncie.

Zmierzał do celu wskazanego przez GPS. Znajdował się teraz w otwartym terenie, więc szybko odnalazł wzrokiem miejsce, w którym czerwona kropka na wyświetlaczu się zatrzymała. Były szef departamentu i Axel Mossman znajdowali się w starym domu latarnika przynależącym do latarni Keldsnor.

Kiedy jakiś czas temu kręcił się po okolicy samochodem, żeby wyrobić sobie pojęcie o tym terenie, z oddali widział latarnię wznoszącą się na tle szarego nieba pośród płaskiego krajobrazu pól. Wzdłuż wiodącej do niej wąskiej drogi stało kilka niewielkich zabudowań. Od najbliższych dzieliło go góra dwieście metrów.

Ostatecznie zdecydował się zostawić samochód kilka kilometrów dalej, na małej leśnej drodze, i stamtąd rozpoczął bardziej gruntowny rekonesans z użyciem telefonu.

Latarnia Keldsnor stała na klifie dwa kilometry od najbardziej wysuniętego na południe krańca Langeland. Było stamtąd niecałe pięć kilometrów do najbliższego miasteczka portowego, Bagenkop, leżącego po stronie zachodniej. Latarnia miała ponad sto lat i była zabytkiem. Wieża wznosiła się na trzydzieści cztery metry i stanowiła dobry punkt obserwacyjny podczas zimnej wojny. Monitorowano stąd działania NRD na morzu i obserwowano radzieckie okręty płynące z odsieczą Kubańczykom.

Latarnia jako jedna z niewielu w Danii stanowiła własność prywatną i była używana jako domek letniskowy, ale sama wieża działała nadal i należała do państwa.

Przeczytał kilka opisów, zanim za pośrednictwem Google Maps dokładnie przestudiował poszczególne zabudowania i ich położenie względem siebie. Bez trudu znalazł również zdjęcia. Wszystkie budynki były pobielone, a okna, dwuspadowe dachy i ich szczyty — zielone. Co najmniej dwa z budynków wyglądały na domy mieszkalne. Do tego w obejściu znajdowały się warsztat, garaż, jakieś szopy i tym podobne. Na całej działce ogrodzonej wysokim żywopłotem rosły drzewa, gdzieniegdzie pokrywały ją zarośla. Czyli nie najgorzej.

Błyskawicznie odnalazł właściwą drogę do centrum swojej misji — gdyby oczywiście zaszła konieczność interwencji.

Od strony zachodniej teren był zbyt otwarty i za blisko było do najbliższych zabudowań. Na południowy zachód od latarni rozciągała się rozległa laguna Keldsnor, płytki akwen, który od morza był oddzielony jedynie szerokim na góra pięćdziesiąt metrów pasem plaży. Od tej strony byłyby widoczny przez całą drogę do celu.

Idealne wydawało się podejście od północy. Zalesiony obszar Lunden z jednej strony sięgał samej krawędzi klifu, a z drugiej od reszty wyspy oddzielały go mokradła. Las zapewniał osłonę aż do punktu, w którym klif się obniżał i zaczynał się kawałek pola wiodący do latarni.

I właśnie tam teraz przystanął, za dużym krzakiem. Przykleknął. Z plecaka wyjął lornetkę i raz jeszcze obejrzał uważnie swój teren docelowy. W jego obrębie stało kilka samochodów, w tym czarny wóz dostawczy i biały minibus. Nie było jednak wśród nich samochodu Mossmana. Czyli zostali przewiezieni innym, co zresztą zgadzało się z sygnałem z jednego z lokalizatorów, wciąż docierającym z miasteczka Humble.

Podniósł lornetkę do oczu. Na samej górze czworobocznej wieży zwieńczonej czerwonym dachem, wzdłuż wszystkich czterech ścian biegł przeszklony korytarz. Poziom niżej były trzy okna, co mogło wskazywać, że było tam jakieś pomieszczenie.

Nie widział, aby ktokolwiek stał tam na straży, ale samo to, że nieprzyjaciel miał możliwość obserwacji całego terenu, zmuszał do wzmożonej ostrożności.

Nie miał żadnych informacji o ewentualnych powiązaniach byłego komendanta Esbena Hansena z tym miejscem, tym bardziej więc wydawało mu się ono wybrane starannie, jako najdogodniejsza sceneria dla wymiany zakładników. Tu nie mogło się wydarzyć nic nieprzewidzianego. Prawie nic...

Spojrzał na zegarek. Było wczesne popołudnie. Minęło półtorej godziny, odkąd Mossman i drugi z braci Lupus tu dotarli. Czerwony punkt na wyświetlaczu telefonu od tamtej pory się nie poruszył.

Niestety, w tej sytuacji rozsądek podpowiadał, że coś musiało pójść nie tak. Prosta wymiana nie powinna trwać aż tak długo. Był niemal pewien, że stało się to, czego obaj od początku się obawiali: Esben Hansen, lider Lupusa, przejął swojego brata, ale w zamian nie wypuścił ani Franck, ani kuriera, Mossmana.

Teraz wszystko było w jego rękach.

Najpierw musiał uzyskać miarodajne informacje o liczebności wroga. Potem obmyślić plan dotarcia do obszaru docelowego, gdzie kluczowe będzie szybkie zlokalizowanie Franck i Mossmana.

Do akcji będzie mógł przystąpić najwcześniej po zapadnięciu zmroku. W przeciwnym razie ryzyko będzie zbyt duże. Już teraz wiedział, że będzie musiał ich zdejmować pojedynczo. Bezdźwięcznie. I bez zabijania, o ile się uda. Pistoletu powinien użyć tylko w razie najwyższej konieczności. Wystrzał ujawni jego pozycję, a na to nie mógł sobie pozwolić. Najskuteczniej mógł działać, tylko pozostając niewidocznym — i bezgłośnym.

Z plecaka wyjął siatkę maskującą. Zerwał kilka garści zeschniętej trawy i powtykał w oka siatki, potem starannie ją na siebie naciągnął. Czołgał się w dół zbocza i dalej, na otwarty teren, stale obserwując, czy na wieży nie pojawił się wartownik.

- Sierra 60, tu Xray 12. Infiltracja rozpoczęta. Szacowany czas dotarcia do obszaru docelowego: dwie godziny. Silny wiatr. Podaj meteo. Odbiór. ◀

► 60, na miejscu warunki doskonałe i stabilne, niebo czyste, temperatura około czterdziestu pięciu stopni. Odbiór. ◀◄

Odwrócił głowę w lewo i poczuł na twarzy lodowaty wiatr od strony cieśniny Langeland.

Miał wrażenie, że baza KAF, Kandahar Air Field, i głos, który go informował o afgańskich temperaturach z piekła rodem, były urojeniem. Myśl, że pięć litrów wody na głowę dziennie mogło być ilością dramatycznie niewystarczającą i mogło się zdarzyć, że trzeba ją było podawać dożylnie, wydała mu się w tym momencie niedorzeczna. Czynniki chłodzący wiatru był wysoki.

Skrajnie wolno posuwał się w kierunku latarni. Ziemia pod nim była lodowata. Wiedział, że przez dłuższy czas będzie wystawiony na takie warunki. I jedno było pewne: szansa na wsparcie ze strony okrętu wojennego albo myśliwca była równie nierealna jak tamte czterdzieści pięć stopni, które dawno temu uczyniły z terenu Kandaharu narzędzie nieludzkich katuszy...

Znajdował się na lodowatym krańcu Danii. I był sam.

Ponad pół godziny zajęło mu dotarcie do wąskiego pasma ziemi, które oddzielało morze od mokradeł z bladymi patykami sitowia. Na wodzie krążyła para łabędzi, a podczas jednej z jego wielu przerw dołączyły do nich dwie hałaśliwe gęsi. W końcu dotarł do swojego celu — porośniętej krzakami między biegnącej wzdłuż pola.

Stamtąd poszło szybko. Ruch pomógł mu się rozgrzać. Oślaniały go wysoka trawa i ściana krzewów dzikiej róży. Kawalek wyżej przystanął i znów wyjął lornetkę. Z tej perspektywy znacznie lepiej było widać przylegające do latarni zabudowania.

Raz jeszcze przesunął lornetką po terenie ogrodzonym bezlistnym żywopłotem. Tym razem powoli. Po kilku minutach pojawił się pierwszy wartownik. Mężczyzna w czarnym stroju bojowym stał w rogu działki tuż przy wjeździe. Zobaczył go, kiedy tamten wszedł między drzewa i zapalił papierosa. Przy prawym uchu miał niewielkie urządzenie zdradzające, że komunikuje się z pozostałymi przez interkom. Na wysokości

biodra wisiała przewieszona przez ramię na pasku broń automatyczna. Prawdopodobnie pistolet maszynowy, zapewne popularny wśród policjantów Heckler & Koch MP5.

Jego strój również przypominał jeden z mundurów noszonych przez policję. Ten człowiek został najprawdopodobniej kupiony i hojnie opłacony specjalnie na tę okazję, podobnie jak pozostali rozmieszczeni wokół terenu. To, że dali się wynająć Lupusowi, uważał oczywiście za odrażające, ale poza tym nie pozostawał z nimi w żadnym konflikcie i zamierzał się z nimi obejść tak delikatnie, jak to będzie możliwe.

Skradał się dalej wzdłuż, aż zajął kolejną dogodną pozycję. Punkt wartowniczy numer dwa odkrył na rogu jednej z przybudówek w głębi terenu. Jak się należało spodziewać, i ten mężczyzna był podpięty do ich wewnętrznego kanału komunikacji, ubrany w taki sam czarny strój, wyposażony w identyczną broń, a na jego szyi wisiała lornetka. Teraz uniósł ją do oczu i przeczesał wzrokiem najpierw obszar pól na wprost siebie. Potem się odwrócił i omiół lornetką morze i wybrzeże w promieniu stu osiemdziesięciu stopni. A potem z powrotem się odwrócił, stanął tak jak wcześniej i wypuścił lornetkę z ręki.

On sam z kolei zdecydował się zawrócić i podczołgać do końca między porośniętego gęstymi krzakami. Tam się ukrył. Siedział, obserwując przez lornetkę otwarty fragment terenu, ciągnący się aż do miejsca, z którego klif po raz ostatni wznosił się ku latarni, jeszcze wyżej niż w miejscu, gdzie rósł las.

Zbocze gęsto porastały krzaki, a brzeg u stóp klifu wzmocniono szerokim pasem głazów, który wcinał się kawałek w morze. Fale wściekle się o niego rozbijały. Podejście od tamtej strony wyglądało na wyjątkowo trudne. W ciemności łatwo mógł się potknąć, a ze skręconą kostką albo złamaną nogą musiałyby *przerwać misję* i śmiertelnie zawieść ludzi, którzy mu zaufali.

Poza tym nie do myślenia było, aby fragment wybrzeża poniżej latarni nie był kryty. Musieli postawić tam strażnika. Wypatrzenie go było kwestią czasu.

Pół godziny minęło, nim strażnik na plaży zdradził swoją pozycję. Musiał siedzieć w krzakach i teraz wstał, żeby rozprostować nogi i poskakać z jednego głazu na drugi. Po

dziesięciu minutach wrócił do swojej kryjówki. Właśnie tam trzeba go będzie zdjąć.

Nie miał wątpliwości, że również od strony laguny ktoś trzymał wartę. Dopóki było widno, nie mógł tego zweryfikować, ale to oczywiste, że kryli również tamtą stronę.

Na razie ze swoich kalkulacji wnosił, że strażników było czterech, po jednym z każdej strony świata. Do tego dochodziła grupa w głównym budynku i być może również w pozostałych zabudowaniach. Zakładał, że łącznie na terenie docelowym znajduje się siedmiu, może ośmiu ludzi plus dowódca, były komendant, który pomimo wieku, uzbrojony, również stanowił zagrożenie.

Na zapadnięcie zmroku będzie musiał poczekać tu, gdzie jest. Potem zacznie od najtrudniejszego z wartowników, tego na kamieniach.

Z plecaka wyjął zwiniętą cienką karimatę, rozłożył ją i położył się na brzuchu. Będzie musiał tak leżeć przez kilka godzin. Wyjął również pelerynę przeciwdeszczową i okrył się nią. Chroniła przed szalejącym po płaskowyżu lodowatym wiatrem od strony cieśniny.

Powoli zanurzał się w sobie, w łowcy, którego w sobie nosił. Przechodził w ten szczególny tryb czuwania, w którym zmysły trwały w maksymalnej gotowości, lecz on potrafił znaleźć spokój, aby skupić się na tym, co się miało wydarzyć, kiedy nastanie ciemność.

Na początek zdejmie wszystkich czterech wartowników. Wówczas będzie miał zabezpieczone plecy.

Rozdział 89.

Niczym gad, bezszelestnie czołgał się do celu. Metr po metrze. Pod górę, przez mokrą trawę na skraju chaszczy, które ostrą linią wyznaczały krzywą klifu. Swoją zdobycz już wypatrzył w ciemności.

W regularnych odstępach zatrzymywał się i leżał nieruchomo. To musiało się odbyć szybko, ale nie za szybko. Odnotował, że minęło dziesięć minut, odkąd strażnik numer jeden wstał, by rozprostować nogi.

Czołgał się dalej. Na plecach miał mały plecak, a na głowie gogle noktowizyjne zamontowane na mocnej taśmie.

Wiatr się wzmógł, gdy leżał w krzakach, czekając, aż się ściemni. Siła podmuchów wskazywała na wichurę z pojedynczymi podmuchami o sile sztormu. Fal nie widział. Dobiegał go tylko odgłos piekielnej kipieli, gdy ogromne masy wody stale uderzały o głazy.

To oznaczało, że może się zakraść przez krzaki, a strażnik usłyszy go dopiero, gdy będzie za późno.

Po kilku chwilach był u celu. Udało mu się ostrożnie zsunąć ze zbocza dwa, może trzy metry przez krzaki. W noktowizorze widział zarys sylwetki w odcieniach zieleni.

Wyjął nóż, napiął wszystkie mięśnie i przyszykował się do uwolnienia zgromadzonej w nich siły. Jednym, precyzyjnym susem rzucił się w dół przez krzaki. W locie porwał ze sobą wartownika i obaj upadli tam, gdzie zaczynały się kamienne bloki. Leżąc na mężczyźnie, uderzył go ręką noża w skroń. Mocny i dokładny cios, którym błyskawicznie ogłuszył przeciwnika.

Szybko wyjął z plecaka potrzebne rzeczy. Wepchnął strażnikowi do ust zwiniętą szmatkę, przykleił ją taśmą malarską i związał mu kostki i nadgarstki plastikowymi zaciskami.

One down. Three to go.

Z następnym będzie znacznie łatwiej. Wartownik numer dwa wciąż stał na rogu małego budynku z cegły z lornetką noktowizyjną w rękach i rozglądał się po polach. Zakradł się do niego od tyłu, lewą ręką złapał go za kołnierz bluzy, a prawą z dużą siłą uderzył jego głową o mur. Chwilę potem wartownik leżał w takiej samej pozycji jak tamten na plaży. Związany i zakneblowany. On sam szybko zakradł się do tego przy wjeździe.

Widział go jako intensywnie zieloną postać odwróconą plecami, ale gdy dzieliło go od niego zaledwie kilka kroków, nadepnął na gałąź, która pękła z głośnym trzaskiem.

Wartownik numer trzy natychmiast odwrócił się na pięcie i złapał za broń. Nim zdążył zrobić cokolwiek więcej, on błyskawicznie zamachnął się prawą nogą i kopnął go z półobrotu w twarz. Mężczyzna zachwiał się, ale utrzymał na nogach, dopóki nie poprawił drugim kopniakiem, w podbrzusze. Wówczas numer trzy padł na kolana, głośno dysząc. Ostatni kopniak w twarz powalił go na trawę.

Szybko unieszkodliwił wroga kneblem, taśmą i paskami.

Three down, one to go.

Nikt mu nie przewodził, nie miał też centrum dowodzenia, któremu musiałby się meldować. Lata minęły, odkąd działał na tyłach wroga i składał komukolwiek raporty.

Ostatni strażnik, zgodnie z przewidywaniami, trzymał wartę po drugiej stronie posiadłości, tej od strony północnej. Schronił się przed wiatrem pod murem, ale zgodnie z rozkazem regularnie przechadzał się wzdłuż ściany szczytowej, aby sprawdzić teren.

Zaczekał i gdy tamten wrócił po kolejnej kontroli, dosłownie znokautował go rękojęścią noża.

Wartownicy najprawdopodobniej trzymali się ustalonej procedury, według której w regularnych odstępach czasu zgłaszali się przez interkom i zdawali meldunki. Nie wiedział, ile miał czasu, ale musiał się spieszyć. Teraz miał wolny dostęp do białych zabudowań.

Zaczął od głównego budynku. W kilku oknach z rzędu w tylnej ścianie domu paliło się światło. Zobaczył starego mężczyznę, który siedział w fotelu i czytał gazetę. To musiał być komendant, starszy brat Poula Hansena, Esben. Ruszył do następnego domu

mieszkalnego, w którego jednym oknie również paliło się światło.

Tu w małym pokoju na krześle siedział Poul Hanson. Ręce miał związane z tyłu. W kącie stał wartownik w czarnym stroju. Więc Abel wciąż żył, choć był uwięziony.

Kawałek dalej stały, pogrążone w mroku, magazyn i warsztat, było tam też kilka mniejszych zabudowań. Wieża latarni wyglądała jak ogromna kolumna w przerwie pomiędzy dwoma budynkami ustawionymi prostopadle do siebie. Po obu stronach drzwi wiodących do wnętrza latarni stali wartownicy, stąd wiedział, gdzie się znajdują Mossman i Franck.

Razem z tym, który pilnował Poula Hansena, i czwórka, którą unieszkodliwił, wartowników było więc siedmiu. Albo więcej, tyle że pozostałych nie zlokalizował.

To był moment krytyczny. Oczywiście, że byłby w stanie pokonać dwóch przeciwników, ale zdecydowanie szybciej i prościej byłoby ich zabić. Nadal zamierzał tego unikać — ale jeśli okaże się, że nie ma wyjścia, to się nie zawaha.

Spod wiaty, pod którą stał stos drewna, w przelocie złapał jedno z mniejszych polan. Zwykłą grubą gałąź o długości mniej więcej czterdziestu centymetrów. Przymierzał się do niej, obchodząc łukiem wieżę od tyłu. W dłoni leżała doskonale.

Zdjął noktowizor. Nie chciał ryzykować walki wręcz z ciężkim sprzętem na oczach. Przystanął z tyłu wieży i wielokrotnie przećwiczył ruchy. Dzięki temu będzie mógł oszczędzić cenne ułamki sekundy — i wyeliminować fatalne w skutkach wahanie. Nóż w prawej ręce, rękojeść w potylicę pierwszego. Potem zamach do tyłu lewą ręką i cios szczapą drewna w szczękę drugiego, od dołu i poprawa rękojeścią z prawej ręki. Ewentualnie, gdyby nie starczyło czasu, kopniak kolaniem, hiza geri.

Obszedł wieżę i czujnie zakradł się do pierwszego strażnika przy wejściu.

Za moment wbiegnie na górę, a gdy znajdzie Francka i Mossmana, porozcina im plastikowe paski i będą musieli radzić sobie sami. On będzie musiał niezwłocznie wrócić na dół, by zająć się wartownikiem, który pilnował Poula Hansena, i tymi,

którzy mogli niespodziewanie wyłonić się z mroku. Wtedy też będzie się trzeba skupić na przywódcy Lupusa. To, że emerytowany komendant trzymał w domu broń, było pewne. A sekundy biegły teraz szybciej.

Docisnął plecy do podmurowania wieży. Widział zarys pierwszego z mężczyzn, który, zziębnięty, przestępował niespokojnie z nogi na nogę po lewej stronie drzwi.

Napiął mięśnie i poczuł ssanie w żołądku, znak maksymalnej koncentracji. Wtedy wyskoczył z ukrycia.

Już miał uderzyć rękojeścią noża w głowę mężczyzny, gdy ten pochylił się i uniknął ciosu.

W tym samym ułamku sekundy oświetliło go przeszywające białe światło projektora ukrytego gdzieś w krzakach.

Dwie niewidoczne w trawie klapy otworzyły się z impetem i z obu dziur wyłonili się mężczyźni w czarnych kominiarkach, jak potwory z podziemnego świata. Lufy ich pistoletów maszynowych były wycelowane prosto w niego.

To była pułapka. Wszedł prosto w pułapkę...

Wtedy z megafonu odezwał się głos i z metalicznym pogłosem rozkazał:

— Witaj, Oxen. Nie ruszaj się!

Rozdział 90.

Siedzieli obok siebie, plecami oparci o ścianę, z rękoma związanymi z przodu plastikowymi paskami. Po nim weszła Franck, a na końcu Mossman. W takim porządku siedzieli od ponad godziny.

Zaprowadzono ich do pomieszczenia na samej górze wieży, tuż pod otwartą platformą z latarnią i balustradą. Dochodził stamtąd ogłuszający świst wiatru. W pomieszczeniu nie było nic — gołe ściany i lodowaty ziąb. W drzwiach stał wartownik w czarnym ubraniu i kominiarce. Swoją maszynowy pistolet trzymał stale wycelowany w nich. Mógł z niego wypluć wystarczająco kul, aby całą trójkę zabić w ułamku sekundy.

Ocena ryzyka — było to określenie stosowane pod każdą szerokością geograficzną i przez wszystkie jednostki. Nieustannie analizowanie nowych scenariuszy i poszukiwanie możliwości weszło mu w nawyk. Czy jakieś istniały? Czy można jakieś stworzyć? I jakie było ryzyko względem szansy na uzyskanie pożądanego efektu?

Akurat teraz, w tym pomieszczeniu i w tym momencie, w pozycji siedzącej i z uzbrojonym wartownikiem znajdującym się poza wszelkim zasięgiem, stosunek ryzyka do zysku wynosił *sto do zera*. Najbliższa okazja pojawi się, gdy w którymś momencie zostaną poproszeni o wstanie i wyjście jedynymi drzwiami. Wówczas w parę sekund dokona nowej oceny.

Sposób, w jaki się znaleźli w tym położeniu, nieskończenie go frustrował i godził boleśnie w jego zawodową dumę. Czy w którymkolwiek momencie powinien był przewidzieć, że pcha się prosto w zastawione sidła? I jak zdołali je zastawić? Skąd wiedzieli, że tu był? Pytania tłukły mu się w głowie. Zapytałby Mossmana, ale gdy otworzył usta, usłyszał od wartownika krótkie i donośne „stul pysk”.

Zerknął w bok na Franck. Poczul ciepły przyptyw ulgi, kiedy zaprowadzili go na górę długimi schodami, otworzyli drzwi i ona

tam siedziała. Obok Mossmana. Żywa. Nie martwa. Nie zamordowana na jeden z tysiąca sposobów, które próbował mu wmówić jego umysł. Miał ochotę ją podnieść, objąć, uspokoić. Ale lufa pistoletu maszynowego przytknięta do jego pleców sugerowała, że to nie jest odpowiednia pora. Więc zadowolił się skinieniem.

W pierwszej chwili nie potrafił dostrzec w niej przekory, która była nieodzowną częścią jej natury i którą zdawała się emanować. Była blada i wyglądała na wściekłą. Ale jak ją znał, jej mózg też pracował na pełnych obrotach, skanował otoczenie i filtrował każde doznanie i każde wrażenie pod kątem jedyne go procesu, który w pełni ją pochłaniał: możliwości stawienia oporu i ucieczki. Może nie w sposób tak wyćwiczony jak u niego. Za to niewykluczone, że bardziej intuicyjny.

Dobrze było widzieć ją żywą, ale było to trochę jak odbieranie medalu na płonącym podium. Miał jasne poczucie, że ich czas jest odliczony. A zegar tyka z prędkością światła.

Rozglądał się dalej. Mossman patrzył na swoje nadgarstki, od czasu do czasu obracał lekko plastikowy zacisk, jakby go uciskał i mu przeszkadzał. W ogóle wydawał się niespokojny. Jego duże ciało sprzeciwiało się siedzeniu na gołym cemencie. Ze strony Mossmana nie można było oczekiwać jakiegokolwiek gwałtownej fizycznej reakcji. Wstanie na nogi zajęłoby mu dobrych kilka sekund. Siła Mossmana kryła się pod jego czaszką. I wyglądało na to, że tym razem możliwości jego umysłu się wyczerpały.

Przez otwory w kominiarce mógł śledzić ruchy gałek ocznych strażnika. Stale były w ruchu. Mężczyzna był maksymalnie skoncentrowany.

Inaczej niż we wszystkich innych przypadkach, kiedy znalazł się w potrzasku, tym razem czuł ciężar czegoś ostatecznego. Bo jeśli istniała sytuacja ostateczna, to z pewnością było nią znalezienie się w wieży trzydzieści metrów nad ziemią z tylko dwiema drogami ucieczki. Z których jedna była zamknięta, chyba że nagle wyrosną im skrzydła.

I pośród tego wszystkiego naszała go myśl całkiem niezrozumiała. Że skoro ma tu umrzeć, to umrze razem z przyjaciółmi. Nie samotnie pośród zakurzonej, kamienistej

pustyni za sprawę, której sens już dawno przesyłał mu się między palcami niczym drobny piasek.

Franck była przyjaciółką. Serdeczną przyjaciółką, która być może mogłaby się stać kimś więcej, gdyby nie to, że on sam był do niczego.

I Mossman też był przyjacielem. Takim, który wymagał nieco więcej uwagi, żądał sporego kredytu zaufania i z którym nigdy w życiu nie chciałby zagrać w szachy, ale mimo wszystko więcej w nim było światła niż mroku, więcej z anioła niż księcia ciemności. Axel Mossman zdecydowanie nie powinien odchodzić z tego padołu w sposób tak... banalny.

Brakowało tu jednak jeszcze jednej bliskiej osoby. Kogoś, z kim chciał się pożegnać. Komu chciał wytłumaczyć, dlaczego stało się tak, jak się stało. Komu chciał zmierzić włosy, kogo chciał przytulić do siebie, wyszeptać mu do ucha słowo „przepraszam”, pocałować w policzek, pogłaskać po drobnej, delikatnej buzi i palcem prześledzić każdy łuk, obrysować usta, podbródek, w górę po policzku do brwi i nosem z powrotem w dół. I od nowa. I jeszcze raz.

Magnus... jego jedyne zwycięstwo. I największa klęska.

Prawą rękę zacisnął na lewej i wyobraził sobie, że trzyma w niej jego dłoń — kruchą, o małych palcach — i ta dłoń się nie opiera. Było jedno...

W dole z ostrym hukiem trzasnęły drzwi, echo odbijało się od ścian aż po sam czubek wieży. Krótco potem usłyszał kroki na schodach. Czas oczekiwania się skończył. Wypuścił własną rękę.

W końcu słyszał ich głośno i wyraźnie. Były komendant Esben Hansen wszedł do pomieszczenia razem ze swoim bratem, byłym szefem departamentu w Ministerstwie Sprawiedliwości. Obaj dyszeli ciężko po wspinaczce na szczyt. Za nimi wszedł jeszcze jeden zamaskowany wartownik. On też był uzbrojony w broń maszynową.

Od razu się zorientował, że coś jest nie tak. Że wszystko jest straszliwie, koszmarnie nie tak. Poul Hansen wcale nie był więźniem. Nie był związany. I nie wyglądał na przybitego. Abel i Kain nie byli wrogami. Wciąż ze sobą trzymali, wciąż byli kochającymi się braćmi — braćmi Lupus.

Staruszkowie stanęli w drzwiach w otoczeniu wartowników. Kiedy stali obok siebie, od razu było widać, że są braćmi. Różnili się, zwłaszcza posturą. Esben był niższy i bardziej krępy, a Poul — wysoki, kościsty i zgarbiony. Ale nos, kontur ust i spojrzenie mieli takie same.

— Rozpocznijmy teraz procedurę bolesną, ale konieczną, jeśli Lupus ma przetrwać. A Lupus musi przetrwać, bo jest większy niż my. Dlatego, niestety, musicie zniknąć, cała wasza trójka — zaczął Poul Hansen głosem pozbawionym emocji, choć wyglądał na zachwyconego tą myślą.

Wtedy wyrzucił z siebie:

— Kto teraz mówi? Umierający, skruszony brat Agnethe — czy kto? Czy ona w ogóle istniała?

Poul Hansen spokojnie pokiwał głową.

— Doskonale pana rozumiem, panie Oxen. Niczego przed panem nie zataiłem. Opowiedziałem panu prawdziwą historię swojego życia. Tylko w dwóch miejscach podstępnie minąłem się z prawdą, choć to nie leży w mojej naturze. Otóż, o ile w tej chwili nie dosięgnie mnie nemezis, to jeszcze trochę zabawię na tym świecie. Nie mam raka i nie jestem w stanie terminalnym. Dziś za odpowiednią opłatą można sobie kupić odpowiednią osobę, która pomoże adekwatnie przerobić kartotekę. Zaświadczenie było moim alibi, które miało przekonać naszych nieznanych wrogów o szerokości mojej złości i pragnienia pokuty, kiedy uda nam się ich zidentyfikować. Prawdą jest jednak, że wróciłem do Harrildholmu, aby przejść pewien proces, przepracować wspomnienia — i w ostateczności umrzeć, bo każdy kiedyś umrze. Drugim przekłamaniem był podział obowiązków w naszej organizacji. To ja, a nie mój brat, odpowiadam za organizację działań Lupusa. Obmyślanie strategii to zawsze była moja działka. Esben jest raczej człowiekiem czynu.

— A gdyby tamten samotnik nie zauważył pana w domu pańskiego kolegi z dzieciństwa?

— Wkrótce oczywiście i tak bym się ujawnił. Nie chcieliśmy natomiast, aby pan znalazł twardego dyska z monitoringu.

Próbowałem temu zapobiec, ogłuszając pana tam, na wozie. Ale trudno. Teraz jesteśmy tutaj i nic wielkiego się nie stało.

Teraz Mossman wyglądał na wściekłego. Ryknął, jakby chciał zagłuszyć wicher:

— Poniosło was od samoużalania się — i zaprowadziło do stu diabłów!

Odpowiedział mu były komendant:

— Panie Mossman, pańskie monstrualne ego, przerośnięte poczucie własnej wartości, zawsze mnie drażniło. Nie do wiary, że przez tyle lat pełnił pan taką ważną funkcję.

— Czym więc zawiniłszy, skoro, najwyraźniej, trzeba się nas pozbyć? — złośliwie prychnęła Franck.

— Panno Franck, pani akurat jest w tym gronie osobą najmniej poinformowaną — powiedział Poul Hansen. — Co zakrawa na ironię, jako że to pani odegrała centralną rolę w zajściu w Sydhavnen. Ale proszę już nie dociekać. Tam, dokąd się pani wybiera, zakres pani wiedzy nie ma większego znaczenia.

— Ale po co właściwie to wszystko?

— Tak, panie Oxen. Myślę, że akurat panu jestem winien odpowiedź po tym, jak był pan uprzejmy cierpliwie wysłuchać mojej opowieści wtedy w stodole. Otóż na całą sprawę należy spojrzeć w szerszym kontekście. Nieistniejąca już organizacja Danehof, która przez lata pociągała zarówno za widzialne, jak i niewidzialne sznurki i sterowała życiem politycznym w Danii, rzeczywiście od lat była naszym największym klientem. Większym nawet od pańskiej PET w czasach zimnej wojny, panie Mossman. Wiedzieliśmy, że Danehof został zgładzony. Ale *kto* za tym stał, *kto* wbił nóż w tkankę organizacji — tego nie wiedzieliśmy. Nikt nie wiedział. Rozumieliśmy, że pan, panie Mossman, był w to w jakiś sposób zamieszany. I słyszeliśmy plotki o obszernym archiwum zniszczonym w spalarni na Amager. Ale jak było naprawdę? Jedno tylko wiedzieliśmy z całą pewnością — że po wszystkich zleceniach, jakie dla nich wykonaliśmy, z całą pewnością znajduje się w ich dokumentach wzmianka o naszej organizacji. I że prędzej czy później pojawi się jakiś trop wskazujący w naszym kierunku. Że zostaniemy zdemaskowani. Pewnego dnia ktoś po nas przyjdzie, tak jak w

wojennych opowieściach naszego taty Niemcy przychodzili nagle po członków ruchu oporu. Pytanie brzmiało: *kiedy? Gdzie? Kto?* I jak wielu przyjdzie nas zgarnąć? — Były szef departamentu na krótką chwilę zatrzymywał wzrok kolejno na każdym z nich, zanim odchrząknął i ciągnął dalej: — Razem z bratem doszliśmy do wniosku, że musimy podjąć jakieś kroki, dopóki jeszcze mamy swobodę działania. Zachować *przewagę*, jak to się chyba obecnie nazywa, prawda? Musieliśmy zidentyfikować i wyodrębnić zagrożenie dla naszej organizacji. Uzbroiliśmy się zatem w cierpliwość i czekaliśmy, aby się przekonać, kto jako pierwszy zapuka do naszych drzwi. Tym kimś okazał się być pan, panie Mossman. Pojawiając się niespodziewanie w Harrildholmie, potwierdził pan nasze najgorsze obawy: gdzieś w archiwach Danehofu musiała być wzmianka wskazująca na Lupusa. Założyliśmy monitoring, aby sprawdzić, czy po panu przyjdą inni. W rzeczy samej widzieliśmy pana ponownie, kiedy pan powrócił i — ku naszemu wielkiemu zdumieniu — zostawił w szufladzie mojego biurka stary artykuł z gazety. A potem pojawił się pan, panie Oxen, ze swoim synem, akurat gdy miejscowy oprych przetrząsał moje rzeczy w poszukiwaniu skarbu. Ale na tym koniec.

— Był jeszcze Monrad.

— Ach, no tak. Ale jego znaleźliśmy już wcześniej i wiedzieliśmy, co planuje. Monrad to był zupełnie inny kaliber. On był po prostu pazerny. I dla naszej organizacji kompletnie obojętny. Nas interesowało wyłącznie to, czego nie wiedzieliśmy. Czy to możliwe, aby zagrożenie stanowiły dla nas tylko trzy osoby? Pan, panie Oxen, panna Franck i pan Mossman? Czy mogliśmy mieć aż takie szczęście? Próbowaliśmy sprowokować reakcję na większą skalę — najpierw rzucając kamieniem w szybę samochodu panny Franck. Potem oddając strzały z motocykla. Byliśmy przekonani, że dwa strzały oddane bezpośrednio w pani kierunku powinny zaognić sytuację na tyle, by ujawnili się pozostali. I niech mi pani wierzy, mogliśmy strzelać, aby zabić, ale na tamtym etapie wciąż staraliśmy się jedynie *zidentyfikować* i *wyodrębnić zagrożenie*. Ale nie, wciąż nie widzieliśmy groźnej armii maszerującej na Lupusa. Wciąż

widzieliśmy tylko waszą trójkę — z całym szacunkiem dla waszych działań. Tylko was troje, których teraz udało nam się zebrać w jednym miejscu. I tak wracamy do tego, od czego zacząłem. Otóż wykopaliśmy w małym skrawku lasu, nieco dalej wzdłuż wybrzeża, głęboką dziurę. Tam dziś wieczorem spoczniecie. A rano życie potoczy się dalej swoim utartym szlakiem. To miejsce należy do mojego dobrego znajomego. Nawet się nie zorientuje, że tu byliśmy. — Staruszek zakończył pojedynczym skinieniem, jakby dziękował za głos udzielony mu na formalnym zebraniu.

— I co wam z tego przyjdzie? Lupus umrze razem z wami, żałosne, stare, świętoszkowate kanalie. — Mossmana wciąż roznosiło ze wściekłości.

— Niech się pan liczy ze słowami! I nie. Tej satysfakcji pan nie dostanie. Lupus będzie trwał, kiedy nas nie będzie. Wkrótce będziemy mieli nowego lidera.

— Dlaczego musiał zginąć starszy z braci Jönssonów? — Franck próbowała najwyraźniej grać na zwłokę, bo przecież wobec nakreślonych przed chwilą perspektyw, jakie przed sobą mieli, odpowiedź na to pytanie była bez znaczenia.

Tym razem odpowiedział jej Esben Hansen:

— Przeczuwaliśmy, że jego młodszy brat mógł mu powiedzieć o tym, co dla nas robił. Ale René Jönsson przez lata nie pisał ani słowa. Dopiero całkiem niedawno... po tym, jak pani, panno Franck, go odwiedziła, po raz pierwszy skontaktował się z jednym ze znajomych swojego zmarłego brata — człowiekiem, który pracował dla nas — i opowiedział o pani wizycie. Był to dla nas szczęśliwy traf, bo mogliśmy zacząć panią obserwować. Tym samym starszy Jönsson potwierdził, że ma pewną wiedzę — i w dodatku poprosił o finansową rekompensatę za trud, jaki sobie zadał, nawiązując kontakt. Gdy więc nadarzyła się okazja, skorzystaliśmy z niej i się z nim pożegnaliśmy. — I patrząc pytająco na swojego brata, rzucił, lekko zniecierpliwiony: — Może miejmy to już za sobą?

Poul Hansen przytaknął i poinstruował trójkę uwięzionych:

— Chciałbym, abyście wstali, wyszli pojedynczo i skierowali się od razu schodami na platformę na szczycie wieży. Egzekucji

dokona mój brat. Wsparcia udziela mu wartownicy, więc darujcie sobie bohaterskie zrywy. Uwierzcie mi, że robię to z ciężkim sercem.

Oxen spojrzał w bok na Mossmana, który zerknął na swój zegarek i wrócił do przekręcania plastikowego paska wokół nadgarstka.

— Czy ktoś może mi pomóc wstać, żebym mógł wyjść na to spotkanie ze Stwórcą? — Mossman podniósł skrępowane ręce i gdy tylko jeden ze strażników się do niego zbliżył, z całej siły kopnął go w piszczel.

— Cholerne pojeby! Nędzne, tchórzliwe, zadufane w sobie prymitywy bez cienia przyzwoitości!

Spojrzał na Mossmana. Wyglądało na to, że dawny olbrzym z PET wpadł w histerię wobec perspektywy rychłego strzału w tył głowy. To było tak bardzo do niego niepodobne. Strażnik tylko podszedł do niego i kopnął go w brzuch, aż Mossman przewrócił się na bok i leżał, z trudem łapiąc powietrze.

— Mossman, nie zachowuj się jak dziecko! — wrzasnął były komendant. Wyjął z kieszeni kurtki pistolet i groźnie nim wymachiwał. Jego brat już zaczął schodzić na dół.

Jedno po drugim zostali wyprowadzeni z pomieszczenia w stronę schodów prowadzących na szczyt wieży i własnego kresu.

Rozdział 91.

Tuż za ich plecami latarnia rzucała tysiącwatowe błyski na tafłę morza. Dwa mignięcia, jedno po drugim, w tajnym języku ludzi morza.

— Oxen — ty pierwszy! Wystąp!

Silny wiatr na górnej platformie miotał nimi i szarpał ich ubrania. Były komendant krzychał co sił w płucach i rozkazał mu jako pierwszemu podejść do barierki.

Zamysł był jasny. Po strzale w tył głowy każde z nich kolejno miało zostać przerzucone przez barierkę, a upadek z trzydziestu czterech metrów miał ułatwić ludziom Lupusa ostatnią część zadania.

Niechętnie zrobił kilka kroków w przód. Ile błysków latarni dzieliło go od śmierci?

Rozpaczliwie szukał w głowie ostatniej, najmniejszej choćby szansy. Albo chociaż jej cienia, który sam mógłby oświetlić i zmienić w realną szansę. Ale niczego nie znajdował. Dwaj uzbrojeni strażnicy wyszli razem z nimi i stali na platformie za ich plecami. W tej chwili tylko jedno było dla niego jasne: nie podda się bez walki.

Jedyną przewagę zapewniało mu to, że ręce mieli związane z przodu, a nie z tyłu.

Jego mózg pracował na najwyższych obrotach, analizując nieliczne możliwości manewru; wszystkie zdawały się z góry skazane na porażkę. Z braku miejsca na platformie otaczającej ogromną latarnię Esben Hansen będzie musiał podejść do niego całkiem blisko, kiedy przyjdzie pora zgasić światło. A odległość zawsze była czynnikiem kluczowym.

W końcu to zobaczył — szansa być może naciągana i rozpaczliwa, jednak szansa. Warunkiem było, aby z ich trójki to on poszedł na pierwszy ogień. Wątpił, aby z góry ustalili kolejność egzekucji. Ale jeśli będzie trzeba, sprowokuje ich, aby wybrali go pierwszego.

Kiedy siedemdziesięcioośmioletni staruszek za jego plecami uniesie broń, odwróci się i spróbuje wytrącić mu ją z ręki, złapie go za poły kurtki i z całej siły pchnie na dwóch strażników. To ich zdezorientuje. Raczej nie zaryzykują strzału, który mógłby trafić ich szefa.

Od tego momentu nie sposób przewidzieć, jak się potoczą sprawy. Tak czy owak, najprawdopodobniej dojdzie do strzelaniny. Ale lepsze to niż... Znow zaciśnął prawą dłoń na lewej i wyobraził sobie, że trzyma za rękę Magnusa.

— Teraz, panienko, zapraszam! — Wiatr szarpał cienkimi włosami byłego komendanta, a jego lodowaty głos drażnił w zestawieniu z nieadekwatnie uprzejmym tonem.

Panienko. Odejdzie z tego świata jako panienka. A to zacne. Jako druga podeszła do barierki i przytrzymała się jej dla równowagi, kiedy wiatr nią szarpał. Próbowwała nawiązać kontakt wzrokowy z Oxenem, przejrzeć jego myśli i może dostrzec błysk nadziei. Ale on cały czas stał tyłem do niej.

Nadzwyczaj ciężko było jej się skupić, przytrzymać myśl i doprowadzić ją do końca, bo co parę sekund gwałtowne i mocne światło latarni przecinało krajobraz jak piorun. Nerw wzrokowy wysyłał ostrzeżenie do mózgu, a przed oczami stawały ogniki. Potem następowało kilka sekund ciemności, które działały jak spokojne poklepanie po plecach. I kiedy tylko zdążyła wrócić do pierwotnej myśli, znow eksplodowało białe światło.

W zasadzie żadna próba protestu w ich położeniu nie miała wielkich szans powodzenia. Za ich plecami stało dwóch wartowników, którzy oddadzą strzał, zanim zdąży zrobić cokolwiek, by zaburzyć aktualny rozkład sił.

Zamierzała spróbować jednego — stać się pierwszą, która dostanie kulkę. I zanim kulka opuści lufę pistoletu, odwróci się i z całej siły uderzy obiema związanymi rękami w ramię byłego komendanta, aby wytrącić mu broń. Fakt, był postawny, ale przy tym stary, a jego ruchom brakowało już pewności i zwinności. Złapie go za kurtkę i rzuci się na niego całym ciężarem ciała, by spróbować pchnąć go na strażników.

Jeśli się uda, złapie któryś z pistoletów. I będzie go trzymać z wszystkich sił.

Co do reszty — nie miała pojęcia.

Odchyliła głowę i spojrzała w niebo. Gwiazd było niewiele, ale były. Będzie musiała podjąć ostatnią, rozpaczliwą próbę, aby po nie sięgnąć.

Jeśli spojrzeć na to realistycznie, umrze, nie odzyskawszy zegarka...

— I na koniec pan, panie Mossman. *Please*.

Czy to miał być przytyk do jego anglofilskich inklinacji, z którymi zresztą nigdy się nie krył? Ze swojej krótkiej rozmowy z byłym komendantem w szklarni wiedział, że staruszek go nie znosi. A przed kilkoma minutami, kiedy jeszcze siedzieli w pomieszczeniu poniżej, starszy z braci Lupus rzucił mu w twarz coś o przerośniętym ego i nadmiernej pewności siebie. Nie wiedział, skąd u Esbena Hansena ta zajadła nienawiść, ale PET często budziła w ludziach skrajne reakcje. Instytucja, którą reprezentował, siała zamęt.

W tej sytuacji antypatia była odwzajemniona.

Nie ruszył się z miejsca. Odsunął rękaw kurtki, żeby widzieć zegarek. Stał z pochyloną głową, patrząc na cyfry, których nie był w stanie dostrzec. Czekał na błysk, który zaleje wszystko ostrym światłem. I na kolejny. Odliczał sekundy nierównej sekwencji. Dwa błyski, każdy trwający około dwóch sekund w odstępie dwóch sekund — a potem siedem sekund czarnej nocy. I od nowa.

— Ogłuchł pan? Niech pan podejdzie do pozostałych!

Zignorował rozkaz, stał dalej, z kurtką łopoczącą na wietrze, i czekał na kolejny błysk. Ktoś mocno uderzył go w plecy, pewnie kolbą pistoletu. Udawał, że tego nie poczuł.

— Ale już, powiedziałem!

Głos starego dziada z Lupusa załamał się ze złości. Ale on nie dał się wyprowadzić z równowagi. W końcu się doczekał — błysk, a po nim kolejny rozjaśnił tarczę zegarka. Odzyskał

kontrolę nad czasem. I w minutach — i sekundach. Tych ostatnich, zanim...

Stali teraz wszyscy troje, jedno przy drugim tuż przy samej barierce, która sięgała im do pasa. Wiatr szumiał im w uszach i zagłuszał huk morskiej kipieli poniżej, gdzie fale wściekle rozbijały się o głazy. Były komendant stał za nimi, chwiejąc się na wietrze. Czas oczekiwania się skończył.

— Mnie zdejmij pierwszego! — krzyknął i odwrócił się w stronę Esbena Hansena. — A kiedy będziesz naciskał spust, to pomyśl, stary, obłąkany idioto, że sama królowa wręczyła mi Krzyż Waleczności. Tylko mnie jednemu. Zawsze...

— Zamknij się, Oxen!

— ...zawsze gardziłem tymi, którzy strzelają w plecy. Potrzeba odwagi, aby spojrzeć wrogowi w oczy. Jesteś plugawym tchórzem. Kiedy położysz się dzisiaj spać, pomyśl, dziadku, o swojej wielkiej odwadze, o tym, jak bohatercko strzeliłeś każdemu z nas w tył głowy. Ty, potomek dzielnych bojowników ruchu oporu. Rzygać się chce.

— Zamknij się, mówię!

— Pomyśl, czy królowa czeka na ciebie z medalem za ten wielki wyczyn. I za wszystkie inne wyczyny, których dokonaliście razem z bratem, stawiając się poza prawem. Szczacie na królową! Szczacie na Danię! Jakie to żałosne! I wszystko dlatego, że wasza siostra została zgwałcona. I popełniła samobójstwo. Jakby to było coś niezwykłego. Ona nie jest...

— Jak pan śmie...

Wybuch wściekłości urwał się gwałtownie i Oxen poczuł, że starszy z braci zrobił krok w bok i stanął tuż za nim. Gadką o królowej i siostrze zasłużył na pierwszą kulę. Już tylko sekundy dzieliły go od...

Wtedy coś usłyszał. Pośród obłąkanego wycia wiatru. Być może usłyszał to wcześniej niż pozostali, bo tak dobrze znał ten dźwięk. A po chwili już nie miał wątpliwości. Charakterystyczny, miarowy i ogłuszający łomot śmigła.

► Xray 23, tu Norseman 23. Podjęcie za dwie minuty, wejście na 280 stopniu. Odbiór. ◀

Mechanicznie włączyli podczerwone odblaski na hełmach. Za chwilę loadmaster da sygnał podwójnym błyskiem i rzucą się rampą do środka w tumanie piachu i drobnych kamyków. A po kilku sekundach będą w drodze powrotnej do Kandaharu.

Wbił paznokcie w grzbiet lewej dłoni. Włożył w ten ruch wszystkie swoje siły i kręcąc energicznie głową, wyrzucił z niej przebłysk.

Na szczycie latarni czas się zatrzymał.

Odwrócił głowę.

Każda myśl i każdy ruch zostały zamrożone. Staruszek i dwaj strażnicy zamarli. Mossman i Franck stali nieruchomo.

Dopiero teraz skupił się na sytuacji, która rozgrywała się pod osłoną otaczającej ich ciemności.

Od północy wzdłuż wybrzeża, na skrajnie niskiej wysokości leciały ku nim dwa śmigłowce. Po chwili odbiły i zawisły przed latarnią złowieszczo jak para sokołów norweskich, która wypatrzyła ofiarę. Jeden po lewej, a drugi po prawej stronie.

Scena była zmasowanym atakiem na zmysły. Błyski latarni eksplodowały przy akompaniamencie ogłuszającego huku łopat wirników wściekle szatkujących nocne powietrze wokół wieży.

Dwa policyjne śmigłowce z kompletną załogą w pełnej gotowości.

W bocznym wejściu każdego z nich siedział przypięty uprzężą snajper z bronią wyposażoną w duży celownik teleskopowy, skierowaną w ich stronę.

Po chwili włączone zostały zamontowane na obudowach śmigłowców duże projektory, a ich światło kompletnie ich oślepiło.

Znów obejrzał się za siebie. Esben Hansen wciąż stał za jego plecami jak skamieniały i z szeroko otwartymi oczami, które

dostrzegły już czerwoną plamkę lasera tańczącą na jego własnej piersi.

Staruszek podniósł ręce do góry. Pistolet dyndał mu na palcu.

Głos zadudnił z tak wielką siłą, że usłyszeli każde słowo:

— Nazywam się Karsten Salomonsen, jestem szefem PET! Złóżcie broń. Powtarzam — złóżcie broń!

Niezwykle rzadko — albo wręcz nigdy — nie zdarzało się, aby szef wywiadu policyjnego wkładał strój roboczy i uczestniczył w pierwszej fazie operacji. W dodatku operacji wyjątkowo ryzykownej.

Lecz nowy szef PET był człowiekiem czynu — zarówno zza biurka, jak i w terenie. Poza tym ogromnie ważne było to, że operacja Wolfhunter nie była zwykłą operacją PET. Ich działanie było ściśle tajne — tak bardzo, że należało zadbać, aby na papierze nie pozostało na jego temat ani jedno słowo.

Szef PET siedział w maszynie po lewej stronie tej swoistej sceny na szczycie wysokiej białej latarni. W wyznaczonym miejscu na polu kawałek dalej w górę wybrzeża razem z dwoma członkami załogi czekał w napięciu na sygnał, który były szef PET Axel Mossman wyśle, wciskając guzik swojego zegarka z wbudowanym lokalizatorem GPS. Był to znak, że dokładnie za dziesięć minut muszą się *ujawnić i wkroczyć do akcji*.

I teraz byli widoczni — i gotowi do akcji. W słuchawce usłyszał raport jednego ze snajperów. Nie wahał się ani chwili:

— Tu Salomonsen: eliminuj obiekt alfa.

Snajper powiedział coś i po chwili usłyszał odpowiedź w słuchawce:

— Ale... obiekt alfa stoi z rękoma w górze. Pistolet wisi na palcu.

— Powtarzam: eliminuj obiekt alfa.

— Przyjąłem.

Palec strzelca pociągnął najpierw spust miękki. Potem twardy. Kula wyrzucona z długiej lufy uderzyła w czerwoną plamkę na sercu Esbena Hansena.

Rozdział 92.

Lider Lupusa, były szef departamentu Ministerstwa Sprawiedliwości, klęczał na trawie obok ciała zmarłego brata i jedną dłonią podtrzymywał jego kark. Trwał w takiej pozycji od dłuższego czasu. Wyraźnie zdruzgotany i rozkojarzony, jakby powaga sytuacji i wydarzenia ostatnich dramatycznych chwil wciąż do niego nie docierały. Za nim stał jeden z członków jednostki specjalnej policji, AKS, i go pilnował.

Dziwiesięciu policjantów zwerbowanych przez Lupusa do wykonania misji na krańcu Langeland spacyfikowano i ustawiono w szeregu przed starym domem latarnika. Stali z odsłoniętymi twarzami, na których malowała się niepewność co do dalszego ciągu. I przecucie, że nie będzie to szczęśliwe zakończenie.

Pozostali członkowie AKS sfotografowali strażników i ustalili ich tożsamość. Wszyscy trafili na listę, którą teraz wręczono szefowi PET Karstenowi Salomonsenowi.

Szef wywiadu przechadzał się oświetlony projektorem wzdłuż szeregu skorumpowanych policjantów niczym zwycięski dowódca armii przed wziętymi w niewolę jeńcami. Każdemu z nich patrzył w oczy i raczej nikt nie mógł mieć wątpliwości, co o nich myślał.

Na koniec stanął przednimi i głośno, starając się przekrzyczeć wiatr, oświadczył:

— Brzydzę się wami! Zdolni, dobrze wykształceni ludzie — a sprzedaliście się czemuś takiemu. Wstydzcie się! Powinniście wszyscy pójść do więzienia na długie lata. Tam moglibyście w końcu przemyśleć, w jakim bagnie braliście udział. Ale tak się nie stanie — wbrew mojemu poczuciu sprawiedliwości. Macie cztery miesiące, aby złożyć rezygnację ze służby. Każdy z was dostanie dokładną informację, kiedy ma to zrobić. A jeśli kiedykolwiek zdradzicie choć słowo o tym, co się tu wydarzyło dziś wieczorem — albo o innych zadaniach, jakie wykonywaliście

dla Lupusa — i jeśli kiedykolwiek wspomnicie o istnieniu tej plugawej siatki, to dorwę się wam do skóry tak, że będziecie żałować, że matki wydały was na ten świat. Zrozumiano?

Cała dziewiątka z powagą pokiwała głowami.

— A teraz precz mi z oczu — ryknął Salomonsen.

— Halo, nie tak prędko! — w snop światła weszła Margrethe Franck, jego pracownica z wydziału operacyjnego.

Szef PET spojrzał na nią zaskoczony, ale zanim zdążył o cokolwiek spytać, powstrzymała go zdecydowanym ruchem dłoni.

— Który z was ma mój zegarek? — ryknęła w stronę szeregu mężczyzn, ale żaden się nie odezwał.

— Pytam po raz ostatni: *który* zabrał mój zegarek?

Krępy mężczyzna o ogolonej głowie, stojący w szeregu jako przedostatni, niepewnie wystąpił, pogrzebał w wewnętrznej kieszeni kurtki i w otwartej dłoni wyciągnął ku niej Breitlinga.

Odzyskała ukochany zegarek i w tej samej chwili z całej siły kopnęła mężczyznę w krocze. Kiedy zgiął się wpół z głośnym jękiem, kantem prawej dłoni uderzyła go w żuchwę i powaliła na ziemię.

Potem odwróciła się i zniknęła w ciemności.

Ciemność spowiła zabudowania wokół latarni w ciągu pół godziny. Tylko latarnia na wieży pracowała nieprzerwanie, jakby nic się nie wydarzyło.

Jako ostatni teren opuścił nieoznakowany transporter, który na rozkaz szefa PET czekał w gotowości.

Salomonsen usiadł obok Mossmana. Za nimi siedzieli Oxen i Franck. Wcześniej, zanim jako ostatni zeszli z wieży latarni, mocno go do siebie przytuliła i pocałowała w policzek.

Z tyłu siedział dawny szef departamentu w Ministerstwie Sprawiedliwości Poul Hansen. Jeden nadgarstek lidera Lupusa był przymocowany do drzwi samochodu plastikowym zaciskiem. Zamierzali go odstawić prosto do więzienia, gdzie miał pozostać w zamknięciu jeszcze przez kilka dni, zanim będzie można odhaczyć ostatni punkt operacji Wolfhunter.

Rozdział 93.

Bertelsen siedział za kierownicą i czytał gazetę, kiedy obok niego podjechała srebrna škoda. W środku siedział Borg — punktualny jak zawsze. Znajdowali się na podziemnym parkingu hali sportowej DGI za dworcem głównym, bo stanowczo odmówił kolejnego spotkania na lodowatej ławce.

Bertelsen przesiadł się do samochodu kolegi, znacznie cieplejszego niż jego własny.

— Bardzo inspirujące miejsce spotkania — powiedział, patrząc tępo w betonową ścianę. — Borg, bez ciebie moje życie straciłoby smak.

Borg się roześmiał.

— Więc jednak wolisz wrócić na ławkę? To chcesz mi powiedzieć?

Bertelsen pokręcił energicznie głową

— Byłeś tu kiedyś? Mają świetny basen — spytał Borg. A gdy Bertelsen ponownie zaprzeczył, dodał: — Basen ma kształt superelipsy. Pływa się w kółko, a w środku jest mniejszy basen z ciepłą wodą. Cała runda to sto metrów. Ekstra do popływania.

— Taka karuzela dla chomików w kąpielówkach? Nie, chyba podziękuję. Może zaczniemy?

Borg przytaknął. Bertelsen sam zadzwonił do niego i poprosił o spotkanie, bo wykonał zadanie, które tamten mu wyznaczył.

Teraz wyjął z kieszeni kurtki złożoną kartkę A4.

— Skończyłem przeświadczenie dawnego Romea Cindy Johansen, Franza Riisa. I poprosiłem jednego gościa, żeby skopiował jego twardy dysk.

— O *nie*... — skrzywił się Borg.

— O *tak*. Facet jest mi winien przysługę. A jak inaczej mielibyśmy mu zaglądać przez ramię, co? Żaden sędzia nie da nam pozwolenia, dopóki działamy z rozkazu twojego odbicia w lustrze. I nie mamy nawet cienia dowodu.

— Okej, okej.

— Zatem, mówiąc krótko, niczego nie znalazłem. Facet dysponuje budżetem zapewne nieco bardziej ekstrawaganckim niż ty czy ja, ale nie znalazłem niczego, za czym można by pójść dalej. Poza jedną ciekawostką na liście jego klientów. Bodil Nyhuus — mówi ci to coś?

Borg wzdrygnął się i spojrzał na swojego kolegę wielkimi oczami i z wysoko uniesionymi brwiami:

— Bodil Nyhuus?

— Uhm.

— W sensie Bodil Nyhuus z wewnętrznego z Aarhus?

— Ta sama. Sprawdziłem adres. Riis prowadzi dla niej portfel akcji, którego wartość właśnie osiągnęła jeden koma siedem milionów. Wolne środki. Niemałe. Głównie akcje Pandory, Novo i Vestas. A my, frajerzy...

— Stój, zaczekaj! — Borg uniósł palec, na jego twarzy malowało się nietypowe podniecenie. — Nie wierzę. To nie może być prawda, do diabła... Bodil Nyhuus? Bertelsen, niech mnie szlag...

— Co jest?

— To nie jest przypadek, idę o zakład. Jestem gotów postawić wszystko.

— Ale o czym ty mówisz? Jaki *przypadek*?

— Wybacz, już wyjaśniam. Otóż ja też uporałem się z moją listą zadań. Jedno spotkanie w Odense i drugie w Aarhus. W Aarhus widziałem się z Lukaszem Lewanderem. W dokumentach stoi, że jego rodzice to Bodil i Leif Lewanderowie. Ojciec jest na placówce w Katarze. Inżynier. Sprawdziłem go. Matki początkowo nie umiałem znaleźć. W aktach było oczywiście napisane, że chłopak doznał uszkodzenia mózgu, ale nie wiedziałem, w jakim stopniu, więc pomyślałem, że spotkam się z nim w ośrodku, w którym mieszka. Chwilę po tym, jak się tam zjawiłem, podeszła do nas jakaś kobieta. Okazało się, że to matka Lewandera — obecnie rozwiedziona i już nie Lewander, ale Nyhuus.

Bertelsen głośno wypuścił powietrze z płuc, a następnie wydał z siebie przeciągły okrzyk: *hooly shiit!*

— Ten chłopak jest zupełnie... do niczego. Absolutnie do niczego — powiedział Borg.

— W sensie jak warzywo?

Borg skinął — a potem pokręcił głową.

— Tego nie można powiedzieć — nie ma nic wspólnego z selerem naciowym. Jak stałem obok niego, to go pogłaskałem po policzku. Nie wiem, czy to poczuł. Może gdzieś w głębi. Nic z niego nie zostało. Ale warzywo — nie. To określenie mi się nie podoba. Mówi się: stan wegetatywny, okej?

Bertelsen poważnie pokiwał głową i wziął sobie do serca pouczenie ze strony kolegi, choć normalnie odciąłby się jakąś ripostą.

— Więc mamy dwie osoby — ciągnął Borg. — Dwoje ludzi, którzy ponieśli możliwie najdotkliwsze konsekwencje wściekłego ataku Nassara. Ona straciła syna. A on stracił dziewczynę i karierę.

— Ciekawe, gdzie mogli się spotkać — Nyhuus i Riis.

Borg wzruszył ramionami.

— Hm. W każdym razie statystycznie niemożliwe jest, aby to był przypadek. Więc co teraz, Bertelsen? Co z tym, u licha, poczniemy?

Przez jakiś czas siedzieli i patrzyli w betonową ścianę. W końcu odezwał się Bertelsen i spróbował podsumować ich położenie:

— Działaliśmy za plecami Clemmesena, zignorowaliśmy jego wyraźne polecenie, aby ukrećć sprawie łeb. Ja nawet skopiowałem dysk Riisa. To nie wygląda dobrze — i zdecydowanie nie da się tego użyć w sądzie. A teraz co — mamy zapukać do Clemmesena, pokajać się i jednym tchem powiedzieć, jak naprawdę wygląda sprawa Nassara? W dodatku Bodil Nyhuus — bez dwóch zdań *jedyna* osoba w całym kraju, której *nie wolno* być w nic uwikłaną. Osoba, która kontroluje wszystkich pozostałych, która tropi zgniłe jabłka... Ta, która powinna być krystalicznie czysta. Równie dobrze moglibyśmy wejść do Clemmesena i walnąć mu na biurko wielkiego kloca. I jeszcze jednego — dla równowagi, bo w sumie co to za różnica.

— Ale skoro zaszliśmy tak daleko, to powinniśmy zrobić i ten ostatni krok.

— Słuchaj. Ta sprawa to za duży kaliber dla Clemmesena. A twoje odbicie w lustrze nie dba przecież o to, jak to zrobimy — bylebyśmy cokolwiek zrobili, prawda?

— Do czego zmierzasz? — Borg wyglądał na poważnie strapionego.

— Musimy uderzyć gdzie indziej. Gdzieś, gdzie być może przymkną oko na nielegalnie skopiowany twardy dysk. Gdzieś, gdzie nikogo nie interesuje, co robimy w wolnym czasie. Gdzieś, gdzie możemy to gównu zostawić, a potem wrócić do swojego normalnego życia, nie brudząc sobie rąk.

— Łatwo powiedzieć. Nie znam nikogo, kto...

— Ale ja znam — przerwał mu Bertelsen i potarł zziębnięte mimo wszystko palce. — Znajomy ze starych czasów, który ma dość twarde jaja i wystarczająco dużo kontaktów — i kontaktów dość dużych, żeby się nadawał do przejęcia sprawy. Nic się nie bój, Borg. Będzie dobrze. Wcale nie jesteśmy starzy. Ani zmęczeni. Jesteśmy solidni i dotarliśmy do sedna. Udało nam się, cholera. Możesz spokojnie popatrzeć w oczy sobie i młodemu.

Rozdział 94.

Jako że odegrał znaczną rolę w śmierci tego człowieka, naturalne wydało mu się trzymać z dala od centrum wydarzeń i tak jak w kościele usiadł w ostatniej ławce, tak teraz ostatni etap ceremonii obserwował schowany za świerkiem. Wokół grobu zebrali się żona, dwoje dorosłych dzieci, brat i niewielka grupa w przeważającej mierze starszych ludzi.

— Jeszcze chwila, Mossman — powiedział, mijając go, młody mężczyzna w czarnym garniturze i położył mu lekko dłoń na ramieniu.

Zaczął się przygotowywać.

Ksiądz w ciepłym tonie opowiedział, jak to mały Esben zdarł swoje dziecięce buciki na dzikich terenach Harrildholmu i skakał po wrzosowisku — a potem osiadł w stolicy i zrobił wspaniałą karierę w policji jako przełożony i komendant w najróżniejszych miejscach.

Ani słowa o tragedii, jaka spotkała jego rodzinę, i smutnym końcu jej poszczególnych członków. Ani jednego słowa. I oczywiście żadnej wzmianki o przyczynie ani okolicznościach śmierci. Życzeniem zmarłego było zostać pogrzebanym w rodzinnym grobowcu na cmentarzu w FASTERHOLT.

Dzwon kościelny zabił trzy razy po trzy razy. Chwilę potem niewielki orszak żałobny rozproszył się i wszyscy w milczeniu rozeszli się wąskimi alejkami cmentarza. Brat zmarłego, Poul Hansen, ruszył lekko zgarbiony swoim charakterystycznym, ciężkim krokiem szeroką ścieżką wysypaną delikatnym kościelnym żwirkiem w stronę bramy. Eskortowany z obu stron przez pracowników PET w ciemnych garniturach.

Sam poszedł za nimi, zachowując dystans, i czekał na swoją kolej.

Eskorta pomogła Hansenowi wsiąść do czarnego bmw, które stało przy żywopłocie na małym, wyasfaltowanym parkingu przy drodze przecinającej miasteczko.

Po jej drugiej stronie była świetlica. To naprawdę smutna historia. Gdyby tylko ich siostra nie pojechała na świąteczny bal w 1963 roku... Wówczas tego wszystkiego można by uniknąć i sprawy potoczyłyby się zupełnie inaczej. Ale stało się. I nie wszystko, co się stało, da się odczytać.

Jeden z członków obstawy Hansena skinieniem dał mu znak, że wszystko gotowe i może wkroczyć do akcji. Dosiadł się do staruszka na tylnej kanapie bmw i podał mu rękę.

Zarówno w kościele, jak i przy grobie uderzający wydał mu się spokój, z jakim były mąż stanu zdawał się znosić dramatyczne wydarzenia, które rozegrały się tamtego wieczora na latarni, gdy jego brat został zabity.

— Piękny pogrzeb — i świetny kaznodzieja — powiedział Mossman.

— Tak, ładnie to wyszło. Rozumiem, że przysłała pana Salomonsen, skoro fatygował się pan aż tutaj. Byłbym zdziwiony, gdyby panowie nie działali w komitywie. Proszę, niech pan mówi, panie Mossman.

Wyjął z kieszeni kluczyk do samochodu i uniósł go na wysokość oczu Hansena.

— To kluczyk do toyoty zaparkowanej za rogiem. Ma pan dwadzieścia cztery godziny i może pan zrobić, co pan zechce. Ale coś za coś: potrzebuję jeszcze kilku odpowiedzi. Zgoda?

— Zgoda.

— Zatem proszę.

Położył kluczyk na otwartej dłoni Poula Hansena.

Rozdział 95.

Wiadomość została nagrana o dziewiątej pięćdziesiąt pięć, akurat kiedy wyszedł pobiegać — głównie po to, aby udowodnić sobie samemu, że może to robić również za dnia. Wiadomość była krótka:

„Dzień dobry, panie Oxen, mówi Poul Hansen. Pan jako jedyny wie, gdzie mnie znaleźć. Chciałbym, aby to był właśnie pan — jeśli zechce się pan tu pofatygować. Z góry bardzo dziękuję”.

Wydawało mu się, że były szef departamentu siedział w areszcie. Nie był oczywiście aż tak naiwny, by sądzić, że sprawa potoczy się jak należy i historia Lupusa znajdzie swój finał w sądzie. Po prostu nie sądził, że rozwiązanie przyjdzie aż tak szybko.

Natychmiast zadzwonił do Mossmana, który mu opowiedział, jak to dzień wcześniej wybrał się na Jutlandię. Pojechał do Fasterholt na pogrzeb Esbena Hansena.

Z tego, co powiedział Mossman, wynikało, że brat byłego komendanta dostał dwadzieścia cztery godziny — ale najwyraźniej nie zamierzał wykorzystać ich wszystkich.

Poinformował więc Mossmana, że spełni życzenie starego, pojedzie do niego i zrobi, co trzeba. Mossman pożegnał się słowami: „Dziękuję za pomoc, żołnierzu”.

Więc teraz jechał w stronę bramy Harrildholmu — po raz ostatni — a dzień chylił się ku końcowi. Zaparkował przed bramą, przez szacunek. Przeciągnął się po długiej podróży w poprzek kraju, wziął latarkę i ruszył prosto do stodoły.

Z miejsca uderzyła go cisza.

Wszędzie tak nienaturalnie cicho. Nie słyszał pogwizdywania wiatru. Nie skrzypnęła żadna deska.

Do środka przedostawało się niewiele światła. Widział tylko zarys postaci. Wtedy włączył latarkę.

Poul Hansen wisiał na tej samej belce, co jego siostra.

Aby przerzucić sznur przez poprzeczną belkę, oderwał jedną z niższych desek, które jego ojciec przybił w tym miejscu przed wieloma laty. Jej drugi koniec przywiązał do najbliższego słupa. Potem stanął na dwóch skrzynkach po piwie.

Szyję miał wygiętą pod nienaturalnym kątem, ale na jego twarzy malował się spokój.

Miał na sobie czarny garnitur, białą koszulę i czarny krawat. Prawdopodobnie nie przebrał się od wczorajszego pogrzebu.

Na podłodze, kilka metrów od niego, coś leżało. Jego płaszcz, starannie złożony. Poświecił latarką. Na płaszczu leżały oprawiona w ramkę rodzinna fotografia i koperta. Pochylił się i podniósł jedno i drugie.

Dumni rodzice i czwórka dzieci — wszyscy stoją w odświętnych strojach i z błyskiem w oczach uśmiechają się do świata.

W świetle latarki uważnie przyjrzał się każdemu z nich.

Stojąca w środku Agnethe rzeczywiście była śliczną dziewczyną. Zbrodnia przeciwko niej była zbrodnią przeciwko im wszystkim i doprowadziła do całkowitej zagłady tej rodziny.

Kilka dni temu jej najstarszy, siedemdziesięcioośmioletni brat został zniesiony ze szczytu latarni. Zabił go pojedynczy strzał oddany przez snajpera z jednego ze śmigłowców.

Teraz ostatni z rodziny, w wieku siedemdziesięciu sześciu lat, powiesił się na belce. Tej samej belce.

To był koniec. Odeszli wszyscy. Zdjęcie, które trzymał w rękach, było papierowym pomnikiem czegoś, co istniało bardzo dawno temu.

Ostatni raz przesunął wzrokiem kolejno po ich twarzach.

W barwach sepii i ujęte w ramkę pozostało świadectwo ulotności życia. I zapowiedź niebywałego cierpienia.

Odłożył zdjęcie, otworzył kopertę i wyjął z niej kartkę zapisaną starannym, pochyłym pismem:

Do Nielsa Oxena. Wtedy w stodole wysłuchał Pan mojej opowieści. Dlatego chciałem, aby to Pan mnie znalazł. Moje stwierdzenie, że wróciłem do Harrildholmu, aby umrzeć, okazało się zgodne z prawdą. Choć inaczej, niż to sobie wyobrażałem. Być może jest to dowód na istnienie owego wyższego porządku, do którego razem z bratem tak usilnie

dążyliśmy. Jestem gotowy. Odchodzę w poczuciu ulgi, że przynajmniej nie stałem się winnym Pańskiej śmierci. Jest pan dobrym człowiekiem, panie Oxen. Dziękuję.

Popatrzył na białą twarz staruszka. Potem podszedł do niego i rozwiązał pętlę. Jedną ręką chwycił jego bezwładne ciało, nim dotknęło ziemi, a drugą wsunął mu pod ramiona. Ważył niewiele.

Zaniósł go kawałek dalej i ostrożnie położył na betonowej podłodze z głową opartą na płaszczu. Zdjęcie położył na jego klatce piersiowej. Dopiero wtedy zadzwonił na numer alarmowy.

Karetka toczyła się niespiesznie szutrową drogą. Przyjechali szybko. Ratownikom powiedział, że fotografia powinna zostać włożona do trumny staruszka — o ile ktoś nie zgłosi sprzeciwu. Obiecali, że przekażą instrukcje ludziom ze szpitalnej kaplicy.

— Cześć, Niels!

Odwrócił się. Przy jednej ze ścian szczytowych stał Tobias.

— Cześć. Długo tu stoisz?

Tobias przytaknął skinieniem.

— Ale jeszcze nie jest całkiem ciemno?

— Zaraz będzie... Przychodziłem tutaj wiele razy, żeby zobaczyć, czy nie wróciłeś. On umarł, prawda?

— Tak.

— Ty go zabiłeś?

— Nie, na Boga. Jak mogłeś tak pomyśleć?

— Sam nie wiem...

— Powiesił się w stajni, bo był stary i zmęczony życiem — skłamał. Historia Poula Hansena byłaby zbyt pokręcona dla Tobiasa. I dla każdego innego człowieka.

— Aha. I teraz co — zostajesz tu czy jak?

— Nie. Zaraz wyjeżdżam. Muszę tylko zabrać z domu swoje rzeczy. Miałem nawet zamiar zajrzeć do ciebie i pożegnać się przed wyjazdem. Uprzedziłeś mnie. Muszę też zająć się jednym z gospodarstw i pożegnać się ze znajomym. Możesz pojechać ze mną. Potem wysadzę cię tam, gdzie będziesz chciał. Jak najbliżej twojego wagonu. Moglibyśmy też podjechać do

miasteczka i zrobić ci zakupy. Pomógłbym ci zanieść wszystko do lasu. A potem zjedlibyśmy razem kolację? Co ty na to?

Tobias chwilę milczał, a potem przytaknął:

— Zgoda. Zrobimy zakupy. I zjemy razem. Mam ochotę na pulpety.

— Znowu?

— Tak! Ale jak pójdziesz się spotkać z tym znajomym, to wolę zaczekać w samochodzie.

Pół godziny później byli na ostatniej prostej wiodącej do Poppelgården. Zapadał zmierzch. Od strony ogrodu szedł w ich stronę jakiś mężczyzna. Przystanął tuż przed podwórkiem. To był właściciel, Młynarz.

Zatrzymał samochód i opuścił szybę w oknie. Młynarz się schylił. Przez jedno ramie miał przewieszoną duńską flagę.

— A niech mnie! Nasz komandos! Jak leci, Oxen?

— W porządku. Chciałem się tylko pożegnać, dzisiaj wyjeżdżam. Ktoś ma urodziny? — Ruchem głowy pokazał flagę.

— Nie... pogrzeb. Tylko trochę się spóźniłem ze spuszczeniem flagi. Mój staruszek. Umarł wczoraj... osiemdziesiąt jeden lat. Dziś po południu go pochowaliśmy. Słuchaj, a może wejdiesz na chwilę? Pogadamy trochę. Właśnie pijemy jego zdrowie. Idź do pozostałych, a ja zaraz do was dołączę.

Młynarz zniknął, zanim zdążył zaprotestować. Przejechał przez podwórko, objechał najdalsze skrzydło i zaparkował pod hangarem. Stało tu mnóstwo samochodów. Wysoki starszy mężczyzna szedł właśnie wzdłuż ściany budynku w stronę furgonetki. Zmrużył oczy, gdy oślepiły go światła mijania Oxena.

— To on! — krzyknął Tobias i skulił się na miejscu pasażera.

— Kto?

Tobias był tak przerażony, że ledwie był w stanie mówić. W końcu zdołał wydukać:

— To on zakopał wilka! Niels, to był on!

— Jesteś pewien?

— Całkiem, ale to całkiem pewien. Nigdy nie zapomnę tej twarzy. To *jest* on!

Wysiadł i zawołał do mężczyzny, aby go zatrzymać, zanim wsiądzie za kierownicę.

— To ty jesteś ten komandos, nie? — Mężczyzna uśmiechnął się i uklonił.

— Tak. A ty to kto?

— Kowal.

Chwycił mężczyznę za nadgarstek, błyskawicznie zrobił krok w przód, wykręcił mu rękę do tyłu, pchnął go w przód i drugą ręką mocno docisnął jego twarz do ściany.

— Posłuchaj, Kowalu! Posłuchaj uważnie. Wiem, że zastrzełeś wilka i nocą zakopałeś go w lesie zawiniętego w zieloną plandekę... — Wypuścił nadgarstek mężczyzny i wyjął nóż. Docisnął go mężczyźnie do policzka i szepnął mu do ucha: — ... więc jeśli jeszcze raz, gnoju, zrobisz coś takiego, to przyjdę po ciebie i osobiście obetnę ci uszy, a dupę naciągnę ci na łeb jak słomkowy kapelusz. Zrozumiałeś?

Mężczyzna, który nazywał się Kowal, pokiwał głową na tyle, na ile był w stanie, i skrzywił się z bólu.

Wtedy go puścił.

— I zejdz mi z oczu!

Potem wrócił do samochodu i spróbował uspokoić Tobiasa, który wciąż kulił się na miejscu pasażera.

— Więcej tego nie robi. Możesz być spokojny. Zajrzę tam na jakieś dziesięć minut i potem do ciebie wrócę, okej?

Poblady Tobias pokiwał głową.

Do drzwi nieformalnego klubu dyskusyjnego i pijalni piwa w jednym dotarł równocześnie z Młynarzem.

— Siadaj, Oxen. Wypijesz zdrowie zmarłego? — zachęcał Młynarz i poklepał go przyjacielsko po plecach.

— Właściwie chciałem się tylko pożegnać, ale jedno szybkie może być, czemu nie.

Młynarz zasiadł na swoim stałym miejscu przy stole i postawił przed nimi dwa piwa.

— Kondolencje.

— Dzięki. Staruszek niedomagał od paru lat, więc to nie było wielkie zaskoczenie — wyjaśnił Młynarz. — Wiadomo, nic nie trwa wiecznie, ale oczywiście zawsze to przykre.

Pomyślał o Poulu Hansenie, o tym, jak młodo wyglądali on i reszta rodziny na tamtym zdjęciu. To prawda. Nic nie trwało wiecznie. Tyle że dla czworga członków rodziny z Harrildholmu czas skończył się za szybko, o wiele za szybko.

— To wszystko, co mi teraz po nim zostało... — Młynarz wskazał głową na laskę zawieszoną na oparciu pustego krzesła. I ciągnął dalej: — Miał ją od trzydziestu lat. Tak twierdził. To dąb. W ostatnich latach miał problemy ze stopą. Teraz mogę to powiedzieć na głos, bo dopóki żył, nie wolno mi było o tym mówić: w młodości postrzelił się w stopę. Dasz wiarę? Podczas nocnych ćwiczeń w koszarach Almegårds na Bornholmie. Biedak cholernie się tego wstydził i przez wszystkie lata trzymał to w tajemnicy. Wojskowy lekarz musiał mu obciąć połowę wielkiego palca.

— Wielkiego palca?

— Tak, do diabła. Wielkiego palca. Na zdrowie, Oxen!

— Na zdrowie... Hm... Czytałem gdzieś, że to, na ile uraz stopy przeszkadza w chodzeniu, może zależeć od tego, która to stopa. Twój ojciec postrzelił się w którą?

— Lewą...

Rozdział 96.

Książę ciemności wybrał skąpane w słońcu przedpołudnie, aby zapukać do jego drzwi pojedynczym uderzeniem swojej wielkiej pięści, aż echo zadudniło na całej klatce.

Po minie widać było, że jest w znakomitym nastroju, gdy z typową dla siebie nonszalancją wprosił się do salonu swojego „czarnego rycerza w lśniącej zbroi”, po raz kolejny ignorując, że ten już dawno wypisał sobie na czole świecącymi literami, że nie jest i nigdy nie będzie jego rycerzem.

Mossman rozsiadł się w fotelu jak król wszechświata z kubkiem kawy w rękach.

— Żołnierzu, nadchodzą lepsze czasy...

Sam usiadł na kanapie naprzeciwko swojego gościa. Doskonały humor byłego szefa PET mógł mieć źródło w tym, że wszystko potoczyło się tak jak zawsze. Na pozór wydawało się, że sprawa była dziecinnie prosta. Jak pociągnięcie palcem po wodzie bez pozostawienia śladu. A w rzeczywistości wymagała ogromnych nakładów pracy i szczęścia.

Minęły trzy dni, odkąd ciemną nocą wracał do Kopenhagi, a w jego myślowej wirówce obracały się dwie postacie.

Dwaj starzy mężczyźni.

Dwaj martwi mężczyźni.

Jeden wisiał na sznurze przewieszonym przez bardzo szczególną belkę w bardzo szczególnej stodole.

Drugi leżał w trumnie, a w lewej skarpetce skrywał tajemnicę. I według wszelkiego prawdopodobieństwa odrażającą zbrodnię na swoim sumieniu.

— Dziękuję, że pojechałeś taki szmat drogi i go odciąłeś — powiedział Mossman.

Pokiwał tylko głową.

— I tak musiałem tam wrócić. Zostawiłem w jego domu parę rzeczy.

— Harrildholm na jakiś czas stał się centrum wydarzeń. Ale teraz — koniec.

— Uhm.

— Pewnie pojawi się jakiś nowy właściciel — mruknął Mossman.

— Gdyby wszyscy poznali historię tego miejsca, pewnie nikt by się nie zdecydował.

— Przez telefon mówiłeś coś o jakimś liście?

Wstał i przyniósł list, który Poul Hansen położył na swoim płaszczu.

Mossman rozłożył kartkę i przeczytał na głos:

— „Odchodzę stąd w poczuciu ulgi, że przynajmniej nie stałem się winnym Pańskiej śmierci. Jest pan dobrym człowiekiem, panie Oxen”. Przekłęty hipokryta. Gdyby udało im się dać każdemu z nas po kulce w łeb, zrzucić z wieży i zakopać sześć stóp pod ziemią, to by twierdził, że Lupus wyrządził ludzkości przysługę. Ale w jednym ma rację.

— W czym?

— Naprawdę jesteś dobrym człowiekiem, żołnierzu.

Chwilę milczeli. Bo jak skomentować coś takiego. W końcu sam przerwał ciszę, zmieniając temat:

— Nie wywiązałeś się z umowy. Po Franck mieliśmy pojechać tylko my dwaj. Działałeś za moimi plecami. — Uśmiechnął się lekko, bo oczywiście nie był to zarzut pod adresem Mossmana. Podwójna gra byłego szefa wywiadu uratowała im życie.

— *Well...* Znamy się stosunkowo krótko, a tobie już udało się przyswoić pewne... cechy, które dostrzegam również u siebie. Jak wobec tego *ja* miałem zaufać *tobie*? — Mossman zaśmiał się cicho z kubkiem przytkniętym do ust.

— Nauczyłem się po prostu tego, co konieczne, aby przetrwać. Nie w strefie walki — ale w twoim towarzystwie.

Teraz Mossman roześmiał się na cały głos. Ale po chwili na powrót stał się poważny.

— Nie, Oxen. Tak naprawdę powód, dla którego zadziałalem wbrew naszym ustaleniom, był taki, że w moim stosunkowo zaawansowanym wieku przestałem już wierzyć we własną nieomyślność. To dlatego uznałem, że muszę wejść w sojusz z

Salomonsenem i podnieść rangę operacji Wolfhunter z małego hobby, które uprawiałem w zaciszu piwnicy swojego domu, do operacji PET z prawdziwego zdarzenia.

— A on co z tego miał?

— Karsten Salomonsen to mądry człowiek. Oczywiście brak mu jeszcze doświadczenia, ale ma duży talent. Jego wielkim triumfem jest to, że ocalił narodowe poczucie bezpieczeństwa. A to jest dla szefa wywiadu sprawa najważniejsza. I on to rozumie. Zaufanie ludzi do policji jest kluczowe dla ich poczucia bezpieczeństwa. Odkąd obwieszeni zwierzęcymi skórami włóczyliśmy się z maczugami po sawannie, a wieczorami siedzieliśmy w jaskiniach przy ognisku, z trwogą nasłuchując wycia wilków, naszą podstawową potrzebą było bezpieczeństwo. Taka jest prawda, Oxen.

— A przy tym zyskał pewność, że komisja Mossmana nie znajdzie nic nazbyt szokującego.

Mossman się uśmiechnął.

— Zgadza się. Oszczędził sobie bardzo nieprzyjemnej niespodzianki, gdy moja skromna komisja przedstawi efekty swojej pracy. PET dostała polecenie otworzenia i udostępnienia archiwów. Odkąd historycy dorwali się do utajnionych dotychczas materiałów, rozkładają na czynniki pierwsze każdą wzmiankę o podsłuchach skrajnej lewicy w czasie zimnej wojny. Zostaliśmy zobowiązani wziąć pod lupę każdy skrawek papieru. Bóg raczy wiedzieć, co im się uda znaleźć na jakimś głupim karteluszkach w najciemniejszym kącie archiwum. Wiadomo natomiast z całą pewnością, że martwi swoje tajemnice zabiorą do grobu.

— Znów dokonałeś niemożliwego. Odczyniłeś to, co się stało. Nie pozostawiając po sobie śladu. Bracia Lupus ponieśli karę. Poza systemem sprawiedliwości, sądami. Czy to nie skłania cię do refleksji, aby przemyśleć swój sposób postrzegania wszystkiego?

Mossman zdecydowanie pokręcił głową.

— Nic nie jest ważniejsze od społecznego poczucia bezpieczeństwa. Tak naprawdę podarowanie Poułowi Hansenowi

tych dwudziestu czterech godzin było gestem miłosierdzia. On miał siedemdziesiąt sześć lat.

— A jego brat, były komendant, oddał się w wasze ręce. Stał z rękoma w górze. Wszyscy to widzieli.

— To była błędna ocena sytuacji, żołnierzu, dokonana w wyjątkowo trudnych warunkach. Sam wiesz, jak to jest. Było ciemno, a wszystko rozgrywało się w oślepiającym świetle reflektorów. W tamtej chwili uznano, że Hansen stanowi zagrożenie. A strzał oddano w ostateczności. Słuchaj... Bo sam się nad tym zastanawiałem... Myślisz, że zeszlibyśmy stamtąd żywi, gdyby nie śmigłowce? Ty, jako zawodowy łowca?

— Nie. Nie mieliśmy szans. Broń maszynowa, bliska odległość, a do tego kawał drogi do pokonania. Ale spróbowałbym.

Mossman zamyślił się i pokiwał głową.

— Tak, ty pewnie byś spróbował. Słyszałem kiedyś taką krótką sentencję. Chyba nikt nie wie, czyje to słowa. Leci to mniej więcej tak. Diabeł szepcze do wojownika: „Burzy nie zdołasz się przeciwstawić”. A wojownik odpowiada: „Ja jestem burzą”. I tak właśnie myślę o *tobie*, Oxen... jak o tym wojowniku... To wszystko nie było moją, ale twoją zasługą. To ty doprowadziłeś do upadku Lupusa. Nie ja.

Oxen wzruszył ramionami i dopił kawę.

— Nie nazwałbym siebie burzą, ale ciebie na pewno można nazwać diabłem...

Mossman roześmiał się tak, że rozkołysała się luźna skóra pod jego brodą.

— Nie bądź taki skromny. I nie zapominaj, że wojownicy potrzebują przestrzeni i bitew, które trzeba stoczyć. Nie możesz się kisić w tych czterech ścianach. To marnotrawstwo talentu. Masz obowiązek robić użytek ze swojego potencjału. Mogę znaleźć dla ciebie nowe wyzwania.

Pokręcił głową

— Dzięki, ale nie. Mam własne wojny do rozegrania.

Rozdział 97.

Właśnie się spotkali, przed zoo, tak jak ustalili. Szli teraz powoli w stronę pingwinów i rozmawiali o Mossmanie.

Margrethe sprawiała wrażenie spokojnej. Z powodu „wyjątkowych okoliczności” termin zakończenia prac jej grupy roboczej został przesunięty. Dlatego postanowiła, że zrobi sobie wolne popołudnie, i zadzwoniła zapytać, czy nie chce go spędzić razem z nią. I zoo to był *jej* pomysł — nie jego.

— I co, tak się po prostu zjawił, bez zapowiedzi? — spytała.

— Tak. I był w świetnym nastroju.

— Czego chciał?

— Pytasz, czego chce Mossman? Czy nie przekonaliśmy się już, że tego nigdy nie wie się do końca? Myślę, że chciał się wytłumaczyć. Usprawiedliwić na swój własny sposób to, co się stało. A potem zapytał, czy nie chcę, żeby mi znalazł pracę.

— I co odpowiedziałeś?

— Że nie, a co miałbym powiedzieć?

— Hm. Mnie też odwiedził. Wczoraj wieczorem... Długo rozmawialiśmy. O złudzeniach i bezpieczeństwie. I o moim szwajcarskim zegarku. Ale głównie o przeszłości — o Sydhavnen.

— Jesteś na niego zła?

Rozłożyła rękę.

— Wiesz, minęło tyle czasu, że zdążyłam ochłonąć. Już dawno się pogodziłam z tym, co się stało. I tak naprawdę dla mnie to bez znaczenia, czy zabiłam gościa, który napadł z bronią na bank, czy porywacza dzieci. Jönsson był zdecydowany mnie zabić. Ja tylko go ubiegłam. A nogę straciłabym bez względu na jego motyw. Więc ostatecznie sytuacja jest i zostanie taka, jak była. A teraz, kiedy znam całą historię i wiem, że Mossman dostarczył to dziecko bezpiecznie do domu, to jakoś nie potrafię się wkurzać. I tylko jedno nie daje mi spokoju...

Zatrzymali się przy pingwinach Humboldta. W powietrzu wyraźnie czuć było łagodniejsze podmuchy. Jakby miały się sprawdzić przepowiednie Mossmana o rychłym nadejściu wiosny. Pingwiny zdawały się tego nie zauważać. One wiedziały, że to wrażenie jest złudne, a marzec będzie długi i cudownie zimny. Ich wybieg tętnił życiem.

— Śmieszne są — powiedziała Margrethe i oparła się o barierkę.

— *Co nie daje ci spokoju?*

— To, że być może wtedy przyjął mnie do siebie z litości i poczucia winy.

— *Well...*

— O nie! Teraz i ty?

— A on co powiedział?

— Że nie wydaje darmowych wejściówek. Że zatrudnił mnie, bo strzeliłam Jönssonowi prosto między oczy. I że zapragnął zgłębić charakter człowieka, który potrafił zrobić coś takiego w takich okolicznościach. Zgłębić — i przetestować.

— Brzmi bardzo w jego stylu. Więc dlaczego mu nie dowierzasz?

Wzruszyła ramionami.

— Dlatego, Niels, że nigdy nie będę miała pewności.

— Mossman mógł się dorwać do Lupusa już wtedy, po Sydhavnen. Jak to sobie tłumaczysz?

— Jestem w PET od dziesięciu lat. O poczuciu bezpieczeństwa wiem wszystko.

— Trochę późno się zdecydował z nimi rozprawić, prawda?

— Wtedy dosłownie ziemia paliła nam się pod nogami. Cały świat próbował się otrząsnąć po jedenastym września. Jako szef wywiadu miał inne, pilniejsze sprawy na głowie niż ściganie starych widm.

— Ale gdyby chciał...

— Jestem pewna, że Mossman obawiał się tego, co może znaleźć. Nie mam co do tego wątpliwości. W dodatku bomba wybuchłaby w czasie, gdy cele strategiczne były zupełnie inne. Dziś, w jesieni życia, zdecydował się podjąć zawieszoną wówczas rozgrywkę. Dostrzegł możliwość dotarcia do Lupusa i

postanowił ją wykorzystać — z naszą pomocą. A propos — pokażesz mi wilki? Chciałabym je obejrzeć.

Odwrócili się od pingwinów, gestem dłoni pokazał jej kierunek.

Franck tymczasem ciągnęła dalej:

— Niels, tak już jest. On tego nie przygotował. Operacja Wolfhunter po prostu urosła w jego rękach.

— W jego wielkich rękach.

— Tym bardziej... Pytałeś, czy jestem na niego zła. Nie, nie jestem. I w jakiś dziwny sposób czuję wewnętrzny spokój, wiedząc wreszcie, co się stało tamtego przekłętogo dnia w Sydhavnen. Zamknęłam ten rozdział, ale skłamałabym, gdybym powiedziała, że nigdy się nie zastanawiałam, dlaczego Jönsson chciał mnie wtedy zabić. I o co w tym wszystkim chodziło...

Ostatni odcinek pokonali w milczeniu. To oczywiste, że jako profesjonalistka i osoba wyjątkowo ambitna próbowała dociec prawdy. To wyjaśniało, dlaczego pomimo ogromnego natłoku pracy i presji czasu nie była w stanie odłożyć tej sprawy na bok, kiedy na dobre się rozkręciła.

Zatrzymali się na szczycie kładki zawieszanej nad wybiegiem dla wilków. Ze swojego miejsca widzieli tylko jednego. Wyglądało na to, że krążył w kółko tą samą trasą wśród krzaków.

— I ostatecznie nie udało ci się żadnego wypatrzeć, prawda?

— Nie. Niestety.

— Ale to pragnienie powoli przeradzało się w coś więcej, tam w Harrildholmie, prawda?

— Być może... — Pokiwał głową i zamilkł. Bo chyba miała rację. Całe dni i noce strwonił na rozmyślaniach. Czas przelatywał mu przez palce, kiedy chodził jak otumaniony z braku snu i nadmiaru kawy.

— Niektórzy mówią, że dobry wilk to martwy wilk — skwitowała.

— Pewnie Mossman, mając na myśli dwóch starych braci.

— Hej, pozostajmy przy zwierzętach, dobra? — Franck uśmiechnęła się i odwróciła twarz do słońca. Pieściło skórę ciepłym dotykiem.

— Nie mam do wilków romantycznego stosunku, choć to fascynujące stworzenia. Wilk to drapieżnik. Wszystkie duże drapieżniki powinny budzić w nas respekt, ale teraz, skoro mamy przed sobą akurat tego, to postaraj się dać mu szansę. I nie ignoruj faktów i dowodów naukowych. Tak robią groźni ludzie i czwartoligowi politycy. To oni grają na niskich emocjach i ludzkim strachu. Wiesz, Margrethe, na przestrzeni lat sporo o tym myślałem. Sam przecież jako żółtodziób w mundurze trafiłem w sam środek tego bagna... Dlaczego tam, na Bałkanach, doszło do takiej katastrofy? Serbowie, Chorwaci i Bośniacy mieszkali obok siebie w pokoju. Świątowali wspólnie narodziny dzieci, pobierali się między sobą i chodzili nawzajem na swoje pogrzeby. Dopóki do głosu nie doszli nacjonaści i wszystkiego nie zniszczyli populistycznymi bredniami. Milošević i Tuđman odwołali się do najniższego z instynktów — *strachu*. Strachu przed sobą nawzajem. A gdy do gry wkracza strach, rozum jest w odwrocie. I tego szczerze nienawidzę — nieważne, czy chodzi o wilki, czy o innych obcych.

Odwrócił się i znów na nią spojrzał. Mrużyła oczy pod słońce i wyglądała, jakby się zastanawiała nad stosownym komentarzem do jego głębokich przemyśleń.

Bałkany często były obecne w jego myślach, nie tylko jako koszmar. Ale nie miał ochoty o tym rozmawiać. Właściwie nigdy nawet nie dzielił się z nikim tego rodzaju przemyśleniami. Zresztą chyba mało kto interesował się jego zdaniem. Margrethe odwróciła się do niego i gwałtownie zmieniła temat:

— Z Mossmanem rozmawialiśmy nie tylko o poczuciu bezpieczeństwa, podtrzymywaniu iluzji, przeszłości i naszej współpracy. Rozmawialiśmy również o *tobie*.

— O mnie?

— Mossman cię ubóstwia.

— Mossman ubóstwia Mossmana.

— Niels, jesteś niesprawiedliwy. On to robi na swój własny sposób. Powiedział, że spotkał człowieka na swoją miarę.

— Ktoś taki nie istnieje. A ja zawsze będę się miał na baczności w jego otoczeniu.

— Ty masz się na baczności dwadzieścia cztery godziny na dobę. Bez względu na to, z kim masz do czynienia.

— To pozwala utrzymać się przy życiu.

— Oraz całkowicie je sobie zatruć.

— Nigdy nie byłeś na wojnie.

— Twój problem polega na tym, że ty nigdy z niej nie wróciłeś.

— O, czyli wiesz, na czym polega mój problem?

— Tak, wiem.

— Może jednak nie wiesz.

— Mossman boi się, że w Vangede doszczętnie się pogrążysz. Że się izolujesz i odsuwasz w kierunku przeciwnym do tego, co jest celem twojej terapii. I ja uważam tak samo. Wychodzisz niemal wyłącznie po zmroku. Biegasz, gdy jest ciemno. Wpadasz w schemat, którego już próbowałaś, wtedy w Nordvest.

— Dziękuję wam obojgu za troskę. Poradzę sobie. I mam Magnusa...

— Naprawdę go masz? W sensie: tak naprawdę?

— Tak! — wykrzyknął z wściekłością. I natychmiast rozpoznał uczucie, które go wypełniało — agresja. To był błąd. Należało jak najszybciej coś zrobić, włączyć myślenie, wyciszyć emocje.

— Wybacz. Nie chciałem...

— To z Magnusem, Niels... Przecież to nieprawda. Wciąż go nie odzyskałeś. A co z Siódemką?

— A co ma być?

— Wciąż się pojawiają?

— Moje koszmary nie znikną nigdy. Słuchaj, nie przyszedłem tu po to, żeby...

— To ty posłuchaj. *Nikt* cię nie atakuje. I *nie* jesteś sam.

— Każdy jest sam.

— Nieprawda.

— Prawda.

— Nie. Tak się składa, że chcemy dla ciebie jak najlepiej. Dlaczego tak trudno ci w to uwierzyć?

Pojawił się jeszcze jeden wilk, ale był niemal całkiem schowany za odległym krzakiem. Wskazał na niego:

— Patrz. Samiec alfa.

Margrethe westchnęła głęboko i zrezygnowana pokręciła głową.

Rozdział 98.

Porośnięte trawą zbocze obramowane betonem i pocięte wyłożonymi płytkami ścieżkami, prześwitami i tarasami w rzeczywistości nie było zboczem, ale dachem — ogromnym dachem nowego muzeum Moesgaard.

Widoczna część budynku wcinała się w ziemię niczym klin. Z kolei dach ciągnął się do ziemi i łączył z trawnikiem otaczającym budynek. Można było po tym dachu spacerować, tak jak sam przed chwilą to zrobił, pokonując sto dziesięć metrów platformy wznoszącej się pod kątem dziesięciu stopni. Wystarczająco, aby złapał zadyszkę i potrzebował przerwy.

Oparł się o murek w górnym wschodnim rogu dachu. Poniżej ciągnęła się licząca aż dziewięć tysięcy metrów kwadratowych trawiasta płyta dachu idealnie wkomponowana w otoczenie, jakby malowniczo położony budynek tylko dyskretnie próbował zaznaczyć swoją obecność na zalesionym terenie przy samym morzu na południe od Aarhus.

W prostej linii było stąd tylko kilka kilometrów do parkingu, na którym kilka dni temu siedział w swoim samochodzie z Oxenem i omawiali sytuację po spotkaniu z Bodil Nyhuus, szefową policyjnego organu dyscyplinarnego. Wtedy niespodziewanie nadjechał motocykl, a kierujący nim przedstawił żądanie Lupusa — dwóch wilków, które już wtedy zastawiły sidła.

W życiu było podobnie. Albo coś zostało świadomie stonowane, dyskretnie przesłonięte trawą w zamyśle architekta poszukującego formy i harmonii. Albo świadomie uknute jako podstępna pułapka zastawiona przez dwóch stojących nad grobem staruszków.

Minęło zaledwie kilka dni, odkąd Oxen zbeształ go za manipulowanie rzeczywistością. Widok mieli wtedy dokładnie taki jak teraz. Przesunął wzrokiem ponad czubkami drzewa dalej, ku wodzie. Ale perspektywa była zupełnie inna.

Spojrzeni śmierci w oczy i dostrzegli powiązania, o których w tamtym momencie nie mieli pojęcia.

Jego życie dotarło do miejsca, w którym przeszłość był zmuszony zostawić za sobą, a przyszłość nie leżała już u jego stóp gotowa, by po nią sięgnął. Niektóre sprawy wciąż tkwiły w przestrzeni pomiędzy — w teraźniejszości. I nimi będzie musiał się zająć, pchnąć je na właściwe miejsce, zanim w pełni poświęci się mniej czynnej służbie jako szef komisji Mossmana.

Przypomniał sobie, jak po raz pierwszy odwiedził to muzeum w nowym budynku. Przyjechali razem z żoną obejrzeć zagraniczną wystawę czasową poświęconą pierwszemu cesarzowi Chin i jego terakotowej armii.

Niemal zaniemówił na widok ogromnej postaci łucznika, który klęczał tuż za dużymi przesuwanymi drzwiami. Liczył sobie bez mała dwa tysiące dwieście lat, ale nadal był czujny i skupiony. Na wystawę składało się osiem postaci wojowników i jeden koń. W rzeczywistości w podziemnym mauzoleum, tak wielkim, że przechodzi ludzkie pojęcie, Chińczycy znaleźli sto trzydzieści rydwanów i ponad siedem tysięcy wojowników.

I tak też było w życiu. Rzeczywistość zawsze przerastała wyobraźnię. Gdyby podniósł raban, że w ich szeregach czai się Lupus, usłyszałyby, że już do reszty mu odbiło.

Tymczasem teraz niemal wszystko udało mu się zakopać. Nie po to, aby zbudować sobie mauzoleum. Po to, aby ukryć to na zawsze. Lupus nie miał w sobie nic wielkiego. Lupus był — pod każdym względem — tragedią i porażką.

Oraz dlatego, że on nadal trzyma wartość. Nawet jeśli już dawno został z niej zwolniony. Poświęcił tej służbie ponad połowę swojego życia, chroniąc to, co większość ludzi brała za pewnik.

I to się nie zmienia nawet po jego śmierci — zeszywnieje po prostu i stanie się terakotowym wojownikiem...

Teraz ją zauważył. Może i ona już go wypatrzyła. Bodil Nyhuus szła w każdym razie energicznym krokiem w górę stromego stoku alejką prowadzącą dokładnie do rogu, w którym czekał.

Umówili się na to spotkanie wczoraj.

Wieczorem, zanim do niej zadzwonił, odwiedzili go dwaj starsi funkcjonariusze ze stołecznego wydziału do spraw przestępstw

przeciwno zdrowiu i życiu. Z jednym z nich, Hardym Bertelsenem, pracował jeszcze w wydziale kryminalnym, jak to się wówczas nazywało, a potem, gdy sam był już w PET, Bertelsen również przez krótki czas pracował z nim w Søborgu. Nie widzieli się od piętnastu lat, ale okazało się, że czas ani trochę nie utemperował dosadnego języka Bertelsena. Drugi policjant, Viggo Borg, był jego partnerem i wyrażał się w sposób bardziej wyważony i uprzejmy.

Kiedy się rozstawali, z całego serca im podziękował. Tamtego dnia, kiedy po pogrzebie wręczył dawnemu szefowi departamentu kluczyk do samochodu, uzyskał potwierdzenie i szczegóły.

Bodil Nyhuus dotarła na miejsce.

Ukloniła się sztywno. Kilka minut temu zaczęło sypać rzadkimi, dużymi płatkami śniegu, które osiadały na jej włosach zebranych w niski kok. Dziwna pogoda jak na marzec. Przez telefon wspomniał, że chce jej zadać jeszcze kilka pytań na temat Lupusa.

Była blada. Może przeczuwała, że skoro ma się spotkać akurat z nim i do tego w miejscu tak odosobnionym jak ten dach, to sprawa jest raczej poważna.

— Przedwczoraj byli u mnie dwaj policjanci z komendy stołecznej, z wydziału dochodzeniowo-śledczego do zwalczania przestępczości przeciwko zdrowiu lub życiu — zaczął bez ogródek. — Zdolni i doświadczeni śledczy. Od jakiegoś czasu zajmowali się wyjaśnianiem wyjątkowo brutalnego napadu na mieszkającego w naszym kraju Libańczyka Idrisa Nassara.

W jej oczach dostrzegł nerwowość.

— Mówi ci coś to nazwisko?

Pokręciła głową:

— Nie.

— A mnie się wydaje, że tak — mówił dalej. — To Idris Nassar zniszczył twojego syna, Lukasa.

Bodil Nyhuus milczała. Płatki wciąż po cichu znikwały z powietrza i zmieniały się w krople wody na jej włosach. W końcu wolno pokiwała głową.

— To, co zrobiliście z Franzem Riisem, jakkolwiek zrozumiacie, jest oczywiście bezwzględnie naganne. W dodatku ty — z wszystkich ludzi na ziemi.

Bodil Nyhuus próbowała się bronić:

— Co masz na myśli, mówiąc: zrobiliście?

— Bodil, to koniec. Poul Hansen wszystko potwierdził. Pojechałem na pogrzeb jego brata, starego komendanta Esbena Hansena. I wtedy o wszystkim mi powiedział. Interesuje mnie tylko, skąd się znaliście — ty i Franz Riis?

Bodil Nyhuus głośno wciągnęła do płuc powietrze. Ta zwykle bardzo pewna siebie kobieta przez chwilę stała jak skamieniała. W końcu westchnęła głęboko i pokręciła głową.

— Jego ówczesna dziewczyna, Cindy Johansen, ta aktorka, napisała po wszystkim do gazety. W tekście wymieniła go z nazwiska. Po to, aby przydać swojej relacji autentyczności, ale też dlatego, że to on bez wątpienia ucierpiał najbardziej. Odnalazłam go i się z nim skontaktowałam. Czułam frustrację. I rozpacz. I gniew tak wielki, że zżerał mnie od środka. I żal, jakby pękło mi serce. Potrzebowałam kogoś w rodzaju towarzysza niedoli. Franz okazał mi życzliwość i zrozumienie. I czuł podobnie jak ja. Spotkaliśmy się raz, a potem ponownie, kiedy nadarzyła się okazja. Często bywam w Kopenhadze. W jakimś sensie to, co nas spotkało, zbliżyło nas do siebie. Sporo o tym rozmawialiśmy. I tak powoli i niepostrzeżenie zrodziła się myśl, aby wymierzyć sprawiedliwość. Pragnienie, aby zapobiec, by ktokolwiek jeszcze musiał tak cierpieć. Któregoś dnia niespodziewanie dostrzegłam pewną szansę...

— Bracia Lupus mieli nadzieję, że przejmiesz po nich pałeczkę. Poul Hansen powiedział, że byłaś tego bliska.

— Nigdy nie powiedziałam „tak”. Ale dali mi do zrozumienia, że jeśli zechcę poważnie się nad tym zastanowić, operacja przebiegnie sprawniej.

— Operacja, czyli odwet na Nassarze?

— Tak.

— I wówczas, jak spod ziemi, pojawił się Troels Monrad. Wywęszył możliwość wyłudzenia sporej sumki — i uniknięcia wewnętrznego śledztwa. Chcąc się uchronić przed demaskacją,

ostrzegłaś przed nim braci Lupus i tym samym wydałaś na niego wyrok śmierci. Okoliczność silnie *obciążająca*.

— Aresztuj mnie czy sama mam się zgłosić?

Bodil Nyhuus sprawiała wrażenie osoby, która właśnie oswaja się z realiami.

— Powiedz mi — znasz historię siostry braci Hansenów, Agnethe?

Pokiwała głową.

— I mężczyzny z obciętym palcem u nogi?

— Też.

— Kilka dni temu były szef departamentu powiesił się na tej samej belce. Niels Oxen, którego poznałaś, pojechał tam i go odciął.

Nyhuus znów pokiwała głową. Mossman ciągnął dalej:

— Godzinę później Oxen dowiedział się, że wtedy, w sześćdziesiątym dziewiątym, bracia Hansenowie najprawdopodobniej powiesili niewłaściwego człowieka.

— Ale skąd...? — Nyhuus spojrzała na niego zdumiona.

— W okolicy mieszkał ktoś jeszcze, kto przez wiele lat ukrywał, że brakuje mu połowy lewego palucha. Ten człowiek został pogrzebany tego samego dnia, w którym Poul Hansen powiesił się w swojej stodole. Sprawca zbrodni, którą próbowali pomścić, dożył osiemdziesięciu jeden lat. Cały fundament Lupusa był pomyłką. Tragiczną pomyłką dla nieszczęśnika, który do końca zapewniał o swojej niewinności. Ale bracia Hansenowie go nie słuchali — tak bardzo byli opętani pragnieniem wymierzenia sprawiedliwości.

Bodil Nyhuus przygryzła dolną wargę.

— Więc co teraz, Axel? Aresztuj mnie? Czy sama mam złożyć wyjaśnienia?

— Odbyłem na ten temat długą rozmowę z Karstenem Salomonsenem, moim następcą. On obstawał, że powinnaś opróżnić swoje biurko i czekać u siebie, aż przyśle po ciebie ludzi.

Kobieta pokiwała głową i patrzyła przed siebie nieobecny wzrokiem. W końcu niemal szeptem powiedziała:

— Jakiś czas po rozprawie Idris Nassar zaczepił mnie na ulicy. Normalnie, w biały dzień, tuż pod moim biurem w Aarhus. Pokazał mi na swojej komórce fragment nagrania. Skakał obiema nogami po głowie mojego syna. Śmiejąc się jak opętany. Wtedy ostatecznie pękło we mnie to, co jeszcze ze mnie pozostało po tragedii mojego dziecka. Nassar chciał mnie upokorzyć, śmiał mi się w oczy. Mnie, zajmującej kierownicze stanowisko w całym tym systemie.

Głośno wypuścił powietrze.

— Co za bydlę, *dammit*.

— Wiesz... Jeden duński profesor filozofii powiedział, że pragnienie zemsty rodzi się, kiedy krzywda bezpowrotnie przeżre człowiekowi duszę. — Jej wzrok powędrował ponad koronami drzew i dalej, w stronę morza i zamglonego horyzontu. Po czym powoli ciągnęła dalej: — I ja właśnie tak się czuję. To wyzarło w mojej duszy ogromną, czarną dziurę. Idris Nassar odebrał mi syna. Tak nagle. W napadzie ślepej wściekłości, obłędu i całkowitej obojętności wobec ludzkiego życia. Przez tę dziurę wdziera się do mojego wnętrza lodowaty wiatr. Nic nie zwróci mi Lukasa. Nic. Ale teraz mój ból jest jakby rozcieńczony. I nie żałuję — ani trochę.

— Zostało w Lukasie coś z niego dawnego? On wie, kim jesteś? Pokręciła głową.

— W sensie medycznym — nie. Nazywają to stanem wegetatywnym. Ale ja mimo wszystko wierzę, że on mnie poznaje. Lubi, kiedy go trzymam za rękę. Lukas *wie*, że jestem jego mamą... Cóż... Wracam do siebie, opróżnię biurko.

Położył jej rękę na ramieniu.

— Zaczekaj... Udało mi się przekonać Salomonsena.

Bodil Nyhuus spojrzała na niego i zmrużyła oczy. Mówił dalej:

— Przekonałem go, że są inne, lepsze rozwiązania. Jako prawdopodobnej następczyni bracia Lupus musieli ci ustnie przekazać sprawozdanie z działalności organizacji. Wiesz, w czym brali udział. Tę wiedzę musisz z najdrobniejszymi szczegółami przekazać Salomonsenowi i mnie jeszcze dziś, kiedy spotkamy się w jakimś ustronnym miejscu. Innymi słowy... Możesz zachować stanowisko. Was dwoje — ciebie i

Salomonsena — łączy odtąd tajemny sojusz i niewidzialny dług. Kiedyś być może ten dług spłacisz — a może nie. Ale pamiętaj: jesteś mu winna *wszystko*.

Bodil Nyhuus stała nieruchoma i milcząca. Na moment jej spojrzenie ponownie powędrowało w stronę drzew. W końcu wyciągnęła do niego rękę i spojrzała mu w oczy.

— Dziękuję, Axel... Dziękuję za tę szansę. To prawda, co mówią. Rzeczywiście jesteś... diabłem.

Rozdział 99.

Stary Mogensen rozglądał się po klasie z brwiami uniesionymi nad oprawkami grubych szkieł okularów i krążył między ławkami niczym jastrząb, aż wypatrzył ofiarę i zaatakował:

— Niels — gdzie dokładnie zaczyna się okrąg?

Nad odpowiedzią zastanawiał się od mniej więcej trzydziestu siedmiu lat.

Za to odpowiedź starego Mogensena pamiętał doskonale. Od tamtych ferii, kiedy razem z Magnusem pojechali na Jutlandię, wielokrotnie powracał do tego wspomnienia z czasów szkolnych. Miał wrażenie, że to było wieki temu, ale w rzeczywistości minęło zaledwie kilka tygodni.

Okrąg nie był tylko okręgiem. To był *jego* okrąg. Jego — i Magnusa. Okrąg ojca i syna. Który on sam przerwał, a teraz rozpaczliwie próbował nakreślić na nowo.

Gdyby wzięli się za ręce i zrobili krok w tył, utworzyliby okrąg. W okręgu wszystko mogło między nimi przepływać swobodnie, i w jedną, i w drugą stronę, w rodzinnej symbiozie.

Błędnie zakładał, że okrąg zaczyna się od czegoś fizycznego. Że on musi się znajdować w jego obrębie, w jakimś sprecyzowanym promieniu. Stąd Vangede wydało mu się niezbędne, aby można było zacząć kreślić okrąg. Poczawszy od fizycznej obecności, zamierzał iść dalej. Kreślić krąg, aż w którymś momencie wszystko znów swobodnie będzie między nimi przepływało.

To było błędne założenie i stary Mogensen pewnie znów by go wyśmiał, gdyby je usłyszał.

Oni nigdy nie trzymali się za ręce. Musiał ich okrąg nakreślić od początku i uznać fakt, z którym go skonfrontowano w pierwszej klasie gimnazjum: że żadnego początku nie ma. Że okrąg to raczej stan, a to z trzymaniem się za ręce było wnioskiem kompletnie nieprzemyślanym.

Spojrzał na swojego syna. Czternaście lat — wkrótce będzie młodym mężczyzną. Nawet na moment nie zdjął czarnej czapki z nazwą drużyny piłkarskiej, chociaż byli w domu. Z przodu wyhaftowana była nazwa: FCK.

Właśnie zasiedli do stołu w jego kuchni. Był sobotni wieczór. Położył dłoń na dłoni Magnusa, jakby chciał dla pewności ostatecznie raz przetestować swoją teorię o dłoniach. Po oczach chłopaka widział, że jego syn miał ochotę wysunąć swoją rękę, ale wytrzymał i pozostawił ją na blacie.

— Magnus, byłbyś tak miły i zdjął czapkę, gdy siedzimy przy stole? — spytał i szybko cofnął własną rękę.

— Czemu?

— Bo cię o to proszę. Czapkę wkłada się, wychodząc w teren, a nie siadając do stołu. To wyraz braku szacunku dla otoczenia.

— Wychodząc w teren?

— Na zewnątrz. Tak się mówi w wojsku. No, nie bądź taki.

Magnus zdjął czapkę — z ociąganiem i ostentacyjnie wolno. Przyszedł dopiero przed południem, bo wczoraj był z kolegami na jakiejś wieczornej imprezie na basenie.

Cały dzień siedzieli w domu, bo wiało i padało nieprzerwanie. Sam już nie wiedział, ile razy próbował podjąć coś w rodzaju rozmowy ze swoim synem, licząc, że uda mu się wydusić z niego więcej niż dwie sylaby. Ale poza całą resztą dzielił ich jeszcze iPad i telefon. Dlatego ostatecznie tupnął nogą i zarządził wieczór wolny od nowych technologii. Zamiast tego mieli obejrzeć film — jedząc popcorn i popijając colę.

Magnus zajął się swoim spaghetti bolognese. Ale po kilku kęsach odłożył sztucce i spojrzał na niego.

— Kiedy wychodzisz w teren, możesz też zabijać ludzi gołymi rękami.

Brzmiało to bardziej jak stwierdzenie niż pytanie. Magnus przygwoździł go spojrzeniem.

— Dlaczego znów do tego wracasz? W dodatku teraz? To samo powiedziałeś, kiedy...

— Bo teraz to *wiem*. Czytałem o tym, Niels. Sam to sobie wygooglowałem. Żołnierze z Korpusu Łowców są szkoleni do zabijania gołymi rękami. To najlepsi żołnierze w kraju. Nasza

Special Operations Force. Zdaniem niektórych najlepsi na świecie. I dostać się tam jest prawie niemożliwe. Przyjmują tylko najlepszych z najlepszych.

— Ja i Korpus Łowców? Kto ci powiedział, że tam służyłem?

Czuł, jak serce szybciej mu bije. Mógłby teraz prędeej dokończyć kolację i udać, że nic się nie stało — ale... Miał wrażenie, że oni dwaj i ten stół, przy którym siedzą, znajdują się w spokojnym oku cyklonu, a wszystko wokół nagle poderwało się i wiruje z szaloną prędkością. Ściany, szafki, okna, zasłony i parapety. Tylko ta przestrzeń pomiędzy jednym a drugim talerzem spaghetti jest całkowicie nieruchoma.

— Dowiedziałem się już dawno — odparł Magnus.

— Ale jak?

— Powiedziałem w szkole, że przeprowadziłeś się do Vangede. Krótco potem jeden kolega powiedział mi, że jesteś megaznany. Że byłeś komandosem. Że ścigała cię policja. To wszystko powiedział mu jego tato.

Siedział tylko i patrzył w milczeniu w oczy swojego syna. Dostrzegł w nich lekki niepokój. Magnus ciągnął dalej, niepewnym głosem:

— Wiem o wszystkim... Wystarczy wpisać „Niels Oxen”, a wyskakuje mnóstwo informacji. Strasznie dużo jest o tobie w internecie. Nie wiedziałeś? Masa artykułów. I fragmenty z telewizji. O tym, że byłeś podejrzany o zabójstwo. Że policja urządziła na ciebie obławę, a potem wszyscy myśleli, że utonałeś. I że to wszystko było kłamstwem. Że byłeś niewinny. W kółko o tym czytałem. W szkole i w domu, jak mama nie widziała.

Pokiwał głową i uśmiechnął się do syna. Jak mógł być taki naiwny i wierzyć, że zdoła coś takiego ukryć przed czternastolatkiem, który stale siedzi z nosem w komputerze?

— Powiedz mi w takim razie, dlaczego to ukrywałeś.

— Bo... Było jasne, że ty nie chciałeś, żebym wiedział, co nie? O niczym. Bo inaczej chyba sam byś mi powiedział. To miała być tajemnica. Mama też nic nie mówiła. Pomyślałem, że w takim razie najlepiej będzie nic nie mówić. W każdym razie przez jakiś

czas. Byłem pewny, że któregoś dnia sam o tym wspomnisz. Albo mama.

Westchnął głęboko.

— To prawda, Magnus. Byłem komandosem.

— Ale dlaczego to miała być tajemnica?

— Razem z twoją mamą uznaliśmy, że nie ma potrzeby ci o tym mówić. Że można z tym poczekać, aż będziesz starszy.

— Ale co w tym złego, że byłeś członkiem Korpusu Łowców? Przecież tam trafiają najlepsi.

— Nie, nie ma w tym nic złego. Chodziło bardziej o to... o wojnę. W wojnie nigdy nie ma nic szczególnie fajnego. Wojna to coś, czego nikt nie chce. Wojna dla nikogo nie jest powodem do radości. Wprost przeciwnie.

— Ale na tym polega praca żołnierza.

— Zgadza się. Skoro nie może być inaczej.

— A na wojnie komandosi są najgroźniejsi. Oni mają najwięcej *skilli*. Właśnie dlatego nie do końca rozumiem tamtą sytuację z kamieniem...

— Jaką sytuację z kamieniem?

— Wtedy, jak rzuciłem kamieniem w tamtą blachę. Kompletnie ci odbiło...

Odsunął talerz na bok. Czyli to, co mu wtedy powiedział, kiedy siedzieli w słońcu na ławce, to było za mało. Czternaście lat to wiek, w którym już się rozumie — wszystko i bardzo dobrze. A jednak niezupełnie...

— Pamiętasz, próbowałem ci to kiedyś wytłumaczyć. Na wojnie doznałem urazu. Mam to, co się nazywa traumą. A konkretnie PTSD, zespół stresu pourazowego...

— Niels, pokażesz mi krzyż?

— Krzyż?

— Krzyż Waleczności. Jesteś jedynym żołnierzem, który go dostał. Może w ogóle nikt już go nie dostanie. Co za jazda... Masz go tutaj, w mieszkaniu? Chciałbym go obejrzeć... Teraz... I te inne odznaczenia.

Pokiwał głową. Czuł się, jakby znalazł się za blisko strefy wybuchu i fala uderzeniowa rzuciła nim o ziemię. Próbował się otrząsnąć. Czy chodziło o to, że sytuacja nagle do tego dojrzała?

Efekt keczupu, tylko z kilkumiesięcznym opóźnieniem? Akurat teraz, w sobotę, przy stole w kuchni?

Wstał i poszedł do sypialni po pudełko z medalami. Magnus krzyknął za nim:

— I beret! Bordowy beret Łowcy!

Dochodziła północ. Usiadł na parapecie ze szklanką mleka, z kromką chrupkiego pieczywa, długopisem i notesem. Magnus poszedł spać jakąś godzinę temu.

To był niezwykły dzień. Po całym dniu deszczu i milczenia w jego kuchni nastąpiły erupcja słów i tornado myśli. Dziwne — i absolutnie fantastyczne. Wiele rzeczy zostało powiedzianych. Niektóre powiedziano źle, ale te zostały już wyjaśnione. W końcu.

Kompletnie się pomylił w swojej ocenie. Zamiast ukrywać i tuszować prawdę, należało ją ogłosić przez megafon i z fanfarami. Powinien był od razu wyłożyć karty na stół. Powiedzieć wprost, kim był, co robił, skąd pochodził, gdzie się przez ten cały czas podziewał — i dokąd teraz zmierza.

On, który przez całą dobę pozostawał na warcie, on, taki czujny, taki uważny, bez ustanku przeczesujący otoczenie i wypatrujący tego, co niewidzialne, a co może zabić jego lub jego kolegów — on tego nie widział.

Nie widział, że nie da się wywieść w pole zdolnego czternastoletniego smarkacza.

Po raz pierwszy usiedli każdy w swoim fotelu i odbyli normalną rozmowę. Czuł przemożne szczęście, euforyczną wręcz radość przez sam fakt, że mógł odpowiadać na grad pytań, którymi z wypiekami na twarzy obrzucił go syn.

Na początek zażądał od niego konkretnego wyjaśnienia okoliczności, w jakich przyznano mu każde z odznaczeń. Początkowo naprędce i niepewnie próbował się wywinąć skróconą wersją tych historii, bo uważał, że nie warto do nich wracać. Ale to Magnusa nie zadowalało. Chciał wiedzieć dokładnie, co się wtedy działo i o czym myślał, kiedy dokonywał swoich wyborów.

Musiał więc zacząć od początku: od wojskowego medalu za odwagę, który dostał za to, że w Bośni wyniósł z pola walki rannego kolegę. Potem to samo odznaczenie, tym razem drugiego stopnia, ze srebrnym liściem dębu. Dostał je po tym, jak wskoczył do rzeki w Krajinie i wyłowił z niej innego kolegę, który, na marginesie, dziś ma warsztat samochodowy na Amager. I medal za odwagę numer trzy, ze złotym liściem dębu, za to, że przyszedł z odsieczą otoczonej przez talibów załodze śmigłowca chinook w dolinie Szah-i-Kot w Afganistanie.

Nastoletni syn urządził ojcu surową odprawę po latach nieobecności.

Magnus trzymał w ręce Krzyż Waleczności, kiedy słuchał, jak jego ojciec ratował swoich kolegów z zasadzki na północny wschód od Gereszku w prowincji Helmand w Afganistanie. Wydawało mu się, że zwinnie i niepostrzeżenie udało mu się pominąć to, że w pojedynkę pokonał — i zabił — ośmiu talibskich bojowników. Ale i o ten brakujący detal Magnus go dopytał.

Wcześniej sądził, że dla pokolenia wychowanego w poczuciu nadziei i ufności wobec świata odznaczenia i wyrazy uznania w branży, która obsługuje ciemną stronę życia, nie mają żadnej wartości. Ale Magnus był wyraźnie poruszony. I dumny. Widział to w jego oczach.

Kiedy usłyszał pełną wersję historii Krzyża Waleczności, pokiwał głową zamyślony i z namaszczeniem odłożył odznaczenie do wyłożonego aksamitem pudełka.

I rozmawiali dalej. Pytania, odpowiedzi, wyjaśnienia i kontrpytania. O testach, jakie trzeba przejść, aby wejść do Korpusu Łowców, a o których krążyły mroźące krew w żyłach legendy. O skokach ze spadochronem i walce pod wodą.

O tym i o wielu innych sprawach zdążyli porozmawiać, zanim Magnus dostał esemesa od kolegi. Jego ojciec miał wolne bilety na mecz FCK — będą grać u siebie jutro po południu. Pytał, czy Magnus chce z nim iść. Pozwolił mu.

Tym sposobem wspólny weekend, który miał się zacząć w piątek po szkole i trwać do godziny siedemnastej w niedzielę, skrócił się do jednej doby. Za to jaka to była doba...

Spojrzał w ciemne okna naprzeciwko. Jej mieszkanie wciąż stało puste. W tle widział własne odbicie.

Chodziło o okrąg. O okrąg przerwany i rozpoczęcie kreślenia nowego okręgu. I o to, aby stale być w ruchu — ale już nie kręcić się w kółko, jak staruszka w fioletowej podomce ani jak lokator z mieszkania naprzeciwko niej, były komandos przesiadujący na parapecie.

Chodziło o oto, aby iść do przodu. Zostawiać za sobą krajobrazy i kolejne kilometry, po prostu iść, stale iść w stronę horyzontu. Nieoczekiwany obrót, jaki przybrał ten wieczór, nie zmieniał faktu, że musiał zacząć od siebie. Ale ten wieczór rozpałił w nim ciepły płomyk nadziei.

Podniósł kartkę i napisał:

Ja, niżej podpisany Niels Oxen, niniejszym wypowiadam swoją umowę najmu lokalu przy ulicy Dalstrøget 135, piętro drugie w Vangede-Dyssegård ze skutkiem natychmiastowym.

Postówie

Starym zwyczajem kilka słów od autora o tym, co jest faktem, a co fikcją. Dobrze jest bowiem ustalić te sprawy w świecie, który zdaje się coraz mniejszym szacunkiem darzyć to pierwsze.

Historię o powrocie wilka na teren Danii starałem się przedstawić w formie skróconej, ale zgodnej z rzeczywistością. Pierwsze wyraźne nagrania wilka, który powrócił na nasze ziemie, pochodzą z Harrild Hede i dokonano ich w lutym 2013 roku. Od tamtego czasu tego typu nagrania stały się w Danii chlebem powszednim, zwłaszcza na terenach na południe od Holstebro, obszaru bytowania wilków, gdzie pierwsza para oszczeniła się i osiadła, dając początek watasze zwanej Stråsøkobbel. Potem, gdy kończyłem pracę nad książką, pojawiła się informacja o młodej samicy zastrzelonej na otwartym polu na wschód od miasta Ulfborg.

Faktem jest, że w Danii co najmniej cztery wilki zniknęły bez śladu. Jasno stwierdza to obszerny raport na temat populacji tych zwierząt w Danii, upubliczniony przez Uniwersytet w Aarhus, Instytut Bionauki i Muzeum Historii Naturalnej w Aarhus.

Na rozległym terenie obszaru naturalnego w Jutlandii Środkowej, na który składają się wrzosowiska Harrild Hede i las Nørlund Plantage, znajdują się rzadko rozsiane gospodarstwa. Majątek Harrildholm jest jednak wyłącznie wytworem mojej wyobraźni, za to pozostałe opisane w książce miejsca, w tym

Kvindebækken czy Ulvemose, przedstawiono zgodnie z rzeczywistością topograficzną.

Latarnia i przylegające do niej zabudowania Keldsnor Fyr na Langeland rzeczywiście są w prywatnych rękach, ale samo światło wciąż miga w służbie kraju.

Krzyż Waleczności, który został przyznany mojemu głównemu bohaterowi, Nielsowi Oxenowi, jest w istocie najwyższym wojskowym odznaczeniem w kraju. I rzeczywiście przyznano je tylko raz.

Jens Henrik Jensen

Tego samego autora:
Wienerringen, powieść 1997
Trylogia o Kazanskim:
Kællingen i Kraków, powieść 1997
Hofnarren i Murmansk, powieść 1999
Ulven i Banja Luka, powieść 2002
Trylogia o Ninie Portland:
Økseskibet, powieść 2004
Kulmanden, powieść 2007
Spøgelsesfangen, powieść 2010
Seria o Oxenie:
Zanim zawisną psy, powieść 2012
Mroczni ludzie, powieść 2014
Zamrożone płomienie, powieść 2016
Dowiedz się więcej – wejdź na stronę:
www.jenshenrikjensen.dk



JENS HENRIK JENSEN

Urodził się w duńskim mieście Søvind w 1963 r. Studiował w Duńskiej Szkole Dziennikarstwa. Uwielbia historie z drugim dnem, dwuznaczności i wysublimowaną fabułą. Pisze zróżnicowane gatunkowo książki — są w nich elementy thrillera, kryminału i dramatu obyczajowego. Fascynuje się teoriami spiskowymi. Zadebiutował w 1994 r., a jego kolejne książki, m.in. trylogia o agencji Kazanskim (*Kællingen i Kraków, Hofnarren i Murmańsk, Ulven i Banja Luka*) oraz trylogia o policjantce Ninie Portland (*Økseskibet, Kulmanden i Spøgelsesfangen*), uzyskały status bestsellerów i doczekały się wydań w wielu krajach europejskich.

Zdjęcie: Red Star Photo



PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —

1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion 

Spis treści

Rozdział 1.
Rozdział 2.
Rozdział 3.
Rozdział 4.
Rozdział 5.
Rozdział 6.
Rozdział 7.
Rozdział 8.
Rozdział 9.
Rozdział 10.
Rozdział 11.
Rozdział 12.
Rozdział 13.
Rozdział 14.
Rozdział 15.
Rozdział 16.
Rozdział 17.
Rozdział 18.
Rozdział 19.
Rozdział 20.
Rozdział 21.
Rozdział 22.
Rozdział 23.
Rozdział 24.
Rozdział 25.
Rozdział 26.
Rozdział 27.
Rozdział 28.
Rozdział 29.
Rozdział 30.
Rozdział 31.
Rozdział 32.
Rozdział 33.
Rozdział 34.

Rozdział 35.
Rozdział 36.
Rozdział 37.
Rozdział 38.
Rozdział 39.
Rozdział 40.
Rozdział 41.
Rozdział 42.
Rozdział 43.
Rozdział 44.
Rozdział 45.
Rozdział 46.
Rozdział 47.
Rozdział 48.
Rozdział 49.
Rozdział 50.
Rozdział 51.
Rozdział 52.
Rozdział 53.
Rozdział 54.
Rozdział 55.
Rozdział 56.
Rozdział 57.
Rozdział 58.
Rozdział 59.
Rozdział 60.
Rozdział 61.
Rozdział 62.
Rozdział 63.
Rozdział 64.
Rozdział 65.
Rozdział 66.
Rozdział 67.
Rozdział 68.
Rozdział 69.
Rozdział 70.
Rozdział 71.

Rozdział 72.
Rozdział 73.
Rozdział 74.
Rozdział 75.
Rozdział 76.
Rozdział 77.
Rozdział 78.
Rozdział 79.
Rozdział 80.
Rozdział 81.
Rozdział 82.
Rozdział 83.
Rozdział 84.
Rozdział 85.
Rozdział 86.
Rozdział 87.
Rozdział 88.
Rozdział 89.
Rozdział 90.
Rozdział 91.
Rozdział 92.
Rozdział 93.
Rozdział 94.
Rozdział 95.
Rozdział 96.
Rozdział 97.
Rozdział 98.
Rozdział 99.
Posłowie